

EXHIBIT A

HEINLEIN



Robert A. Heinlein

HIOB

Komedia sprawiedliwości

Przełożył

Michał Jakuszewski

DOM WYDAWNICZY „REBIS”
POZNAŃ 1992

Tytuł oryginału:

JOB: A COMEDY OF JUSTICE

Copyright © 1984 by Robert A. Heinlein. All Rights Reserved.

Translation Copyright © 1992 by REBIS Publishing House Ltd.,

Poznań

Copyright for the Cover Illustrations © by D. Beekman

Ilustracja na okładce

D. Beekman

Opracowanie graficzne

Maria Adamczyk

Redakcja

Marek Obarski

ISBN 83-05202-43-9

Dom Wydawniczy REBIS spółka z o.o.

ul. Noskowskiego 25, 61-705 Poznań

Wydanie 1

Zakłady Graficzne w Poznaniu - 77137/91

*Karany przez Boga - szczęśliwy,
więc nie odrzucaj nagan Wszechmocnego.*

„Księga Hioba" 5, 17

Cliffordowi D. Simakowi

Spis treści

I.....	8
II.....	16
III.....	26
IV.....	33
V.....	42
VI.....	51
VII.....	58
VIII.....	69
IX.....	77
X.....	87
XI.....	97
XII.....	109
XIII.....	123
XIV.....	134
XV.....	150
XVI.....	165
XVII.....	184
XVIII.....	196
XIX.....	212
XX.....	220
XXI.....	230
XXII.....	241
XXIII.....	260
XXIV.....	270
XXV.....	276
XXVI.....	288
XXVII.....	293
XXVIII.....	304
XXIX.....	320

*Gdy przejdziesz przez ogień, nie spalisz się
i nie strawi cię płomień.*

„Proroctwo Izajasza" 43, 2

Dół pełen ognia miał około dwudziestu pięciu stóp długości, dziesięciu szerokości i, prawdopodobnie, dwóch głębokości. Ogień płonął już od wielu godzin.

Od węgla bił żar nie do wytrzymania, który doskwierał nawet w miejscu, gdzie siedziałem - oddalonym piętnaście stóp, w drugim rzędzie przeznaczonym dla turystów.

Odstąpiłem swe miejsce w pierwszym rzędzie jednej z dam ze statku, z radością korzystając z osłony, którą zapewniało jej dobrze odżywione cielsko. Odczuwałem pokusę, aby przenieść się jeszcze dalej... naprawdę jednak pragnąłem obejrzeć z bliska chodzących po ogniu. Jak często można być świadkiem cudu?

- To oszustwo - oświadczył Doświadczony Podróżnik. - Przekonacie się!

- Dlaczego zaraz oszustwo, Geraldzie - przeciwstawił się Autorytet od Wszystkiego. - Po prostu niezupełnie to, co nam obiecywano. To nie będzie cała wieś. Zapewne nikt z tańczących hula, a już na pewno nie te dzieci. Jeden czy dwóch młodych ludzi ze skórą na podszewkach stóp jak wygarbowana, naćpa się opium czy jakiegoś miejscowego paskudztwa i wlezie do dołu, grając na nosie. Wieśniacy zaczną bić brawo, a ten nasz drogi kanak, który jest tłumaczem, poradzi nam stanowczo, że oprócz tego, co zapłaciliśmy za luau, za tańce i całe przedstawienie, powinniśmy jeszcze wręczyć drobną sumkę każdemu z tych bohaterów. Nie, to właściwie nie będzie oszustwo - ciągnął. - Projekt wycieczki zapowiadał pokaz chodzenia po ogniu. To właśnie zobaczymy. A co do gadania o całej wiosce, to tego nie było w kontrakcie.

Autorytet zrobił zadowoloną minę.

- Masowa hipnoza - oznajmił Zawodowy Nudziarz.

Miałem ochotę poprosić go, aby wyjaśnił mi ten termin, ale zbył mnie wzruszeniem ramion. Byłem od nich młodszy - nie wiekiem, lecz stażem na naszym statku „Kongo Knut". Tak to już jest na statkach wycieczkowych. Ten, kto wsiadł w porcie wyjścia jest starszy od wszystkich, którzy zaokrętowali się później. Medowie i Persowie wprowadzili to prawo i nic nie jest w stanie go zmienić. Sam przyleciałem na sterowcu „Graf von Zeppelin", a w Papeete zabierze mnie drugi - „Admirał Moffett", toteż będę już stale żółtodziobem. Zatem powinienem trzymać gębę na kłódkę, gdy rozprawiają lepsi ode mnie.

Na statkach wycieczkowych jest najlepsze jedzenie na świecie, ale aż za często można spotkać najgorsze towarzystwo. Mimo to podobał mi się pobyt na wyspach. Nawet Mistyk, Astrolog Amator, Salonowy Freudysta i Numerolog nie przeszkadzali mi, ponieważ ich uwagi puszczałem mimo uszu.

- Robią to poprzez czwarty wymiar - oznajmił Mistyk. - Prawda, Gwendolyn?

- Na pewno, kochanie - zgodziła się Numerolog. - Ojej, już idą. Zobaczysz, że będzie nieparzysta liczba osób.

- Jesteś taka mądra, kochanie.

- Hm - mruknął Sceptyk.

Tubylec, który oprowadzał naszą grupę, podniósł do góry ręce i rozpostarł dłonie, nakazując ciszę.

- Proszę, niech wszyscy słuchają. Mauruuru roa. Dziękuję bardzo. Najwyższy kapłan i kapłanka pomodlą się teraz do bogów, aby uczynili ogień nieszkodliwym dla mieszkańców wioski. Proszę nie zapominać, że jest to wielce starożytna uroczystość religijna. Zachowujcie się tak, jakbyście byli w

waszym kościele, ponieważ...

Niesamowicie stary kanak przerwał mu. Wymienili kilka słów w nieznanym mi języku - polinezyjskim, jak sędzę, gdyż wskazywało na to jego płynne brzmienie. Młodszy kanak ponownie zwrócił się w naszą stronę.

- Najwyższy kapłan powiedział mi, że niektóre z dzieci będą dziś przechodzić przez ogień po raz pierwszy, wliczając to niemowlę spoczywające w ramionach matki. Prosi was wszystkich, abyście zachowali podczas modlitw absolutną ciszę, aby nie narazić dzieci na niebezpieczeństwo. Niech mi będzie wolno dodać, że sam jestem katolikiem. W tym momencie zawsze błagam Matkę Przenajświętszą o opiekę nad naszymi dziećmi. Proszę też was wszystkich, abyście modlili się za nie na swój sposób, a przynajmniej zachowywali ciszę i myśleli o nich życzliwie. Jeśli najwyższy kapłan uzna, że nastrój nie jest wystarczająco poważny, nie pozwoli dzieciom wejść do ognia. Były już nawet przypadki, że odwołał całą ceremonię.

- No, i widzisz, Geraldzie - oznajmił Autorytet od Wszystkiego scenicznym szeptem. - Najpierw wstęp, a potem odpowiedni pretekst, żeby zwalić wszystko na nas - zachnął się.

Autorytet - nazywał się Cheevers - denerwował mnie od pierwszej chwili, gdy znalazłem się na statku. Pochyliłem się do przodu i szepnąłem mu do ucha:

- Jeśli te dzieci przejdą przez ogień, czy odważy się pan zrobić to samo?

Niech to będzie dla was nauczka. Uczcie się na moich błędach. Nigdy nie pozwólcie, żeby bałwan odebrał wam rozsądek. Po kilku sekundach okazało się, że moje wyzwanie - jakimś cudem! - obróciło się przeciwko mnie. Wszyscy trzej - Autorytet, Sceptyk i Doświadczony Podróżnik założyli się ze mną, o setkę każdy, że to ja nie odważę się przejść przez ogień, jeśli dzieci uczynią to przede mną. Po chwili tłumacz uciszył nas ponownie. Kapłan i kapłanka zstąpili do dołu z ogniem. Wszyscy byli bardzo cicho i myślę, że niektórzy z nas się modlili. Wiem, że ja to robiłem. Zacząłem nagle recytować to, co przyszło mi na myśl:

„Aniele Boży, stróžu mój, ty zawsze przy mnie stój”.

Z jakiegoś powodu te słowa wydawały się odpowiednie.

Kapłan i kapłanka nie przechodzili przez ogień. Uczynili spokojnie coś bardzo efektownego i (jak mi się zdawało) znacznie bardziej niebezpiecznego. Po prostu stanęli boso wśród płonących węgli i modlili się przez kilka minut. Widziałem, jak ich wargi się poruszają. Od czasu do czasu stary kapłan dosypywał coś do ognia. Cokolwiek to było, sypało iskrami w momencie zetknięcia z rozżarzonymi węglami.

Staralem się dostrzec, czy stoją na płonących węglach, czy na skale, lecz niczego nie wypatrzyłem... nie wiedziałem zresztą, co gorsze. A jednak ta stara kobieta, chuda jak ogryziona kość, stała niczym posąg, z twarzą bez wyrazu. Podwinęła tylko swą spódniczkę tak, że przypominała ona niemal pieluszkę. Najwyraźniej obawiała się przypalić sobie ubranie, ale nie zważała na nogi.

Trzech mężczyzn drągami rozsunało płonące kłody, upewniając się, że dno dołu jest dostatecznie mocne i równe - aby chodzących po ogniu nie spotkała jakaś niespodzianka. Obserwowałem ich pracę z głębokim zainteresowaniem, ponieważ za kilka minut sam miałem wstąpić w ogień - o ile się nie spietram i nie przyznam z góry do porażki. Miałem wrażenie, że ich zabiegi umożliwią mi przejście przez całą długość dołu po skalnym podłożu, a nie po płonących węglach. Oby tak było!

Co to zresztą za różnica? - pomyślałem po chwili, przypominając sobie pęcherze wywołane na moich stopach przez rozgrzane słońcem krawężniki w czasach, gdy byłem chłopcem w Kansas. Ten ogień musiał mieć temperaturę przynajmniej siedmiuset stopni Fahrenheita. Skąły był w nim pogrążone od kilku godzin. Czy zatem przy tej temperaturze była jakakolwiek różnica między patelnią a ogniem?

Tymczasem głos rozsądku szeptał mi do ucha, że poświęcenie trzech setek nie stanowi zbyt wysokiej ceny za wydostanie się cało z tej kabały... czy może wolałbym przez resztę życia spacerować na dwóch przypieczonych kikutach?

Czy pomoże mi, jak wezmę aspirynę?

Mężczyźni zakończyli manipulacje przy płonących kłodach i podeszli do dołu z lewej strony. Pozostali tubylcy zgromadzili się za nimi, razem z tymi skubanymi dzieciakami! Co sobie wyobrażają ci rodzice, którzy pozwalają maluchom tak ryzykować? Dlaczego dzieciaki nie są w szkole, gdzie jest ich miejsce?

Trzej mężczyźni poszli na pierwszy ogień, przechodząc szeregiem przez sam środek dołu, nie śpiesząc się ani nie zwlekając. Pozostali mężczyźni z wioski podążyli za nimi w powolnej nieustającej procesji. Za nimi szły kobiety, wraz z młodą matką z dzieckiem na plecach. Niemowlę zaczęło płakać, gdy uderzyła je fala gorąca. Nie zmieniając kroku, matka podniosła maluszka i przystawiła do piersi. Dziecko uciszyło się.

Za kobietami podążały dzieci, od dojrzewających dziewcząt i chłopców, aż do berbeci w wieku przedszkolnym. Na końcu wędrowała mała dziewczynka (dziewięć? - ośmioletnia?) prowadząca za rękę swojego małego braciszka o wystraszonej minie.

Wyglądał mniej więcej na cztery lata i był zupełnie nagi.

Spojrzałem na tego berbecia i zrozumiałem z ponurą pewnością, że wdepnąłem w to aż po szyję. Nie mogłem się teraz wycofać. Chłopczyk potknął się raz, lecz siostra go podtrzymała. Ruszył dalej krótkimi, pewnymi krokami. Gdy doszedł do końca, ktoś wyciągnął rękę i podniósł go.

Teraz przyszła kolej na minie.

Tłumacz poinformował mnie, że „Polinezyjskie Biuro Turystyczne nie bierze odpowiedzialności za pańskie bezpieczeństwo: ogień może pana poparzyć, nawet zabić. Ci ludzie potrafią przejść przezeń bezpiecznie, ponieważ chroni ich wiara”.

Zapewniłem go, że mnie również chroni wiara, zadając sobie pytanie, jak mogę być tak beczelnym kłamcą. Podpisałem oświadczenie, które mi podsunął.

Po chwili stałem już przy wejściu do dołu ze spodniami zawiniętymi do kolan. Moje buty, skarpetki, kapelusz i portfel czekały po drugiej stronie, leżąc na taboreciku. To był mój cel, moja nagroda. Czy jeśli mi się nie uda, będą o nie rzucać losy, czy też wyślą je pocztą mojej rodzinie?

- Proszę iść samym środkiem! Nie śpieszyć się ani nie zatrzymywać - nakazał tłumacz.

Przemówił najwyższy kapłan.

Mój mentor wysłuchał go, po czym oświadczył:

- Mówi, żeby w żadnym wypadku nie biec, nawet gdy ogień poparzy panu stopy. Mógłby się pan potknąć i przewrócić, i wtedy mógłby się pan już więcej nie podnieść, to znaczy - umrzeć. Muszę dodać, że śmierć nastąpiłaby, gdyby zaczerpnął pan płomień do płuc. A jeśli nie umarłby pan, to i tak ogień straszliwie poparzyłby pana. Proszę się więc nie śpieszyć i uważać, by się nie przewrócić. Czy widzi pan ten płaski kamień pod spodem? To pana pierwszy krok. Que le bon Dieu vous garde. Życzę szczęścia!

- Dziękuję.

Spojrzałem na Autorytet od Wszystkiego, który uśmiechał się jak wampir, o ile wampiry się uśmiechają. Pomachałem mu ręką z fałszywą swobodą i wkroczyłem do dołu.

Zdażyłem postawić trzy kroki, zanim zdałem sobie sprawę, że nie czuję zupełnie nic. Potem poczułem coś, a mianowicie strach. Bałem się jak głupi. Zapragnąłem znaleźć się w Peorii. Albo nawet w Filadelfii. Wszędzie, tylko nie tu, na tym dymiącym pustkowiu. Do celu było mniej więcej tak daleko, jak do następnej przecznicy w mieście. Może dalej. Brnąłem jednak naprzód w nadziei,

że postępujące odrętwienie nie spowoduje mojego upadku, zanim dotrę do końca drogi.

Poczułem duszność. Zdałem sobie sprawę, że wstrzymuję oddech. Zaczerpnąłem więc powietrza - i pożałowałem tego natychmiast. Ponad tak wielkim dołem pełnym ognia unosi się mnóstwo piekących gazów, dymu, dwutlenku i tlenku węgla i czegoś jeszcze, co przypomina zgniły oddech szatana. Tlenu jednak jest tam niewiele. Wypuściłem nagle powietrze. Oczy zasły mi łzami. W gardle poczułem drapanie. Spróbowałem ocenić, czy zdołam dojść do końca trasy bez oddychania.

Niech omie niebo ma w swojej opiece. W ogóle nie widziałem tego końca. Kłęby dymu zasłaniały widok. Nie mogłem niemal rozewrzeć powiek. Brnąłem naprzód, próbując przypomnieć sobie formułę spowiedzi na łożu śmierci, która zaprowadziłaby mnie automatycznie do nieba.

Może w ogóle nie było takiej formuły. Poczułem w stopach coś dziwnego. Kolana zaczęły się pod mną uginać...

- Czuje się pan lepiej, panie Graham?

Leżałem na trawie, spoglądając w przyjazną brązową twarz.

- Chyba tak - odpowiedziałem. - Co się stało? Czy przeszedłem przez dół?

- No jasne. W pięknym stylu. Jednakże zemdlał pan na samym końcu. Byliśmy jednak w pogotowiu i wyciągnęliśmy pana. Niech mi pan powie, co się stało. Czy zaczerpnął pan dymu do płuc?

- Możliwe. Czy jestem poparzony?

- Nie. No, może będzie pan miał jakiś pęcherz na stopie. Gdyby pan nie zemdlał, wszystko przebiegałoby pomyślnie. To na pewno przez ten dym!

- Też tak sędzę.

Pomógł mi usiąść.

- Czy może mi pan podać buty i skarpetki? Gdzie są wszyscy?

- Autobus odjechał. Najwyższy kapłan sprawdził panu puls i oddech, ale zabronił pana ruszać. Jeśli przebudzi się człowieka, którego duch opuścił ciało, duch może nie powrócić. Kapłan w to wierzy, a nikt nie odważy się jemu sprzeciwić.

- Nie będę się z nim sprzeczał. Czuję się świetnie. Jestem wypoczęty. Jak jednak mam wrócić na statek?

Piesza wędrówka przez tropikalny raj stanie się piekłem już po pierwszej mili. Zwłaszcza że moje stopy wydawały się być lekko opuchnięte, czemu trudno się było dziwić.

- Autobus wróci po tubylców, aby przewieźć ich do łodzi, która zabierze ich na wyspę. Mógłby zabrać pana na statek. Znam jednak lepszy sposób. Mój kuzyn ma automobil. Podwiezie pana.

- Świetnie. Ile będę musiał mu zapłacić?

Taksówki na wyspach Polinezji są potwornie drogie, zwłaszcza jeśli jest się zdany na łaskę kierowców. Przystałem jednak na to, aby mnie obrabowano, ponieważ ta szopka i tak miała przynieść mi zysk. Trzy setki minus opłata za taksówkę. Sięgnąłem po swój kapelusz.

- Gdzie mój portfel?

- Portfel?

- Portmonetka. Zostawiłem ją w kapeluszu. Gdzie się zapodziała? To nie jest zabawne, miałem w niej swoje pieniądze i karty kredytowe.

- Pańskie pieniądze? Oh! Votre portefeuille! Przepraszam, mój angielski nie jest najlepszy. Zabrał go oficer z pańskiego statku, wasz przewodnik.

- To miłe z jego strony. W jaki sposób mam zapłacić pańskiemu kuzynowi? Nie mam przy sobie ani franka.

Wyjaśniliśmy w końcu sytuację. Przewodnik, który zdawał sobie sprawę, że zabierając portfel, zostawia mnie bez grosza, opłacił z góry mój powrót na statek. Mój znajomy tubylec zaprowadził

mnie do samochodu i przedstawił kuzynowi - z grubsza, gdyż angielszczyzna jego krewniaka ograniczała się do „Okay, szefie!” Nie zdołałem nawet ustalić, jak się nazywał.

Jego automobil stanowił dowód na potęgę wiary i sztuki drutowania. Pojechaliśmy do portu na pełnym gazie i z potwornym rykiem, strasząc po drodze kury i rozgniatając wałęsające się koźleta. Nie zwracałem uwagi na drogę, gdyż wciąż byłem oszołomiony tym, co wydarzyło się przed naszym odjazdem. Tubylcy czekali na autobus.

Przeszliśmy przez sam środek gromady. Właściwie wstąpiliśmy w ciżbę tubylców, gdy zostałem pocałowany, pocałowany przez wszystkich. Widziałem już Polinezyjczyków całujących się na powitanie, po raz pierwszy jednak witano mnie w ten sposób.

Mój znajomy wyjaśnił:

- Przeszedł pan przez ich ogień, został więc pan honorowym obywatelem wioski. Pragną tam zabić świnię i urządzić ucztę na pańską cześć.

Starałem się po swojemu wytłumaczyć im, że muszę wracać do domu, za wielką wodę, ale któregoś dnia powrócę, jeśli Bóg pozwoli. W końcu udało nam się wyrwać.

Nie to jednak oszołomiło mnie najbardziej. Każdy bezstronny obserwator musi przyznać, że jestem raczej bywałym człowiekiem. Zdaję sobie sprawę, że nie wszystkie kraje dorównują poziomem moralnym Ameryce, i że są miejsca, gdzie publiczne obnażanie się nikogo nie oburza. Wiem, że kobiety polinezyjskie zwykły chodzić nago od talii w górę, zanim zapanowała cywilizacja, no, kurczę pieczone, czytam przecież „National Geographic”.

Nigdy się jednak nie spodziewałem, że ujrzę to na własne oczy.

Zanim przeszedłem przez ogień, tubylcy byli przyzwoicie odziani - w spódniczki z trawy, a kobiety zasłaniały piersi.

Gdy jednak całowały mnie na do widzenia, obnażyły biusty. Wyglądało to zupełnie jak w „National Geographic”.

Rzecz jasna, doceniam piękno kobiecego ciała. Te cudowne odrębności widziane we właściwym czasie przy porządnie zasuniętych zasłonach mogą oczarować.

Jednakże czterdzieści sztuk naraz może człowieka wystraszyć. Ujrzałem teraz więcej kobiecych biustów niż w całym swoim życiu. Członkowie Towarzystwa Episkopalnego Metodystów na rzecz Moralności i Umiarkowania dostaliby szału, oglądając tak bezwstydną nagość!

Jestem pewien, że mogłoby to być przyjemne przeżycie, gdybym został odpowiednio przygotowany. Było to jednak zbyt zaskakujące, za dużo całusów i za szybkich. Mogłem to docenić jedynie post factum.

Nasz tropikalny „Rolls-Royce” zatrzymał się z piskiem hamulców i zgrzytem skrzyni biegów. Otrząsałem się z euforycznego oszołomienia.

- Okay, szefie! - oznajmił kierowca.

- To nie jest mój statek - powiedziałem.

- Okay, szefie?

- Zawiozłeś mnie na niewłaściwe nabrzeże. Kurczę pieczone, wydaje się, że nabrzeże jest to samo, ale to nie ten statek.

Tego byłem pewien. MV „Konge Knut” miał białe burty, nadbudówkę i elegancki fałszywy komin. Ten statek był w przeważającej części czerwony, z czterema wysokimi czarnymi kominami. To musiał być parowiec, nie motorowiec, w dodatku solidnie przestarzały.

- Nie. Nie!

- Okay, szefie. Votre vapeur! Voilá!

- Non!

- Okay, szefie!

Wysiadł, podszedł do moich drzwi, otworzył je, złapał mnie za rękę i pociągnął.

Nie jestem ułomkiem, ale jego ręce wzmocniło pływanie, wspinanie się na palmy kokosowe, wyciąganie sieci pełnych ryb z wody, a także opornych turystów z samochodu, toteż uległem ich sile. Musiałem wysiąść. Wskoczył z powrotem za kierownicę.

- Okay, szefie! - zawołał. - Merci bien! Au'voir! - I odjechał.

Wszedłem, rad nierad, na trap nieznanego statku, aby dowiedzieć się, jeśli zdołam, co się stało z „Konge Knut”. Gdy znalazłem się na pokładzie, jeden z niższych rangą oficerów stojący na wachcie zasalutował.

- Dobry wieczór, panie Graham. Pan Nielsen zostawił dla pana przesyłkę. Chwileczkę... - Uniósł klapę swojego biurka i wyjął stamtąd kopertę z brązowego papieru pakowego.

- Proszę, to dla pana!

Na kopercie przeczytałem: A. L. Graham, kabina C109. Otworzyłem kopertę i znalazłem w środku wytarty portfel.

- Czy wszystko się zgadza, panie Graham?

- Tak, dziękuję panu. Czy zechce pan powiadomić pana Nielsena, że otrzymałem paczkę i przekazać mu moje podziękowania?

- Oczywiście.

Stwierdziłem, że znajduję się na pokładzie D, przeszedłem więc na wyższe piętro, aby odnaleźć swą kabinę C109.

Nie wszystko się zgadzało. Nie nazywam się Graham.

To, co było, jest tym, co będzie

*a to, co się stało, jest tym, co znowu się stanie,
więc nic zgoła nowego nie ma pod słońcem.*

„Księga Eklezjasty” 1, 9

Dzięki Bogu statki używają wszędzie tego samego systemu numeracji. Kabina C 109 znajdowała się tam, gdzie powinna - na pokładzie C, na przedzie prawej burty, pomiędzy C107 i C111. Nie musiałem nikogo pytać, by ją znaleźć. Złapałem za klamkę, lecz drzwi były zamknięte. Najwyraźniej pan Graham potraktował poważnie ostrzeżenia na temat zamykania drzwi, zwłaszcza podczas postoju w porcie.

Klucz, nawiedziła mnie posępna myśl, znajduje się w kieszeni spodni pana Grahama. Ale gdzie jest pan Graham? Może się czai, aby mnie złapać, gdy się dobieram do jego drzwi? Albo może próbuje sforsować moje drzwi, podczas gdy ja próbuję otworzyć jego kabinę?

Szansa, że dowolny klucz będzie pasował do danego zamka, jest niewielka, ale nie równa zeru. Miałem w kieszeni swoje klucze z „Konge Knut”. Spróbowałem otworzyć nimi drzwi.

Cóż, spróbować nigdy nie zawadzi. Stałem przed drzwiami, zastanawiając się, czy się skichać, czy paść trupem, gdy usłyszałem za sobą głos: - Och, pan Graham!

Młoda ładna kobieta w kostiumie pokojówki - przepraszam, stewardesy. Zakrzętnęła się zaraz, ujmując w dłonie klucz uniwersalny, który miała przypięty do pasa. Otworzyła kabinę mówiąc: - Margrethe prosiła mnie, abym miała na pana oko. Powiedziała, że zostawił pan swój klucz na biurku. Nie ruszała go, lecz przekazała mi, żebym pana wpuściła, jak pan przyjdzie.

- To bardzo miło z pani strony, panno, hmmm...

- Jestem Astrid. Zajmuję się pokojami po drugiej stronie, a więc możemy się z Margą zastąpić w razie potrzeby. Ona wyszła dziś wieczorem na ląd. - Otworzyła drzwi przede mną. - Czy to wszystko, proszę pana?

Podziękowałem jej, gdy wychodziła. Zaryglowałem drzwi, opadłem na krzesło i zacząłem dygotać.

Po dziesięciu minutach wstałem, poszedłem do łazienki, by przemyć zimną wodą twarz i oczy. To nic nie rozwiązało ani wcale mnie nie uspokoiło, lecz moje nerwy nie łopotwały już jak flaga na wietrze. Starłem się nie stracić panowania nad sobą od chwili, gdy zacząłem podejrzewać, że coś tu naprawdę nie gra, czyli od... właściwie od kiedy? Czy w dole z ogniem coś poszło nie tak, jak trzeba? Później? No, z pewnością w chwili, gdy ujrzałem, że jeden dwudziestotysięcznik zastąpił inny statek.

Mój ojciec zwykł powtarzać: - Alex, strach to nic złego... dopóki nie pozwolisz, żeby zapanował nad tobą, zanim zagrożenie minie. Historia jest wybaczalna... ale po fakcie i kiedy jesteś sam. Mężczyźnie także wolno płakać... ale w łazience, gdy drzwi są zamknięte. Różnica pomiędzy człowiekiem odważnym, a tchórzem polega głównie na wyczuciu właściwej chwili.

Nie jestem takim facetem, jakim był mój ojciec, staram się jednak słuchać jego rad. Jeśli zdołasz powstrzymać się od podskoku, gdy wybuchnie petarda lub zaskoczy cię coś innego, masz szansę zapanować nad nerwami aż do chwili, gdy będzie już po wszystkim.

Tym razem nie było po wszystkim, lecz solidna dawka dreszczy wywołała w efekcie katharsis. Mogłem teraz stawić czoła sytuacji.

Rozważałem następujące hipotezy:

a) coś absurdalnego wydarzyło się ze światem, w którym żyłem;

b) coś absurdalnego wydarzyło się z umysłem Alexa Hergensheimera, należy więc go zamknąć i podać mu środki uspokajające.

Nie potrafiłem wymyślić trzeciej hipotezy. Te dwie wydawały się sugerować wszystkie możliwości. Na roztrząsanie drugiej szkoda było czasu. Jeśli odbiła mi palma, prędzej czy później ludzie to zauważą, wpakują mnie w kaftan bezpieczeństwa i zamkną w przyjemnym, wyściełanym pokoju.

Załóżmy jednak, że jestem normalny (przynajmniej częściowo; odrobina wariactwa pomaga w życiu). Jeśli ja jestem normalny, to dekiel odbił światu. Zastanówmy się przez chwilę!

Ten portfel. Nie jest mój. Portfele są na ogół do siebie podobne. Ten również jest podobny do mojego. Jeśli jednak nosisz portfel przez kilka lat, zżywasz się z nim. Od razu poznałem, że ten nie należał do mnie. Nie chciałem jednak mówić o tym oficerowi, który uparcie twierdził, że „poznaje mnie” jako „pana Grahama”.

Wyjąłem portfel Grahama i zajrzałem do środka.

Kilkaset franków. Policzę je później.

Osiemdziesiąt pięć dolarów w banknotach. Legalny środek płatniczy Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Prawo jazdy na nazwisko A. L. Graham.

Znajdowało się tam jeszcze więcej rzeczy, natrafiłem jednak na napisaną na maszynie kartkę, na widok której zastygłem jak słup soli.

„Ktokolwiek znajdzie ten portfel, może zatrzymać pieniądze w nagrodę, o ile będzie tak uprzejmy, że zwróci portfel A. L. Grahamowi - kabina C109, SS „Konge Knut”, Linie Duńsko-Amerykańskie, albo któremukolwiek z agentów lub płatników tej linii. Serdeczne podziękowania. A. L. G.”

Wiedziałem już więc, co się stało z „Konge Knut”. Zaszła w nim zmiana.

Czy rzeczywiście? Czy cały świat istotnie się przeobraził, a statek razem z nim? A może istnieją dwa światy i w jakiś sposób przeszedłem przez ogień z pierwszego w drugi? Czy faktycznie istniało dwóch mężczyzn, którzy zamienili wzajemnie swe losy, czy też Alex Hergensheimer przekształcił się w Aleca Grahama, podobnie jak MV „Konge Knut” w SS „Konge Knut”. (A Unia Północnoamerykańska stała się Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej?)

To ważne pytania. Cieszę się, że je zadano. Czy chcecie zapytać o coś jeszcze, dzieci...

Kiedy chodziłem do szkoły, ukazywała się masa magazynów publikujących fantastykę. Nie tylko opowieści o duchach, ale najprzeróżniejsze dziwactwa. Magiczne statki żeglujące w eterze do innych gwiazd. Niezwykłe wynalazki. Wyprawy do wnętrza Ziemi. Inne „wymiarzy”. Maszyny latające. Siła uzyskiwana z płonących atomów. Potwory tworzone w sekretnych laboratoriach. Kupowałem te tanie pisemka i ukrywałem wewnątrz egzemplarzy „Towarzysza Młodości” czy „Młodych Krzyżowców”. Wiedziałem instynktownie, że rodzicom się to nie spodoba i że mogą mi je skonfiskować. Uwielbiałem je, podobnie jak mój kumpel Bert, z którym nie wolno mi się było spotykać.

To nie mogło trwać długo. Najpierw ukazał się artykuł redakcyjny w „Towarzyszu Młodości” pod tytułem „Precz z trucizną dla duszy!!!” Następnie nasz pastor - brat Draper wygłosił kazanie przeciwko tak ogłupiającemu chłamowi, powołując się przy tym na zgubne skutki papierosów i gorzałki. Następnie nasz stan zdelegalizował podobne wydawnictwa zgodnie z doktryną „powszechnie uznawanych kryteriów”, zanim jeszcze uchwalono odpowiednie ustawy o zasięgu ogólnopństwowym.

„Niezawodny” schowek, który miałem na strychu, został opróżniony. Co gorsze książki pana H. G. Wellsa, pana Julesa Verne oraz kilku innych autorów zostały wycofane z naszej biblioteki publicznej. Trzeba podziwiać motyw naszych duchowych przywódców oraz posłów, pragnących chronić

umysł młodzięzy.

Jak wskazał brat Draper, w „Dobrej Księdze” jest wystarczająco wiele ekscytujących opowieści pełnych przygód, aby zaspokoić potrzeby wszystkich chłopców i dziewcząt na świecie. Świecka literatura jest więc po prostu niepotrzebna. Nie żądał cenzurowania książek dla dorosłych, wzywał do położenia tamy tandecie, która wykoślawia dusze podatnej na zły wpływ młodzięzy. Jeśli osoby w wieku dojrzałym chcą czytać ten fantastyczny chłam, można na to przystać, choć on osobiście nie rozumie, dlaczego człowiek dorosły miałby to robić.

Myślę, że sam należałem do „podatnej na zły wpływ młodzięzy”. Wciąż brak mi tych opowiadań.

Szczególnie dobrze zapamiętałem jedną z książek pana Wellsa „Ludzie jak bogowie”. Tekst o ludziach, którzy jechali samochodem, gdy nastąpił wybuch i znaleźli się w innym świecie, podobnym do ich własnego, tylko lepszym. Spotykają się z ludźmi, którzy opowiadają im o wszechświatach równoległych, czwartym wymiarze i tak dalej.

To był pierwszy odcinek. Potem nasz stan uchwalił prawo chroniące młodzież przed zepsuciem moralnym, tak więc nigdy nie poznałem dalszego ciągu.

Jeden z moich profesorów angielskiego, który był otwartym przeciwnikiem cenzury, powiedział, że pan Wells wymyślił wszystkie podstawowe tematy literatury fantastycznej. Podał tę historię jako źródło koncepcji światów równoległych. Zamierzałem go zapytać, czy wie, gdzie mógłbym zdobyć egzemplarz, postanowiłem jednak poczekać do końca semestru, gdy oficjalnie osiągnę „wiek dojrzały” i okazało się, że czekałem zbyt długo. Komitet do spraw wiary i moralności przy senacie wypowiedział się przeciwko przedłużeniu mu kontraktu, profesor wyjechał więc nagle, przed zakończeniem semestru.

Czy przydarzyło mi się coś takiego, co pan Wells opisywał w swojej książce? Czy pan Wells posiadał święty dar prorokowania? Na przykład, czy pewnego dnia ludzie naprawdę polecą na Księżyc? Absurd! Czy jednak absurd większy niż to, co mi się przydarzyło?

Tak czy inaczej znajdowałem się na „Kongie Knut” (choć nie był to mój „Kongie Knut”) i z rozkładu wynikało, że odpływa on dziś o szóstej wieczorem. Było już późne popołudnie. Najwyższy czas, aby podjąć decyzję.

Co robić? Wyglądało na to, że zapodziałem gdzieś swój statek - MV „Kongie Knut”. Jednakże załoga parowca „Kongie Knut” (a przynajmniej jej część) zdawała się akceptować mnie jako jednego z pasażerów - „pana Grahama”.

Zostać beczelnie na pokładzie? A co, jeśli przyjdzie Graham (może to zrobić w każdej chwili!) i zapyta mnie, co robię w jego kabynie?

A może zejść ze statku (jak należało zrobić) i zgłosić się ze swymi kłopotami do odpowiednich władz?

Alex, francuskie władze kolonialne będą tobą zachwycone. Bez bagażu, tylko w jednym ubraniu, bez pieniędzy (ani sou!) i bez paszportu!

Będą tak zachwyceni, że dadzą ci wikt i opierunek na resztę życia... w dobrze okratowanym lochu.

W tym portfelu są pieniądze.

No i co z tego? Słyszałeś kiedyś o siódmym przykazaniu? To są jego pieniądze.

Wydaje się jednak oczywiste, że on przeszedł przez ogień w tej samej chwili co ja, tylko po drugiej stronie, w tym drugim świecie, czy jak to zwał. W przeciwnym razie jego portfel nie czekałby na ciebie. Teraz on ma twój portfel. To logiczne.

Posłuchaj, mój upośledzony przyjacielu, czy wydaje ci się, że sytuacja, w której się znalazłeś, ma cokolwiek wspólnego z logiką?

No więc...

Wal śmiało!

Nie, raczej nie. Cóż więc począć? Nie wychylaj się z kabiny. Jeśli Graham pojawi się, zanim statek odpłynie, wywalą cię stąd na zbity pysk, to jasne. Gdybyś jednak zszedł ze statku teraz, skutek byłby ten sam. Jeśli Graham się nie pokaże, zajmiesz jego miejsce, przynajmniej do czasu, zanim dopłyniesz do Papeete. To duże miasto. Tam będzie łatwiej znaleźć jakieś wyjście. Zwrócisz się do konsula i tak dalej. To ty mnie do tego namówiłeś.

Na statkach pasażerskich codziennie jest wydawana gazeta dla pasażerów - jedna czy dwie kartki z tak ekscytującymi informacjami jak: „Dziś o dziesiątej ćwiczenia w korzystaniu z łodzi ratunkowych. Obecność obowiązkowa” albo „Zwycięzczynią wczorajszej loterii została pani Ephraim Glutz z Bethany w stanie Iowa” oraz - z reguły - kilka wiadomości ze świata podsłuchanych przez operatora telegrafu bez drutu. Postanowiłem odszukać tę gazetę oraz „Witajcie na pokładzie”. To drugie to książeczka (może nazywać się inaczej), która ma wprowadzić świeżo przybyłego na pokład pasażera w mały świat, którym jest statek. Podaje się w niej nazwiska oficerów, godziny posiłków, lokalizację zakładu fryzjerskiego, pralni, jadalni, kiosku (igły, nici, czasopisma, pasta do zębów), wyjaśnienie, jak zapowiedzieć się z oficjalną wizytą, plan wszystkich pokładów statku, miejsce składowania kamizelek ratunkowych, drogi ewakuacji do łodzi ratunkowych, wyjaśnienie, jak zdobyć miejscówkę przy stole...

A niech to! Pasażer, który przebywał na pokładzie choć jeden dzień, nie musi pytać o drogę do swego stołu w jadalni. Najłatwiej wpaść na drobiazgach. Trudno, coś się wymyśli.

Książeczka tkwiła w biurku Grahama. Przekartkowałem ją, starając się zapamiętać wszystkie podstawowe dane, zanim wyjdę z kabiny - zakładając, że nadal będę przebywać na pokładzie, gdy statek odcumuje - potem odłożyłem ją, gdy znalazłem gazetkę.

Nazywała się „Królewski Skald” i Graham, dzięki Bogu, zachował wszystkie egzemplarze od chwili, gdy wsiadł na pokład... w Portland, jak wydedukowałem z nagłówka najstarszego egzemplarza. To wskazywało, że Graham wykupił bilet na cały kurs, co mogło być dla mnie ważne. Zamierzałem wrócić w ten sam sposób, jak przybyłem - sterowcem - lecz jeśli nawet „Admirał Moffett” istniał w tym świecie, wymiarze, czy jak to zwał, i tak nie miałem już na niego biletu ani pieniędzy, żeby go kupić. Co robią we francuskich koloniach z turystą, który nie ma pieniędzy? Pałają go na stosie? Czy też ograniczają się do rozrywania koźmi? Wolałem tego nie sprawdzać. Jeżeli Graham wykupił bilet na pełną trasę, mogło mnie to wybawić od tej konieczności. (O ile nie zjawi się on za godzinę i nie zostaną wykopany ze statku).

Nie miałem zamiaru zostać na Polinezji. Włóczęga bez grosza przy duszy mógł może prowadzić niezłe życie na Bora-Bora czy Moorea przed stu laty, lecz w dzisiejszych czasach jedynymi rzeczami, które można było na tych wyspach dostać za darmo, były choroby zakaźne.

Zanosilo się na to, że w Ameryce również będę nieznanym nikomu nędzarzem, czułem jednak, że lepiej dam sobie radę we własnej ojczyźnie. No, powiedzmy w ojczyźnie Grahama.

Przeczytałem niektóre z wiadomości, nie mogłem jednak nic z nich zrozumieć, odłożyłem je więc do późniejszej analizy. Nie dowiedziałem się wiele, a to, czego się domyślałem, było niepokojące. Miałem głęboką - choć nielogiczną - nadzieję, że wszystko to okaże się głupią pomyłką, która wkrótce się wyjaśni (nie pytajcie mnie, w jaki sposób). Jednakże to, co przeczytałem, położyło kres wszelkiej nadziei.

Co to za świat, w którym „prezydent” Niemiec składa wizytę w Londynie. W moim świecie Cesarstwem Niemieckim rządzi kajzer Wilhelm IV. „Prezydent” Niemiec brzmi równie głupio, jak „król” Ameryki.

To mógł być niezły świat... ale to nie był świat, w którym się urodziłem. Te dziwaczne

wiadomości potwierdzały ten fakt. Gdy odkładałem na bok stos gazetek Grahama, dostrzegłem na stronie tytułowej dzisiejszego wydania informację: „Strój obowiązujący podczas dzisiejszej kolacji - wieczorowy”.

Nie zdziwiło mnie to. Na motorowcu MV „Konge Knut” wymagano zarówno eleganckiego ubioru, jak i dobrych manier. W czasie rejsu należało nosić czarny krawat. Jeśli pasażer nie posiadał krawatu, dawano mu do zrozumienia, że w gruncie rzeczy powinien jadać w swojej kabinie.

Nie miałem smokingu. Nasz kościół nie pochwała próżności. Wybrałem kompromis, zakładając do kolacji niebieski garnitur, białą koszulę i czarny krawat na gumce. Nikt nie okazywał zdziwienia. Ubiór nie miał znaczenia. I tak byłem niegodny uwagi, ponieważ wsiałem na pokład w Papeete. Postanowiłem sprawdzić, czy pan Graham ma czarny garnitur i krawat.

Pan Graham posiadał wiele ubrań, o wiele więcej niż ja. Przymierzyłem jego sportowy żakiet. Pasował nieźle. Spodnie? Długość wydawała się w sam raz. Nie byłem pewien, czy nie będą za ciasne w biodrach. Obawiałem się je przymierzyć, aby pan Graham nie przyłapał mnie z jedną nogą w swych spodniach. Co się mówi w takiej sytuacji? No, jest pan! Czekam już jakby troszkę za długo, toteż postanowiłem przymierzyć pańskie spodnie, by jakoś zabić czas. Mało przekonywujące!

Graham miał nie tylko jeden, ale dwa smokingi. Pierwszy w konwencjonalnym czarnym kolorze, a drugi ciemnoczerwony. Nigdy nie słyszałem o takiej ekstrawagancji.

Nie znalazłem jednak krawatu na gumce.

Graham posiadał kilka czarnych krawatów, ale ja nigdy się nie nauczyłem, jak się je zawiązuje.

Odetchnąłem głęboko i zacząłem się nad tym zastanawiać.

Usłyszałem pukanie do drzwi. Podskoczyłem w górę tak gwałtownie, że o mały włos wyskoczyłbym ze swej własnej skóry.

- Kto tam? (Daję słowo, panie Graham, właśnie na pana czekałem!)

- Stewardesa.

- Aha. Proszę bardzo!

Usłyszałem, jak przekręca klucz w zamku. Podskoczyłem do drzwi, aby otworzyć zasuwkę.

- Przepraszam. Zapomniałem, że zamknąłem drzwi na zasuwkę. Proszę wejść!

Margrethe okazała się być równie młoda, jak Astrid, a nawet ładniejsza. Miała włosy w kolorze lnu i piegi na nosie. Mówiła poprawnie po angielsku z lekkim, uroczym akcentem. W ręku trzymała wieszak, na którym wisiała krótka biała marynarka.

- Pańska marynarka. Karol powiedział, że druga będzie na jutro.

- Dziękuję ci, Margrethe. Zupełnie o niej zapomniałem!

- Obawiałam się tego. Dlatego wróciłam na pokład trochę wcześniej. Właśnie mieli zamknąć pralnię. Dobrze, że ją przyniosłam. Jest o wiele za gorąco, żeby ubierać się na czarno.

- Nie musiałaś wracać wcześniej. Rozpieszczasz mnie!

- Staram się dobrze dbać o swoich gości, jak pan wie.

Powiesiła marynarkę w szafie i zwróciła się w stronę wyjścia.

- Wróć, żeby zawiązać panu krawat. O szóstej trzydzieści, jak zwykle?

- Może być o szóstej trzydzieści. Która jest teraz? (Kurczę blade, mój zegarek zniknął wraz z MV „Konge Knut”. Nie wziąłem go ze sobą na ląd).

- Prawie szósta - zawahała się. - Przygotuję panu ubranie, zanim wyjdę. Nie ma już wiele czasu.

- Ależ, dziewczyno! To nie należy do twoich obowiązków.

- Nie. Robię to z przyjemnością.

Otworzyła szufladę, wyjęła koszulę i rozłożyła ją na mojej (Grahama) koi.

- Wie pan, dlaczego?

Szybko i sprawnie, jak ktoś, kto wie dokładnie, gdzie czego szukać, otworzyła szufladę w biurku, której nie zauważyłem i wyciągnęła z niej skórzaną saszetkę, z której wyjęła zegarek, sygnet i spinki. Ułożyła to wszystko na koi obok koszuli, po czym wpięła spinki w rękawy. Następnie położyła na poduszce świeżą bieliznę oraz czarne jedwabne skarpetki. Ustawiła lakierki obok krzesła i wsunęła w jeden łyżkę do butów. Następnie wyjęła z szafy marynarkę, którą przyniosła, i powiesiła, wraz z czarnymi spodniami od fraka (z przypiętymi szelkami) oraz ciemnoczerwonym pasem w szafie. Przyjrzała się swemu dziełu. Dodała do stosu leżącego na poduszce kołnierzyk, czarny krawat oraz świeżą chustkę do nosa. Spojrzała ponownie na całość i dodała klucz od pokoju oraz portfelik na sygnet i zegarek. Jeszcze raz zlustrowała wszystko i skinęła głową.

- Muszę już pędzić, bo się spóźnię na kolację. Wrócę, by zawiązać panu krawat.

Nie wybiegła, lecz wyszła w pośpiechu.

Margrethe miała rację. Gdyby nie przygotowała mi wszystkiego, wciąż jeszcze walczyłbym ze swym strojem. Sama koszula wystarczyłaby, żeby mnie uziemić. Była to jedna z tych koszul zapinanych od wewnątrz. Nigdy takiej nie nosiłem. Dzięki Bogu Graham używał zwyczajnej maszyny do golenia. O godzinie szóstej piętnaście zgoliłem poranny zarost, wziąłem prysznic (konieczny!) i zmyłem z włosów zapach dymu.

Jego buty pasowały na mnie, jak gdybym rozchodził je sam. Spodnie były przyciasne w pasie (duński statek nie jest odpowiednim miejscem na odchudzanie, a ja spędziłem na „Konge Knut” dwa tygodnie).

Wciąż jeszcze walczyłem z tą skubaną, zapinaną na odwrót, koszulą, gdy Margrethe otworzyła drzwi swym kluczem uniwersalnym.

Szybko podeszła do mnie.

- Proszę stać spokojnie - powiedziała, zapinając guziki, z którymi nie mogłem sobie poradzić. Następnie przypięła mi ten kołnierzyk z piekła rodem i założyła krawat na szyję.

- Proszę się odwrócić - powiedziała.

Właściwe zawiązywanie krawata jest sztuką magiczną. Ona знаła odpowiednie zaklęcia.

Pomogła mi założyć pas i marynarkę, obejrzała mnie dokładnie i oświadczyła: - Może być. Jestem z pana dumna. Dziewczyny podczas kolacji mówiły o panu. Szkoda, że tego nie widziałam. Jest pan bardzo odważny.

- Nie odważny, ale głupi! - Odezwałem się w nieodpowiednim momencie.

- Odważny! Muszę już lecieć. Kristina miała przypilnować mojego placka z wiśniami. Jeśli nie będzie mnie zbyt długo, ktoś go zwędzi.

- No to leć! Wielkie dzięki. Mam nadzieję, że uratujesz ten placek.

- A kiedy mi pan zapłaci?

- Hmm. Ile się należy?

- Proszę się ze mną nie drażnić!

Zbliżyła się o kilka cali, unosząc twarz ku górze. Nie znam się na kobietach, ale kto wie? Niektóre sygnały są łatwe do odczytania. Ująłem ją za ramiona, pocałowałem w oba policzki, zawahałem się przez chwilę, aby się upewnić, że nie jest zaskoczona ani rozgniewana, po czym umieściłem trzeci pocałunek dokładnie pośrodku dwóch poprzednich. Wargi miała pełne i gorące.

- Czy o taką zapłatę ci chodziło?

- Oczywiście. Ale potrafi pan całować znacznie lepiej. Wie pan o tym.

Wydeła dolną wargę i opuściła wzrok.

- Przytul mnie!

Tak, rzeczywiście całowałem ją znacznie lepiej. Nauczyłem się tego, zanim nasz pocałunek

dobiegł końca. Dzięki temu, że pozwoliłem Margrethe prowadzić i z radością współdziałałem z nią we wszystkim, czego jej zdaniem wymagał dobry pocałunek, nauczyłem się przez dwie minuty więcej na temat całowania niż przez całe moje dotychczasowe życie.

W głowie mi huczało.

Gdy skończyliśmy, pozostawała przez chwilę bez ruchu w moich objęciach, spoglądając na mnie absolutnie trzeźwym wzrokiem.

- Alec - powiedziała. - Nigdy jeszcze nie całowałeś mnie tak jak teraz. Słowo. A teraz muszę już lecieć, bo spóźnisz się przede mną na kolację.

Wysunęła się z moich ramion i zniknęła z właściwą sobie szybkością.

Przejrzałem się w lustrze. Nie było śladów. Pocałunek tak namiętny powinien pozostawić ślady.

Jakiego rodzaju człowiekiem był ten Graham? Mogłem nosić jego ubrania... ale czy zdołał sobie poradzić z jego kobietą? O ile to rzeczywiście była jego kobieta. Kto wie? Nie wiedziałem przecież nic. Czy był on rozpustnikiem, uwodzicielem? Czy też może władowałem się w całkowicie nieszkodliwy, choć troszkę niedyskretny romans?

Jak wrócić do punktu wyjścia przez dół pełen ognia?

I czy rzeczywiście chciałem to uczynić? Zastanawiałem się, jak dojść do jadalni. W stronę rufy, aż do głównych schodów, potem dwa pokłady w dół i jeszcze kawałek w stronę rufy - przypomniałem sobie plan statku, który znalazłem w książeczce. I trafiłem bez problemu. Mężczyzna stojący w drzwiach jadalni ubrany podobnie jak ja, lecz trzymający pod pachą menu, to prawdopodobnie szef kelnerów - główny steward. Nie myliłem się. Potwierdził to jego szeroki, profesjonalny uśmiech:

- Dobry wieczór, panie Graham.

Zatrzymałem się.

- Dobry wieczór. Słyszałem coś o zmianie miejscówek. Gdzie mam dzisiaj usiąść? (Jeśli złapiesz byka za rogi, może ci się uda chociaż go zaskoczyć).

- To nie są stałe zmiany, proszę pana. Jutro wróci pan do stołu numer czternaście. Dzisiaj jednak kapitan zaprasza pana do swego stołu. Zechce pan udać się za mną.

Zaprowadził mnie do olbrzymiego stołu stojącego w śródkręciu. Chciał mnie posadzić z prawej strony kapitana, lecz ten wstał i zaczął bić brawo. Pozostali stołownicy poszli za jego przykładem. Wkrótce wszyscy w jadalni (jak się zdawało) wstali bijąc brawo. Niektórzy wydawali nawet okrzyki na moją cześć.

Podczas kolacji dowiedziałem się dwóch rzeczy. Po pierwsze, było jasne, że Graham wykręcił ten sam kretyński numer co ja. (Wciąż jednak nie było jasne, czy jesteśmy tą samą osobą, czy też jest nas dwóch.) Odłożyłem to pytanie na później. Po drugie, ale bardzo ważne: Nigdy nie pij schłodzonego akwawitu Aalborg na pusty żołądek, zwłaszcza jeśli tak jak ja, byłeś wychowany w obszarze Białego Pasa!

Naśmiewcą jest wino, swarliwa - sycera.

Księga Przysłów 20, 1

Nie mam pretensji do kapitana Hansena. Słyszałem, że Skandynawowie wprowadzają sobie etanol do krwi dla rozgrzewki, ze względu na panujące u nich długie, surowe zimy i z tego powodu nie rozumieją ludzi, którzy nie potrafią pić mocnych trunków. Poza tym nikt nie trzymał mnie za rękę i nos i nie wlewał mi przemocą alkoholu do gardła. Robiłem to sam.

Nasz kościół nie uznaje poglądu, że ciało ludzkie jest słabe, w związku z czym grzechy można zrozumieć i wybaczyć. Owszem, można uzyskać rozgrzeszenie, ale nie jest to łatwe i trzeba najpierw swoje przecierpieć. Za grzechy trzeba odpokutować.

Poznałem jeden z rodzajów tej pokuty. Słyszałem, że nazywają to kacem. Tak przynajmniej nazywał to mój wujaszek pijak. Wujek Ed twierdził, że nikt nie może stać się wstrzemięźliwym, zanim nie rzuci się w wir rozpusty... w przeciwnym razie, gdy natrafi na pokusę, nie zdoła się jej oprzeć.

Chyba udowodniłem, że wujek Ed miał rację. U nas w domu uważano, że stanowił on zły przykład i gdyby nie był bratem matki, mój stary nie pozwoliłby mu w ogóle u nas bywać. I tak zresztą nigdy nie zatrzymywano go, gdy chciał wyjść, ani nie zapraszano, ażeby złożył powtórnyą wizytę.

Zanim jeszcze zasiadłem za stołem, kapitan zaproponował mi szklaneczkę akwawitu. Szklaneczki, w których się pije ten trunek, nie są duże. W tym właśnie tkwi jedno ze źródeł niebezpieczeństwa. Kapitan trzymał w ręku identyczną szklaneczkę. Spojrzał mi w oczy i wznosił toast:

- Za naszego bohatera! Skaal!

Przechylił lekko głowę i wlał sobie płyn do gardła.

Wokół stołu rozległo się chóralne: „Skaal!” Wszyscy przełknęli alkohol równie błyskawicznie jak kapitan. Poszedłem w ślady biesiadników. Mógłbym się tłumaczyć, że jako gość honorowy miałem pewne obowiązki. „Kiedy wejdiesz między wrony...” - i tak dalej. Prawdą jest jednak, że zabrakło mi siły charakteru, aby odmówić. Powiedziałem sobie: „Jedna mała szklaneczka nie zaszkodzi”, i przełknąłem jej zawartość duszkiem.

Przeszło gładko. Jeden przyjemny lodowaty łyk, potem ostry posmak z domieszką lukrecji. Nie wiedziałem, co piję i nie byłem pewien, czy jest w tym alkohol. Nic na to nie wskazywało.

Usiedliśmy przy stole. Ktoś nałożył mi na talerz jedzenie, a steward nalał mi następną szklaneczkę sznapsa. Zacząłem powoli skubać bardzo smaczne duńskie zakąski ze szwedzkiego stołu. Nagle ktoś położył rękę na moim ramieniu.

Spojrzałem w górę. Doświadczony Podróżnik... a przy nim Autorytet i Sceptyk.

Nazwiska nie były te same. Ktokolwiek (cokolwiek?) wprowadził zamieszanie w moim życiu, nie posunął się tak daleko. Na przykład nazwisko „Gerald Fortescue” zmieniło się w „Jeremy Forsyth”. Mimo drobnych różnic rozpoznałem ich jednak bez trudności. Również ich nazwiska były na tyle podobne, iż było jasne, że ktoś, czy coś, nadal ze mnie kpi. (Dlaczego więc moje nowe nazwisko w niczym nie przypominało poprzedniego? „Hergensheimer” ma w sobie pewną godność i brzmi imponująco, podczas gdy „Graham” to tylko zwyczajne nazwisko).

- Pomyliliśmy się co do ciebie, Alec - oświadczył pan Forsyth.

- Duncan, ja i Pete przyznajemy to z przyjemnością. Oto trzy tysiące, które jesteśmy ci winni i - wyciągnął zza pleców prawą rękę, w której trzymał wielką butelkę - najlepszy szampan na statku w dowód naszego uznania.

- Steward! - zawołał kapitan.

Steward pojawił się wkrótce, napełniając nasze szklanki. Zdążyłem jednak jeszcze wstać i trzykrotnie wymienić „Skaal!” z każdym z pokonanych. W rękę ścisnąłem trzy tysiące dolarów (w walucie USNA). Nie było czasu, aby się zastanowić, dlaczego trzy setki zamieniły się w trzy tysiące, poza tym nie było to tak dziwne jak to, co przydarzyło się „Konge Knut”. Obu jego wydaniom. Moja zdolność dziwienia się najwyraźniej osłabła.

Kapitan Hansen poprosił kelnerkę, aby przyniosła krzesła dla Forsytha i pozostałych, lecz cała trójka odmówiła, twierdząc, że czekają na nich żony i towarzysze dzielący z nimi stół. Poza tym nie było już dla nich miejsca. Nie stanowiło to jednak przeszkody dla kapitana Hansena. Jest on Wikingiem wielkim jak dąb, albo i większym. Gdyby wziął w rękę młot, można by go było wziąć za Thora. Ma mięśnie tam, gdzie inni mężczyźni nie mają nawet na nie miejsca. Trudno jest się mu przeciwstawić. W końcu przystał, jowialnym tonem, na kompromis. Przedtem jednak musieli spełnić rolę Szadraka, Mészaka i Abed-Nego, aniołów stróżów naszego drogiego przyjaciela Aleca. Wszyscy siedzący za stołem musieli się przyłączyć.

- Steward! - rozległo się po raz kolejny.

„Skaal!” - rozległo się jeszcze trzykrotnie. Duński rozgrzewacz sphywał nam po migdałkach.

Liczycie? Zdaje się, że to siedem. Możecie dać sobie spokój. Wtedy właśnie straciłem rachubę. Zacząłem czuć odrętwienie, podobne do tego, które odczuwałem w połowie drogi przez dół pełen ognia.

Steward rozlał do kieliszków nowego szampana, który znalazł się na stole dzięki hojności kapitana. Potem nadszedł czas na kolejny toast na moją cześć. Potem odwzajemniłem się swoim trzem przeciwnikom, a następnie wznieśliśmy toast na cześć kapitana Hansena, a później wypiliśmy za pomyślność naszego statku „Konge Knut”.

Kapitan wznosił toast na cześć Stanów Zjednoczonych. Cała sala powstała i wypiła wraz z nim. Uznałem, że spoczywa na mnie obowiązek wzniesienia toastu na cześć duńskiej królowej, co wywołało kolejny rewanż ze strony kapitana, który następnie zażądał, abym wygłosił mowę: - Proszę nam opowiedzieć, jak było w piecu ognistym!

Usiłowałem odmówić, lecz wokoło rozległy się okrzyki: Mowa! Mowa!

Wstałem z niejaką trudnością, usiłując przypomnieć sobie mowę, którą wygłosiłem na ostatniej kolacji połączonej ze zbiórką funduszy na rzecz misji za granicą. Nic z niej nie pamiętałem. W końcu oświadczyłem:

- E tam, to żadna sztuka! Przyłóżcie tylko uszy do ziemi i ręce zajmijcie robotą, a wzrok skierujcie w gwiazdy, a reszta przyjdzie sama. Dziękuję. Dziękuję wam wszystkim i przy następnej okazji zapraszam do siebie do domu.

Rozległy się brawa i po raz kolejny wymieniliśmy „Skaal!” Nie pamiętam już z jakiej okazji. Dama siedząca po lewej stronie kapitana wstała i podeszła do mnie, aby mnie pocałować. Inne panie siedzące za stołem ustawiły się w kolejkę, aby pójść w jej ślady. Najwyraźniej wpłynęło to na pozostałe panie na sali, ponieważ nagle pojawiła się niekończąca się procesja kobiet pragnących dać buzi mnie, a przy okazji kapitanowi, czy też może na odwrót.

Podczas tej parady ktoś sprzątnął z mojego talerza stek, co do którego miałem pewne plany. Nie przejąłem się tym zbytnio, ponieważ niekończąca się orgia pocałunków oszołomiła mnie, podobnie jak wcześniej tubylcze kobiety w chwilę po przejściu przez ogień.

Oszołomienie trwało już od chwili, gdy przekroczyłem próg sali. Powiedzmy to w ten sposób: Wszystkie pasażerki naszego statku powinny znaleźć się w „National Geographic”. Tak jest. Dobrze usłyszeliście. No, może nie całkiem, ale w tym, co miały na sobie, wydawały się bardziej nagie od

tych sympatycznych tubylek. Nie będę opisywał tych „sukni wieczorowych”, ponieważ nie jestem pewien, czy potrafię. Jestem za to przekonany, że nie powinienem tego robić. Żadna z nich jednak nie zakrywała więcej niż dwadzieścia procent tego, co damy na uroczystych przyjęciach w świecie, w którym się wychowałem, zwykle przysłaniają. Mam na myśli strój powyżej pasa. Suknie, choć długie, niekiedy sięgające do podłogi, miały zdumiewające dekolty. Górne części niektórych kreacji zakrywały wszystko... ale materiał, z którego je wykonano, był przezroczysty jak szkło. Albo prawie ażurowy..

Niektóre z młodszych pań, czy raczej dziewcząt, naprawdę nadawały się do „National Geographic” jak moje tubylki. Z jakiegoś powodu jednak nie wyglądały tak nieprzyzwoicie jak starsze kobiety. Zauważyłem cały ten „pokaz”, gdy tylko wszedłem na salę. Starłem się jednak nie gapić zbyt ostentacyjnie, a kapitan i inni dostarczyli mi tyle zajęcia, że nie miałem naprawdę czasu, by przyjrzeć się tej niewiarygodnej ekspozycji. No ale, rozumiecie, gdy dama podchodzi do ciebie, obejmuje cię i upiera się, że chce cię pocałować, trudno nie zauważyć, że nie ma na sobie dość odzienia, aby ustrzec się przed zapaleniem płuc.

Mimo narastających zawrotów głowy i odrętwienia trzymałem się mocno w cuglach.

Jednak nawet golizna nie zdumiała mnie tak bardzo jak słownictwo. Takiego języka nigdy nie słyszałem w miejscach publicznych. Nawet w czysto męskim towarzystwie używano go nadzwyczaj rzadko, i to nigdy wśród dżentelmenów. Przynajmniej w świecie, który znałem. Największy szok w dzieciństwie przeżyłem, gdy przechodząc przez rynek, dostrzegłem tłum zgromadzony wokół dybów pod gmachem sądu. Podeszedłem, aby zobaczyć, kogo zakuto i za co... i stwierdziłem ze zgrozą, że był to mój harcmistrz.

Jak głosiła tabliczka na piersi skazańca, ukarano go za używanie wulgarnego języka. Oskarżycielką była jego własna żona. Zrezygnował z obrony i zdał się na łaskę sądu. Sędzią był diakon Brumby, który w ogóle nie znał słowa „łaska”.

Pan Kirk, mój harcmistrz, wyjechał z miasta w dwa tygodnie później i nikt go nigdy więcej nie widział. Zakucie w dyby często wywierało podobny efekt. Nie wiem, jakich słów użył Kirk, ale nie mogły one być takie złe, skoro diakon Brumby skazał go tylko na jeden dzień w dybach.

Tego wieczoru za kapitańskim stołem na „Konge Knut” usłyszałem, jak miła starsza pani w typie „twoja najdroższa babcia” zwróciła się do swego męża wiązką zakazanych słów, wśród których znalazły się bluźnierstwa i określenia zakazanych aktów cielesnych. Gdyby odezwała się w ten sposób publicznie w moim mieście, skazano by ją na najdłuższy możliwy okres uwięzienia w dybach, a następnie wygnano z miasta. (W naszym mieście nie używamy smoły i pierza. Sądzymy, że to zbyt brutalna kara). Tej miłej pani nikt nawet nie zwrócił uwagi. Jej mąż uśmiechnął się tylko i powiedział, że nie powinna się tak denerwować.

Nieprzyzwoity język, niewiarygodne obnażanie się w miejscu publicznym oraz znaczne ilości dwóch niezwykłych i podstępnych napitków sprawiły, że czułem się kompletnie skonfundowany. Obcy w obcym kraju, stanąłem wobec zwyczajów nowych i szokujących. Podtrzymywało mnie przeświadczenie, że muszę się zachowywać jak człowiek bywały, który czuje się tu jak w domu i niczemu się nie dziwi. Nie mogę pozwolić, żeby ktoś zaczął podejrzewać, że nie jestem jego znajomym - Alecem Grahamem, Grahamem, lecz kimś zupełnie obcym - Alexandrem Hergensheimerem. W przeciwnym razie może się wydarzyć coś strasznego.

Rzecz jasna byłem w błędzie. Coś strasznego już się wydarzyło. Byłem w istocie zupełnie obcy w całkowicie obcym i zdumiewającym kraju... teraz jednak, wspominając te chwile, nie sądzę, abym pogorszył swoją sytuację, gdybym nagle wszystko wygadał. Po prostu nikt by mi nie uwierzył.

Jak może być inaczej? Mnie samemu trudno było uwierzyć w to wszystko.

Kapitan Hansen - serdeczny, rzeczowy mężczyzna - ryknąłby śmiechem z mojego „żartu” i wzniosłby kolejny toast. Gdybym się upierał przy swoich „urojeniach”, skierowałby mnie do lekarza okrętowego.

Niemniej uporczywa koncentracja na odgrywaniu roli Aleca Grahama i obawa, aby nikt nie rozpoznał we mnie podrzutka czy kukułczego jaja w prawym gnieździe, pomogły mi przetrwać ten zdumiewający wieczór. Właśnie położono przede mną plasterk „tortu księżniczki” - niezwykłego, wielowarstwowego deseru, który pamiętałem z poprzedniego „Konge Knut” oraz podano małą filiżankę kawy, gdy kapitan podniósł się z miejsca.

- Wstawaj, Alec! Idziemy do sali klubowej. Przedstawienie już przygotowane. Nie mogą zacząć, zanim ja się nie zjawię. Chodź już! Nie przesadź ze słodyczami. To szkodzi zdrowiu. Kawę możesz zamówić na miejscu. Najpierw jednak napijemy się męskiego trunku, he? Nie tej słabizny. Lubisz rosyjską wódkę?

Wziął mnie pod rękę. Nagle poczułem, że idę w stronę sali klubowej. Był to akt czysto automatyczny.

Przedstawienie przypominało składanki, które pamiętałem z MV „Konge Knut” - sztukmistrz robiący nieprawdopodobne rzeczy (choć nie takie jak ta, którą ja zrobiłem - czy ze mną zrobiono), komik, który stanowczo powinien zmienić zawód, ładna dziewczyna śpiewająca piosenki oraz trupa tancerzy. Dwie różnice zauważyłem już uprzednio: szokująca golizna i szokujące słownictwo. Byłem już jednak wtedy zbyt odrętwiały po przeżytym wstrząsie z powodu wypitego akwawitu, aby te dodatkowe dowody odmienności tego świata mogły wywrzeć na mnie wrażenie. Piosenkarka nie miała na sobie niemal nic, a tekst jej piosenek przysporzyłby jej kłopotów nawet wśród obywateli półświatka z Newark w stanie New Jersey. Tak przynajmniej mi się zdaje. Osobiście nigdy nie poznałem tego siedliska nieprawości. Zwracałem więcej uwagi na jej wygląd, ponieważ tym razem nie musiałem odwracać wzroku. Na artystów w czasie występu należy się gapić.

Jeśli przyjąć założenie, że sposób ubierania się może ulec daleko idącym modyfikacjom, nie niszcząc zasad współżycia społecznego (osobiście w to nie wierzę, ale załóżmy, że to prawda), w takim razie jest, jak myślę, lepiej, gdy osoba demonstrująca te zmiany jest młoda, zdrowa i ładna. Piosenkarka miała te wszystkie trzy cechy. Poczulem ukłucie żalu, gdy zeszła ze sceny.

Główną atrakcją stanowił zespół tahitańskich tancerzy. Nie zdziwiłem się, rzecz jasna, widząc, że są ubrani powyżej pasa jedynie w kwiaty i muszelki. Byłoby raczej dziwne, gdyby było inaczej.

Co mnie jednak zaskoczyło (choć, jak sądzę, nie powinno), to zachowanie pasażerów.

Najpierw wystąpił zespół - osiem dziewcząt i dwóch mężczyzn. Wykonali oni taniec bardzo podobny do tego, który widziałem rano, przed pokazem chodzenia po ogniu oraz na pokładzie MV „Konge Knut” w Papeete. Być może wiecie, że hula z Tahiti różni się od powolnego i pełnego wdzięku hula z Królestwa Hawajów tym, że jest znacznie szybsze i bardziej żywiołowe. Nie jestem znawcą sztuki tańca, poznałem jednak oba style hula w ich ojczyźnie. Wolę wersję hawajską, którą ujrzałem, gdy „Graf von Zeppelin” zatrzymał się w Hilo na jeden dzień po drodze do Papeete. Tahitańskie hula przypomina mi raczej pokaz akrobatyczny niż formę sztuki. Jednakże jego prędkość i żywiołowość sprawiły, że stroje tubylek (czy raczej ich brak) wywarły na mnie piorunujące wrażenie. To jeszcze nie był koniec. Po długim pokazie tańców (podczas jednego z nich, który dziewczęta tańczyły parami ze sobą, podobnie jak obaj młodzieńcy, czyniono rzeczy, które wydawałyby się szokujące nawet w wykonaniu drobiu na farmie. Wciąż oczekiwałem, że kapitan Hansen położy temu kres) wystąpił mistrz ceremonii.

- Panie i panowie - oznajmił - oraz wy, nietrzeźwe osoby nieprawego pochodzenia (jestem zmuszony ocenzurować jego słownictwo). Większość zebranych, a nawet kilku rozebranych,

wykorzystała cztery dni, które ci tancerze spędzili z nami, aby włączyć tahitańskie hula do swego repertuaru. Wkrótce będziecie mieli okazję pokazać, czego się nauczyliście. Otrzymacie dyplomy, autentyczne jak papaje z Papeete. Nie wiecie jednak, że na naszym starym dzielnym „Knucie” również uknuto spisek w celu nauki hula. Maestro - tusz!

Na scenę wybiegło dwanaście nowych tancerek. Tylko że nie były to Polinezyjki. Te dziewczyny były białe, ale nosiły autentyczne stroje polinezyjskie: spódniczka z trawy, naszyjnik, kwiat we włosach i na tym koniec. Skóra dziewcząt nie była jednak ciemnobrązowa, lecz biała. Większość z nich miała włosy blond, a dwie nawet rude.

To różnica. Byłem już gotów przyznać, że polinezyjskie dziewczęta w swych ludowych strojach były odpowiednio, a nawet skromnie ubrane - co kraj to obyczaj. Czyż pramatka Ewa nie była skromna w swej prostocie w czasach przed upadkiem?

Białe kobiety w strojach z mórz południowych wydają się wszakże bardzo nie na miejscu.

Nie przeszkodziło mi to jednak przyjrzeć się im uważnie. Zdumiało mnie, że tańczą one ten szybki i skomplikowany taniec równie dobrze (oceniając moim niewprawnym okiem) jak tubylki. Zapytałem kapitana:

- Czy nauczyły się tak tańczyć w przeciągu czterech dni?

Parsknął na to śmiechem.

- Ćwiczą na każdym rejsie, przynajmniej te, które pływały już z nami przedtem. Każda ćwiczyła przynajmniej od San Diego.

W tym momencie rozpoznałem jedną z tancerek - Astrid - młodą, miłą dziewczynę, która wpuściła mnie do „mojej” kajuty. Zrozumiałem, dlaczego miały czas i ochotę ćwiczyć razem. Należały do załogi statku. Spoglądałem na nią - czy raczej gapiłem się - z dużym zainteresowaniem. Zauważyła to i uśmiechnęła się do mnie. Zachowałem się jak ostatni kolek. Zamiast odwzajemnić uśmiech, odwróciłem wzrok i zaczerwieniłem się. Usiłując pokryć zmieszanie, pociągnąłem duży łyk ze szklanki, którą, jak stwierdziłem, trzymałem w ręku.

Jeden z tubylców podbiegł do białych dziewcząt i poprosił jedną z nich to tańca. Niech mnie Bóg chroni! To była Margrethe. Zakrztusiłem się. Nie mogłem zaczerpnąć oddechu. To był najpiękniejszy, najbardziej olśniewający widok, jaki oglądałem w życiu. „O, jak piękna jesteś, przyjaciółko moja, jakże piękna! Oczy twe jak gołębice za zasłoną twą. Włosy twe jak stado kóz falujące na górach Gileadu. Łono twe, czaszka okrągła, niechaj nie zbraknie w niej wina korzennego! Brzuch twój jak stos pszenicznego ziarna, okolony wiankiem lilii. Piersi twe jak dwoje koźląt, bliźnięt gazeli.

Cała piękna jesteś, przyjaciółko moja i nie ma na tobie skazy”.

IV

*Wszak boleść z roli nie wyszła,
ni z ziemi cierpienie wyrosło.
To człowiek się rodzi by jęczeć,
a iskra by wznosić się w górę.*

Księga Hioba 5, 6 - 7

Powoli odzyskałem świadomość i natychmiast tego pożałowałem. Ścigał mnie najstraszliwszy z koszmarów. Zacisnąłem oczy przed światłem i spróbowałem zasnąć ponownie.

Bębny tubylców dudniły mi w głowie. Usiłowałem je uciszyć, zatykając uszy.

Stały się jeszcze głośniejsze.

Zrezygnowałem. Otworzyłem oczy i uniosłem głowę... błąd - żołądek podszedł mi do gardła, a w uszach zadudniło. Nie mogłem skupić wzroku. Wydawało się, że te piekielne bębny rozwalą mi czaszkę na kawałki.

W końcu udało mi się odzyskać wzrok, choć nadal widziałem mętnie. Rozejrzałem się i stwierdziłem, że znajduję się w nieznanym pokoju, leżąc na wpół ubrany na łóżku.

Pamięć wracała powoli. Bankiet na statku. Alkohol. Mnóstwo alkoholu. Hałas. Nagość. Kapitan w spódniczce z trawy, tańczący w zapamiętaniu. Orkiestra płasająca wokół kapitana. Niektóre z pasażerek ubrane w spódniczki z trawy, a inne prawie całkiem nagie. Grzechot bambusa. Łoskot bębnów.

Bębny...

To nie były bębny. To był najgorszy ból głowy w moim życiu. Dlaczego u diaska pozwoliłem im...

Mniejsza o „nich”. Zrobiłeś to sam, koleś.

- Tak, ale...

„Tak, ale”. Wieczne „tak, ale”. Przez całe życie powtarzałeś tylko: „tak, ale”. Kiedy wreszcie weźmiesz się w garść i przejmiesz pełną odpowiedzialność za swoje życie i wszystko, co się z tobą dzieje?

Tak, ale to nie moja wina. Nie jestem A. L. Grahamem. To nie moje nazwisko i nie mój statek.

Czyżby?

Oczywiście, że nie...

Usiadłem, aby otrząsnąć się z tego koszmaru. To był kolejny błąd. Głowa mi co prawda nie odpadła, lecz przeszywający ból u podstawy szyi dołączył się do pulsowania wewnątrz czaszki.

Miałem na sobie czarne spodnie od fraka i najwyraźniej nic poza tym. Znajdowałem się w nieznanym pomieszczeniu, które obracało się powoli wokół mnie.

Spodnie Grahama. Jego kabina. To powolne kołysanie... statek nie miał stateczników.

To nie był sen. A jeśli nawet, nie zdołałem się z niego otrząsnąć. Odczuwałem świad zębów. Stopy były jak nie moje. Ciało miałem pokryte suchym potem, a zarazem lepiłem się, szczególnie pod pachami, no i...

Suszyło mnie straszliwie!

Przypomniałem sobie wszystko. Albo prawie wszystko. Dół pełen ognia. Tubylcy. Kury czmychające nam z drogi. Statek, który nie był mój... i był mój. Margrethe...

Margrethe!

„Piersi twoje jak para kozłat, bliźniat gazeli. Cała piękna jesteś, przyjaciółko moja!”

Margrethe pomiędzy tancerkami, jej piersi równie nagie jak stopy. Margrethe tańczyła z tym

niegodziwym kanakiem, potrząsająca swoimi...

Nic dziwnego, że się upiłem.

Nie chrzań, koleś. Byłeś już wtedy pijany! Jedyne, co masz do zarzucenia temu młodzieńcowi, to fakt, że sam nie znalazłeś się na jego miejscu. Też chciałeś z nią zatańczyć. Tylko że ty nie umiesz tańczyć!

Taniec to wymysł szatana.

Nie mów, że nie żałujesz, że nie umiesz.

...jak dwoje koźląt..." Pewnie, że żałuję!

Usłyszałem ciche pukanie do drzwi, a potem brzęk kluczy. Margrethe wsadziła głowę do środka.

- Obudzony? To dobrze.

Weszła do środka, niosąc ze sobą tacę. Zamknęła za sobą drzwi i podeszła do mnie.

- Proszę to wypić.

- Co to jest?

- Głównie sok pomidorowy. Niech się pan ze mną nie sprzecza, tylko wypije!

- Chyba nie mogę.

- Może pan. Musi. Proszę to zrobić!

Powąchałem płyn i pociągnąłem łyczek. Ku swemu zdumieniu nie poczułem mdłości. Wypiłem więcej. Po pierwszym lekkim wstrząsie przeszło gładko i pozostało w żołądku na dobre. Margrethe podała mi dwie tabletki.

- Proszę zażyć i popić odrobiną soku.

- Nigdy nie biorę lekarstw.

Westchnęła i powiedziała coś, czego nie rozumiałem. Nie po angielsku. Nie całkowicie.

- Co powiedziałaś?

- Coś, co zwykła mówić moja babcia, gdy dziadek się jej sprzeciwiał. Panie Graham, proszę połknąć te pigułki. To tylko aspiryna. Pomoże panu. Jeśli będzie pan niegrzeczny, przestanę panu pomagać. Ja... odstąpię pana Astrid. Daję słowo!

- Nie rób tego!

- Zrobię, jeśli nie przestaniesz mi się pan sprzeciwiać. Wiem, że Astrid chętnie się zamieni. Podoba się jej pan. Mówiła, że nie odrywał pan od niej oczu, jak tańczyła.

Połknąłem pastylki i popiłem resztą soku. Był lodowaty i przyniósł mi wielką ulgę.

- Tak, ale zanim ciebie ujrzałem. Potem patrzyłem już tylko na ciebie.

Uśmiechnęła się po raz pierwszy.

- Tak? I jak się panu podobało?

- Byłaś cudowna. (A twój taniec był obsceniczny. Twój nieprzyzwoity strój i zachowanie wstrząsnęły mną do głębi. Chciałbym to zobaczyć po raz drugi, choćby w tej chwili!) Masz bardzo dużo wdzięku.

Uśmiechnęła się ponownie, a na jej policzkach pojawiły się śliczne dołeczki.

- Miałam nadzieję, że się panu spodoba, panie Graham.

- Bardzo mi się spodobało, tylko przestań straszyć mnie Astrid!

- Przestanę, jeśli będzie pan grzeczny. Teraz proszę wstać i jazda pod prysznic! Najpierw bardzo gorący, potem lodowaty. Jak w saunie - przerwała. - Nie wyjdę stąd, póki nie zacnie buchać para spod prysznic.

- Wezmę prysznic, kiedy wyjedziesz.

- Oczywiście, letni. Znam pana dobrze. Proszę wstać, ściągnąć portki i wleźć pod prysznic! Zanim pan skończy, przyniosę śniadanie. Nie mamy czasu. Niedługo zamykają kuchnię przed obiadem...

więc niech się pan pośpieszy. Proszę!

- Ojej! Nie zjem śniadania! Nie dzisiaj. Na pewno nie.

Jedzenie! Sama myśl napełniała mnie wstrętem.

- Musi pan zjeść śniadanie. Wypił pan wczoraj za dużo. Wie pan, że to prawda. W przeciwnym razie będzie się pan źle czuł przez cały dzień. Oporządziłam już wszystkich pozostałych gości, jestem więc wolna. Jak już przyniosę śniadanie, osobiście przypilnuję, żeby pan je zjadł. - Spojrzała na mnie. - Powinnam była ściągnąć z pana spodnie, kiedy kładłam pana do łóżka, ale był pan zbyt ciężki.

- To ty mnie położyłaś do łóżka?

- Ori mi pomógł. Ten chłopak, z którym tańczyłam.

Twarz musiała mnie zdradzić, bowiem dziewczyna pośpiesznie dodała:

- Nie pozwoliłam mu oczywiście wejść do pańskiego pokoju. Rozebrałam pana sama. Potrzebna mi jednak była pomoc, aby wprowadzić pana na schody.

- Nie zamierzałem cię krytykować. (Czy wróciłaś potem na przyjęcie? Tańczyłaś z nim ponownie?... „Zazdrość jest nieprzejednana jak Szeol, żar jej to żar ognia, płomień Jahwe...”. Nie mam do tego żadnego prawa.) Dziękuję wam obojgu. Zachowałem się jak zwyczajne bydlę.

- No cóż... odważni mężczyźni często się upijają, gdy niebezpieczeństwo już minie. To jednak szkodzi pańskiemu zdrowiu.

- Faktycznie, szkodzi.

Wstałem z łóżka i powlokłem się w stronę łazienki, oznajmiając:

- Wezmę gorący prysznic. Daję słowo!

Zamknąłem drzwi na zasuwkę i skończyłem się rozbierać. (A więc schlałem się jak świnia, do tego stopnia, że tubylczy chłopak musiał mnie odprowadzić do łóżka. Alec, jesteś zwyczajne bydlę! Ponadto nie masz żadnego prawa, aby być zazdrosnym o tę miłą dziewczynę. Ona nie jest twoją własnością, zachowuje się zgodnie z normami obowiązującymi w tym miejscu - gdziekolwiek się ono znajduje - a poza tym nie uczyniła nic, jedynie zaopiekowała się tobą).

Wziąłem gorący prysznic, choć to o mało nie zabiło biednego starego Aleca na śmierć. Nie zmniejszyłem jednak temperatury wody, dopóki wrzątek nie znieczulił końcówek nerwów. Potem nagle przełączyłem prysznic na zimną wodę i wrzasnąłem wniebogłosy.

Ponownie puściłem wodę, aż przestałem odczuwać chłód. Następnie zamknąłem kran i otworzyłem drzwiczki, wypuszczając na zewnątrz wilgotne powietrze, co pozwoliło mi szybko wyschnąć. Wróciłem do kabiny... i nagle zdałem sobie sprawę, że czuję się wspaniale. Głowa przestała mnie boleć. Nie miałem już wrażenia, że świat się kończy dziś w południe. Mdłości ustały. Pozostał tylko głód... Alec, nigdy już się nie upijesz... a jeśli nawet tak się zdarzy, zrobisz dokładnie to, co ci każe Margrethe. Z was dwojga ona jedna ma rozum. Doceń to, chłopcze!

Pogwizdując otworzyłem szafę Grahama. Usłyszawszy klucz w drzwiach, pośpiesznie złapałem za jego szlafrok. Ledwie zdążyłem się nim okryć, zanim weszła do kabiny. Zajęło jej to trochę czasu, ponieważ ciężka taca utrudniała jej zadanie. Gdy to zauważyłem, przytrzymałem przed nią drzwi. Odstawiła tacę i rozstawiła śniadanie na stole.

- Miałaś rację co do prysznic w stylu sauny - oświadczyłem. - To właśnie zalecają lekarze, czy raczej pielęgniarki.

- Wiem. Tak postępowała moja babcia, gdy dziadek się upił.

- Mądra kobieta. O kurczę, jaki smakowity zapach! (Jajecznicza na bekonie, duże ilości duńskiego pieczywa, mleko, kawa, oraz dodatkowy talerzyk, na którym leżały rozmaite sery, fladbrod, cienkie plasterki szynki oraz jakiś tropikalny owoc, którego nazwy nie znam).

- A co takiego twoja babcia zwykła mówić, gdy dziadek się jej sprzeciwił?

- Och, czasami bywała popędliwa.

- Tobie to się nie zdarza. Odpowiedz mi!

- No cóż... zwykła mówić, że Bóg stworzył mężczyzn, aby wystawić na próbę dusze kobiet - Może to i racja. Czy się z nią zgadzasz?

Uśmiechnęła się, ukazując prześliczne dołeczki.

- Myślę, że Bóg powziął co do nas nieco szlachetniejsze zamierzenia.

Margrethe sprzątnęła moją kabinę i łazienkę (no, dobrze - kabinę i łazienkę Grahama - zadowolony?) podczas gdy ja jadłem śniadanie. Następnie przygotowała dla mnie spodenki, sportową koszulę z mapą wysp oraz sandały, potem zabrała tacę i talerze, pozostawiając kawę oraz niedojedzony owoc. Podziękowałem jej, gdy wychodziła, zastanawiając się, czy powinienem zaproponować jej „zapłatę” oraz czy świadczy podobne usługi również innym pasażerom. To nie wydawało się prawdopodobne. Stwierdziłem jednak, że nie mam odwagi jej o to zapytać.

Zamknąłem za nią drzwi i zacząłem przeszukiwać kabinę Grahama. Nosiłem jego ubranie, spałem w jego łóżku, odpowiadałem, gdy zwracano się do mnie jego nazwiskiem. Musiałem zdecydować, czy pójdę na całego i po prostu stanę się „A. L. Grahamem”...a może powinienem zwrócić się do odpowiednich władz (amerykańskiego konsula? A jeśli nie, to do kogo?), wyznać całą prawdę i poprosić o pomoc? Wypadki pędziły coraz szybciej. Dzisiejszy „Królewski Skald” podawał, że SS „Konge Knut” ma zawinąć o godzinie piętnastej do Papeete, a o osiemnastej ponownie wypłynąć do Mazatlanu. Płatnik zawiadamiał wszystkich pasażerów pragnących wymienić franki na dolary, że przedstawiciel banku z Papeete będzie urzędował naprzeciw jego biura od chwili przybicia do portu, aż do momentu, gdy do odpłynięcia statku pozostanie kwadrans. Ponadto przypominał pasażerom, że długi pokładowe zaciągnięte w barze lub w sklepach można spłacać wyłącznie w dolarach, duńskich koronach lub potwierdzonymi kartami kredytowymi.

Brzmiało to rozsądnie, lecz zwiastowało kłopoty. Miałem nadzieję, że statek zatrzyma się w Papeete przynajmniej na dwadzieścia cztery godziny. Ledwie trzygodzinny pobyt statku w porcie wydawał się bez sensu. Ledwie zdążą zacumować, a będą już musieli zacząć odwiązywać cumy! Czyżby nie musieli wnieść opłaty za dwadzieścia cztery godziny z chwilą zawinięcia do portu?

Przypomniałem sobie jednak, że dowodzenie statkiem nie należy do moich obowiązków. Być może kapitan korzystał z krótkiej przerwy pomiędzy odpłynięciem jednego statku a zawinięciem do portu następnego. Mogło zresztą istnieć jeszcze sześć innych powodów. Jedyna rzecz, która powinna mnie obchodzić, to to, co mogę zrobić między trzecią a szóstą i co muszę wykonać między chwilą obecną a godziną trzecią.

Po czterdziestu minutach intensywnych poszukiwań odnalazłem następujące rzeczy: stos przeróżnych ubrań, których wielkość nie nastroczała problemów (no, może pięć funtów nadwagi sprawiło, że spodnie były troszeczkę obcisłe, a marynarki mogły lekko pić pod pachami); pieniądze - franki w jego portfelu (muszę je wymienić) oraz osiemdziesiąt pięć dolarów tamże; trzy tysiące dolarów luzem w szufladzie, w której poza tym znajdowała się niewielka saszetka, gdzie Graham trzymał zegarek, obrączkę, spinki i tak dalej. Ponieważ Margrethe położyła je na miejsce, założyłem, że to ona zachowała dla mnie zyski z mojego (lub Grahama) wygranego zakładu z Forsythem, Heevesem i Henshawem. Mówią, że Pan Bóg czuwa nad głupcami i pijakami. Jeśli tak jest, w moim przypadku jego narzędziem była Margrethe.

Znalazłem też różne drobiazgi, które nie miały w tej chwili znaczenia - książki, upominki, pastę do zębów i tak dalej.

Nigdzie nie było paszportu.

Gdy za pierwszym razem nie udało mi się znaleźć paszportu Grahama, powtórzyłem poszukiwania.

Tym razem zajrzałem do kieszeni wszystkich marynarek wiszących w szafie, jak również sprawdziłem ponownie z niezwykłą starannością wszystkie zwykłe (i część niezwykłych także!) miejsca, w których mogła się zmieścić książeczka tych rozmiarów. Nadal nie mogłem go odszukać.

Niektórzy turyści zawsze dbają o to, żeby mieć paszport przy sobie zawsze, gdy schodzą ze statku. Osobiście wolę go ze sobą nie nosić, jeśli mogę tego uniknąć, ponieważ utrata paszportu może władować człowieka w niezłe bagno. Wczoraj nie miałem go ze sobą... tak więc mój paszport popłynął w siną dal. Znajdował się teraz za siedmioma górami, wraz z MV „Konge Knut”. To znaczy... właściwie gdzie? Nie zastanawiałem się nad tym do tej pory. Nowy nieznaną świat dostarczał mi zbyt wielu wrażeń.

Jeśli Graham wziął swój paszport ze sobą, w takim razie on również znajdował się za siedmioma górami, przedostawszy się tam przez otwór w czwartym wymiarze, a tak zapewne było.

Gdy pogrążałem się w gniewnych dociekaniach, ktoś wsunął kopertę przez szparę pod drzwiami.

Podniosłem ją z podłogi i otworzyłem. W środku był „mój” (Grahama) rachunek do zapłacenia. Czyżby Graham kończył swą podróż w Papeete?

O, nie! W takim przypadku mógłbym zostać zmuszony do pozostania na wyspach na zawsze.

Chyba jednak nie. To wyglądało na regularny, comiesięczny rachunek.

Suma, którą Graham wydał w barze, przyprawiła mnie o szok... dopóki nie zwróciłem uwagi na poszczególne pozycje. Wtedy szok stał się jeszcze głębszy, choć z innego powodu. Kiedy „coca-cola” kosztuje dwa dolary, to nie oznacza, że butelka jest większa. To oznacza, że dolar jest mniej wart.

Zrozumiałem teraz, dlaczego zakład o trzysta dolarów po... hmm, tamtej stronie, przekształcił się w zakład o trzy tysiące po tej. Jeśli miałem żyć w tym świecie, musiałem przestawić swe wyobrażenie o cenach. Traktować dolary jak zagraniczną walutę i przeliczać w myśli wszystkie ceny, zanim się do nich przyzwyczaję. Na przykład, jeśli ceny ze statku są miarodajne, dobry obiad - stek albo żeberka - w restauracji pierwszej klasy, na przykład w takich hotelach jak „Brown Palace” czy „Mark Hopkins”, mógł kosztować nawet i dziesięć dolarów. O, kurczę!

Doliczając coctail przed obiadem i wino, rachunek mógł osiągnąć nawet piętnaście. Tygodniowa pensja. Dzięki Bogu, że nie piję! Przepraszam, czego nie robisz?

Posłuchaj, wczorajszy wieczór to był szczególny wypadek. Pewnie, że tak. Cnotę można stracić tylko jeden raz. Nie da się jej potem odzyskać. Jak się nazywało to, co piłeś, zanim film ci się urwał? Duński zombi? Nie miałbyś teraz ochoty na coś takiego? Tylko po to, żeby odzyskać równowagę?

Nigdy już nie wezmę czegoś takiego do ust!

Jeszcze zobaczymy, koleś.

Została jeszcze jedna szansa. Miałem nadzieję, że mnie nie zawiedzie. W szufladzie, w której Graham trzymał cenne drobiazgi, znajdował się klucz. Nie wyróżniał się on niczym, poza tym, że na jego piórku widniał numer osiemdziesiąt dwa. Jeśli los się do mnie uśmiechnął, był to klucz do skrytki w biurze płatnika. (A jeśli los złośliwie szczyrzył zęby, był to klucz do skrytki w banku w którymś z czterdziestu sześciu stanów banku, którego nigdy nie ujrzę na oczy. Lepiej nie szukać kłopotów. Mam ich wystarczająco wiele.)

Zszedłem na niższy pokład i skierowałem się w stronę rufy.

- Dzień dobry panu - powiedziałem do płatnika.

- O, pan Graham! Bankiet był niezły, co?

- Niewątpliwie. Jeszcze jeden taki i pójdę do ziemi.

- No, wie pan. W ustach człowieka, który przeszedł przez ogień. Miałem wrażenie, że bawił się pan dobrze. Ja z pewnością tak. W czym mogę panu pomóc?

Wyjąłem tajemniczy klucz.

- Czy to wasz klucz, czy też z mojego banku? Zawsze mi się myli.

Obejrzał go.

- To nasz. Poul! Przynieś skrzynkę pana Grahama! Proszę bardzo, panie Graham, niech pan spocznie przy stole.

- Dziękuję. Czy ma pan może jakiś worek albo coś w tym rodzaju, w co mógłbym załadować zawartość tak dużej skrzynki? Chciałbym to przejrzeć w kabinie.

- Worek... hmm... Mógłbym przynieść coś ze sklepu z upominkami... Chwileczkę. Ile czasu to panu zajmie? Czy zdąży pan do południa?

- Z pewnością.

- Niech więc pan zabierze skrzynkę ze sobą. Co prawda to wbrew przepisom, ale to ja ustaliłem te przepisy, możemy więc zaryzykować ich złamanie. Niech się pan jednak postara przynieść ją do południa. Między dwunastą a trzynastą mamy zamknięte - przerwa obiadowa. Jeżeli będę zmuszony siedzieć tu sam, podczas gdy moi pracownicy pójdą na obiad, będzie mi pan musiał postawić drinka!

- I tak to zrobię.

- Zagramy w kości o ten przywilej. Oto i ona. Proszę ją trzymać z dala od ognia.

Paszport Grahama leżał na samym wierzchu. Ciężar leżący mi na piersi zelżał. Nikt nie może się czuć bardziej zagubiony niż człowiek, który znalazł się poza granicami. Unii bez paszportu... nawet jeśli nie jest to naprawdę Unia. Otworzyłem paszport i spojrzałem na uwiecznioną tam podobiznę. Czy rzeczywiście tak wyglądam? Udałem się do łazienki, aby porównać twarz w lustrze z twarzą w paszporcie.

Chyba w miarę podobna. Nie można za wiele wymagać od zdjęcia w paszporcie. Uniosłem fotografię do lustra. Nagle podobieństwo stało się znaczne. Masz krzywą gębę, koleś! I pan też, panie Graham. Bracie, jeśli mam na stałe przyjąć twoją tożsamość, a zanosi się na to, że nie mam wyboru, to dobrze przynajmniej wiedzieć, że jesteśmy do siebie tak podobni. Odciski palców? Będziemy się o to martwić, gdy zaistnieje taka potrzeba. Wygląda na to, że w paszportach Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej nie zamieszcza się ich. To dobrze. Zawód: kierownik. Kierownik czego? Zakładu pogrzebowego? Czy łańcucha hoteli o ogólnoświatowym zasięgu? Może to wcale nie będzie trudne, lecz po prostu niemożliwe. Pocztę kierować na adres: Kancelaria adwokacka O'Hara, Rigsbee, Crumpacker Rigsbee Apartament 7000, Budynek Smitha, Dallas.

O, kurczę! Tylko skrytka pocztowa! Nie ma adresu domowego, adresu miejsca pracy ani samego miejsca pracy. Ty oszuście! Chętnie dałbym ci w trąbę!

(Nie może być nazbyt odrażający. Margrethe jest o nim dobrego zdania. Tak, ale powinien trzymać łapy z dala od niej. Wykorzystuje ją. To nieuczciwe. Kto ją wykorzystuje? Uważaj, chłopcze, to grozi rozdzieleniem jaźni).

W kopercie pod paszportem znajdował się odcinek biletu. Faktycznie była to pełna trasa - z Portland do Portland. No, bliźniaku, jeśli się nie pokażesz przed szóstą, powrót do domu mam zapewniany. Może przyda ci się mój bilet na „Admirała Moffetta”. Życzę ci szczęścia.

Było tam jeszcze kilka drobiazgów, lecz większą część wnętrza metalowej skrzynki zajmowało dziesięć grubych zamkniętych kopert dużego formatu. Otworzyłem jedną z nich.

W środku były banknoty tysiąc dolarowe. Sto sztuk. Sprawdziłem pośpiesznie pozostałych dziewięć. Wszędzie to samo. Milion dolarów gotówką.

*Ucieka występny, choć go nikt nie goni,
lecz prawy jest pewny jak lwiątko.*

Księga Przysłów 28, 1

Zabrakło mi tchu w piersiach. Zakleiliśmy koperty za pomocą taśmy klejącej znalezionej w biurku Grahama. Włożyłem wszystko z powrotem do skrzyni, oprócz paszportu. Schowałem go wraz z trzema tysiącami, które uważałem za „swoje”, w małej szufladzie biurka. Następnie zianiosłem z dużą ostrożnością skrzynkę z powrotem do biura płatnika.

Za ladą stał ktoś inny, lecz sam płatnik był w środku. Zauważył mnie natychmiast.

- Cześć! - zawołał. - Tak szybko!?

Wyszedł z pomieszczenia.

- Tak. Tym razem, o dziwo, wszystko się zgadzało - powiedziałem wręczając mu skrzynkę.

- Szkoda, że nie mogę pana zatrudnić w tym biurze. Tu nic się nigdy nie zgadza. Przynajmniej nie przed północą. Chodźmy na tego drinka. Czuję, że go potrzebuję.

- Ja też. Chodźmy.

Oficer poprowadził mnie w stronę rufy, do znajdującego się na wolnym powietrzu baru, którego nie zauważyłem na planie statku.

Pokład nad nami kończył się, a nasz - pokład D - ciągnął się dalej jako deptak spacerowy. Pokryty był jasnymi tekowymi deskami, po których przyjemnie się stąpało. Końcówka pokładu C tworzyła nawis, z którego rozpostarto płótno. Pod nim właśnie znajdował się bar. Naprzeciwko ustawiono bufety, przy których ustawiła się kolejka pasażerów. A nieco dalej znajdował się basen.

Słychać było plusk wody, piski i okrzyki.

Płatnik podprowadził mnie do stolika, przy którym siedziało dwóch młodszych oficerów.

- Wy dwaj, jazda za burtę! - oświadczył.

- Tak jest, panie Henderson!

Wstali, zabrali szklanki z piwem i przenieśli się dalej w stronę rufy. Jeden z nich uśmiechnął się do mnie, jakbyśmy się znali, odwzajemniłem więc ten gest i powiedziałem: „Cześć!” Stolik ocieniał częściowo płócienny daszek. Płatnik spytał:

- Czy woli pan usiąść w słońcu i popatrzeć na panienki, czy posiedzieć w cieniu i odpocząć?

- Wszystko mi jedno. Niech pan siada gdzie chce, ja wezmę drugie krzesło.

- Hmm. Przesuńmy więc trochę ten stół, tak, żebyśmy mogli obaj usiąść w cieniu. O, tak wystarczy.

Usiadł z twarzą skierowaną w stronę dziobu. Siłą rzeczy musiałem więc zająć krzesło zwrócone w stronę basenu, co pozwoliło mi potwierdzić coś, co - jak mi się zdawało - dostrzegłem na pierwszy rzut oka. W tym basenie nie wymagano takich zbytecznych drobiazgów jak kostiumy kąpielowe.

Powinienem być to przewidzieć, gdybym się trochę zastanowił, lecz z jakiegoś powodu tego nie zrobiłem. Ostatni raz widziałem podobną rzecz - pływanie bez kostiumów - gdy miałem dwanaście lat. Był to przywilej zastrzeżony wyłącznie dla chłopców w podobnym wieku i jeszcze młodszych.

- Pytałem, co pan wypije, panie Graham?

- Och, przepraszam. Nie słuchałem pana.

- Wiem. Patrzył pan. Co ma być?

- Hmm... „duński zombi”.

Mrugnął do mnie:

- Nie radzę o tej porze dnia. To prawdziwa siekiera. Halo - skinął w stronę kogoś za moimi

plecami. - Podejdz do nas, maleńka!

Spojrzałem na wezwaną kelnerkę. Potem spojrzałem na nią po raz drugi. Poprzednim razem widziałem ją poprzez alkoholową mgłę wczorajszego wieczoru. Była to jedna z dwóch rudowłosych tancerek hula.

- Powiedz Hansowi, że zamawiam dwa srebrne fizzy. Jak masz na imię, mała?

- Panie Henderson, jeśli nie przestanie pan udawać, że nie wie, jak mam na imię, wyleję panu pańskiego drinka na sam środek łysiny.

- Dobrze, malutka. Teraz się pośpiesz! Majtaj tymi tłustymi girami!

Zachnęła się, kołysząc się z gracją na swych nogach - szczupłych i pełnych wdzięku.

- Miła dziewczyna - powiedział płatnik. - Jej rodzice mieszkali niedaleko ode mnie w Odense. Znam ją od dzieciństwa. I do tego mądra. Bodel studiuje weterynarię. Został jej jeszcze jeden rok.

- Naprawdę? Jak może pogodzić to zajęcie z nauką?

- Większość naszych dziewcząt to studentki. Niektóre biorą urlop, inne wyjeżdżają tylko na czas wakacji. Popływają po morzu, rozerwą się i zarobią pieniądze na kolejny rok nauki. Chętniej przyjmują do pracy dziewczęta pragnące zarobić na studia. Można na nich polegać, a poza tym znają więcej języków. Na przykład pańska stewardesa. Astrid?

- Nie, Margrethe!

- Prawda, pan jest w sto dziewiątce. Astrid ma na tym pokładzie kabiny po lewej stronie w części dziobowej. Po pańskiej stronie dyżuruje Margrethe. Margrethe Svendsatter Gunderson. Jest nauczycielką. Uczy angielskiego i historii. Zna też cztery inne języki, nie licząc skandynawskich. Z dwóch zdała egzamin państwowy. Wzięła roczny urlop ze szkoły imienia H. C. Andersena. Założę się, że już tam nie wróci.

- Hę? A to dlaczego?

- Wyjdzie za mąż za bogatego Amerykanina. Czy pan jest bogaty?

- Ja? Czy wyglądam na bogatego? (Czy to możliwe, żeby wiedział, co jest w tej skrzynce? Mój Boże, co należy zrobić z milionem dolarów, które nie są twoje? Nie mogę po prostu wyrzucić ich za burtę. Dlaczego Graham podróżował z taką ilością gotówki? Przyszło mi do głowy kilka możliwych powodów. Wszystkie wróżyły źle. Każdy z nich mógł mi przysporzyć więcej kłopotów, niż miałem przez całe życie.)

- Bogaci Amerykanie nigdy nie wyglądają na bogaczy. Specjalnie ćwiczą, by wyglądać na biedaków. Mam na myśli Północnych Amerykanów. Południowi Amerykanie to całkiem inna para kaloszy. Dziękuję ci, Gertrude, dobra z ciebie dziewczyna.

- Czy chce pan mieć tego drinka na łysinie?

- A czy ty chcesz, żebym cię wrzucił do basenu w ubraniu? Bądź grzeczna, malutka, albo powiem wszystko twojej mamie. Postaw kielonki i daj mi rachunek.

- Nie ma rachunku. Hans chciał postawić drinka panu Grahamowi. Postanowił, że tym razem uwzględni też pana.

- Powiedz mu, że w ten sposób bar traci pieniądze. Potrączę mu to z pensji.

W ten sposób doszło do tego, że wypilem dwa srebrne fizzy zamiast jednego... i znalazłem się na drodze wiodącej prosto ku katastrofie przypominającej wczorajszą, gdy pan Henderson uznał, że powinniśmy coś zjeść. Miałem ochotę na trzeci fizzy. Po pierwszych dwóch przestałem się przejmować tą wariacką skrzynką pełną pieniędzy, a równocześnie zacząłem doceniać to, co widziałem w basenie. Odkryłem, że mogę w dwadzieścia cztery godziny wyrzucić z siebie wszystko, czego nauczono mnie w ciągu całego życia. Nie było nic grzesznego w spoglądaniu na nieprzyozdobione kobiece piękno. Było to tak samo pełne słodkiej niewinności jak patrzenie na

kwiaty czy młode kotki, za to znacznie bardziej zajmujące.

Nadal jednak miałem ochotę na następnego drinka.

Pan Henderson, sprzeciwił się temu. Zawołał Bodel i powiedział coś do niej szybko po duńsku. Wyszła i po kilku minutach wróciła, niosąc pełną tacę - zakąski, gorące klopsy, miseczki z ciasta napełnione lodami i mocną kawę - wszystkiego w bród.

Po dwudziestu pięciu minutach nadal podziwiałem nastolatki w basenie, lecz nie zmierzałem już ku następnej alkoholowej katastrofie. Wytrzeźwiałem na tyle, że nie tylko zdałem sobie sprawę, iż nie rozwiążę swych problemów za pomocą pijaństwa, lecz również, ponieważ nie potrafię pić mocnych trunków, muszę unikać alkoholu, zanim nie rozwiążę swoich nowych problemów. Wujek Ed miał rację. Występek wymagał treningu i długiej praktyki. W przeciwnym razie lepiej - z powodów praktycznych - pozostać na ścieżce cnoty, nawet gdy nakazy moralne przestały już obowiązywać. Z pewnością już mnie nie obowiązywały. W przeciwnym razie nie siedziałbym tutaj ze szklanką diabelskiego trunku w rękę, patrząc na nagie ciała kobiece.

Stwierdziłem, że nie mam nawet krzty wyrzutów sumienia z jakiegokolwiek powodu. Żalem napełniała mnie jedynie smutna pewność, że nie jestem zdolny wypić tyle alkoholu, na ile miałbym ochotę. „Łatwo jest zstąpić do piekieł”.

Pan Henderson wstał z krzesła.

- Za niecałe dwie godziny cumujemy. Muszę jeszcze policzyć parę drobiazgów, zanim agent przybędzie na pokład. Dziękuję za miłe towarzystwo.

- To ja dziękuję! Tusind, tak! Czy tak się to mówi?

Uśmiechnął się i odszedł. Siedziałem tam jeszcze przez chwilę pogrążony w myślach. Dwie godziny do przycumowania, potem trzy w porcie. Jak mam wykorzystać tę sposobność? Pójść do amerykańskiego konsula? I co mu powiedzieć? Drogi panie konsulu, nie jestem tym, za kogo mnie uważają. Właśnie przypadkowo znalazłem ten milion dolarów i...

To śmieszne!

Nie wyjawić nic nikomu, przywłaszczyć sobie ten milion i z forszą pod pachą zejść ze statku i odlecieć najbliższym sterowcem do Patagonii?

To niemożliwe. Moje zasady mnie opuściły (widać nigdy nie miałem zbyt silnych), nadal jednak mierziło mnie pospolite złodziejstwo. Jest to czyn nie tylko zły, lecz również odzierający człowieka z godności. Szkoda tylko, że noszę ubrania Grahama.

Zabierz te trzy tysiące, które ci się „należą”, zejdź na ląd, zaczekaj, aż statek odpłynie, a potem wracaj do Ameryki tak, jak zdołasz! Głupi pomysł! Wylądujesz w tropikalnym mamrze, a twój kretyński gest w niczym nie pomoże Grahamowi. Nie masz wyboru, ty tępaku. Musisz zostać na pokładzie i czekać tu na Grahama, który się nie zjawi. Być może jednak nadejdzie jakaś wiadomość przez telegraf bez drutu, lub coś w tym stylu. Czekaj, kretynie, aż statek odpłynie. Kiedy to się stanie, podziękuj Bogu za to, że możesz wrócić do Jego kraju, podczas gdy Graham podziękuje Mu za swój bilet na „Admirała Moffetta”. Ciekawe, jak mu się podoba nazwisko „Hergensheimer”. Założę się, że bardziej niż mnie „Graham”. Hergensheimer to brzmi dumnie.

Podniosłem się i poczłapałem na drugi koniec pokładu. Następnie wszedłem dwa piętra w górę, do biblioteki. Nie było w niej nikogo, oprócz kobiety rozwiązującej krzyżówkę. Oboje nie chcieliśmy, żeby ktoś nam przeszkadzał, było nam więc dobrze razem.

Większość szafek była zamknięta, a bibliotekarz nieobecny. Dostrzegłem jednak podniszczoną encyklopedię. To lektura w sam raz na początek.

Po dwóch godzinach przerwał mi ryk syreny alarmujący, że za chwilę przybijamy do brzegu. Mój umysł był pełen zdumiewających konceptów i jeszcze bardziej zdumiewających faktów. Nie

zdążyłem jeszcze przetrwać tego w sobie. Po pierwsze, w tym świecie William Jennings Bryan nigdy nie został prezydentem. W roku 1896 wybrano zamiast niego McKonleya, który pełnił funkcję przez dwie kadencje, po czym został zastąpiony przez jakiegoś faceta o nazwisku Roosevelt.

Zaden z dwudziestowiecznych prezydentów nie był mi znany. Ponadto zamiast trwającego ponad sto lat pokoju, który zawdzięczaliśmy naszej tradycyjnej neutralności, Stany Zjednoczone wielokrotnie brały udział w wojnie poza swoimi granicami: w 1899, 1912 - 1917, 1932 (z Japonią), 1950 - 1952, 1980 - 1984 i tak dalej. Aż do bieżącego roku, czy raczej tego, w którym opublikowano encyklopedię - „Królewski Skald” nie podawał, by aktualnie toczyła się jakaś wojna.

Za szybą na jednej z zamkniętych półek dostrzegłem trochę książek historycznych. Jeżeli za trzy godziny nadal będę na pokładzie, to podczas długiej podróży do Ameryki będę mógł przeczytać wszystkie pozycje na ten temat, które znajdę w bibliotece.

Znajomość nazwisk prezydentów oraz daty wojen nie stanowiły jednak najpilniejszej sprawy. O takich rzeczach nie rozmawia się na co dzień. Przede wszystkim musiałem dowiedzieć się, jak w tym świecie ludzie żyją, rozmawiają, zachowują się, jedzą, piją, bawią się, modlą i kochają, i jakie różnice zachodzą pomiędzy tym a moim światem. W przeciwnym razie moja ignorancja może wywołać niepożądane skutki - od niepotrzebnego zakłopotania, aż do katastrofy. Zanim się tego wszystkiego nauczę, muszę się pilnować, aby mówić jak najmniej, a słuchać jak najwięcej.

Miałem kiedyś sąsiada, którego cała znajomość historii ograniczała się do dwóch dat: 1492 i 1776, a nawet co do nich nie był pewien, jaka z nich oznacza jakie wydarzenie. Jego ignorancja w innych dziedzinach była równie głęboka, niemniej zarabiał znakomicie jako przedsiębiorca drogowy. Aby funkcjonować jako istota społeczna i ekonomiczna nie potrzeba szerokiej wiedzy... tak długo, dopóki wie się, przy jakich okazjach należy wysmarować sobie pępek niebieskim błotem. Jednakże nieznanostwo lokalnych zwyczajów może się skończyć linczem.

Zastanowiłem się, jak sobie radzi Graham? Przyszło mi do głowy, że jego sytuacja jest o wiele groźniejsza od mojej... jeśli założyć (co chyba należało uczynić), że po prostu zamieniliśmy się miejscami. Ja ze swoim wychowaniem mogłem tu zapewne uchodzić za ekscentryka - lecz sposób, w jaki on został wychowany, może Grahamowi przysporzyć poważnych kłopotów w moim świecie. Wystarczy uwaga rzucona mimochodem lub niewinny gest, aby wylądował w dybach. Albo jeszcze gorzej.

Najgroźniejsza jednak dla niego może się okazać próba podjęcia mojej roli we wszystkich aspektach - o ile się na to zdecyduje. Powiem to tak: po roku małżeństwa podarowałem Abigail na urodziny eleganckie wydanie „Poskromienia złośnicy”. Nawet nie podejrzewała, iż miała to być aluzja. Była tak przekonana o własnej doskonałości, że nie przyszło jej do głowy, iż w głębi swego serca zrównałem ją z Kasią. Jeśli Graham zajmie moje miejsce jako jej mąż, ich stosunki z pewnością staną się interesujące dla obu stron.

Nie skazałbym nikogo świadomie na związek z Abigail, ponieważ jednak nie pytano mnie o zdanie, nie zamierzałem wylewać krokodylich łez. (Jak to jest być w łóżku z kobietą, która używa na określenie tego wyłącznie słów: „obowiązek małżeński”?)

Miałem przed sobą dwudziestotomową encyklopedię - miliony słów, zawierających wszystkie ważniejsze dane o tym świecie, z którymi pilnie musiałem się zapoznać. Jak zrobić to najszybciej? Od czego zacząć? Niepotrzebna mi grecka sztuka, egipska historia czy geologia - co jednak muszę koniecznie znać?

A zatem, co nasamprzód zwróciło moją uwagę w tym świecie? Sam statek. Jego staroświecki wygląd, kontrastujący z gładką linią MV „Konge Knut”, a gdy znalazłeś się na pokładzie, brak telefonu w twojej - Grahama - kabinie. Brak wind dla pasażerów. Liczne drobiazgi przywodzące na

myśl luksusy z czasów twojego dziadka.

Sprawdźmy więc, co piszą pod hasłem „statki” - tom osiemnasty. Tak jest! Trzy strony ilustracji, wszystkie sprawiające wrażenie, jakby pochodziły z końca dziewiętnastego wieku. SS „Britannia” - największy i najszybszy liniowiec na Północnym Atlantyku. Zabiera dwa tysiące pasażerów, a rozwija tylko szesnaście węzłów! Ponadto wygląda staroświecko.

Spróbujmy przeczytać hasło „Transport”... No, no! Nie jesteśmy zbyt zdziwieni, prawda? Ani słowa o sterowcach. Sprawdźmy to w skorowidzu. Sterowiec - nic, statek powietrzny - zero, aeronautyka - patrz „Balony”.

Proszę bardzo, ładny artykuł na temat balonów! Bracia Montgolfier i inni śmiali pionierzy. Jest nawet opowieść o odważnym i tragicznym ataku Salomona Andree na Biegun Północny. Jednakże graf von Zeppelin albo nigdy nie istniał, albo też nigdy nie zajął się aeronautyką.

Być może powrócił do Niemiec po zakończeniu wojny domowej i tam nie odnalazł atmosfery sprzyjającej idei podróży powietrznych, jaka panowała w Ohio w moim świecie. Tak czy inaczej, w tym świecie podróże powietrzne nie istnieją. Ale, jeśli musisz tu pozostać, czy spodobałoby się tobie, gdybyś został „wynalazcą” sterowca? Stałbyś się pionierem i magnatem finansowym. Byłbyś sławny i bogaty.

Skąd ci przyszło do głowy, że potrafiłbyś tego dokonać? No wiesz! Miałem wszystkiego dwanaście lat, gdy po raz pierwszy leciałem sterowcem! Wiem o nich wszystko! Mógłbym narysować plany od ręki...

Czyżby? Narysuj mi plany ultralekkiego silnika Diesla, nie więcej niż jeden funt na konia mechanicznego. Wymień stopy, których należy użyć, podaj sposób ich obróbki, przedstaw schematy dla poszczególnych faz działania, wymień niezbędne rodzaje paliwa i smaru oraz wskaż źródła, z których je uzyskać... Wszystko to jest do zrobienia!

Tak, ale czy ty potrafisz to zrobić? Nawet jeśli wiesz, że to możliwe? Przypominasz sobie, dlaczego zrezygnowałeś ze studiów technicznych i uznałeś, że masz powołanie kapłańskie? Religioznawstwo porównawcze, homiletyka, krytyka tekstu, apologetyka, hebrajski, łacina, greka - to wszystko można wykuć na blaszkę... a do przedmiotów technicznych trzeba mieć łeb.

Czy chcesz powiedzieć, że jestem głupi?

Czy włączyłbyś do tego dołu, gdybyś miał na tyle rozumu, żeby się wymigać?

Dlaczego więc mnie nie powstrzymałeś?

Powstrzymać ciebie? A od kiedy to mnie słuchasz? Przestań się wymigiwać. Jaką ocenę miałeś z termodynamiki?

No, dobrze! Załóżmy, że nie mogę tego dokonać sam...

Brawo!

Odchrzań się, dobrze? Świadomość, że czegoś można dokonać, to dwie trzecie roboty. Mógłbym zostać kierownikiem instytutu badań, stanąć na czele grupy młodych, zdolnych inżynierów. Oni zajmą się szczegółami. Moim wkładem będzie unikalna w tym świecie wiedza o tym, jak sterowiec wygląda i w jaki sposób działa. Pasuje?

To jest właściwy podział pracy. Twój opis sterowca i ich zdolności. To mogłoby się udać, ale nie szybko i nie tanim kosztem. W jaki sposób zamierzasz to sfinansować?

Pamiętasz, jak pewnego lata sprzedawałeś odkurzacze?

No więc... jest jeszcze ten milion dolarów.

No, no, nieładnie!

- Panie Graham?

Wyrwany ze swych ambitnych marzeń spojrzałem w twarz jednej z urzędniczek z biura płatnika.

- Słucham?

Wręczyła mi kopertę.

- Od pana Hendersona. Mówił, że pan powinien wiedzieć, o co chodzi.

- Dziękuję.

Na kartce było napisane: „Drogi panie Graham. Jest tutaj trzech facetów, którzy twierdzą, że są z panem umówieni. Nie podoba mi się ich wygląd ani słownictwo. W tym porcie kręci się masa podejrzanych typów. Jeśli nie umawiał się pan z nimi i nie chce się z nimi spotykać, niech pan powie tej dziewczynie, by oświadczyła, że nie mogła pana odnaleźć. Wtedy powiem im, że zszedł pan na brzeg. A. P. H.”

Przez długą nieprzyjemną chwilę wahałem się pomiędzy ciekawością a ostrożnością. Nie chcieli spotkać się ze mną, tylko z Grahamem. Czegokolwiek mogli od niego chcieć, nie byłem w stanie im tego zapewnić.

Wiesz dobrze, czego chcą!

Tak przypuszczam. Jeśli nawet jednak mają kwit podpisany przez świętego Piotra, nie mogę oddać im - ani nikomu innemu - tego kretyńskiego miliona. Wiesz o tym dobrze.

Jasne, że wiem. Chciałem się upewnić, że ty również o tym wiesz. No dobrze, skoro pod żadnym warunkiem nie możesz oddać trójce nieznajomych zawartości skrzynki Grahama, to po co się z nimi spotykać?

Dlatego, że muszę się dowiedzieć! Teraz się przymknij!

Zwróciłem się do urzędniczki:

- Proszę powiedzieć panu Hendersonowi, że zaraz przyjdę. Dziękuję za fatygę.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Hmm... panie, Graham, widziałam, jak pan przechodził przez ogień. Był pan wspaniały!

- Byłem zwyczajnym kretynem. Mimo to dziękuję pani.

Stanąłem za zakrętem schodów i przyjrzałem się trzem oczekującym na mnie typom. Wyglądali tak, jakby dobrano ich specjalnie, aby sprawiali groźne wrażenie. Jeden - przerośnięty drab o wzroście około sześciu stóp i ośmiu cali. Jego ręce, stopy, szczeka i uszy stanowiły jaskrawy przypadek akromegalii. Drugi - konus - mniej więcej jedna czwarta rozmiarów poprzedniego. Trzeci - niepozorny typ o tępym spojrzeniu.

Jeden od bicia, drugi od myślenia, a trzeci od mokrej roboty. A może mam nadpobudliwą wyobraźnię?

Każdy rozsądny facet wycofałby się po cichu i gdzieś zamelinował. Widać, nie jestem rozsądny!

Jedźmy i pijmy, bo jutro pomrzemy!

Proroctwo Izajasza 22, 13

Zszedłem ze schodów, nie spoglądając na trzech typków i podszedłem prosto do lady. Pan Henderson był na swoim miejscu.

- Tych trzech gości. Zna ich pan? - powiedział cicho, gdy podszedłem do niego.

- Nie, nie znam ich. Zapytam, czego chcą. Niech pan jednak ma nas na oku, dobrze?

- Zgoda!

Odwróciłem się i spróbowałem przejść obok uroczej trójki. Inteligent odezwał się ostro:

- Dokąd idziesz, Graham? Stój!

Nie zatrzymałem się.

- Zamknij się, idioto - warknąłem. - Chcesz wszystko popsuć?

Osilek stanął mi na drodze, wznosząc się nade mną jak wieżowiec.

Odezwałem się kątem ust, naśladowując styl więzienny:

- Przestań urządzać sceny i zabierz stąd tych małpoludów! Musimy ze sobą porozmawiać.

- Jasne, że rozmawiamy. Tu i teraz.

- Ty skończony kretynie - powiedziałem rozglądając się na obie strony. - Nie tutaj. Szpicle.

Pluskwy. Chodź ze mną. Ale Mutt i Jeff muszą tu poczekać.

- Non!

- Boże, zmiłuj się! Słuchaj uważnie - szepnąłem. - Powiedz tym bydlakom, żeby zeszli ze statku i poczekał na ciebie przy wejściu. Następnie my dwaj udamy się na pokład spacerowy, gdzie będziemy mogli porozmawiać bez świadków. W przeciwnym razie nic z tego! Osobiście powtórzę samemu szefowi, że spaprałeś sprawę. Kapujesz? Natychmiast! Albo wracaj i powiedz im, że nic z tego.

Zastanowił się, po czym powiedział szybko po francusku coś, czego nie zrozumiałem, ponieważ moja francuszczyzna ograniczała się do zwrotów w rodzaju „La plume de ma tante”. Goryl zdawał się mieć niejakie wątpliwości, lecz rewolwerowiec wzruszył tylko ramionami i skierował się w stronę trapu. Zwróciłem się do konsula, mówiąc:

- Szybko! Nie ma czasu! Statek zaraz odpływa!

Skierowałem się w stronę rufy nie odwracając się, aby sprawdzić, czy poszedł za mną. Narzuciłem szybkie tempo, musiał więc podążyć za mną, albo stracić mnie z oczu. Byłem o tyle wyższy od niego, co małpolud ode mnie. Musiał biec truchtem, aby za mną nadążyć.

Wciąż szedłem w stronę rufy na spacerowy pokład. Miąłem bar, kierując się w stronę basenu.

A ponieważ statek stał w porcie, basen był, jak się tego spodziewałem, pusty. Jak zwykle wywieszono tablicę głoszącą: „ZAMKNIĘTE NA CZAS POSTOJU STATKU W PORCIE” oraz odgrodzono pływalnię za pomocą pojedynczej liny, wody jednak nie spuszczone. Przekroczyłem linę i stanąłem zwrócony plecami do basenu. Gdy spróbował za mną podążyć, wyciągnąłem w jego stronę rękę.

- Zostań tutaj - powiedziałem.

Zatrzymał się.

- Teraz możemy porozmawiać - stwierdziłem. - Co masz na swoje usprawiedliwienie? Niech to lepiej zabrmi przekonująco. Co chciałeś osiągnąć, przyprowadzając ze sobą tego goryla? I to na duński statek! Pan B. będzie na ciebie bardzo, bardzo zły. Jak się nazywałeś?

- Mniejsza o to. Gdzie pakunek?

- Jaki pakunek?

Zaczął coś bełkotać w gniewie, lecz przerwałem mu:

- Dość tego! Nie mam zamiaru cię przestraszyć. Ten statek zaraz odpływa. Masz tylko kilka minut, aby wytłumaczyć mi, czego chcesz i przekonać mnie, że powinienem ci to dać. Jeśli myślisz, że zdołasz mnie zastraszyć, to możesz od razu wrócić do swojego szefa i powiedzieć mu, że ci się nie udało. No, gadaj! Czego chcesz?

- Chcę pakunek!

Westchnąłem.

- Mój drogi, głupi przyjacielu, powtarzasz się jak zdarta płyta. Już to słyszałem. Co to za pakunek i co w nim jest?

Zawahał się.

- Pieniądze.

- To ciekawe. A ile tych pieniędzy?

Tym razem wahał się dwa razy dłużej. Wreszcie ja sam przerwałem milczenie:

- Jeśli nie wiesz, ile ich jest, dam ci dwa franki na piwo i powiem do widzenia. Czy o to ci chodzi? O dwa franki?

Tak chudy człowieczek nie powinien mieć kłopotów z wysokim ciśnieniem. W końcu zdołał wykrztusić:

Amerykańskie dolary. Cały milion.

Roześmiałem mu się w twarz.

- Skąd ci przyszło do głowy, że mam aż tyle? A nawet gdybym miał, dlaczego miałbym ci je oddać? Skąd mam wiedzieć, że to ty masz je przejąć ode mnie?

- Oszalałeś czy co? Wiesz, kim jestem.

- Udowodnij to. Twoje oczy wyglądają dziwnie i głos też jakby nie ten sam. Myślę, że jesteś podstawiony.

- Podstawiony?

- Że się podszywasz! Jesteś oszustem.

Powiedział coś gniewnym tonem, chyba po francusku. Z pewnością nie były to komplementy. Przekopawszy swą pamięć, powtórzyłem dokładnie i z odpowiednią intonacją tę, usłyszaną wczoraj przy kolacji, uwagę, po której mąż damy, która ją wygłosiła, oznajmił jej, że nie powinna się tak przejmować. Nie była ona odpowiednia do sytuacji, jednakże zamierzałem go po prostu rozgniewać.

Najwyraźniej udało mi się. Gdy uniósł rękę, złapałem go za nadgarstek, potknąłem się celowo i wpadłem tyłem do basenu, pociągając go za sobą.

- Ratunku! - krzyknąłem podczas lotu.

Wpadliśmy z pluskiem do wody. Schwyciłem go mocno i wspiąłem się po jego ciele do góry, spychając go równocześnie w dół:

- Ratunku! On chce mnie utopić!

Ponownie znaleźliśmy się pod wodą, walcząc ze sobą. Wzywałem pomocy za każdym razem, gdy udało mi się wystawić głowę nad wodę. W chwili, gdy pomoc nadeszła, moje ciało nagle zwiotczało.

Nie odzyskałem przytomności, zanim nie zaczęli mnie reanimować metodą usta-usta. W tym momencie parsknąłem i otworzyłem oczy.

- Gdzie jestem?

- Wraca do siebie. Nic mu nie będzie - powiedział ktoś.

Rozejrzałem się wokół. Leżałem na plecach w pobliżu basenu.

Ktoś musiał ratować mnie w naprawdę fachowy sposób, ponieważ moja ręka o mało nie została wyrwana z korzeniami. Poza tym czułem się dobrze.

- Gdzie on jest? - zapytałem. - Ten facet, który mnie wepchnął?

- Uciekł.

Rozpoznając głos, zwróciłem głowę w tamtym kierunku. Mój przyjaciel pan Henderson - płatnik.

- Naprawdę?

To załatwiało sprawę. Mój znajomy o twarzy szczura wylaźł z basenu, gdy mnie z niego wyciągano i czmychnął ze statku. Zanim skończono przywracać mnie do życia, Wredniak i jego dwóch goryli zdążyli się ulotnić.

Pan Henderson kazał mi leżeć bez ruchu, zanim nie przybył lekarz okrętowy, który osłuchiwał mnie i oznajmił, że nic mi nie dolega. Powiedziałem im kilka drobnych kłamstw, parę półprawd oraz jeden raz udzieliłem odpowiedzi wymijającej. Tymczasem usunięto już właz i po chwili głośna syrena oznajmiła, że odbiliśmy od brzegu.

Nie uważałem za konieczne wspominać komukolwiek, że w szkole grałem w piłkę wodną.

Następne dni były dla mnie bardzo przyjemne. Najśłodsze winogrona rosną zawsze na stokach czynnego wulkanu.

Udało mi się poznać (powtórnie?) ludzi, z którymi siedziałem przy stole. Najwyraźniej nikt nie rozpoznał we mnie nieznajomego. Zdołałem zaznajomić się z ich nazwiskami, uważnie nasłuchując, jak zwracają się do siebie nawzajem i zapamiętując nazwiska. Wszyscy byli dla mnie bardzo uprzejmi. Nie tylko byłem „najstarszy” - ponieważ dokumenty wskazywały, że jestem na pokładzie od początku podróży - lecz również uważany przynajmniej za znakomitość, jeśli nie za bohatera, ponieważ przeszedłem przez ogień.

Nie korzystałem z basenu. Nie byłem pewien, jakie umiejętności pływackie posiadał Graham, a ponieważ zostałem „uratowany”, nie chciałem okazywać takich, które stałyby w sprzeczności z jego talentem. Poza tym, choć przyzwyczailem się już do stopnia nagości, który w moim poprzednim życiu byłby dla mnie gorszący (a nawet go polubiłem), nie wydawało mi się, abym mógł czuć się swobodnie, przebywając całkiem nago w towarzystwie.

Przestałem się przejmować tajemnicą Wredniaka i jego towarzyszy, ponieważ nie mogłem w tej sprawie nic zrobić.

Tak samo postąpiłem ze wszechogarniającą tajemnicą tego, kim jestem i w jaki sposób się tu znalazłem. Nie mogłem nic na to poradzić, więc nie przejmowałem się tym więcej. Po zastanowieniu się zdałem sobie sprawę, że byłem w identycznej sytuacji jak każdy z żyjących: nie wiemy, kim jesteśmy, skąd się wzięliśmy, ani jaki to wszystko ma cel. Mój dylemat nie był odmienny, jedynie świeższy.

Jedna rzecz (być może jedyna), której nauczyłem się w seminarium, to patrzeć ze spokojem na tajemnicę życia, nie przejmując się tym, iż nie potrafię jej rozwiązać. Uczciwi kapłani i kaznodzieje nie mogą znaleźć pociechy w religii, lecz muszą się zadowolić skromniejszą nagrodą, jaką przynosi filozofia. Nigdy nie byłem skłonny do metafizyki, nauczyłem się jednak nie trapić problemami, których rozwiązania nie znam.

Wiele czasu spędzałem w bibliotece, lub też czytając na krześle, na pokładzie. Dowiedziałem się wiele o tym świecie i zaczynałem czuć się tu jak w domu. Szczęśliwe dni, które mijały jak złoty sen dzieciństwa.

Codziennie też spotykałem Margrethe.

Czułem się jak chłopiec przeżywający swój pierwszy atak szczenięcej miłości.

To był niezwykle romans. Nie mogliśmy mówić o miłości, czy może ja nie mogłem, a ona nie chciała. Codziennie była moją służebną (podobnie jak innych pasażerów)... i moją „matką” (też podobnie jak innych? Nie sądzę... ale nie mogę być pewien). Nasze stosunki były bliskie, lecz nie intymne. Jedynie przez krótkie chwile - każdego dnia, gdy „płaciłem” jej za zawiązanie mi krawata, stawała się moją cudowną i niezwykle namiętą kochanką. Tylko jednak podczas tych krótkich chwil.

Lecz później byłem znów „panem Grahamem”. Odnosiła się do mnie ciepło i przyjaźnie, lecz nie w sposób poufały. Chętnie rozmawiała ze mną, stojąc przy otwartych drzwiach i powtarzając mi najnowsze plotki ze statku. Zawsze jednak zachowywała się jak wspaniale wyszkolona służąca. Przepraszam, jak wspaniale wyszkolony członek załogi, skierowany do pełnienia posług osobistych. Każdego dnia dowiadywałem się o niej nieco więcej i nie znajdowałem w niej żadnych wad.

Dzień zaczynał się dla mnie od jej wytęsknionej obecności. Z reguły gdy szedłem na śniadanie, udawało mi się spotkać ją w korytarzu lub przynajmniej dostrzec przez uchylone drzwi pokoju, który sprzątała... Zwyczajnie „Dzień dobry, Margrethe” i „Dzień dobry, panie Graham”. Lecz słońce nie wschodziło, zanim się nie przywitaliśmy.

W ciągu dnia widywałem ją od czasu do czasu. Punkt szczytowy stanowił zawsze wspaniały rytuał, który odbywaliśmy po zawiązaniu mojego krawata.

Widywałem ją też przelotnie po kolacji. Zaraz po jej zakończeniu wracałem do kabiny na kilka minut, aby się odświeżyć przed wieczornymi rozrywkami - przedstawieniem, koncertem czy grą, lub po prostu powrotem do biblioteki. Margrethe była zawsze gdzieś w prawym przednim korytarzu pokładu C. Rozścielała łóżka, sprzątała łazienki i tak dalej, jednym słowem przygotowywała na noc kabiny swych pasażerów. Ponownie witałem się z nią, a następnie czekałem w swojej kabynie (niezależnie czy uporządkowała ją już, czy nie). Po chwili przychodziła pościelić mi łóżko, albo po prostu zapytać: „Czy będzie pan jeszcze dzisiaj czegoś potrzebował?”

Nieodmiennie uśmiechałem się, odpowiadając: „Dziękuję ci, Margrethe. Nic mi nie trzeba”. Następnie mówiła mi dobranoc i życzyła przyjemnych snów. To był koniec dnia, niezależnie od tego, co jeszcze robiłem, zanim udałem się na spoczynek.

Rzecz jasna, odczuwałem pokusę - za każdym razem! - aby powiedzieć: „Wiesz, czego potrzebuję!” Nie mogłem jednak tego zrobić. Po pierwsze - byłem żonaty. Co prawda moja żona (czy raczej ja) zaginęła gdzieś w innym świecie. Jednakże nic nie zwalnia od świętego sakramentu małżeństwa (chyba że grób). Po drugie - jej romans (jeśli rzeczywiście miał miejsce) był romansiem z Grahamem, pod którego się podszywałem. Nie mogłem jej odmówić tego wieczornego pocałunku (nie jestem doskonały jak aniołowie!), jeżeli jednak chciałem postąpić uczciwie wobec mojej ukochanej, nie mogłem posunąć się dalej. Po trzecie - prawy mężczyzna nie może zaoferować obiektowi swojej miłości niczego mniej niż sakrament małżeński... czego nie mogłem uczynić zarówno ze względów prawnych, jak i moralnych.

Te słodkie dni były więc wypełnione również goryczą. Każdy z nich przybliżał mnie o jeden dzień do nieuniknionej chwili, gdy będę musiał rozstać się z Margrethe, aby - niemal na pewno - nigdy już jej nie zobaczyć.

Nie mogłem jej nawet powiedzieć, jak wiele będzie dla mnie znaczyła jej utrata.

Moja miłość nie była jednak tak altruistyczna, abym miał nadzieję, że rozstanie jej nie zasmuci. Jak obrzydliwie samolubny nastolatek pragnąłem, aby tęskniła za mną równie mocno, jak ja za nią. Szczenięca miłość, jak dwa razy dwa! Mogę na swe usprawiedliwienie podać jedynie fakt, że znałem dotąd jedynie „miłość” kobiety, która kochała Jezusa tak bardzo, że brakowało już jej uczuć dla istot z krwi i kości.

Nigdy nie żęńcie się z kobietą, która modli się zbyt wiele.

Po dziesięciu dniach podróży z Papeete, gdy Meksyk był już niemal za horyzontem, ta niepewna idylla dobiegła końca.

Przez kilka kolejnych dni Margrethe stawała się coraz bardziej milcząca. Nie mogłem czynić jej wymówek, ponieważ nie zdarzyło się nic, na co mógłbym wskazać palcem, a już z pewnością nic, na co mógłbym się skarżyć.

Tego wieczora jednak, gdy zawiązywała mi krawat, nastąpiło przesilenie. Jak zwykle uśmiechnąłem się do niej, podziękowałem jej i pocałowałem ją. Nagle przerwałem, trzymając ją w ramionach i zapytałem:

- Co się stało? Wiem, że potrafisz całować lepiej. Czy brzydko mi pachnie z ust?
- Panie Graham, sądzę, że powinniśmy tego zaprzestać - odpowiedziała spokojnie.
- Panie Graham, tak? Co takiego ci zrobiłem, Margrethe?
- Nic pan nie zrobił!
- W takim razie... Kochanie, czemu płaczesz?
- Przepraszam. Nie chciałam.

Wyjąłem chusteczkę, otarłem jej łzy i powiedziałem łagodnym tonem:

- Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. Jeśli uczyniłem coś - niewłaściwego, musisz mi o tym powiedzieć, abym mógł się poprawić.

- Jeśli pan tego nie wie, nie wiem, jak panu to wytłumaczyć.

- Czy nie możesz spróbować? Proszę cię! (Czy to nie może być jedno z tych cyklicznych zaburzeń emocjonalnych, do których kobiety bywają skłonne?)

- Hmm... panie Graham. Wiedziałałam, że to nie może trwać dłużej niż do końca tej podróży i, proszę mi uwierzyć, nie liczyłam na nic więcej. To chyba znaczy dla mnie więcej niż dla pana. Nie myślałam jednak, że zakończy to pan tak po prostu, bez żadnego wytłumaczenia, wcześniej niż to konieczne.

- Margrethe... ja nie rozumiem.

- Rozumie pan!

- Naprawdę, nie.

- Musi pan rozumieć. Upłynęło jedenaście dni. Każdego wieczoru pytałam pana i za każdym razem odtrącał mnie pan. Panie Graham, czy już nigdy nie poprosi pan mnie, żebym przysłała później?

- Och! A więc o to ci chodzi! Margrethe...

- Słucham pana.

- Nie jestem „panem Grahamem”.

- Słucham?

- Moje nazwisko brzmi Hergensheimer. Minęło dokładnie jedenaście dni od chwili, gdy ujrzałem cię po raz pierwszy w życiu. Przykro mi. Potwornie przykro. Taka jednak jest prawda.

A teraz wy na mnie popatrzcie:

więc w żywe oczy bym kłamał?

Księga Hioba 6, 28

Margrethe jest osłodą mojego życia, a również dobrze wychowaną dorosłą osobą. Nie straciła oddechu, nie próbowała się ze mną sprzeczać, ani też nie powiedziała: „O nie!” lub: „Nie wierzę w to!” Usłyszawszy moje słowa, znieruchomiła, odczekała chwilę, po czym oznajmiła:

- Nie rozumiem.

- Ja też tego nie rozumiem - odparłem. - Coś się wydarzyło podczas mojego przejścia przez ten dół z ogniem. Świat uległ zmianie. Ten statek... - wskazałem na pobliską gródź -... nie jest statkiem, na którym płynąłem uprzednio. Ludzie mówią na mnie „Graham”... podczas gdy dobrze wiem, że nazywam się Alexander Hergensheimer. Nie chodzi jednak tylko o mnie i o ten statek. Cały świat się zmienił. Odmienna historia, odmienne kraje. Nie ma tu sterowców.

- Alec, co to takiego sterowiec?

- Hmm. Lata w górze, jak balon. Właściwie to jest balon, ale leci bardzo szybko, ponad sto węzłów.

Zastanowiła się nad tym trzeźwo.

- Wydaje mi się, że bałabym się nim lecieć.

- Nie ma powodu. To najlepszy sposób podróżowania. Przyleciałem tu sterowcem „Graf von Zeppelin”, należącym do North American Airlines. W tym świecie jednak nie ma sterowców. Ten fakt ostatecznie przekonał mnie, że znajduję się w innym świecie i nie jest to tylko skomplikowany dowcip, który ktoś mi spłatał. Transport powietrzny jest tak ważnym elementem ekonomii świata, który znam, że jego brak zmienia właściwie wszystko. Na przykład... Słuchaj, czy ty mi wierzysz?

Odpowiedziała powoli i z namysłem:

- Wierzę, że mówisz prawdę taką, jak ją widzisz. Ja jednak widzę ją zupełnie inaczej.

- Wiem. Dlatego to takie trudne... Słuchaj, jeśli się nie pośpieszysz, spóźnisz się na kolację, prawda?

- To nieważne.

- Nie, to jest ważne. Nie możesz chodzić głodna tylko dlatego, że popełniłem głupi błąd i zraniłem twoje uczucia. A jeśli ja nie przyjdę, Inga wyśle kogoś celem sprawdzenia, czy jestem chory, czy śpię, czy coś tam jeszcze. Widziałem, jak robiła to, gdy ktoś z gości nie przyszedł do stołu. Margrethe, moja kochana! Pragnąłem ci to powiedzieć, czekałem, aby ci to powiedzieć i chciałem ci to powiedzieć, a teraz mogę i muszę to uczynić. Nie mogę jednak tego zrobić w ciągu pięciu minut na stojąco. Kiedy pościelisz już łóżka na noc, czy będziesz mogła poświęcić trochę czasu, aby mnie wysłuchać?

- Alec, zawsze poświęcę dla ciebie tyle czasu, ile tylko będziesz chciał.

- Dobrze. Zejdź na kolację! Ja też się pokażę, przynajmniej na chwilę, żeby Inga się nie czepiała i spotkamy się tutaj, gdy pościelisz łóżka. Pasuje?

Zamyśliła się głęboko.

- Dobrze, Alec. Czy pocałujesz mnie jeszcze?

W ten sposób przekonałem się, że mi uwierzyła. Lub przynajmniej chciała uwierzyć. Przestałem się martwić. Zjadłem nawet całą kolację, chociaż nazbyt pośpiesznie.

Czekała już na mnie, gdy wróciłem. Kiedy wszedłem do kabiny, wstała z miejsca. Wziąłem ją w

ramiona, cmoknąłem w nos, następnie złapałem za łokcie i posadziłem na koi. Następnie sam usiadłem na jedynym krześle w kabinie.

- Najdroższa, czy myślisz, że zwariowałem?

- Alec, nie wiem, co mam myśleć (tak jest, powiedziała „myśleć”. W rzadkich chwilach, pod wpływem nagłych emocji, Margrethe traciła zdolność wymowy miękkich spółgłosek. Poza tym jej akcent był znacznie lepszy od mojego akcentu z Midwestu, szorstkiego jak zardzewiała piła).

- Wiem o tym - zgodziłem się. - Miałem ten sam problem. Można na to patrzeć tylko na dwa sposoby. Albo jak na coś niewiarygodnego, co zmieniło cały mój świat, zdarzyło się w chwili, gdy przechodziłem przez ogień. Albo też jestem szalony, jak kot po walerianie. Spędziłem całe dni na sprawdzaniu faktów i... świat rzeczywiście się zmienił. Nie chodzi tylko o sterowce. Nie ma kajzera Wilhelma IV, a na jego miejscu jest jakiś głupi prezydent nazwiskiem Schmidt. Jest jeszcze masa podobnych rzeczy.

- Nie powiedziałabym, że Herr Schmidt jest „głupi”. Jest całkiem niezły jak na niemieckiego prezydenta.

- W tym rzecz, kochanie. Dla mnie każdy prezydent Niemiec wydaje się głupi, ponieważ w moim świecie Niemcy są jedną z ostatnich absolutnych monarchii w świecie zachodnim. Nawet car nie dysponuje taką władzą.

- To właśnie chciałam ci powiedzieć, Alec. Nie ma ani kajzera, ani cara. Wielki Książę Moskiewski jest monarchą konstytucyjnym i nie rości już sobie praw do zwierzchnictwa nad pozostałymi krajami słowiańskimi.

- Margrethe, oboje mówimy to samo. Świat, w którym się wychowałem, zniknął. Muszę teraz poznać nowy świat, który nie jest całkowicie odmienny. Geografia chyba się nie zmieniła, także część historii. Wygląda na to, że oba światy były identyczne niemal do początku dwudziestego stulecia. Powiedzmy od roku 1890. Około stu lat temu wydarzyło się coś dziwnego, co spowodowało oddzielenie obu światów od siebie... a około dwunastu dni temu coś równie dziwnego przytrafiło się mnie i zostałem przeniesiony do tego świata. - Uśmiechnąłem się do niej. - Nie żałuję tego jednak. Wiesz dlaczego? Ponieważ spotkałem tutaj ciebie!

- Dziękuję ci. Dla mnie też jest ważne, że ty tu jesteś.

- A zatem wierzysz mi. Również ja zostałem zmuszony do uwierzenia w to. Przestałem już właściwie się tym przejmować. Martwi mnie tylko jedno. Co się stało z Alecem Grahamem? Czy zajął moje miejsce w moim świecie? A jeśli nie, to co?

Nie odpowiedziała mi od razu, a kiedy to uczyniła, jej odpowiedź wydawała się nie na temat:

- Alec, czy zechciałbyś zdjąć spodnie?

- Co powiedziałaś, Margrethe?

- Proszę cię. Nie żartuję, ani nie staram się cię uwieść. Muszę coś zobaczyć. Proszę cię, ściągnij spodnie.

- Nie rozumiem... dobrze. - Przymknąłem się i zrobiłem to, o co mnie prosiła, co w stroju wieczorowym nie było łatwe. Musiałem zdjąć marynarkę i pas, zanim odsłoniłem szelki na tyle, aby móc je ściągnąć z ramion. Następnie zacząłem z niechęcią rozpinać rozporek. (Kolejny minus tego zacofanego świata. Nie było zamków błyskawicznych. Nigdy ich nie doceniałem, dopóki mi ich nie zabrakło).

Odetchnąłem głęboko i opuściłem spodnie o kilka cali.

- Czy wystarczy?

- Jeszcze trochę. Odwróć się, proszę, plecami.

Zrobiłem to, o co mnie prosiła. Poczulem dotyk jej rąk, delikatny i nie natarczywy, z tyłu po

prawej stronie. Uniosła koniec mojej koszuli i opuściła nieco majtki.

Po chwili przywróciła obie części garderoby na miejsce.

- To wystarczy. Dziękuję ci.

Włożyłem z powrotem koszulę w spodnie i zapiąłem rozporek, po czym nałożyłem szelki i sięgnąłem po pas.

- Chwileczkę, Alec - powiedziała.

- Co? Myślałem, że skończyłaś.

- Tak. Nie musisz już jednak nakładać stroju wieczorowego. Przygotuję ci domowe spodnie i koszulę. Chyba że chcesz wrócić do sali klubowej?

- Nie, o ile ty zostaniesz tu ze mną.

- Zostanę. Musimy porozmawiać.

Szybko wyjęła domowe spodnie i sportową koszulę i położyła na łóżku.

- Przepraszam cię na chwilę - powiedziała, wchodząc do łazienki.

Nie wiem, czy musiała z niej skorzystać, czy nie, wiedziała jednak, że wygodniej mi będzie się przebrać w kabinie niż w ciasnej łazience. Przebrany poczułem się lepiej. Koszula ze sztywnym gorsem i pas są wygodniejsze niż kaftan bezpieczeństwa, lecz jedynie nieznacznie.

Wyszła z łazienki i natychmiast schowała do szafy wszystko, co zdjąłem z siebie, oprócz koszuli i kołnierzyka. Wyjęła z koszuli spinki, a z kołnierzyka guziki i odłożyła je na bok, po czym schowała koszulę do torby na brudną bieliznę. Zastanowiłem się, co powiedziałyby Abigail, patrząc na te żonine czynności. Uważała ona, że nie należy mnie rozpuszczać i nie czyniła tego.

- O co ci chodziło, Margrethe?

- Musiałam coś sprawdzić. Alec, zastanawiałeś się, co się stało z Alecem Grahamem. Znam już odpowiedź.

- Słucham?

- On jest tutaj. Ty nim jesteś.

Po chwili odezwałem się:

- Dowiedziałeś się tego, patrząc na kilka cali kwadratowych mojej tylnej części ciała? Co tam znalazłaś, Margrethe? Znamię w kształcie truskawki, które pozwoli rozpoznać zaginionego spadkobiercę?

- Nie, Alec. Twój „Krzyż Południa”.

- Moje co?

- Proszę cię, Alec. Miałam nadzieję, że to przywróci ci pamięć. Widziałam to już pierwszej nocy, gdy... - zawahała się, a potem spojrzała mi prosto w oczy - kochaliśmy się ze sobą. Zapaliłeś światło, a potem odwróciłeś się na brzuch, żeby zobaczyć, która godzina. Wtedy zauważyłam znamiona na twoim prawym pośladku. Zwróciłam uwagę na wzór, jaki tworzą. Żartowaliśmy na ten temat. Powiedziałeś, że to twój Krzyż Południa, dzięki któremu wiesz, która strona jest która.

Margrethe zaróżowiła się lekko, wciąż jednak spoglądała mi prosto w oczy.

- Ja również pokazałam ci kilka znamion na moim ciele. Alec, przykro mi, że tego nie pamiętasz. Uwierz mi, proszę. Byliśmy już wtedy na tyle blisko ze sobą, że mogliśmy żartować z takich rzeczy bez obawy, że uznasz mnie za zbyt śmiałą lub natrętą.

- Margrethe, nie wyobrażam sobie, żebyś w jakiejkolwiek sytuacji mogła być zbyt śmiała lub natrętą. Przykładasz zbyt wielkie znaczenie do przypadkowego układu znamion. Mam ich pełno na całym ciele. Nie dziwi mnie, że kilka z nich z tyłu, gdzie trudno mi jest je dostrzec, układa się w kształt krzyża. Ani to, że Graham miał podobne.

- Nie podobne, lecz identyczne.

- No tak... istnieje znacznie lepszy sposób, żeby to sprawdzić. W biurku leży mój portfel, to znaczy Grahama. Jest w nim prawo jazdy. Jego prawo jazdy. Odcisk jego kciuka. Nie sprawdzałem tego, ponieważ nie miałem najmniejszych wątpliwości, że on to Graham, a ja to Hergensheimer, i że nie jesteśmy tą samą osobą. Niemniej jednak można to sprawdzić. Wyjmij je, kochanie. Przekonaj się sama. Odcisnę kciuk na lustrze w łazience. Porównaj oba odciski. Wtedy się upewnisz.

- Alec, ja jestem pewna. Skoro w to nie wierzysz, sprawdź sam.

Cóż... Propozycja Margrethe brzmiała rozsądnie. Zgodziłem się z nią.

Wyjąłem prawo jazdy Grahama. Następnie odbiłem swój kciuk na lustrze w łazience po potarciu go o nos, gdzie skóra jest znacznie bardziej natłuszczona niż na opuszkach palców. Stwierdziwszy, że odcisk na szkle nie jest zbyt wyraźny, wysypałem na dłoń trochę talku i zdmuchnąłem go w stronę lustra.

Jeszcze gorzej. Proszek, którego używają detektywi, musi być znacznie drobniejszy niż talk stosowany do golenia. A może po prostu nie umiałem się nim posługiwać. Zrobiłem następny odcisk, tym razem bez proszku i spojrzałem na oba, na swój prawy kciuk i na odcisk na prawie jazdy. Sprawdziłem, czy jest to istotnie odcisk prawego kciuka. Tak było.

- Margrethe! Chodź popatrz na to, proszę!

Weszła do łazienki.

- Spójrz na nie - powiedziałem. - Na wszystkie cztery. Mój kciuk i trzy odciski. Na wszystkich dominuje wzór w kształcie łuku, ale to samo dotyczy połowy wszystkich odcisków na świecie. Założę się z tobą, że twój kciuk też ma wzór w kształcie łuku. Czy potrafisz uczciwie odpowiedzieć na pytanie, czy to są odciski tego samego kciuka?

Albo może mojego lewego. Mogli się pomylić.

- Nie potrafię, Alec. Nie znam się na tym.

- No tak. Myślę, że nawet ekspert nie zdołałby tego dokonać w tym oświetleniu. Musimy to odłożyć do rana. Potrzebne nam jasne światło słońca na pokładzie. Będzie też potrzebny biały lśniący papier, szkło powiększające i tusz do stempli... założę się, że pan Henderson posiada te wszystkie rzeczy. Możemy to zrobić jutro?

- Z pewnością. Mnie ten test jest niepotrzebny, Alec. Moje serce udzieliło mi odpowiedzi. I twój „Krzyż Południa”. Chyba straciłeś pamięć, ale wciąż jesteś sobą... i któregoś dnia wszystko sobie przypomnisz.

- To nie takie proste, kochanie. Ja wiem, że nie jestem Grahamem. Margrethe, czy wiesz cokolwiek o jego interesach? Albo czy znasz powód, dla którego podróżował tym statkiem?

- Czy muszę mówić „on”? Nie pytałam cię o twoje sprawy, Alec, a ty nigdy mi nic nie mówiłeś.

- Tak, sądzę, że powinnaś mówić „on”, przynajmniej dopóki nie porównamy odcisków kciuka. Czy był żonaty?

- Tego również mi nie powiedział, a ja nie pytałam.

- Ale dałaś do zrozumienia... nie, powiedziałaś wprost, że „kochaliśmy się” z tym mężczyzną, za którego mnie uważasz, i że byłaś z nim w łóżku.

- Alec, czy czynisz mi wymówki?

- Nie, nie, nie! (Robiłem to i ona o tym wiedziała). To twoja sprawa, z kim chodzisz do łóżka. Muszę ci jednak powiedzieć, że ja jestem żonaty.

- Alec, nie usiłowałam skłonić cię do małżeństwa - odparła z wyrzutem.

- Raczej Grahama. Mnie tu nie było.

- Niech będzie, że Grahama. Nie miałam zamiaru go usidlić. Kochaliśmy się ze sobą, co nas oboje uszczęśliwiało. Żadne z nas nie wspominało o małżeństwie.

- Posłuchaj! Przepraszam, że w ogóle poruszałem tę sprawę. Wydawało mi się, że ma to pewien związek z całą zagadką, to wszystko. Margrethe, czy uwierzysz mi, jeśli ci powiem, że prędzej odciąłbym sobie rękę albo wyłupił oko i odrzucił od siebie, niż skrzywdził cię w jakikolwiek sposób"

- Dziękuję ci, Alec. Wierzę ci.

- Jedyne, co powiedział Jezus to: „Idź i nie grzesz więcej”. Nie sądzisz chyba, że mógłbym uznać, iż mam prawo być surowszym sędzią niż on. Nie chciałem cię osądzać, szukałem tylko informacji na temat Grahama. Zwłaszcza jego interesów. Hmm. Czy podejrzewałaś kiedykolwiek, że mógłby być zamieszany w jakieś nielegalne interesy?

Uśmiechnęła się blado.

- Nawet gdybym kiedykolwiek podejrzewała coś takiego, moja lojalność wobec „niego” jest taka, że nigdy nie wyraziłabym tego na głos. I nie powiem ci nic więcej, ponieważ twierdzisz, że nie jesteś nim.

- Poddaję się. - Uśmiechnąłem się nieśmiało. Czy mogę jej powiedzieć o skrzynce? Tak jest, nawet muszę. Muszę być z nią szczery i przekonać ją, że podobna szczerość z jej strony nie będzie oznaczać nielojalności w stosunku do „mnie” (Grahama).

- Margrethe, nie pytałem cię z czystej ciekawości, ani nie chciałem się pakować w nie swoje sprawy. Mam też inne kłopoty i potrzebuję twojej rady.

Tym razem to ona była zdumiona.

- Alec... ja rzadko udzielam rad. Nie lubię tego robić.

- Wyjaśnię ci, na czym polega problem. Nie musisz mi nic radzić... ale może zdołasz mi pomóc w jego analizie.

Opowiedziałem jej szybko o tym naprawdę przerażającym milionie dolarów.

- Margrethe, czy znasz jakiś legalny powód, dla którego uczciwy człowiek mógłby mieć przy sobie milion dolarów w gotówce? Czeki podróżne, listy kredytowe, weksle, nawet obligacje na okaziciela - ale gotówka? Powiedziałbym, że jest to równie niewiarygodne jak to, co przytrafiło mi się w dole pełnym ognia. Czy potrafisz spojrzeć na to inaczej? Jaki uczciwy powód mógłby skłonić człowieka, żeby wziął ze sobą tyle gotówki, wyruszając w taką podróż jak ta?

- Nie chcę nikogo osądzać.

- Nie wymagam tego od ciebie. Chcę tylko, żebyś wyteżyła swoją wyobraźnię i powiedziała mi, dlaczego ktoś miałby mieć przy sobie milion dolarów w gotówce. Czy możesz mi podać jakiś powód? Tak nieprawdopodobny jak zechcesz... ale powód.

- Powody mogły być różne.

- Czy możesz wymienić choć jeden?

Czekałem przez chwilę, lecz Margrethe milczała. W końcu westchnąłem i powiedziałem:

- Ja też nie. Widzę, rzecz jasna, mnóstwo nielegalnych powodów, na przykład tak zwane „gorące” pieniądze niemal zawsze są przewożone w gotówce. To tak oczywiste, że większość rządów, myślę, że nawet wszystkie, zakłada, iż każda większa ilość gotówki, którą obraca się bez pośrednictwa banku lub rządu, pochodzi z przestępstwa - dopóki nie udowodni się, że jest inaczej. Nęka mnie też jeszcze bardziej przygnębiająca myśl, że są to fałszywe pieniądze. Proszę cię o radę w następującej kwestii. Co powinienem z nimi robić, Margrethe? Te pieniądze nie należą do mnie. Nie mogę zabrać ich ze sobą ze statku. Z tego samego powodu nie mogę ich zostawić. Nie mogę nawet wyrzucić ich za burtę. Cóż więc mam zrobić?

To nie było pytanie retoryczne. Musiałem znaleźć odpowiedź, która pozwoli mi uniknąć wylądowania w czipie za coś, co zrobił Graham. Jak dotąd jedyny pomysł, który przyszedł mi do

głowy, to zwrócić się do jedynej władzy na statku, czyli kapitana, zdać mu sprawę ze swoich kłopotów i poprosić, aby przejął opiekę nad tym kłopotliwym milionem dolarów.

Śmieszna myśl. To doprowadziłoby jedynie do następnego zestawu niekorzystnych rozwiązań, różniących się w zależności od tego, czy kapitan uwierzyłby mi, czy też nie, czy sam był uczciwy i - być może - również innych czynników. Nie mogłem sobie jednak wyobrazić przebiegu wypadków, który zaprowadziłby mnie po rozmowie z kapitanem w inne miejsce niż do więzienia lub szpitala psychiatrycznego.

Najprostszym wyjściem z sytuacji byłoby wyrzucić to paskudztwo za burtę!

Ten pomysł wzbudził we mnie sprzeciw z powodów moralnych. Złamałem w życiu kilka przykazań i naruszyłem kilka innych, lecz uczciwość w sprawach finansowych zawsze przychodziła mi bez trudności. Co prawda ostatnio mój kręgosłup moralny nie wydawał się być tak mocny, jak sądziłem, niemniej nie odczuwałem pokusy, aby ukraść ten milion, nawet tylko po to, żeby go wyrzucić.

Istniała też jednak poważniejsza przyczyna moich obiekcji. Czy znacie kogoś, kto mając w ręku milion dolarów, mógłby się zdobyć na to, aby je zniszczyć?

Może i znacie, bo ja nie. Mógłbym oddać te pieniądze kapitanowi w mgnieniu oka, ale zniszczyć ich nie potrafię w żadnym wypadku. A może przemycić je na brzeg? Alec, gdy tylko wyjmiesz je z tej skrzynki, będzie to znaczyło, że ukradłeś. Czy zgodzisz się zniszczyć swój szacunek do siebie za milion dolarów? Za dziesięć milionów? Za pięć dolarów?

- No więc, Margrethe?

- Alec, wydaje mi się, że rozwiązanie jest oczywiste.

- Słucham?

- Staraleś się rozwiązać swoje problemy w niewłaściwej kolejności. Najpierw musisz odzyskać pamięć. Wtedy dowiesz się, dlaczego masz ze sobą te pieniądze. Okaze się, że jest to jakiś niewinny i całkowicie logiczny powód. - Uśmiechnęła się. - Znam cię lepiej, niż ty znasz samego siebie. Jesteś dobrym człowiekiem, Alec. Nie jesteś przestępcą.

Rozjątrzyła mnie swą postawą i zarazem wprawiła w dumę z powodu zdania, jakie miała o mnie. Gniew okazał się silniejszy.

- A niech to! Kochanie, ja nie straciłem pamięci. Nie jestem Alec Graham. Jestem Alexander Hergensheimer. Tak się nazywam od urodzenia. Pamiętam wszystko wyraźnie. Czy wiesz, jak się nazywała moja nauczycielka w drugiej klasie? Panna Andrews. Albo jak doszło do tego, że po raz pierwszy poleciałem sterowcem, gdy miałem dwanaście lat? Naprawdę pochodzę ze świata, w którym sterowce przelatują nad każdym z oceanów, a nawet nad Biegunem Północnym, gdzie Niemcy są monarchią, Unia Północnoamerykańska cieszyła się stuletnim okresem pokoju i dobrobytu, a statek, na którym się znajdujemy, byłby uważany za tak przestarzały, kiepsko wyposażony i powolny, że nikt nie chciałby na nim pływać. Prosiłem cię o pomoc, nie o konsultację psychiatryczną. Jeżeli uważasz, że zwariowałem, powiedz to... i zmienimy temat.

- Nie chciałam cię zdenerwować.

- Najdroższa! Nie zdenerwowałaś mnie. Po prostu wylądowałem na tobie swój niepokój i frustrację. Nie powinienem był tak postąpić. Przepraszam cię. Naprawdę jednak mam kłopoty i powtarzanie mi, że winna jest moja pamięć, nie rozwiąże ich, nawet gdyby było to prawdą. Kłopoty nadal pozostaną. Niepotrzebnie cię objechałem, Margrethe, jesteś wszystkim, co mam... w obcym i niekiedy przerażającym świecie. Przepraszam!

Ześliznęła się z mojej koi.

- Nie ma za co. Alec. Dalsza dyskusja nie ma teraz sensu. Jutro... jutro obejrzymy dokładnie ten

odcinek kciuka w pełnym słońcu. Wtedy się przekonasz. Być może wywoła to natychmiastowy powrót twojej pamięci.

- Albo natychmiastowe załamanie twojego upor, najwspanialsza z dziewcząt.

Uśmiechnęła się.

- Zobaczmy. Jutro. Wydaje mi się, że powinnam się już położyć. Doszliśmy do punktu, w którym oboje powtarzamy te same argumenty... i wyprowadzamy się nawzajem z równowagi. Nie chcę tego, Alec. To wszystko psuje.

Odwróciła się i skierowała w stronę drzwi, nie oferując nawet pocałunku na dobranoc.

- Margrethe!

- Słucham, Alec?

- Wróć tu i pocałuj mnie.

- Czy powinnam, Alec? Jesteś żonaty.

- Hmm... na miłość boską, pocałunek to nie to samo co cudzołóstwo.

Potrząsnęła głową ze smutną miną.

- Są pocałunki i pocałunki, Alec. Nie mogłabym cię pocałować w ten sposób, jak robiliśmy to dotąd, jeżeli nie jesteś gotów z zadowoleniem posunąć się dalej i kochać się ze mną. Dla mnie byłaby to całkowicie niewinna rzecz, która przyniosłaby mi szczęście, ale dla ciebie byłoby to cudzołóstwo. Sam mówiłeś, co powiedział Chrystus kobiecie przyłapanej na cudzołóstwie. Ja nie popełniłam grzechu... i nie chciałabym, żebyś ty popełnił go przeze mnie.

Ponownie odwróciła się w stronę wyjścia.

- Margrethe!

- Słucham, Alec?

- Pytałaś mnie, czy zamierzam jeszcze kiedyś poprosić cię, abys przyszła później. Proszę cię o to teraz. Dziś w nocy. Czy przyjdiesz później?

- Grzech, Alec. Dla ciebie to byłby grzech... i z tego powodu zgrzeszyłabym także ja, gdyż wiedziałabym, co na ten temat sądzisz.

- Grzech? Nie jestem pewien, czym jest grzech. Wiem natomiast, że ciebie potrzebuję... i sądzę, że ty również mnie potrzebujesz.

- Dobranoc, Alec.

Wyszła szybko z kabiny.

Po dłuższej chwili umyłem zęby i twarz, po czym uznałem, że mógłby mi pomóc jeszcze jeden prysznic. Nastawiłem kran na letnią wodę. Wydawało się, że nieco mnie to uspokoiło. Gdy jednak położyłem się do łóżka, leżałem w ciemności, nie mogąc zasnąć, pogrążony w czymś, co nazywam myśleniem, choć naprawdę jest to chyba gonitwa myśli.

Wspominałem wszystkie poważniejsze błędy, które popełniłem w życiu, jeden po drugim, odkurzając je z niepamięci i prześwietlając pełnym światłem. Przeleciałem je wszystkie, dochodząc aż do dzisiejszego wieczoru. Uczyniłem z siebie niewiarygodnie głupiego, nieudolnego, zarozumiałego niezdarne go osła i postępując tak, zraniłem i upokorzyłem najlepszą i najśłodsza kobietę, jaką kiedykolwiek znałem.

Kiedy zdarzy mi się popełnić tak ciężką gafę, potrafię przez całą noc zadrećcać się bezużytecznym samobiczowaniem. Ta ostatnia powinna mi zapewnić udrękę bezsenności przez kilka dobrych nocy.

Po dłuższym czasie, dobrze po północy, obudził mnie odgłos klucza w zamku. Szukałem na oślep wyłącznika. Gdy go znalazłem, Margrethe zdążyła już zdjąć szlafrok i wskoczyć do mojego łóżka. Wyłączyłem światło. Była ciepła, gładka, drżąca i zapłakana. Objąłem ją delikatnie, starając się ją uspokoić. Nie mówiła nic. Ja również nie. Padło już zbyt wiele słów i większość z nich

wypowiedziałem ja.

Teraz nadszedł czas na to, aby się przytulić, trzymać w objęciach i przemawiać bez słów.

W końcu uspokoiła się. Przestała drżeć. Jej oddech uspokoił się. Po chwili westchnęła i powiedziała cicho:

- Nie mogłam cię tak zostawić.

- Kocham cię, Margrethe.

- Och! Ja kocham cię tak mocno, aż boli mnie serce.

Wydaje mi się, że w momencie zderzenia oboje spaliśmy. Nie chciałem spać, lecz ponieważ po raz pierwszy od chwili przejścia przez ogień poczułem się odprężony i spokojny, oczy zamknęły mi się same.

Na początku usłyszałem niewiarygodnie głośny zgrzyt, który o mało nie stracił nas z koi na ziemię. Następnie nadszedł trzask tak ostry, że niemal nie popękały nam bębrenki. Zapaliłem lampę przy koi i ujrzałem, że kadłub statku na wysokości podłogi został wgnieciony.

Zabrzmiała syrena alarmowa, która zwiększyła i tak ogłuszający hałas. Stalowy bok statku wgiął się, po czym pękł, gdy coś brudnobiałego i lodowatego wtargnęło do środka. W tej samej chwili zgasło światło.

Zerwałem się z koi na oślep, ciągnąc za sobą Margrethe. Statek przechylił się ciężko na lewą burtę, spychając nas w stronę, gdzie pokład stykał się z wewnętrzną grodzią. Uderzyłem się o klamkę, złapałem ją i uczepiłem się jej prawą ręką, lewą przytrzymując dziewczynę. Statek przetoczył się z powrotem na prawą burtę. Wiatr i woda wtargnęły przez otwór w kadłubie. Usłyszeliśmy to i poczuliśmy, choć nie mogliśmy nic zobaczyć. Statek odzyskał równowagę, lecz po chwili z powrotem przechylił się w lewo. Klamka wypadła mi z rąk.

Muszę zrekonstruować to, co wydarzyło się później - ciemno choć oko wykol, rozumiecie, i ogłuszający hałas. Spadaliśmy w dół - nie wypuściłem jej z rąk - aż wreszcie znaleźliśmy się w wodzie.

Najwyraźniej gdy statek przechylił się ponownie na prawą burtę, wypadliśmy przez otwór w kadłubie. Jest to jednak tylko rekonstrukcja - wszystko, co wiem na pewno, to fakt, że wpadliśmy razem do wody, zanurzając się raczej głęboko.

Wynurzyliśmy się - obejmowałem Margrethe ramieniem, próbując uratować ją od utonięcia. Zaczerpnąwszy powietrza rozejrzałem się wokoło, po czym zanurzyliśmy się znów pod wodę. Statek płynął tuż obok nas. Wiał zimny wiatr. Słychać było głośne dudnienie. W pobliżu, obok statku, widać było jakiś wysoki i ciemny kształt. Ale to sam statek wzbudzał mój strach, a raczej jego śruba. Kabina C109 znajdowała się w przodzie statku, jeśli jednak nie zdołamy oddalić się od tonącego statku, i to jak najszybciej, zostaniemy posiekani przez śrubę na hamburgery. Objąłem mocno Margrethe i starałem się odpłynąć jak najdalej, tłukąc nogami ze wszystkich sił. Poczulem z ogromną ulgą, że oddaliśmy się od niebezpieczeństwa... i uderzyłem głową dość mocno w jakiś ciemny przedmiot.

*I wzięli Jonasza i wrzucili go w morze,
a ono przestało się srożyć.*

Proroctwo Jonasza 1, 15

Czułem, że jest mi wygodnie i nie pragnąłem się obudzić. Ale doskwierał mi lekki, pulsujący ból głowy, i chcąc nie chcąc, przebudziłem się. Potrząsnąłem głową, pragnąc uwolnić się od tego bólu i mój nochal napełnił się wodą. Parsknąłem, wydmuchując ją na zewnątrz.

- Alec? - Usłyszałem głos Margrethe w pobliżu.

Leżałem na plecach w wodzie o temperaturze ciała. Sądząc po smaku, była to słona woda. Wszędzie dookoła panowała ciemność.

Powróciłem do macicy, o ile to możliwe przed śmiercią. A może to była już śmierć?

- Margrethe? I

- Och! Och, Alec, co za ulga! Spałeś przez tak długi czas. Jak się czujesz?

Sprawdziłem się dokładnie. Policzyłem to i tamto. Poruszyłem tym i owym. Stwierdziłem, że unoszę się na plecach pomiędzy nogami Margrethe, która, również spoczywając na plecach, trzyma moją głowę w swych rękach, w jednej z typowych ratujących życie pozycji, które zaleca Czerwony Krzyż. Płynęła powoli żabką, nie tyle poruszając się naprzód, co utrzymując się na powierzchni.

- Chyba dobrze. Co z tobą?

- Czuję się świetnie, najdroższy! Najważniejsze, że odzyskałeś przytomność.

- Co się stało?

- Uderzyłeś głową o górę.

- O górę?

- O górę lodową.

(Górę lodową? Usiłowałem sobie przypomnieć, co się wydarzyło.)

- Jaką górę lodową?

- Tę, o którą rozbił się statek.

Część wydarzeń powróciła do mojego zmaconego umysłu, nadal jednak nie układały się one w jasny obraz. Potężny trzask, jakby statek wpadł na rafę. Potem wpadliśmy do wody, uciekaliśmy przed śrubą... i uderzyłem o coś głową.

- Margrethe, jesteśmy w tropikach, tak daleko na południe, jak Hawaje. Skąd się tu wzięła góra lodowa?

- Nie wiem, Alec.

- Ale... - zacząłem mówić „niemożliwe”, lecz zdałem sobie sprawę, że w moich ustach to słowo brzmi głupio - ta woda jest zbyt ciepła, by płynęły tu góry lodowe. Posłuchaj, nie musisz się tak męczyć. W takiej słonej wodzie potrafię pływać jak gąbka.

- Zgoda. Pozwól jednak, żebym cię podtrzymała. O mały włos nie straciłam cię z oczu w tych ciemnościach. Boję się, że mogłoby się to zdarzyć ponownie. Gdy wypadliśmy ze statku, woda była zimna. Teraz jest ciepła. Musieliśmy się oddalić od góry lodowej.

- Jasne, trzymaj się blisko mnie. Też nie chcę się zgubić.

Tak, gdy wpadliśmy do wody, była ona zimna. Pamiętałem to.

Przynajmniej wydawała się zimna w porównaniu z naszym ciepłym przytulnym łóżkiem. Wiatr również był lodowaty.

- Co się stało z górą?

- Alec, nie wiem tego. Wpadliśmy do wody razem. Chwyciłeś mnie i odpłynąłeś ze mną od statku. Jestem pewna, że to nas uratowało. Było jednak ciemno jak w grudniową noc, wiał silny wiatr i w tej ciemności wyróżnałeś głową w lód. Wtedy właśnie o mały włos bym cię zgubiła. Straciłeś przytomność, najdroższy, i wypuściłeś mnie z rąk. Zanurzyłam się i nałykałam wody, wypłynęłam na powierzchnię, wyplułam ją i nigdzie nie mogłam cię znaleźć, Alec, nigdy w życiu nie byłam tak wystraszona. Nigdzie cię nie było. Nie mogłam cię dostrzec. Wyciągałam ręce we wszystkie strony i nie zdołałam cię dosięgnąć. Wołałam cię, a ty nie odpowiadałeś.

- Przepraszam cię.

- Nie powinnam była wpaść w panikę. Pomyślałam, że utonąłeś. Albo właśnie toniesz, a ja nie mogę ci pomóc. Ale wiosłując na oślep rękami, dotknęłam cię, chwyciłam mocno i znów wszystko było dobrze... dopóki nie okazało się, że mi nie odpowiadasz. Stwierdziłam jednak, że twoje serce bije pewnie i mocno, a więc ostatecznie wszystko wróci do normy. Objęłam cię z tyłu, utrzymując twoją twarz nad powierzchnią wody. Po dłuższym czasie obudziłeś się - i teraz wszystko jest w porządku.

- Wcale nie wpadłaś w panikę. Zginałbym, gdyby tak się stało. Niewielu ludzi potrafiłoby dokonać tego co ty.

- Och, to nic nadzwyczajnego. Pracowałam jako ratownik na plaży na północ od Kopenhagi przez dwa sezony letnie. W piątki udzielałam lekcji. Przychodziło mnóstwo dzieciaków.

- Lekcje nie nauczą zachowania zimnej krwi, i to w takich egipskich ciemnościach. Nie bądź taka skromna. Co się stało ze statkiem? I z górą lodową?

- Alec, tego też nie wiem. Zanim cię nie znalazłam i nie upewniłam się, że nic ci nie jest, nie miałam czasu, aby się rozejrzeć. Gdy już to zrobiłam, ujrzałam to, co teraz. Nic, oprócz ciemności.

- Ciekaw jestem, czy statek zatonął? Oberwał przecież solidnie. Czy nie było wybuchu? Nic nie słyszałaś?

- Nie słyszałam eksplozji. Tylko wiatr i odgłosy zderzenia, które z pewnością też usłyszałeś, a potem, gdy już znaleźliśmy się w wodzie, kilka rozpaczliwych krzyków. Nawet jeśli zatonął, nie widziałam tego, lecz... Alec, przez jakieś pół godziny pływę z głową opartą o poduszkę czy materac. Czy to znaczy, że statek zatonął? A resztki unoszące się na wodzie?

- Niekoniecznie, ale to nie napawa optymizmem. Dlaczego opierasz o to głowę?

- Dlatego, że to się może przydać; Być może to jedna z poduszek z pokładu lub materaców z basenu, jest wypełniona kapokiem i może służyć jako tratwa ratunkowa.

- O to właśnie mi chodzi. Jeśli to jest lżejsze od wody, to dlaczego opierasz tylko o to głowę, zamiast wdrapać się na to?

- Dlatego, że nie mogłam tego zrobić, nie wypuszczając cię z objęć.

- Och, Margrethe, gdy już wydostaniemy się z tej kabały, czy zechcesz łaskawie dać mi szybkiego kopniaka? Jestem już teraz przytomny. Możemy sprawdzić, co to takiego. System Braille'a.

- Zgoda. Boją się jednak cię puścić, skoro nic nie widzę.

- Kochanie, ja również, w nie mniejszym stopniu, nie chciałbym cię zgubić. No dobrze, zrobmy tak. Trzymaj się mnie jedną ręką, a drugą sięgnij w tamtą stronę. Złap się mocno tej poduszki, czy cokolwiek to jest. Potem ja odwrócę się w twoją stronę i trzymając się ciebie, przesunę się wzdłuż twojej ręki do tej poduszki. Wtedy oboje zobaczymy, czy raczej poczujemy, co znaleźliśmy i jaki możemy z tego zrobić użytek.

Nie była to poduszka czy nawet materac z koi, lecz (sądząc z dotyku) wielki materac do opalania - przynajmniej sześć stóp szerokości i jeszcze więcej długości. Wystarczająco duży dla dwojga ludzi, czy nawet trojga, jeśli byliby ze sobą blisko zaprzyjaźnieni. Niemal równie dobry jak łódź

ratunkowa!

Lepszy, bowiem na tym materacu była Margrethe! Przypomniał mi się bluźnierczy poemat, który krążył potajemnie po seminarium: „Dzban wina, bochen chleba i ty...” Wejście na materac, wiotki jak rosówka, gdy wokół jest ciemno, jak w samym środku stosu węgla, nie tylko sprawia trudność, lecz jest wręcz niemożliwe. Dokonał się niemożliwego dzięki temu, że złapałem się materaca z całej siły obiema rękami, a Margrethe wpełzła po mnie. Potem podała mi rękę i wdrapałem się na materac. Gdy jednak oparłem się na łokciu, pośliznąłem się i ponownie plusnąłem do wody. Kierując się głosem Margrethe, wpadłem w ciemności na materac i po raz drugi wdrapałem się, powoli i ostrożnie, na gumowy pokład. Stwierdziliśmy, że najlepiej mogliśmy wykorzystać całą powierzchnię i wyporność materaca, leżąc na plecach rozciągnięci w „gwiazdę”, jak na rysunku Leonarda da Vinci, dzięki czemu rozłożyliśmy ciężar ciała na maksymalnej powierzchni.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - zapytałem.

- Świetnie!

- Potrzebujesz czegoś?

- Niczego, co można tu dostać. Jest mi wygodnie, jestem spokojna i ty jesteś ze mną.

- Ja też tak czuję. Gdybyś jednak mogła otrzymać to, czego pragniesz, to co byś wybrała?

- Hmm... lody z gorącym sosem toffi.

Zastanowiłem się nad tym.

- Nie. Czekoladowe lody z syropem z prawoślazu i wisienką na wierzchu. I do tego filiżankę kawy.

- Czekolady! Ja jednak wolę lody z sosem toffi. Polubiłam je podczas pobytu w Ameryce. My, Duńczycy, potrafimy zrobić z lodów masę smakołyków, ale polanie lodowatego deseru gorącym sosem nigdy nie przyszło nam do głowy. Lody z gorącym sosem toffi. Najlepiej od razu podwójne.

- Zgoda. Postawię ci podwójne, jeśli tego pragniesz. Jestem hojnym facetem, daję słowo, a poza tym uratowałam mi życie.

Musnęła moją dłoń.

- Alec, jesteś taki zabawny. Czuję się strasznie szczęśliwa. Jak myślisz, czy wyjdziemy z tego z życiem?

- Nie mam pojęcia, kochanie. Ironia losu polega na tym, że nikomu nie udaje się uniknąć swego losu. Obiecuję ci jednak, że zrobię wszystko, co będę mógł, żeby postawić ci te lody.

Oboje obudziliśmy się, gdy było już jasno. Tak jest, zasnąłem i wiem, że Margrethe spała również, gdyż obudziłem się na chwilę przed nią. Nasłuchiwałem spokojnie jej cichego pochrapywania, zanim nie ujrzałem, że otworzyła oczy. Nie spodziewałem się, że zdołam zasnąć, teraz jednak nie dziwię się, że to zrobiliśmy - idealne łóżko, idealna cisza, idealna temperatura, my oboje bardzo zmęczeni... i brak czegokolwiek, czym warto by się było przejmować, ponieważ nie istniało nic, zupełnie nic, co moglibyśmy uczynić, by poprawić naszą sytuację, zanim nadejdzie świt. Mam wrażenie, że zasypiając pomyślałem: Tak jest, Margrethe miała rację. Lody z gorącym sosem toffi są lepsze niż czekoladowe lody z syropem z prawoślazu. Pamiętam, że śniły mi się takie właśnie lody - pseudokoszmar, w którym nabierałem na łyżeczkę duży ich kęs... i unosiłem je do ust, aby stwierdzić, że jest pusta. Myślę, że to właśnie mnie obudziło.

Margrethe zwróciła głowę w moją stronę i uśmiechnęła się. Wyglądała jak szesnastolatka i to niebiańskiej urody. („Piersi twe jak dwoje kozłat, bliźniat gazeli. Cała piękna jesteś, przyjaciółko moja, i nie ma na tobie skazy".)

- Dzień dobry, piękna.

Zachichotała.

- Dzień dobry, księżę z bajki. Czy dobrze spałeś?

- Szczerze mówiąc, Margrethe, nie spałem tak dobrze od miesiąca. To dziwne. Jedyne, czego mi brak, to śniadania podanego do łóżka.

- Natychmiast, proszą pana! Już pędzę!

- Pójdę z tobą. Nie powinienem był wspominać o jedzeniu. Zadowolę się pocałunkiem. Myślisz, że zdołamy się pocałować, nie wpadając do wody?

- Chyba tak. Zachowajmy jednak ostrożność. Zwróć twarz w moim kierunku, nie ruszając się z miejsca.

Był to raczej symboliczny pocałunek, a nie jeden ze specjalów Margrethe. Poruszaliśmy się bardzo ostrożnie, nie chcąc naruszać niepewnej stabilności naszej prowizorycznej tratwy. Martwiło nas jednak - przynajmniej mnie - coś ważniejszego niż groźba wpadnięcia do oceanu. Zdecydowałem się poruszyć tę sprawę, abyśmy mogli martwić się razem.

- Margrethe, zgodnie z mapą, która wisiała przy wejściu do jadalni, znajdowaliśmy się niedaleko na zachód od wybrzeża Meksyku, w pobliżu Mazatlanu. O której godzinie zatonął statek? O ile zatonął. Pytałem o godzinę zderzenia.

- Nie wiem.

- Ja też nie. Jestem pewien, że było po północy. „Konge Knut” miał przybić do brzegu o ósmej rano. Tak więc brzeg może się znajdować w odległości stu mil na wschód, albo gdzieś w pobliżu. Tam są góry. Może zdołamy je dostrzec, gdy się przejaśni. Wczoraj się rozchmurzyło, dzisiaj chyba będzie słonecznie. Kochanie, jak sobie radzisz z pływaniem długodystansowym? Jeżeli zobaczymy góry, czy zechcesz spróbować dopłynąć do brzegu?

Minęła dłuższa chwila, zanim odpowiedziała:

- Alec, jeśli chcesz, możemy zaryzykować.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- To prawda. - Wydaje mi się, że w ciepłej wodzie morskiej mogłabym tego dokonać. Przeplłynęłam kiedyś przez Duży Bełt, w wodzie zimniejszej niż tutaj. Ale przecież, Alec, w Bełcie nie ma rekinów. Tutaj są. Sama widziałam.

Westchnąłem głośno:

- Cieszę się, że to powiedziałaś. Nie chciałem sam o tym wspominać. Kochanie, sądzę, że musimy pozostać na miejscu i zachować spokój. Nie zwracać na siebie uwagi. Mogę sobie darować śniadanie, zwłaszcza śniadanie rekina.

- Nie umiera się z głodu tak szybko.

- Nie umrzemy z głodu. Gdybyś mogła wybierać, na co byś się zdecydowała? Śmierć z głodu? Od porażenia słonecznego? W paszczy rekina? Czy z pragnienia? We wszystkich historiach o rozbitkach albo o Robinsonie Cruzoe, które czytałem, bohater miał jakieś narzędzia. Ja nie mam nawet wykałaczki. Przepraszam, mam ciebie. To zwiększa moje szanse. Jak sądzisz, Margrethe, co powinniśmy zrobić?

- Myślę, że zostaniemy uratowani.

Również tak sądziłem, ale z powodów, o których nie chciałem wspominać Margrethe.

- Miło mi to usłyszeć. Dlaczego jednak tak sądzisz?

- Alec, czy byłeś kiedyś w Mazatlanie?

- Nie.

- To jest wielki port rybacki. Zarówno podczas połowów użytkowych, jak i sportowych, już od świtu setki łodzi wyruszają w morze. Największe i najszybsze z nich odpływają na wiele kilometrów od brzegu. Jeśli poczekamy dostatecznie długo, znajdą nas.

- Chciałaś powiedzieć, że mogą nas znaleźć. Ocean jest bardzo rozległy. Masz jednak rację. Próba dopłynięcia do brzegu byłaby samobójstwem. Naszą jedyną szansą jest czekać cierpliwie.

- Będą nas szukać, Alec.

- Tak sądzisz? Dlaczego?

- Jeśli „Konge Knut” nie zatonął, to kapitan wie, kiedy i gdzie wypadliśmy za burtę. Kiedy dopłyną do portu - mniej więcej w tej chwili - zarządzi poszukiwania. Jeśli zaś statek zatonął, będą przeszukiwać całą okolicę w poszukiwaniu ocalonych z katastrofy.

- Brzmi logicznie. (Miałem na ten temat inne zdanie, które w najmniejszym stopniu nie było logiczne).

- Naszym celem jest utrzymać się przy życiu, zanim nas nie znajdą, broniąc się przed rekinami, pragnieniem i porażeniem słonecznym najlepiej, jak potrafimy. Wszystko to oznacza, że musimy pozostać bez ruchu. Przez cały czas zupełnie bez ruchu. Poza jednym wyjątkiem - uważam, że powinniśmy od czasu do czasu przewracać się na drugi bok, gdy wszędzie słońce, aby równomiernie rozłożyć poparzenia.

- I modlić się o pochmurną pogodę. Masz we wszystkim rację. Być może nie powinniśmy też rozmawiać. To zmniejszy pragnienie, co?

Milczała przez tak długi czas, że pomyślałem, iż postanowiła posłuchać mojej rady.

W końcu powiedziała:

- Kochanie, możemy zginąć.

- Wiem o tym.

- Jeśli tak się ma stać, wolałabym słyszeć twój głos. Nie chcę też rezygnować z szansy na powiedzenie ci, że cię kocham teraz, gdy już mogę to zrobić! - W imię jałowych wysiłków przeżycia o kilka minut dłużej.

- Tak, moja kochana. Tak.

Mimo naszej decyzji rozmawialiśmy niewiele. Wystarczało mi to, że trzymam ją za rękę. Jej najwyraźniej również.

Po długim czasie - gdzieś około trzech godzin - usłyszałem głos Margrethe.

- Coś się stało?

- Alec! Popatrz tam!

Spojrzałem w kierunku, który wskazała palcem. Teraz z kolei ja powinienem był wydać okrzyk zdziwienia, byłem jednak przygotowany na coś podobnego. Wysoko ponad nami, w kształcie krzyża, podobna do szybującego ptaka, lecz znacznie większa i będąca niewątpliwie dziełem rąk ludzkich, krążyła maszyna latająca...

Wiedziałem, że maszyny latającej nie sposób skonstruować. Na politechnice zaznajomiłem się z powszechnie znanym dowodem matematycznym profesora Simona Newcomba na to, że podejmowane przez profesora Langleya i innych próby zbudowania aerodynamy zdolnej unieść w powietrze człowieka były skazane na niepowodzenie i bezużyteczne, ponieważ teoria skali dowodziła, iż żadna podobna machina o wielkości dostatecznej, by pomieścić człowieka, nie byłaby zdolna unieść silnika cieplnego o mocy wystarczającej, aby poderwać z ziemi swój ciężar - nie wspominając już o pasażerze.

W ten sposób nauka wydała ostateczny wyrok na to szaleństwo. Dzięki dowodowi profesora Newcomba zaprzestano marnowania publicznych środków na pogoń za senną marą. Zostały one przeznaczone na badania nad sterowcami, co przyniosło ogromny sukces.

W ciągu kilku ostatnich dni dowiedziałem się jednak wielu nowych rzeczy na temat tego, co jest „niemożliwe”. Gdy więc autentyczna maszyna latająca pojawiła się na niebie, nie byłem zbytnio

zaskoczony.

Wydaje mi się, że Margrethe wstrzymała oddech, zanim maszyna nie przeleciała nad nami i nie skierowała się w stronę horyzontu. Przytrafiło mi się coś podobnego, ale po chwili zmusiłem się, aby oddychać spokojnie. Maszyna była niezwykle piękna - srebrna, gładka i szybka. Nie mogłem ocenić jej wielkości, lecz jeśli te czarne plamy na jej boku były oknami, musiała być olbrzymia. Nie zdołałem dostrzec, co ją napędza.

- Alec... czy to jest sterowiec?

- Nie. Przynajmniej to nie jest to, co miałem na myśli, gdy ci opowiadałem o sterowcach. Nazwałbym to „maszyną latającą”. To wszystko, co mogę ci powiedzieć. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Mogę ci już jednak powiedzieć jedno - coś bardzo ważnego.

- Słucham?

- Wiem, że nie zginiemy... i wiem teraz również, dlaczego statek musiał zatonąć.

- Dlaczego, Alec?

- Ażeby nie dopuścić, bym porównał te odciski kciuka.

*Bo byłem głodny, a daliście mi jeść,
byłem spragniony, a daliście mi pić,*

byłem przybyszem, a przyjęliście mnie
Ewangelia według Mateusza 25, 35

- Albo, żeby wyrazić się ściślej, góra lodowa znalazła się w tym miejscu i zderzyła się ze statkiem dlatego, by nie dopuścić, abym porównał odcisk swojego kciuka z odciskiem kciuka Grahama w jego prawie jazdy. Możliwe, że statek nie zatonął. To nie było konieczne.

Margrethe nie odrzekła nic, dodałem więc spokojnie:

- No proszę, kochanie, powiedz to! Wyduś to z siebie! Nie mam nic przeciwko temu. Jestem wariatem. Paranoikiem.

- Alec, nie powiedziałam tego. Nawet nie pomyślałam. Nigdy by mi to do głowy nie przyszło.

- Nie, nie powiedziałaś. Tym razem jednak nie można wszystkiego zwalić na „utrata pamięci”. O ile, rzecz jasna, oboje widzieliśmy to samo. Powiedz, co widziałaś?

- Widziałam niezwykle przedmiot na niebie. Słyszałam go również. Powiedziałeś, że to maszyna latająca.

- No cóż, myślę, że tak to się powinno nazywać. Jeśli jednak tak sobie życzysz, możesz to nazwać... hmm... „gumpeżagiel”. Coś nowego i niezwykłego. Jak wygląda „gumpeżagiel?” Opisz mi go.

- To był przedmiot poruszający się po niebie. Przyleciał stamtąd, potem przeleciał bezpośrednio nad nami i zniknął tam (wskazała palcem w kierunku północnym). Był mniej więcej w kształcie krzyża. Krucyfiks. Poprzeczny fragment miał na sobie wypukłości, chyba cztery. Na przednim końcu były oczy, jak u wieloryba, a na tylnym płetwy, też jak u wieloryba. Wieloryb ze skrzydłami, tak to wyglądało. Alec, wieloryb lecący w powietrzu!

- Myślisz, że to było żywe?

- Hmm. Nie wiem. Chyba nie. Nie wiem, co myśleć.

- Nie sądzę, żeby to było żywe. Myślę, że to maszyna. Maszyna latająca. Łódź ze skrzydłami. Wszystko jedno, czy to maszyna, czy też latający wieloryb. Czy kiedykolwiek w życiu widziałaś coś takiego?

- Alec, to było tak niezwykle, że wciąż trudno mi uwierzyć, iż to widziałam.

- Wiem o tym. Ty jednak dostrzegłaś to pierwsza i wskazałaś mnie, a więc nie wmówiłem ci, że to widzisz.

- Nie zrobiłbyś czegoś takiego.

- Nie, nie zrobiłbym. Cieszę się jednak, że to ty dostrzegłaś to pierwsza, kochana dziewczyno. To znaczy, że to istnieje naprawdę i nie jest jedynie wytworem mojego chorego mózgu. Ten przedmiot nie pochodzi ze świata, który znasz... mogę ci też przysiąc, że nie jest to jeden ze sterowców, o których ci mówiłem, i że nie pochodzi ze świata, w którym się wychowałem. Znaleźliśmy się więc w nowym, trzecim świecie - westchnąłem - za pierwszym razem koniecznie musiałem zobaczyć pasażerski dwudziestotysięcznik, aby się przekonać, że znalazłem się w innym świecie. Tym razem jeden rzut oka na coś, co po prostu nie mogło istnieć w moim świecie, wystarczył, abym dowiedział się, że znowu mi to zrobili. Zamienili światy w chwili, gdy byłem nieprzytomny. Tak mi się przynajmniej zdaje. Tak czy inaczej sądzę, że zrobili to; aby powstrzymać mnie przed porównaniem tych dwóch odcisków kciuka. Paranoja. Urojenie, że cały świat spiskuje przeciwko tobie. Z tym, że

to nie jest urojenie.

Spojrzałem jej w oczy:

- Jak myślisz?

- Alec... czy to możliwe, że zdawało się nam obojgu? Może to delirium? Mamy za sobą ciężkie przejścia. Ty uderzyłeś się w głowę, ja również mogłam się uderzyć w swoją podczas zderzenia z górą lodową.

- Margrethe, w delirium nie moglibyśmy mieć identycznych halucynacji. Gdybyś po obudzeniu stwierdziła, że zniknąłem, byłoby to potwierdzeniem twojej hipotezy. Ale ja nie zniknąłem. Jestem tu z tobą. Poza tym należałoby jeszcze wyjaśnić, skąd się wzięła góra lodowa tak daleko na południe. Paranoja to prostsze wyjaśnienie. Ale jednak ten spisek jest skierowany przeciwko mnie. Ty zostałam w niego zamieszana jedynie nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności. Przykro mi. (Wcale nie było mi przykro. Tratwa na środku oceanu nie jest miejscem dla samotnego człowieka. Razem z Margrethe czułem się tam jednak jak w raju.)

- Nadal myślę, że wspólna halucynacja jest... Alec, ona wraca! - zawołała wskazując palcem.

Z początku nie widziałem nic, potem jednak zobaczyłem. Punkt, który przybliżając się, przybrał kształt krzyża. Kształt, który rozpoznałem jako „maszynę latającą”. Obserwowałem, jak się zbliża.

- Margrethe, to z pewnością zawróciło. Musiało nas dostrzec. Czy musieli. Albo musiał. Wszystko jedno.

- Możliwe.

W miarę jak maszyna się zbliżała, zauważyłem, że nie przeleci nad nami, lecz raczej pomknie na prawo od nas.

- To nie jest ta sama - oświadczyła nagle Margrethe.

- Nie jest to również latający wieloryb, chyba że w tych okolicach latające wieloryby mają pod swoimi bokami namalowane szerokie czerwone pasy.

- To nie jest wieloryb. To znaczy, chciałam powiedzieć, że to nie jest żywe. Masz rację, Alec, to jest maszyna. Kochanie, czy rzeczywiście myślisz, że w środku są ludzie? To mnie przeraża.

- Myślę, że byłbym bardziej przerażony, gdyby w środku nie było ludzi. (Przypomniałem sobie fantastyczne opowiadanie tłumaczone z niemieckiego, opisujące świat zamieszkały wyłącznie przez automatyczne maszyny. To nie była przyjemna opowieść.) W gruncie rzeczy to dobra wiadomość. Oboje wiemy teraz, że pierwsza maszyna nie była snem ani halucynacją. To potwierdza ostatecznie fakt, że znajdujemy się w innym świecie. Z tego wynika, że zostaniemy uratowani.

- Nie rozumiem związku - odpowiedziała niepewnym głosem.

- To dlatego, że wciąż nie chcesz uznać mnie za paranoika. Dziękuję ci za to, kochanie, ale to jest najprostsza hipoteza. Gdyby ten dowcipniś, który zaaranżował całą sprawę, zamierzał mnie zabić, miał okazję to zrobić przy zderzeniu z górą lodową. Albo wcześniej w dole pełnym ognia. On jednak nie zamierza mnie zabić, przynajmniej na razie. Bawi się ze mną w kotka i myszkę. Tak więc zostanę uratowany. Ty również, ponieważ jesteśmy razem. Byłaś ze mną, gdy statek zderzył się z górą lodową - twój pech! Jesteś ze mną teraz, a więc zostaniesz uratowana - twoje szczęście! Nie odrzucaj prawdy, kochanie! Miałem kilka dni na to, aby przyzwycząić się do tej myśli i stwierdziłem, że można to zrobić, jeśli podejść do tego na luzie. Paranoja wyraża najbardziej racjonalny stosunek do świata opartego na spisku.

- Ależ Alec, świat nie powinien być urządzony w ten sposób.

- Słowo „powinien” nie ma tu nic do rzeczy, najdroższa. Podstawą filozofii jest akceptacja świata takiego, jakim jest, a nie próby dopasowania go do kształtu, jaki, naszym zdaniem, powinien mieć. O, kurczę! - dodałem. - Nie przewracaj się na drugą stronę! Nie chcesz chyba stać się kąskiem dla

rekina teraz, gdy znaleźliśmy dowód na to, że zostaniemy uratowani.

Przez prawie godzinę nie wydarzyło się nic, oprócz tego, że dostrzegliśmy dwa wspaniałe marliny. Chmury rozpiezchły się i zacząłem się niepokoić, czy ratunek nadejdzie szybko. Byli mi chyba winni przynajmniej to, żeby uchronić mnie przed poparzeniem trzeciego stopnia. Margrethe mogła być zdolna znieść nieco większą dawkę słońca niż ja. Była blondynką, lecz ciało miała opalone na kolor ciepłej grzanki. Wyglądała ślicznie! Ja jednak byłem biały jak pomocnik młynarza - z wyjątkiem twarzy i rąk, i po wystawieniu się na tropikalne słońce przez cały dzień wylądowałbym w szpitalu. Albo i gorzej.

Na wschodnim horyzoncie majaczyły teraz niewyraźne szare kształty, które mogły być górami. Tak przynajmniej sobie powtarzałem, choć niewiele można dostrzec, gdy masz oczy zaledwie na wysokości siedmiu cali nad powierzchnią wody. Jeśli rzeczywiście były to góry lub wzgórza, oznaczało to, że łódź znajdował się w odległości niewielu mil. W każdej chwili mogliśmy dostrzec łódzie z Mazatlanu... o ile Mazatlan istniał w tym świecie. O ile...

Nagle pojawiła się następna maszyna latająca. Przypominała ona dwie poprzednie tylko w niewielkim stopniu. Tamte leciały równolegle do wybrzeża - pierwsza nadleciała z południa, a druga z północy. Ta natomiast przyleciała wprost od brzegu, kierując się ogólnie w kierunku zachodnim, choć leciała zygzakiem.

Przeleciała na północ od nas, potem zawróciła, zataczając wokół nas krąg. Leciała na tyle nisko, iż mogłem dostrzec, że w środku rzeczywiście są ludzie. Było ich chyba dwóch.

Trudno jest opisać jej kształt. Wyobraźcie sobie wielki latawiec skrzyniowy - około czterdziestu stóp długości i czterech szerokości - z odstępem około trzech stóp pomiędzy obydwoma powierzchniami lotnymi. Wyobraźcie sobie też, że latawiec ten umieszczono pod kątem prostym do przedmiotu przypominającego łódź czy raczej kajak Esquimau, lecz większego, znacznie większego - mnie więcej tej samej wielkości co latawiec. Poniżej tego wszystkiego znajdowały się jeszcze dwa mniejsze kajakowate przedmioty, równoległe do większego. Na jednym z końców tego spłaszczonego „cygara” umieszczony był silnik (jak to stwierdziłem później), a przed nim powietrzna śruba, przypominająca wodną śrubę statku. To zauważyłem później.

Gdy po raz pierwszy ujrzałem tę niewiarygodną konstrukcję, śruba powietrzna obracała się tak szybko, że po prostu nie sposób było jej dostrzec. Można ją jednak było usłyszeć. Ogłuszający hałas wywoływany przez tę maszynę nie ustawał ani na chwilę.

Maszyna zawróciła w naszą stronę i skręciła w dół tak, że kierowała się prosto na nas. Wyglądała zupełnie jak pelikan nurkujący w powietrzu, aby schwytać rybę.

My byliśmy tą rybą. To było przerażające. Przynajmniej dla mnie, Margrethe nawet nie pisnęła. Niemniej ścisnęła moje palce bardzo mocno. Fakt, że nie byliśmy rybami, i że maszyna nie mogła nas zjeść, ani nie miałyby ochoty tego zrobić, wcale nie zmniejszył grozy sytuacji.

Pomimo mojego strachu (lub może z jego powodu) widziałem teraz, że cała konstrukcja była przynajmniej dwa razy większa, niż mi się wydawało, gdy po raz pierwszy ujrzałem latającą maszynę wysoko na niebie. Prowadziło ją dwóch szoferów siedzących obok siebie za oknem w części przedniej. Jeśli chodzi o silnik, okazało się, że są dwa, umieszczone pomiędzy skrzydłami „latawca”, jeden na prawo, drugi na lewo od szoferów.

Dosłownie w ostatniej chwili maszyna uniosła się w górę jak koń skaczący przez przeszkodę i przeleciała tuż nad nami. Towarzyszący jej podmuch o mało nie strącił nas z tratwy. Wskutek hałasu zaczęło dzwonić mi w uszach.

Maszyna uniosła się nieco w górę i zawróciła w naszą stronę, kierując się jednak teraz nieco w bok. Bliźniacze dolne kajaki dotknęły wody, wywołując na niej imponujący ślad przypominający

ogon komety. Następnie cała konstrukcja zwolniła, zatrzymała się i stanęła w miejscu, na wodzie, nie tonąc!

Śruby powietrzne poruszały się teraz bardzo powoli, tak że mogłem ujrzeć je z bliska... i podziwiać pomysłowość inżynierów, którzy je skonstruowali. Przypuszczam, że nie były tak wydajne jak wydrążone śruby powietrzne używane w naszych sterowcach, stanowiły jednak eleganckie rozwiązanie problemu w miejscu, gdzie wydrążenie byłoby utrudnione lub wręcz niemożliwe. Z drugiej strony jednak te piekielnie hałaśliwe silniki! Nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób inżynierowie mogli się z tym pogodzić. Jak mawiał jeden z moich profesorów (w czasach, zanim termodynamika przekonała mnie, że mam powołanie do stanu duchownego), hałas jest zawsze skutkiem ubocznym niedostatecznej wydajności. Prawidłowo skonstruowany silnik jest cichy jak grób.

Maszyna zawróciła ponownie, kierując się w naszą stronę, tym razem wolniuteńko. Jej szoferzy poprowadzili ją tak, że niemal zatrzymała się w odległości kilku stóp od nas. Jeden z nich wypełznął z pomieszczenia znajdującego się z tyłu od okna i złapał się lewą ręką za jeden z pionowych prętów łączących ze sobą obie powierzchnie latawca. W drugiej ręce trzymał zwój liny. Gdy maszyna mijała nas, rzucił linę w naszą stronę. Złapałem ją, zaciskając na niej ręce. Sam nie wpadłem do wody, ponieważ Margrethe z kolei złapała mnie.

Podąłem jej linę.

- Pozwól, żeby cię wciągnął do środka. Ja wejdę do wody i podążę za tobą.

- Nie!

- Co to znaczy „nie”? Nie ma teraz czasu, aby się sprzeczać. Zrób to!

- Alec, bądź cicho! On chce nam coś powiedzieć.

Zamknąłem usta, czując się cokolwiek obrażony. Margrethe nasłuchiwała uważnie. (Nie miało sensu, żebym słuchał, co mówi szofer. Mój hiszpański ograniczał się do „Gracias” i „Por favor”. Zamiast tego przeczytałem litery na boku maszyny: EL GUARDACOSTAS REAL DE MEXICO).

- Alec, on mówi, żebyśmy uważali na rekiny.

- O, kurczę!

- No, właśnie. Mamy pozostać na miejscu. On będzie delikatnie ciągnął za linę. Chyba chce nas wprowadzić do maszyny tak, żebyśmy nie musieli wchodzić do wody.

- To mi się podoba!

Spróbowaliśmy tego dokonać, lecz nie udało się. Zaczął wiać silniejszy wiatr, który wywierał większy efekt na maszynę latającą niż na nas. Nasiąknięty wodą materac był praktycznie przykuty do miejsca. Jego powierzchnia żaglowa równała się niemal zeru. Zamiast więc wciągnąć nas do maszyny, mężczyzna na drugim końcu liny zmuszony był popuszczać ją coraz bardziej, aby nie wciągnąć nas do wody.

Zawołał coś do nas. Margrethe odpowiedziała mu. Wymienili jeszcze kilka okrzyków, po czym Margrethe zwróciła się do mnie:

- Mówi, żebyśmy puścili linę. Ruszą z miejsca i ponownie zawrócą w naszą stronę, tym razem prosto na nas, ale bardzo powoli. W momencie, gdy będą najbliżej, musimy spróbować wdrapać się do „aeroplano”. Do tej maszyny.

- Zgoda.

Maszyna oddaliła się, ślizgając się po powierzchni wody, po czym zawróciła w naszą stronę. Podczas oczekiwania nie odczuwaliśmy nudy. Płetwa grzbietowa wielkiego rekina dostarczała nam rozrywki. Nie zaatakował nas. Najwyraźniej nie myślał (myślał?), że nadajemy się do jedzenia. Przypuszczalnie widział tylko dolną część materaca.

Maszyna latająca skierowała się prosto w naszą stronę jak monstrualna wałka, ślizgająca się po powierzchni wody.

- Kochanie, gdy będzie nas mijać, spróbuj się złapać najbliższego pręta - powiedziałem. - Popchnę cię, a potem podążę za tobą.

- Nie, Alec.

- Co to znaczy „nie”? - zdenerwowałem się. Margrethe była wspaniałą towarzyszką, lecz bywała uparta w najmniej odpowiednich momentach.

- Nie możesz mnie popchnąć. Nie masz punktu oparcia. Nie możesz wstać ani nawet usiąść. Hmm. Spróbuj się wgramolić z prawej strony, a ja z lewej. Jeśli ktoś z nas chybi, wracajmy na materac - i to szybko. „Aeroplano” zawróci po raz kolejny.

- Ale...

- Tak kazał nam postąpić!

Nie było już czasu. Maszyna znalazła się tuż obok. Jej „nogi”, czy belki, łączące dwa dolne kształty z kadłubem, minęły materac, jeden tuż obok mnie, drugi w zasięgu Margrethe.

- Teraz! - krzyknęła. Skoczyłem w swoją stronę i chwyciłem się belki. Moja prawa ręka o mało nie została wyrwana z korzeniami, lecz wspinałem się uparcie jak małpa. Złapałem się obiema rękami za podwozie, oparłem stopę na poziomym kajaku i odwróciłem głowę. Ujrzałem rękę sięgającą w stronę Margrethe, która wdrapała się w górę, została wciągnięta na skrzydło latawca i zniknęła. Ponownie rozpocząłem wspinaczkę. Nagle przelewitowałem aż na skrzydło. Normalnie nie potrafię lewitować, lecz tym razem zdopingował mnie widok brudnobiałej płetwy, za dużej na jakąkolwiek przyzwoitą rybę, przecinającej wodę w pobliżu mojej stopy.

Znalazłem się tuż obok małej kabiny, z której kierowano tym niezwykłym pojazdem. Drugi z mężczyzn (nie ten, który wyszedł na zewnątrz, aby nam pomóc) wystawił głowę przez okno, uśmiechnął się do mnie, sięgnął ręką do tyłu i otworzył niewielkie drzwiczki. Wpełznąłem do środka głową naprzód. Margrethe już tam była.

W środku znajdowały się cztery fotele, dwa na przedzie, gdzie siedzieli szoferzy, i dwa z tyłu, przeznaczone dla nas.

Szofer siedzący po mojej stronie rozejrzał się dokoła i powiedział coś, gapiąc się - widziałem to! - na Margrethe. To prawda, że była naga, ale to nie była jej wina i dżentelmen nie powinien się na nią gapić.

- Mówi - wyjaśniła Margrethe - że musimy zapiąć pasy. Chyba chodzi mu o to... - Mocowała się ze sprzączką umieszczoną na końcu pasa, którego drugi koniec był przytwierdzony do kadłuba.

Stwierdziłem, że siedzę na takiej samej sprzączce, która wbija się w mój poparzony grzbiet. Nie spostrzegłem jej dotąd. Zbyt wiele rzeczy zwracało moją uwagę. (Dlaczego nie trzymał gał przy sobie! Byłem gotów wrzasnąć na niego. To, że przed chwilą uratował jej życie - i moje - narażając swe własne, nie miało znaczenia w tym momencie. Byłem po prostu coraz bardziej wściekły, że wykorzystywał bezbronną kobietę.)

Zająłem się tym skubanym pasem, starając się nie patrzeć na tego typa. Tamten powiedział coś do swego towarzysza, który zgodził się z nim entuzjastycznie. Margrethe przerwała dyskusję.

- Co oni gadają? - zapytałem.

- Ten biedak chce mi odstąpić własną koszulę. Sprzeciwiłam się... ale nie na tyle mocno, żeby temu zapobiec. To bardzo szlachetne z ich strony i, choć nie jestem przeczulona w tej sprawie, czuję się lepiej, gdy - przebywając w towarzystwie nieznajomych - mam coś na grzbiecie.

Posłuchała jeszcze przez chwilę i dodała:

- Spierają się, któremu z nich przypadnie ten zaszczyt.

Zamknąłem gębę na kłódkę. Przeprosiłem ich w myśli. Założę się, że nawet rzymski papież rzucił w swym życiu ukradkowe spojrzenie, jeden czy dwa razy.

Najwyraźniej mężczyzna siedzący po prawej stronie odniósł zwycięstwo w tym sporze. Zaczął wiercić się w swym fotelu - nie mógł wstać - aż wreszcie ściągnął koszulę i podał ją Margrethe.

- Senorita. Por favor.

Dodał coś jeszcze, co wykraczało poza moją znajomość języka. Margrethe odpowiedziała mu z godnością i wdziękiem, a potem wciąż rozmawiając z nim, wcisnęła się w koszulę, która okryła w znacznej części jej nagość. Zwróciła się w moją stronę:

- Kochanie, dowódca to Teniente Anibal Sanz Garcia, a jego pomocnik to Sargento Roberto Dominguez Jones, obaj z Królewskiej Meksykańskiej Straży Przybrzeżnej. Zarówno porucznik, jak i sierżant chcieli mi odstąpić koszulę, ale sierżant wygrał grę w palce, dostałam więc ją od niego.

- To bardzo szlachetnie z jego strony. Spytaj ich, czy mają w tej maszynie coś, co ja mógłbym założyć!

- Spróbuję.

Wypowiedziała kilka zdań. Usłyszałem własne nazwisko. Następnie przeszła z powrotem na angielski.

- Panowie, mam zaszczyt przedstawić mojego męża. Oto senior Alexandro Graham Hergensheimer. Przeszła z powrotem na hiszpański. Po chwili uzyskała odpowiedź.

- Porucznik jest zrozpaczony, lecz musi przyznać, że nie mogą ci nic zaoferować. Przysięga jednak na cześć swojej matki, że coś się dla ciebie znajdzie, gdy tylko dotrzemy do kwatery głównej Straży Przybrzeżnej w Mazatlan. Teraz nalega, żebyśmy zapięli mocno pasy, gdyż za chwilę wzbijemy się w powietrze. Alec, boję się!

- Nie trzeba. Będę cię trzymał za rękę.

Sierżant Dominguez odwrócił się ponownie w naszą stronę, trzymając w ręku manierkę.

- Agua?

- Na Boga, tak! - krzyknęła Margrethe. - Si, si, si!

Nigdy woda nie smakowała mi tak bardzo.

Gdy zwróciliśmy manierkę, porucznik rozejrzał się dokoła, uśmiechnął się szeroko, skierował swój kciuk w górę w geście starym jak Koloseum i zrobił coś, co przyspieszyło pracę silników maszyny. Dotąd pracowały wolniutko, ale teraz przyspieszyły ze wściekłym hałasem. Maszyna skreśliła, pilot skierował ją pod wiatr.

Od rana wiała bryza, lecz teraz na szczytach fal zaczęła się pokazywać biała piana. Porucznik jeszcze bardziej zwiększył obroty silników, które pracowały z niewiarygodną gwałtownością i ruszyliśmy naprzód, objijając się o powierzchnię wody, a potem wszystko w środku dygotało.

Nagle zaczęliśmy uderzać w mniej więcej co dziesiątą falę z niewiarygodną siłą, chyba próbując wzlecieć. Nie rozumiem, dlaczego maszyna się nie rozbiła. Wtem znaleźliśmy się dwadzieścia stóp nad powierzchnią wody. Wstrząsy ustały, lecz wibracja i hałas trwały nadal. Wzbiliśmy się ostro w górę, a potem zawróciliśmy i ponownie zaczęliśmy opadać.

O mały włos nie zwymiotowałem całej, tak cennej, wody. Tuż pod nami rozpościerała się lita ściana oceanu. Porucznik odwrócił głowę i krzyknął coś do nas.

Chciałem mu powiedzieć, żeby patrzył, gdzie leci, ale ugryzłem się w język.

- Co on powiedział?

- Mówi, żebyśmy spojrzeli tam, gdzie wskaże palcem. „El tiburón blanco grande” - wielki biały rekin, który o mały nas nie pożarł.

(Mógłbym sobie darować ten widok.) W rzeczy samej, w samym środku ściany wody widać było

szare widmo zaopatrzone w płetwę przecinającą fale. Gdy już byłem pewien, że uderzymy prosto w szczyt tej płetwy, ściana odchyliła się w bok, jakaś siła wtłoczyła moje pośladki w siedzenie, w uszach mi zaszumiało i po raz drugi udało mi się nie zwymiotować na naszego gospodarza, tylko wyłącznie dzięki żelaznej sile woli. Maszyna wyrównała lot i nagle podróż stała się niemal wygodna, pomijając łoskot silników i wibrację.

Latanie sterowcem jest jednak znacznie przyjemniejsze.

Gdy tylko znaleźliśmy się w powietrzu, natychmiast dostrześliśmy pofałdowane wzgórza rozciągające się poza linią brzegu, tak trudne do zauważenia z naszej tratwy. Ujrzeliśmy także cały wachlarz pięknych plaż oraz miasto, w którego stronę się kierowaliśmy. Sierżant spojrzął w tamtym kierunku, wskazał na miasto i wymamrotał coś.

- Co on mówi?

- Sierżant Roberto powiedział, że przylecimy akurat na obiad. Użył słowa „almuerzo”, ale dodał, że dla nas będzie to śniadanie - „desayuno”.

Mój żołądek postanowił nagle uspokoić się na chwilę.

- Powiedz mu, że nie musi gotować tego konia. Zjem go na surowo.

Margrethe przetłumaczyła. Obaj mężczyźni roześmiali się. Po chwili porucznik obniżył lot i przystąpił do lądowania na powierzchni wody, cały czas oglądając się przez ramię i rozmawiając z Margrethe, która nie przestawała się uśmiechać, wbijając jednocześnie paznokcie w moją prawą dłoń.

Wylądowaliśmy. Nikt nie stracił życia. Sądzę jednak, że sterowce są znacznie bezpieczniejsze.

Obiad! Wszystko szło ku lepszemu.

W pocie oblicza twego będziesz musiał tedy zdobywać pożywienie póki nie wrócisz do ziemi, z której zostałeś wzięty.

Księga Rodzaju 3, 19

W pół godziny po tym, jak maszyna latająca wylądowała z pluskiem w porcie Mazatlan, Margrethe i ja usiedliśmy z sierżantem Dominguezem w kantine dla żołnierzy Straży Przybrzeżnej. Spóźniliśmy się na południowy posiłek, lecz obsłużono nas. Otrzymałem też ubranie lub coś w tym rodzaju - spodnie robocze z grubego perkalu. Różnica między nagością a parą spodni jest o wiele większa niż różnica pomiędzy tanimi spodniami roboczymi a najpiękniejszym futrem z gronostaja. Spróbujcie przekonać się sami.

Do miejsca, gdzie przycumowała maszyna latająca, podpłynęła mała łódź. Musiałem przejść przez nabrzeże, przy którym wylądowaliśmy, do budynku kwatery głównej, i poczekać, aż znajdą się dla mnie jakieś spodnie. Cały czas gapili się na mnie jacyś ludzie, a wśród nich kobiety. Wiem teraz, jak się czuje człowiek w dybach. Okropnie! Nie czułem się tak zawstydzony od czasu pewnego niefortunnego incydentu w szkółce niedzielnej, gdy miałem pięć lat.

Miałem to już jednak za sobą. Przed nami stało jedzenie i picie. Czułem się nadzwyczaj uszczęśliwiony - przynajmniej w tej chwili. Jedzenie nie było takie, do jakiego przywykłem, lecz niezależnie od tego, kim był ten, kto powiedział, że głód jest najlepszą przyprawą, miał on rację. Obiad smakował wyśmienicie. Cienkie placki z mąki kukurydzianej maczane w sosie, smażona fasola, gorący, przypalony gulasz, waza pełna małych, żółtych pomidorów i kawa - mocna, czarna i gorzka - czegoż więcej może pragnąć człowiek, który jeszcze niedawno głodował pośrodku oceanu? Żaden smakosz nie napawał się nigdy swoim posiłkiem tak jak ja wtedy. (Z początku czułem się nieco dotknięty tym, że jedliśmy w kantine dla żołnierzy, zamiast udać się z porucznikiem Sanzem tam, gdzie jedli oficerowie. Znacznie później ktoś wytłumaczył mi, że cierpiałem na złudzenie typowe dla cywilów. Cywil, który nie ma żadnego doświadczenia wojskowego, uważa się nieświadomie za równego pod względem statusu społecznego oficerom, nigdy szeregowym żołnierzom. Po zastanowieniu okazuje się, że ta opinia jest absurdalna, jest ona jednak niemal powszechna... może nie wszędzie, ale z pewnością w Ameryce, gdzie każdy uważa się za „równie dobrego co wszyscy, a lepszego niż większość.”)

Sierżant Dominguez odzyskał teraz swą koszulę. Podczas gdy szukano dla mnie spodni, kobieta - chyba posługaczka, gdyż w Meksykańskiej Straży Przybrzeżnej kobiety nie służyły - została wysłana na poszukiwanie stroju dla Margrethe. Wkrótce przyniesiono jaskrawą bluzkę i spódnicę z bawełny. Był to prosty i niewątpliwie tani kostium, lecz Margrethe wyglądała w nim pięknie.

Jak dotąd, nie mieliśmy butów. To nieważne - było ciepło i sucho, więc buty mogły poczekać. Byliśmy syci, ubrani i bezpieczni. Ta gorąca gościnność sprawiła, iż w przypływie wdzięczności uznałem, że Meksykanie to najlepsi ludzie na Ziemi. Wypijając drugi kubeczek zupy, powiedziałem:

- Kochanie, w jaki sposób możemy przeprosić ich i wyjść tak, by nie poczytano nam tego za nieuprzejmość? Myślę, że powinniśmy jak najszybciej odnaleźć amerykańskiego konsula.

- Musimy wrócić do kwatery głównej.

- Dalsze biurokratyczne formalności?

- Myślę, że można to tak określić. Chyba chcą się od nas dowiedzieć, w jaki sposób znaleźliśmy się w miejscu, gdzie nas uratowano. Trzeba przyznać, że nasza opowieść brzmi dziwnie.

- Chyba masz rację.

Nasza pierwsza rozmowa z komendantem nie przyniosła zadowalających rezultatów. Gdybym był sam, nazwałby mnie chyba kłamcą, trudno jednak było prawdziwemu samcowi, przepelnionemu męską dumą, przemówić w ten sposób do Margrethe.

Kłopot tkwił w naszym statku „Konge Knut”, który ani nie zatonął, ani nie przybił do portu, lecz po prostu nigdy nie istniał. Zdziwiłem się tylko troszeczkę. Gdyby zamienił się w żaglowiec z pełnym takielunkiem albo kwinkweremę, nie zdziwiłbym się w ogóle. Spodziewałem się jednak, że jakiś statek o tej samej nazwie istnieje i w tym świecie. Sądziłem, iż wymagają tego zasady gry. Okazało się jednak, iż nie pojąłem tych reguł, o ile w ogóle istniały jakiegokolwiek zasady.

Margrethe wskazała mi jeszcze jeden fakt - Mazatlan nie był tym samym miastem, w którym przebywała uprzednio. Miejscowość była znacznie mniejsza i w ogóle nie była ośrodkiem turystycznym. Nie istniało w porcie długie nabrzeże, do którego mógłby przybić „Konge Knut”.

Mam wrażenie, że to właśnie na równi z latającymi maszynami przekonało ją, że moja „paranoja” stanowiła w gruncie rzeczy trafną hipotezę. Przebywała już w Mazatlan. Nabrzeże portowe było długie i murowane. Teraz zniknęło. To nią wstrząsnęło.

Nie wywarliśmy na komendancie korzystnego wrażenia. Spędził więcej czasu na rozmowie z porucznikiem Sanzem niż z nami. Wydawał się być z niego niezadowolony.

Wchodził tu w grę jeszcze jeden czynnik, którego wówczas nie rozumiałem i do dzisiaj nie rozumiem w stu procentach. Zwierzchnik Sanza był „kapitanem” („capitan”) i komendant również był „kapitanem”. Nie byli jednak sobie równi stopniemⁱⁱⁱ.

Straż Przybrzeżna używała stopni wojskowych marynarki wojennej. Lecz ci, którzy używali maszyn latających, stosowali stopnie armii lądowej. Sądzę, że ta drobna różnica miała przyczyny historyczne. Tak czy inaczej istniało między nimi napięcie i morski kapitan z czterema belkami nie był skłonny wierzyć święcie we wszystko, co mówił mu oficer służący na maszynach latających.

Porucznik Sanz sprowadził dwoje nagich rozbitków, którzy opowiedzieli absurdalną historię. Czterobelkowiec był skłonny winić samego Sanza z powodu jej niewiarygodności.

Sanz nie dał się zastraszyć. Myślę, że nie odczuwał żadnego respektu dla oficera, który nigdy nie znalazł się wyżej nad powierzchnią wody niż bocianie gniazdo. (Odbywwszy podróż w jego piekielnej maszynie, rozumiałem, dlaczego nie był skłonny zginać karku przed byle marynarzem. Nawet wśród pilotów sterowców, których znałem, istniała podobna tendencja do podziału wszystkich ludzi na dwie kategorie - latających i nielatających.)

Po chwili, niezdolny zachwiać Sanzem ani Margrethe i nieumiejący porozumieć się ze mną bez pośrednictwa tej ostatniej, komendant wzruszył ramionami i wydał rozkaz, który pozwolił nam spożyć obiad. Sądziłem, że na tym koniec. Teraz jednak wracaliśmy znów na przesłuchanie.

Nasza druga rozmowa z komendantem trwała krótko. Powiedział nam, że o czwartej po południu przyjmie nas sędzia zajmujący się sprawami imigracyjnymi. Nie było tu osobnego urzędu do spraw imigrantów.

Tymczasem możemy zaznajomić się z listą należności. Sposób, w jaki pokryjemy dług, będzie można uzgodnić z sędzią. Margrethe przyjęła od niego kartkę papieru ze zdziwioną miną. Zapytałem, co powiedział komendant. Przetłumaczyła mi to. Spojrzałem na rachunek.

Ponad osiem tysięcy peso!

Nie potrzeba było głębokiej znajomości hiszpańskiego, aby odczytać rachunek. Niemal wszystkie słowa brzmiały podobnie do angielskich. „Tres horas” to trzy godziny. Mieliśmy zapłacić za trzy godziny korzystania z „aeroplano” - to słowo słyszałem już wcześniej od Margrethe. Oznaczało ono ich latającą maszynę. Obciążono nas również opłatą za trzy godziny pracy porucznika Sanza i sierżanta Domingueza. Ta pozycja była pomnożona przez współczynnik, który, jak uznałem, musiał

oznaczać „pracę w powietrzu” lub coś w tym rodzaju. Dodano też cenę paliwa dla „aeroplano” oraz koszty jego obsługi. Spodnie to „pantalones”. Uwzględniono także opłatę za parę, którą miałem na sobie. „Fałda” to spódniczka, a „camisa” to bluza. Strój Margrethe zdecydowanie nie był tani. Jeden punkt zaskoczył mnie, nie ze względu na cenę, lecz na to, że w ogóle się tam znalazł, sądziłem bowiem, że byliśmy gośćmi - dwa obiady w cenie po dwadzieścia peso każdy. Była tam nawet oddzielna opłata za czas, jaki zajęliśmy komendantowi.

Zacząłem pytać, ile to jest osiem tysięcy peso w przeliczeniu na dolary, lecz przerwałem, zdając sobie sprawę, że nie mam najmniejszego pojęcia, jaką siłę nabywczą ma dolar w tym nowym świecie, w który zostaliśmy rzućni.

Margrethe zapytała o ten rachunek porucznika Sanza, który wyglądał na zawstydzonego. Było sporo wymówek i wymachiwania rękami. Wysłuchawszy go, powiedziała mi: - Alec, to nie jest pomysł Anibala ani nawet komendanta. Taryfy opłat za te usługi - ratunek na pełnym morzu, korzystanie z „aeroplano” i tak dalej zostały ustalone przez „el Distrito Real” - Dystrykt Królewski. To chyba to samo co Mexico City. Porucznik Sanz powiedział mi, że władze centralne wywierają obecnie silny nacisk, aby wszystkie służby publiczne były samofinansujące. Powiedział, że gdyby komendant nie obciążył nas opłatą za uratowanie i Inspektor Królewski dowiedziałby się o tym, cała suma zostałaby potrącona z pensji komendanta wraz z karą w takiej wysokości, jaką królewska komisja uznałaby za stosowną. Anibal pragnie, byś wiedział, że jest zrozpaczony tą pożałowania godną sytuacją. Gdyby to on był właścicielem „aeroplano”, potraktowałby nas jako gości. Zawsze będzie odnosił się do ciebie jak do brata, a mnie traktował jak siostrę.

- Powiedz mu, że odwzajemniam wszystkie jego uczucia i, proszę cię, zrób to w sposób równie kwiecisty jak on.

- Zrobię to. Roberto chciałby, żeby jego też uwzględnić.

- Sierżanta też. Dowiedz się jednak, gdzie i jak można znaleźć amerykańskiego konsula. Mamy kłopoty.

Porucznikowi Anibalowi Sanzowi nakazano, aby przypilnował, byśmy stawili się w sądzie punktualnie o czwartej. Następnie pozwolono nam odejść. Sanz przekazał sierżantowi Roberto zadanie odprowadzenia nas do konsula i z powrotem, wyraził żal, że jego obowiązki nie pozwalają mu odprowadzić nas osobiście, po czym trzasnął obcasami, nachylił się ponad ręką Margrethe i pocałował ją. Widać było, że tym prostym gestem zyskał u niej bardzo wiele. Była wyraźnie zadowolona. Niestety w Kansas nie uczą takich grzeczności. Moja strata!

Mazatlan leży na półwyspie. Stacja Straży Przybrzeżnej znajduje się niedaleko jego południowego brzegu. Tuż obok wznosi się latarnia morska. (Najwyższa na świecie - imponująca!) Konsulat amerykański ma siedzibę w odległości mili - po drugiej stronie miasta, na północnym brzegu. Należy przejść całą długość „Avenida Miguel Aleman”. Bardzo przyjemna trasa, w połowie drogi ozdobiona śliczną fontanną.

Lecz Margrethe i ja chodziliśmy na bosaka.

Sierżant Dominguez nie zaproponował jazdy taksówką, ja zaś nie mogłem sobie na to pozwolić.

Z początku bosa nogi nie wydawały się nam przeszkadzać. Na bulwarze widać było wiele bosych stóp i przecież nie wszystkie z nich należały do dzieci. (Nie byłem też jedynym mężczyzną z nagą pierśią.) W dzieciństwie traktowałem chodzenie boso jako luksus i przywilej. Chodziłem bez butów przez całe lato i zakładałem je z najwyższą niechęcią, gdy zaczynała się szkoła. Już po przejściu pierwszej przecznicy zacząłem się zastanawiać, z jakiego powodu w dzieciństwie tak się zawsze cieszyłem na chodzenie boso. W chwilę później powiedziałem Margrethe, żeby poprosiła sierżanta Roberto, aby zwolnił kroku i pozwolił mi iść w jak najgłębszym cieniu, gdyż ten skubany chodnik

parzy mi stopy. (Margrethe, która do tej pory nie skarżyła się w ogóle, nie zrobiła tego. Do tej pory czułem się nieco podenerwowany, lecz teraz anielski hart jej ducha posłużył mi za wzór, któremu trudno jednak było sprostać.)

Od tej chwili poświęciłem się całkowicie uzalaniu nad moimi biednymi, nieszczęsnymi, delikatnymi, różowymi stopami. Litowałem się nad sobą, zadając sobie pytanie, po co w ogóle opuszczałem kraj Pana Boga.

„Płakałem, że nie mam butów, zanim nie ujrzałem człowieka, który nie miał nóg”. Nie wiem, kto powiedział to po raz pierwszy, ale słusznie uważa się ten wiersz za część naszego dziedzictwa kulturowego.

To właśnie przytrafiło się mnie.

Na krótko przed miejscem, gdzie „Miguel Aleman” krzyżuje się z „Calle Aquiles Serdan”, przy fontannie; napotkaliśmy ulicznego żebraka. Spojrzał na nas w górę i uśmiechnął się, trzymając w ręku kilka ołówków. Mówię, że spojrzał w górę, ponieważ jechał na małym wózku. Nie miał nóg.

Sierżant Roberto zawołał go po imieniu i rzucił - mu monetę. Żebrak chwycił ją zębami, schował do kieszeni, zawołał: „Gracias” i skierował swą uwagę na mnie.

- Margrethe, powiedz mu, proszę, że nie mam ani grosza - powiedziałem szybko.

- Tak, Alec.

Przykucnęła, aby porozmawiać z nim oko w oko. Po chwili wstała.

- Pepe kazał ci powtórzyć, że nic nie szkodzi. Złapie cię któregoś dnia, gdy będziesz bogaty.

- Powiedz mu, że na pewno go wtedy znajdę, daję słowo.

Zrobiła to. Pepe uśmiechnął się do mnie, przekazał całusa Margrethe i zasalutował sierżantowi i mnie. Ruszyliśmy w dalszą drogę.

Przestałem rozczulać się już nad swoimi stopami. Pepe zmusił mnie do spojrzenia na moją sytuację w innym świetle. Odkąd się dowiedziałem, że rząd meksykański nie uważa faktu, że pozwoliłem mu się uratować, za przywilej, lecz każe sobie za to zapłacić, nie przestawałem litować się nad sobą. Czułem się wykorzystany i oszukany. Cały czas mamrotałem pod nosem, że moi rodacy, którzy twierdzili, że wszyscy Meksykanie to pijawki żyjące z naciągania jankeskich turystów, mieli całkowitą rację. Rzecz jasna nie dotyczyło to Roberta i porucznika, ale cała reszta! Leniwe pasożyty wszyscy co do jednego, wyciągający swe łapska po każdy jankeski dolar! Tak jak Pepe.

Przywołałem w myśli wszystkich Meksykanów, których napotkałem tego dnia, każdego, którego mogłem sobie przypomnieć i poprosiłem ich o wybaczenie za uczucie pogardy. Meksykanie byli po prostu naszymi towarzyszami w tej długiej podróży z ciemności w wieczną noc. Niektórzy dźwigali swe brzemie z godnością, inni nie. Byli też tacy, którzy dźwigali bardzo ciężkie brzemie z odwagą godną pozazdroszczenia.

Jak Pepe!

Wczoraj żyłem w luksusie, dziś byłem zadłużonym bankrutem. Zachowałem jednak zdrowie. Miałem rozum i dwie ręce - i miałem Margrethe. Moje brzemie było lekkie i powinienem dźwigać je z radością.

Dzięki ci, Pepe!

Ponad drzwiami konsulatu powiewała amerykańska flaga. Na drzwiach znajdowało się godło wykonane z brązu. Pociągnąłem za sznur dzwonka.

Po dłuższej chwili drzwi uchyliły się lekko i kobiecy głos nakazał nam zjeżdżać stąd. (Nie potrzebowałem tłumaczenia. Było oczywiste, co chciała powiedzieć.) Drzwi zaczęły się zamykać. Sierżant Roberto gwizdnął głośno i zawołał coś. Szpara poszerzyła się. Zaczęła się rozmowa. Margrethe oznajmiła: - Powiedział jej, żeby przekazała Don Ambrosio, że przyszło dwoje

amerykańskich obywateli, którzy muszą spotkać się z nim natychmiast, ponieważ o czwartej mają stawić się w sądzie.

Zmuszono nas znów do oczekiwania. Po około dwudziestu minutach służąca wpuściła nas i zaprowadziła do mrocznego biura. Przyszedł konsul, który spiorunował mnie wzrokiem i zapytał, jakim prawem odważyłem się przerwać mu sjestę.

W tej samej chwili ujrzał Margrethe i natychmiast zmienił nutę. Do niej zwrócił się słowami: „Czym mogę pani służyć? Czy zaszczyli pani mój skromny dom, przyjmując w charakterze poczęstunku szklaneczkę wina lub filiżankę kawy?”

Z bosymi stopami i ubrana w krzykliwy kostium Margrethe wciąż wyglądała na damę. Ja natomiast byłem lumpem. Nie pytajcie dlaczego.

Tak to było i już. Mężczyźni łatwiej upodabniają się do włóczęgów, ale zdarza się, że kobieta wygląda jak nędzarka. Spróbujcie to wytłumaczyć, a stwierdzicie, że przychodzą wam do głowy takie słowa jak: „królewski”, „szlachecki”, „arystokratyczny” czy „dobre maniere wyssane z mlekiem matki”, które wyklęto w opanowanej przez demokratyczne ideały Ameryce. Pytanie czy to mówi coś o Margrethe, czy też o demokratycznych ideałach, pozostawiam nierozstrzygnięte, polecając nauczycielom jako ćwiczenie dla uczniów.

Don Ambrosio był pompatycznym zerem, lecz przyjemnie było go spotkać, gdyż mówił językiem amerykańskim - nie angielskim, lecz prawdziwym amerykańskim. Urodził się w Bronsville, w stanie Teksas. Byłem pewien, że jego rodzice przybyli z Meksyku. Dzięki poparciu swych rodaków zdołał zamienić swój talent polityczny na wygodną synekurę polegającą na tłumaczeniu gringom zabłąkanym w kraju Montezumy, że nie mogą otrzymać tego, czego rozpaczliwie potrzebowali.

To właśnie, po dłuższym czasie, oznajmił nam.

Pozwoliłem Margrethe prowadzić rozmowę, ponieważ radziła sobie znacznie lepiej ode mnie. Mówiła o nas jako o panu i pani Graham. Po drodze tutaj zgodziliśmy się, że będziemy używać tego nazwiska. Gdy zostaliśmy uratowani, użyła formy „Graham Hergensheimer”. Wytłumaczyła mi później, że zrobiła to, aby umożliwić mi wybór. Mogłem wybrać nazwisko Hergensheimer, twierdząc po prostu, że słuchaczowi coś się pomyliło, i że podane nazwisko brzmiało „Hergensheimer Graham”. Nie? W takim razie ja musiałem się pomylić. Przepraszam.

Zdecydowałem się pozostać przy formie „Graham Hergensheimer” i w związku z tym używałem nazwiska Graham, aby ułatwić tok spraw. Dla Margrethe zawsze byłem Grahamem, sam również przez prawie dwa tygodnie używałem tego nazwiska. Zanim wyszliśmy z konsulatu, wypowiedziałem jeszcze tuzin kłamstw w celu uwiarygodnienia mojej opowieści. Nie chciałem niepotrzebnych komplikacji. „Pan i pani Graham” to było najprostsze rozwiązanie. (Drobna uwaga teologiczna: Wiele osób sądzi, że Dziesięcioro Przykazań zakazuje kłamstwa. Nic podobnego! Zakaz dotyczy mówienia fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu twemu - specyficzna, ściśle określona i godna pogardy forma kłamstwa. Żadne zdanie w Biblii nie zakazuje zwykłego mówienia nieprawdy. Wielu teologów sądzi, że żadna ze stworzonych przez ludzi form organizacji społeczeństwa nie mogłaby wytrzymać ciśnienia absolutnej szczerości. Jeśli sądzicie, że ich obawy są bezpodstawne, spróbujcie powiedzieć swym znajomym całą prawdę na temat tego, co sądzicie o ich potomstwie - o ile się odważycie.)

Po niezliczonych powtórzeniach (w trakcie których „Konge Knut” skurczył się i stał się naszym prywatnym jachtem), Don Ambrosio powiedział mi:

- To nic nie da, panie Graham. Nie mogę wydać panu nawet tymczasowego dokumentu w miejsce utraconego paszportu, skoro nie przedstawił pan nawet cienia dowodu, że jest pan obywatelem amerykańskim.

- Don Ambrosio, zdumiewa mnie pan - odparłem. - Wiem, że pani Graham ma lekki akcent. Mówiliśmy panu, że urodziła się w Danii. Czy jednak naprawdę pan sądzi, że ktoś urodzony z dala od Midwestu mógłby mieć taki akcent jak ja?

Wzruszył ramionami w typowo latynoski sposób:

- Nie jestem specjalistą od akcentów. Na moje uszy mógł pan mówić w dzieciństwie i jednym z twardych akcentów brytyjskich, a potem poświęcić się karierze scenicznej. Wszyscy wiedzą, że dobry aktor potrafi naśladować każdy akcent, którego wymaga jego rola. Angielska Republika Ludowa ucieka się w dzisiejszych czasach do najbardziej wymyślnych metod, aby przemycić swych agentów do Stanów. Może pan równie dobrze pochodzić z Lincoln w Anglii, a nie z okolic Lincoln w stanie Nebraska.

- Czy naprawdę pan w to wierzy?

- W co ja wierzę, to nie należy do sprawy. Faktem jest, że nie mogę podpisać dokumentu stwierdzającego, że jest pan obywatelem amerykańskim, gdyż nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością. Przykro mi. Czy jest coś więcej, co mógłbym dla pana zrobić?

(Jak możesz zrobić „więcej”, skoro do tej pory nie zrobiłeś nic?)

- Być może. Nie jestem prawnikiem.

Pokazałem mu naszą kopię rachunku, wyjaśniając mu, w czym rzecz.

- Czy to jest zgodne z prawem i czy nie żądają zbyt wiele?

Obejrzał rachunek.

- Z pewnością jest to zgodne zarówno z ich prawem, jak i z naszym. Zbyt wiele? Czy nie powiedział pan, że uratowali wam życie?

- Nie ma wątpliwości. Istniała oczywiście niewielka szansa, że odnalazłaby nas łódź rybacka, jednakże to Straż Przybrzeżna znalazła nas i uratowała.

- Czy pańskie życie - życie was obojga - jest warte mniej niż osiem tysięcy peso? Zapewniam pana, że moje jest warte znacznie więcej.

- Nie o to chodzi, sir. Nie mamy pieniędzy, ani centa. Straciliśmy wszystko, gdy łódź zatonięła.

- Więc wyślijcie po pieniądze. Pójdę wam na rękę i zgodzę się, aby przysłano je na adres konsulatu.

- Dziękuję panu. To jednak wymaga czasu. Co mamy tymczasem zrobić? Powiedziano nam, że ten sędzia zażąda zapłaty gotówką, i to natychmiast.

- Och, nie jest tak źle. To prawda, że tutejsze prawa nie pozwalają na ogłoszenie bankructwa, jak u nas, a poza tym mają tu dość staroświeckie regulacje dotyczące więzienia za długi. Nie korzystają jednak z tego prawa, lecz tylko nimi grożą. Zamiast tego sąd przypilnuje, żebyście dostali pracę, która pozwoli wam uregulować wasze długi. Don Clemente jest wyrozumiałym sędzią. Nie zrobi wam krzywdy.

To było wszystko, co powiedział, nie licząc kwiecistych nonsensów kierowanych pod adresem Margrethe. Odnaleźliśmy sierżanta Roberto, który przebywał w towarzystwie służącej i kucharza, po czym skierowaliśmy się w stronę sądu.

Don Clemente (sędzia Ibanez) był tak sympatyczny, jak zapowiedział to Don Ambrosio. A skoro przed samą wyprawą poinformowaliśmy kancelarię, że uznajemy nasz dług, ale nie mamy pieniędzy, aby go zapłacić, procesu nie było. Posadzono nas po prostu w niemal pustej sali sądowej i kazano zaczekać, zanim sędzia nie załatwi wszystkich spraw w rejestrze. Z niektórymi uporał się bardzo szybko. Były to drobne wykroczenia karane grzywną, inne sprawy o długi lub przesłuchania przed mającym się dopiero odbyć procesem. Nie rozumiałem wiele z tego, co się dzieje, gdyż na szepty w sali sądowej reagowano z niechęcią i Margrethe nie mogła mi nic wytłumaczyć. Don Clemente z

pewnością jednak nie wyglądał na sędziego ferującego drakońskie wyroki.

Gdy rozstrzygnięto już wszystkie sprawy, kancelista wezwał nas wraz z innymi „przestępcami” - głównie wieśniakami zalegającymi ze spłatą długów lub grzywien - do opuszczenia sali. Ustawiono nas w rzędzie na niskiej platformie naprzeciw grupy ludzi. Margrethe zapytała, co to takiego i odpowiedziano jej: „La subasta”.

- Co to znaczy? - zapytałem.

- Nie jestem pewna, Alec. Nie znam tego słowa.

Szybko poczyniono ustalenia co do pozostałych. Odniosłem wrażenie, że większość z nich była już tu przedtem. Po chwili z grupy stojącej przed platformą pozostał tylko jeden człowiek, a na platformie wyłącznie my. Mężczyzna ten sprawiał wrażenie zamożnego. Uśmiechnął się i powiedział coś do mnie.

- Co on mówi? - zapytałem.

- Spytał się, czy potrafisz myć naczynia. Odpowiedziałam mu, że nie mówisz po hiszpańsku.

- Powiedz mu, że oczywiście potrafię myć naczynia, choć nie jest to praca, o której marzę.

W pięć minut później nasz dług został spłacony gotówką, wręczoną kanceliście, my zaś pozyskaliśmy „patrona”. Był nim senior Jaime Valera Guzman. Płacił on Margrethe sześćdziesiąt peso dziennie, a mnie trzydzieści. Koszty sądowe wyniosły dwa i pół tysiąca peso. Do tego doszedł koszt dwóch pozwoleń na pracę dla przyjezdnych, plus znaczki z tytułu podatku wojennego. Kancelista obliczył całkowitą sumę naszego zadłużenia, po czym podzielił ją przez naszą dzienną płacę. Po zaledwie stu dwudziestu jeden dniach - czterech miesiącach - nasz dług u „patrona” zostanie spłacony. Oczywiście pod warunkiem, że przez cały ten czas nie wydamy ani grosza. Kancelista wskazał nam też kierunek do zakładu będącego własnością naszego „patrona” - Restaurante Pancho Villa”. „Patron” zdążył już odjechać swoim samochodem. „Patrónes” jeżdżą samochodami, „peónes” chodzą na piechotę.

*I tak służył Jakub za Rachelę przez siedem lat,
a wydały mu się one jak dni kilka,*

bo bardzo miłował Rachelę.

Księga Rodzaju 29, 20

Zmywając naczynia, zabawiałem się niekiedy obliczaniem, jak wysoki ich stos zdążyłem umyć, odkąd rozpocząłem pracę u naszego „patrona”, Don Jaimego. Potrzeba było dwudziestu talerzy używanych zwykle w kawiarni „Pancho Villa”, aby utworzyć stos o wysokości jednej stopy. Zdecydowałem arbitralnie, że filiżanka, spodek i dwie szklanki stanowią równoważnik jednego talerza, ponieważ te naczynia trudno jest ustawić w stos. I tak dalej.

Wielka latarnia morska w Mazatlanie ma pięćset piętnaście stóp wysokości, tylko o czterdzieści mniej niż Obelisk Waszyngtona. Pamiętam dzień, w którym ukończyłem swą pierwszą „latarnię morską”. Powiedziałem Margrethe parę dni wcześniej, że zbliżam się do celu i spodziewam się osiągnąć go w czwartek lub w piątek rano.

Zrobiwszy to, w czwartek po południu, wyłoniłem się z zaplecza, stanąłem w drzwiach pomiędzy kuchnią i salą gości i widząc Margrethe, uniosłem ręce nad głowę, ściskając sobie dłonie jak pieściarz.

Margrethe przerwała swą pracę - przyjmowała właśnie zamówienie od całej rodziny klientów - i zaczęła bić mi brawo. Z tego powodu musiała wyjaśnić gościom całą sprawę, co doprowadziło do tego, że po kilku minutach wdepnęła na zaplecze, wręczając mi dziesięciopesowy banknot w dowód uznania od ojca rodziny. Poprosiłem ją, żeby podziękowała mu ode mnie i przekazała, że rozpocząłem właśnie drugą „latarnię morską”, którą zadedykuję jemu i jego rodzinie.

To z kolei doprowadziło do tego, że seniora Valera przysłała swojego męża Don Jaimego, aby sprawdził, dlaczego Margrethe marnuje czas na wygłupy, zamiast zająć się robotą... co z kolei spowodowało, iż Don Jaime spytał mnie, jak wysoki napiwek dostałem i wręczył mi taką samą kwotę od siebie.

Seniora nie miała powodów, żeby się skarżyć. Margrethe nie tylko była jej najlepszą kelnerką, lecz również jedyną, która znała dwa języki. Tego samego dnia, gdy rozpoczęliśmy pracę u państwa Valera, wezwano malarza szyldów, który wykonał rzucający się w oczy napis: „ENGLIS SPOKE HERE”. Od tej pory, oprócz tego, że musiała być na wezwanie wszystkich klientów mówiących po angielsku, Margrethe pisała również jadłospisy w tym języku (na których ceny były o około czterdzieści procent wyższe niż na jadłospisach pisanych wyłącznie po hiszpańsku).

Don Jaime nie był złym szefem. Wesoły i - w sumie - dobry dla swych pracowników, gdy przepracowaliśmy już u niego prawie miesiąc, wyznał mi, że nie zakupiłby mojego kontraktu, gdyby nie fakt, że sędzia nie pozwolił na rozdzielenie mnie od Margrethe, jako że byliśmy małżeństwem. (W przeciwnym razie zostałbym parobkiem pracującym na polu i mógłbym się widywać ze swoją żoną tylko przy rzadkich okazjach - jak powiedział nam Don Ambrosio, Don Clemente był wyrozumiałym sędzią).

Powiedziałem mu, że cieszę się, iż transakcja wiązana obejmowała również mnie, fakt jednak, że pragnął wynająć Margrethe, dowodził, że znał się na rzeczy.

Przyznał mi rację. Chodził na środowe aukcje pracowników od kilku tygodni w poszukiwaniu dwujęzycznej kobiety lub dziewczyny, którą można by wyszkolić na kelnerkę. Nabył również mój kontrakt po to, aby móc zatrudnić Margrethe, chciał mi jednak powiedzieć, iż nie żałuje tego,

ponieważ nigdy nie widział zaplecza tak czystego, talerzy tak niepokalanych, a srebrnej zastawy tak lśniącej.

Zapewniłem go, że to dla mnie zaszczyt móc podtrzymać honor i prestiż „Restaurante Pancho Villa” i jej sławnego „patrona” - el Don Jaime.

W rzeczy samej na zapleczu panował taki brud, że gdy przejąłem nad nim opiekę, sądziłem, iż podłoga jest pokryta ziemią. Tak też było - można tam było sadzić ziemniaki! Lecz pod blisko półcalową warstwą brudu znajdował się lity beton. Wyczyściłem podłogę i utrzymywałem ją w czystości - nogi wciąż miałem bose. Zażądałem też, aby dano mi proszek na karaluchy. Każdego dnia zabijałem te owady i szorowałem podłogę. Każdego wieczora, na chwilę przed zakończeniem pracy, rozsypywałem proszek przeciwko karaluchom. Nie można (jak sądzę) odnieść nad nimi zwycięstwa, można jednak stoczyć z nimi bitwę, zmusić do odwrotu i następnie utrzymać tak uzyskaną równowagę sił.

Jeśli chodzi o jakość mojego zmywania, nie mogła ona być niska, gdyż moja matka obawiała się panicznie brudu i, jako członek licznej rodziny, zmywałem i wycierałem naczynia pod jej nadzorem pomiędzy siódmym a trzynastym rokiem życia, kiedy to zostałem oddelegowany do roznoszenia gazet, co nie zostawiało mi czasu na zmywanie.

Fakt, że potrafiłem dobrze zmywać, nie oznaczał, że uwielbiałem to robić. Zmywanie statków nudziło mnie w dzieciństwie i nudziło jako dorosłego.

Dlaczego więc robiłem to, zamiast po prostu uciec?

Czy to nie oczywiste? Zmywanie naczyń trzymało mnie przy Margrethe. Ucieczka mogła być dobrym rozwiązaniem dla niektórych dłużników - nie sądzę, aby poświęcano wiele wysiłków na tropienie tych spośród nich, którzy zniknęli pewnej ciemnej nocy - nie była ona jednak możliwa dla pary małżeńskiej składającej się z wpadającej w oko blondynki, w kraju, gdzie każda blondynka wpada w oko, oraz mężczyzny nieumiejącego mówić po hiszpańsku.

Choć oboje pracowaliśmy ciężko - od jedenastej do jedenastej każdego dnia, oprócz wtorku, minus teoretycznie dwie godziny wolne na sjęstę i po pół na obiad i kolację, pozostałe dwanaście godzin doby oraz całe wtorki mieliśmy wyłącznie dla siebie.

Nawet w Niagara Falls nie moglibyśmy spędzić piękniejszego miesiąca miodowego. Mieliśmy mały pokój na poddaszu z tyłu budynku restauracyjnego. Było tam gorąco, lecz nie spędzaliśmy tam wiele czasu w ciągu dnia. O jedenastej w nocy można tam było wytrzymać, niezależnie od tego, jak gorąco było w dzień. W Mazatlanie mieszkania osób o naszym statusie społecznym (równym zeru!) nie miały kanalizacji. My jednak mieszkaliśmy i pracowaliśmy w budynku restauracji, gdzie znajdowało się WC, które dzieliliśmy z pozostałymi pracownikami w godzinach pracy i z nikim innym przez pozostałych dwanaście godzin. (Była też sławojka w podwórzu, z której korzystałem niekiedy w godzinach pracy. Nie sądzę, żeby Margrethe kiedykolwiek to robiła.) Mogliśmy też używać prysznica znajdującego się na parterze, tuż obok toalety dla pracowników. Zmywanie naczyń pochłaniało tak wiele wody, że restauracja musiała posiadać olbrzymi bojler. Seniora Valera czyniła nam regularnie wymówki za to, że zużywamy zbyt wiele gorącej wody (gaz kosztuje!) Wysłuchiwalismy tego w milczeniu i nadal zużywaliśmy jej tyle, ile nam było potrzeba.

Nasz „patron” zobowiązał się wobec państwa zapewnić nam wyżywienie i dach nad głową (jak również ubranie, o czym jednak dowiedziałem się zbyt późno). Dlatego też spaliśmy i jedliśmy na miejscu - może nie to, co szef kuchni polecał, ale wystarczająco dobrze.

„Lepsze jest trochę jarzyn z miłością, niż tłusty wół z nienawiścią”. Mieliśmy tylko siebie i to nam wystarczało.

Margrethe, która czasami dostawała napiwki, zwłaszcza od gringów, zaoszczędziła trochę

gotówki. Wydawaliśmy z tego tak mało, jak to tylko możliwe. Margrethe kupiła dla nas tylko po parze butów, gdyż odkładała pieniądze z myślą o dniu, gdy zostaniemy zwolnieni z naszej służby i będziemy mogli udać się na północ. Nie miałem złudzeń, że państwo leżące w tamtym kierunku będzie tym samym, w którym się urodziłem... był to jednak jego najbliższy odpowiednik w tym świecie. Mówiono tam po angielsku i byłem pewien, że tamtejsza kultura będzie bardziej zbliżona do tej, którą znałem. Napiwki dla Margrethe doprowadziły już pierwszego tygodnia do spięć z seniorą Valera. Mimo że zgodnie z prawem Don Jaime był naszym „patronem”, to ona była właścicielką restauracji. Tak powiedziała nam kucharka, Amanda. Jaime Valera był tu kiedyś głównym kelnerem i ożenił się z córką właściciela. Dzięki temu na stałe został „maitre d’hotel”. Gdy jego teść umarł, w oczach sąsiadów stał się właścicielem zakładu. Ale to jego żona trzymała w ręku klucz od kasy. (Powinienem, być może, dodać, że tytułowaliśmy go „Don Jaime”, gdyż był naszym „patronem”. W oczach pospólstwa nie był „donem”. Ten tytuł nie daje się przetłumaczyć na angielski, lecz właściciel restauracji nie jest „donem”, podczas gdy na przykład sędzia ma prawo do tego tytułu.) Gdy seniora odkryła, że Margrethe dostaje napiwki, kazała je sobie oddawać, twierdząc, że pod koniec tygodnia otrzyma swoją działkę.

Margrethe przyszła z tym prosto do mnie.

- Alec, co mam zrobić? Napiwki były głównym źródłem mojego dochodu na „Konge Knut” i nikt mi się nie kazał nimi z nikim dzielić. Czy ona ma prawo mi to nakazać?

Powiedziałem jej, żeby nie oddawała napiwków „seniorze”, lecz powiedziała jej, że porozmawiamy z nią po skończeniu pracy.

Sytuacja „peóna” ma jeden plus - nie mogą cię wylać z roboty, gdy pokłócisz się z szefem. To znaczy, rzecz jasna, można było nas wywalić, ale państwo Valera straciliby przez to około dziesięciu tysięcy peso, które w nas zainwestowali.

Pod koniec dnia wiedziałem już dokładnie, co mam powiedzieć i w jaki sposób mam to zrobić - to jest w jaki sposób Margrethe ma to zrobić, ponieważ musiał upłynąć jeszcze miesiąc, zanim wchłonąłem dostateczną dawkę hiszpańskiego, aby nawiązać choć minimalną konwersację.

- Drodzy państwo, nie rozumiemy tego zakazu przyjmowania podarunków. Chcemy porozmawiać z sędzią, aby zapytać go, czy nasz kontrakt tego wymaga.

Tak jak się spodziewałem, nie mieli ochoty na rozmowę z sędzią na ten temat. Mieli prawo do pracy Margrethe, ale nie do pieniędzy, danych jej przez osoby trzecie.

To nie zamknęło sprawy. Seniora Valera była tak rozgniewana, że byle kelnerka odważyła się jej przeciwstawić, iż wywiesiła napis: „NO PROPINAS - ŻADNYCH NAPIWKÓW, jak również umieściła podobne napisy w jadłospisach.

„Peónes” nie mogą strajkować. W restauracji pracowało jednak jeszcze pięć kelnerek, z których dwie były córkami Amandy. Tego samego dnia, gdy Seniora Valera zakazała napiwków, stwierdziła, że ma tylko jedną kelnerkę i nikogo do pracy w kuchni. Poddała się. Jestem jednak pewien, że nigdy nam tego nie wybaczyła.

Don Jaime traktował nas jak swoich pracowników, jego żona jak niewolników. Wbrew staremu powiedzeniu o „niewolnikach na pensji”, różnica jest olbrzymia. Gdyż oboje staraliśmy się być lojalnymi pracownikami spłacając jednocześnie swój dług, ale absolutnie nie zgodzaliśmy się zostać niewolnikami. Chyba podpadliśmy Seniorze Valera.

Wkrótce po kłótni na temat napiwków Margrethe doszła do wniosku, że „Seniora” myszkuje w naszej sypialni. Jeśli tak było, nie mieliśmy sposobu, aby ją powstrzymać. W drzwiach nie było zamka i mogła wejść do pokoju bez obawy, że zostanie nakryta, przez cały czas, gdy byliśmy zajęci pracą.

Zastanawiałem się nad założeniem pułapek, lecz Margrethe postawiła veto. Od tej pory po prostu trzymała pieniądze przy sobie. Najlepszym dowodem na to, co myśleliśmy o naszej chlebobawczyni było to, iż Margrethe uznała za konieczne zabezpieczyć się, aby nas nie okradała.

Nie pozwoliliśmy jednak seniorze Valera zmącić naszego szczęścia. Nie pozwoliliśmy też, aby nasz cokolwiek wątpliwy status jako „małżeństwa” popsuł nam nasz cokolwiek nietypowy miesiąc miodowy. Oczywiście popsułbym go sam, ponieważ zawsze miałem tę diabelską skłonność do roztrząsania spraw, których nie potrafiłem pojąć, lecz Margrethe jako osoba znacznie bardziej praktyczna ode mnie po prostu mi na to nie pozwoliła. Staralem się usprawiedliwić przed nią nasz związek, wskazując jej, że to nie Pismo Święte zabraniało poligamii, lecz jedynie współczesne prawa i zwyczaje, ucięła jednak moje wywody, mówiąc mi, że nie obchodzi jej, ile żon i konkubin miał król Salomon, i że nie traktuje jego ani żadnej innej postaci ze Starego Testamentu jako wzorca dla siebie. Jeśli nie chciałem z nią żyć, miałem to powiedzieć głośno i już!

Przymknąłem się. Niektóre problemy lepiej zostawić w spokoju, zamiast roztrząsać je za pomocą słów. Współczesna moda, aby wszystkie sprawy „przedyskutować”, przynosi równie często nowe problemy, jak ich rozwiązanie.

Jednak jej pogarda dla autorytetu Biblii w sprawie, czy jednemu mężczyźnie wolno mieć dwie żony, była tak ostra, że musiałem ją o to zapytać - nie o poligamię, gdyż unikałem drażliwej kwestii, lecz o to, jaki jest jej stosunek do autorytetu Pisma świętego w ogóle. Wy tłumaczyłem jej, że kościół, w którym się wychowałem, wierzył w dosłowną interpretację - „cała Biblia, nie wybrane fragmenty”. Pismo było Słowem Bożym i należało traktować je dosłownie... wiedziałem jednak, iż inne kościoły sądziły, że należy przestrzegać raczej ducha niż litery... a niektóre z nich były nawet tak liberalne, że ledwie zwracały uwagę na Biblię. Wszystkie one jednak uważały się za chrześcijańskie.

- Margrethe, kochana, jako zastępca sekretarza towarzystwa Kościoły Zjednoczone na rzecz Obyczajności byłem w codziennym kontakcie z członkiem każdej protestanckiej sekty w kraju, a niekiedy stykałem się z księżmi katolickimi, dyskutując z nimi o sprawach, w których mogliśmy podjąć wspólne działania. Dowiedziałem się, że mój kościół nie ma monopolu na cnotę. Można nie mieć żadnego pojęcia o zasadach wiary, a mimo to być porządnym obywatelem i dobrym chrześcijaninem.

Zachichotałem, przypominając sobie pewne wydarzenie i ciągnąłem dalej:

- Albo na odwrót. Jeden z moich katolickich przyjaciół, ojciec Mahaffey, powiedział mi, że nawet ja mogę się prześliznąć do nieba, ponieważ Dobry Bóg w swej nieskończonej mądrości przyjął poprawki na ignorancję i przewrotność protestantów.

Ta rozmowa odbyła się we wtorek, nasz dzień wolny od pracy, jedyny dzień w tygodniu, gdy restauracja była nieczynna. W związku z tym znaleźliśmy się na szczycie „el Cerro de la Neveria” - „Wzgórza Lodówki”, gdzie urządziliśmy sobie piknik. Właśnie kończyliśmy obiad. Wzgórze leżało w centrum miasta - blisko „Pancho Villa”, lecz było sielankową oazą. Tubylcy nadal przestrzegali hiszpańskiego zwyczaju zamieniania wzgórz w parki, zamiast budować na nich domy.

Byliśmy w tym miejscu szczęśliwi...

- Moja droga, nigdy nie zamierzałem cię zwabić na łono mojego kościoła. Chcę jednak dowiedzieć się o tobie jak najwięcej. Nie wiem dokładnie, jakie kościoły działają w Danii. Chyba głównie luterański, ale czy Dania posiada kościół państwowy, jak niektóre inne kraje w Europie? W każdym razie powiedz mi, do jakiego kościoła należysz, czy jest on fundamentalistyczny, czy liberalny i jakie w ogóle masz zdanie na ten temat. Pamiętaj, co powiedział ojciec Mahaffey. Zgadzam się z nim. Nie uważam, aby mój kościół stanowił jedyną przepustkę do nieba.

Leżałem na wznak. Margrethe siedziała, trzymając się za podkurczone kolana i patrzyła w kierunku

zachodnim, na morze. Z tego powodu twarz miała odwróconą ode mnie. Nie odpowiedziała na moje pytanie.

- Kochanie, czy słyszałaś mnie? - powtórzyłem po chwili cichym głosem.

- Słyszałam.

Ponownie odczekałem chwilę, by dodać:

- Jeśli uważasz, że wtrącam nos w nie swoje sprawy, przepraszam cię i wycofuję pytanie.

- Nie uważam tak. Wiedziałałam, że będą musiała któregoś dnia odpowiedzieć ci na to pytanie.

Alec, ja nie jestem chrześcijanką.

Puściła kolana, odwróciła się w moją stronę i spojrzała mi w oczy.

- Możemy się rozwieść z równą łatwością, jak się pobraliśmy. Po prostu musisz mi to oświadczyć.

Nie będę się sprzeciwiać, lecz spokojnie odejdą. Jednak, Alec, gdy powiedziałeś mi, że mnie kochasz, a potem oświadczyłeś, że w oczach Boga jesteśmy małżeństwem, nie pytałeś mnie o wyznanie.

- Margrethe.

- Słucham, Alec.

- Wypluj te słowa i proś mnie o wybaczenie.

- Mogłabym je wypluć na piasek, ale prosić o wybaczenie nie będę. Byłam gotowa w każdej chwili powiedzieć ci prawdę, ale ty nie pytałeś.

- Wypluj te słowa o rozwodzie i proś o wybaczenie za to, że sądziłaś, iż rozwiódłbym się z tobą z jakiegokolwiek przyczyny. Jeśli będziesz niegrzeczna, mogę cię zbić, ale nigdy cię nie opuszczę - na dobre i złe, w zdrowiu i w chorobie, teraz i na zawsze. Kobieto, kocham cię! Wbij to sobie do głowy.

Nagle znalazła się w moich ramionach, płacząc dopiero drugi raz od chwili naszego spotkania.

Mogłem uczynić tylko jedno, to jest pocałować ją.

Usłyszałem za sobą głośny okrzyk. Odwróciłem głowę. Mieliśmy szczyt wzgórza wyłącznie dla siebie, gdyż dla większości ludzi był to dzień pracy. Stwierdziłem jednak, że przygląda się nam widownia w osobach dwojga uliczników, tak młodych, że ich płęć była trudna do określenia. Jeden z nich, ujrawszy, że patrzę na niego, ponownie krzyknął, po czym wydał z siebie głośne dźwięki naśladujące pocałunek.

- Odwal się! - zawołałem. - Zjeżdżaj stąd! Vaya con Dios! Czy to właśnie chciałem powiedzieć, Marga?

Powiedziała im coś i zmyli się, chichocząc głośno. Potrzebna mi była ta chwila przerwy. Powiedziałem Margrethe to, co było konieczne, aby ją uspokoić po jej odważnej, lecz lekkomyślnej wypowiedzi. Niemniej jej wyznanie wstrząsnęło mną do głębi. Zacząłem mówić, lecz uznałem, że powiedziałem już wystarczająco wiele jak na jeden dzień. Margrethe również milczała. Po chwili cisza stała się niemożliwa do wytrzymania. Miałem wrażenie, że sprawy nie mogą pozostawać bez wyjaśnienia, gdyż przypomina to za bardzo balans na krawędzi przepaści.

- Więc jaka jest twoja wiara, najdroższa? Judaizm?

Przypominam sobie teraz, że w Danii są Żydzi. Nie wszyscy Duńczycy to luteranie.

- Jest trochę Żydów, ale zaledwie jeden przypada na tysiąc mieszkańców. Nie, Alec. Hmm... istnieją starsi bogowie.

- Starsi niż Jehowa? To niemożliwe.

Margrethe, co dla niej typowe, nie odpowiedziała. Kiedy się ze mną nie zgadzała, z reguły nie mówiła nic. Wygrywanie sporów najwyraźniej jej nie interesowało, co różniło ją od 99 procent rasy ludzkiej..., której wielu członków woli się raczej narazić na wszelkie nieszczęścia niż odnieść

porażkę w dyskusji.

Musiałem przez to odgrywać rolę obydwu stron w dialogu, aby nie wygasł on z braku paliwa.

- Odwołuję to. Nie należało mówić „niemożliwe”. Opierałem się na powszechnie akceptowanej chronologii tak, jak podał ją doktor Ussher. Jeśli przyjąć jego argumentację, to świat został stworzony pięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem lat temu, w październiku. Oczywiście ta data nie jest częścią Pisma świętego. Hales podaje inne dane, chyba siedem tysięcy czterysta pięć lat. Lepiej pamiętam cyfry, gdy je zapiszę. Inni uczeni uzyskali nieco odmienne daty. Wszyscy oni jednak zgadzają się, że na cztery czy pięć tysięcy lat przed Chrystusem miało miejsce niepowtarzalne wydarzenie - stworzenie świata. Czas nie może istnieć samoistnie. Jak z tego wynika, nikt i nic, w tym również żaden bóg, nie może być starszy niż Jehowa, ponieważ to Jehowa stworzył czas. Rozumiesz?

- Powinnaś być siedzieć cicho.

- Kochanie, chciałem tylko nawiązać intelektualną dyskusję. Nigdy nie zamierzałem, nie zamierzam ani nie będę zamierzał cię urazić. Powiedziałem tylko, że tak wyglądają sprawy zgodnie z ortodoksyjnym systemem datowania. Najwyraźniej wy używacie innego. Czy zechcesz mnie z nim zaznajomić? I nie naskakuj na biednego starego Aleca za każdym razem, gdy otworzy usta. Nie zapominaj, że zostałem wykształcony na duchownego w kościele, który kładzie wielki nacisk na kaznodziejstwo. Dyskusja jest dla mnie czymś równie naturalnym jak pływanie dla ryby. Teraz jednak ty wygłoś kazanie, a ja posłucham! Opowiedz mi o tych starszych bogach!

- Znasz ich. Najstarszemu i największemu z nich oddajemy cześć jutro. Środkowy dzień tygodnia jest mu poświęcony.

- Dzisiaj jest wtorek, jutro - środa! Wotan! Czy to on jest twoim bogiem?

- Odyn. Wotan to niemieckie zniekształcenie nordyckiego słowa. Ojciec Odyn i jego dwóch braci stworzyli świat. Na początku nie było nic, pustka. Reszta z tego przypomina „Księgę Rodzaju”. Są nawet Adam i Ewa, ale nazywają się Askr i Embla.

- Może to jest „Księga Rodzaju”, Margrethe.

- Co masz na myśli, Alec?

- Biblia jest słowem Bożym, zwłaszcza jej angielskie tłumaczenie znane jako Biblia Króla Jakuba, ponieważ każde słowo tego tłumaczenia było ustalane za pomocą modlitw i starań największych uczonych na świecie. W przypadku każdej różnicy zdań zwracano się do Boga za pośrednictwem modlitwy. Dlatego Biblia Króla Jakuba to słowo Boże. Nigdzie jednak nie napisano, że jest to jedyne słowo Boże. Święte księgi innych narodów, napisane w innych czasach i w innych językach również mogą być natchnione... o ile można je pogodzić z Biblią. Z tego, co mi powiedziałaś, wynika, że można, prawda?

- Och, jedynie w sprawie stworzenia świata oraz Adama i Ewy, Alec. Chronologia nie zgadza się absolutnie. Powiedziałaś, że świat został stworzony około sześciu tysięcy lat temu?

- Mniej więcej. Hales podaje dłuższy okres. W Biblii nie ma dat. Daty to nowomodny wymysł.

- Nawet ten dłuższy okres - Halesa? - jest o wiele za krótki. Pasowałoby raczej sto tysięcy lat.

Zacząłem protestować - ostatecznie nie wszystko można przełknąć - przypomniałem sobie jednak o swoim postanowieniu, żeby nie mówić nic, co mogłoby spowodować, że Margrethe zamilknie.

- Słucham, kochanie. Czy wasze religijne księgi opowiadają, co się wydarzyło przez te wszystkie tysiąclecia?

- Niemal wszystko z tego miało miejsce przed wynalezieniem pisma. Niektóre fragmenty zachowały się w epickich poematach wykonywanych przez skaldów. Nawet one jednak powstały dopiero wtedy, gdy ludzie zaczęli tworzyć plemiona i Odyn nauczył ich śpiewu. Najdłuższy okres

stanowiły rządy lodowych olbrzymów, gdy ludzie byli jedynie dzikimi zwierzętami, na które polowano dla zabawy. Jednak, Alec, największa różnica w chronologii polega na tym, że w Biblii czas biegnie od dnia stworzenia do dnia sądu - potem jest millenium - Królestwo Boże na Ziemi - a następnie walka na niebie i koniec świata. Potem będzie już tylko Nowe Jeruzalem i wieczność. Czas się zatrzyma. Czy mam rację?

- W zasadzie tak. Zawodowy eschatolog powiedziałby, że to zanadto uproszczone, ale podstawowe fakty podałaś prawidłowo. Szczegóły znajdziesz w prorocत्वach... a właściwie w Apokalipsie Świętego Jana. Wielu proroków było świadkami wydarzeń ostatecznych, lecz jedynie Święty Jan podaje pełną opowieść... gdyż objawił mu ją sam Chrystus, aby zapewnić, że wybrani nie pozwolą się zwieść fałszywym prorokom. Stworzenie, upadek, długie stulecia prób i walki, potem ostatnia bitwa, sąd ostateczny i Królestwo Boże. A co mówi twoja wiara, kochanie?

- Ostatnia bitwa nazywa się u nas Ragnarok, nie Armageddon...

- Nie sądzę, żeby terminologia miała znaczenie.

- Proszę cię, kochanie. Nazwa nie jest ważna, ale to, co się ma stać, tak. Wasz sąd ostateczny ma oddzielić owce od kozłów. Zbawieni dostąpią wiecznego szczęścia, a potępieni wiecznych męczarni. Zgadza się?

- Tak, z tym, że w imię ścisłości należy przypomnieć, iż niektóre autorytety twierdzą, że szczęście zapanuje na wieki, a w swej miłości do świata Bóg dopuści, że nawet potępieni dostąpią w końcu zbawienia. Żadna dusza nie jest potępiona na wieki. Niektórzy teologowie traktują to jak herezję, do mnie to jednak przemawia. Nigdy nie lubiłem myśli o wiecznym potępieniu. Jestem sentymentalny, najdroższa.

- Wiem o tym, Alec. Za to cię kocham. Stara religia powinna ci się spodobać, bo w niej nie ma wiecznego potępienia.

- Nie ma?

- Nie. Podczas Ragnarok świat, który znamy, zostanie zniszczony. Ale na tym nie koniec. Po długim czasie, czasie gojenia ran, zostanie stworzony nowy wszechświat, lepszy i czystszy, wolny od zła tego świata. On również będzie trwał przez niezliczone tysiąclecia... aż po raz kolejny siły zła i chłodu zetną się z siłami dobra i światła... i znowu nastąpi czas odpoczynku, a po nim nowe stworzenie świata i następna szansa dla ludzi. Nic się nigdy nie kończy, nic nie jest doskonałe, lecz za każdym razem ludzkość otrzymuje nową szansę, aby poradzić sobie lepiej niż poprzednio i tak będzie się działo bez końca.

- Czy w to właśnie wierzysz, Margrethe?

- Łatwiej mi uwierzyć w to niż w samozadowolenie zbawionych i rozpaczliwy los potępionych w religii chrześcijańskiej. Jehowa jest uważany za wszechmogącego. Jeśli to prawda, to wszystkie nieszczęsne potępione dusze w piekle znalazły się tam, gdyż Jehowa zaplanował to wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Czyż nie tak?

Zawahałem się. Logiczne pogodzenie wszechmocy, wszechwiedzy i wszechdobroci to najtrudniejszy do zgryzienia orzech w całej teologii, na którym nawet jezuici połamali sobie zęby.

- Margrethe, niektóre z tajemnic Wszechmocnego niezmiernie trudno wyjaśnić. My, śmiertelnicy, musimy pogodzić się z wolą naszego Ojca, nawet jeśli nie zawsze rozumiemy jego intencje.

- Czy niemowlę rozumie boskie intencje, gdy jego głowa jest roztrzaskiwana o skały? Czy idzie prosto do piekła, dziękując Bogu za jego nieskończoną mądrość i dobroć?

- Margrethe! O czym u licha mówisz?

- Mówię o tych fragmentach Starego Testamentu, gdzie Jehowa wydaje bezpośredni rozkaz zabijania małych dzieci, dodając niekiedy, że mają być one roztrzaskane o skały. Weź na przykład ten

psalm, który się zaczyna od: „Nad rzekami Babilonu”. Albo zobacz słowa Jehowy w „Proroctwie Ozeasza”: „Dzieci ich będą zmiażdżone, a niewiasty ciężarne rozprute”. Jest jeszcze opowieść o Elizeuszu i niedźwiedziach. Alec, czy w swym sercu wierzysz, że twój Bóg rozkazał niedźwiedziom rozszarpać małe dzieci tylko za to, że śmiały się z łysej głowy starca?

Czekała, aż się odezwę. Ja również czekałem. Zapytała po chwili:

- Czy opowieść o niedźwiedziach i czterdziestu dwojgu dzieciach jest dosłownym słowem Bożym?

- Oczywiście, że tak! Nie twierdzą jednak, że rozumiem je w pełni. Margrethe, jeśli pragniesz zrozumieć wszystkie dzieła Pana, módl się do niego, aby cię oświecił, zamiast nastawać na mnie z tego powodu.

- Nie zamierzałam na ciebie nastawać, Alec. Przepraszam cię!

- Nie ma za co. Nigdy nie rozumiałem tej historii o niedźwiedziach, ale to nie osłabiło mojej wiary. Być może to parabola. Posłuchaj, kochanie, czy wasz Ojciec Odyn nie zgotował sam dość krwawej historii?

- Nie na tę skalę. Jehowa niszczył miasto za miastem - mężczyzn, kobiety i dzieci, a nawet niemowlęta. Odyn zabijał tylko w walce i to przeciwników równie potężnych jak on. Najważniejsze jednak jest to, że Ojciec Odyn nie jest wszechmocny i nie utrzymuje, że jest wszechwiedzący. (Teologia, która ominęła najtwardszy orzech do zgryzienia - ale jak można nazywać go „Bogiem”, jeśli nie jest wszechmocny?.)

Margrethe ciągnęła:

- Alec, kochanie, nie chciałam atakować twojej wiary. Nie sprawia mi to przyjemności i nigdy nie pragnęłam tego robić. Mam nadzieję, że nic podobnego nigdy już się nie zdarzy. Zapytałeś mnie jednak prosto z mostu, czy uznaję autorytet Pisma świętego, rozumiejąc pod tym określeniem swoją Biblię. Muszę ci odpowiedzieć równie bezpośrednio. Nie uznaję. Jehowa czy Jahwe ze Starego Testamentu wydaje mi się być sadystycznym, bezwzględny, okrutny mordercą. Nie potrafię pojąć, jak można go utożsamić z łagodnym Chrystusem z Nowego Testamentu, nawet poprzez mistyczną Trójkę.

Chciałem jej odpowiedzieć, lecz nie przestawała mówić:

- Najdroższy, zanim porzucimy ten temat, muszę ci wyjaśnić jeszcze coś, nad czym się zastanawiałam. Czy twoja religia potrafi wytłumaczyć to, co się z nami zdarzyło? Raz ze mną, dwa razy z tobą - tej zmiany światów?

(Ja również nieustannie nad tym myślałem!)

- Muszę przyznać, że nie. Żałuję, że nie mam pod ręką Biblii, aby poszukać w niej wyjaśnienia. Szukałem go jednak w mojej pamięci i nie znalazłem tam niczego, co mogłoby, mnie na to przygotować - westchnąłem. - To nieprzyjemne uczucie, ale... - uśmiechnąłem się do niej - Boska opatrność dała mi ciebie. Żaden kraj, w którym jest Margrethe, nie jest dla mnie obcy.

- Mój drogi, zapytałam cię o to, ponieważ stara religia potrafi to wyjaśnić.

- Co takiego?

- To nie jest pocieszające wyjaśnienie. Na początku tego cyklu Loki został pokonany. Słyszałeś o Lokim?

- Co nieco. To chuligan.

- „Chuligan” to za łagodne określenie. On jest zły. Przez tysiąclecia był uwięziony, przykuty do wielkiej skały. Alec, przed końcem każdego cyklu historii ludzkości wydarza się ta sama rzecz. Loki uwalnia się ze swych więzów... i następuje chaos.

Spojrzała na mnie z wielkim smutkiem:

- Alec, przykro mi... ale sądzę, że Loki jest na wolności. Wszystkie znaki na to wskazują. Teraz wszystko może się wydarzyć. Wkroczyliśmy w okres Zmierzchu Bogów. Nadchodzi Ragnarok. Nasz świat się kończy.

*W owej godzinie wielkie trzęsienie ziemi nastąpiło
i runęła dziesiąta część miasta,
i przez trzęsienie ziemi zginęło siedem tysięcy osób,
a pozostali ulegli przerażeniu
i Bogu nieba chwałę oddali.*

Apokalipsa 11, 13

Umyłem następną „latarnię morską” talerzy, zastanawiając się nad tym, co powiedziała mi Margrethe tego pięknego popołudnia na „Wzgórzu Lodówki” - nigdy jednak już nie wspomniałem o tej sprawie jej samej. Ona również nie wspominała. Margrethe nigdy się o nic nie spierała, jeśli tylko mogła zachować milczenie. Czy wierzyłem w jej teorię o Lokim i Ragnarok? Oczywiście, że nie! Nie miałem nic przeciwko temu, żeby określać Armageddon mianem „Ragnarok”. Jezus, Jozua, czy Jesu. Maria, Miriam, Maryam czy Mary. Jehowa czy Jahwe - wszystkie słowa i symbole są równie dobre, jak długo mówiący i słuchający zgadzają się ze sobą co do ich znaczenia. Ale Loki? Miałbym uwierzyć, że mityczny półbóg ciemnych barbarzyńskich narodów spowodował zaburzenia w całym wszechświecie? No, nie!

Jestem nowoczesnym człowiekiem z otwartą głową - lecz nie tak pustą, żeby hulał w niej wiatr. Gdzieś w Piśmie świętym tkwi racjonalne wytłumaczenie zaburzeń, które nas spotkały. Nie muszę go szukać w fantastycznych opowieściach dawno wymarłych pogan. Żałowałem, że nie mam pod ręką Biblii. Och, z pewnością w odległej o trzy przecznice bazylice znalazłbym katolickie Biblie... po łacinie lub hiszpańsku. Potrzebna mi była Biblia Króla Jakuba. Z pewnością gdzieś w mieście można było znaleźć jej egzemplarze, ale nie wiedziałem gdzie. Po raz pierwszy w życiu zacząłem żałować, że nie mam absolutnej pamięci Paula Kaznodziei (wielebnego Paula Baloniusa), który wędrował tu i tam poprzez stany Środkowego Zachodu w połowie ubiegłego stulecia, głosząc słowo Boże, lecz nie mając ze sobą Księgi. Mówiono, że brat Paul potrafił bezbłędnie przytoczyć z pamięci każdy werset, gdy podano mu księgę i numer rozdziału oraz wersetu. Lub też na odwrót - usłyszawszy werset, podać księgę, z której pochodził, wraz z numerem rozdziału i wersetu.

Urodziłem się za późno, aby go spotkać, nigdy więc nie widziałem, jak to robił, lecz pamięć absolutna stanowi cenny dar, którego Bóg udziela zbyt rzadko. Nie mam powodu, aby wątpić, że brat Paul ją posiadał. Zmarł on nagle, w okolicznościach tajemniczych i - być może - grzesznych. Jak mawiał profesor misjonarstwa, należy zachowywać wielką ostrożność podczas wspólnych modłów sam na sam z zamężną kobietą.

Nie mam takiego daru. Potrafię zacytować z pamięci kilka pierwszych rozdziałów z „Księgi Rodzaju”, kilka psalmów, historię Bożego Narodzenia według Łukasza i parę innych fragmentów. Aby jednak rozwiązać swój problem, musiałbym przestudiować dokładnie wszystkich proroków, a zwłaszcza proroctwo znane jako Apokalipsa Świętego Jana.

Czyżby nadchodził Armageddon? Czy powtórne zstąpienie Chrystusa nastąpi już wkrótce? Czy sam, we własnym ciele, usłyszę dźwięk trąby?

Ekscytująca myśl. I to taka, której nie można łatwo odrzucić. Wiele milionów dożyje tego wielkiego dnia i jednym z tego licznego zastępu mógłby być Alexander Hergensheimer. Czy naprawdę usłyszę Jego głos, zobaczę, jak zmarli powstają, a potem „będę porwany w powietrze, na obłoki, naprzeciw Pana”, po czym „zawsze będę z Panem”, jak jest obiecane? To najbardziej poruszający fragment w Wielkiej Księdze!

Nie mogłem, rzecz jasna, być pewien, że znajdę się pomiędzy zbawionymi w owym wielkim dniu, nawet gdybym miał go dożyć. Fakt, że byłem wyświęconym kapłanem Ewangelii, wcale nie musiał zwiększać moich szans. Kapłani zdają sobie sprawę z tej smutnej prawdy (jeśli są uczciwi wobec siebie), lecz ludziom świeckim często się wydaje, że duchowieństwo ma fory.

Nieprawda! Duchowny nie może się tłumaczyć. Nie może twierdzić, iż „nie wiedział, że rewolwer był nabity” lub prosić o łaskę, powołując się na swą młodość i niedoświadczenie, bądź też zasłaniać się nieznajomością prawa, ani też używać wielu innych usprawiedliwień, dzięki którym człowiek świecki może osiągnąć zbawienie nawet, jeśli nie jest całkowicie doskonały moralnie.

Wiedząc to, byłem zmuszony przyznać, że moje ostatnie czyny nie przysparzają mi szans na to, bym miał się znaleźć pomiędzy zbawionymi. Byłem, rzecz jasna, ponownie narodzony. Niektórym wydaje się, że jest to coś, co zdobywa się raz na zawsze, jak świadectwo ukończenia college’u. Nie licz na to, brachu! Wiedziałem aż za dobrze, że popełniłem ostatnio cały wór grzechów: Pycha. Nieumiarkowanie. Chciwość. Wszeteczeństwo. Cudzołóstwo. Zwątpienie. I inne. Co gorsze, nie odczuwałem skruchy z powodu najcięższych z nich. Jeśli księgi wykażą, że Margrethe nie zostanie zbawiona i nie pójdzie do nieba, to ja również nie miałbym ochoty tam pójść. Wybacz mi, Boże, ale taka jest prawda.

Niepokoilem się o nieśmiertelną duszę Margrethe. Nie mogła ona powołać się na drugą szansę przysługującą wszystkim duszom urodzonym przed Chrystusem. Była urodzona w kościele luterańskim, który nie był moim kościołem, lecz stanowił jego fundament, podobnie jak wszystkich innych kościołów protestanckich. Był on pierwszym owocem Edyktu Wormackiego.

Margrethe mogła osiągnąć zbawienie tylko poprzez wyrzeczenie się swojej herezji oraz powtórne narodziny. Musiała to jednak zrobić sama. Nie mogłem dokonać tego za nią. Jedyne, co mogłem uczynić, to naciskać na nią, aby pomyślała o swoim zbawieniu. Musiałem to jednak robić bardzo ostrożnie. Nie można skłonić motyla, aby usiadł ci na dłoni, potrząsając nad nim mieczem. Margrethe nie była poganką, która nigdy nie słyszała o Chrystusie i którą należało tylko oświecić. Nie, ona urodziła się w wierze chrześcijańskiej i odrzuciła ją w pełni świadomości. Potrafiła cytować Pismo z równą łatwością jak ja. W swoim czasie studiowała Księgę z wielką pilnością, znacznie większą niż z reguły czynią to laicy. Nie pytałem nigdy, przy jakiej okazji to robiła, lecz sądzę, że zainteresowała się słowem Bożym wtedy, gdy zaczęła się zastanawiać nad porzuceniem wiary chrześcijańskiej. Margrethe była tak poważną i dobrą osobą, iż byłem pewien, że nigdy nie podjęłaby tak drastycznego kroku bez długiego i poważnego zastanowienia.

Jak pilny był ten problem? Czy miałem te trzydzieści lat, w ciągu których mógłbym poznać jej sposób myślenia i opracować najlepszą metodę? Czy też Armageddon był tak blisko, że nawet jeden dzień zwłoki mógł ją skazać na wieczne potępienie?

Pogański Ragnarok i chrześcijański Armageddon miały jedną cechę wspólną: przed wielką bitwą pojawiają się wszelkiego rodzaju znaki i cuda. Czy widzieliśmy je wokół nas? Margrethe sądziła, że tak. Co do mnie to koncepcja, że te zmiany światów zapowiadały Armageddon, odpowiadała mi bardziej niż jej alternatywa, to jest, że cierpiałem na paranoję. Czy statek mógł zatonać i cały świat ulec zmianie tylko w tym celu, aby przeszkodzić mi w porównaniu odcisków kciuka? W swoim czasie tak myślałem, ale teraz... no wiesz, Alec, nie jesteś aż taki ważny.

(A może jestem?)

Nigdy nie byłem millenarystą. Zdaję sobie sprawę, jak często występuje w Biblii liczba tysiąc, zwłaszcza w prorocत्वach, nigdy jednak nie wierzyłem, że Wszechmocny kieruje się w swej działalności takimi czynnikami jak koniec tysiąclecia - czy inne okrągłe daty - tylko w tym celu, aby sprawić przyjemność numerologom.

Z drugiej strony wiedziałem jednak, że wiele tysięcy rozsądnych i pobożnych ludzi przywiązuje wielką wagę do zbliżającego się końca drugiego tysiąclecia, oczekując Sądu Ostatecznego, Armageddonu i wszystkiego, co się z tym wiąże. Twierdzą oni, że znaleźli na to dowody w Biblii oraz ich potwierdzenie w wymiarach Wielkiej Piramidy oraz w różnych apokryfach. Różnią się oni jednak między sobą zdaniem na temat tego, kiedy nastąpi koniec tysiąclecia. Rok 2000 czy 2001? Czy też dokładną datę stanowi godzina piętnasta czasu jerozolimskiego dnia siódmego kwietnia roku 2030? O ile uczeni rzeczywiście określili dokładnie moment ukrzyżowania oraz trzęsienia ziemi, które nastąpiło w momencie Jego śmierci. A może powinien być to Wielki Piątek roku 2030, według kalendarza księżycowego? To nie jest taka sobie różnica zdań, biorąc pod uwagę, jaką datę staramy się określić.

Jeśli jednak przyjmiemy moment narodzin Chrystusa, a nie jego ukrzyżowania, jako punkt, od którego należy liczyć tysiąclecia, staje się oczywiste, że ani naiwna data 2000, ani nieco mniej naiwna - 2001 - nie mogą być właściwe, ponieważ Jezus narodził się w Betlejem, w dzień Bożego Narodzenia w roku 5 przed naszą erą.

Każdy wykształcony człowiek to wie, ale niemal nikt nigdy się nad tym nie zastanawia.

W jaki sposób data największego wydarzenia w historii - narodzin naszego Pana - mogła zostać określona błędnie i to aż o pięć lat? To niewiarygodne!

Wyjaśnienie jest proste. Pewien mnich w szóstym stuleciu pomylił się w rachunkach. Nasz obecny system datowania - „od narodzin Chrystusa” - wszedł w użycie dopiero w kilka stuleci po tym fakcie. Każdy, kto próbował kiedyś odczytać na kamieniu węgielnym datę napisaną cyframi rzymskimi, może zrozumieć pomyłkę brata Dionizjusza Exiguusa. W szóstym stuleciu było tak mało ludzi, którzy w ogóle umieli czytać, że błąd pozostał nie wykryty przez wiele lat, a potem było już za późno, aby zmienić wszystkie zapisy. W ten sposób doszło do absurdalnej sytuacji, że Chrystus urodził się na pięć lat przed narodzeniem Chrystusa - sprzeczność, którą można wyjaśnić tylko w ten sposób, że pierwsze stwierdzenie odnosi się do faktu, a drugie do sprzecznego z faktami kalendarza. Przez dwa tysiące lat pomyłka naszego mnicha nie miała wielkiego znaczenia. Teraz jednak było inaczej. Jeśli bowiem millenaryści mają rację, to końca świata należy oczekiwać w dniu Bożego Narodzenia w tym roku.

Zauważcie, proszę, że nie powiedziałem 25 grudnia. Dzień i miesiąc narodzin Chrystusa są nieznane. Mateusz podaje, że królem był Herod. Łukasz twierdzi, że cezarem był August, a gubernatorem Syrii Cyreniusz. Wszyscy wiemy, że Józef i Maria wyruszyli z Nazaretu do Betlejem, aby wziąć udział w spisie i zapłacić podatek. Nie ma żadnych innych danych ani w Piśmie świętym, ani w rzymskich archiwach państwowych.

Sami widzicie. Zgodnie z teorią millenarystów dzień sądu może nastąpić za trzydzieści pięć lat... albo dziś po południu. Gdyby nie Margrethe, ta niepewność nie przeszkadzałaby mi spać po nocach. Jak mogłem jednak spać, gdy moja ukochana mogła w każdej chwili zostać wtrącona do czeluści bez dna, aby cierpieć tam przez całą wieczność?

Co zrobilibyście na moim miejscu?

Wyobraźcie sobie, jak stałem boso na śliskiej podłodze, zmywając naczynia, aby spłacić, swój dług, pogrążony w głębokich myślach o sprawach ostatecznych. Śmieszny widok! Ale przecież zmywanie naczyń nie wymaga wiele uwagi. Czuję się lepiej, gdy mój umysł miał coś twardego do zgryzienia.

Niekiedy porównywałem swój obecny żaloszny stan z uprzednią świetnością, zastanawiając się, czy znajdę w tym labiryncie drogę powrotną do miejsca, z którego pochodziłem.

Czy w ogóle pragnąłem wracać? Czekala tam na mnie Abigail, i choć Stary Testament zezwalał na

wieloletstwo, czterdzieści sześć stanów było innego zdania. Zostało to ustalone raz na zawsze, gdy artyleria Unii zniszczyła świątynię Antychrysta w Salt Lake City i te ich niemoralne „rodziny” zostały rozwiązane i wygnane pod nadzorem armii.

Wyrzeczenie się Margrethe na rzecz Abigail stanowiłoby zbyt wysoką cenę za odzyskanie wpływowej pozycji, którą do niedawna zajmowałem. Niemniej moja praca przynosiła mi zadowolenie. Odczuwałem głęboką satysfakcję z osiągnięć, które się z nią wiązały. To był nasz najlepszy rok od czasu założenia fundacji - mam na myśli nie przynoszące zysków towarzystwo „Kościoły Zjednoczone na rzecz Obyczajności”. Określenie „nie przynoszące zysków” nie oznacza, że podobna organizacja nie jest w stanie wypłacać odpowiednich pensji, a nawet premii. Spędzałem właśnie zasłużony urlop po roku pracy, podczas którego zebraliśmy najwięcej funduszy, co stanowiło głównie moją zasługę, gdyż do moich obowiązków jako zastępcy dyrektora należało przede wszystkim pilnowanie, aby nasze kasy były pełne po brzegi. Jeszcze większą satysfakcję sprawiała mi jednak praca w winnicy, ponieważ zbieranie funduszy nie znaczyłoby nic, gdyby nasze działania w sprawach ducha spełzły na niczym. W ubiegłym roku udało nam się zrealizować następujące cele:

- a) - Prawo federalne czyniące z aborcji zbrodnię główną.
- b) - Prawo federalne czyniące produkcję, sprzedaż, posiadanie, import, przewóz lub korzystanie z jakichkolwiek leków bądź urządzeń o charakterze antykonceptyjnym przestępstwem zagrożonym karą więzienia nie krótszą niż rok i jeden dzień, lecz nie dłuższą niż dwadzieścia lat za każdorazowe wykroczenie i eliminujące zakłamanie wytłumaczenie: „Wyłącznie w celu zapobiegania chorobom”.
- c) - Prawo federalne, które, choć nie delegalizowało hazardu, poddawało go kontroli władz federalnych i przyznawało wyłącznie im prawo wydawania licencji. Krok za krokiem. Osiągnąwszy to będziemy mogli stopniowo unieszkodliwić te dwie jaskinie grzechu - Nevadę i New Jersey metodą „dziel i rządź!”
- d) - Decyzja Sądu Najwyższego, gdzie występowaliśmy jako *amicus curiae*, orzekająca, że kryteria uznawane w typowej lub statystycznie przeciętnej społeczności mają zastosowanie we wszystkich miastach i stanach. (Sprawa Tomkins przeciwko Związkowi Kolporterów Prasy).
- e) - Poważny postęp na naszej drodze do uznania tytoniu za niedozwolony narkotyk poprzez manewr taktyczny polegający na wyłączeniu ze sprawy tabaki i tytoniu do żucia dzięki wprowadzeniu definicji: „substancje używane do palenia i wdychania”.
- f) - Postęp osiągnięty na naszych dorocznych spotkaniach modlitewnych w wielu sprawach, którymi byłem zainteresowany. Jedną z nich był pomysł odebrania zwolnienia z podatków wszystkim szkołom prywatnym niezwiązanym z którymś z kościołów chrześcijańskich. Nie ustalono jeszcze planów w tej sprawie ze względu na kłopotliwy problem szkół katolickich. Czy powinniśmy rozciągnąć swój parasol również nad nimi, czy też był już czas na przejście do ataku? Pytanie, czy katolicy są sojusznikami, czy wrogami, jest zawsze bardzo trudne dla tych z nas, którzy znajdują się na linii frontu.

Przynajmniej tak samo trudna była kwestia żydowska. Czy było możliwe jej humanitarne rozwiązanie? Jeśli nie, to co należy uczynić? Czy powinniśmy pójść na całość? Takie sprawy omawiano wyłącznie przy drzwiach zamkniętych.

Inną jeszcze sprawą był mój ulubiony projekt: Dołożyć astronomom! Niewielu laików zdaje sobie sprawę, jakie numery mogą oni wykryć. Po raz pierwszy zauważyłem to jeszcze na politechnice, gdzie przerabiałem kurs astronomii opisowej, aby sprostać wymaganiom rozszerzenia programu. Dajcie astronomowi większy teleskop i pozwólcie mu działać bez nadzoru, a natychmiast zacznie

rozgłaszać jakieś niezdrowe, niedowarzone domysły mające podważyć odwieczne prawdy „Księgi Rodzaju”.

Jest tylko jeden sposób na zwalczanie takich nonsensów: uderzyć ich po kieszeni! Zmienić definicję „celów edukacji” tak, aby przestała obejmować te wielkie białe słonie - obserwatoria astronomiczne. Pozostawić jedynie Obserwatorium Marynarki Wojennej na liście instytucji wolnych od podatków, zmniejszyć jego personel i ograniczyć działalność do spraw ściśle związanych z nawigacją. (Niektóre z najbardziej bluźnierczych i wywrotowych teorii zostały stworzone przez etatowych urzędników państwowych, którzy mieli za mało do roboty.)

Z działalności tych tak zwanych „uczonych” rzadko wynika coś dobrego, ale astronomowie są z nich wszystkich najgorsi.

Następną sprawą często poruszaną podczas naszych dorocznych spotkań, na którą, jak sądzę, nie warto marnować czasu ani pieniędzy, jest kwestia „praw wyborczych dla kobiet”. Te rozhisteryzowane baby, które nazywają siebie „sufrażystkami”, nie stanowią żadnej groźby. Nigdy nie zdołają odnieść sukcesu, a zwracanie na nie uwagi przydaje im tylko znaczenia w ich własnych oczach. Nie powinno się ich wsadzać do pudła ani zakuwać w dyby. Nie wolno robić z nich męczenniczek. Należy je ignorować.

Sporo jeszcze innych interesujących i godnych przemyślenia kwestii zdejmowałem z porządku dnia na sesjach, podczas których sprawowałem funkcję moderatora, umieszczając na liście zaopatrzonej w nagłówek: „Może za rok”. Były to:

- Oddzielne szkoły dla chłopców i dziewcząt;
- Przywrócenie kary śmierci za czarownictwo i satanizm;
- Alaska jako rozwiązanie kwestii murzyńskiej;
- Poddanie prostytucji kontroli władz federalnych;
- Homoseksualizm - co jest rozwiązaniem? Karanie? Zabieg chirurgiczny? Coś innego?
- Istnieją niezliczone dobre sprawy zwracające uwagę stróżów moralności publicznej. Zawsze jednak pozostaje pytanie, które z nich skierować do realizacji ku większej chwale Bożej. Wszystkie te kwestie, choć fascynujące, mogły znaleźć się na zawsze poza moim zasięgiem. Pomywacz, który dopiero uczy się mówić lokalnym językiem (z pewnością niegramatycznie!), nie może posiadać żadnych wpływów politycznych. Przestałem się więc przejmować tymi sprawami i skoncentrowałem na moich rzeczywistych problemach - herezji Margrethe i (bardziej naglące, lecz mniej ważne) uzyskaniu legalnego zwolnienia ze służby i wyruszeniu na północ.

Pracowaliśmy już przez ponad sto dni, gdy poprosiłem Don Jaimego, aby pomógł mi ustalić dokładną datę końca naszego kontraktu. Innymi słowami powiedziałem mu w uprzejmy sposób: „Drogi szefie, gdy nadejdzie odpowiedni dzień, zwiejemy stąd w te pędy. Proszę się z tym liczyć”.

Spodziewałem się, że czas służby wyniesie sto dwadzieścia jeden dni. Gdy Don Jaime podał liczbę sto pięćdziesiąt osiem, byłem tak wstrząśnięty, że niemal zapomniałem hiszpańskiego.

Jeszcze ponad sześć tygodni! A ja liczyłem na to, że będziemy wolni za tydzień!

Zaprotestowałem, wskazując, że suma naszego długu, określona przez sąd, podzielona przez wartość naszej pracy określoną na aukcji (sześćdziesiąt peso dziennie dla Margrethe, połowa tego dla mnie) dawała wynik sto dwadzieścia jeden dni... z których odsłużyliśmy już sto piętnaście.

Nie sto piętnaście, lecz dziewięćdziesiąt dziewięć. Wręczył mi kalendarz i kazał policzyć. Dopiero w tej chwili odkryłem, że nasze piękne wtorki nie są wliczane w czas służby. Tak przynajmniej twierdził nasz „patrón”.

- Poza tym, Alexandro - dodał - zapomniałeś doliczyć oprocentowanie niezapłaconej sumy, nie pomnożyłeś jej przez współczynnik inflacji, nie doliczyłeś podatków ani nawet opłaty dla Matki

Boskiej Bolesnej. Jeśli zachorujesz, będę musiał opłacić twoje leczenie, co?

(To prawda. Choć nie zastanowiłem się nad tym, istotnie uważałem, że „patrón” ma obowiązki w stosunku do swoich „peónes”.)

- Don Jaime, w dniu, gdy nabył pan nasze kontrakty, kancelista obliczył nam długość ich trwania. Powiedział sto dwadzieścia jeden dni!

- Proszę więc pójść do niego w tej sprawie. - Don Jaime odwrócił się do mnie plecami.

To mnie otrzeźwiło. Don Jaime wydawał się równie chętny rozpatrzyć tę sprawę w sądzie, jak był temu niechętny w sprawie napiwków Margrethe. To oznaczało, że zawierał już tak wiele podobnych kontraktów, iż znał dokładnie ich zasady i nie obawiał się, że sędzia lub jego kancelista mogliby rozstrzygnąć tę sprawę nie po jego myśli.

Nie udało mi się porozmawiać o tym z Margrethe na osobności przed nastaniem nocy.

- Marga, jak mogłem się tak pomylić? Byłem pewien, że kancelista obliczył to dla nas, zanim kazał podpisać nam dokument. Sto dwadzieścia jeden dni. Prawda?

Nie odpowiedziała od razu. Nalegałem.

- Czy nie tak mi powiedziałaś?

- Alec, mimo to, że myślę zwykle po angielsku lub ostatnio po hiszpańsku, kiedy muszę coś policzyć, robię to po duńsku. Sześćdziesiąt to po duńsku „tres”, tak samo jak trzy po hiszpańsku. Widzisz, jak łatwo się pomylić. Nie wiem, czy powiedziałaś ci „ciento y veintiuno”, czy też „ciento y sesentiuno” - ponieważ zapamiętuję liczby po duńsku, nie po angielsku czy hiszpańsku. Myślałam, że sam to podzieliłeś.

- Och, zrobiłem to. Z pewnością kancelista nie powiedział „sto dwadzieścia jeden”. O ile pamiętam, nie wyrzekł ani słowa po angielsku, a ja wtedy w ogóle nie znałem hiszpańskiego. Senior Munoz wytłumaczył to tobie, a ty później przetłumaczyłaś to dla mnie. Potem sprawdziłem sam obliczenia i wydawało mi się, że się zgadza z tym, co on powiedział. Albo co ty powiedziałaś. No, kurczę, nie wiem!

- Zapomnijmy więc o tym, zanim nie będzie okazji zapytać seniora Munoz.

- Marga, czy nie przejęłaś się, usłyszawszy, że będziemy musieli tyrać w tej pipidówce przez pięć dodatkowych tygodni?

- Tak, ale nie zanadto, Alec. Całe życie musiałam pracować. Praca na statku była cięższa niż w szkole - mogłam jednak podróżować i zwiedzać egzotyczne okolice. Praca kelnerki tutaj jest nieco cięższa niż sprzątanie pokoiów na „Konge Knut”, lecz ty jesteś ze mną i to stanowi aż za wielką rekompensatę. Chcę wrócić z tobą do twojej ojczyzny... ale to nie jest moja ojczyzna, nie śpieszy mi się więc do wyjazdu tak jak tobie. Dla mnie, dzisiaj, moja ojczyzna jest tam, gdzie ty.

- Kochanie, jesteś tak rozsądna, logiczna i kulturalna, że czasami doprowadzasz mnie do szału.

- Alec, nie chciałam cię denerwować. Chodziło mi tylko o to, żebyśmy przestali się tym martwić, zanim nie zapytamy o to seniora Munoz. Chodź, pomasuję ci plecy, żebyś się uspokoił.

- Przekonałaś mnie, moja pani! Domagam się jednak przywileju pomasowania wpierw twoich biednych zmęczonych stóp.

Zrobiliśmy i jedno, i drugie. „Och, i pustkowie to raj”.

Żebracy nie mogą wybrzydzać. Wstałem następnego dnia wcześniej i udałem się do gońca, który powiedział mi, że kancelista nie przyjdzie, zanim sąd nie zacznie urzędowania. Umówiłem się więc połowicznie na godzinę zamknięcia sądu we wtorek. „Połowicznie” dlatego, że my musieliśmy się stawić, zaś senior Munoz nie. (Jednakże, Deus volens, będzie obecny).

We wtorek poszliśmy więc jak zwykle na piknik, ponieważ nie mogliśmy liczyć na spotkanie z seniorem Munozem wcześniej niż o szesnastej. Byliśmy ubrani świątecznie, to znaczy założyliśmy

buty, wzięliśmy oboje rano kąpiel, a ja ogoliłem się i założyłem swe najlepsze ubranie - znoszone przez Don Jaimego, lecz świeże i czyste - a nie zniszczone portki robocze otrzymane od Straży Przybrzeżnej, które nosiłem w pracy. Margrethe założyła kolorowy strój, który otrzymała pierwszego dnia naszego pobytu w Mazatlanie.

Oboje staraliśmy się nie spocić ani nie zabrudzić zbytnio. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego uważaliśmy to za ważne. Z jakiegoś powodu sądziliśmy jednak, że do sądu wypada się udać w jak najlepszym stroju.

Jak zwykle przeszliśmy obok fontanny, aby spotkać się z naszym przyjacielem Pepem, zanim zawróciliśmy w kierunku wzgórza. Pozdrowił nas jak przyjaciół i wymieniliśmy kwieciste uprzejmości, które brzmią tak dobrze po hiszpańsku, i których niemal nigdy nie słyszy się po angielsku. Te cotygodniowe spotkania stały się ważnym elementem naszego życia towarzyskiego. Dowiedzieliśmy się o nim więcej - od Amandy, nie od niego - i mój szacunek do niego znacznie wzrósł. Pepe nie urodził się bez nóg (jak niegdyś sądziłem). Był kiedyś szoferem prowadzącym ciężarówkę przez góry do Durango i dalej. Potem doszło do wypadku. Pepe spędził dwa dni uwięziony pod swą maszyną, zanim go odnaleziono. Przywieziono go do Matki Boskiej Bolesnej w stanie, jak się zdawało, beznadziejnym.

Był jednak silniejszy, niż sądzili lekarze. Po czterech miesiącach, gdy wypisano go ze szpitala, ktoś zorganizował zbiórkę, aby kupić mu wózek inwalidzki, wydano mu licencję żebraka, po czym zajął swoje miejsce przy fontannie - przyjaciel ulicznic i „donów”, uśmiechający się wesoło prosto w twarz swojemu losowi.

Gdy po dłuższej rozmowie i tradycyjnych pytaniach o zdrowie, powodzenie oraz o wspólnych znajomych pożegnaliśmy się, wręczyłem mu jednopesowy banknot.

Podał mi go z powrotem.

- Dwadzieścia pięć centavos, przyjacielu. Nie masz drobnych? Czy mam ci wydać resztę?

- Pepe, mój przyjacielu, chciałbym ofiarować tobie ten drobny podarunek.

- Nie, nie, nie. Z turystów wyciskam flaki i proszę o więcej. Od ciebie, przyjacielu, dwadzieścia pięć centavos.

Nie sprzeczałem się z nim. W Meksyku człowiek musi dbać o swoją godność. W przeciwnym razie zginie.

„El Cerro de la Neveria” ma sto metrów wysokości. Wdrapywaliśmy się na nie bardzo powoli. Opóźniałem marsz celowo, ponieważ nie chciałem w żaden sposób przeciążyć Margrethe. Byłem niemal pewien, sądząc z pośrednich znaków, że jest przy nadziei. Nie uważała jednak za stosowne mówić o tym ze mną, a ja, rzecz jasna, nie poruszałem tego tematu jako pierwszy. Znaleźliśmy swoje ulubione miejsce, gdzie mogliśmy się schronić w cieniu niewielkiego drzewa, a jednocześnie podziwiać pełną panoramę - trzysta sześćdziesiąt stopni - od Zatoki Kalifornijskiej na północnym zachodzie, poprzez Pacyfik na zachodzie i coś, co mogło być, lecz niekoniecznie było, chmurami nad szczytem górskim na przylądku Baja California dwieście mil stąd. Dalej, na południowym zachodzie, patrząc wzdłuż naszego półwyspu, widać było „Cerro Vigia” („Wzgórze Czat”) oraz piękną „Playa de las Olas Atlas” znajdującą się pomiędzy nami a nim. Dalej leżało „Cero Creston”, na którym wznosiła się wielka latarnia morska - „Faro” - dominująca nad całym przylądkiem. W kierunku południowym, po drugiej stronie miasta, widać było lądowisko Straży Przybrzeżnej. Na wschodzie i północnym wschodzie rozciągały się góry, za którymi kryło się odległe o sto pięćdziesiąt mil Durango... dzisiaj jednak powietrze było tak czyste, iż wydawało się, że moglibyśmy dotknąć ich szczytów. Mazatlan rozciągał się pod nami jak makieta. Nawet bazylika wyglądała z góry jak model na planie architektonicznym, a nie imponujący kościół. Po raz n-ty zadałem sobie pytanie, dlaczego

katolicy ze swymi (z reguły) pogrążonymi w nędzy kongregacjami mogą budować takie piękne kościoły, podczas gdy protestanci wierni muszą się tak męczyć nad zebraniem funduszy na skromniejsze budowle.

- Popatrz, Alec! - zawołała Margrethe - Anibal i Roberto mają nowy „aeroplano”! - Wskazała palcem w tamtym kierunku.

Rzeczywiście, na przystani Straży Przybrzeżnej stały dwa „aeroplanos”. Jednym była olbrzymia groteskowa wałka, która nas uratowała, a drugim nowa maszyna, która wyglądała zupełnie inaczej. Z początku myślałem, że jest ona pogrążona w wodzie, ponieważ brak było pontonów, za pomocą których znana już nam konstrukcja utrzymywała się na powierzchni.

Po chwili zdałem sobie sprawę, że nowa maszyna była w dosłownym tego słowa znaczeniu łodzią latającą. Sam kadłub „aeroplano” był konstrukcją wodoszczelną - pontonem czy też łodzią. Silniki tej maszyny umieszczone były ponad skrzydłami. Nie byłem pewien, czy te radykalne zmiany wzbudzają moje zaufanie. Solidna prostota maszyny, w której lecieliśmy, bardziej mi odpowiadała.

- Alec, wpadnijmy do nich w następny wtorek.

- Zgoda.

- Czy myślisz, że Anibal pozwoliłby nam przelecieć się nowym „aeroplano”?

- Nie, jeśli komendant się dowie.

Nie dodałem, że ta nowomodna machina nie wydawała mi się bezpieczna. Margrethe zawsze była nieustraszona.

- Wpadniemy jednak do nich i poprosimy, żeby nam go pokazali. Porucznik Anibal się ucieszy, Roberto również. Zjedzmy coś.

- Ty świniaczkę - odpowiedziała. Wyciągnęła „servillete” i zaczęła wykladać na nią jedzenie z koszyka, który przyniosłem. Wtorki dawały Margrethe okazję na urozmaicenie znakomitej meksykańskiej kuchni Amandy swą własną - duńską i międzynarodową. Dziś zdecydowała się przygotować znakomite duńskie kanapki, tak lubiane przez wszystkich Duńczyków oraz każdego, kto miał kiedykolwiek okazję ich spróbować. Amanda pozwalała Margrethe robić w kuchni wszystko, na co ta miała ochotę, a seniora Valera nie wtrącała się. Nigdy nie wchodziła do kuchni, co było wynikiem jakiegoś „rozejmu”, ustalonego, zanim dołączyliśmy do personelu. Amanda była kobietą o zdecydowanym charakterze.

Na dzisiejszych kanapkach dominowały smaczne, delikatne krewetki, z których słynie Mazatlan, stanowiły one jednak tylko zakąskę. Przypominam sobie szynkę, indyka, kruchy boczek, majonez, trzy gatunki sera, różne marynowane jarzyny, małe papryki, niezidentyfikowane ryby, cienkie plasterki wołowiny, świeże pomidory, pastę pomidorową, trzy rodzaje sałaty i coś, co chyba było mocno zesmażonym bakłażanem. Dzięki Bogu jednak nie trzeba znać nazwy potrawy, aby zjeść ją z przyjemnością, pochłonałem więc z zadowoleniem wszystko, co Margrethe położyła przede mną, nie przejmując się, czy wiem, co zjadam, czy nie.

W godzinę później bekałem już tylko, udając, że tego nie robię.

- Margrethe, czy mówiłem ci już dzisiaj, że cię kocham?

- Tak, ale już jakiś czas temu.

- Kocham cię. Jesteś nie tylko piękna, ślicznie zbudowana, lecz jesteś również świetną kucharką.

- Dziękuję panu bardzo.

- Czy pragniesz, aby podziwiać cię również za twoje walory intelektualne?

- Niekoniecznie. Nie.

- Jak sobie życzysz. Jeśli zmienisz zdanie, nie zapomnij mnie powiadomić. Przestań się użerać z tymi resztkami. Posprzątam później. Połóż się przy mnie i wytłumacz mi, dlaczego wciąż ze mną

jesteś. Chyba nie za to, jak gotuję? Może dlatego, że potrafię zmywać naczynia najlepiej na całym zachodnim wybrzeżu Meksyku?

- Tak jest - odpowiedziała i zabrała się do sprzątania. Nie skończyła, zanim nie zapanował całkowity porządek, a wszystko, co pozostało niezjedzone, znalazło się w koszyku, gotowe na powrót do Amandy. Następnie położyła się przy mnie, podkładając mi rękę pod szyję.

Nagle poderwała się:

- Co to?

- O co...

Nagle usłyszałem. Odległy, coraz głośniejszy huk, jak pociągu towarowego nadciągającego zza zakrętu. Jednakże najbliższa linia kolejowa - z Chihuahua do Guadalajary leżała daleko, poza półwyspem mazatlańskim.

Huk był coraz głośniejszy. Ziemia zaczęła się kołysać. Margrethe usiadła:

- Alec, boję się.

- Nie bój się, kochanie. Jestem przy tobie.

Przytuliłem ją do siebie z całej siły. Matka Ziemia trzęsła się pod nami w górę i w dół, a huk narastał do niewiarygodnej głośności.

Jeśli kiedykolwiek przeżyliście trzęsienie ziemi, choćby małe, wiecie, co czuliśmy, lepiej, niż mogą to wyrazić moje słowa. Jeśli zaś nigdy wam się to nie zdarzyło, nie uwierzcie mi - jest to tym bardziej pewne, im dokładniej je opiszę.

Podczas trzęsienia ziemi najgorsze jest to, że nie ma nic pewnego, czego można by się złapać... lecz najbardziej zdumiewający jest hałas, piekielny rumor wszelkiego rodzaju - trzask miażdżonych pod waszymi stopami skał, ostre zgrzyty rozszarpywanych na fragmenty budynków, krzyki przerażonych ludzi, jęki rannych i zagubionych, wycie i skomlenie zwierząt dotkniętych kataklizmem, którego nie są w stanie pojąć.

I nic z tego nie cichnie.

Wszystko to trwało przez niekończący się czas. Potem dotarło do nas jądro kataklizmu i całe miasto runęło w gruzy.

Usłyszałem to. Całkowicie niewyobrazalny hałas stał się nagle dwukrotnie głośniejszy. Zdołałem usieść się na jednym łokciu i rozejrzeć wkoło. Kopuła bazyliki zapadła się jak bańka mydlana.

- Och, Marga, popatrz! Nie, nie patrz! To zbyt straszne!

Uniosła się lekko z ziemi z bezradną miną, nic nie mówiąc. Wciąż obejmowałem ją jedną ręką. Spojrzałem w dół półwyspu w stronę „Cerro Vigia” i latarni morskiej, która zaczęła się pochylać.

Na moich oczach pękła w połowie swej wysokości, a potem wolniutko i z godnością runęła na ziemię.

Za miastem udało mi się dostrzec dwa zakotwiczone „aeroplanos” Straży Przybrzeżnej. Tańczyły jak oszalałe. Nagle jedno ze skrzydeł nowej maszyny zanurzyło się. Nakryła je woda. W tej chwili wznosząca się nad miastem chmura zakryła je przed moimi oczami - chmura pyłu pochodzącego z tysięcy i tysięcy ton strzaskanych murów.

Spojrzałem w stronę restauracji. Dostrzegłem ją: EL RESTAURANTE PANCHO VILLA. Na moich oczach ściana, na której umieszczony był szyld, runęła na ulicę. Pył wzniósł się w górę, pokrywając za chwilę miejsce, gdzie stała.

- Margrethe! Już po niej! Po restauracji „Pancho Villa”. - Wskazałem palcem w tamtym kierunku.

- Nic nie widzę.

- Już po niej, mówię ci! Runęła! Dzięki Bogu, że nie było tam dziś Amandy i dziewczyn!

- Tak jest. Alec, czy to się nigdy nie skończy?!

Skończyło się nagle - znacznie gwałtowniej, niż się zaczęło. Pył zniknął w cudowny sposób. Ucichł huk, wycie zwierząt oraz krzyki rannych i umierających.

Latarnia morska z powrotem znalazła się na swoim miejscu.

Spojrzałem w lewo, gdzie uprzednio stały „aeroplanos”. Nie było tam nic. Nawet pali, do których powinny być przywiązane. Spojrzałem na miasto - pełny spokój. Bazylika stała piękna i nienaruszona. Rozejrzałem się za sztydem „Pancho Villa”, lecz nie mogłem go znaleźć. Na rogu, który był chyba tym właściwym, stał jakiś budynek, lecz jego kształt był nieco inny. Również okna się nie zgadzały.

- Marg... gdzie jest restauracja?

- Nie wiem, Alec, co się dzieje?

- Znowu nam to zrobili - powiedziałem z goryczą. - Zmieniacze światów. Trzęsienie ziemi się skończyło, ale to nie jest to samo miasto, w którym byliśmy. Wygląda podobnie, ale to inne miasto. Miałem rację tylko w połowie. Zanim zdecydowaliśmy się ruszyć w dół stoku, huk zaczął się od nowa. Potem kołysanie ziemi... i gwałtownie narastający hałas oraz nagłe wstrząsy, później to miasto także zostało zniszczone. Po raz drugi ujrzałem, jak nasza wyniosła latarnia morska pochyła się i pada. Jeszcze raz kościół zapadł się do wewnątrz. Ponownie obłoki dymu wzbiły się ku niebu, a wraz z nimi wzniosły się krzyki ludzkie i wycie zwierząt.

Podniosłem ku niebu zaciśniętą pięść i potrząsałem nią.

- Do diabła z tym! Stop! Dwa razy to przesada!

Nie uderzył we mnie żaden grom.

Widziałem wszelkie sprawy, jakie się

dzieją pod słońcem.

*I oto wszystko to marność i pogoń za
wiatrem.*

Księga Eklezjasty 1, 14

Pominę milczeniem następne trzy dni, ponieważ nie wydarzyło się w tym czasie nic dobrego. „Na ulicach były krew i pył”. Ocaleni, ci spośród nas, którzy nie byli ranni, otepiali z żalu ani oszołomieni czy też pogrążeni w hysterii do tego stopnia, że byli niezdolni do akcji - krótko mówiąc nieliczni - pracowali przy odgruzowywaniu, starając się odnaleźć żywe istoty pod cegłami, kamieniami i tynkiem. Jak wiele można jednak dokonać gołymi rękoma wobec niezliczonych ton skały?

Cóż można zrobić, gdy dokopujesz się do celu i stwierdzasz, że jest już za późno, że było już za późno, gdy rozpoczęłeś kopanie? Usłyszeliśmy odgłos przypominający miauczenie kota, kopaliśmy więc z największą ostrożnością, starając się nie wywierać żadnego nacisku na to, co znajdowało się pod spodem, uważając, aby kamienie, które usuwaliśmy, nie wywołały poruszeń mogących doprowadzić do większych szkód. W końcu odnaleźliśmy źródło dźwięku - zmarłe przed chwilą niemowlę. Miednica złamana, jedna strona głowy zmiażdżona. „Błogosławiony, kto schwyci i rozbije o skały twe dzieci”. Odwróciłem głowę i zwymiotowałem. Już nigdy nie przeczytam psalmu 137.

Tę noc spędziliśmy u podnóża „Wzgórza Lodówki”. Gdy słońce zaszło, siłą rzeczy zaniechaliśmy swoich starań. Nie tylko ciemność uniemożliwiała wtedy pracę, lecz rozpoczynał się również szaber. Żywiłem głębokie przekonanie, że każdy szabrownik jest potencjalnym gwałcicielem i mordercą. Byłem gotowy zginąć za Margrethe, gdyby zaistniała taka potrzeba, nie miałem jednak ochoty na bohaterską, lecz daremną śmierć w konfrontacji z tym, czego można było uniknąć.

Następnego dnia wczesnym popołudniem przybyła Armia Meksykańska. Nie dokonaliśmy do tego czasu nic użytecznego - wciąż przerzucaliśmy gruzy. Lepiej nie wspominać, co znaleźliśmy. Żołnierze położyli kres nawet temu. Wszyscy cywile zostali zapędzeni w górę półwyspu, z dala od zniszczonego miasta, do stacji kolejowej po drugiej stronie rzeki. Tam czekaliśmy - świeżo owdowiali mężczyźni i kobiety, zagubione dzieci, ranni na prowizorycznych noszach, inni ranni, zdolni do chodzenia, oraz pewna liczba ludzi bez obrażeń na ciele, lecz z pustym spojrzeniem i niezdolnych mówić. Margrethe i ja należeliśmy do grupy szczęśliwców. Byliśmy jedynie głodni, spragnieni, brudni i pokryci od stóp do głów siniakami na skutek tego, że podczas trzęsienia ziemi leżeliśmy płasko.

Przepraszam - podczas dwóch trzęsień ziemi.

Czy ktoś jeszcze przeżył dwa kataklizmy?

Nie mogłem się zdecydować, by zapytać kogokolwiek. Chyba byłem jedynym człowiekiem, który doświadczał podobnych zmian, nie licząc Margrethe, która dwukrotnie przybyła ze mną, ponieważ w kluczowym momencie trzymałem ją w objęciach. Czy istniały też inne ofiary? Czy na pokładzie „Konge Knut” byli też inni, którzy trzymali głowę na kłódkę równie starannie jak ja? Jak mam o to zapytać? Przepraszam, amigo, ale czy to jest to samo miasto, co wczoraj?

Po dwóch godzinach oczekiwania na stacji kolejowej nadszedł wojskowy wóz z wodą - blaszany kubek wody dla każdego i żołnierz z bagnetem pilnujący porządku w kolejce. Tuż przed zachodem słońca wóz przybył po raz drugi z większą ilością wody oraz bochenkami chleba. Margrethe i ja

otrzymaliśmy na spółkę ćwierć bochenka. W tej samej chwili na stację zajechał pociąg i żołnierze zaczęli upychać pasażerów oraz rozładowywać zapasy. Marga i ja mieliśmy szczęście - wepchnięto nas do wagonu osobowego, podczas gdy większość jechała w towarowych. Pociąg ruszył w kierunku północnym. Nie pytano nas, czy właśnie w tamtą stronę chcemy się udać, ani też nie żądano opłaty za bilet. Ewakuowano cały Mazatlan. Pozostawiono go we władaniu szczurów i zmarłych, zanim system kanalizacji nie zostanie odbudowany. Nie ma sensu opisywać podróży. Pociąg jechał, a my to znosiliśmy. Linia kolejowa oddalała się od brzegu w Guaymas, kierując się wprost na północ przez Sonorę do Arizony. Krajobraz był piękny, nie byliśmy jednak w stanie go podziwiać. Spaliśmy, jak najdłużej się dało. Przez resztę czasu udawaliśmy, że śpimy. Za każdym razem, gdy pociąg się zatrzymywał, niektórzy z pasażerów go opuszczali - o ile policja nie zapędziła ich z powrotem. Gdy dotarliśmy do Nogales w stanie Sonora, pociąg opróżnił się w połowie. Pozostali najwyraźniej wybierali się do Nogales w stanie Arizona. My, rzecz jasna, też.

Dotarliśmy do przejścia granicznego wczesnym popołudniem trzeciego dnia po trzęsieniu.

Zaprowadzono nas do budynku stojącego tuż za linią graniczną i mężczyzna w mundurze przemówił do nas po hiszpańsku:

- Witajcie, amigos! Stany Zjednoczone są szczęśliwe, że mogą pomóc swoim przyjaciołom w godzinie próby. Amerykański Urząd Imigracyjny uprosił swe procedury, abyśmy mogli szybko zająć się wami wszystkimi. Najpierw zostaną wam wydane nadzwyczajne pozwolenia na pracę, abyście mogli ją dostać na całym terenie Stanów. Gdy tylko opuścicie obóz, stwierdzicie, że czekają na was agenci pośrednictwa pracy. Jak również kuchnia wydająca zupy! Jeśli jesteście głodni, możecie zjeść swój pierwszy posiłek tutaj na koszt Wujka Sama. Witajcie w „los Estados Unidos”!

Kilku ludzi chciało zadać jakieś pytania, lecz Margrethe i ja skierowaliśmy się prosto ku drzwiom prowadzącym do odwszalni. Miałem pretensję o nazwę, jaką nadano tym rutynowym zabiegom sanitarnym. Wymóg, żeby się poddać odwszeniu, równa się stwierdzeniu, że jesteś zawszony. Z pewnością byliśmy brudni i odziani w łachmany, a ja miałem trzydniowy zarost. Ale zaraz zawszeni?

Cóż, a jeśli nawet! Czy po całym dniu grzebania w ruinach i dwóch dniach spędzonych bez mycia w zatłoczonym wagonie kolejowym, który nie był już zbyt czysty w momencie, gdy do niego wsiadaliśmy, mogłem z całą pewnością potwierdzić, że byłem wolny od robactwa?

Odwszanie nie było takie straszne. Składało się głównie z branego pod nadzorem prysznicą, któremu towarzyszyły zachęty w języku hiszpańskim, aby natrzeć dokładnie miękkim mydłem odkazającym owłosione części ciała. Również moje ubranie poddano jakiejś formie odkazania czy okadzenia - chyba w autoklawie.

Potem musiałem czekać, zupełnie nago, przez dwadzieścia minut, aby je odzyskać. Z każdą minutą stawałem się coraz bardziej rozgniewany.

Gdy tylko jednak odzyskałem ubranie, gniew ustąpił. Zdałem sobie sprawę, że nikt nie szykanował mnie celowo. Każda zaimprovizowana procedura postępowania z tłumem ludzi w kryzysowej sytuacji niemal zawsze wywiera niszczący wpływ na ludzkie poczucie godności. (Meksykańscy uchodźcy najwyraźniej czuli się obrażeni. Słyszałem ich szemranie).

Później musiałem znowu czekać, na Margrethe.

Wyszła z pomieszczenia dla kobiet, dostrzegła mnie, uśmiechnęła się i nagle wszystko wydało mi się piękne. Jak to możliwe, że wychodząc z odwszalni, wyglądała jak wyjęta z pudełka?

Podeszła do mnie i powiedziała:

- Czy musiałeś na mnie czekać, kochanie? Przepraszam. Zauważyłam tam deskę do prasowania i skorzystałam z okazji, aby poprawić swoją sukienkę. Po wyjęciu z pralki wyglądała fatalnie.

- Nie przeszkadza mi czekanie - zełgałem. - Jesteś piękna (to nie łgarstwo!) Czy pójdziemy na

obiad? Obawiam się, że dają tu tylko zupę.

- Czy nie musimy wpierw załatwić jakichś formalności?

- Och, myślę, że możemy najpierw zjeść zupę. Niepotrzebne nam pozwolenia na pracę. One są dla obywateli meksykańskich. Muszę im tylko opowiedzieć o naszych zaginionych paszportach.

Przemyślałem dokładnie całą sprawę i wyjaśniłem wszystko Margrethe podczas podróży pociągiem. Miałem zamiar opowiedzieć im następującą historię: Byliśmy turystami, którzy zatrzymali się w „Hotel de las Olas Atlas” tuż przy plaży. Straciliśmy ubrania, paszporty, pieniądze i wszystko w chwili, gdy nasz hotel został zniszczony. Mieliśmy szczęście, że uszliśmy z życiem. Ubrania, które mieliśmy na sobie, dał nam Meksykański Czerwony Krzyż.

Ta opowieść miała dwie zalety: „Hotel de las Olas Atlas” istotnie został zniszczony, a pozostałych szczegółów nie będzie można łatwo sprawdzić.

Stwierdziłem, że musimy stanąć w kolejce po numerek, aby dostać się do kuchni. W końcu dotarliśmy do biurka i siedzący przy nim mężczyzna wręczył mi niewypełniony druk, mówiąc po hiszpańsku:

- Proszę wpisać nazwisko, potem imię i adres. Jeśli pański dom został zniszczony, proszę to napisać i podać jakiś inny adres - kuzyna, ojca, księdza czy kogokolwiek, czyj dom ocalał.

Zacząłem wygłaszać swą mowę. Funkcjonariusz spojrział na mnie i powiedział:

- Amigo, zatrzymujesz kolejkę.

- Ale - odpowiedziałem - pozwolenie nie jest mi potrzebne. Jestem obywatelem amerykańskim, który powrócił z zagranicy i staram się wyjaśnić, dlaczego ja i moja żona nie mamy paszportów.

Zaczął bębnić palcami po blacie.

- Niech pan posłucha - powiedział. - Pański akcent wskazuje, że jest pan rodowitym Amerykaninem, nie mogę jednak nic zrobić w sprawie pańskiego zgubionego paszportu. W kolejce czeka jeszcze trzystu pięćdziesięciu uchodźców, a niedługo nadjedzie następny pociąg. Nie pójdę spać przed drugą w nocy. Dlaczego nie zrobi pan nam obu przysługi i nie przyjmie tego pozwolenia? Ono pana nie otruje, a pozwoli panu przekroczyć granicę. Jutro może się pan użerać o swój paszport z Departamentem Stanu, ale nie ze mną, zgoda?

Jestem głupi, ale nie uparty. Przystałem na to. Jako swój meksykański adres podałem adres Don Jaimego. Uważałem, że był mi winny przynajmniej tyle. Miało to tę zaletę, że jego adres znajdował się w innym wszechświecie.

Zupa była taka, jakiej można się było spodziewać po instytucji dobroczynnej. Była to jednak kuchnia gringów, której nie kosztowałem od miesięcy, a poza tym byliśmy głodni. Na deser zjadłem jabłko „Stark Delicious” - bardzo smaczne. Jeszcze przed zachodem słońca wyszliśmy na ulice Nogales - wolni, nakarmieni i umyjni. Poza tym w sposób mniej lub więcej legalny znaleźliśmy się na terenie Stanów Zjednoczonych. Byliśmy w sytuacji o co najmniej tysiąc procent pomyślniejszej niż tych dwoje nagich rozbitków wyrzuconych na brzeg oceanu siedemnaście tygodni temu.

Wciąż jednak byliśmy sierotami bez żadnych pieniędzy, miejsca na spoczynek ani ubrań, oprócz tego, co mieliśmy na sobie. Ponadto mój trzydniowy zarost oraz kształt, jaki przybrało moje ubranie po przejściu przez autoklaw, czy co to tam było, sprawiały, że wyglądałem jak ostatni łazęga.

Szczególnie doskwierał nam brak pieniędzy, choć mieliśmy te, które Margrethe odłożyła z napiwków. Ale na banknotach było napisane „Reino” zamiast „Republica”, a na monetach widniały niewłaściwe podobizny. Niektóre monety mogły zawierać wystarczającą ilość srebra, aby posiadać pewną wartość rynkową, jednak jeśli tak było, nie było sposobu, aby je natychmiast sprzedać. Gdybyśmy natomiast spróbowali zapłacić gdzieś tymi pieniędzmi, mogłoby to wpędzić nas w nie lada tarapaty.

Ile na tym straciliśmy? Nie istnieją międzywszechświatowe przeliczniki kursu walut. Można opracować wartość tych banknotów, porównując siłę nabywczą - tyle tuzinów jajek, tyle kilogramów cukru - szkoda zachodu! Niezależnie od tego, ile posiadaliśmy gotówki, straciliśmy wszystko.

Natrafiłem już na podobną przeszkodę podczas pobytu w Mazatlanie. W chwilach wolnych od obowiązków króla pomywaczy spróbowałem wysłać listy do:

- a) - Szefa Alexandra Hergensheimera, wielebnego Dandy Danny Douvera, doktora teologii, dyrektora „Kościołów Zjednoczonych na rzecz Obyczajności”.
- b) - Prawników Aleca Grahama w Dallas.

Na żaden z tych listów nie otrzymałem odpowiedzi. Żaden też nie został odesłany z powrotem. Spodziewałem się tego, ponieważ ani Alec, ani Alexander nie pochodzili ze świata maszyn latających - „aeroplanos”. Spróbuję napisać do obu ponownie, lecz nie łudzę się, że otrzymam jakąkolwiek odpowiedź.

Wiedziałem już, że ten świat wydałby się obcy zarówno Grahamowi, jak i Hergensheimerowi. Skąd? Nic właściwie, zanim dotarliśmy do Nogales, nie wydało mi się osobliwe. Tutaj jednak, w poczekalni, stał (trzymajcie się mocno) telewizor. Duża solidna skrzynka z okienkiem po jednej stronie, w którym poruszały się obrazy ludzi... a ze skrzynki dobiegały odgłosy ich rozmowy.

Albo znacie ten wynalazek i jesteście do niego przyzwyczajeni, albo też mieszkacie w świecie, gdzie go nie znają - i nie uwierzycie mi. Uczcie się wiary ode mnie, gdyż zostałem zmuszony do uwierzenia w rzeczy niewiarygodne. Istnieje taki wynalazek, podobnie jak świat, w którym jest on czymś równie pospolitym jak rower. Nazywa się telewizor, lecz czasem mówi się o nim TV, wideo lub nawet „ogłupiacz”.

Gdybyście poznali niektóre z celów, do których to cudowne urządzenie jest używane, to ostatnie określenie nie wydałoby się wam dziwne.

Jeśli kiedykolwiek znajdziecie się bez grosza przy duszy w nieznanym mieście, nie mając się do kogo zwrócić, a nie chcecie udać się na posterunek policji, i boicie się rozboju, istnieje tylko jedno miejsce, gdzie możecie się zwrócić po pomoc. Można je zwykle znaleźć w dzielnicy nędzy i występku.

Armia Zbawienia.

Gdy tylko dostałem w swoje ręce książkę telefoniczną, odszukanie adresu Armii Zbawienia zajęło mi tylko chwilę (choć rozpoznanie telefonu zabrało już troszkę czasu; ostrzeżenie dla podróżników międzyświatowych - drobne zmiany mogą spowodować znacznie więcej trudności niż wielkie różnice).

Po dwudziestu minutach i lekkim błędzeniu Margrethe i ja dotarliśmy do misji. Na chodniku przed wejściem stała czteroosobowa orkiestra: waltornia, wielki bęben i dwa tamburyny. Wokół nich gromadził się tłum. Ćwiczyli „Opokę Wieków”. Szło im nieźle, choć przydałby im się baryton. Odczuwałem pokusę, aby się do nich przyłączyć. Lecz w odległości dwóch wystaw sklepowych przed misją Margrethe zatrzymała się, chwytając mnie za rękaw.

- Alec... czy musimy to robić?
- Hej? Co się stało, kochanie? Myślałem, że to ustaliliśmy.
- Nie, sir. Po prostu oznajmiłeś mi to.
- Hmm... może i tak było. Nie chcesz pójść do Armii Zbawienia?

Zaczerpnęła głęboki oddech i wydusiła to w końcu z siebie:

- Alec... nie byłem w kościele, odkąd... odkąd wyrzekłam się wiary luterańskiej. Iść teraz do kościoła!... Myślę, że to byłby grzech. (Dobry Boże, co mam począć z tym dzieciakiem? Porzuciła wiarę nie dlatego, że jest poganką... lecz dlatego, że jej zasady są jeszcze surowsze od twoich.

Proszę cię o przewodnictwo - i to piorunem!)

- Kochanie, jeśli uważasz, że to grzech, nie zrobimy tego. Powiedz mi jednak, co mamy począć. Nie mam już więcej pomysłów.

- Och... Alec, czy nie ma innych instytucji, do których może się zwrócić człowiek w potrzebie?

- Ależ są! W tak dużym mieście kościół katolicki na pewno ma więcej niż jedno hospicjum. Znajdą się też inne misje protestanckie.. Prawdopodobnie również żydowska. Ponadto...

- Miałam na myśli: nie związane z kościołem.

- Rozumiem. Margrethe, wiemy oboje, że to nie jest naprawdę moja ojczyzna. Wiesz zapewne o obowiązujących tu zasadach równie dużo co ja. Mogą tu istnieć schroniska dla bezdomnych całkowicie nie związane z kościołem. Nie jestem jednak tego pewien, gdyż kościoły z reguły monopolizują tę działalność, ponieważ nikt inny nie chce się tym zajmować. Gdyby było wcześniej rano, a nie późno wieczorem, spróbowałbym znaleźć coś pod nazwą Unia Dobroczytna, Fundusz Społeczny, czy coś podobnego i przyjrzeć się, co tam rozdają. Może by się coś znalazło. Teraz jednak... przychodzi mi do głowy jedynie odszukanie policjanta i poproszenie go o pomoc... a mogę ci z góry powiedzieć, co robi gliniarz w tej części miasta, gdy mu powiesz, że nie masz gdzie spać. Skieruje cię prosto do tej misji.

- W Kopenhadze albo Sztokholmie, czy Oslo - poszłabym prosto na posterunek. Wystarczy poprosić o nocleg i załatwione.

- Muszę ci przypomnieć, że to nie jest Dania ani Szwecja czy Norwegia. Tutaj mogliby nas przenocować - mnie zamknęliby razem z pijakami, a ciebie wśród prostytutek.

Rano moglibyśmy zostać oskarżeni o włóczęgostwo, bądź też o coś innego. Nie jestem pewien.

- Czy Ameryka naprawdę jest taka zła?

- Nie wiem, kochanie. To nie jest moja Ameryka. Wolę jednak tego nie sprawdzić na własnej skórze. Najdroższa, jeśli zapracuję na to, co nam dadzą, czy będziemy mogli przenocować w Armii Zbawienia, nie wywołując u ciebie poczucia grzechu?

Zastanowiła się nad tym poważnie. Największą wadą Margrethe był całkowity brak poczucia humoru. Dobry charakter - na mur. Cudowna towarzyszka - tak jest. Poczucie humoru? „Życie jest poważną sprawą...”

- Alec, jeśli będzie to można załatwić, mogę tam wejść. Ja również będę pracować.

- To zbyteczne, kochanie. Jest tu zapotrzebowanie na moją specjalność. Gdy skończą dzisiaj karmienie wyrzutków, pozostanie im wielki stos brudnych naczyń - a masz przed sobą mistrza wagi ciężkiej całego Meksyku i „los Estados Unidos” w ich zmywaniu.

Zmywałem więc naczynia. Pomogłem też rozdać śpiewniki z hymnami oraz zorganizować wieczorne nabożeństwo. Udało mi się także pożyczyć maszynkę do golenia wraz z żyletką od brata Eddiego McCaw, który był tu adiutantem. Opowiedziałem mu, w jaki sposób się tu znaleźliśmy.

Przebywaliśmy na wakacjach na Meksykańskiej Riwierze. Opalaliśmy się na plaży, gdy nastąpiło trzęsienie ziemi... cały szereg kłamstw, które przygotowałem dla Urzędu Imigracyjnego i których nie miałem okazji wygłosić.

- Straciliśmy wszystko. Pieniądze, czeki podróżne, paszporty, ubrania, bilety do domu. Dosłownie wszystko. I tak można powiedzieć, że mieliśmy szczęście. Uszliśmy z życiem.

- Pan miał was w Swych ramionach. Mówisz, że byłeś ponownie narodzony?

- Wiele lat temu.

- Naszym zbłąkanym owcom przyniesie pożytek, jeśli będą się mogły otrzeć o ciebie. Gdy przyjdzie czas na danie świadectwa, czy opowiesz im o tym? Jesteś tu pierwszym świadkiem naocznym. Oczywiście poczuliśmy to tutaj, ale tylko naczynia się zakołysały.

- Z chęcią dam świadectwo prawdzie.
- Cieszę się. Chodź, dam ci tę maszynkę.

Złożyłem więc świadectwo, dając im wierny i straszliwy opis trzęsienia ziemi, choć nie był on równie przerażający jak prawda - mam nadzieję, że nigdy już nie zobaczę szczura - po czym podziękowałem publicznie Panu, że Margrethe i ja nie zostaliśmy ranni i stwierdziłem, że była to moja najszczęśliwsza modlitwa od lat.

Wielebny Eddie poprosił tę salę pełną cuchnących wyrzutków, aby połączyła się z nim w modlitwie dziękczynnej za to, że brat i siostra Graham zostali ocaleni. Była to dobra, podnosząca na duchu modlitwa, w której znalazło się wszystko, poczynając od Jonasza. Wywołała ona okrzyki: „Amen!” na całej sali. Pewien stary pijaczek podszedł do mnie i oświadczył, że dostrzegł wreszcie Bożą łaskę i miłosierdzie i jest teraz gotów poświęcić swe życie Chrystusowi. Brat Eddie odmówił nad nim modlitwę, po czym zaprosił innych, aby również wystąpili. Dwóch uczyniło to. Brat Eddie był urodzonym kaznodzieją. Dostrzegł w naszej opowieści temat do wieczornego kazania i wykorzystał go, opierając się na cytatach z Łukasza - 15, 10 oraz Mateusza - 6, 19. Nie wiem, czy miał przygotowane kazanie oparte na tych wersetach. Prawdopodobnie nie, gdyż każdy kaznodzieja wart tego miana może kazać w nieskończoność, opierając się na którymkolwiek z nich. Tak czy inaczej wykazał się szybką orientacją i wykorzystał w pełni naszą nieprzewidzianą obecność.

Był z nas zadowolony i jestem pewien, że z tego powodu, gdy wychodziliśmy po kolacji po nabożeństwie, powiedział nam, że choć oczywiście nie mają osobnych pokojów dla par małżeńskich, które rzadko gościły w misji, zanoszą się jednak, że siostra Graham będzie dzisiaj spać sama w sypialni dla sióstr, dlaczego więc nie miałbym się przespać tam, zamiast razem z mężczyznami? Nie ma podwójnych łóżek, tylko piętrowe prycze - niestety! Przynajmniej jednak byłibyśmy w tym samym pokoju.

Podziękowałem i udaliśmy się uszczęśliwieni do łóżka. Dwoje ludzi może dzielić ze sobą bardzo wąskie łóżko, jeśli naprawdę pragną spać razem.

Następnego ranka Margrethe ugotowała śniadanie dla wyrzutków. Poszła do kuchni i zgłosiła się na ochotnika. Musiała zrobić wszystko sama, ponieważ etatowy kucharz nie przygotowywał śniadania, lecz tradycyjnie robił to ten, komu akurat przypadł dyżur. Śniadanie nie wymagało dyplomu sztuki kulinarnej - owsianka, chleb, margaryna, małe pomarańcze (z odrzutu?) i kawa. Pozostawiłem ją samą, aby pozmywała naczynia, kazać jej czekać, aż wróć.

Udałem się do miasta i znalazłem pracę.

Poprzedniego wieczoru podczas zmywania naczyń dowiedziałem się z telegrafu bez drutu (zwanego tutaj „radiem”), że w Stanach Zjednoczonych panowało bezrobocie w zakresie wystarczającym, aby wywołać problemy natury politycznej i społecznej.

Na Południowym Zachodzie zawsze można znaleźć pracę w gospodarstwie rolnym, jednakże już wczoraj uchyliłem się od jej przyjęcia. Nie dlatego, że jestem zbyt dumny, by wykonywać taką robotę. Pomagałem przy żniwach przez wiele lat, od czasu, gdy urosłem na tyle, żeby unieść widły. Nie mogłem jednak pozwolić, żeby Margrethe pracowała na polu.

Nie miałem nadziei, że znajdę pracę jako duchowny. Nie powiedziałem nawet bratu Eddiemu, że jestem wyświęcony. Wśród kaznodziejów panuje bezrobocie. Oczywiście zawsze można znaleźć puste ambony, lecz takie, z których nie wyżyłaby nawet mysz kościelna. Miałem jednak jeszcze drugi zawód.

Pomywacz.

Bez względu na to, jak wielu ludzi jest bezrobotnych, nigdy nie brakuje pracy przy zmywaniu naczyń. Wczorajpo drodze od przejścia granicznego do misji Armii Zbawienia dostrzegłem aż trzy

restauracje z wywieszkami: „Potrzebny pomywacz”. Zwróciłem na to uwagę, gdy podczas długiej podróży z Mazatlanu zdążyłem pojąć, że nie znajdę żadnego innego zatrudnienia.

W tym świecie nie byłem wyświęconym kapłanem. Nie mogłem też nim się stać, ponieważ nie posiadałem świadectwa ukończenia seminarium czy szkoły teologicznej, a nawet poparcia jakiejś prymitywnej sekty, która nie dba o dyplomy, polegając jedynie na inspiracji Ducha Świętego.

Z pewnością nie byłem inżynierem.

Nie mogłem zdobyć pracy jako nauczyciel, nawet tych przedmiotów, które znałem dobrze, ponieważ nie mogłem już przedstawić żadnych dyplomów, a nawet świadectwa ukończenia szkoły powszechnej.

Ogólnie rzecz biorąc, nie nadawałem się na sprzedawcę. To prawda, że wykazałem się nieoczekiwanym talentem podczas profesjonalnej zbiórki pieniędzy... Tutaj jednak nie miałem w tej dziedzinie żadnych osiągnięć ani koniecznej reputacji.

Mogłem je któregoś dnia zdobyć, lecz pieniądze były nam potrzebne dzisiaj.

Co więc zostawało? Przejrzałem ogłoszenia oferujące pracę w egzemplarzu nogaleskiego „Timesa”, który ktoś pozostawił w misji.

Nie byłem rachmistrzem podatkowym. Nie byłem mechanikiem żadnego rodzaju. Nie wiedziałem, co to takiego programista, ale nim nie byłem. Nie byłem też niczym „komputerowym”. Nie byłem pielęgniarką ani żadnym specjalistą od opieki nad chorymi.

Mógłbym wyliczać w nieskończoność to, czym nie byłem i nie mogłem się stać w przeciągu jednej nocy, lecz nie ma to sensu. Jediną rzeczą, którą mogłem robić, aby utrzymać Margrethe i siebie, zanim ocenimy ten nowy świat i poznamy jego ścieżki, było to, co musiałem robić jako „peón”. Zdolny i godny zaufania pomywacz nigdy nie głoduje (może za to umrzeć z nudów).

Pierwszy lokal, który odwiedziłem, pachniał nieprzyjemnie, a jego kuchnia była brudna. Nie zatrzymałem się tam długo. Drugi był dużym hotelem zatrudniającym przy zmywaniu kilka osób. Szef spojrzął na mnie i powiedział:

- To robota dla Meksykańców. Nie spodoba ci się tutaj.

Próbowałem się sprzeciwić, lecz nie pozwolił mi dojść do głosu.

Trzeci lokal był w sam raz - restauracja tylko trochę większa niż „Pancho Vila” z czystą kuchnią i szefem nie bardziej skwaszonym niż przeciętnie.

Ostrzegł mnie:

- Płacimy tu płacę minimalną. Nie ma podwyżek. Jeden posiłek na koszt firmy. Jak zobaczę, że coś gwizdnałeś, nawet wykałaczkę, to wylatujesz natychmiast. Nie dam ci drugiej szansy. Pracujesz w takich godzinach, jakie ustalę. Mogę je zmieniać tak, jak mi będzie pasowało. W tej chwili jesteś mi potrzebny od południa do czwartej i od szóstej do dziesiątej, przez pięć dni w tygodniu. Możesz też pracować sześć dni, ale bez dodatku za godziny nadliczbowe. Dostaniesz go, jeśli będę cię potrzebował przez więcej niż osiem godzin dziennie lub czterdzieści osiem tygodniowo.

- Pasuje.

- Zgoda. Pokaż mi swoją kartę ubezpieczeń społecznych.

Wręczyłem mu pozwolenie na pracę, lecz oddał mi je z powrotem.

- Mam ci płacić dwanaście i pół dolara na godzinę na podstawie tego? Nie jesteś Meksykańcem. Chcesz, żebym miał kłopoty z władzą? Skąd masz to pozwolenie?

Zaśpiewałem mu całą piosenkę, którą przygotowałem dla Urzędu Imigracyjnego.

- Straciłem wszystko. Nie mogę nawet zadzwonić, żeby przysłali mi pieniądze. Muszę wpierv dotrzeć do domu, zanim będę mógł pobrać cokolwiek z konta.

- Mógłbyś się zwrócić do opieki społecznej.

- Proszę pana, mam na to za dużo cholernejszej dumy. (Nie wiem, jak to zrobić, i nie potrafię nawet udowodnić, że to ja. Proszę mnie nie przepytawać, lecz pozwolić mi zmywać naczynia.)

- Przyjemnie to usłyszeć. „Cholerna duma”. Szkoda, że w tym kraju nie ma więcej takich ludzi jak ty. Idź do Biura Ubezpieczeń i poproś, żeby wydali ci nową kartę. Zrobią to, nawet jeśli nie pamiętasz numeru starej. Potem wróć tutaj i weź się za robotę. Hmm. Wciągnę cię już na listę płac. Musisz jednak wrócić i odpracować pełen dzień, zanim ci zapłacę.

- To mi odpowiada. Gdzie znajdę Biuro Ubezpieczeń?

Tak więc udałem się do budynku władz federalnych i ponownie powtórzyłem te same kłamstwa, przyozdabiając je tylko w miarę potrzeby.

Poważnie wyglądająca młoda dama, która wydała mi kartę, uparła się, aby udzielić mi wykładu na temat ubezpieczeń społecznych i sposobu, w jaki one działały. Najwyraźniej wykuła go na pamięć. Założę się, że nigdy nie miała „klienta” (tak mnie nazwała), który słuchałby z równą uwagą. Wszystko to były dla mnie nowe rzeczy.

Podaliśmy nazwisko Alec L. Graham. Nie była to świadoma decyzja. Używałem tego nazwiska od tygodni i odpowiedziałem odruchowo. Nie bardzo mogłem powiedzieć: Przepraszam panią, ale naprawdę nazywam się Hergensheimer.

Zacząłem pracę. Podczas przerwy między czwartą i szóstą poszedłem do misji i dowiedziałem się, że Margrethe również znalazła zatrudnienie. Miała pracować tylko czasowo, przez trzy tygodnie, lecz były to trzy tygodnie w najbardziej gorącym okresie. Kucharka misji nie miała urlopu od ponad roku i chciała właśnie udać się do Flagstaff, aby odwiedzić tam swoją córkę, która niedawno urodziła dziecko. Margrethe dostała więc na ten czas jej pracę, a wraz z nią jej sypialnię.

Brat i siostra Graham znaleźli się w znakomitej sytuacji - na razie.

*A dalej widziałem pod słońcem,
 że to nie chyżym bieg się udaje
 i nie waleczni w walce zwyciężają.
 Tak samo nie mędrcom chleb się dostaje
 w udziale,
 ani rozumnym bogactwo,
 ani też nie uczeni cieszą się względami.
 Bo czas i przypadek rządzi wszystkim.*

Księga Eklezjasty 9, 11

Wy tłumaczcie mi, błagam, dlaczego zmywanie naczyń nie stało się źródłem nowej szkoły filozoficznej? Warunki wydają się idealne do pograżenia się w rozkosznych próbach rozgryzienia tego, co niezgłębione. Praca dostarcza zajęcia ciała, nie wymagając niemal nic od mózgu. Każdego dnia miałem osiem godzin, podczas których mogłem poszukiwać odpowiedzi na pytania.

Jakie pytania? Wszystkie. Pięć miesięcy temu byłem zamożnym i szanowanym specjalistą w najbardziej godnym szacunku ze wszystkich zawodów w świecie, który doskonale rozumiałem - albo tak mi się zdawało. Dziś nie miałem nic i nie byłem pewien niczego.

Przepraszam - miałem Margrethe. Bogactwo wystarczające każdemu mężczyźnie. Nie zamieniłbym jej na wszystkie bogactwa wschodu. Ale Margrethe oznaczała też zobowiązanie, którego wciąż nie wypełniłem. Wziąłem ją za żonę wobec Boga... ale nie mogłem jej utrzymać.

Miałem co prawda pracę, lecz w gruncie rzeczy Margrethe utrzymywała się sama.

Gdy pan Cowgirl wynajął mnie, nie zniechęciło mnie zastrzeżenie o „minimalnej płacy bez podwyżek”. Dwanaście dolarów i pięćdziesiąt centów za godzinę wydało mi się olbrzymią sumą. Wielu żonatych mężczyzn w Wichita (moim Wichita w innym wszechświecie) utrzymywało rodzinę za dwanaście i pół dolara na tydzień. Nie zdawałem sobie sprawy, że tutaj za dwanaście i pół dolara nie kupię nawet kanapki z tuńczykiem w restauracji, w której pracowałem. Ponadto nie był to wcale elegancki lokal. W gruncie rzeczy był raczej tani. Przyszłoby mi łatwiej przystosować się do ekonomii tego dziwnego, choć znajomego świata, gdyby jego waluta nosiła inną nazwę - szylingi, szekle, sole, cokolwiek, byle nie dolary. Wychowałem się w przekonaniu, że jeden dolar to znacząca suma pieniędzy. Trudno mi było pojąć, że sto dolarów na tydzień stanowiło pensję nędzarza. Dwanaście i pół na godzinę, sto dziennie, pięćset na tydzień, dwadzieścia sześć tysięcy na rok - pensja nędzarza? Posłuchajcie uważnie. W świecie, w którym się wychowałem, byłoby to bogactwo przewyższające marzenia każdego skąpca.

Przyzwyczajenie się do cen i płac wyrażonych w dolarach, które nie były naprawdę dolarami, stanowiły tylko jeden z najbardziej pospolitych aspektów nieznannej ekonomii. Podstawowym problemem było to, jak dać sobie radę, jak się utrzymać na powierzchni, jak utrzymać siebie i żonę (a również dzieci, z których jedno, jeśli się nie myliłem, było już w drodze) w świecie, w którym nie miałem żadnego dyplomu, przygotowania zawodowego, przyjaciół, referencji czy też osiągnięć, na które mógłbym się powołać. Alec, co na Boga potrafisz robić... poza zmywaniem naczyń!

Mógłbym z łatwością umyć stos naczyń wysokości latarni morskiej, zastanawiając się nad tym jednym pytaniem. Musiałem znaleźć na nie odpowiedź. Dzisiaj zmywałem naczynia z zadowoleniem... lecz wkrótce będę musiał znaleźć coś lepszego ze względu na moją ukochaną. Płaca minimalna nie wystarczała. Teraz wreszcie dotarliśmy do sprawy numer jeden: Drogi Panie Boże

Jehowo, co oznaczają te wszystkie znaki, które zesłałeś na mnie, swojego sługę?

Nadchodzi chwila, w której najwierniejszy wyznawca musi podnieść się z kolan i przeprowadzić ze swym Panem Bogiem szczerą, poważną rozmowę. Panie, powiedz mi, w co mam wierzyć? Czy są to zwodnicze znaki i cuda, przed którymi ostrzegałeś, zesłane przez Antychrysta, aby zwiścić wybranych na manowce?

Czy też są to prawdziwe znaki dni ostatnich? Czy usłyszemy Twój głos?

A może jestem tak szalony jak Nabuchodonozor i wszystkie te zjawiska stanowią jedynie opary mojego zmęczonego umysłu?

Jeśli jedno z tych zdań jest prawdziwe, dwa pozostałe muszą być fałszywe. Jak mam się przekonać które? Panie Boże Zastępów, czym Cię obraziłem?

Wracając pewnej nocy do misji, dostrzegłem wielką tablicę, którą można było potraktować jako bezpośrednią odpowiedź na moje modlitwy: MILIONY DZIŚ ŻYJĄCYCH NIGDY NIE UMRA. Niósł ją mężczyzna, któremu towarzyszyło dziecko rozdające ulotki.

Postanowiłem ich nie brać. Widziałem to hasło już wiele razy w życiu, ale od dawna starałem się unikać Świadców Jehowy. Są tak uparci i twardogłowi, że nie sposób z nimi współpracować, a Kościoły Zjednoczone na rzecz Obyczajności były z konieczności związkiem o charakterze ekumenicznym. Podczas zbierania funduszy czy akcji politycznych należy unikać sporów na temat drobnych punktów doktryny (co, rzecz jasna, nie oznacza tolerowania herezji). Teologowie rozszczepiający włos na czworo są jak wyrok śmierci dla sprawnie działającej organizacji. Jak można włączyć do codziennej pracy w winnicy Pańskiej sektę, która twierdzi, że tylko ona zna prawdę, całą prawdę i nic oprócz prawdy, a wszyscy, którzy sądzą inaczej, są heretykami skazanymi na ogień piekielny?

To niemożliwe. Dlatego też nie przyjęliśmy ich do naszej organizacji. Niemniej - być może tym razem mieli rację.

To prowadzi mnie do najważniejszego z pytań - jak mam zaprowadzić Margrethe z powrotem do Pana, zanim usłyszemy trąbę i Jego głos? Jednakże „jak” jest tu zależne od „kiedy”. Millenarystyczni teologowie różnią się znacznie pomiędzy sobą w poglądach na temat terminu nadejścia dnia, w którym zabrzmie trąba.

Osobiście wolę polegać na metodzie naukowej. Na każdą sporną kwestię zawsze jest jedna pewna odpowiedź: sprawdź to w Księdze. Tak też zrobiłem. Mieszkając w misji Armii Zbawienia z łatwością mogłem pożyczyć egzemplarz Biblii. Przeglądałem ją raz za razem... i zrozumiałem, dlaczego millenaryści nie mogli się ze sobą zgodzić co do dat.

Biblia jest dosłownym słowem Bożym, nie miejcie co do tego wątpliwości. Bóg jednak nigdy nie obiecywał, że ma być ono łatwe do odczytania.

Raz za razem nasz Pan i Jego wcielony syn Jezus z Nazaretu, Mesjasz, obiecują swym uczniom, że ich pokolenie (to jest pierwszy wiek naszej ery) ujrzy Jego ponowne przyjście. W innych miejscach, również wiele razy, obiecuje On, że powróci, gdy upłynie tysiąc lat... lub dwa tysiące... albo jakiś inny czas, gdy Ewangelia zostanie już ogłoszona wszystkim ludziom, w każdym kraju na świecie. Które z tych twierdzeń jest prawdą?

Wszystkie, jeśli odczytać je we właściwy sposób. Jezus naprawdę powrócił za życia pokolenia swych dwunastu uczniów. Zrobił to w dniu pierwszej Wielkiej Nocy - Swego zmartwychwstania. To był jego pierwszy powrót - absolutnie niezbędny - który udowodnił wszystkim, że istotnie był On Synem Bożym i samym Bogiem. Po tysiącu lat powrócił ponownie, lecz w swym nieskończonym miłosierdziu postanowił, że jego dzieciom zostanie przyznany kolejny okres łaski i próby, zamiast wtrącić natychmiast grzeszników w ognistą czeluść piekieł.

Trudno jest odczytać tę datę. To rozumiałe, ponieważ nasz Pan nie chciał zachęcać grzeszników do trwania w błędzie, oznajmiając im, że dzień sądu został odroczony. Co jednak jest pewne, jasno określone i niewątpliwe, to to, że pragnie on, aby wszystkie jego dzieci żyły tak, jakby każdy dzień, godzina czy mgnienie oka mogły być ostatnimi. Kiedy nadejdzie kres naszego czasu? Kiedy usłyszymy głos i dźwięk trąby? Kiedy nadejdzie dzień sądu? Teraz! Nikt nie zostanie uprzedzony. Nie będzie czasu na nawrócenie na łożu śmierci. Musisz żyć w stanie łaski... albo, gdy nadejdzie chwila, zostaniesz wrzucony do jeziora ognia, aby cierpieć tam katusze przez wieki wieków.

Takie jest Słowo Pańskie.

Dla mnie było ono zwiastunem zagłady. Nie był mi dany okres łaski, w którym mógłbym doprowadzić Margrethe z powrotem do owczarni... ponieważ głos może zabrzmieć nawet dzisiaj.

Co robić? Co robić?

Dla śmiertelnika postawionego wobec problemu, który go przerasta, istnieje tylko jedno rozwiązanie: zwrócić się do Pana poprzez modlitwę. Tak też postępowałem, raz za razem. Modlitwa zawsze spotyka się z odpowiedzią. Trzeba jednak rozpoznać tę odpowiedź..., która może nie być tym, czego oczekiwałeś.

Tymczasem jednak trzeba oddać cesarzowi to, co cesarskie.

Rzecz jasna zdecydowałem się pracować sześć dni na tydzień zamiast pięciu (31200 dolarów rocznie), ponieważ potrzebny mi był każdy szekel, który mogłem zaoszczędzić. Margrethe brak było wszystkiego! Mnie również. Przede wszystkim potrzebne nam były buty. Te, które mieliśmy na nogach podczas katastrofy w Mazatlanie, były dobre - dla tamtejszych wieśniaków. Zdarliśmy je jednak podczas dwóch dni odkopywania gruzów po trzęsieniu ziemi, a potem nadal nosiliśmy je nieustannie. Nadawały się już tylko na śmietnik. Potrzebowaliśmy więc butów - przynajmniej po dwie pary na głowę - jedną do pracy i jedną na niedzielne wyjście.

Potrzebowaliśmy też wielu innych rzeczy. Nie wiem dokładnie, co jest potrzebne kobiecie, lecz jej potrzeby są bardziej skomplikowane od męskich. Musiałem wręczyć Margrethe pieniądze i zachęcić ją, by kupiła to, czego jej potrzeba. Sam mogłem jakoś przebimbać z jedną parą butów i fufajką (aby oszczędzać moje jedyne porządne ubranie). Kupiłem jednak maszynkę do golenia i ostrzygłem się w szkole fryzjerskiej opodal misji, gdzie strzyżenie kosztowało tylko dwa dolary, jeśli klient zgadzał się, żeby załatwił go początkujący uczeń. Ja nie miałem nic przeciwko temu. Margrethe obejrzała moją fryzurę i oświadczyła, że mogła równie dobrze ostrzyć mnie sama, co zaoszczędziłoby nam dwa dolary. Następnie wzięła nożyczki i poprawiła to, co zrobiło to beztalencie. Od tej pory nigdy już nie wydawałem pieniędzy na golibrodów.

Zaoszczędzenie dwóch dolarów nie zrównoważyłoby jednak poważniejszych strat, jakie ponieśliśmy. Gdy pan Cowgirl wynajął mnie, myślałem, że naprawdę dostanę sto dolarów za każdy dzień pracy.

Nie zapłacił mi tyle, co jednak nie znaczy, że mnie oszukał. Pozwólcie, żebym wam to wyjaśnił.

Pierwszego dnia ukończyłem pracę zmęczony, lecz szczęśliwy. Bardziej szczęśliwy niż kiedykolwiek od chwili trzęsienia ziemi. Poczucie szczęścia ma charakter względny. Udałem się do kasy, gdzie pan Cowgirl prowadził swoje rachunki. „U Rona” było już zamknięte. Spojrzał na mnie.

- Jak poszło, Alec?

- Bardzo dobrze.

- Luke mówił mi, że sobie radzisz.

Luke był olbrzymim Negrem - głównym kucharzem i teoretycznie moim szefem. W praktyce jego nadzór ograniczał się do tego, że pokazał mi, gdzie co jest i upewnił się, że wiem, co robić.

- Miło mi to usłyszeć. Luke jest dobrym kucharzem.

Posiłek regeneracyjny, który zjadłem o czwartej w charakterze śniadania, należał już wtedy do starożytnej historii. Luke wyjaśnił mi, że pomocnik kuchenny mógł zamówić wszystko w jadłospisie oprócz steku i kotleta, i że, jeśli wybiorę gulasz lub klopsy, mogłem prosić o dokładkę do woli.

Wybrałem klopsy, ponieważ kuchnia wyglądała i pachniała czysto. Można powiedzieć znacznie więcej o kucharzu, patrząc na jego klopsy, niż na sposób, w jaki smaży stek. Zjadłem dwie porcje klopsów, bez ketchupu.

Luke nie pożałował mi też ciasta z wiśniami i dołożył do niego pełną łyżkę lodów waniliowych, które mi się nie należały, gdyż miało to być jedno z dwojga, a nie jedno i drugie.

- Luke rzadko mówi dobre słowo o białych chłopakach - ciągnął mój pracodawca - a nigdy o Meksykańcach. Musisz więc naprawdę sobie radzić.

- Mam nadzieję.

Zaczynałem się już lekko niecierpliwić. Wszyscy jesteśmy dziećmi bożymi, lecz był to pierwszy przypadek w moim życiu, gdy opinia Negra o mojej pracy miała jakiegokolwiek znaczenie. Chciałem tylko otrzymać swoje pieniądze i pośpieszyć do Margrethe do domu - to jest do misji Armii Zbawienia.

Pan Cowgirl złożył ręce, przebierając palcami.

- Chcesz dostać pieniądze, prawda?

Opanowałem zniecierpliwienie.

- Tak jest.

- Alec, wolę płacić pomywaczom raz na tydzień.

Byłem zrozpaczony. Z pewnością było to widać na mojej twarzy.

- Nie zrozum mnie źle - dodał. - Jesteś płatny od godziny, możesz więc dostawać pieniądze codziennie pod koniec pracy, jeśli sobie życzysz.

- Tak, życzę sobie. Potrzebne mi pieniądze.

- Pozwól mi skończyć. Wolę płacić pomywaczom raz w tygodniu dlatego, że jeśli zapłacę takiemu pod koniec dnia, kupuje sobie dzban wińską i znika na parę dni, a kiedy wraca, chce, żeby go z powrotem przyjąć do pracy. Jest na mnie wściekły i chce iść na skargę do Urzędu Zatrudnienia. Najśmieszniejsze jest to, że często przyjmuję go z powrotem - na jeden dzień - ponieważ łachmyta, którego przyjąłem na jego miejsce, zrobił właśnie to samo. Z Meksykańcami to się na ogół nie zdarza, gdyż chcą zaoszczędzić pieniądze i wysłać je do domu, nie spotkałem jednak jeszcze takiego, który potrafiłby zmywać naczynia tak, żeby zadowolić Luke'a... a sam Luke jest mi bardziej potrzebny niż jakikolwiek pomywacz. Jeśli chodzi o asfaltów, Luke z reguły wie z góry, który z nich się sprawdzi, a ci dobrzy są znacznie lepsi od białych chłopaków, z tym że zawsze chcą dostać awans i jeśli nie mianuję takiego pomocnikiem kucharza czy kierownikiem spiżarni, albo kimś w tym rodzaju, przechodzą do kogoś, kto to robi. Zawsze jest z nimi problem. Jeżeli znajdę pomywacza, który przepracuje u mnie tydzień, można powiedzieć, że mam szczęście. Jeśli przepracuje dwa tygodnie, to już prawdziwe święto. Miałem kiedyś takiego, który przepracował cały miesiąc, ale to się zdarza tylko raz w życiu.

- Ja przepracuję pełne trzy tygodnie - zapewniłem go. - Czy mogę otrzymać pieniądze?

- Nie poganiaj mnie. Jeśli zgodzisz się na wypłatę co tydzień, dodam ci jednego dolara za godzinę. To o czterdzieści dolarów na tydzień więcej. Co o tym sądzisz?

(Nie, czterdzieści osiem, powiedziałem sobie. Prawie 34000 dolarów rocznie za zmywanie naczyń. Bomba!)

- Czterdzieści osiem, nie czterdzieści - powiedziałem mu. - Będę pracował sześć dni w tygodniu. Potrzebuję pieniędzy.

- Zgoda. Będę ci więc płacił co tydzień.

- Chwileczkę. Czy nie możemy zacząć tego od jutra? Potrzebuję trochę gotówki już teraz. Moja żona i ja nie mamy nic. Dosłownie nic. Mam tylko ubranie, które mam na sobie, nic poza tym. Moja żona też. Mogę wytrzymać w nim jeszcze kilka dni, ale kobieta po prostu musi kupić sobie pewne rzeczy.

Wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz. Ale dzisiaj nie dostaniesz dodatkowego dolara za godzinę i jeśli jutro spóźnisz się choć o minutę, uznam, że odsypiasz wczorajsze i wystawię szyld z powrotem.

- Nie jestem pijakiem, panie Cowgirl.

- Zobaczymy!

Odwrócił się do swojej maszyny liczącej i zrobił coś z jej klawiaturą. Nie wiem co, ponieważ nie rozumiałem, jak ona działa. Ta maszyna w niczym nie przypominała arytmometru. Miała klawisze podobnie jak maszyna do pisania, lecz nad nimi znajdował się ekran, na którym w jakiś magiczny sposób pojawiały się cyfry i litery.

Maszyna zadzwoniła i zafurkotała. Pan Cowgirl sięgnął do środka, wyjął stamtąd kartkę papieru i wręczył mi ją.

- Proszę bardzo.

Wziąłem ją w rękę i przyjrzałem się. Ponownie poczułem rozpacz. Był to kawałek tektury szerokości około trzech cali i długości około siedmiu, w której wycięte były liczne drobne otwory. Znajdował się na nim nadruk stwierdzający, że Bank Komercyjny w Nogales ma na polecenie „U Rona” wypłacić Alecowi L. Grahamowi - nie, nie sto dolarów...

Pięćdziesiąt jeden dolarów i dwadzieścia siedem centów.

- Coś się nie zgadza? - zapytał.

- Hmm. Myślałem, że dostanę dwanaście i pół za godzinę.

- Tyle ci płacę. Osiem godzin za płacę minimalną. Możesz sam sprawdzić obliczenia. Nie liczyłem tego w pamięci. To jest IBM 1990 z firmowym oprogramowaniem - „Paymaster Plus”... IBM oferuje dziesięć tysięcy dolarów nagrody każdemu, kto udowodni, że ten typ komputera z tym oprogramowaniem kiedykolwiek pomylił się przy wystawianiu czeku. Popatrz sam. Płaca brutto sto dolarów. Wszystkie potrącenia są wyszczególnione. Możesz policzyć sam i porównać wynik. Nie miej pretensji do mnie. Ja nie wymyśliłem tych przepisów. Podobają mi się jeszcze mniej niż tobie. Czy wiesz, że każdy pomywacz, który do mnie przychodzi, obywatel amerykański czy meksykański, żąda, żebym mu zapłacił w gotówce, zapominając o potrąceniach? Czy wiesz, jaką grzywnę zapłacę, jeśli mnie na tym złapią choć raz? Albo co się stanie, jeśli mnie złapią po raz drugi? Nie patrz tak na mnie. Zwróć się z tym do rządu.

- Po prostu tego nie rozumiem. To wszystko dla mnie nowe rzeczy. Może mi pan wyjaśnić, co oznaczają te wszystkie potrącenia? Tutaj, na przykład, jest napisane „Admin.”

- To jest „opłata administracyjna”. Nie pytaj mnie jednak, dlaczego muszę ją wnosić, ponieważ to ja sam prowadzę wszystkie swoje księgi i z pewnością nie dostaję za to ani grosza.

Wziąłem w rękę wykaz, aby odszukać w nim określenia pozostałych potrąceń. „Ub. Społ. ” oznaczało „ubezpieczenia społeczne”. Młoda dama wyjaśniła mi dziś rano, co to takiego... lecz odpowiedziałem jej, że choć to z pewnością znakomity pomysł, muszę się powstrzymać ze skorzystaniem z niego, ponieważ chwilowo mnie na to nie stać. Skrót „Ub. Med. ”, „Ub. Szp. ” i „Ub. Dent. ” można było łatwo zrozumieć, ale na nie również nie mogłem sobie pozwolić. Co to jednak było „PL217”? Wykaz odsyłał mnie po prostu do odpowiedniej daty i strony w „Dz. Ust. ” Co mogły oznaczać „Dep. Ośw. ” i UNESCO?

I czym, na Boga, był „podatek dochodowy”?

- Wciąż tego nie rozumiem. To wszystko dla mnie nowe rzeczy.

- Alec, nie jesteś jedyny, który tego nie rozumie. Dlaczego jednak mówisz, że to nowe? To ciągnie się już od twoich narodzin... a nawet od czasów twojego ojca i dziadka.

- Przepraszam, co to jest „podatek dochodowy”?

Mrugnął oczyma.

- Czy jesteś pewien, że nie powinienes się zwrócić do psychoanalityka?

- Co to jest psychoanalityk?

Westchnął:

- Czuję, że to ja go potrzebuję. Posłuchaj, Alec. Weź ten czek. Możesz dyskutować na ten temat z rządem, nie ze mną. Wydaje mi się, że mówisz poważnie. Możliwe, że zostałeś uderzony w głowę podczas tego trzęsienia. Muszę iść do domu i wziąć „Miltown”. Weź, proszę, ten czek!

- No, dobrze. Nie znam jednak nikogo, kto wypłaciłby mi gotówkę.

- Nie ma sprawy. Przepisz go z powrotem na mnie, a ja ci ją wypłacę. Zostaw jednak sobie odcinek kontrolny, bo Urząd Skarbowy zawsze sprawdza je wszystkie, zanim zwróci ci ewentualną nadpłatę.

Tego również nie zrozumiałem, zachowałem jednak odcinek kontrolny.

Pomimo szoku, jaki przeżyłem, gdy dowiedziałem się, że niemal połowa mojej płacy zniknęła, zanim zdążyłem jej dotknąć, nasza sytuacja znacznie się poprawiła. Margrethe i ja zarabialiśmy razem tygodniowo ponad czterysta dolarów, których nie musieliśmy wydawać na utrzymanie, lecz mogliśmy za nie nabyć ubranie i inne niezbędne rzeczy. Teoretycznie Margrethe zarabiała tyle samo co kucharka, którą zastąpiła, czyli dwadzieścia dwa dolary za godzinę za dwadzieścia cztery godziny tygodniowo, to jest 528 dolarów na tydzień, jednak potrącano jej z pensji to samo co mnie, w związku z tym jej płaca netto wynosiła niecałe 290 dolarów na tydzień. Także w teorii, gdyż w praktyce potrącano jej pięćdziesiąt cztery dolary tygodniowo za pokój. Uznałem, że to tanio, gdy dowiedziałem się, ile kosztują pokoje do wynajęcia. Więcej niż tanio. Musieliśmy też płacić sto pięć dolarów tygodniowo za posiłki. Brat McCaw początkowo zażądał sto czterdzieści. Twierdził, że może nam pokazać w swoich księgach, iż pani Owens, etatowa kucharka, miała zawsze potrącane dziesięć dolarów dziennie... a więc we dwoje powinniśmy płacić sto czterdzieści za tydzień. Zgodziłem się, że to nie jest drogo (widziałem ceny w menu „U Rona”), ale tylko w teorii. Lecz ja miałem spożywać swój główny posiłek w pracy, godziliśmy się więc na dziesięć dolarów dziennie od Margi i połowę tego ode mnie.

Przy płacy brutto pięćset dwadzieścia osiem dolarów na tydzień Margrethe dostawała więc na rękę sto trzydzieści jeden.

O ile rzeczywiście je otrzyma. Podobnie jak większość kościołów Armia Zbawienia z trudem wiązała koniec z końcem i niekiedy te końcówki okazywały się zbyt krótkie.

Mimo to z każdym tygodniem żyło nam się lepiej. Pod koniec pierwszego kupiliśmy nowe buty dla Margrethe - pierwszej jakości i całkiem szykowne. Kosztowały tylko 279. 90. Sklep J. C. Penneya przecenił je z 350 dolarów.

Oczywiście, Margrethe suszyła mi głowę, że powinniśmy najpierw kupić buty dla mnie. Wskazałem jej, że mamy jeszcze ponad sto dolarów, więc za tydzień będziemy mogli to zrobić. Poprosiłem ją, aby zatrzymała tę sumę, żebym jej nie roztrwonił. Wyraziła zgodę uroczystym tonem.

Następnego poniedziałku kupiliśmy buty dla mnie - nawet tańsze, z demobilu - dobre, mocne, wygodne buty, które wytrzymają dłużej niż cokolwiek, co mogliśmy dostać w normalnym sklepie. (Zatroszczę się o eleganckie obuwie, gdy zaspokoję już pilniejsze potrzeby. Nędza potrafi zmienić

hierarchię wartości człowieka jak nie innego w świecie.) Następnie udaliśmy się do sklepu z używaną odzieżą i kupiliśmy sukienkę oraz letni kostium dla Margrethe, a także drelichowe portki dla mnie. Chciała kupić mi więcej ubrań - mieliśmy jeszcze prawie sześćdziesiąt dolarów - lecz sprzeciwiłem się temu.

- Dlaczego nie, Alec? Potrzebujesz ubrania tak samo jak ja... a mimo to wydaliśmy prawie wszystko, co zaoszczędziłeś, na mnie. To niesprawiedliwe.

- Wydaliśmy pieniądze na to, co było potrzebne - odparłem. - Jeśli pani Owens wróci o czasie, za tydzień stracisz pracę i będziemy musieli wyruszyć w drogę. Sądzę, że powinniśmy stąd wyjechać, więc zaoszczędźmy, ile się da, na bilet autobusowy.

- Wyjechać dokąd, kochanie?

- Do Kansas. Ten świat jest obcy dla nas obojga, lecz jest również znajomy - ten sam język, geografia i część historii. Tu jestem tylko pomywaczem, niezdolnym zarobić tyle, aby cię utrzymać, mam jednak silne przeczucie, że Kansas w tym świecie będzie bardzo podobne do tego, w którym się urodziłem i że poradzę tam sobie lepiej.

- Jak sobie życzysz, kochanie.

Misja leżała w odległości niemal mili od miejsca mojej pracy, tak więc podczas przerwy między czwartą a szóstą zamiast chodzić do „domu”, spędzałem czas po zjedzeniu posiłku w lokalnej bibliotece, zbierając informacje. Stanowiło to, wraz z gazetami pozostawianymi niekiedy przez klientów, główne źródło mojej reedukacji.

W tym świecie pan William Jennings Bryan był prezydentem i dzięki jego dobroczynnemu wpływowi uniknęliśmy wplątania się w wielką wojnę europejską. Po wojnie zaproponował on swoje usługi przy negocjacjach pokojowych. Traktat Filadelfijski przywrócił Europę w przybliżeniu do stanu sprzed roku 1913.

Nie znałem żadnego z prezydentów, którzy nastąpili po Bryanie, ani z mojego świata, ani ze świata Margrethe. Roześmiałem się do rozpuku, gdy po raz pierwszy natrafiłem na tytuł obecnego prezydenta: Jego Arcychrześcijańska Wysokość John Edward Drugi, dziedziczny prezydent Stanów Zjednoczonych i Kanady, Książę Hyannisportu, Comte de Quebec, Obrońca Wiary, Opiekun Ubogich, Wielki Marszałek Sił Pokojowych.

Spojrzałem na zdjęcie przedstawiające go podczas wmurowywania kamienia węgielnego w Albercie. Był to wysoki, przystojny facet o szerokich ramionach, ubrany w ozdobny mundur. Na piersi miał tyle orderów, że o mało nie przygięły go do ziemi. Przyjrzałem się jego twarzy i zadałem sobie pytanie: Czy kupiłbyś od tego gościa używany samochód?

Im więcej jednak nad tym myślałem, tym bardziej logiczne się to wydawało. Amerykanie przez całe dwa i ćwierć wieku swojej historii jako niezależne państwo tęsknili za monarchią, od której się uwolnili. Rozekliwiali się nad europejskimi koronowanymi głowami przy lada okazji. Najbogatsi z nich przy każdej sposobności wydawali swe córki za członków rodzin królewskich, nawet za gruzińskich książąt, choć „książę” w Gruzji to po prostu wieśniak posiadający największą stertę nawozu w okolicy.

Nie wiem, skąd wytrzasnęli tego królewskiego bubka. Być może wysłali po niego do Estorilu, lub nawet sprowadzili go z Bałkanów. Jak zauważył jeden z moich wykładowców historii, nigdy nie brakuje bezrobotnych pretendentów do tronu, poszukujących pracy. Jak sam dobrze wiedziałem, kiedy człowiek jest bezrobotny, nie może być zbyt wybredny. Wmurowywanie kamieni węgielnych nie może być bardziej nudne niż zmywanie naczyń, ale godziny pracy są chyba dłuższe. Tak przynajmniej sądzą, nigdy nie byłem królem. Nie jestem pewien, czy przyjąłbym taką robotę, gdyby mi ją zaproponowano. Ma ona zbyt wiele wad, nie tylko nienormowane godziny.

Z drugiej strony...

Nieprzyjęcie korony, o której wiesz, że ci jej nie zaproponują, to z samego założenia kwaśne winogrona. Wsłuchawszy się w głos swego serca, uznałem, iż byłbym chyba zdolny przekonać sam siebie, że powinienem zdobyć się na to poświęcenie dla dobra ludzkości. Modliłbym się tak długo, aż doszedłbym do wniosku, iż Pan pragnie, żebym przyjął to brzemie.

Nie jestem bynajmniej cyniczny. Wiem, jak łatwo ludzie potrafią przekonać sami siebie, iż Pan pragnie, żeby uczynili to, co przez cały czas chcieli zrobić. Nie jestem pod tym względem lepszy od swoich braci. Najbardziej jednak zaskoczyło mnie to, że Kanada była z nami zjednoczona. Większość Amerykanów nie wie, dlaczego Kanadyjczycy nas nie lubią (ja również nie), tak jednak jest. Na samą myśl, że mogliby się zgodzić na zjednoczenie z nami, mózg lasuje się w głowie.

Podszedłem do biurka i poprosiłem o najnowsze wydanie historii Stanów Zjednoczonych. Gdy tylko jednak zacząłem je czytać, zauważyłem na zegarze ściennym, że zbliża się czwarta... musiałem więc oddać książkę i popędzić do roboty. Nie mogłem wypożyczyć jej do domu, gdyż nie było mnie na razie stać na zapłacenie kaucji, której wymagano od przyjezdnych.

Ważniejsze od politycznych były jednak różnice techniczne i kulturowe. Niemal od razu zrozumiałem, że ten świat jest pod względem naukowym i technicznym bardziej zaawansowany od mojego. Wystarczył mi do tego widok urządzenia zwanego „telewizorem”.

Nie udało mi się zrozumieć, na jakiej zasadzie działa to ustrojstwo. Starłem się dowiedzieć tego w bibliotece, lecz natychmiast nadziałem się na przedmiot zwany „elektroniką”. (Nie „elektryką”, lecz „elektroniką”). Postanowiłem więc dowiedzieć się czegoś o elektronice i natknąłem się na całkowicie zdumiewający matematyczny bełkot. Nigdy od czasów, gdy termodynamika spowodowała, iż uznałem, że mam powołanie kapłańskie, nie napotkałem tak skomplikowanych i napuszonych równań. Nie sądzę, żeby w Rolla Tech potrafiono zgłębić te banialuki. Przynajmniej nie w tym Rolla Tech, w którym studiowałem.

Lecz o przewadze technicznej tego świata świadczyła nie tylko telewizja, ale również wiele innych wynalazków, takich jak na przykład światła na skrzyżowaniach. Niewątpliwie znacie miasta tak zatłoczone, że nie sposób w nich przejść przez szeroką ulicę bez pomocy policjanta. Niewątpliwie nieraz odczuwaliście zdenerwowanie, gdy policjant kierujący ruchem zatrzymywał was; aby przepuścić jakąś bardzo ważną miejscową osobistość lub jakąś podobną szychę. Czy potraficie sobie wyobrazić sytuację, w której intensywnym ruchem ulicznym kieruje się bez udziału policjantów - po prostu za pomocą kolorowych świateł?

Wiercie mi lub nie, lecz tak właśnie było w Nogales.

Działa to w sposób następujący:

Na każdym z ruchliwych skrzyżowań umieszczacie co najmniej dwanaście świateł - cztery razy po trzy. Każda taka seria skierowana jest w jednym z głównych kierunków i osłonięta tak, że z innych kierunków nie można jej zobaczyć. W każdej serii jest jedno czerwone światło, jedno zielone i jedno bursztynowe. Są to światła elektryczne, na tyle jasne, aby było je widać z odległości mniej więcej mili, nawet w jasnym świetle słońca. Nie są to łuki elektryczne, lecz bardzo silne lampy Edisona - to istotne, ponieważ trzeba je co chwila włączać i wyłączać i muszą one pracować niezawodnie dwadzieścia cztery godziny na dobę przez wiele dni z rzędu. Te światła umieszczane są wysoko na słupach telegraficznych lub zawieszane nad skrzyżowaniami, tak że automobiliści czy cykliści mogą je widzieć z daleka. Gdy światło zielone świeci w kierunku, powiedzmy, północnym i południowym, we wschodnim i zachodnim świeci czerwone. Ruch odbywa się wtedy w kierunku północnym i południowym, podczas gdy ci, którzy jadą na wschód lub zachód muszą stać i czekać, podobnie jakby policjant zagwizdał i ruchem ręki uruchomił strumień pojazdów w kierunku północnym i

południowym, a wstrzymał jazdę we wschodnim i zachodnim.

Czy to jasne? Światła zastępują znaki dawane przez policjanta. Bursztynowe światła pełnią tę samą rolę co gwizdek - ostrzegają, że za chwilę sytuacja się zmieni.

Co z tego jednak za zysk? Przecież ktoś - prawdopodobnie policjant - musi przełączać światła w miarę potrzeby. To proste - są one przełączane automatycznie na odległość (nawet wielu mil!) na centralnej tablicy rozdzielczej.

W całym tym systemie odkryłem jeszcze wiele cudów, jak na przykład elektryczne urządzenia liczące, które określają, jak długo powinny świecić się poszczególne światła, aby ruch odbywał się jak najsprawniej, specjalne światła dla skręcających w lewo lub dla pieszych... największy cud stanowi jednak to, że ludzie przestrzegają tych świateł.

Pomyślcie! Nigdzie w pobliżu nie ma policjanta, a ludzie słuchają ślepego i głucheego urządzenia tak, jakby nim było. Czy ludzie są tu tak potulni i posłuszni, że można im tak łatwo rozkazywać? Nie. Zastanawiałem się nad tym, aż znalazłem w bibliotece odpowiednie dane statystyczne. W tym świecie przestępczość z użyciem przemocy jest zjawiskiem częstszym niż w moim. Czy to te dziwne światła to powodują? Nie sądzę. Wydaje się, że ci ludzie, choć skłonni do przemocy wobec siebie nawzajem, przestrzegają tych świateł ulicznych z czystego rozsądku. Być może.

Tak czy inaczej to bardzo dziwne.

Kolejna uderzająca różnica techniczna dotyczy komunikacji powietrznej. Nie ma tu przyzwoitych, czystych, bezpiecznych i cichych sterowców z mojego świata rodzinnego. Nie, nie! Tutejsze maszyny przypominają raczej „aeroplanos” z meksykańskiego świata, w którym Margrethe i ja pracowaliśmy w pocie czoła, aby spłacić nasz dług, zanim wielkie trzęsienie ziemi nie zniszczyło Mazatlanu. Są one jednak znacznie większe, szybsze, bardziej hałaśliwe i latają znacznie wyżej niż znane nam „aeroplanos”, wydaje się więc, że są czymś zupełnie innym. Może rzeczywiście tak jest, ponieważ nazywają je „odrzutowcami”. Czy możecie sobie wyobrazić wehikuł latający na wysokości ośmiu mil nad ziemią? Albo wielki pojazd poruszający się szybciej od dźwięku? Albo też ryk tak głośny, że bolą od niego zęby? Nazywają to „postępem”. Osobiście tęsknię za komfortem i gracją LTA „Graf von Zeppelin”. Nie sposób nigdzie się skryć przed tymi lewiatanami.

Kilka razy w ciągu dnia jeden z nich przelatuje z rykiem nad misją, zniżając lot, aby opaść na lądowisko na północ od miasta. Ten hałas przeszkadza mi i powoduje, że Margrethe robi się nerwowa.

Niemniej większość nowych urządzeń naprawdę oznacza postęp - lepsze wodociągi, lepsze oświetlenie w mieszkaniach i na ulicach, lepsze drogi, lepsze budynki i wiele różnych urządzeń czyniących pracę mniej uciążliwą i bardziej wydajną. Nie byłem nigdy jednym z tych pomyślników, którzy wzywają do powrotu do natury i głoszą pogardę dla techniki. Mam więcej powodów niż większość ludzi, aby odczuwać respekt dla sztuki inżynierskiej. Większość tych, którzy nią gardzą, umarłaby z głodu, gdyby infrastruktura techniczna zniknęła.

Spędziliśmy w Nogales niespełna trzy tygodnie, zanim byłem w końcu zdolny zrealizować to, o czym śniłem od niemal pięciu miesięcy... i do czego przygotowywałem się od chwili naszego przybycia do Nogales (lecz musiałem poczekać, aż będzie mnie na to stać). Wybrałem poniedziałek na realizację swego planu, ponieważ był to mój dzień wolny od pracy. Powiedziałem Margrethe, aby założyła nowe ubranie, ponieważ zabieram ją na poczęstunek. Ja również założyłem swój jedyny garnitur, nowe buty i czystą koszulę... oraz ogoliłem się, wykąpałem i przyciąłem paznokcie.

To był wspaniały dzień - słoneczny, ale nie nazbyt gorący. Oboje czuliśmy się szczęśliwi, gdyż po pierwsze, pani Owens napisała do brata McCaw, że - jeśli to możliwe - chciałaby zostać jeszcze tydzień, a po drugie, mieliśmy już dosyć pieniędzy na dwa bilety autobusowe do Wichita, choć nic

poza tym. Jednakże wiadomość od pani Owens oznaczała, że będziemy mogli uciulać jeszcze czterysta dolarów, dzięki czemu będziemy mogli kupić po drodze coś do jedzenia, a nawet zostanie nam troszeczkę, gdy przybędziemy na miejsce.

Zabrałem Margrethe do lokalu, który odkryłem, gdy szukałem pracy jako pomywacz - miła staroświecka lodziarnia tuż obok dzielnicy występku.

Stanęliśmy przed lodziarnią.

- Najwspanialsza z dziewcząt, czy widzisz ten lokal? Czy pamiętasz rozmowę, jaką odbyliśmy na pełnym Pacyfiku, unosząc się na materacu do opalania i w gruncie rzeczy nie spodziewając się, że pożyjemy długo? Przynajmniej ja się tego nie spodziewałem.

- Kochany, jak mogłabym zapomnieć?

- Spytałem cię, o co byś poprosiła, gdybyś mogła otrzymać wszystko, czego zapragniesz? Pamiętasz, co mi odpowiedziałaś?

- Oczywiście! Lody z gorącym sosem toffi.

- Tak jest! Dzisiaj jest twoje święto, kochanie. Za chwilę dostaniesz te lody.

- Och, Alec!

- Tylko nie becz! Nie znoszę płaczących kobiet. Możesz też dostać mrożoną czekoladę albo lody z wiórkami kokosowymi. Czego tylko twoje serce zapragnie. Zanim jednak cię tu przyprowadziłem, upewniłem się, że zawsze mają tu lody z gorącym sosem toffi.

- Nie możemy sobie na to pozwolić. Powinniśmy oszczędzać na podróż.

- Możemy. Jedna porcja kosztuje pięć dolarów. Dwie dziesięć. Zamierzam też się szarpnąć i dać kelnerce dolara napiwku. Nie samym chlebem człowiek żyje. Kobieta to też człowiek. Chodź, kobieto!

Do stolika zaprowadziła nas ładna kelnerka (ale nie tak ładna jak moja jedyna). Posadziłem Margrethe tyłem do ulicy, odsuwając jej krzesło, a potem usiadłem naprzeciw.

- Jestem Tammy - przedstawiła się kelnerka, wręczając nam menu. Co chcielibyście państwo zamówić w ten śliczny dzień?

- Menu nam niepotrzebne - odparłem. - Dwa razy lody z gorącym sosem toffi.

Tammy zamyśliła się.

- Będziecie musieli poczekać parę minut. Chyba trzeba będzie podgrzać sos.

- Parę minut? Nic nie szkodzi. Czekaliśmy znacznie dłużej.

Kelnerka uśmiechnęła się i odeszła. Spojrzałem na Margę.

- Czekaliśmy znacznie dłużej, prawda?

- Alec, jesteś sentymentalny. To jeden z powodów, że cię kocham.

- Jestem sentymentalnym durniem i w tej chwili ślina mi cieknie na myśl o lodach. Chciałem ci jednak pokazać tę lodziarnię również z innego powodu. Marga, czy chciałabyś zostać właścicielką podobnego lokalu? To znaczy wspólnie bylibyśmy właścicielami. Ty będziesz szefową, a ja pomywaczem, odźwiernym, pomocnikiem, wykidajką i czym jeszcze będzie trzeba.

Zamyśliła się głęboko.

- Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej. Oczywiście teraz nie możemy otworzyć interesu. Musimy najpierw zaoszczędzić trochę pieniędzy. Nie będzie nam potrzebna wiele. Miły malutki lokalik. Pomaluję go sam na jasne, wesołe kolory. Saturator z wodą sodową i ograniczone menu. Hot dogi, hamburgery, duńskie kanapki i to wszystko. Może jeszcze zupy. Puszkowe zupy nie stanowią problemu.

Margrethe była oburzona.

- Tylko nie puszkowe. Potrafię ugotować prawdziwą zupę... tańszą i lepszą niż jakiegokolwiek

konserwy.

- Zdaję się na twoją specjalistyczną opinię. W Kansas jest przynajmniej pół tuzina miasteczek, gdzie taki lokal byłby bardzo potrzebny. Może udałoby się znaleźć jakąś rodzinną firmę, popracować przez rok dla właścicieli, a potem ich spłacić. Zmienilibyśmy nazwę na „Lody z gorącym sosem toffi” albo „Kanapki Margi”.

- Lepiej „Lody”. Alec, czy naprawdę sądzisz, że mogłoby nam się to udać?

Pochyliłem się w jej stronę i wziąłem ją za rękę.

- Jestem tego pewien, kochanie. I wcale nie musielibyśmy zapracowywać się na śmierć - potrząsałem głową. - To światło na skrzyżowaniu świeci mi prosto w oczy.

- Wiem. Za każdą zmianą światła widzę, jak odbijają ci się w oku. Chcesz się zamienić miejscami? Mnie to nie przeszkadza.

- Mnie też nie. Działa tylko lekko hipnotycznie.

Spojrzałem na stolik, a potem przeniosłem wzrok z powrotem na światło.

- O, zgasło!

Margrethe obejrzała się za siebie.

- Nie widzę go. Gdzie jest?

- Hmm... o, kurczę, zniknęło. Na to wygląda.

Usłyszałem tuż obok męski głos:

- No to co zamawiacie? Wino albo piwo. Nie mamy koncesji na nic mocniejszego.

Spojrzałem w bok i ujrzałem kelnera.

- Gdzie Tammy?

- Co za Tammy?

Westchnąłem głęboko, starając się spowolnić bicie serca i powiedziałem:

- Przepraszam pana. Nie powinienem tu przychodzić. Właśnie zauważyłem, że zostawiłem portfel w domu - podniosłem się z miejsca. - Chodźmy, kochanie!

Margrethe wyszła za mną, milcząc, z otwartymi szeroko oczyma. Po wyjściu rozejrzałem się wkoło, próbując ustalić, co się zmieniło. Był to całkiem przyzwoity lokal, jak na pijalnię piwa. Nie była to jednak nasza miła lodziarnia.

Ani nie nasz świat!

*Nie chwal się dniem jutrzejszym**bo nie wiesz, co dzień ci przyniesie*

Księga Przysłów 27, 1

Na zewnątrz, bez zastanowienia, skierowałem się w stronę misji Armii Zbawienia. Margrethe milczała, uczepiwszy się mojego ramienia. Powinienem odczuwać strach, lecz zamiast tego byłem wściekły.

- Niech ich diabli porwą! - mruknąłem po chwili.

- Kogo, Alec?

- Nie wiem. To właśnie najgorsze. Tego, kto nam to zrobił. Może to twój przyjaciel Loki.

- On nie jest moim przyjacielem, tak samo jak szatan nie jest twoim. Boję się i lękam tego, co Loki robi z naszym światem.

- Nie boję się. Jestem wściekły. Loki czy szatan, czy ktokolwiek, tego już za wiele. To nie ma sensu. Dlaczego nie mogli poczekać trzydziestu minut? Mieliśmy te lody w zasięgu ręki - i zabrali nam je! Marga, to nieuczciwe! To czyste, niczym niezłagodzone okrucieństwo! Absurd dorównujący wyrywaniu skrzydeł muchom. Kimkolwiek oni są, gardzę nimi!

Zamiast kontynuować bezużyteczną rozmowę o sprawach, na które nie mieliśmy wpływu, Margrethe zapytała:

- Kochanie, dokąd idziemy?

- Co? - Stałem jak wryty. - Jak to dokąd, do misji.

- Czy na pewno nie zgubiliśmy drogi?

- No jas... - przerwałem i rozejrzałem się wokół. - Nie wiem. - Szedłem przed siebie zupełnie automatycznie, z całą uwagą skupioną na moim gniewie. Teraz stwierdziłem, że nie rozpoznaję żadnych punktów orientacyjnych.

- Mam wrażenie, że zabłądziłem.

- Jestem tego pewna.

Odnalezienie drogi zajęło nam pół godziny. Okolica wydawała się znajoma, lecz nic nie było dokładnie takie, jak przedtem. Odnalazłem miejsce, gdzie powinna się mieścić restauracja „U Rona”, lecz jej nie było tam. W końcu policjant wskazał nam drogę do misji..., która znajdowała się teraz w innym budynku. Ku mojemu zdziwieniu spotkaliśmy tam brata McCaw, który jednak nie poznał nas, a jego nazwisko brzmiało teraz McNabb. Odeszliśmy stamtąd z taką dozą godności, jak to było możliwe, to jest niewielką.

Podążyliśmy wolniutko tą samą drogą, którą przyszliśmy. Nie było gdzie się śpieszyć.

- Marga, znaleźliśmy się w tym samym punkcie co trzy tygodnie temu. Mamy lepsze buty, to wszystko. Nasze kieszenie są pełne pieniędzy, ale nie mają tu one żadnej wartości... gdybyśmy spróbowali je wydać, z pewnością zapewnilibyśmy sobie spokojny wypoczynek za kratkami.

- Masz chyba rację, kochanie.

- Tu na rogu jest bank. Zamiast próbować je wydać, mógłbym po prostu wejść do środka i zapytać, czy te pieniądze są cokolwiek warte.

- To chyba nie może zaszkodzić, prawda?

- Nie powinno. Ale nasz przyjaciel Loki może jeszcze wyciąć nam dodatkowy numer. Hmm. Musimy się poinformować. Poczekaj, weź wszystko, poza jednym banknotem. Jeśli mnie aresztują, udawaj, że mnie nie znasz.

- Nie!

- Co to znaczy „nie”? Nie ma sensu, żebyśmy oboje poszli do pudła.

Milczała z upartą miną. Jak można się spierać z kobietą, która nie odzywa się ani słowem?

Westchnąłem:

- Posłuchaj, kochanie. Jedyne inne wyjście, to znaleźć kolejną pracę przy zmywaniu naczyń. Może brat McNabb pozwoli nam dzisiaj przespać się w misji.

- Ja też mogę poszukać pracy. Potrafię zmywać naczynia, gotować i wiele innych rzeczy.

- Zobaczymy. Chodź ze mną, Marga! Najwyżej wsadzą nas oboje. Chyba jednak wymyśliłem sposób, aby tego uniknąć.

Zmiałem jeden z banknotów i oderwałem jego róg. Następnie weszliśmy razem do banku. Trzymałem banknot w rękę, jak gdybym przed chwilą go znalazł. Nie podszedłem z nim do kasy, lecz do balustrady, za którą siedzieli urzędnicy bankowi.

Przechyliłem się przez balustradę i przemówiłem do najbliższego z nich, na którego biurku stała tabliczka informująca, że jest on zastępcą kierownika.

- Przepraszam pana bardzo! Chciałem pana o coś zapytać.

Wyglądał na zniecierpliwionego, lecz nie okazał tego w słowach.

- Proszę bardzo. O co panu chodzi?

- Czy to prawdziwe pieniądze, rekwizyt teatralny, czy coś innego?

Spojrzał na banknot, po czym przyjrzał mu się uważniej.

- To ciekawe. Skąd pan to ma?

- Moja żona znalazła to na chodniku. Czy to prawdziwe pieniądze?

- Oczywiście, że nie. Kto słyszał o banknocie dwudziestodolarowym? To chyba rekwizyt albo jakiś chwyt reklamowy.

- A więc nie ma żadnej wartości?

- Jest wart tyle, ile papier, na którym go wydrukowano, to wszystko. Nie można chyba nawet nazwać go fałszyfikatem, ponieważ nawet nie próbowano upodobnić go do prawdziwego banknotu. Niemniej inspektorzy Departamentu Skarbu będą chcieli go obejrzeć.

- W porządku. Może się pan nim zaopiekować?

- Tak jest. Będą jednak chcieli porozmawiać też z panem. Niech pan poda nazwisko i adres. I żony też, ponieważ to ona go znalazła.

- Niech mi pan wyda pokwitowanie.

Podaliśmy nazwiska „pan i pani Hergensheimer” oraz adres (lecz nie nazwę) „U Rona”. Następnie z poważną miną przyjąłem pokwitowanie.

Gdy znaleźliśmy się na chodniku, stwierdziłem:

- No cóż, nie jest gorzej, niż się spodziewaliśmy. Pora się rozejrzeć za jakimiś brudnymi naczyniami.

- Alec...

- Słucham, kochanie?

- Mieliśmy pojechać do Kansas.

- Mieliśmy. Ale nasze pieniądze na bilety to teraz zwykła makulatura. Będę musiał zarobić nowe. Potrafię tego dokonać. Udało mi się raz, uda i drugi.

- Alec. Pojedźmy do Kansas teraz.

W pół godziny później szliśmy na północ brzegiem autostrady prowadzącej do Tucson. Machałem ręką na wszystkie mijające nas samochody w nadziei, że któryś z nich nas zabierze.

Skorzystaliśmy aż z trzech okazji, aby dotrzeć do Tucson. Stamtąd równie dobrze mogliśmy udać

się na wschód, do El Paso, jak podążać dalej autostradą 89, która zakręca na zachód, zanim skieruje się na północ, do Phoenix. Przypadek zdecydował, że pierwszy wóz, jaki złapaliśmy w Tucson, jechał na północ.

Udało się nam złapać go na postoju dla ciężarówek przy skrzyżowaniu autostrady 89 i 80. Muszę przyznać, że podwiózł nas ze względu na urodę Margrethe. Gdybym był sam, mógłbym tam tkwić wieki. Muszę od razu przyznać, że cała nasza podróż zależała od urody i wdzięku Margrethe w równym stopniu jak od mojej gotowości do wykonywania każdej uczciwej pracy, niezależnie od tego, jak była trudna, ciężka czy brudna.

Ciężko mi było się z tym pogodzić. Wciąż przychodziły mi do głowy ponure myśli o żonie Putyfara czy historia o Zuzannie i starcach. Zauważyłem, że Margrethe zaczyna mnie drażnić, choć jej jedyną winą było to, że była jak zwykle ciepła, sympatyczna i pełna wdzięku. Niewiele brakowało, bym jej powiedział, żeby przestała się uśmiechać i spoglądać na obcych mężczyzn. Najmocniej odczułem tę pokusę właśnie tego pierwszego dnia o zachodzie słońca, gdy ciężarówka zatrzymała się na postoju przy autostradzie, gdzie znajdowała się restauracja i stacja benzynowa.

- Zamówię dwa piwa i smażoną polędwicę - oznajmił szofer. - Co dla ciebie, Maggie, maleńka? Może krwisty befsztyk? Tutaj dosłownie przepędzają tylko krowę przez kuchnię.

Uśmiechnęła się do niego.

- Dziękuję ci, Steve, ale nie jestem głodna.

Moja ukochana mówiła nieprawdę. Wiedziała o tym i ja również o tym wiedziałem. Byłem pewien, że Steve również o tym wiedział. Naszym ostatnim posiłkiem było śniadanie w misji - jedenaście godzin i jeden wszechświat temu. Chciałem umyć naczynia w zamian za posiłek na postoju dla ciężarówek w Tucson, lecz odmówiono mi raczej stanowczo. Wszystkim, co spożyliśmy przez cały dzień, była woda z hydrantu.

- Możesz to powiedzieć babci, Maggie. Byliśmy w drodze przez cały dzień. Musisz być głodna.

Odezwałem się szybko, bo nie chciałem, aby Margrethe powtarzała nieprawdę, którą powiedziała, byłem tego pewien, z naszego powodu.

- Chciała powiedzieć, Steve, że nie przyjmuje zaproszeń na obiad od obcych mężczyzn. To ja powinienem zapewnić jej obiad. Dziękuję ci jednak za to w jej imieniu i oboje dziękujemy ci za podwiezienie. Jesteśmy bardzo wdzięczni.

Wciąż siedzieliśmy w kabinie jego ciężarówki, Margrethe pośrodku.

- Alec, chyba myślisz, że chcę się dobrać do majtek Maggie?

Odpowiedziałem mu sztywnym tonem, że nic podobnego nie przyszło mi do głowy, a jednak odniosłem wrażenie, że cały czas usiłuje zrobić właśnie to... czułem się urażony nie tylko jego prostackimi awansami, lecz również wulgarnym językiem, którym się posługiwał. Nauczyłem się już jednak, że w innych wszechświatach niekoniecznie przestrzegano zasad uprzejmego wysławiania się, obowiązujących w świecie, w którym się wychowałem.

- Tak jest, właśnie tak myślisz. Nie urodziłem się wczoraj. Spędziłem kupę czasu na drodze i wybito mi z głowy masę złudzeń. Myślisz, że chcę przerznąć twoją kobietę, ponieważ każdy chłop, który ją zobaczy, próbuje się do niej dobrać. Pozwól, synku, niech ci coś powiem. Nigdy nie pukam do domu, w którym nikogo nie ma. Zawsze potrafię to poznać. Maggie nie pójdzie na żadne numery. Sprawdziłem to już dawno. Gratuluję ci. Nie tak łatwo znaleźć wierną kobietę. Mam rację?

- Tak, z pewnością - zgodziłem się z niechęcią.

- To nie strosz piórek. Zabierasz swoją żonę na obiad. Podziękowałeś mi już za podwiezienie, ale dlaczego nie wyrazisz swej wdzięczności, zapraszając mnie na obiad, żebym nie musiał jeść sam?

Miałem nadzieję, że zdołam ukryć przerażenie i że szoferak nie spostrzegł mojego chwilowego

wahania.

- Jasne, Steve. Jesteśmy ci coś winni. Poczekaj chwilę.

Załatwię, co trzeba.

Zacząłem wysiadać z kabiny.

- Alec, kłamiesz nie lepiej niż Maggie.

- Słucham?

- Myślisz, że jestem ślepy? Jesteś bez grosza. Albo, jeśli niezupełnie, to masz tak mało, że nie możesz kupić mi polędwicy ani nawet zakąski.

- To prawda - odpowiedziałem z godnością. - Chciałem załatwić co trzeba z kierownikiem restauracji. Mam zamiar pozmywać naczynia w zamian za trzy obiady.

- Tak też myślałem. Gdybyście byli po prostu splukani, podróżowalibyście autobusem „Greyhounda” i mielibyście ze sobą jakiś bagaż. Gdybyście byli porządnie splukani, ale jeszcze niezagrożeni głodem, podróżowalibyście autostopem, żeby oszczędzić na żarcie, ale też mielibyście jakiś bagaż - torbę, albo chociaż jakiś tłumoczek. Nie macie jednak nic... a na sobie wyjściowe ubrania. Na pustyni, na miłość Boską! To wyraźnie wskazuje na katastrofę.

Zachowałem milczenie.

- Posłuchaj - ciągnął - być może właściciel tego lokalu pozwoliłby ci pozmywać naczynia. Najpewniej jednak zapycha u niego trójka Meksów, a tylko dzisiejszego dnia przegonił trzech następnych. Tą właśnie drogą udają się na północ „turistas”, którzy przemknęli się przez dziury w ogrodzeniu. I tak zresztą nie mam czasu czekać, aż pozmywasz naczynia. Muszę jeszcze dziś dopchać się z tym pudłem o kupę mil na północ. Zrobimy interes. Ty zaprosisz mnie na obiad, a ja ci pożyczę forszę.

- To kiepski interes.

- Guzik prawda. Dobry. Bankierzy mówią na to „pożyczka na podstawie zaufania”. Najlepszy interes, jaki może być. Kiedyś, za rok albo za dwadzieścia, spotkasz inną młodą parę, głodną i bez grosza. Kupisz im obiad na tych samych zasadach i w ten sposób mnie spłacisz. Kapujesz?

- Spłacę ci to siedmiokrotnie!

- Jeden raz wystarczy. Potem rób to dla własnej przyjemności. Chodźmy na obiad.

Restauracja „Rimrock Restop” była porządna, lecz niezbyt elegancka, podobnie jak „U Rona” w innym wszechświecie. Był tam zarówno bufet, jak i stoliki. Steve zaprowadził nas do stolika i po chwili podeszła do nas stosunkowo młoda i ładna kelnerka.

- Cześć, Steve! Kopę lat!

- Cześć, malutka! Jak wyszła próba na króliku?

- Królik zdechł. A co z twoim badaniem krwi? - uśmiechnęła się do mnie i do Margrethe. - Cześć wam! Czego sobie życzycie?

Miałem dość czasu, aby się przyjrzeć menu - rzecz jasna najpierw po prawej stronie na dole. Na widok cen przeżyłem szok. Wróciły one do skali obowiązującej w świecie, który znałem najlepiej. Hamburgery za dziesięć centów, kawa za pięć, obiady za siedemdziesiąt pięć do dziewięćdziesięciu - to były ceny, które rozumiałem.

Spojrzałem na nie ponownie i powiedziałem:

- Proszę superburgera z serca, średnio wypieczonego.

- W porządku, stary. A co dla ciebie, kochanie?

Margrethe poprosiła o mniej wypieczonego superburgera.

- Steve? - zapytała kelnerka.

- To będą trzy piwa - „Coors” - i trzy smażone polędwice, jedna krwista, druga półkrwista, a

trzecia wypieczona. Do tego normalne śmieci. Pieczone ziemniaki. Smażone obiecanki, co tam macie. Sałata. Bułki. To co zawsze. Deser później. Kawa.

- Się robi.

- Poznaj moich przyjaciół. Maggie, to jest Hazel. To jest Alec, mąż Maggie.

- Ty szczęściarzu! Cześć, Maggie, miło cię poznać. Szkoda tylko, że jesteś w takim towarzystwie.

Czy Steve usiłował ci coś sprzedać?

- Nie.

- Całe szczęście. Nic od niego nie kupuj, nic nie podpisuj, o nic się z nim nie zakładaj. Ciesz się, że masz już męża. On ma żony w trzech stanach.

- W czterech - poprawił ją Steve.

- Już w czterech? Gratulacje. Maggie, damska toaleta jest za kuchnią. Mężczyźni muszą chodzić na zewnątrz budynku.

Oddaliła się szybko, szeleszcząc sukienką.

- To fajna kobitka - stwierdził Steve. - Wiesz, co opowiadają o kelnerkach, zwłaszcza w takich lokalach jak ten. No więc, Hazel to chyba jedyna dziwa przy tej autostradzie, która nie bierze za to forsy. Chodź, Alec.

Odprowadził mnie w kierunku męskiej toalety. Zanim dotarło do mnie, co powiedział, było już za późno, żeby czynić mu wymówki za to, że odezwał się w ten sposób w obecności damy. Musiałem też przyznać, że Margrethe nie poczuła się obrażona, lecz po prostu potraktowała to jako użyteczną informację, a nawet pochwałę dla Hazel. Myślę, że najwięcej kłopotów sprawiały mi te zmiany, które były związane nie z ekonomią, obyczajami czy techniką, lecz z językiem i związanymi z nim zakazami.

Gdy wróciliśmy, czekało na nas piwo, a wraz z nim odświeżona Margrethe.

Steve wznosił toast - Skoal!

- Skoal! - odpowiedzieliśmy chórem.

Pociągnąłem jeden łyk, a za nim kilka następnych. Tego właśnie było mi potrzeba po długim dniu spędzonym na pustynnej autostradzie. Mój upadek moralny na SS „Konge Knut” obejmował też ponowne zawarcie znajomości z piwem, którego nie brałem do ust od czasu studiów na politechnice, a i wtedy popijałem raczej niewiele, gdyż brak mi było pieniędzy na nałogi. Miałem wrażenie, że piwo było świetne, lecz nie tak dobre jak duński „Tuborg” podawany na statku. Czy wiecie, że Biblia nie zawiera ani jednego słowa potępiającego piwo? W gruncie rzeczy słowo „piwo” oznacza w Biblii fontannę lub studnię.

Befsztyki były znakomite.

Pod wpływem piwa i dobrego jedzenia zacząłem nagle wyjaśniać Steve’owi, jak doszło do tego, że byliśmy zdani na łaskę nieznanym... nie mówiąc mu nic istotnego.

Nagle Margrethe odezwała się:

- Alec, powiedz mu!

- Uważasz, że powinienem?

- Uważam, że ma prawo wiedzieć. Poza tym ufam mu.

- Jak chcesz. Steve, jesteśmy przybyszami z innego świata.

Nie roześmiał się, ani nawet nie uśmiechnął. Wyglądał na zainteresowanego. Po chwili zapytał:

- Przylecieliście w latającym talerzu?

- Nie. Mam na myśli inny wszechświat, nie po prostu inną planetę. Wydaje się, że to ta sama planeta. Dziś rano Margrethe i ja znajdowaliśmy się w stanie zwanym Arizona, w mieście zwanym Nogales. Nagle wszystko się zmieniło. Nogales skurczyło się i nic nie było takie jak wcześniej.

Arizona wygląda chyba tak samo, choć nie znam zbyt dobrze tego stanu.

- Terytorium.

- Słucham?

- Arizona to terytorium, nie stan. Jej obywatele nie zgodzili się na przyjęcie statusu stanu.

- Aha. W moim świecie było podobnie. To miało coś wspólnego z podatkami. My jednak nie przybyliśmy z mojego świata. Ani ze świata Margi... - przerwałem. - Nie opowiadam tego zbyt dobrze.

- Może ty mogłabyś to wytłumaczyć? - zwróciłem się do Margi.

- Nie mogę tego wytłumaczyć - odparła - bo sama tego nie rozumiem. Jednak to prawda, Steve. Pochodzę z jednego świata, Alec z innego, mieszkaliśmy w innym, a dziś rano znajdowaliśmy się w jeszcze innym. Teraz trafiliśmy tutaj. Dlatego nie mamy żadnych pieniędzy. To jest, mamy pieniądze, ale nie są to pieniądze z tego świata.

- Czy nie moglibyście omawiać tych światów po kolei? - zapytał Steve. - Straciłem orientację.

- Ona opuściła dwa światy - powiedziałem.

- Nie, kochanie, trzy. Zapomniałeś chyba o świecie góry lodowej.

- Nie, ten policzyłem... Steve, przepraszam cię. Spróbuję je wymienić po kolei. To nie jest łatwe. Dziś rano poszliśmy do lodziarni w Nogales, ponieważ chciałem kupić Margrethe lody z gorącym sosem toffi. Usiedliśmy przy stoliku naprzeciwko siebie, tak jak teraz. Światła na skrzyżowaniu ulicy świeciły mi prosto w oczy.

- Co ci świeciło w oczy?

- Światła uliczne - czerwone, zielone i bursztynowe. W ten sposób zauważyłem, że znowu znaleźliśmy się w innym świecie. Tutaj nie ma światła ulicznych, przynajmniej ja ich nie widziałem. Ruch uliczny regulują policjanci. Lecz w świecie, w którym obudziliśmy się dziś rano, kierowano ruchem za pomocą światła ulicznych.

- Dla mnie równie dobrze mogliby używać różdżki magicznej. Co to ma wspólnego z lodami dla Maggie?

- Gdy nasz statek się rozbił i unosiliśmy się na powierzchni oceanu, Margrethe zażyczyła sobie takich lodów. Dzisiaj po raz pierwszy miałem okazję zaprosić ją na te lody. Kiedy światła zniknęły, zrozumiałem, że znów przenieśliśmy się w inny świat, a to znaczyło, że moje pieniądze nie mają wartości. Nie mogłem więc kupić jej lodów. Ani obiadu. Nie miałem pieniędzy, przynajmniej takich, za jakie można coś kupić. Rozumiesz?

- Chyba zgubiłeś mnie trzy zakręty temu. Co się stało z twoimi pieniędzmi?

- Proszę.

Pogrzebałem w kieszeni, wyciągnąłem z niej nasze pilnie strzeżone pieniądze na bilet, wyjąłem ze sterty banknot dwudziestodolarowy i wręczyłem go Steve'owi.

- Nic się z nimi nie stało. Popatrz na to.

Obejrzał uważnie banknot.

- „Legalny środek płatniczy”. To brzmi w porządku. Co to jednak za typek na portrecie? I od kiedy zaczęli emitować banknoty dwudziestodolarowe?

- W twoim świecie zapewne nigdy. Na tym portrecie jest William Jennings Bryan, prezydent Stanów Zjednoczonych w latach 1913 - 1921.

- W szkole imienia Horace'a Manna w Akron o nim nie uczyli. Pierwszy raz o nim słyszę.

- Według mojej szkoły wybrano go w roku 1896, nie, szesnaście lat później. W świecie Margrethe pan Bryan nigdy nie był prezydentem. Hej, Margrethe, to może być twój świat!

- Dlaczego tak sądzisz, kochanie?

- Może tak, a może nie. Podczas drogi z Nogales nie zauważyłem lądowiska ani żadnych znaków wskazujących do niego drogę. Właśnie sobie też przypomniałem, że przez cały dzień nie widziałem ani nie słyszałem odrzutowca, ani żadnej latającej maszyny? A ty?

- Nie, ja też nie. Nie myślałam jednak o nich. Jestem prawie pewna, że nic nie przelatywało w pobliżu - dodała.

- No, widzisz! A może to mój świat? Steve, jak tu wygląda rozwój aeronautyki?

- Aero-czego?

- Maszyny latające. Odrzutowce. Aeroplany wszelkich rodzajów. I sterowce. Czy macie sterowce?

- Żadna z tych nazw nic mi nie mówi. Mówisz o prawdziwym lataniu w powietrzu, jak ptak?

- Tak!

- Nic z tych rzeczy. Absolutnie. A może chodzi ci o balony? Widziałem kiedyś balon.

- Nie chodzi o balony. Właściwie sterowiec to jest rodzaj balonu. Jest jednak podłużny, nie okrągły - podobny do cygara. Napędzają go silniki, takie jak w twojej ciężarówce. Może rozwinąć prędkość stu mil na godzinę albo więcej. Zwykle lata wysoko - tysiąc, albo dwa tysiące stóp nad ziemią. Wyżej, gdy przelatuje nad górami.

Po raz pierwszy Steve okazał raczej zdumienie niż zainteresowanie.

- Boże wszechmogący! Naprawdę widziałeś coś takiego?

- Latałem nimi. Wiele razy. Pierwszy raz, gdy miałem zaledwie dwanaście lat. Kończyłeś szkołę w Akron? W moim świecie Akron słynie jako miasto, gdzie buduje się największe, najszybsze i najlepsze sterowce.

Steve potrząsnął głową:

- Coraz lepiej. Muszę się napić piwa. To najlepsza opowieść w moim życiu. Maggie, ty też widziałas te sterowce? Latałaś w nich?

- Nie. W moim świecie ich nie ma. Leciałam jednak latającą maszyną. „Aeroplano”. Tylko raz. Bałam się, ale to było strasznie podniecające. Chętnie spróbowałabym jeszcze raz.

- No jasne. Co do mnie, myślę, że narobiłbym w portki ze strachu, ale chciałbym się czymś takim przelecieć, choćbym miał zginąć na miejscu. Wiecie co, zaczynam wam wierzyć. Mówicie tak przekonująco. I jeszcze te pieniądze. Jeśli to są pieniądze.

- Na pewno - upierałem się. - To pieniądze z innego świata. Przyjrzyj się im dokładnie, Steve. To na pewno nie są banknoty z twojego świata. Nie są to również rekwizyty. Komu chciałoby się robić takie piękne sztychy na rekwizytach? Artysta, który je wykonał, robił to z myślą o prawdziwych pieniądzach... a mimo to, nawet ich nominał jest nieprawidłowy. To zauważyłeś jako pierwsze. Poczekaj chwilę - sięgnąłem do następnej kieszeni. - O! Jest! - Wyjąłem banknot dziesięciopesowy z Królestwa Meksyku.

Spaliłem większość bezużytecznych pieniędzy, które nagromadziliśmy przed trzęsieniem ziemi - napiwki Margrethe z „Pancho Villa” - lecz zostawiłem kilka sztuk na pamiątkę.

- Popatrz też na to. Czy znasz hiszpański?

- Nie za bardzo. Najwyżej teksański. Hiszpański typu „Cantina”.

Obejrzał banknot.

- Wygląda na dobry.

- Przyjrzyj się dokładnie! - powiedziała Margrethe. - Tutaj jest napisane „Reino”. Czy nie powinno być „Republica”? A może w twoim świecie Meksyk jest królestwem?

- Jest republiką... a ja byłem jednym z tych, którzy pomogli w utrzymaniu tego stanu rzeczy. Kiedy służyłem w „marines”, nadzorowaliśmy tam wybory. To zdumiewające, jak garstka „marines” uzbrojonych po zęby może wpłynąć na uczciwość wyborów. No, kochani, przekonaliście mnie.

Meksyk nie jest królestwem i autostopowicze, którzy nie mają nawet na obiad, nie powinni mieć ze sobą banknotów, z których wynika, że nim jest. Może zwariowałem, ale jestem gotów to przełknąć. Jakie jest wytłumaczenie tego wszystkiego?

- Steve - powiedziałem poważnym głosem. - Chciałbym to wiedzieć. Najprostsze wyjaśnienie to to, że zwariowałem i wszystko to jest złudzeniem - ty, ja, Marga, ta restauracja, ten świat - wszystko to wytwory mojego chorego mózgu.

- Jeśli chcesz, możesz sobie być złudzeniem, ale odczep się ode mnie i od Maggie. Czy znasz jakieś inne wytłumaczenie?

- Hmm... to zależy. Czy czytujesz Biblię, Steve?

- No więc i tak, i nie. Często na trasie leżę w łóżku, nie mogąc zasnąć i nie mam nic do czytania poza Biblią Gideona. Tak więc czasami ją czytuję.

- Czy przypominasz sobie Mateusza dwadzieścia cztery, dwadzieścia cztery?

- Co? A powinienem to znać?

Zacytowałem to dla niego.

- To jedna z możliwości, Steve. Te zmiany mogą być znakami zesłanymi przez diabła, aby nas sprowadzić na manowce. Z drugiej strony mogą one zapowiadać koniec świata i nadejście królestwa Chrystusa. Posłuchaj, co mówi słowo Pańskie: „Zaraz też po ucisku tych dni słońce się zaćmi i księżyc nie da swego blasku; gwiazdy zaczną spadać z nieba i moce niebieskie zostaną wstrząśnięte.

„Wówczas ukaże się na niebie znak Syna Człowieczego, i wtedy będą narzekać wszystkie narody Ziemi; ujrzą Syna Człowieczego przechodzącego na obłokach niebieskich z wielką mocą i chwałą. Pośle on swych aniołów z trąbą o głosie potężnym, i zgromadzą jego wybranych z czterech stron świata, od jednego krańca nieba do drugiego”.

- Do tego wszystko się sprowadza, Steve. Być może są to fałszywe znaki ucisku przed końcem świata, a może te cuda zwiastują Paruzję, nadejście Chrystusa. Tak czy inaczej zbliżamy się do końca świata. Czy narodziłeś się ponownie?

- Hmm. Nie mogę tego potwierdzić. Zostałem ochrzczony dawno temu, kiedy byłem za młody, aby mieć coś do powiedzenia w tej sprawie. Nie chodzę do kościoła, czasem tylko, na ślub czy pogrzeb kogoś znajomego. Nawet jeśli moje grzechy zostały kiedyś zmyte, to teraz jestem już trochę przybrudzony. Nie sądzę, żebym miał szansę.

- Jestem pewien, że nie masz, Steve. Posłuchaj. Nadchodzi koniec świata. Już wkrótce wróci Chrystus. Najpilniejsze, co ty - i każdy! - musi zrobić, to udać się ze swymi kłopotami do Jezusa, obmyć się w Jego krwi i ponownie się w Nim narodzić. Nie będzie żadnego ostrzeżenia. Trąba zabrzmi i albo znajdziesz się w ramionach Jezusa bezpieczny i szczęśliwy na wieki, albo zostaniesz wrzucony do ognia i siarki, aby tam cierpieć przez całą wieczność. Musisz być przygotowany.

- Kurczę! Alec, czy myślałeś kiedykolwiek o zostaniu kaznodzieją?

- Kiedyś myślałem.

- Powinieneś zrobić więcej niż myśleć. Powinieneś nim zostać. Powiedziałeś to tak, jakbyś wierzył w każde słowo.

- Bo wierzę.

- Tak też myślałem. W dowód uznania dla ciebie porządnie się nad tym zastanowię. Mam jednak nadzieję, że nie urzędzą dnia sądu dzisiaj, ponieważ muszę dowieźć swój ładunek na miejsce. Hazel! Przynieś mi rachunek, kochanie! Muszę się zabierać ze swoim pudłem.

Trzy befsztyki z dodatkami kosztowały 3. 90. Sześć piw dodało do rachunku 60 centów. Steve zapłacił złotą pięciodolarówką - monetą, której nigdy nie widziałem poza kolekcją numizmatyczną. Miałem ochotę się jej przyjrzeć, ale nie potrafiłem wymyślić żadnego powodu.

Hazel przyjrzała się monecie.

- Rzadko dostajemy tu złoto - zauważyła. - Głównie srebro i trochę papieru, choć szef nie lubi papierowych pieniędzy. Czy jesteś pewien, że chcesz to wydać, Steve?

- Znalazłem Zaginionego Holendra.

- Jak sobie życzysz. I tak nie zostanę twoją piątą żoną.

- Miałem na myśli jedynie tymczasowy związek.

- To też odpada. Nie za złotą pięciodolarówkę.

Pogrzebała w kieszeni i wyjęła stamtąd srebrną półdolarówkę.

- Oto twoja reszta, mój drogi.

Odepchnął ją w jej stronę.

- Co możesz zrobić za pięćdziesiąt centów?

Podniosła monetę i schowała ją do kieszeni.

- Napłuć ci w oko. Dziękuję. Dobranoc wam. Fajnie, że do nas wpadliście.

Podczas mniej więcej trzydziestu pięciu mil drogi do Flagstaff Steve zadawał nam pytania na temat światów, które poznaliśmy, nie czyniąc jednak żadnych komentarzy. Mówił tylko tyle, ile było potrzeba, aby zachęcić nas do rozmowy. Zainteresował go zwłaszcza mój opis sterowców, odrzutowców i „aeroplanos”, lecz również inne szczegóły techniczne go fascynowały. Telewizja wydała mu się znacznie bardziej niewiarygodna niż maszyny latające - mnie zresztą też. Jednakże Margrethe zapewniła go, że widziała telewizor na własne oczy, a ją trudno posądzić o kłamstwo. Mnie można wziąć za oszusta, ale nie Margrethe. Jej głos i sposób bycia są niezwykle przekonujące.

We Flagstaff, tuż przed autostradą 66, Steve zjechał na pobocze i zatrzymał samochód, nie wyłączając silnika.

- To koniec - powiedział, jeśli uparliście się, żeby jechać na wschód. Gdybyście zdecydowali się udać na północ, z chęcią was podwiozę.

- Musimy się dostać do Kansas, Steve - odparłem.

- Wiem o tym. Prowadzi tam wiele dróg, ale sześćdziesiątka szóstka jest najlepsza... choć naprawdę nie mam pojęcia, po co ktokolwiek miałby jechać do Kansas. To tamto skrzyżowanie, przed nami. Trzymajcie się prawej strony i idźcie prosto przed siebie. Nie możecie go nie zauważyć. Uważajcie tylko na szyny. Kolej do Santa Fe. Gdzie macie zamiar dziś spać?

- Nie mamy żadnych planów. Będziemy iść naprzód, zanim nie złapiemy następnej okazji. Jeśli nic nie złapiemy, a zmorzy nas sen, prześpimy się przy drodze. Jest ciepło.

- Alec, posłuchaj rady wuja. Nie będziesz dziś spał na pustyni. Teraz jest ciepło, ale rano zrobi się piekielnie zimno. Może tego nie zauważyłeś, ale przez całą drogę z Phoenix wspinaliśmy się coraz wyżej. Jeśli nie załatwią cię jaszczurki Gila, zrobią to pchły piaskowe. Musicie wynająć pokój.

- Steve, nie mogę tego zrobić.

- Pan o was zadba. Wierzysz w to, prawda?

- Tak - odpowiedziałem sztywnym tonem - wierzę. (Pomaga on jednak tym, którzy pomagają sobie sami.)

- Pozwól mu więc to zrobić. Maggie, czy zgadasz się z Alekiem, co do tego całego końca świata?

- Z pewnością nie mogę się nie zgodzić!

- Hmm. Alec, naprawdę się nad tym zastanowię... zacznę jeszcze dziś od czytania Biblii Gideona.

Na tę imprezę nie chciałem się spóźnić. Idźcie wzdłuż autostrady, szukając miejsca z wywieszką „pokoje do wynajęcia”. Nie „motel” ani „gospoda”, ani słowa o materacach Simmonsa czy łazienkach do własnego użytku, po prostu „pokoje”. Jeśli zażądamy więcej niż dwa dolary, odejdźcie.

Targujcie się, a może dostaniecie pokój za jednego dolara.

Nie słuchałem go uważnie, ponieważ byłem coraz bardziej zdenerwowany. Jak się mieliśmy targować? Wiedział, że nie mam ani grosza. Czyżby mi nie uwierzył?

- A więc do widzenia - ciągnął Steve. - Alec, czy mógłbyś otworzyć drzwi, nie chcę wysiadać z samochodu.

- Już się robi. - Otworzyłem drzwi i wysiadłem na zewnątrz, po czym przypomniałem sobie o dobrych manierach.

- Steve, pragnę ci podziękować za wszystko. Obiad, piwo i podwiezienie. Niech Bóg nad tobą czuwa i ma cię w swojej opiece.

- Dziękuję. Poczekaj chwilę. - Sięgnął do kieszeni, wyciągając z niej wizytówkę. - To moja wizytówka. Właściwie to adres córki. Kiedy dotrzesz do Kansas, wyślij pocztówkę, żebym wiedział, jak się wam powiodło.

- Zrobię to.

Wziąłem wizytówkę i wyciągnąłem rękę po Margrethe, aby pomóc jej wysiąść.

Steve powstrzymał ją.

- Maggie! Czy nie pocałujesz starego Steve'a na pożegnanie?

- No jasne, Steve!

Odwróciła się na siedzeniu, kierując się twarzą w jego stronę.

- Tak lepiej. Alec, lepiej odwróć się plecami.

Nie zrobiłem tego, lecz próbowałem nie zwracać na to uwagi, choć jednocześnie spoglądałem na nich kącikiem oka.

Gdyby potrafiło to jeszcze pół sekundy dłużej, wyciągnąłbym ją z tej kabiny własnoręcznie. Muszę jednak przyznać, że Steve nie zmuszał Margrethe do niczego. Całowała go z własnej woli tak, jak żadna zameźna kobieta nie powinna całować obcego mężczyzny.

Wytrzymałem to.

Wreszcie się skończyło. Pomogłem jej wysiąść i zatrzasnąłem za nią drzwi. Steve zawołał: - Pa, pa, dzieciaki! - i jego ciężarówka ruszyła w drogę. Nabierając prędkości, zatrąbił jeszcze dwukrotnie.

- Alec, jesteś na mnie zły - stwierdziła Margrethe.

- Nie. Zaskoczony. Zdziwiony. Nawet zszokowany. Rozczarowany. Zasmucony.

- Odczep się ode mnie!

- Co?

- Steve podwiózł nas dwieście pięćdziesiąt mil. Kupił nam porządny obiad i nie wyśmiał nas, gdy opowiedzieliśmy mu nedorzeczną historię, a teraz ty kręcisz nosem i robisz świętoszkowate miny, ponieważ pocałowałam go, żeby okazać mu, że doceniam to, co zrobił dla mnie i dla mojego męża. Nie pozwalam ci na to, słyszysz?

- Chciałem tylko...

- Przestań! Nie chcę żadnych wyjaśnień. Jesteś w błędzie! Teraz ja jestem zła i nie uspokoję się, dopóki nie przyznasz mi racji! Przemyśl to dobrze!

Odwróciła się i pomaszerowała prędko w stronę skrzyżowania autostrad 66 i 89. Popędziłem za nią.

- Margrethe!

Nie odpowiedziała, lecz przyśpieszyła kroku.

- Margrethe!

Wbiła wzrok przed siebie.

- Margrethe, kochanie! Nie miałem racji. Przepraszam cię.

Zatrzymała się nagle, odwróciła i zarzuciła mi ramiona na szyję. Zaczęła płakać.

- Och, Alec! Tak cię kocham, choć taki z ciebie ćwok!

Nie odpowiedziałem jej od razu, gdyż usta miałem zajęte całowaniem. W końcu rzekłem:

- Też cię kocham. Co to jest ćwok?

- To właśnie ty.

- Hmm... w takim razie jestem twoim ćwokiem i musisz ze mną pozostać. Nie odchodź już ode mnie.

- Nie zrobię tego. Już nigdy.

Wróciliśmy do tego, co robiliśmy przed chwilą.

Po dłuższej chwili odsunąłem swą twarz od niej na tyle, aby móc szepnąć:

- Nie mamy gdzie się przespać, a nigdy tego nie potrzebowałem tak jak teraz.

- Alec, sprawdź swoje kieszenie.

- Co?

- Kiedy Steve mnie całował, szepnął mi, abym ci kazała sprawdzić kieszenie i powiedział: „Pan o was zadba”.

Znalazłem ją w lewej kieszeni. Złota dziesięciodolarówka. Nigdy przedtem nie trzymałem w ręku takiej monety. Była ciepła i ciężka.

Czyż człowiek u Boga niewinny,

u Stwórcy stworzenie jest czyste?

Księga Hioba 4, 17

Wskazania dajcie - zamilknę,

i wyjaśnijcie w czym błędzę.

Księga Hioba 6, 24

W drogerii położonej w centrum Flagstaff zamieniłem tę dziesięciodolarówkę na dziewięć srebrnych dolarów, dziewięćdziesiąt pięć centów oraz kostkę mydła, na którą namówiła mnie Margrethe.

- Alec, drogeria to nie bank. Mogą ci nie chcieć rozmiąć pieniędzy, jeśli nic nie kupisz. Potrzebne nam mydło. Muszę uprać naszą bieliznę, musimy się też wykapać... a podejrzewam, że na takiej taniej kwaterze, jaką polecał nam Steve, może nie być ani kawałeczka mydła.

Miała całkowitą rację. Sprzedawca uniósł brwi na widok dziesięciodolarówki, lecz nie powiedział nic. Wziął monetę w rękę, uderzył nią o szklaną krawędź lady, aby posłuchać dźwięku, następnie sięgnął ręką za swą kasę, wyciągnął stamtąd małą buteleczkę i poddał monetę próbie za pomocą kwasu.

Powstrzymałem się od komentarza. W milczeniu odliczył dziewięć srebrnych dolarów, pół i ćwierćdolarówkę oraz dwie dziesięciocentówki. Zamiast schować je natychmiast do kieszeni, poddałem wszystkie kolejno temu samemu testowi, korzystając z jego lady. Następnie oddałem mu jedną z dolarowych monet.

On też tego nie skomentował - słyszał głuchy odgłos wydany przez tę rzekomą srebrną monetę. Odjął jednego dolara od stanu w swej kasie, wręczył mi następną monetę, która brzęczała jak dzwon, schował fałszywą gdzieś na dnie szuflady i odwrócił się do mnie plecami.

Na granicy miasta, w połowie drogi do Winony, znaleźliśmy lokal na tyle nędzny, byśmy mogli sobie pozwolić na nocleg. Margrethe zaczęła się targować po hiszpańsku. Gospodarz zażądał pięciu dolarów. Margrethe wezwała Najświętszą Panienkę i troje innych świętych na świadków tego, co chcą z nią zrobić, po czym zaoferowała pięć peso.

Nie rozumiałem tego manewru. Wiedziałem, że nie miała żadnych meksykańskich pieniędzy. Nie zamierzała chyba zaoferować mi tych „królewskich” peso, które wciąż miałem ze sobą?

Nie dowiedziałem się tego, ponieważ gospodarz zaproponował w odpowiedzi trzy dolary, i na tym stoi, seniora, Bóg mi świadkiem...

Ostatecznie ustalili cenę na półtora dolara. Następnie Marga wypożyczyła czystą pościel i koc za kolejne pięćdziesiąt centów i zapłaciła za wszystko dwoma srebrnymi dolarami, chcąc jednak na dodatek czystych poduszek i poszewek. Dostała je, lecz „patron” zażądał dopłaty. Marga wręczyła mu dziesięciocentówkę. Ukłonił się głęboko i zapewnił nas, że jego dom należy do nas.

Następnego ranka o siódmej wyruszyliśmy w dalszą drogę wypoczęci, czysti, zadowoleni i głodni. W pół godziny później znaleźliśmy się w Winonie, jeszcze bardziej zgłodniali. Wrzuciliśmy coś na ruszta w barku zainstalowanym w przyczepie - cała sterta placków - dziesięć centów, kawa - pięć - drugi kubek za darmo, masło i syrop bez ograniczeń.

Margrethe tak się opchała plackami, że nie zdołała zjeść wszystkiego. Zamieniliśmy więc talerze i dokończyłem to, co zostawiła.

Wywieszka na ścianie głosiła: PŁACIĆ GOTÓWKĄ PRZY ODBIORZE. BEZ NAPIWKÓW. CZY

JESTEŚCIE GOTOWI NA DZIEŃ SĄDU? Kucharz, który był też kelnerem (i, jak sądzę, właścicielem), miał tuż pod ręką egzemplarz „Strażnicy”. Zapytałem go:

- Bracie, czy masz jakieś wieści o tym, kiedy oczekiwać dnia sądu?

- Nie żartuj sobie z tego. Wieczność w czeluści piekielnej to bardzo długi czas.

- Nie żartuję - odpowiedziałem - sądząc ze znaków, myślę, że jesteśmy już w siedmioletnim okresie zapowiedzianym w jedenastym rozdziale Apokalipsy, wersety drugi i trzeci. Nie wiem jednak, jak daleko już się w nim pograżyliśmy.

- Jesteśmy już w jego drugiej połowie - oświadczył. - Dwaj świadkowie już prorokują i pojawił się Antychryst. Czy jesteś w stanie łaski? Jeśli nie, lepiej załatw to migiem.

- Ty także bądź gotów - odpowiedziałem. - Nie znasz dnia ani godziny, gdy nadejdzie Syn Człowieczy.

- Lepiej w to uwierz!

- Wierzę. Dziękuję za pyszne śniadanie.

- To nieistotne. Niech Pan ma cię w Swojej opiece.

- Dziękuję. Niech cię błogosławi i czuwa nad tobą.

Wyszliśmy oboje i skierowaliśmy się ponownie na wschód.

- Jak się czuje moje kochanie?

- Najedzona i szczęśliwa.

- Ja też. Szczególnie uszczęśliwiło mnie coś, co zrobiłaś dziś w nocy.

- Mnie też. Jak zawsze, mój kochany. Za każdym razem.

- Hmm. To fakt. Mnie też zawsze. Chodziło mi jednak o to, co powiedziałaś przedtem, gdy Steve zapytał cię, czy zgadzasz się ze mną co do dnia sądu i odpowiedziałaś mu, że tak. Marga, nie potrafię ci wyjaśnić, jak bardzo mnie martwiło, że nie chciałaś powrócić w ramiona Jezusa. Dzień sądu zbliża się. Nie znamy nawet godziny. Byłem zmartwiony. Nadal się martwię. Najwyraźniej jednak zaczynasz ponownie dostrzegać światło, choć nie mówiłaś jeszcze o tym ze mną.

Przeszliśmy chyba ze dwadzieścia kroków, a Margrethe nie odzywała się. W końcu powiedziała cicho:

- Ukochany, zażegnałabym twoje obawy, gdybym mogła. Niestety to niemożliwe.

- Słucham? Nie rozumiem. Wytłumacz mi to, proszę.

- Nie powiedziałam Steve’owi, że się z tobą zgadzam, lecz że nie mogę się nie zgodzić.

- Ależ to jest to samo!

- Nie, kochanie. Nie powiedziałam mu, choć to szczerza prawda, że nigdy nie będę publicznie spierać się ze swoim mężem o cokolwiek. Jeśli się z tobą nie zgadzam, powiem ci to na osobności. Nie przy Steve’ie czy kimkolwiek innym.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę, powstrzymując się od kilku nasuwających się komentarzy. Na koniec powiedziałem:

- Dziękuję ci, Margrethe.

- Kochanie, robię to dla zachowania własnej godności, w równym stopniu, jak twojej. Całe życie brzydziłam się widokiem męża i żony niezgadających się ze sobą - spierających się - kłócących - publicznie. Jeśli powiesz, że słońce pokryte jest małymi, jasnozielonymi szczeniakami, nie zaprzeczę temu publicznie.

- Ależ tak właśnie jest!

- Słucham? - Zatrzymała się i spojrzała na mnie zaskoczona.

- Moja droga Marga. Masz zadowalającą odpowiedź na każde pytanie. Jeśli kiedykolwiek zobaczę jasnozielone szczeniaki na powierzchni słońca, będę pamiętał, aby powiadomić cię o tym na

osobności, żeby nie zmuszać cię do podjęcia kłopotliwej decyzji przy świadkach. Kocham cię. Wyczytałem zbyt wiele z tego, co powiedziałaś Steve'owi, dlatego, że naprawdę się o ciebie martwię.

Wzięła mnie za rękę i przez pewien czas szliśmy w milczeniu.

- Alec?

- Słucham, kochanie.

- Nie chcę cię martwić. Jeśli nie mam racji i pójdziesz do chrześcijańskiego nieba, chciałabym pójść tam z tobą. Jeśli oznacza to powrót do wiary w Jezusa - a wydaje się, że tak jest - to tego właśnie pragnę. Spróbuję tego dokonać, nie mogę jednak nic obiecać, gdyż wiara nie zależy jedynie od woli. Niemniej jednak spróbuję.

Zatrzymałem się, aby ją pocałować, co rozbawiło ludzi w przejeżdżającym obok samochodzie.

- Kochanie, nie mogę cię prosić o więcej. Czy pomodlimy się razem?

- Alec, wołałabym nie. Pozwól mi pomodlić się samej. Na pewno to zrobię. Powiem ci, gdy nadejdzie czas na wspólną modlitwę.

Po chwili para ranczerów zatrzymała się, aby nas podwieźć. Wysadzili nas w Winslow, nie zadając żadnych pytań. My również nie udzieliliśmy im żadnych informacji, co było swojego rodzaju rekordem.

Winslow jest znacznie większe niż Winona. Jak na warunki pustynne jest to już porządne miasto - liczące chyba z siedem tysięcy mieszkańców. Znaleźliśmy tam okazję, aby uczynić coś, co pośrednio sugerował nam Steve i co omówiliśmy ze sobą poprzedniej nocy.

Steve miał rację. Nie byliśmy odpowiednio ubrani na pustynię. Nie mieliśmy jednak wyboru, gdyż w takim stroju zaskoczyła nas zmiana światów. Nie dostrzegłem jednak na pustyni nikogo, kto miałby na sobie garnitur. Nie widziałem też białych kobiet ubranych w suknie. Meksykanki i Indianki miały spódnice, lecz kobiety anglosaskie ubrane były w spodnie lub szorty - dżinsy, luźne spodnie, spodnie do jazdy konnej czy coś w tym rodzaju. Rzadko spódnice, nigdy suknie... Ponadto nasze ubiory nie były odpowiednie nawet na miasto. Wyglądały niemodnie, jak stroje sprzed stu lat. Nie pytajcie mnie dlaczego. Nie znam się na modzie, zwłaszcza kobiecej. Garnitur, który miałem na sobie, był elegancki i drogi, gdy miał go na sobie mój „patron”: Don Jaime w Mazatlanie w innym świecie... lecz mając go na grzbiecie na pustyni w Arizonie w tym świecie, wyglądałem jak łachmyta. W Winslow znaleźliśmy sklep, jakiego nam było trzeba. „UŻYWANE CIUCHY - Milion okazji - tylko za gotówkę, bez gwarancji, bez zwrotów. Wszystkie używane ubrania sterylizowane przed sprzedażą”. Powyżej umieszczono ten sam napis w języku hiszpańskim.

Po godzinie, długim przebieraniu się w różne ciuchy i intensywnym targowaniu w wykonaniu Margrethe zaopatrzyliśmy się w stroje odpowiednie na pustynię. Miałem na sobie spodnie khaki i taką samą koszulę oraz słomiany kapelusz w lekko kowbojskim stylu. Margrethe była ubrana bardziej skąpo - szorty miała równocześnie krótkie i obcisłe - aż do nieprzyzwoitości - natomiast górna część stroju składała się z czegoś, co było mniej niż gorsetem, lecz nieco więcej niż biustonoszem. Nazywało się to „stanikiem”.

Gdy ujrzałem Margę tak ubraną, szepnąłem do niej:

- Z pewnością nie pozwolę ci pokazać się publicznie w tym bezwstydnym kostiumie.

Odpowiedziała mi:

- Kochanie, nie zachowuj się od rana jak ćwok. Jest za gorąco.

- Nie żartuję. Zabraniam ci to kupić!

- Alec, nie przypominam sobie, żebym cię pytała o pozwolenie.

- Sprzeciwiasz mi się?

Westchnęła:

- Być może tak. Nie chcę tego robić. Czy kupiłeś maszynkę do golenia?

- Wiesz, że tak!

- Mam dla ciebie majtki i skarpetki. Czy potrzebujesz czegoś jeszcze?

- Nie. Margrethe, przestań zmieniać temat.

- Kochanie, powiedziałam już, że nie zamierzam się z tobą kłócić w miejscu publicznym. W tym

kostiumie jest też spódnica. Chciałam ją przymierzyć. Pozwól mi to zrobić i zapłacić rachunek. Potem wyjdziemy na zewnątrz i porozmawiamy na osobności.

Kipiąc ze złości, zrobiłem to, co chciała. Muszę zresztą przyznać, że dzięki jej handlowym zdolnościom wyszliśmy ze sklepiku z większą ilością pieniędzy, niż weszliśmy. Jak to możliwe? Ten garnitur od mojego „patrona” Don Jaimego, który na mnie wyglądał tak śmiesznie, na właścicielu sklepiku leżał jak ulał. W gruncie rzeczy właściciel był nawet podobny do Don Jaimego. Zgodził się on dać mi w zamian za niego wszystko, co mi było potrzebne - koszulę khaki, spodnie i słomiany kapelusz. Margrethe zażądała jednak dopłaty. Domagała się pięciu dolarów, otrzymała dwa.

Gdy płaciła rachunek, dowiedziałem się, że użyła podobnej magii pozbywając się swego niepotrzebnego już kostiumu. Wkroczyliśmy do sklepu mając 7. 55 dolarów, wyszliśmy z 8. 80... oraz ubraniami na pustynię dla nas obojga, grzebieniem (do wspólnego użytku), szczoteczką do zębów (podobnie), plecakiem, maszynką do golenia oraz niezbędną ilością bielizny i skarpetek - wszystko używane, lecz podobno wysterylizowane.

Nie jestem biegły w taktyce, zwłaszcza w stosunkach z kobietami. Wyszliśmy na otwartą przestrzeń, gdzie mogliśmy porozmawiać swobodnie, i nawet nie zdawałem sobie sprawy, że już zostałem pokonany. Nie zatrzymując się ani na chwilę, Margrethe oświadczyła:

- Słucham, kochanie. Chciałeś o czymś porozmawiać.

- Hmm. Jak założysz spódniczkę, ten kostium jest do przyjęcia. Ostatecznie. Nie wolno ci jednak pokazywać się publicznie w tych szortach. Jasne?

- Mam zamiar nosić same szorty tylko wtedy, kiedy będzie upalnie. Tak jak teraz.

- Margrethe, powiedziałem ci...

Rozpięła spódnicę i zaczęła ją zdejmować.

- Znowu mi się sprzeciwiasz!

Złożyła ją w kostkę i powiedziała:

- Proszę cię, czy mogę ją schować do plecaka?

- Jesteś świadomie nieposłuszna!

- Ależ, Alec, nie muszę być ci posłuszna, ani ty mnie.

- Ale... posłuchaj, kochanie, bądź rozsądna. Wiesz, że nie wydaję ci zwykle rozkazów. Jednak żona musi być posłuszna mężowi. Czy jesteś moją żoną?

- Powiedziałeś mi, że nią jestem, więc pozostanę nią, zanim mi nie powiesz, że jest inaczej.

- A więc twoim obowiązkiem jest mnie słuchać.

- Nie, Alec.

- Ale to jest podstawowy obowiązek żony!

- Nie zgadzam się z tym.

- Ależ... to szaleństwo! Czy chcesz mnie opuścić?

- Nie. Chyba, żebyś się ze mną rozwiódł.

- Nie uznaję rozwodów. Rozwody są sprzeczne z Pismem.

Nie odpowiedziała.

- Margrethe, proszę cię, załóż spódnicę!

- O mały włos byś mnie przekonał, najdroższy - odpowiedziała cicho. - Czy potrafisz mi wytłumaczyć, dlaczego tego pragniesz?

- Jak to dlaczego? Te szorty, noszone bez spódnicy, są nieprzyzwoite.

- Nie rozumiem, w jaki sposób fragment stroju może być nieprzyzwoity, Alec. Tylko osoba może okazać się taka. Czy chcesz powiedzieć, że jestem nieprzyzwoita?

- Hmm... przekręcasz moje słowa. Gdy masz na sobie te szorty - bez spódnicy - w miejscu publicznym, odsłaniasz tak wiele swojego ciała, że jest to nieprzyzwoite. W tej chwili idziesz szosą z całkowicie odsłoniętymi nogami... na przykład ci ludzie, w samochodzie, który minął nas przed chwilą, widziałem, jak się na ciebie gapili!

- Fajnie. Mam nadzieję, że się im podobało.

- Co?

- Powiedziałeś mi, że jestem piękna. Jest jednak możliwe, że twój sąd nie jest miarodajny. Mam nadzieję, że mój widok sprawia przyjemność również innym ludziom.

- Bądź poważna, Margrethe. Mówimy o twoich nagich członkach. Nagich.

- Powiedziałeś, że moje nogi są nagie. To prawda. Wolę, żeby takie były, kiedy jest ciepło.

Dlaczego tak patrzysz, kochanie? Czy mam brzydkie nogi?

(Cała piękna jesteś, przyjaciółko moja, i nie ma na tobie skazy.)

- Masz piękne nogi, kochanie. Powtarzałem ci to wielokrotnie. Nie chcę jednak dzielić się z innymi twoim pięknem.

- Nie ubędzie go od tego. Wróćmy do tematu. Alec, tłumaczyłeś mi, że moje nogi są nieprzyzwoite. Nie wiem, w jaki sposób zamierzasz mnie o tym przekonać. Sądzę, że to niemożliwe.

- Ależ, Margrethe, nagość jest nieprzyzwoita z samej swojej natury. Prowokuje lubieżne myśli.

- Naprawdę? Czy widok moich nóg powoduje u ciebie erekcję?

- Margrethe?

- Alec, nie bądź ćwokiem. Zadałam proste pytanie.

- Nieodpowiednie pytanie.

Westchnęła:

- Nie rozumiem, dlaczego to pytanie ma być nieodpowiednie w rozmowie pomiędzy mężem a żoną. Nigdy nie przyznam, że moje nogi są nieprzyzwoite. Albo nagość. Bywałam już naga w obliczu setek ludzi...

- Margrethe!

Wyglądała na zaskoczoną.

- Musisz chyba o tym wiedzieć?

- Nie wiedziałem o tym i słysząc to, przeżyłem szok.

- Doprawdy? Wiesz przecież, jak dobrze pływam.

- Co to ma do rzeczy? Przecież też dobrze pływam. Nie robię tego jednak nago. Mam kostium kąpielowy. (Przypomniałem sobie nagle basen na „Konge Knut”. Rzecz jasna moja ukochana była przyzwyczajona do pływania nago. Zostałem wyprowadzony w pole.)

- Och, prawda. Widziałam takie kostiumy w Mazatlanie. I w Hiszpanii. Lecz, kochanie, znów zбочyliśmy z tematu. Problem jest szerszy niż to, czy gołe nogi są nieprzyzwoite, albo czy powinnam była pocałować Steve’a na pożegnanie, a nawet czy powinnam być ci posłuszna. Pragniesz uczynić ze mnie coś, czym nie jestem. Chcę być twoją żoną przez wiele lat, przez całe życie - mam też nadzieję pójść z tobą do nieba, jeśli takie jest twoje przeznaczenie. Lecz, kochanie, nie jestem dzieciakiem ani niewolnicą. Chcę żyć z tobą w zgodzie, gdyż jestem twoją żoną, ale nie będę wykonywać twoich poleceń tylko z tego powodu.

Chciałbym móc powiedzieć, że olśniłem ją swoją błyskotliwą ripostą. Tak jest, mógłbym to powiedzieć, lecz nie byłaby to prawda. Staralem się właśnie wymyślić jakąś odpowiedź, gdy samochód, który właśnie nas minął, zwolnił nagle. Usłyszałem sygnał, jeden z tych, na które mówią „wilk”. Pojazd zatrzymał się i cofnął w naszą stronę.

- Podwieźć was? - usłyszeliśmy głos.

- Jasne! - odrzyknęła Margrethe i popędziła w tamtą stronę. Byłem zmuszony uczynić to samo.

Była to bagażówka. Za kierownicą siedziała kobieta, obok niej mężczyzna. Oboje byli w moim wieku lub nieco starsi. Mężczyzna sięgnął ręką za siebie i otworzył drzwi.

- Właźcie!

Podsadziłem Margrethe, wsiadłem za nią i zatrzasnąłem drzwi.

- Zmieście się? - zapytał. - Jeśli nie, zwalcie te śmieci na podłogę. Nigdy nie siadamy na tylnym siedzeniu, więc to wszystko się tam gromadzi. Jesteśmy Clyde i Bessie Grubb.

- On jest Grubb. Ja jestem po prostu dobrze odżywiona - dodała kobieta.

- Powinniście się teraz roześmiać. Już to słyszałem.

Był rzeczywiście gruby. Jeden z tych muskularnych mężczyzn o grubych kościach, którzy w wieku szkolnym są atletycznie zbudowani, a potem przybierają na wadze. Jego żona opisała ich oboje poprawnie. Nie była gruba, lecz miała lekką nadwagę.

- Bardzo nam miło. Jesteśmy Alec i Margrethe Graham. Dziękujemy wam, żeście się zatrzymali.

- Te uprzejmości są zbyt duże, Alec - odpowiedziała kobieta. - Dokąd jedziecie?

- Bessie, proszę cię, uważaj na drogę.

- Clyde, jeśli nie odpowiada ci sposób, w jaki prowadzę tego grata, możemy się przesiąść.

- Nie, nie. Radzisz sobie świetnie.

- Więc się przykniij, albo skorzystam z reguły K. Słucham, Alec?

- Jedziemy do Kansas.

- O, kurczę! Nie wybieramy się tak daleko. W Chambers skręcamy na północ. To kawał drogi stąd, około dziewięćdziesięciu mil. No ale, podwieziemy was przynajmniej tyle. Co macie zamiar robić w Kansas?

(Co miałem zamiar robić w Kansas? Otworzyć lodziarnię... przywieść moją ukochaną żonę z powrotem do owczarni... przygotowywać się do dnia sądu.)

- Zmywać naczynia.

- Mój mąż jest zbyt skromny - powiedziała cicho Margrethe. - Mamy zamiar otworzyć małą restaurację. Jednak na naszej drodze do tego celu z pewnością znajdzie się zmywanie naczyń. Lub jakakolwiek inna praca.

Wyjaśniłem im, co się z nami stało, zmieniając niektóre fakty i pomijając to, w co nie mogliby uwierzyć.

- Restauracja została zniszczona, nasi meksykańscy współnicy zabici. Straciliśmy wszystko. Wspomniałem o zmywaniu naczyń, ponieważ jest to jedyna praca, którą można dostać niemal zawsze. Mogę się jednak podjąć prawie wszystkiego.

- Alec, tak podchodząc do sprawy, staniesz na nogi szybciej, niż sobie wyobrażasz - odparł Clyde.

- Straciliśmy trochę pieniędzy, to wszystko. Nie jesteśmy zbyt starzy, aby zaczynać od nowa. (Mój Boże, czy wstrzymasz się z dniem sądu na tyle, abym zdążył tego dokonać? Bądź wola Twoja, amen.)

Margrethe uściśnęła mi rękę. Clyde zauważył to. Odwrócił się na siedzeniu, kierując się twarzą w stronę żony oraz naszą.

- Uda ci się - stwierdził. - Z taką żoną, jak twoja, musi ci się udać.

- Mam nadzieję. Dziękuję.

Wiedziałem, po co zwrócił się w naszą stronę. Żeby się pogapić na Margrethe. Chciałem mu powiedzieć, żeby trzymał swoje gały przy sobie, lecz w tej sytuacji nie mogłem tego zrobić. Poza tym było oczywiste, że państwo Grubb nie widzieli niczego złego w stroju mojej ukochanej. Pani Grubb była ubrana tak samo, z tym, że skąpiej. Muszę przyznać, że choć nie była tak olśniewającą piękną, jak Margrethe, była całkiem niebrzydka.

Na Pustyni Pstrej zatrzymaliśmy się i wysiedliśmy z samochodu, aby popatrzeć na to niewiarygodne piękno natury. Widziałem już ją kiedyś, ale Margrethe była tu po raz pierwszy. Z wrażenia po prostu ją zatkało. Clyde powiedział mi, że zawsze się tu zatrzymują, choć przejeżdżali już tędy setki razy.

Przepraszam: Widziałem już ją kiedyś, ale w innym świecie. Pustynia Pstra była dowodem na to, co podejrzewałem. To nie Matka Ziemia podlegała tym szaleńczym zmianom, lecz jedynie człowiek i jego dzieła, a nawet one tylko w części. Jednak jedyne nasuwające się wytłumaczenie tego faktu prowadziło prosto do paranoi. W żadnym razie nie wolno było się jej poddać. Musiałem się opiekować Margrethe.

Clyde kupił nam hot dogi i coś do picia. Nie zgodził się, żebym za to zapłacił. Gdy wróciliśmy do samochodu, zasiadł za kierownicą i zaprosił Margrethe, aby usiadła przy nim. Nie byłem z tego zadowolony, ale nie mogłem tego okazać, gdyż Bessie natychmiast powiedziała:

- Biedny Alec! Posadzili go ze starą babą! Nie przejmuj się, kochanie. Jeszcze tylko dwadzieścia trzy minuty do zakrętu do Chambers... nawet mniej, biorąc pod uwagę, w jaki sposób Clyde prowadzi.

Tym razem Clyde'owi zajęło to trzydzieści minut. Zaczekał jednak na nas, aby się upewnić, że złapiemy okazję do Gallup.

Dotarliśmy tam na długo przed zachodem słońca. A choć mieliśmy w kieszeni 8. 80 dolara, pomyślałem, że czas się rozejrzeć za brudnymi naczyniami. W Gallup jest niemal tyle samo moteli i gospód, co Indian, i niemal połowa tych przybytków posiada własne restauracje. Sprawdziłem trzystaście z nich, zanim natrafiłem na taką, gdzie potrzebowano moich usług.

W czternaście dni później znaleźliśmy się w Oklahoma City. Jeśli wydaje się wam, że to długo, macie rację. Posuwaliśmy się naprzód w tempie mniej niż pięćdziesięciu mil dziennie. Ale w tym czasie wydarzyło się tyle spraw. Czuję, że moja paranoja się pogłębia.

Przeskakiwaliśmy z jednego świata do drugiego raz za razem, i to zawsze w takim momencie, w którym wywoływało to największe komplikacje.

Czy widzieliście kiedyś, jak kot bawi się z myszą? Mysz nie ma żadnych szans. Jeśli ma choć tyle rozumu, ile dobry Bóg dał myszom, wie o tym dobrze. A jednak mysz nie poddaje się... i kot ponownie ją chwyta, raz za razem.

Byłem taką myszą. Albo też oboje byliśmy myszami, ponieważ Margrethe była ze mną... i była to jedyna rzecz, która ratowała mnie przed załamaniem. Nie skarżyła się ani nie poddawała, więc ja również nie mogłem się poddać.

I tak doszedłem do wniosku, że choć papierowe pieniądze nie mają po zmianie światów żadnej wartości, złote i srebrne monety powinny zachować przynajmniej wartość kruszcu. Zbierałem je więc wszędzie, gdzie tylko mogłem, oszczędzałem i odmawiałem przyjmowania reszty w banknotach.

Bystry z ciebie chłopak, Alec. Naprawdę masz łeb.

Trzeciego dnia pobytu w Gallup przespaliśmy się z Margą w pokoju, za który zapłaciliśmy zmywaniem naczyń (ja) i sprzątnięciem (Margrethe). Nie mieliśmy zamiaru spać. Chcieliśmy tylko odpocząć trochę przed posiłkiem. To był długi, ciężki dzień. Położyliśmy się na kapie na łóżku.

Zdażyłem się tylko trochę odprężyć, gdy poczułem, że coś twardego cisnie mnie w plecy.

Podniosłem się lekko i stwierdziłem, że wszystkie moje zaoszczędzone dolary wypadły mi z kieszeni, gdy przewróciłem się na drugi bok. Wyjąłem więc rękę spod głowy Margi, sięgnąłem po pieniądze, przeliczyłem je, dodałem świeżo uzyskane drobne i położyłem wszystkie na stoliku przy łóżku w odległości jednej stopy od mojej głowy. Następnie wróciłem do pozycji horyzontalnej, wsunąłem rękę pod głowę Margi i zasnąłem.

Gdy się obudziłem, wokół panowała całkowita ciemność. Senność odeszła mnie natychmiast. Margrethe wciąż pochrapywała cicho, leżąc na moim ramieniu. Potrząsnąłem nią.

- Kochanie. Obudź się!

- Chrrrf.

- Jest już późno. Spóźnimy się na kolację.

Obudziła się natychmiast.

- Mógłbyś włączyć lampę?

Przesunąłem ręką po stoliku i omal nie wypadłem z łóżka.

- Nie mogę znaleźć tego paskudztwa. Jest ciemno jak w samym środku węgla. Poczekaj sekundę! Zapalę górne światło.

Wstałem ostrożnie z łóżka, skierowałem się w stronę drzwi, potknąłem się o krzesło, nie znalazłem drzwi, poszukałem ich po omacku i wreszcie znalazłem, pomacałem ręką w ich okolicy i natrafiłem na wyłącznik. Światło na suficie zapaliło się. Przez długą, straszną chwilę żadne z nas się nie odzywało. Potem, całkowicie bezcelowo, stwierdziłem:

- Znowu to zrobili.

Pokój cechował się charakterystyczną anonimowością wszystkich kwater w tanich motelach. Niemniej różnił się w szczegółach od tego, w którym położyliśmy się spać.

Nasze z trudem zdobyte srebrne dolary zniknęły. Podobnie jak wszystko, poza ubraniami, które mieliśmy na sobie - plecak, czyste skarpetki, zapasowa bielizna, grzebień, maszynka do golenia - dosłownie wszystko. Sprawdziłem to, aby się upewnić.

- No i co teraz, Marga?

- Cokolwiek pan rozkaże.

- Hmm. Nie sądzę, żeby poznali mnie w kuchni. Może jednak pozwolą mi pozmywać naczynia.

- Mogą też potrzebować kelnerki.

Drzwi zamykały się na zatrask, a ja nie miałem klucza, toteż zostawiłem je lekko uchylone. Prowadziły one bezpośrednio na zewnątrz. Po drugiej stronie parkingu, na rogu budynku znajdował się pokój z podświetlonym napisem: REJESTRACJA. Wszystko wyglądało normalnie, z tym, że różniło się nieco od motelu, w którym uprzednio pracowaliśmy. Tam rejestracja znajdowała się od frontu budynku centralnego, którego resztę stanowiła kawiarnia.

Tak jest, spóźniliśmy się na kolację.

Na śniadanie. W tym motelu nie było kawiarni.

- No więc, Marga?

- W którą stronę do Kansas?

- Chyba w tę. Możemy zrobić dwie rzeczy - wrócić do pokoju, położyć się jak należy do łóżka i przespać do rana, albo też wyjść na autostradę i spróbować złapać okazję. Po ciemku.

- Alec. Ja widzę tylko jedno wyjście. Jeśli wrócimy do środka, obudzimy się rano, głodniejsi, ale nie w lepszej sytuacji. Może w gorszej, jeśli złapią nas śpiących w pokoju, za który nie zapłaciliśmy...

- Umyłem całą kupę naczyń!

- Nie tutaj. Tutaj mogą wezwać policję.

Ruszyliśmy w drogę.

Był to typowy przykład prześladowań, jakie cierpieliśmy w trakcie drogi do Kansas. Tak jest, powiedziałem „prześladowań”. Jeśli paranoja polega na przekonaniu, że cały świat spiskuje przeciwko tobie, to byłem paranoikiem. Była to jednak „zdrowa” paranoja (jeśli wybaczyście mi tę sprzeczność) albo też cierpiałem na urojenia tak monumentalne, że należałoby mnie natychmiast zamknąć i poddać leczeniu.

Być może tak było. W takim przypadku jednak Margrethe również była częścią moich urojeń. Nie mogłem pogodzić się z tą myślą. Nie mogło to też być „folie á deux”, gdyż Margrethe byłaby normalna w każdym możliwym świecie.

Minęło południe, zanim znaleźliśmy coś do jedzenia. Zaczynałem już dopatrywać się duchów tam, gdzie normalny człowiek dostrzegłby tylko drobne wiry powietrzne. Mój kapelusz został za siedmioma górami i słońce Nowego Meksyku padające mi na głowę nie pomagało mi w najmniejszym stopniu.

Samochód wiozący ludzi z pobliskiej budowy podwiózł nas do Grants. Zanim nas tam zostawili, zafundowali nam obiad. Być może jestem chory umysłowo, ale na pewno nie głupi - zawdzięczaliśmy tę podróż i posiłek temu, że Margrethe w nieprzyzwoicie obcisłych szortach przyciąga spojrzenia mężczyzn. To dało mi wiele do myślenia, podczas gdy pochłaniałem (z przyjemnością!) obiad, który nam postawili. Zachowałem jednak swoje przemyślenia dla siebie.

Gdy opuścili nas, zapytałem:

- Na wschód?

- Tak. Najpierw jednak chciałabym zajrzeć do biblioteki publicznej. O ile tu ją mają.

- Oczywiście!

Gdy znajdowaliśmy się w świecie naszego przyjaciela Steve’a, brak jakichkolwiek środków transportu powietrznego wywołał u mnie podejrzenie, iż świat ten może być tym samym, w którym urodziła się Margrethe, a w związku z tym również ojczyzną „Aleca Grahama”. W Gallup sprawdziliśmy to w bibliotece publicznej. Przestudiowałem w encyklopedii historię amerykańską, a Marga duńską. Stwierdzenie, że nie jesteśmy w jej świecie, zajęło nam obojgu zaledwie pięć minut. Dowiedziałem się, że Bryan został wybrany w 1896 roku, lecz zmarł w trakcie pełnienia urzędu i został zastąpiony przez wiceprezydenta - Arthura Sawella. To mi wystarczyło. Potem przejrzałem tylko szybko prezydentów i wojny, o których nigdy nie słyszałem.

Margrethe zakończyła swe badania z nosem zmarszczonym z oburzenia. Gdy wyszliśmy na zewnątrz, gdzie nie musieliśmy już mówić szeptem, zapytałem ją, co ją tak zmartwiło.

- To nie twój świat, kochanie. Sprawdziłem to.

- Jasne, że nie!

- Mieliśmy tylko jedną negatywną wskazówkę. Może istnieje wiele światów, w których nie ma żadnego rodzaju aeronautyki.

- Całe szczęście, że to nie mój świat! Alec, tutaj Dania jest częścią Szwecji! Czy to nie straszne?

Szczerze mówiąc, nie rozumiałem jej uczuć. Oba kraje są skandynawskie i bardzo podobne do siebie - tak mi się przynajmniej zdawało.

- Przykro mi, kochanie. Nie wiem wiele o tych sprawach. (Byłem raz w Sztokholmie i podobało mi się tam. To jednak nie był odpowiedni moment, żeby jej o tym wspominać.)

- W tej głupiej książce napisali, że stolicą jest Sztokholm, a królem Karol szesnasty. Alec, on nawet nie pochodzi z rodziny królewskiej! I to ma być mój król!

- Ależ, kochanie, to nie jest twój król. To nawet nie twój świat.

- Wiem o tym. Alec? Gdybyśmy musieli tu pozostać, gdyby to już był koniec zmian, to czy

mogłabym uzyskać naturalizację?

- Myślę, że tak.

Westchnęła:

- Nie chciałabym być Szwedką.

Nie odezwałem się. W pewnych sprawach nie byłem w stanie jej pomóc.

W Grants ponownie udaliśmy się do biblioteki publicznej, aby sprawdzić, co przyniosła światu najnowsza zmiana. Ponieważ nie widzieliśmy żadnych „aeroplanos” ani sterowców, ponownie wydało nam się możliwe, że znajdujemy się w świecie Margrethe. Tym razem zacząłem od hasła „aeronautyka” i nie znalazłem sterowców, lecz maszyny latające... wynalezione przez doktora Alberto Santos-Dumonta z Brazylii na początku bieżącego stulecia. Nazwisko wynalazcy zdumiało mnie, ponieważ w moim świecie był on pionierem budowy sterowców ustępujących jedynie grafowi von Zeppelin. Najwyraźniej jednak aerodynamiki doktora były prymitywne w porównaniu z odrzutowcami lub nawet „aeroplanos”. Wiadomości te wskazywały, że wynalazek ów stanowi raczej ciekawostkę, a nie urządzenie powszechnego użytku. Zostawiłem ten temat i przerzuciłem się na historię Ameryki. Na początek sprawdziłem Williama Jenningsa Bryana.

Nie znalazłem go w ogóle. No cóż, wiedziałem już, że to nie mój świat.

Marga była jednak cała uśmiechnięta. Nie mogła się doczekać, aż wyjdziemy na zewnątrz, żeby mi wszystko powiedzieć.

- W tym świecie Skandynawia jest jednym wielkim państwem.. i Kopenhaga jest jego stolicą!

- To fajnie!

- Syn królowej Małgorzaty, książę Fryderyk został ukoronowany jako król Eryk Gustaw - niewątpliwie, aby sprawić przyjemność cudzoziemcom. Pochodzi jednak z duńskiej rodziny królewskiej i jest Duńczykiem z krwi i kości. Tak właśnie powinno być!

Próbowałem jej okazać, że ja również się cieszę. Nie mieliśmy ani centa przy duszy, nie widzieliśmy, gdzie dziś będziemy spać, a Margrethe cieszyła się jak dziecko w dzień Bożego Narodzenia... z czegoś, co jak sądziłem, nie miało żadnego znaczenia.

Korzystając z dwóch okazji, dotarliśmy do Albuquerque. Uznałem, że rozsądnie będzie pozostać tam przez jakiś czas - to duże miasto - nawet gdybyśmy musieli, znowu zdać się na Armię Zbawienia. Szybko jednak znalazłem pracę przy zmywaniu naczyń w kawiarni w miejscowym „Holiday Inn”, a Margrethe zatrudniła się jako kelnerka w tym samym lokalu. Pracowaliśmy tam przez niespełna dwie godziny, gdy Margrethe przysłała na zaplecze i wsunęła mi coś do kieszeni na biodrze, podczas gdy stałem pochylony nad zlewem.

- Prezent dla ciebie, najdroższy!

Odwróciłem się do niej:

- Cześć, cudowna!

Sprawdziłem kieszeń. Była w niej podróżna maszynka do golenia z odkręcaną rączką, która po złożeniu mieściła się w wodoszczelnym pudełku mniejszym niż kieszonkowa Biblia i przeznaczonym do noszenia w kieszeni.

- Ukradłaś to?

- Niezupełnie. Kupiłam w kiosku w hallu za napiwki.

Kochanie, chcę, żebyś się ogolił, jak tylko będziesz miał wolną chwilę.

- Pozwól, niech ci to wyjaśnię, laleczko. Ciebie przyjęto do pracy ze względu na wygląd, a mnie ze względu na mocne plecy, słaby rozum i potulne usposobienie. Nie obchodzi ich, jak wyglądam.

- Ale mnie obchodzi!

- Każde twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. Teraz zostaw mnie. Spowalniasz tok produkcji.

Nocą Margrethe wyjaśniła mi, dlaczego kupiła mi w pierwszej kolejności maszynkę do golenia.

- Kochanie, to nie tylko dlatego, że lubię, jak masz twarz wygoloną i włosy krótkie, choć tak jest!

Te sztuczki Lokiego nie ustają i za każdym razem musimy natychmiast znaleźć pracę, żeby mieć co jeść. Powiedziałeś, że nikogo nie obchodzi, jak wyglądasz pomywacz... ja jednak myślę, że świeży i czysty wygląd pomaga w znalezieniu każdej pracy, a już z pewnością nie może zaszkodzić. Jest jednak jeszcze jeden powód. W wyniku tych zmian chodziłeś nieogolony raz, dwa... mogę się doliczyć pięciu razy, w tym raz przez przeszło trzy dni. Najdroższy, gdy jesteś świeżo ogolony, wyglądasz na dumnego i szczęśliwego. Wtedy ja również czuję, że jestem szczęśliwa.

Margrethe zrobiła dla mnie coś w rodzaju pasa na pieniądze - kieszeń z materiału umocowaną na taśmę. Chciała, żebym nosił to nawet w łóżku.

- Kochanie, straciliśmy wszystko, czego nie mieliśmy przy sobie, w momencie zmiany. Chcę, żebyś wkładał do tego maszynkę do golenia i monety w chwili, gdy będziesz się kładł do łóżka.

- Nie wierzę, żeby można tak łatwo przechytrzyć szatana.

- Być może nie, lecz spróbujmy. Podczas każdej zmiany zachowujemy ubranie, które mamy na sobie i wszystko, co mamy w kieszeniach. Takie są chyba zasady.

- Chaos nie przestrzega żadnych zasad.

- Może to nie jest chaos. Alec, jeśli nie chcesz nosić tego w łóżku, to czy pozwolisz, żebym ja to robiła?

- Och, założę to. To jednak nie powstrzyma szatana, jeśli naprawdę zechce nam to odebrać. W gruncie rzeczy nie przejmuję się tym. Raz już wrzucił nas nagich, jak nas Pan Bóg stworzył, do Pacyfiku i udało nam się to przeżyć, pamiętasz? Martwi mnie jednak co innego, Marga. Czy zauważyłaś, że za każdym razem w momencie zmiany dotykaliśmy się nawzajem? Przynajmniej rękoma?

- Zauważyłam.

- Zmiana zachodzi w mgnieniu oka. Co się stanie, jeśli nie będziemy się trzymać w objęciach? Jeśli nawet nie będziemy się dotykać? Powiedz mi.

Milczała przez tak długą chwilę, iż zrozumiałem, że nie ma zamiaru mi odpowiedzieć.

- Aha - powiedziałem. - Też tak sądzę. Nie możemy jednak przez cały czas być bliźniętami syjamskimi. Moja ukochana, moja jedyna, szatan, Loki, czy jakkolwiek nazywa się zły duch, który robi z nami te rzeczy, może nas rozdzielić w każdej chwili, po prostu przeprowadzając zmianę w momencie, gdy się nie dotykamy.

- Alec?

- Słucham, kochanie?

- Loki mógł nam to zrobić w każdej chwili już od dawna, a jednak to się nie stało.

- Może się stać w każdej sekundzie.

- Tak. Albo nigdy.

Ruszyliśmy w dalszą drogę, dręczeni przez kolejne zmiany. Środki ostrożności podjęte przez Margrethe wyglądały na skuteczne - w przypadku jednej ze zmian nawet zbyt skuteczne. O mały włos trafiłbym do więzienia za nielegalne posiadanie srebrnych monet. Lecz szybka zmiana (najszybsza, jaką przeżyliśmy) uwolniła nas od oskarżenia, dowodów rzeczowych i świadka, który wniósł skargę. Znaleźliśmy się w nieznannej sali sądowej, z której szybko nas wyproszono ze względu na brak przepustek uprawniających do przebywania w niej.

Maszynka do golenia jednak ocalała. Żaden gliniarz ani szeryf nie miał ochoty jej skonfiskować.

Wędrowaliśmy korzystając z naszej tradycyjnej metody (mój kciuk i śliczne nogi Margrethe. Już dawno doszedłem do wniosku, że muszę się pogodzić z tym, czego nie mogę zmienić). Zostaliśmy

wysadzeni w ładnej okolicy - chyba w Teksasie - przez kierowcę ciężarówki, który skręcił na północ z autostrady 66 w boczną drogę.

Opuściliśmy już pustynię. Wokół nas wznosiły się niskie zielone wzgórza. Pogoda była piękna, lecz my byliśmy zmęczeni, głodni, spoceni i brudni, gdyż nasi prześladowcy - szatan, czy ktokolwiek to był - przeszli samych siebie - trzy zmiany w ciągu trzydziestu sześciu godzin.

Jednego dnia dwukrotnie zdobyłem pracę przy zmywaniu naczyń w tym samym mieście, pod tym samym adresem... i nie otrzymałem ani grosza. Trudno jest dostać wypłatę od właściciela restauracji „Samotny Kowboj”, która na twych oczach zmienia się w smażalnię „U Vivian”. To samo wydarzyło się w trzy godziny później, gdy „U Vivian” zamieniło się w skład używanych samochodów.

Jedyną dobrą stroną tych szokujących przeżyć było to, że dzięki niewiarygodnemu szczęściu (lub czyjemuś zamysłowi?) Margrethe za każdym razem była przy mnie. W pierwszym przypadku przyszła po mnie i czekała, aż szef obliczy mój czas pracy, a w drugim pracowała razem ze mną.

Kolejna zmiana pozbawiła nas noclegu, za który Margrethe zapłaciła już swoją pracą.

I właśnie to stanowiło powód, że byliśmy zmęczeni, głodni i brudni, a moja paranoja osiągnęła nowe szczyty.

Po przejściu kilkuset jardów natrafiliśmy na mały, śliczny strumyk - widok, który w Teksasie jest najmiłszą z niespodzianek.

Zatrzymaliśmy się na kładce zawieszanej ponad nim.

- Margrethe, czy chciałabyś w nim pobrodzić?

- Kochanie, mam zamiar zrobić więcej. Wykąpię się w nim.

- Hmm... przejdźmy pod płotem - pięćdziesiąt albo siedemdziesiąt pięć jardów wzdłuż strumienia.

Nie sądzę, żeby ktoś mógł nas tam zauważyć z drogi.

- Kochanie, jeśli mają ochotę, mogą się zebrać i bić mi brawo. Mam zamiar się wykąpać i... woda wygląda na czystą. Czy można jej się napić bez ryzyka?

- W górę od drogi? Na pewno. Narażaliśmy się na większe ryzyko każdego dnia, od chwili spotkania z górą lodową. Gdybyśmy jeszcze mieli coś do jedzenia... na przykład te twoje lody. A może wolałabyś jajecznicę?

Podniosłem dolny drut ogrodzenia, aby mogła się pod nim przeczołgać.

- Nie wystarczy ci baton „Oh Henry”?

- Wolałbym „Milky Way”, jeśli to możliwe.

- Obawiam się, że mamy tylko „Oh Henry”.

Podniosła drut nade mną.

- Lepiej przestańmy mówić o jedzeniu, którego nie mamy - odrzekłem.

Przepelźnąłem pod ogrodzeniem, wyprostowałem się i dodałem:

- Jestem gotów zjeść skunksa na surowo.

- Mamy jedzenie, mój drogi mężczyzno. Mam przy sobie jeden baton „Oh Henry”.

Zatrzymałem się natychmiast.

- Kobieto, jeśli to żart, zbiję cię.

- Nie żartuję.

- W Teksasie prawo zezwala na pouczanie żony za pomocą kija nie grubszego od kciuka. -

Uniosłem do góry swój kciuk. - Czy widzisz gdzieś odpowiedni kij?

- Znajdę go.

- Skąd masz ten baton?

- Z tej gospody, w której pan Facelii poczęstował nas kawą i pączkami.

Pan Facelii był kierowcą, który wiózł nas w samym środku nocy, tuż przed ciężarówką, z której

przed chwilą wysiedliśmy. Dwa małe pączki oraz cukier i śmietanka do kawy stanowiły jedyne kalorie, które spożyliśmy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

- Bicie może poczekać. Kobieto, jeśli go ukradłaś, powiedz mi o tym później. Naprawdę masz prawdziwy, pożywny baton „Oh Henry”? A może mam atak gorączki?

- Alec, czy naprawdę myślisz, że ukradłabym baton? Kupiłam go w automacie, podczas gdy poszedłeś z panem Facellim do toalety.

- W jaki sposób? Nie mamy żadnych pieniędzy z tego świata.

- Zgadza się. Miałam jednak w torebce dziesięciocentówkę sprzed dwóch zmian. Oczywiście to nie była dobra dziesięciocentówka, ściśle mówiąc, nie sądziłam jednak, żeby stało się coś złego, jeśli maszyna ją zaakceptuje. Tak też zrobiła. Schowałam jednak baton, zanim wróciliście... ponieważ nie miałam trzech dziesięciocentówek i nie mogłabym poczęstować pana Facelliego. Czy myślisz, że było to oszustwo - dodała niespokojnie - z tą dziesięciocentówką?

- To drobiazg, którego nie zamierzam roztrząsać... pod warunkiem, że podzielisz się ze mną owocem swej zbrodni... co uczyni mnie współwinnym. Hmm... najpierw jedzenie czy kąpiel?

Zaczęliśmy od jedzenia. Była to prawdziwa uczta, którą popiliśmy smaczną wodą ze strumienia. Następnie wykąпалиśmy się, śmiejąc się i pluskając wodą. Zapamiętałem to jako jeden z najszcześniejszych momentów mojego życia. Margrethe miała w swej torbie również mydło, a moja koszula posłużyła jako ręcznik. Najpierw wytarłem nią Margrethe, a później siebie. Suche ciepłe powietrze dopełniło reszty.

To, co wydarzyło się w chwilę później, było nieuniknione. Nigdy w życiu nie kochałem się na powietrzu, tym bardziej w dzień. Gdyby ktoś mnie o to zapytał, odpowiedziałbym, że byłoby to dla mnie psychicznie niemożliwe. Miałbym zbyt wiele zahamowań ze względu na nieprzyzwoitość tej sytuacji.

A teraz jestem uszczęśliwiony, że mogę wam powiedzieć, iż choć zdawałem sobie jasno sprawę z sytuacji, nie przejmowałem się wcale i nieźle sobie poradziłem... być może dzięki niepohamowanemu, zaraźliwemu entuzjazmowi Margrethe.

Podobnie, nigdy przedtem nie spałem nago na trawie. Sądzę, że przespaliśmy około godziny.

Gdy się obudziliśmy, Margrethe uparła się, że mnie ogoli. Trudno byłoby mi zrobić to samemu ze względu na brak lustra, ona jednak mogła to zrobić i zrobiła ze swą zwykłą sprawnością. Staliśmy po kolana w wodzie. Własnoręcznie pokryłem swą twarz mydlinami. Ona mnie goliła, a ja uzupełniałem w miarę potrzeby zapas piany.

- No - powiedziała wreszcie, całując mnie na koniec. - Może być. Oplucz się teraz. Nie zapomnij o uszach. Zaraz przyniosę ręcznik. To znaczy koszulę.

Wdrapała się na brzeg, kiedy ja pochyliłem się i oplukałem sobie twarz.

- Alec...

- Nie słyszę cię przez tę wodę.

- Chodź tu, kochanie!

Wyprostowałem się, wytarłem oczy z wody i rozejrzałem się wokół. Wszystko, co mieliśmy, zniknęło, poza moją maszynką do golenia.

*Pójdę na wschód: tam go nie ma;
na zachód - nie mogę rozpoznać.
Szukam na lewo: nie widzę.*

*Zwracam się w prawo: nie dojrzę.
Księga Hioba 23, 8 - 10*

- Co zrobiłeś z mydłem? - spytała Margrethe.

Odetchnąłem głęboko i wypuściłem głośno powietrze.

- Czy dobrze cię słyszałem? Pytasz mnie, co zrobiłem z mydłem?

- A co twoim zdaniem powinnam powiedzieć?

- Hmm... nie wiem. Na pewno nie to. Zdarzył się cud... a ty pytasz mnie o kawałek mydła.

- Alec, cud, który powtarza się raz za razem, nie jest już cudem, lecz utrapieniem. Co za dużo, to niezdrowo. Miałam ochotę krzyknąć, albo się rozpłakać, więc zapytałam cię o mydło.

Sam byłem na progu hysterii. To, co powiedziała, podziałało na mnie jak kubeł zimnej wody. Margrethe, która przechodziła przez góry lodowe i trzęsienia ziemi jak gdyby nigdy nic... miała ochotę krzyknąć?

- Przepraszam cię, kochanie. Miałem je już w ręku w chwili, gdy mnie goliłaś. Gdy obmywałem twarz, już go nie miałem. Musiałem je położyć na brzegu. Nie przypominam sobie. Czy to ma znaczenie?

- Chyba nie. Ale ta kostka mydła, której użyliśmy tylko raz, stanowiłaby połowę naszego majątku. Drugą połową jest twoja maszynka. Być może położyłeś ją na brzegu, lecz nigdzie jej nie widzę.

- A więc zniknęła. Marga, mamy ważniejsze sprawy do załatwienia, zanim zdążymy się pobrudzić na tyle, żeby znów potrzebować mydła, jedzenia, ubrania, dachu nad głową - wdrapałem się na brzeg - butów. Nie mamy butów. Co teraz zrobimy?

Zamurowało mnie. Gdyby tu była ściana płaczu, poszedłbym pod nią popłakać.

- Spokojnie, kochanie, tylko spokojnie.

- Czy mogę chociaż trochę pojęczeć?

Podeszła do mnie, wzięła mnie w ramiona i pocałowała.

- Możesz jęczeć, ile chcesz, kochanie. Pojęcz za nas oboje. Potem postanowimy, co mamy zrobić.

Nie potrafię być przygnębiony, kiedy Margrethe trzyma mnie w ramionach.

- Czy masz jakieś pomysły? Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to powrót na autostradę i próba złapania okazji... co w stanie, w jakim jesteśmy, nie pociąga mnie szczególnie. Nie mamy nawet listka figowego. Czy widzisz gdzieś drzewo figowe?

- Czy w Teksasie są drzewa figowe?

- W Teksasie jest wszystko. No to co robimy?

- Wracamy na autostradę i idziemy dalej piechotą.

- Na bosaka? Czy nie lepiej stać, wymachując kciukiem? Nie zajdziemy daleko na bosaka. Mam delikatne stopy.

- Stwardnieją ci. Alec, musimy iść dalej. To konieczne dla naszego morale. Jeśli z tego zrezygnujemy, czeka nas śmierć. Jestem tego pewna.

Po dziesięciu minutach szliśmy powoli autostradą na wschód. Nie była to jednak ta autostrada, z której zeszliliśmy. Były na niej cztery pasma, zamiast dwóch, z szerokim, pokrytym nawierzchnią poboczem. Płot oznaczający granicę drogi nie składał się już z trzech pasm drutu kolczastego, lecz ze

stalowych płyt sięgających na wysokość mojej głowy. Byłoby nam bardzo ciężko dostać się na drogę, gdyby nie strumień. Zanurzając się pod wodę i wstrzymując oddech, zdołaliśmy precyzyjnie się pod płotem.

Wskutek tego znowu staliśmy się śmiertelnie mokrzy (i to bez koszuli - ręcznika), lecz ciepłe powietrze zaradziło temu w kilka minut.

Na tej autostradzie ruch był znacznie większy niż na poprzedniej. Było więcej zarówno ciężarówek, jak i pojazdów, które wyglądały jak samochody osobowe. Wszystkie jechały szybko. Nie potrafiłem ocenić prędkości, lecz miałem wrażenie, że poruszają się przynajmniej dwa razy szybciej niż jakiegokolwiek znane mi pojazdy naziemne. Być może równie szybko jak transoceaniczne sterowce. Widzieliśmy wielkie pojazdy, które musiały być ciężarówkami, lecz przypominały raczej kolejowe wagony towarowe. Były nawet dłuższe. Gdy jednak przyjrzałem im się bliżej, stwierdziłem, iż każdy z nich składa się z przynajmniej trzech pojazdów połączonych ze sobą. Odkryłem to, gdy spróbowałem policzyć koła. Szesnaście na pojazd? Sześć dodatkowych w czymś w rodzaju lokomotywy z przodu, razem pięćdziesiąt cztery koła. Czy to możliwe? Te lewiatany poruszały się bezszelestnie, jeśli nie liczyć świstu powietrza oraz szumu opon trących o nawierzchnię. Mój profesor dynamiki z pewnością by to pochwalił.

Po najbliższym paśmie poruszały się mniejsze pojazdy, które uznałem za samochody osobowe, choć nie mogłem dostrzec w środku nikogo. Tam, gdzie powinny być, znajdowało się coś, co przypominało lustra lub wypolerowaną stal. Pojazdy te były długie i niskie, o kształtach opływowych jak sterowiec. Teraz dopiero dostrzegłem, że nie była to jedna autostrada, lecz dwie. Na paśmie bliższym nam odbywał się ruch w kierunku wschodnim, a na drugim - w odległości co najmniej stu jardów - pojazdy jechały na zachód. Jeszcze dalej stał płot, widoczny tylko od czasu do czasu, stanowiący północną granicę najszerszej autostrady, jaką kiedykolwiek widziałem.

Maszerowaliśmy z trudem brzegiem pobocza. Zacząłem mieć wątpliwości co do szansy złapania okazji. Nawet gdyby szofer mógł nas dostrzec (co nie było pewne), w jaki sposób zdąży zatrzymać się na tyle szybko, aby zabrać autostopowicza? Niemniej machałem ręką na każdy przejeżdżający samochód. Zachowałem swe wątpliwości dla siebie. Gdy maszerowaliśmy już przez przerażająco długi czas, samochód, który właśnie przed chwilą nas minął, zjechał na pobocze, zatrzymał się co najmniej ćwierć mili przed nami i cofnął w naszą stronę z prędkością, którą uważałbym za zbyt wielką przy jeździe do przodu. Pośpiesznie usunęliśmy się na bok.

Zatrzymał się tuż przy nas, lustrzana powierzchnia o szerokości jarda i nie mniejszej wysokości uniosła się w górę, jak drzwi do schronu burzowego. Ujrzelśmy wnętrza kabiny dla pasażerów. Prowadzący spojrzął na nas i uśmiechnął się:

- Nie mogę w to uwierzyć!

Spróbowałem również się uśmiechnąć.

- Sam w to nie wierzę. A jednak to fakt. Czy mógłby pan nas podwieźć?

- Niewykluczone.

Obejrzał Margrethe od stóp do głów.

- Hej, niezła z ciebie laleczka! Co się stało?

- Proszę pana, zgubiliśmy się - odparła Margrethe.

- To widać! Jak jednak daliście radę zgubić też ubranie? Porwano was, czy co? Nieważne, to może zaczekać. Jestem Jerry Farnsworth.

- Alec i Margrethe Graham - odparłem.

- Miło was poznać. Hmm, nie wyglądacie na uzbrojonych, z wyjątkiem tego przedmiotu w ręku pani Graham. Cóż to takiego?

Wyciągnęła rękę:

- Maszynka do golenia.

Wziął ją w dłoń, obejrzał i zwrócił Margrethe.

- Niech mnie diabli. Rzeczywiście. Ostatni raz widziałem coś takiego, kiedy byłem jeszcze za młody, żeby się golić. No cóż, nie widzę, w jaki sposób moglibyście mnie tym sterroryzować. Właźcie. Alec, usiądź na tylnym siedzeniu. Twoja siostra usiądzie przy mnie.

Dalszy fragment kadłuba podniósł się w górę.

- Dziękuję - odpowiedziałem myśląc gorzko, że żebracy nie mogą wybrzydzać. - Marga to nie moja siostra, lecz żona.

- Ty szczęściarzu! Nie masz nic przeciwko temu, żeby usiadła przy mnie?

- Jasne, że nie.

- Nawet gumowy dzwon zadzwieczałby pod wpływem tego tonu. Kochanie, lepiej się przesiądź do tyłu.

- Poprosił mnie pan, żebym usiadła z przodu, a mój mąż głośno wyraził swą zgodę.

Margrethe wśliznęła się na przednie siedzenie. Otworzyłem usta i zamknąłem je z powrotem, stwierdzając, że nie mam nic do powiedzenia. Wdrapałem się na tylne siedzenie i zauważyłem, że samochód był większy w środku niż na zewnątrz. Siedzenie było przestronne i wygodne. Drzwi zamknęły się. „Lustra” stały się teraz oknami.

- Muszę wprowadzić go z powrotem do ruchu - oświadczył nasz gospodarz - więc nie szarpacie się z polem bezpieczeństwa. Czasami ten powozik wierzga jak święty byk - sześć gees albo więcej. Nie, zaczekajcie sekundę. Dokąd jedziecie? - spojrzał na Margrethe.

- Do Kansas, panie Farnsworth.

- Mów mi Jerry, kochanie. Na golasa?

- Nie mamy ubrań, proszę pana. Straciliśmy je.

- Panie Farnsworth - dodałem - jesteśmy w rozpaczliwym położeniu. Straciliśmy wszystko. Tak, jedziemy do Kansas, ale najpierw musimy znaleźć gdzieś ubrania, nie wiem gdzie, może w Czerwonym Krzyżu. Muszę też znaleźć pracę i zarobić trochę pieniędzy. Potem wyruszymy do Kansas.

- Rozumiem. Tak mi się zdaje. Przynajmniej część. Jak chcecie się tam dostać?

- Miałem zamiar jechać prosto do Oklahoma City, a potem skierować się na północ, trzymając się głównych autostrad, ponieważ jedziemy autostopem.

- Alec, naprawdę się zgubiłeś. Widzisz ten płot? Czy wiesz, jaka kara grozi piechurom złapanym na obszarze nim ogrodzonym?

- Nie, nie wiem.

- Błogosławiona ignorancja. Lepiej trzymaj się małych bocznych dróg, gdzie autostop jest nadal dozwolony, a przynajmniej tolerowany. Jeśli jedziecie do Oke City, mogę was podwieźć. Trzymajcie się.

Zrobił coś z tablicą rozdzielczą przed sobą. Nie wziął w ręce kierownicy, ponieważ nie było tam kierownicy, a jedynie dwa uchwyty. Samochód zawibrował lekko, po czym skoczył na bok. Poczułem się, jakbym wpadł w miękką papkę. Skóra zaświerzbiła mnie pod wpływem ładunków elektrycznych. Samochód kołysał się jak mała łódka na wzburzonych falach, lecz ta „miękka papka” chroniła mnie przed potłuczeniami. Nagle wszystko się uspokoiło. Pozostała jedynie słaba wibracja. Krajobraz za oknem popędził do tyłu.

- A teraz - powiedział pan Farnsworth - opowiedzcie mi wszystko.

- Margrethe?

- Oczywiście, najdroższy. Musisz to zrobić.

- Jerry... pochodzimy z innego świata.

- No nie! - jęknął. - Tylko nie następny latający talerz. To już czwarty w tym tygodniu! Czy to pragniesz mi powiedzieć?

- Nie, nie. Nigdy nie widziałem latającego talerza. Jesteśmy z Ziemi... ale innej. Podróżowaliśmy autostopem po autostradzie 66, starając się dotrzeć do Kansas...

- Poczekaj chwilkę. Powiedziałeś „sześćdziesiąt sześć”?

- Oczywiście.

- Tak nazywano tę drogę, zanim została przebudowana. Nie używa się już innej nazwy niż „Międzystanowa Czterdzieści” od... hmm... ponad czterdziestu lat, może pięćdziesięciu. Hej, może jesteście podróżnikami w czasie?

- Który teraz jest rok? - zapytałem.

- Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty czwarty.

- U nas też. Środa, osiemnasty maja. Przynajmniej tak było dziś rano, przed zmianą.

- Nadal tak jest. Jednak... posłuchaj, tak do niczego nie dojdziemy. Zaczynij od początku, jakkolwiek był i opowiedz mi, jak znaleźliście się na drodze, zupełnie nadzy.

Opowiedziałem mu.

W końcu odezwał się:

- Ten dół z ogniem. Czy się w nim nie poparzyłeś?

- Jeden mały pęcherzyk.

- Tylko tyle? Myślę, że mógłbyś bezpiecznie pójść do piekła.

- Posłuchaj, Jerry. Ludzie naprawdę chodzą po rozżarzonych węglach.

- Wiem o tym. Widziałem to na Nowej Gwinei. Nigdy jednak nie miałem ochoty spróbować samemu. Ta góra lodowa - coś mnie tu dziwi. Jak to możliwe, żeby góra lodowa uderzyła w bok statku? Taka góra zawsze leży nieruchomo w wodzie. Rzecz jasna statek może na nią wpaść, ale tylko dziobem. Mam rację?

- Margrethe?

- Nie wiem, Alec. Wydaje mi się, że Jerry ma rację. Niemniej jednak to się zdarzyło.

- Też nie wiem, Jerry, jak? Byliśmy w kabinie w przedniej części statku. Być może cały dziób został zmiądzony. Jeśli jednak Marga nie wie, jak to się stało, ja z pewnością nie mogę nic tu dodać, ponieważ wyrznąłem się w łeb i zgasłem jak świeczka. Marga utrzymała mnie na powierzchni wody, opowiadałem ci.

Farnsworth spojrział na mnie w zamyśleniu. Odwrócił swoje siedzenie tak, aby w czasie mojej opowieści siedzieć twarzą do nas. Pokazał Margrethe, jak odblokować fotel, aby także mogła się obrócić, dzięki czemu zasiedliśmy wszyscy troje w intymnym kręgu konwersacyjnym, stykając się niemal kolanami. Wskutek tego Farnsworth siedział tyłem do kierunku, w którym jechaliśmy.

- Alec, co się stało z tym Hergensheimerem?

- Może nie wyraziłem się jasno. Ale i dla mnie samego to również nie jest w pełni jasne. To Graham zniknął. Jestem Hergensheimer. Gdy przeszedłem przez ogień i znalazłem się w innym świecie, zająłem w nim miejsce Grahama, jak już mówiłem. Wszyscy zwracali się do mnie jak do niego i wydawali się sądzić, że jestem nim. Sam Graham zniknął. Myślę, że można powiedzieć, iż mi się udało... ale znalazłem się tysiące mil od domu bez pieniędzy i bez biletu w miejscu, gdzie nikt nigdy nie słyszał o Alexandrze Hergensheimerze - wzruszyłem ramionami rozpościerając bezradnie ręce. - Zgrzeszyłem. Nosiłem jego ubranie. Jadłem przy jego stole. Odpowiadałem, gdy zwracano się do mnie jego nazwiskiem.

- Wciąż tego nie kapuję. Może jesteś na tyle podobny do Grahama, żeby oszukać niemal wszystkich... ale twoja żona powinna dostrzec różnicę. Margie?

Margrethe spojrzała mi w oczy ze smutkiem i miłością i odpowiedziała zdecydowanie:

- Jerry, mój mąż cierpi na dziwny przypadek amnezji. On jest Alekiem Grahamem. Alexander Hergensheimer nie istnieje. Nigdy go nie było.

Zaniemówiłem. To prawda, że Margrethe i ja nie rozmawialiśmy na ten temat od tygodni, a ona nigdy nie przyznała jasno, że nie jestem Alekiem Grahamem. Dowiedziałem się znowu (który to już raz!), że nigdy nie można wygrać sporu z Margrethe. Ilekroć wydawało mi się, że to osiągnąłem, tylekroć okazywało się, że moja żona po prostu zamknęła usta.

Farnsworth zwrócił się do mnie:

- Może to z powodu uderzenia w głowę, Alec?

- Posłuchaj, to uderzenie to nie było nic poważnego. Parę minut nieświadomości i na tym koniec. Nie mam żadnych luk w pamięci. Poza tym zdarzyło się to w dwa tygodnie po przejściu przez ogień. Jerry, moja żona jest wspaniałą kobietą... ale nie mogę się z nią zgodzić w tej sprawie. Chcę wierzyć, że jestem Alekiem Grahamem, ponieważ zakochała się w nim, zanim jeszcze mnie spotkała. Wierzy w to, ponieważ chce w to wierzyć. A jednak, rzecz jasna, wiem, kim jestem - Hergensheimerem. Przyznaję, że amnezja może mieć pewne dziwaczne efekty... ale istniała jedna wskazówka, której nie mogłem sfałszować, i która wskazuje jednoznacznie, że ja, Alexander Hergensheimer, nie jestem Alekiem Grahamem. - Poklepałem się po brzuchu. - Oto dowód. Mówiłem ci, że nosiłem ubranie Grahama. Lecz nie pasowało ono na mnie w sposób doskonały. W chwili gdy przechodziłem przez ogień, byłem raczej ciężki. Miałem nadwagę. Za dużo tutaj - ponownie poklepałem się po brzuchu. - Ubrania Grahama były na mnie zbyt ciasne w pasie. Musiałem wypuszczać powietrze i wstrzymywać oddech, aby wcisnąć się w każdą z par jego spodni. To nie mogło się zdarzyć w mgnieniu oka, podczas przejścia przez ogień. Nie ma wątpliwości. Dwa tygodnie dobrego jedzenia na statku wycieczkowym uwypukliło ten brzusek... dowód na to, że nie jestem Alekiem Grahamem.

Margrethe nie tylko milczała, lecz również jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Lecz Farnsworth nalegał:

- Margie?

- Alec, zanim jeszcze przeszedłeś przez ogień, miałeś dokładnie te same kłopoty ze swoim ubraniem. Z tego samego powodu. Zbyt wielki z ciebie łakomeczuch. - Uśmiechnęła się. - Przykro mi, że się z tobą nie zgadzam, kochany, ale cieszę się bardzo, że ty to ty.

- Alec, wielu mężczyzn przeszłoby przez ogień, aby sprawić, żeby kobieta spojrzała na nich w ten sposób choćby jeden raz - stwierdził Jerry. - Posłuchaj, kiedy już dotrzesz do Kansas, zgłoś się do psychiatry. On pomoże ci wyjść z tej amnezji. Nikt nie może wmówić kobiecie, że jest jej mężem. Jeśli mieszkała z nim, spała, robiła mu lewatywy i wysłuchiwała jego dowcipów, zamiana jest niemożliwa, niezależnie od tego, jak bardzo sobowtór go przypomina. Nawet bliźniak jednojajowy nigdy tego nie dokona. Jest tyle drobnych szczegółów, o których żona wie, a obcy nigdy ich nie widzą.

- Marga, odpowiedz mu - powiedziałem.

- Jerry, mój mąż chciał powiedzieć, że muszę, częściowo, sama obalić twoje twierdzenia. W tym czasie nie znałam jeszcze Aleca tak dobrze, jak żona zna męża. Nie byłam wtedy jego żoną, lecz kochanką, i to dopiero od kilku dni - uśmiechnęła się. - W zasadzie jednak masz rację. Rozpoznałam go.

Farnsworth zmarszczył brwi:

- Znowu straciłem orientację. Mówimy albo o jednym mężczyźnie, albo o dwóch. Ten Alexander Hergensheimer.

Alec, opowiedz mi o nim.

- Jestem protestanckim duchownym, Jerry, wyświęconym w Chrześcijańskim Kościele Jedynej Prawdy - Bracia Apokalipsy. Potocznie nazywają nas Bractwem Apokalipsy. Urodziłem się na farmie mojego dziadka w pobliżu Wichita dwudziestego drugiego maja...

- Hej, to w tym tygodniu masz urodziny! - zauważył Jerry.

Marga przysłuchiwała się uważnie.

- Rzeczywiście. Byłem zbyt zajęty, aby o tym pomyśleć... w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym. Moi rodzice i dziadkowie nie żyją. Mój najstarszy brat nadal pracuje na rodzinnej farmie...

- To dlatego jedziesz do Kansas? Żeby odnaleźć brata?

- Nie. Ta farma jest w innym świecie. Tam, gdzie się wychowałem.

- W takim razie po co tam jedziesz?

Minęło trochę czasu, zanim udzieliłem odpowiedzi:

- Nie mam na to logicznej odpowiedzi. Być może to instynkt powrotu do gniazda. Albo coś takiego jak u koni, które wracają do płonącej stajni. Nie potrafię ci odpowiedzieć, Jerry. Muszę jednak tam wrócić i spróbować odszukać moje korzenie.

- To jest powód, który mogę zrozumieć. Wal dalej!

Opowiedziałem mu o swojej nauce, nie ukrywając faktu, że zawałem studia inżynierskie. Opowiedziałem mu, jak przeniosłem się do seminarium, zostałem wyświęcony i związałem się z towarzystwem Kościoła Zjednoczone na rzecz Obyczajności. Nie wspominałem o Abigail ani o tym, że nie odniosłem wielkich sukcesów w swej owczarni, głównie (moim zdaniem) ze względu na to, że Abigail pogardzała ludźmi, a moi parafianie nie lubili jej. Nie sposób podać w krótkiej biografii wszystkich szczegółów, pozostaje jednak faktem, iż nie mogłem wspomnieć o Abigail, nie poddając w wątpliwość prawomocności mojego związku z Margrethe... a tego nie mogłem uczynić.

- To mniej więcej wszystko. Gdybyśmy byli w moim rodzinnym świecie, mógłbyś zadzwonić do dyrekcji naszego towarzystwa w Kansas City i sprawdzić to wszystko. Ostatni rok przyniósł nam wiele sukcesów, mogłem więc udać się na urlop. Poleciałem sterowcem „Graf von Zeppelin” należącym do „North American Airlines” z Kansas City do San Francisco, a następnie do Hilo i na Tahiti, gdzie wsiadłem na MV „Kunge Knut”, i to byłby już koniec, ponieważ resztę już znasz.

- To brzmi autentycznie. Czy zostałeś ponownie narodzony?

- No, jasne! Obawiam się, że w tej chwili nie znajduję się w stanie łaski... pracuję jednak nad tym. Bracie, żyjemy w dniach ostatnich. Sprawa jest pilna. Czy ty zostałeś powtórnie narodzony?

- Porozmawiamy o tym później. Jak brzmi drugie prawo termodynamiki?

Skrzywiłem twarz:

- Entropia zawsze wzrasta. Na tym się rozłożyłem.

- A teraz opowiedz mi o Alecu Grahamie.

- Niewiele mogę o nim powiedzieć. Z paszportu wynikało, że urodził się w Teksasie. Jako adres podał kancelarię adwokacką w Dallas. O resztę lepiej zapytaj Margrethe. Ona go знаła. Ja nie. (Nie wspominałem o tym kłopotliwym milionie dolarów. Nie potrafiłem tego wyjaśnić... więc przemilczałem to... a Marga wiedziała o tym tylko ode mnie. Nigdy nie widziała tych pieniędzy na oczy).

- Margie? Co możesz nam powiedzieć o Alecu Grahamie?

Minęło trochę czasu, zanim się odezwała.

- Obawiam się, że nie mogę dodać nic do tego, co powiedział mój mąż.

- Ejże! Rozczarowałaś mnie. Twój mąż dostarczył szczegółowego opisu doktora Jekylla. Czy nie potrafisz opisać nam pana Hyde'a? Jak dotąd nie wiemy nic. Adres w Dallas i na tym koniec.

- Panie Farnswort, jestem pewna, że nigdy nie był pan stewardesą na statku pasażerskim...

- Nigdy w życiu. Byłem jednak stewardem na frachtowcu. Dwa rejsy we wczesnej młodości.

- Więc może pan to zrozumieć. Stewardesa wie mnóstwo rzeczy o swoich pasażerach. Wie, jak często się kąpią. Jak często zmieniają bieliznę. Zna ich zapach - każdy ma jakiś zapach - niektórzy ładny, inni nie. Wie, jakie książki czytają, jeśli je czytają. Z reguły wie, czy są oni prawdziwymi dżentelmenami - uczciwymi, hojnymi, miłymi i uprzejmymi. Wie wszystko, co trzeba wiedzieć, aby ocenić wartość człowieka. Może jednak nie znać zawodu pasażera, nie wiedzieć, z jakiego miasta pochodzi, jakie ma wykształcenie i wielu innych szczegółów, które znałby jego przyjaciel. W dniu przejścia przez ogień byłam już stewardesą Aleca Grahama od czterech tygodni. Przez ostatnie dwa z tych tygodni byłam jego kochanką i byłam w nim zakochana po uszy. Po przejściu przez ogień musiało upłynąć wiele dni, zanim jego amnezja pozwoliła na wznowienie naszych intymnych stosunków. Potem jednak doszło do tego i znów byłam szczęśliwa. Jestem jego żoną od czterech miesięcy, które, mimo licznych przeciwności, były najszczęśliwszym okresem mojego życia. Nadal tak jest i mam nadzieję, że już na zawsze. To wszystko, co wiem o moim mężu Alecu Grahamie.

Uśmiechnęła się do mnie. Oczy zaszyły jej łzami. Poczulem, że moje również.

Jerry westchnął i potrząsnął głową:

- Tu potrzeba by Salomona, a nim nie jestem. Wierzę w obie wasze opowieści, ale jedna z wersji musi być fałszywa. Nic nie szkodzi. Moja żona i ja praktykujemy muzułmańską gościnność. Nauczyłem się tego podczas ostatniej wojny. Czy skorzystacie z naszej gościnności na czas nocy lub dwóch? Lepiej odpowiedzcie „tak”.

Marga spojrzała na mnie.

- Tak! - zawołałem.

- Świetnie. Sprawdźmy teraz, czy głowa domu jest na miejscu.

Odwrócił się z powrotem do tablicy rozdzielczej, dotknął czegoś i po paru chwilach zapaliło się światło i zabrzączał pojedynczy sygnał. Jego twarz rozchmurzyła się.

- Księżno, to twój ulubiony mąż - oznajmił.

- Och, Ronny, to już tyle czasu.

- Nie, nie. Zgaduj jeszcze raz.

- Albert? Tony? George? Andy, Jim...

- Został ci jeszcze jeden strzał. Mam ze sobą towarzystwo.

- Słucham, Jerry?

- Zostaną na obiad i na noc. Być może dłużej.

- Tak jest, kochanie. Ilu ich jest, jakiej płci i kiedy będziecie w domu?

- Poczekaj. Zapytam Huberta.

Ponownie czegoś dotknął.

- Hubert mówi, że za dwadzieścia siedem minut. Dwoje gości. Ta, która siedzi przy mnie, ma może około dwudziestu trzech lat, długie, faliste blond włosy, ciemnoniebieskie oczy, wzrost około pięciu stóp siedmiu cali, waga około stu dwudziestu. Innych danych nie sprawdzałem, ale są podobne jak u naszej córki. Płeć żeńska. Jestem tego pewien, ponieważ nie ma na sobie absolutnie nic.

- Tak jest, kochanie. Wydrapię jej za to oczy. Oczywiście po tym, jak poczęstuję ją obiadem.

- Świetnie. Jest niegroźna, ponieważ jej mąż jest z nią i przygląda się jej bardzo uważnie. Czy powiedziałem ci, że on też jest nagi?

- Nie powiedziałaś. To bardzo interesujące.

- Czy chcesz poznać również jego wymiary? A jeśli tak, to w spoczynku czy we wzwodzie?

- Mój drogi, jesteś stary świntuch. Mówię to z przyjemnością, ale przestań zawstydzać swoich gości.

- W mojej metodzie jest szaleństwo, księżno. Są nadzy, bo nie mają nic do ubrania. Podejrzewam jednak, że łatwo ich zawstydzić. Wyjdź więc nam na spotkanie z ubraniem. Znasz już jej wymiary poza... Margie, pokaż mi stopę. - Margrethe bez komentarza uniosła stopę do góry. Pomacał ją. - Para twoich sandałów będzie w sam raz. Dla niego „zapatos”. Moje.

- A jego inne wymiary? Tylko bez wygłupów.

- Jest mniej więcej mojego wzrostu i podobnej szerokości w ramionach, ale ja jestem co najmniej o dwadzieścia funtów cięższy. Daj więc coś z moich szczuplejszych rzeczy. Jeśli Sybil znowu naspraszala swoich młodych barbarzyńców, użyj, proszę, wszelkich środków, aby trzymać ich z dala od bramy. To są dobrze wychowani ludzie. Przedstawimy ich, gdy się już ubiorą.

- Niech tak się stanie, mój kapitanie. Pora jednak, żebyś przedstawił ich mnie.

- Mea culpa. Kochanie, to jest Margrethe Graham, żona Aleca Grahama.

- Cześć, Margrethe. Witaj w naszym domu.

- Dziękuję, pani Farnsworth.

- Katherine, kochanie. Albo Kate.

- Katherine, trudno mi wyjaśnić, jak bardzo nam pomogliście... W tej strasznej sytuacji!

Moja ukochana zaczęła płakać. Po chwili przerwała:

- A to jest mój mąż, Alec Graham.

- Bardzo mi miło, pani Farnsworth. Dziękuję pani.

- Alec, sprowadź tu zaraz tę dziewczynę. Chcę się z nią przywitać. Z tobą też.

Jerry wtrącił się:

- Hubert mówi dwadzieścia dwie minuty, księżno.

- Hasta la vista. Wyłącz się. Muszę się wziąć do roboty.

- Koniec.

Jerry ponownie odwrócił swój fotel.

- Kate znajdzie dla ciebie coś ładnego, Margie... choć w twoim przypadku to chyba jest regułą.

Czy zmarzłaś? Przez to gadanie w ogóle o tym zapomniałem. Utrzymuję w tym powozie chłodną temperaturę, żeby mi było wygodnie w ubraniu, ale Hubert w każdej chwili może to zmienić.

- Pochodzę z Wikingów, Jerry. Nigdy nie marznę. W większości pomieszczeń jest dla mnie zbyt ciepło.

- A co z tobą, Alec?

- Mogę wytrzymać - odparłem.

Było to tylko drobne kłamstwo.

- Myślę... - zaczął - gdy niebiosa rozstąpiły się i rozblęskło niewyobrażalnie jasne światło, jaśniejsze od słońca.

Schwycił mnie nagły żal, gdy pojąłem, że nie udało mi się poprowadzić mojej ukochanej z powrotem ku łasce.

Szatan na to do Jahwe:

„Więc bez oglądania się na zapłatę Hiob czci Boga?”.

Księga Hioba 1, 9

Czy głębin Boga dosięgniesz,

dotrzesz do Wszechmocnego tajników?

Księga Hioba 11, 7

Oczekiwałem na głos z mieszanymi uczuciami. Czy pragnąłem zostać uniesiony? Czy byłem gotów znaleźć się w kochających ramionach Jezusa? Tak, Panie. Tak! Bez Margrethe? O, nie! Więc pragniesz zostać wrzucony do czeluści? Tak - nie, ale... Zdecyduj się!

Pan Farnsworth spojrział w górę.

- Poleciał, skubaniec!

Popatrzyłem w górę przez dach samochodu. Wprost nad nami znajdowało się drugie słońce. W miarę jak na nie patrzyłem, zdawało się kurczyć i świecić coraz słabiej.

Pan Farnsworth nie milknął:

- Rychło w czas! Wczoraj było opóźnienie, minęliśmy okno i musieliśmy zaczynać od nowa. Kiedy siedzisz na stanowisku i wodór atomowy paruje, odpuszczenie nawet jednej orbity może zezreć cały twój zysk. Żeby chociaż wczoraj naprawdę skisło, ale nie. To była całkiem bezsensowna kontrola, zlecona przez jakiegoś dupka z Nasa. Tego się można było spodziewać.

Zdawało się, że mówi po angielsku.

- Panie Farnsworth, Jerry, co to było? - zapytała Margrethe bez tchu w piersiach.

- Hę? Nigdy nie widzieliście odpalenia?

- Nie wiem nawet, co to jest odpalenie.

- Hmm... no tak. Margie, fakt, że ty i Alec pochodzicie z innego świata, czy światów, nie przebił się jeszcze przez moją czaszkę. Czy w waszym świecie nie ma astronautyki?

- Nie jestem pewna, o co ci chodzi, ale chyba nie.

Byłem niemal pewien, że wiem, co miał na myśli, wtrąciłem się więc:

- Jerry, mówisz o lotach na Księżyc, prawda? Jak u Juliusza Verne?

- Tak. Mniej więcej.

- Więc to był statek kosmiczny? Lecący na Księżyc? Niech mnie diabli!

Błuznierstwo wymknęło mi się mimochodem.

- Spokojnie. To nie był statek kosmiczny, tylko bezzałogowa rakieta towarowa. Nie leciała na Lunę, tylko do Leo, na niskiej orbicie wokołoziemskiej. Później wraca, spada w okolicy Galveston, stamtąd przewożą ją do New Texas Port, skąd w przyszłym tygodniu odpalą ją ponownie. Niemniej część towarów, które zabiera, dotrze do Luna City, albo do Tycho Under - a niektóre może nawet do planetoid. Jasne?

- Hmm. Niezupełnie.

- No więc podczas drugiej kadencji Kennedy'ego.

- Kogo?

- John F. Kennedy, prezydent w latach tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt jeden do sześćdziesiąt dziewięć.

- Niestety. Będę musiał po raz kolejny nauczyć się historii. Jerry, największą trudnością dla wędrowca pomiędzy światami nie jest nieznaną techniką, jak telewizja czy odrzutowce, a nawet

podróże kosmiczne, lecz nieznaną historią.

- Gdy dotrzemy do domu, znajdę dla ciebie książki z historii Ameryki i historii lotów kosmicznych. Tam ich pełno. Siedzę po uszy w przemyśle kosmicznym. Już jako dzieciak budowałem modele rakiet. W tej chwili oprócz „Diana Freight Lines” mam też akcje „Jacob’s Ladder” i „Beanstalk”. Na razie to zamrożone pieniądze, ale... - Musiał dostrzec wyraz mojej twarzy. - Przepraszam. Przejrzysz książki, które dla ciebie wygrzebię, to porozmawiamy.

Farnsworth spojrzął ponownie na swą tablicę rozdzielczą, wcisnął coś, przyjrzał się jej po raz drugi i znowu coś wcisnął.

- Hubert mówi, że usłyszymy odgłos za trzy minuty i dwadzieścia jeden sekund - oznajmił.

Gdy dźwięk dotarł do nas, poczułem rozczarowanie. Oczekiwałem huku dorównującego tej niewiarygodnej jasności. Zamiast tego usłyszałem łoskot, który ciągnął się i ciągnął, aż wreszcie ucichł bez wyraźnego końca.

Po kilku minutach nasz samochód zjechał z autostrady, zataczając wielki krąg w prawą stronę, po czym zjechał do tunelu pod autostradę, z którego wyjechał na drugą, mniejszą. Jechaliśmy (jak zauważyłem, była to autostrada 83) przez mniej więcej pięć minut, po czym usłyszeliśmy powtarzający się urywany sygnał, któremu towarzyszył błysk światła.

- Słyszę cię - powiedział pan Farnsworth. - Wstrzymaj się sekundkę.

Obrócił swój fotel w przód i ujął w ręce dwa uchwyty. Przez następne kilka minut działy się rzeczy interesujące. Przypomniało mi się coś, co mędrzec powiedział Hannibalowi: „Gdyby nie był to zaszczyt, wolałbym iść na piechotę”. Pan Farnsworth uważał najwyraźniej, że uniknięcie zderzenia o więcej niż milimetr jest niesportowe. Raz za razem ta „miękka papka” ratowała nas od potłuczenia lub nawet połamania kości. W pewnej chwili sygnał odezwał się głośnym „Bi-bi-bi-bip!”, lecz Farnsworth warknął w odpowiedzi:

- Przymknij się. Pilnuj własnego nosa, ja przypilnuję swojego. - Po czym po raz kolejny cudem uniknął zderzenia.

Skręciliśmy w wąską drogę, jak sądziłem prywatną, ponieważ wjeżdżało się na nią pod łukiem, na którym widniał napis: „USTRONIE FARNSWORTH”. Podjechaliśmy nieco pod górę. Na szczycie, skryta wśród drzew, znajdowała się wysoka brama, którą straciliśmy z oczu, gdy się do niej zbliżyliśmy.

Tam spotkaliśmy Katie Farnsworth.

Jeśli przeczytaliście już tak długi fragment tego pamiętnika, wiecie, że jestem zakochany w swojej żonie. To jest fakt niezmienny, jak prędkość światła, jak miłość Boga Ojca. Dowiedźcie się więc, iż odkryłem, że mogę kochać inną osobę, kobietę, nie umniejszając w niczym mojej miłości do Margrethe, nie pragnąc odebrać jej prawowitemu małżonkowi, ani nawet nie pragnąc jej posiadać. Przynajmniej niezbyt mocno.

Poznając ją, zrozumiałem, że pięć stóp i dwa cale to najlepszy wzrost dla kobiety, czterdzieści lat najwspanialszy wiek, a sto dziesięć funtów stanowi najodpowiedniejszą wagę, podobnie jak kontrakt jest dla kobiety najwłaściwszym głosem. Fakt, że moja ukochana nie posiadała żadnej z tych cech, nie był istotny. Katie Farnsworth sprawia, że są one najodpowiedniejsze dla niej, ponieważ jest zadowolona z tego, co ma. Już na starcie zdumiała mnie najbardziej wielkodusznym przejawem gościnności, jaki kiedykolwiek spotkałem.

Wiedziała od swojego męża, że nie mieliśmy nic na sobie. Wiedziała także, iż sądził, że byliśmy z tego powodu zawstydzeni. Przyniosła więc dla nas ubrania.

A sama była naga.

Nie, to nieprawda. Ja byłem nagi, ona była nie ubrana. Nie, to też nieodpowiednie określenie.

Obnażona? Odsłonięta?

Nie - była ubrana we własne piękno, jak Pramatka Ewa przed upadkiem. W jej wydaniu wydawało się to tak całkowicie na miejscu, iż zadałem sobie pytanie, jak mogłem kiedykolwiek ulec złudzeniu, że brak ubrania równa się obsceniczości.

Drzwi w kształcie muszli otworzyły się. Wszedłem na zewnątrz i pomogłem wsiąść Margrethe. Pani Farnsworth upuściła na ziemię to, co przyniosła, objęła moją żonę i pocałowała ją.

- Margrethe. Witaj, kochanie.

Moja najdroższa objęła ją i ponownie zaczęła pociągać nosem.

Następnie pani Farnsworth wyciągnęła rękę do mnie.

- Pana też witam, panie Graham. Alec.

Ująłem jej dłoń, lecz nie uściśnałem jej, ale pochyliłem się nad nią, trzymając ją delikatnie jak cenny przedmiot z porcelany. Miałem wrażenie, że powinienem ją ucałować, ale nikt mnie nie nauczył, jak to się robi.

Pani Farnsworth przyniosła dla Margrethe letnią sukienkę w kolorze jej oczu. Styl tego stroju przywodził na myśl Arkadię z mitów. Można było sobie wyobrazić, że nosiła ją leśna nimfa. Była zawieszona na lewym ramieniu, po prawej stronie rozcięta aż do dołu, lecz w pasie miała sporą zakładkę. Ten prosty strój po obu stronach kończył się długą szarfą. Jeden z jej końców można było przeciągnąć przez sprzączkę, co pozwalało owinać oba wokół talii Margi, a następnie zawiązać je po jej prawej stronie.

Przyszło mi do głowy, że był to strój, który pasował na każdego. Mógł być noszony jako luźny lub obcisły, niezależnie od figury, lecz od tego, jak go zawiązano. Katie przygotowała też dla Margi niebieskie sandały pasujące kolorem do sukienki. Dla mnie przyniosła meksykańskie sandały - „zapatos” - otwarte obuwie z kawałków rzemieni. Mogły one - podobnie jak suknia Margi - pasować niemal na każdego, zależnie od tego, jak je zawiązano. Wręczyła mi też spodnie i koszulę, na pierwszy rzut oka podobne do tych, które nabyliśmy w Winslow w „Używanych ciuchach”. Były one jednak szyte na zamówienie, z czystej wełny, a nie produkowane masowo, z taniej bawełny. Miała też skarpetki, które dopasowały się do moich stóp oraz szorty z dzianiny, chyba odpowiednich rozmiarów.

Gdy już nas odziała, na trawie wciąż pozostało ubranie - należące do niej. Zrozumiałem wtedy, że podeszła do bramy ubrana, rozebrała się na miejscu i czekała na nas „ubrana” podobnie jak my.

To się nazywa uprzejmość.

Ubrawszy się weszliśmy wszyscy do samochodu. Pan Farnsworth odczekał chwilę, zanim ruszył.

- Katie, nasi goście to chrześcijanie.

Pani Farnsworth wyglądała na zachwyconą.

- Och, to bardzo interesujące!

- Tak też myślałem. Alec? Zapamiętaj sobie. W tej okolicy nie ma wielu chrześcijan. Przy mnie i Katie możesz mówić swobodnie... ale gdy w pobliżu będzie ktoś inny, byłoby lepiej, gdybyś nie wyrażał głośno swoich przekonań. Rozumiesz?

- Hmm. Obawiam się, że nie.

W głowie mi się kręciło. Odczuwałem też dzwonienie w uszach.

- No więc... chrześcijaństwo nie jest tu zabronione. W Teksasie panuje swoboda religijna. Niemniej chrześcijanie bynajmniej nie są tu lubiani i ich religia ma z reguły charakter podziemny. Hmm... jeśli chcecie się skontaktować ze swoimi współwyznawcami, to myślę, że moglibyśmy odszukać katakumbę. Jak sądzisz, Katie?

- Och, na pewno można by znaleźć kogoś, kto ma dojście. Mogę wypuścić czujki.

- Tylko, jeśli Alec sobie tego życzy, kochanie. Alec, nie grozi ci, że zostaniesz ukamienowany. To nie jest jakaś zacofana wiocha. Nie zagraża ci poważne niebezpieczeństwo, nie chciałbym jednak, żebyś spotkał się z dyskryminacją lub obelgami.

- Sybil - powiedziała Katie Farnsworth.

- Ojej! Tak jest. Alec, nasza córka jest dobrą dziewczyną i jest na tyle kulturalna, na ile można tego oczekiwać od nastolatki. Jest jednak początkującą czarownicą, świeżo nawróconą na Starą Wiarę i zarówno jako neofitka, jak i nastolatka, traktuje to ze śmiertelną powagą. Sybil nie będzie nieuprzejma dla gości. Katie dobrze ją wychowała, a poza tym wie, że obdarłbym ją żywcem ze skóry. Zrobiłbyś mi jednak przysługę, gdybyś nie narażał jej na zbyt wielki stres. Jak z pewnością wiesz, każdy nastolatek to bomba zegarowa, gotowa wybuchnąć w każdej chwili.

- Będziemy bardzo ostrożni - oświadczyła Margrethe w moim imieniu. - Czy ta „Stara Wiara” to kult Odyna?

Poczułem dreszcz... tego zaczynało już być za dużo. Ale nasz gospodarz zaprzeczył:

- Nie sądzę, aby tak było. Możesz zapytać Sybil, jeśli jesteś gotowa narazić się na zagadanie na śmierć. Będzie próbowała cię nawrócić. Jest bardzo zaangażowana.

Katie Farnsworth dodała:

- Nigdy nie słyszałam, żeby Sybil wspominała o Odynie.

Najczęściej mówi o Bogini. Czy druidzi nie wierzyli w Odyna? Naprawdę nie wiem. Obawiam się, że Sybil uważa nas za tak beznadziejnie zacofanych, że nawet nie zada sobie trudu, aby z nami rozmawiać o teologii.

- Więc my też o niej nie mówmy - odezwał się Jerry, włączając silnik.

Rezydencja Farnsworthów była długa, niska i chaotycznie zaplanowana. Czuło się w niej posmak rozleniwiającego dostatku. Jerry otworzył przed nami swoje „portecochere”. Wysiedliśmy wszyscy. Poklepał dach swojego samochodu tak, jak klepie się konia. Pojazd odjechał sam, kryjąc się za rogiem budynku. Weszliśmy do środka. Nie będę opisywał ich domu, choć był piękny i urządzony bogato, jak to w Teksasie, ponieważ jego wygląd zmieniał się zbyt często, aby warto było to robić. Większość z tego, co widzieliśmy, stanowiły - jak mówił Jerry - „hologramy”. Jak mógłbym je opisać? Utrwalone sny? Trójwymiarowe obrazy? Powiem to tak - krzesła były prawdziwe. Podobnie blaty stołów. Co do reszty sprzętów w tym domu, lepiej było dotykać ich ostrożnie, aby się upewnić, czy są rzeczywiste, ponieważ mogły być równie piękne jak tęcza... i równie niematerialne.

Nie wiem, w jaki sposób produkowano te zjawy. Mam wrażenie, że w tym świecie obowiązywały nieco inne prawa fizyki niż w Kansas w czasach mojej młodości.

Katie zaprowadziła nas do pomieszczenia, które Jerry nazywał „pokojem rodzinnym”. Jerry zatrzymał się jak wryty.

- To cholerne hinduskie kurestwo!

Był to bardzo wielki pokój, którego sufit wydawał się znajdować na wysokości niemożliwej w jednopiętrowym domu wiejskim. Każda ściana, łuk, alkowa, architrav i belka były pokryte rzeźbami. I to jakimi! Zaczerwieniłem się. Najwyraźniej skopiowano je z tej osławionej jaskini świątynnej w południowych Indiach, w której wszystkie możliwe perwersje są ukazane w bezwstydnym i obscenicznym sposób.

- Przepraszam, kochanie! - powiedziała Katie. - Dzieciaki tu tańczyły.

Pobiegła w lewą stronę, wtopiła się w jedną z grup rzeźb i zniknęła.

- Czego sobie życzysz, Geraldzie?

- Hmm. Remington numer dwa.

- Proszę bardzo.

W jednej chwili obsceniczne rzeźby zniknęły, a sufit obniżył się nagle, zamieniając się w sklepienie z drewnianych belek zespolonych tynkiem. Jedna ze ścian stała się oknem, za którym rozciągał się widok na góry przywodzące na myśl Utah, nie Teksas. Na przeciwległej ścianie znajdował się teraz wielki kominek, w którym buzował ogień, meble przyjęły styl nazywany niekiedy „misyjnym”, a podłoga była wyłożona brukowymi kamieniami pokrytymi indiańskimi narzutami.

- Tak lepiej. Dziękuję ci, Katherine. Siadajcie, przyjaciele. Znajdźcie sobie miejsce i przycupnijcie!

Wybrałem miejsce, unikając krzesła, które w sposób oczywisty należało do pana domu - było masywne i obite skórą. Katie i Marga usiadły razem na kanapie, a Jerry zasiadł na swoim krześle.

- Kochanie, czego się napijesz?

- Campari z wodą sodową.

- Jesteś baba. A ty, Margie?

- Dla mnie też może być Campari z wodą sodową.

- Dwie baby. A ty, Alec?

- To samo co dla pań.

- Synu, mogę to znieść u słabej płci, ale nie u dorosłego mężczyzny. Proszę o drugi strzał.

- Hmm. Szkocka z wodą sodową.

- Kazałbym cię wybatożyć, ale nie mam batoga. Masz jeszcze jedną szansę.

- Hmm... burbon bez niczego?

- Jesteś uratowany. Jack Daniel's. Woda osobno. Przedwczoraj jakiś facet w Dallas usiłował zamówić irlandzką whisky! Wygnali go natychmiast z miasta, ale potem go przeprosili. Okazało się, że był Jankesem i nie wiedział, co czyni.

Przez cały czas nasz gospodarz uderzał palcami w mały stolik znajdujący się u jego łokcia. Przerwał to nerwowe bębnienie i nagle na stole przy moim krześle pojawił się spory kieliszek brązowego płynu i kubek wody. Zauważyłem, że pozostali goście również zostali obsłużeni. Jerry podniósł w górę szklanę.

- Salud. Za Konfederację!

Gdy wypiliśmy, zapytał:

- Katherine, czy wiesz, gdzie się ukrywa ta nasza hultajka?

- Zdaje się, że wszyscy są na basenie, kochanie.

- Aha. - Jerry ponownie zabębnił nerwowo palcami. Nagle, tuż przed nim, pojawiła się niewiadomo skąd młoda kobieta siedząca na trampolinie wyłaniającej się z nicości. Padały na nią jasne promienie słońca, choć w pokoju, w którym przebywaliśmy, panował chłodny półmrok. Jej skórę pokrywały kropelki wody. Była zwrócona twarzą w stronę Jerry'ego i, co za tym idzie, plecami do mnie.

- Cześć, wstrętny bachorze.

- Cześć, tatusiu. Cmok, cmok.

- W świński tyłek. Kiedy ostatni raz cię zlałem?

- Na moje dziewiąte urodziny. Kiedy podpaliłam dom cioci Minnie. Co zrobiłam tym razem?

- Na piękny, potworny, prosty penis Pana wszechrzeczy! Co chciałaś osiągnąć, włączając ten ordynarny, wulgarny, pornograficzny program w pokoju rodzinnym?

- Nie wciskaj kitu, tatusiu. Widziałam twoje książki.

- Nie jest ważne, co mam w swojej prywatnej bibliotece. Odpowiedz mi na pytanie.

- Zapomniałam go wyłączyć, tato. Przepraszam.

- To samo powiedziała krowa pani Murphy. Ale pożar nie zgasł. Posłuchaj, kochanie, wiesz, że

możesz używać sprzętu, kiedy tylko zechcesz. Gdy jednak skończysz, musisz zostawić wszystko tak, jak było przedtem. Albo, jeśli nie potrafisz tego zrobić, nastaw go z powrotem na zero.

- Wiem, tato. Po prostu zapomniałam.

- Przestań się tak niespokojnie kręcić. Jeszcze nie skończyłem rozprawy. Na wielkie mosiężne jaja Kościeja, gdzie zdobyłaś ten program?

- Na uczelni. To materiał szkoleniowy do mojego kursu jogi tantrycznej.

- Jogi tantrycznej? Z twoimi biodrami taki kurs ci niepotrzebny. Czy twoja matka o tym wie?

Katherine wtrąciła się spokojnie:

- Sama ją do tego namawiałam, kochanie. Jak wiemy, Sybil jest zdolna. Ale sam talent nie wystarczy. Potrzebna jej nauka.

- Czyżby? Nigdy nie spieram się z twoją matką na ten temat, wycofuję się więc na z góry upatrzone pozycje. Ta taśma. Skąd ją zdobyłaś? Czy znasz obowiązujące przepisy dotyczące praw autorskich? Oboje pamiętamy ten rwetes, który się podniósł wokół taśmy „Jefferson Starship”...

- Tato, jesteś gorszy od słonia. Czy nigdy niczego nie zapominasz?

- Nigdy. Ponadto ostrzegam cię, że wszystko, co powiesz, może zostać zapisane i wykorzystane przeciwko tobie w innym czasie i miejscu. A więc słucham.

- Żądam skontaktowania mnie z moim adwokatem!

- A więc to jest pirackie nagranie!

- Chciałbyś! Mógłbyś się wtedy napawać swoim sukcesem! Przykro mi, tato, ale zapłaciłam pełną cenę katalogową, gotówką, i biblioteka uniwersytecka przegrała to dla mnie. Widzisz, cwaniaczkę.

- Zobaczymy, kto jest cwaniaczkiem. Wyrzuciłaś pieniądze w błoto.

- Nie zgadzam się. To mi się podoba.

- Mnie też. Wyrzuciłaś w błoto swoje pieniądze, bo wystarczyło poprosić mnie o tę taśmę.

- Co?!

- Mam cię! Z początku myślałem, że dorobiłaś wytrych do zamków w moim gabinecie, albo rzuciłaś na nie zaklęcie. Miło mi usłyszeć, że po prostu okazałaś się rozrzutna. Ile cię to wyniosło?

- Hmm... czterdzieści dziewięć pięćdziesiąt. To cena ulgowa, dla studentów.

- Chyba nienajgorzej. Sam dałem sześćdziesiąt pięć. Jeśli jednak ta suma znajdzie się na rachunku semestralnym, potrączę ci ją z poborów. Jeszcze jedno, śliweczko, sprowadziłem dziś do domu dwoje sympatycznych gości - damę i dżentelmena. Weszliśmy do salonu, czy też do tego, co uprzednio było salonem i ta para dobrze wychowanych ludzi stanęła twarzą w twarz z całą Kamasutrą w jaskrawych kolorach. Co ty na to?

- Nie chciałam tego zrobić.

- Więc zapomnijmy o tym. Pamiętaj jednak, że jest nieuprzejme narażać ludzi na szok, a zwłaszcza gości. Następnym razem bądź bardziej ostrożna. Przyjdiesz na obiad?

- Tak, jeśli będę mogła wyjść wcześniej i lecieć, lecieć, lecieć. Na randkę, tato.

- O której wrócisz do domu?

- Nie wrócę. Będzie całonocne zebranie. Próba przed nocą Kupały. Trzynaście zgromadzeń.

Westchnął:

- Przypuszczam, że powinienem podziękować Trzem Parkom, że bierzesz pigułki.

- Pigułki! Też coś! Nikt nie zachodzi w ciążę na sabacie. Wszyscy to wiedzą.

- Wszyscy oprócz mnie. Cóż, złożmy dzięki za to, że raczysz zjeść z nami obiad.

Nagle dziewczyna krzyknęła, spadając z trampoliny. Obraz podążył za nią w dół.

Wpadła do basenu z pluskiem, po czym wynurzyła się parszkając wodą.

- Tato! Popchnąłeś mnie!

- Jak możesz mówić coś takiego? - odparł oburzonym tonem.

Nagle żywy obraz zniknął.

Katie Farnsworth odezwała się lekkim tchem:

- Gerald wciąż usiłuje zdominować swoją córkę. Rzecz jasna, nie ma szans. Powinien zaciągnąć ją do łóżka i w ten sposób wyładować swe kazirodcze żądze. Ale oni oboje są na to zbyt pruderyjni.

- Kobieto, przypomnij mi, żebyś cię zbił.

- Tak, najdroższy. Nie musiałbyś jej zmuszać. Wyraź tylko jasno swe intencje, a wybuchnie łzami i odda ci się. Potem będziecie oboje mieli najlepszą zabawę w życiu. Nie sądzisz, Margrethe?

- Chyba masz rację.

Byłem już wtedy zbyt oszołomiony, aby słowa Margrethe mogły mnie zgorszyć.

Obiad był rozkoszą dla smakosza i wielką towarzyską konfuzją.

Podano go w jadalni, to jest w tym samym salonie ozdobionym innymi „hologramami”. Sufit znajdował się wyżej, okna były wysokie, w równych odstępach, a zasłony sięgały do podłogi. Na zewnątrz rozciągał się widok na starannie utrzymany ogród.

Jeden z mebli wjechał sam do środka. Nie był to „hologram”, przynajmniej nie w całości. Był to stół bankietowy, który (o ile się nie mylę) był równocześnie spiżarnią, piecem, lodówką i całym wyposażeniem kuchni. Tak przynajmniej mi się wydawało. Jestem gotów się z tego wniosku wycofać. Jedyne, co mogę powiedzieć, to to, że nigdzie nie widziałem służącego, ani też nie dostrzegłem, żeby nasza gospodyni robiła cokolwiek. Niemniej mąż pogratulował jej udanych potraw, i to zasłużenie. Zrobiliśmy to samo.

Jerry miał trochę pracy. Pokroił mięso na porcje (żeberka, kawał wystarczająco wielki dla drużyny zgłodniałych harcerzy). Nakładał też wszystko na talerze, siedząc na swoim miejscu. Gdy tylko talerz został napelniony, odjeżdżał gładko do osoby, dla której go przeznaczono - jak kolejka na szynach. Nie było tu jednak lokomotywy ani szyn. Maszyna ukryta za pomocą „hologramów”? Tak sądzę, jest to jednak tylko zastąpienie jednej zagadki przez drugą.

(Dowiedziałem się później, że szykkowna teksańska rezydencja w tym świecie posiadałaby służących ustawionych tak, aby rzucali się w oczy. Jednakże Jerry i Katie mieli proste upodobania.)

Przy stole siedziało nas sześcioro. Na jednym jego końcu siedział Jerry, na drugim Katie. Margrethe usiadła po prawym boku Jerry’ego, a jego córka, Sybil, po lewym. Sam usadowiłem się po prawej stronie gospodyni, a z drugiej strony, naprzeciwko mnie, siedział chłopak Sybil. Na prawo ode mnie siedziała Sybil.

Młody człowiek nazywał się Roderick Lyman Culverson III. Moje nazwisko nie dotarło do niego. Zawsze uważałem, że samiec naszego gatunku powinien być, w większości przypadków, wychowywany w beczce i karmiony przez otwór szpuntowy. Następnie, w wieku osiemnastu lat, powinno się podjąć poważną decyzję, czy wypuścić go z beczki, czy też zabić szpunt na stałe.

Młody Culverson nie dostarczył mi powodów do zmiany tej opinii. Osobiście głosowałbym w tym przypadku za zabiciem szpuntu. Na początku Sybil wyjaśniła nam dobitnie, że studiuje oboje w tym samym Coollege’u. Wyglądało jednak na to, że Farnsworthowie znają go równie mało, jak my. Katie zapytała go:

- Roderick, czy ty też jesteś początkującym czarownikiem?

Zrobił kwaśną minę, jakby poczuł jakiś przykry zapach, lecz Sybil uratowała go przed koniecznością odpowiadania na tak prostackie pytanie.

- Mamo, Rod otrzymał swoją athamę już dawno!

- Przepraszam, popełniłam gafę - odpowiedziała spokojnie. - Czy to dyplom, który dają wam na ukończenie kursu?

- Nie, mammo, to święty nóż, stosowany podczas rytuałów. Można go używać co...

- Sybil! Tu są poganie! - Culverson spojrział groźnie na dziewczynę, a potem skierował swój wzrok na mnie. Zadałem sobie pytanie, jak też wyglądałby z podbitym okiem, lecz starałem się bardzo, aby nie można było odczytać moich myśli z wyrazu twarzy.

- A więc jesteś już dyplomowanym czarnoksiężnikiem, Rod? - zapytał Jerry.

- Tato! - wtrąciła się ponownie Sybil. - Używa się słowa...

- Przymknij się, śliweczko. Potrafisz odpowiedzieć sam, Rod?

- Tego słowa używają tylko ignoranci...

- Spokój! Kiedy czegoś nie wiem, poszukuję na ten temat informacji, tak jak robią to teraz. Nikt, kto siedzi za moim stołem, nie będzie mnie nazywał ignorantem. Czy potrafisz mi odpowiedzieć bez toczenia piany?

Nozdrza Culversona zadrżały, opanował się jednak i oświadczył:

- Odpowiednimi nazwami na określenie adeptów Sztuki są słowa „czarownik” i „czarownica”. „Czarodziej” jest dopuszczalnym terminem, lecz nie jest on ścisły, ponieważ oznacza „maga”, a nie wszyscy magowie są czarownikami i nie wszystkie czarownice uprawiają magię. „Czarnoksiężnik” jest uważany za określenie nie tylko nieścisłe, lecz również obraźliwe, ponieważ wiąże się z kultem diabła, z czym Sztuka nie ma nic wspólnego. Tak więc nie jestem „dyplomowanym czarnoksiężnikiem”. Poprawnym określeniem mojego obecnego statusu są słowa „Dyplomowany mistrz Sztuki”, czyli czarownik.

- Teraz rozumiem! Dziękuję ci i proszę o wybaczenie za użycie w stosunku do ciebie słowa „czarnoksiężnik”... - Jerry umilkł.

Po dłuższej chwili Culverson odezwał się pośpiesznie:

- Och, tak! Ja również pana przepraszam!

- Dziękuję. Pragnąłbym dodać do twoich uwag na temat etymologii, że czarownicę nazywamy też „wiedźmą”, które to określenie pochodzi od słowa „wiedza”, czyli „mądrość”. Jest to słowo używane tylko w rodzaju żeńskim, co może tłumaczyć, dlaczego większość czarownic to kobiety, jak również wskazywać na to, że nasi przodkowie wiedzieli coś, o czym my nie wiemy. Ponadto nazwa „Sztuka” jest skrótem słów „Sztuka Mądrości”. Czy mam rację?

- Co? Och, no jasne! Mądrość. O to właśnie chodzi w Starej Religii.

- Dobrze. Posłuchaj mnie uważnie, synu. Mądrość polega również na tym, żeby nie popadać w gniew bez potrzeby. Prawo nie zwraca uwagi na drobiazgi i człowiek mądry postępuje podobnie. Mam na myśli takie drobiazgi jak na przykład ten, gdy młoda dziewczyna tłumaczy niewiernym, co to jest athama, co nie jest znowu taką tajemnicą, a stary dureń używa niewłaściwego określenia. Pojąłeś mnie?

Jerry ponownie odczekał dłuższy moment, po czym powtórzył cicho:

- Pytałem, czy mnie zrozumiałeś?

Culverson odetchnął głęboko:

- Tak jest. Mądry człowiek nie zwraca uwagi na drobiazgi.

- W porządku. Czy zjesz jeszcze kawałek pieczeni?

Culverson umilkł na pewien czas. Podobnie jak ja i Sybil. Katie, Jerry i Margrethe podtrzymywali strumień towarzyskiej gadaniny, ignorując fakt, że jeden z gości został przed chwilą publicznie porządnie zbesztany. W końcu Sybil zapytała:

- Tato, czy chcecie z mamą, żebym wzięła udział w piątkowym nabożeństwie ku czci ognia?

- Trudno powiedzieć, że chcemy - odparł Jerry. - Wybrałaś już przecież swój własny kościół. Można co najwyżej powiedzieć: „mamy nadzieję”.

- Sybil, dzisiaj wydaje ci się, że niepotrzebny ci żaden inny kościół poza twoim zgromadzeniem - dodała Katie - ale to może się zmienić... i, o ile wiem, Stara Religia nie zabrania swoim wyznawcom brać udziału w obrzędach innych wiar.

- To skutek stuleci, tysiącleci prześladowań, pani Farnsworth - wtrącił Culverson. - Nasze prawa nadal mówią, że każdy wyznawca musi należeć do jakiegoś ogólnie akceptowanego kościoła. W dzisiejszych czasach nie staramy się już jednak nikogo do tego zmuszać.

- Rozumiem - zgodziła się Katie. - Dziękuję ci, Rodericku. Sybil, ponieważ twój nowy kościół zachęca do członkostwa w innych, byłoby nieźle, żebyś chodziła na nabożeństwa w miarę regularnie, po prostu ze względu na opinię. To ci się może jeszcze przydać.

- No właśnie - zgodził się jej ojciec. - Chodzi o opinię. Czy przyszło ci kiedyś do głowy, córeczko, iż fakt, że twój tata jest niezłomną podporą kongregacji z książeczką czekową zawsze pod ręką i drugi fakt, że sprzedaje więcej „Cadillaców” niż jakikolwiek inny pośrednik w Teksasie, mogą mieć ze sobą coś wspólnego?

- Tato, to brzmi całkiem bezwstydnie.

- Zgadza się. W ten sposób sprzedaje się „Cadillaki”. Nie używaj też nazwy „kult ognia”. Wiesz, że jest niewłaściwa. Oddajemy cześć nie płomieniowi, lecz temu, co on reprezentuje.

Sybil zmięła serwetkę. Przez chwilę wyglądała na zakłopotaną trzynastolatkę, a nie na dojrzałą kobietę, co sugerowało jej ciało.

- W tym właśnie rzecz, tato. Od urodzenia płomień oznaczał dla mnie oczyszczanie, uzdrawianie i niekończące się życie, dopóki nie zaczęłam studiować Sztuki. Jej historii. Tato, dla czarownicy... ogień oznacza sposób, w jaki nas zabijają!

Byłem tak wstrząśnięty, że niemal przestałem oddychać. Mam wrażenie, że nie dotarło do mnie naprawdę, na poziomie emocjonalnym, że tych dwoje - niesympatyczny, lecz niczym niewyróżniający się wyrostek i młoda rozkoszna dziewczyna... córka Katie i córka Jerry’ego, naszych dwojga niezrównanych Dobrych Samarytanów - że tych dwoje było czarownicami!

Tak, tak. Znam to. Księga Wyjścia dwadzieścia dwa, werset siedemnasty: „Nie pozwolisz żyć takiej, która się oddaje czarom”. Równie uroczysty nakaz, co Dziesięcioro Przykazań, dany Mojżeszowi bezpośrednio przez Boga w obecności wszystkich dzieci Izraela...

Co więc robię, dzieląc się chlebem z czarownicami?

Nazwijcie mnie tchórzem. Nie wstałem z miejsca, aby ich potępić.

Siedziałem spokojnie.

- Och, kochanie! To było dawno temu, w Średniowieczu. Nie dzisiaj, nie tu i nie teraz - stwierdziła Katie.

Culverson odparł:

- Pani Farnsworth, każdy z nas wie, że polowania na czarownice mogą się w każdej chwili zacząć od nowa. Wystarczy nawet jeden rok złych plonów. Poza tym Salem wcale nie wydarzyło się tak dawno temu. Ani tak daleko. Chrześcijanie jeszcze nie wymarli - ciągnął. - Gdyby tylko mogli, znowu podpaliliby stopy. Jak w Salem.

To była wspaniała okazja do tego, aby trzymać gębę na kłódkę. Zamiast tego palnąłem:

- W Salem nie spalono żadnej czarownicy.

Spojrzał na mnie:

- A co ty możesz o tym wiedzieć?

- Palono je w Europie, nie u nas. W Salem czarownice powieszono, oprócz jednej, którą sprasowano na śmierć (Nigdy nie powinni byli używać ognia. Pan Bóg nakazał nam nie pozwolić im żyć, a nie skazywać na śmierć w męczarniach.)

Spojrzał na mnie ponownie:

- No i co z tego? Uważasz, że to było słuszne?

- Nic takiego nie powiedziałem! (Wybacz mi, dobry Boże!)

- Nakazuję przerwać tę dyskusję! - wtrącił się Jerry. - Nie będziemy więcej poruszać tego tematu przy stole. Sybil, nie musisz brać udziału w nabożeństwie, jeśli cię to denerwuje lub przypomina ci o tragicznych wydarzeniach. Skoro już mowa o wieszaniu, to co zrobimy z tym obrońcą „Dallas Cowboys”?

Po dwóch godzinach Jerry Farnsworth i ja ponownie zasiedliśmy w tym samym pokoju. Tym razem był to Remington numer trzy - za oknami śnieżna burza, od czasu do czasu zimny powiew nad podłogą. W pewnej chwili usłyszałem odległe wycie wilka. Ogień w kominku był czystą przyjemnością. Farnsworth nalał nam kawy i podał brandy w kieliszkach tak wielkich, że mogłyby w nich pływać złote rybki.

- Słyszałeś o szlachetnej brandy - powiedział - jak „Napoleon” czy „Carlos Primero”. To jest królewska brandy. Tak królewska, że ma hemofilię.

Zakrztusiłem się. Nie spodobał mi się ten żart. Wciąż miałem mdłości wywołane myślą o czarownicach. Umierających czarownicach. Wierzgających piętami w powietrzu lub tańczących w płomieniach. Wszystkie miały słodką twarz Sybil. Czy Biblia podaje gdzieś definicję „czarownicy”? Czy to możliwe, że ci współcześni adepci Sztuki byli czymś zupełnie innym niż to, co Jehowa rozumiał pod słowem „czarownica”?

Nie wykręcaj się, Alec! Załóżmy, że „czarownica” w Księdze Wyjścia oznacza dokładnie to samo co w dzisiejszym Teksasie. Jesteś sędzią, a ona przyznała się do winy. Czy potrafisz skazać nastoletnią córkę Katie na śmierć przez powieszenie? Czy uruchomisz zapadnię? Nie wykręcaj się chłopcze. Wykręcałeś się przez całe życie.

Poncjusz Piłat umył ręce.

Nie skażę czarownicy na śmierć! Wybacz mi, Panie. Nie mogę tego uczynić.

- Za sukces twojego przedsięwzięcia - powiedział Jerry - twojego i Margie. Wypij to powoli. W ten sposób nie upijesz się. To tylko uspokoi twoje nerwy i wzmocni twój rozum. No więc, Alec, powiedz mi, dlaczego spodziewasz się końca świata.

Przez następną godzinę wymieniłem mu wszystkie dowody, podkreślając, że nie tylko jedno, lecz wiele proroctw zgadzało się co do znaków: Apokalipsa, Daniel, Ezechiel, Izajasz, Paweł w listach do Tesaloniczan i do Koryntian oraz sam Jezus we wszystkich czterech Ewangeliach po kolei.

Ku mojemu zdziwieniu Jerry miał egzemplarz Biblii. Wybrałem cytaty łatwe do zrozumienia dla laika. Zapisałem mu rozdziały i wersety, aby mógł przestudiować je później. Oczywiście Pierwszy List do Tesaloniczan 4, 15 - 17 i dwudziesty czwarty rozdział Ewangelii Świętego Mateusza - wszystkie pięćdziesiąt jeden wersetów, następnie te same proroctwa u Łukasza, w tym 21, 32 z jego napomnieniem o „tym pokoleniu”, co wielu wprowadziło w błąd. W rzeczywistości Chrystus powiedział, że pokolenie, które ujrzy zapowiedziane znaki, dożyje chwili Jego powrotu, usłyszy głos i doświadczy dnia sądu. Sens jest jasny, jeśli przeczyta się całość. Błędy wzięły się stąd, że wybierano jedynie fragmenty, pomijając resztę. Przypowieść o drzewie figowym wyjaśnia tę sprawę.

Wybrałem także dla niego w Izajaszu, Danielu i innych księgach proroctwa starotestamentowe odpowiadające proroctwom Nowego Testamentu. Wręczyłem mu tę listę proroctw z naleganiem, aby przestudiował je dokładnie, a jeśli napotka jakieś trudności, przeczytał po prostu więcej. A przede wszystkim zwrócił się do Boga.

- Proście, a będzie wam dane! Szukajcie, a znajdziecie!

- Mogę się zgodzić z jednym, Alec - powiedział. - Wydarzenia ostatnich miesięcy przywodzą mi

na myśl Armageddon. Może do niego dojść nawet jutro wieczorem. Równie dobrze mógłby to być koniec świata i sąd ostateczny, gdyż tym razem nie będzie co zbierać - zrobił smutną minę. - Kiedyś martwiłem się, w jakim świecie będzie dorastać Sybil. Teraz się martwię, czy dorośnie w ogóle.

- Jerry, zajmij się tym! Odnajdź drogę do łaski! Następnie powiedź do niej swoją żonę i córkę! Nie potrzebujesz mnie ani nikogo oprócz Jezusa. On powiedział: „Oto stoję u drzwi i kołaczę: jeśli kto posłyszysz mój głos i drzwi otworzy, wejdę do niego”. - Apokalipsa 3, 20.

- Ty wierzysz.

- Tak.

- Alec, chciałbym też w to uwierzyć. To przyniosłoby mi pociechę, biorąc pod uwagę to, co się dzieje na świecie. Nie widzę jednak dowodów w snach dawno zmarłych proroków. Można z nich odczytać, co się chce. Teologia nie przynosi żadnego pożytku. Jest jak szukanie w ciemnej piwnicy o północy czarnego kota, którego tam nie ma. Teologowie potrafią wmówić sami sobie wszystko. Och, w moim kościele też, ale przynajmniej są uczciwymi panteistami. Każdy, kto potrafi oddawać cześć Trójcy, twierdząc, że jego religia jest monoteistyczna, jest zdolny uwierzyć w cokolwiek, jeśli tylko będzie miał czas na wymyślenie odpowiedniego uzasadnienia. Wybacz mi szczerłość.

- Jerry, w sprawach religii szczerłość jest niezbędna. „Ja wiem, Wybawca mój żyje, na ziemi tu będzie ostatni”. To znowu Hiob, rozdział dziewiętnasty. On jest także twoim Wybawcą, Jerry. Modlę się, abyś Go odnalazł.

- Obawiam się, że to mało prawdopodobne.

Jerry wstał z krzesła.

- Nie odnalazłeś go dotąd. Nie poddawaj się! Będę się modlił za ciebie.

- Dziękuję ci za to i za twoje wysiłki. Jak buty?

- Całkiem wygodne.

- Jeśli nadal chcesz jutro ruszyć w drogę, musisz mieć buty, od których nie nabawisz się odcisków po drodze do Kansas. Czy jesteś pewien, że tak jest?

- Tak. Podobnie jak tego, że musimy was opuścić. Gdybyśmy zostali jeszcze dzień, rozpuścilibyście nas tak, że nie wyruszylibyśmy już nigdy.

(Nie powiedziałem mu jednak, że czarownictwo i kult ognia wyprowadziły mnie z równowagi do tego stopnia, że musiałem wyjechać. Nie mogłem go winić za swoją słabość.)

- Chodź, zaprowadzę cię do sypialni. Tylko, cicho. Margrethe mogła już zasnąć. Chyba że nasze panie zasiedziały się jeszcze dłużej niż my.

Przy drzwiach sypialni wyciągnął do mnie rękę.

- Na wypadek, gdybyś ty miał rację, a ja byłbym w błędzie, przyznaj mi, że ty również możesz się potknąć.

- To prawda. Nie jestem w stanie łaski, jeszcze nie. Muszę nad tym popracować.

- Cóż, życzę ci szczęścia... Gdybyś jednak się potknął, spadniesz do mnie w piekle, co?

Odniosłem wrażenie, że Jerry mówi zupełnie poważnie.

- Nie wiem, czy wolno to robić.

- Postaraj się. Ja zrobię to samo. Obiecuję ci - uśmiechnął się - piekielne przyjęcie. Naprawdę gorące!

Odpowiedziałem mu uśmiechem.

- Trzymam cię za słowo.

Po raz kolejny moja ukochana zasnęła, nie rozbiegając się. Uśmiechnąłem się do niej bezgłośnie i położyłem przy niej, kładąc jej głowę na moim ramieniu. Zamierzałem pozwolić jej obudzić się powoli, a potem rozebrać biedactwo i położyć do łóżka. Tymczasem musiałem rozważyć tysiące -

no, może dziesiątki - myśli.

Po chwili dotarło do mnie, że robi się jasno. Następnie stwierdziłem, że leżymy na czymś nierównym i drapiącym. Gdy zrobiło się jaśniej, zauważyłem, że znajdujemy się w stodole, rozciągnięci na belach siana.

Achab odpowiedział na to Eliaszowi:

„Już znalazłeś mnie, mój wrogu?”

Wówczas rzekł: „Znalazłem, bo zaprzedałeś się, żeby postępować źle w oczach Jahwe”.

Trzecia Księga Królestwa 21, 20

Ostatnie dziewięćdziesiąt mil drogi wzdłuż autostrady 66 z Clinton do Oklahoma City pokonaliśmy, pracując nieustępliwie naprzód, nie zwracając uwagi na fakt, że byliśmy znowu bez grosza i nie mieliśmy co jeść, ani gdzie spać.

Widzieliśmy sterowiec.

To, rzecz jasna, zmieniało wszystko. Od miesiący byłem nikim, wywodzącym się znikąd, bez grosza przy duszy, niepotrafiącym nic poza zmywaniem naczyń, jednym słowem włóczęga. Lecz w moim rodzinnym świecie - dobrze płatna praca, otoczona szacunkiem pozycja społeczna, solidne konto w banku. Nareszcie koniec tego piekielnego wałęsania się po różnych światach. Wjeżdżaliśmy do Clinton późnym rankiem, podwiezieni przez farmera wiozącego do miasta swoje towary. Usłyszałem, jak Margrethe westchnęła głośno. Spojrzałem w tę samą stronę co ona. Tak jest. Srebrny, gładki i piękny. Nie zdołałem odczytać nazwy, lecz dostrzegłem znak „Eastern Express”.

- Ekspres z Dallas do Denver - oznajmił farmer, wyciągając zegarek z kieszeni spodni. - Spóźnił się o sześć minut. To dziwne.

Starłem się ukryć podniecenie.

- Czy w Clinton jest lotnisko?

- Nie, nie. Najbliższe w Oklahoma City. Chcesz zostawić autostop i polecieć górą?

- Byłoby fajnie.

- No, jasne. Lepsze to niż robota na farmie.

Podtrzymałem banalną rozmowę aż do chwili, gdy wysadził nas w pobliżu rynku w kilka minut później. Gdy jednak zostaliśmy sami z Margrethe, nie mogłem już dłużej zapanować nad sobą i zacząłem ją całować. Natychmiast jednak powstrzymałem się. Oklahoma jest równie moralna, jak Kansas. W większości miejscowości istnieją surowe prawa zabraniające publicznego obłapiania się.

Zastanowiłem się, jak ciężko będzie mi powtórnie się przystosować po wielotygodniowym pobycie w licznych światach, z których żaden nie posiadał surowych zasad moralnych mojego świata rodzinnego. Trudno będzie uniknąć kłopotów, ponieważ (przynajmy to!) przyzwyczailem się do całowania swojej żony w miejscu publicznym oraz innych zachowań, które same w sobie są niewinne, lecz w moralnych społecznościach nigdy nie demonstruje się ich publicznie. I, co ważniejsze, czy zdołam uchronić przed kłopotami moją ukochaną? Ja się tu urodziłem i będę zdolny wrócić do tutejszych obyczajów... lecz Marga była równie uczuciowa jak młody owczarek collie i nie wstydziła się w najmniejszym stopniu okazywania tego.

- Przepraszam, kochanie - powiedziałem. - Chciałem cię pocałować, nie mogę jednak tego zrobić.

- Dlaczego?

- Hmm. Nie mogę całować cię w miejscu publicznym. Nie tutaj. Tylko na osobności... no wiesz - „jeśli wejdiesz między wrony”. Ale to nieważne. Kochanie, jesteśmy w domu! To jest w moim domu, ale teraz również i twoim. Widziałaś sterowiec.

- To naprawdę był sterowiec?

- Niewątpliwie... to najpiękniejszy widok, jaki widziałem od miesiący. Z tym, że... za wcześnie

jeszcze się cieszyć. Wiemy, że niektóre z tych światów są do siebie bardzo podobne pod wieloma względami. Myślę, że istnieje pewna możliwość, iż jest to świat ze sterowcami... lecz nie mój świat. Nie wierzę w to oczywiście, nie cieszymy się jednak przedwcześnie. (Nie zauważyłem, że Margrethe w ogóle się nie ucieszyła.)

- W jaki sposób możesz stwierdzić, czy to twój świat?

- Możemy zrobić tak jak przedtem - sprawdzić to w bibliotece publicznej. Jest jednak szybszy i lepszy sposób. Chciałbym odszukać biuro telefoniczne Bella. Zapytam o nie w tym sklepie spożywczym.

Chciałem odnaleźć biuro zamiast zwykłej budki telefonicznej, ponieważ, zanim zadzwonią, zamierzałem sprawdzić w książce telefonicznej, czy to naprawdę mój świat. Tak! W biurze mieli książki z całej Oklahomy, jak również z ważniejszych miast w innych stanach, wliczając w to najlepiej mi znaną książkę telefoniczną z Kansas City.

- Margrethe, spójrz! - Wskazałem jej palcem na numer Centralnego Biura Kościołów Zjednoczonych na rzecz Obyczajności.

- Widzę.

- Czy to nie wspaniałe? Czy nie masz ochoty tańczyć i śpiewać?

- Bardzo się cieszę ze względu na ciebie, Alec.

(Zabrzmiało to jak: „Czy nie wygląda jak żywy? I tyle tych pięknych kwiatów“.).

Byliśmy sami w pomieszczeniu, gdzie znajdowały się książki telefoniczne, szepnąłem więc do niej zaniepokojony:

- Co się stało, kochanie? To szczęśliwe wydarzenie. Czy tego nie widzisz? Gdy tylko zdołam się dodzwonić, zdobędziemy pieniądze. Koniec z czarną robotą. Nie będziemy się już martwić o to, co będziemy jeść ani gdzie spać. Pojedziemy prosto do domu w „Pullmanie“. Nie, polecimy sterowcem! Spodoba ci się, na pewno! To będzie nasz miesiąc miodowy, kochanie. Przedtem nie mogliśmy sobie na to pozwolić.

- Nie możesz mnie zabrać do Kansas City.

- Dlaczego?

- Alec... tam jest twoja żona.

Uwierzcie mi, gdy wam mówię, że nie pomyślałem o Abigail ani razu przez wiele, wiele tygodni. Byłem przekonany, że nigdy już jej nie zobaczę (powrót do świata rodzinnego był zupełną niespodzianką) i poza tym miałem teraz żonę, najlepszą, jakiej można tylko pragnąć - Margrethe.

Ciekaw jestem, czy zwłoki przeżywają podobny szok, gdy uderzają w nie pierwsze kawały ziemi.

Zdołałem jednak wrócić do siebie. W pewnej mierze.

- Marga, posłuchaj, co zrobimy. Tak jest, mamy problem, ale możemy go rozwiązać. Rzecz jasna, pojedziesz ze mną do Kansas City! Musisz to zrobić. Lecz na miejscu, ze względu na Abigail, znajdę dla ciebie jakieś ciche miejsce, w którym będziesz mogła się ukryć, zanim nie załatwię spraw. (Załatwię? Abigail wywoła piekielną awanturę.) Najpierw muszę dostać się do swoich pieniędzy. Potem udać się do adwokata. (Rozwód? W stanie, gdzie istnieje tylko jeden powód rozwodu i przyznaje się go wyłącznie poszkodowanej stronie? Margrethe w roli tej drugiej kobiety? To niemożliwe. Czy pozwoliłbym, żeby zakuto ją w dyby? Wygnano publicznie z miasta, jeśli Abigail by tego zażądała? Nieważne już, co stanie się ze mną, nieważne, że Abigail obdarłaby mnie ze skóry do ostatniego centa. Nie mogę dopuścić, żeby Margrethe nosiła szkarłatną literę, jak tego wymagają prawa mojego świata. Nie!)

- Potem pojedziemy do Danii. (Nie, rozwód nie wchodzi w rachubę.)

- Naprawdę?

- Oczywiście. Kochanie, jesteś moją żoną, teraz i na zawsze. Nie mogę zostawić cię tutaj, zanim nie załatwię spraw w Kansas City. Mogłoby dojść do kolejnej zmiany i utraciłbym cię. Nie możemy jednak pojechać do Danii, zanim nie dostanę w ręce swoich pieniędzy. Jasne? (A co, jeśli Abigail wybrała wszystko z mojego konta?)

- Zgoda, Alec. Pojedziemy do Kansas City.

(To rozwiązywało sprawy częściowo. Lecz wciąż istniała Abigail. Nie szkodzi. Spalę za sobą ten most w chwili, gdy dotrę doń.)

Pół minuty później stanąłem przed następnym problemem.

Z pewnością telefonistka zamówi dla mnie rozmowę długodystansową płatną przez odbiorcę. Kansas City? Opłata wstępna za rozmowę z Kansas City - zarówno w stanie Kansas, jak i Missouri, wynosiła dwadzieścia pięć centów. Proszę rzucić monetę w chwili, gdy panu powiem. Budka druga.

Wszedłem do budki i zacząłem grzebać w kieszeni w poszukiwaniu monet. Wyłożyłem je wszystkie na zewnątrz:

Dwudziestocentówka.

Dwa trzypensowe miedziaki.

Kanadyjska dwudziestopięciocentówka z podobizną królowej. (Królowej?)

Półdolarówka.

Trzy pięciocentówki, mniejsze od naszych.

Na żadnej z tych monet nie widniało znajome motto Unii Północnoamerykańskiej: „Bóg jest naszą twierdzą”.

Spojrzałem na tę zbieraninę, usiłując ustalić, kiedy miała miejsce ostatnia zmiana. Niewątpliwie po mojej ostatniej wypłacie, która miała miejsce wczoraj po południu, zanim jednak złapaliśmy okazję dzisiaj po śniadaniu. Gdy spaliśmy? Nie straciliśmy ubrań ani pieniędzy. Wyczuwałem nawet maszynkę do golenia w kieszeni na piersi. Nieważne - wszelkie próby zrozumienia szczegółów tych zmian prowadziły nieuchronnie do szaleństwa. Zmiana odbyła się. Znalazłem się w swoim rodzinnym świecie... i z tego powodu nie miałem pieniędzy. Przynajmniej oficjalnie uznawanych.

Z braku czegoś lepszego ta kanadyjska dwudziestopięciocentówka zaczęła mi się straszliwie podobać. Nie próbowałem sobie wmówić, że ósme przykazanie nie ma zastosowania do wielkich korporacji. Zamiast tego obiecałem sobie, że spłacę ten dług. Wziąłem monetę w rękę i podniosłem słuchawkę.

- Proszę podać numer.

- Zamawiam rozmowę do Kościołów Zjednoczonych na rzecz Obyczajności w Kansas City, stan Kansas. Numer - Linia Państwowa 1224J. Płatne przez odbiorcę. Mogę mówić z każdym, kto podniesie słuchawkę.

- Proszę wrzucić monetę.

Wrzuciłem kanadyjską dwudziestopięciocentówkę i wstrzymałem oddech. Usłyszałem, jak wleciała do środka - brzdęk-brzdęk-brzdęk. Centrala odezwała się: Dziękuję. Proszę czekać i nie odwieszać słuchawki.

Czekałem. I czekałem. I czekałem.

Telefon do Kansas City? Kościoły Zjednoczone na rzecz Obyczajności odpowiedziały, że nie przyjmują rozmów płatnych przez odbiorcę.

- Chwileczkę. Proszę im powiedzieć, że dzwoni wielebny Alexander Hergensheimer.

- Dziękuję. Proszę wrzucić dwadzieścia pięć centów.

- Halo! Nic nie uzyskałem za pierwszą monetę. Za szybko przerwaliście rozmowę.

- My jej nie przerwaliśmy. To w Kansas City odwiesili słuchawkę.

- Proszę więc zadzwonić po raz drugi i powiedzieć im, żeby tym razem nie odkładali słuchawki.

- Tak jest. Proszę wrzucić dwadzieścia pięć centów.

- Czy sądzi pani, że zamawiałbym rozmowę płatną przez odbiorcę, gdybym miał przy sobie masę drobnych? Proszę się z nimi połączyć i powiedzieć, kim jestem. Wielebny Alexander Hergensheimer, zastępca dyrektora.

- Proszę czekać.

Znowu więc czekałem. I czekałem.

- Wielebny? Rozmówca w Kansas City kazał panu powiedzieć, że nie przyjmą rozmowy płatnej przez odbiorcę nawet - cytuję - od samego Jezusa Chrystusa.

- Nie wolno tak mówić przez telefon. Ani przy innej okazji.

- Zgadza się. To jeszcze nie koniec. Ten ktoś kazał panu powtórzyć, że nigdy o panu nie słyszał.

- Ten... - zamknąłem gębę. Nie potrafiłbym wyrazić swoich uczuć w sposób nie uwłaczający godności osoby duchownej.

- W istocie. Spytałam go o nazwisko, ale odwiesił słuchawkę.

- Młody człowiek? Stary? Bas, tenor, baryton?

- Chłopięcy sopran. Odniosłam wrażenie, że był to chłopiec na posyłki odbierający telefony w czasie przerwy obiadowej.

- Rozumiem. W każdym razie dziękuję, że się pani trudziła, moim zdaniem bardziej, niż wymagały tego pani obowiązki.

- Cała przyjemność po mojej stronie, wielebny.

Wyszedłem z budynku wściekły na siebie. Nie wyjaśniłem tego Margrethe, zanim nie oddaliliśmy się na bezpieczną odległość.

- Wpadłem we własne sidła, kochanie. To ja wydałem to polecenie, żeby nie przyjmować rozmów płatnych przez odbiorcę. Analiza dziennika rozmów przekonała mnie ponad wszelką wątpliwość, że takie telefony nigdy nie przyniosły korzyści naszemu towarzystwu. W dziewięciu przypadkach na dziesięć były to prośby o pieniądze, a my nie jesteśmy instytucją dobroczynną. Zbieramy pieniądze, a nie rozdajemy je. Dziesiątym rozmówcą jest ktoś, kto chce nam narobić kłopotów, albo stuknięty. Wprowadziłem więc to zarządzenie... i wymusiłem jego przestrzeganie. Skutki były widoczne natychmiast. Zaoszczędziłem setki dolarów rocznie na samych rachunkach telefonicznych. - Uśmiechnąłem się z wysiłkiem. - Nigdy nie myślałem, że wpadnę we własne sidła.

- Co zamierzasz teraz zrobić, Alec?

- Teraz? Udać się na autostradę 66 i zacząć machać kciukiem. Chciałbym, żebyśmy przed piątą dotarli do Oklahoma City. To powinno być łatwe. To nie jest zbyt daleko.

- Tak jest, sir. Czy wolno zapytać, dlaczego przed piątą?

- Zawsze możesz pytać o wszystko i doskonale o tym wiesz, przestań udawać Cierpliwą Gryzeldę. Chodzisz osowiała, odkąd zobaczyliśmy ten sterowiec. Powód jest taki, że w Oklahoma znajduje się okręgowe biuro Kościołów Zjednoczonych na rzecz Obyczajności i chcę tam dotrzeć przed jego zamknięciem. Zobacysz, jakie królewskie przywitanie nam tam zgotują, maleńka! Dostańmy się do Oke City i nasze kłopoty się skończą.

Całe popołudnie przypominało mi brodzenie przez sorgo. Styczniowe. Nie mieliśmy trudności ze złapaniem okazji, lecz podwożono nas jedynie po kawałku. Poruszaliśmy się ze średnią prędkością dwudziestu mil na godzinę po autostradzie, po której można było jechać sześćdziesiąt. Straciliśmy pięćdziesiąt pięć minut na dobrą sprawę - darmowy posiłek. Po raz n-ty kierowca kupił nam coś do jedzenia, gdy sam jadł obiad... tylko dlatego, że chyba żaden prawdziwy mężczyzna nie mógłby zjeść posiłku, nie zapraszając Margrethe, aby zjadła razem z nim, jeśli znalazła się w jego towarzystwie.

(Sam również dostaję jeść tylko dlatego, że jestem jej własnością. Nie skarżę się na to.)

Zjedliśmy obiad w czasie dwudziestu minut, po czym kierowca zmarnotrawił pół godziny i niezliczone dwudziestopięciocentówki na grę w bilard elektryczny... podczas gdy ja stałem obok, zaciskając zęby, a Margrethe przystanąła tuż przy nim, bijąc brawo i piszcząc z zachwytu, gdy uzyskał dobry wynik. Lecz jej wycucie jest niezawodne. Dzięki temu podwiózł nas całą drogę do Oklahoma City, a następnie przejechał przez sam środek miasta, choć mógł skorzystać z obwodnicy, i o czwartej dwadzieścia wysadził nas na skrzyżowaniu trzydziestej szóstej i Lincolna, tylko o dwie przecznice od naszego biura.

Przeszedłem ten dystans, pogwizdując.

- Uśmiechnij się, kochanie - powiedziałem. - Za miesiąc, albo wcześniej, zjemy obiad w „Tivoli”.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Tyle mi o tym opowiadałaś, że nie mogę się doczekać. Oto i nasz budynek.

Nasze biuro mieści się na drugim piętrze. Zrobiło mi się ciepło na sam widok drzwi, na szybie których widniał napis:

KOŚCIOŁY ZJEDNOCZONE NA RZECZ OBYCZAJNOŚCI - proszę wchodzić.

- Ty pierwsza, najdroższa! - Szarpnąłem za klamkę, aby otworzyć przed nią drzwi.

Były zamknięte.

Zacząłem w nie walić, potem dostrzegłem dzwonek i nacisnąłem go. Następnie zacząłem pukać i dzwonić na zmianę. I od nowa. W korytarzu pojawił się czarnuch niosący kubek i szczotkę. Gdy chciał nas wyminąć, zawołałem:

- Hej, wuju! Czy masz klucz do tego pokoju?

- Nic z tego, szefie. Nie ma tam nikogusienko. Jak zawsze zamknęli o czwartej i poszli.

- Rozumiem. Dziękuję.

- Się robi, szefie.

Znalazłszy się ponownie na ulicy, uśmiechnąłem się głupkowato do Margrethe - królewskie przyjęcie. Zmykają o czwartej. Kiedy kota nie ma, myszy harcują. Daję słowo, że posypią się głowy. Nie przychodzi mi już do głowy żaden inny banał pasujący do tej sytuacji. Chyba, że taki: Zebracy nie mogą wybrzydzać. Czy zechcesz spać dziś w parku, moja pani? Noc będzie ciepła, nie zapowiadają deszczu. Bez dopłaty za pchły piaskowe i komary.

Spaliśmy w parku Lincolna na polu golfowym na trawie przypominającej żywy welwet pełen żywych pcheł piaskowych.

Mimo to spaliśmy dobrze przez całą noc. Wstaliśmy rano, gdy pojawili się pierwsi gracze i zeszliśmy z pola nieco tylko przybrudzeni.

Po umyciu się w publicznej umywalni w parku spotkaliśmy się ponownie, czystszy i odświeżeni, ja świeżo ogolony, a oboje opici darmową wodą zamiast śniadania. Odczuwałem ogólną wesołość.

Było zbyt wcześnie, aby ci samozwańczy playboye w biurze przyszli już do roboty, gdy więc napotkaliśmy policjanta, zapytałem go, gdzie jest biblioteka publiczna, po czym dodałem:

- Przy okazji, gdzie tu jest port lotniczy?

- Co takiego?

- No, lądowisko dla sterowców.

Gliniarz zwrócił się w stronę Margrethe:

- Proszę pani, czy coś z nim nie tak?

Pół godziny później poczułem, że faktycznie coś ze mną nie tak - gdy sprawdziłem listę instytucji mieszczących się w budynku, który odwiedziliśmy wczoraj po południu... nie byłem jednak naprawdę zdziwiony, gdy stwierdziłem, że Kościołów Zjednoczonych na rzecz Obyczajności na niej nie ma.

Aby się jednak upewnić, udałem się na drugie piętro. W tym pomieszczeniu znajdowała się obecnie firma ubezpieczeniowa.

- No tak, kochanie. Chodźmy do biblioteki publicznej. Dowiemy się, jaki jest ten nowy świat.

- Tak, Alec. - Margrethe odzyskała dobry humor. - Przykro mi, kochanie, że jesteś rozczarowany...

ale ja odczuwam ulgę... tak się strasznie bałam samej myśli o spotkaniu z twoją żoną.

- To ci nie grozi. W żadnym razie. Daję słowo. Hmm. Też odczułem ulgę. Poza tym jestem głodny.

Przeszliśmy kilka dalszych kroków.

- Alec. Nie gniewaj się.

- Najwyżej mogę cię zdzielić w zęby. O co chodzi?

- Mam pięć dwudziestopięciocentówek. Ważnych.

- W takim momencie powinienem zapytać: „Córko, czy dobrze się prowadziłaś w Filadelfii”? No, gadaj. Kogo zabiłaś? Czy dużo było krwi?

- Wczoraj. Przy tym bilardzie. Za każdym razem, gdy Harry wygrywał, dawał mi jedną monetę. „Na szczęście” - mówił.

Postanowiłem jej nie zbić. Rzecz jasna, to nie były „ważne” monety, okazały się jednak wystarczająco do nich podobne, aby pasować do automatów. Minęliśmy tani lokal, jeden z tych, gdzie zawsze pełno jest automatów z żywnością. Tu też tak było. Ceny były potwornie wysokie - pięćdziesiąt centów za małą zleżałą kanapkę, dwadzieścia pięć za kawałek czekolady. Było to jednak lepsze niż niektóre ze śniadań, jakie spożywaliśmy podczas wędrówki. Nie można też było tego nazwać kradzieżą, ponieważ dwudziestopięciocentówki z mojego świata były z prawdziwego srebra. Następnie udaliśmy się do biblioteki publicznej, aby ustalić, w jakim świecie się teraz znaleźliśmy.

Dowiedzieliśmy się szybko. W świecie Margi.

*Ucieka występny, choć nikt go nie goni,
lecz prawy jest pewny jak lwiątko.*

Księga Przysłów 28, 1

Margrethe była równie podniecona jak ja dnia poprzedniego. Kipiała radością. Uśmiechała się nieustannie. Wyglądała jak szesnastolatka. Rozejrzałem się za bezpiecznym miejscem - gdzieś za półkami z książkami czy gdzieś - gdzie mógłbym ją pocałować bez obawy, że nas nakryją. Potem przypomniałem sobie, że był to świat Margrethe, w którym takie rzeczy nikogo nie obchodziły... złapałem ją więc tam, gdzie stała i ucałowałem ją jak należy.

Po czym zafasowałem połajankę od bibliotekarki.

Nie, nie za to, co zrobiłem, a za towarzyszący temu hałas. Publiczne pocałunki jako takie nie uchodziły w tej bibliotece za naruszenie przyzwoitości. Nic dziwnego. Podczas gdy obiecywałem solennie, że będę już cicho i przeproszałem za naruszenie spokoju, zauważyłem napis nad półką tuż przy biurku tej bibliotekarki:

„Nowości. PORNOGRAFIA EDUKACYJNA - wiek od 6 do 12”.

Po piętnastu minutach ponownie machałem swoim kciukiem, tym razem na autostradzie 77 prowadzącej do Dallas.

Dlaczego Dallas? Kancelaria adwokacka: O'Hara, Rigsbee, Crumpacker i Rigsbee.

Gdy tylko wyszliśmy z biblioteki, Marga zaczęła mówić podnieconym głosem, że będzie mogła teraz położyć kres naszym kłopotom dzięki swojemu kontu w banku w Kopenhadze.

- Zaczekaj minutkę, kochanie - powiedziałem. - Gdzie twoja książeczka czekowa? I dokument stwierdzający tożsamość?

Jak się okazało, Margrethe mogła pobrać pieniądze ze swego konta w Danii po kilku dniach - oceniając bardzo optymistycznie - lub kilku tygodniach - patrząc realnie... a nawet ten dłuższy okres wymagał wydania pokażnej sumy na kablogramy. Telefon przez Atlantyk? Marga nie sądziła, żeby istniało coś takiego. (A nawet gdyby tak było, najprawdopodobniej kablogramy były tańsze i pewniejsze.)

Nawet po załatwieniu wszystkich formalności mogło się okazać, że trzeba będzie przesłać pieniądze pocztą z Europy - w świecie, gdzie nie istniała poczta lotnicza.

Tak więc skierowaliśmy się do Dallas. Zapewniłem Marge, że w najgorszym razie adwokaci Aleca Grahama udzielą mu pożyczki wystarczającej na to, abyśmy mogli znaleźć dla siebie jakieś miejsce, a przy odrobinie szczęścia może uda się nam podjąć większą sumę pieniędzy.

(Mogli też nie rozpoznać we mnie Aleca Grahama i udowodnić, że nim nie byłem - za pomocą odcisków palców, podpisu czy czegokolwiek i w ten sposób pochować na zawsze ducha „Aleca Grahama” w słodkiej, lecz zmaconej głowie Margrethe. O tym jej jednak nie wspominałem.)

Z Oklahoma City do Dallas jest dwieście mil. Przybyliśmy tam o drugiej, złapawszy na skrzyżowaniu autostrad 66 i 77 okazję, która zawiozła nas do samej teksasńskiej metropolii.

Wysadzono nas na skrzyżowaniu autostrad 77 i 80 koło Trinity River, skąd udaliśmy się na piechotę do budynku Smitha. Zajęło nam to pół godziny.

Recepcjonistka w apartamencie 7000 przypominała jedną z tych aktorek, występujących w przedstawieniach, na walkę z którymi nasze towarzystwo wydaje tak wiele pieniędzy. Miała coś na sobie, nie było tego jednak zbyt wiele, a jej makijaż należał do tych, które Marga określała jako „stylowe”. Była młoda i ładna, a ja, w swej świeżo nabytej tolerancji, napawałem się tym grzesznym

widokiem.

Uśmiechnęła się mówiąc:

- W czym mogę wam pomóc?
- To ładny dzień na grę w golfa. Który ze współników został w biurze?
- Obawiam się, że tylko pan Crumpacker.
- Z nim właśnie chciałem się widzieć.
- Kogo mam zapowiedzieć?

(Pierwsze spotkanie. A może to ona się potknęła?)

- Czy nie poznaje mnie pani?
- Niestety, nie. A powinnam?
- Od jak dawna pani tu pracuje?
- Trochę dłużej niż trzy miesiące.
- To wszystko tłumaczy. Proszę powiedzieć Crumpackerowi, że przyszedł Alec Graham.

Nie mogłem usłyszeć, co powiedział jej Crumpacker, obserwowałem jednak jej oczy. Mam wrażenie, że źrenice się rozszerzyły. Jestem tego nawet pewien. Powiedziała jednak tylko:

- Pan Crumpacker pana przyjmie.

Następnie zwróciła się do Margrethe:

- Czy mogę dać pani jakieś czasopisma do poczytania, podczas gdy będzie pani czekać? A może chce pani skręta?

- Ona pójdzie ze mną.

- Ale...

- Chodź, Marga! - skierowałem się szybko w stronę gabinetów.

Drzwi Crumpackera łatwo było odnaleźć, ponieważ dobiegało zza nich głośnie utyskiwanie, które jednak ustało, gdy otworzyłem je przed Margrethe. Gdy wszedłem do środka, Crumpacker oświadczył:

- Pani będzie musiała poczekać na zewnątrz.
- Nie - sprzeciwiłem się zamykając za sobą drzwi. - Pani Graham zostanie ze mną.
- Pani Graham? - zapytał zdumiony.

- Zdziwiłeś się, prawda? Od czasu, gdy się ostatnio widzieliśmy, zdążyłem się ożenić. Kochanie, to Sam Crumpacker, jeden z moich adwokatów (odczytałem jego imię z napisu na drzwiach).

- Jak się pan miewa, panie Crumpacker?

- Hmm. Miło mi panią poznać, pani Graham. Gratuluję. Tobie też, Alec. Zawsze miałeś dobre oko do pańienek.

- Dziękuję - odparłem. - Usiądź, Marga!

- Chwileczkę, kochani! Pani Graham nie może tu zostać! Naprawdę nie może! Wiesz o tym przecież.

- Nic nie wiem o niczym podobnym. Tym razem mam zamiar mieć świadka.

Nie, nie byłem pewien, że jest oszustem. Nauczyłem się jednak już dawno w rozmowach z członkami ciał ustawodawczych, że każdy, kto chce rozmawiać z tobą bez świadków, jest podejrzany. Dlatego Kościoły Zjednoczone na rzecz Obyczajności miały na wszystko świadków i zawsze działały w granicach prawa. W ten sposób było taniej.

Marga usiadła. Zrobiłem to samo. Crumpacker, który zerwał się z miejsca, gdy weszliśmy do środka, stał nadal. Jego usta poruszały się nerwowo:

- Powinienem wezwać prokuratora federalnego.
- Proszę bardzo - zgodziłem się. - Tu jest telefon. Proszę do niego zadzwonić. Spotkajmy się z nim

obaj. Opowiedzmy mu wszystko. Przy świadkach. Zaprośmy dziennikarzy. Wszystkich, nie tylko tych, których macie w kieszeni.

(Co wiedziałem? Nic. Kiedy jednak musisz blefować, zawsze rób to z rozmachem. Bałem się. Ten szczur mógł się odwrócić i walczyć jak zapędzona do kąta mysz - i to wściekła.)

- Powiniennem to zrobić.

- No, jazda! Podajmy wszystkie nazwiska. Powiedzmy, kto co zrobił i ile za to dostał. Chcę, żeby wszystko wyszło na jaw... zanim ktoś nasypie mi cyjanku do zupy.

- Nie mów takich rzeczy.

- A kto ma je mówić, jeśli nie ja? Kto wypchnął mnie za burtę? No, kto?

- Czemu patrzysz na mnie?

- Nie, Samie, nie Uważam, że to ty zrobiłeś. Ciebie tam nie było. Mógł to być jednak jeden z twoich synów chrzestnych, co? - Uśmiechnąłem się do niego najszerszym z moich porozumiewawczych uśmiechów. - Tylko żartowałem, Sam. To niemożliwe, żeby mój stary przyjaciel chciał mnie zabić. Możesz mi jednak pomóc i udzielić mi pewnych wyjaśnień. Sam, zostać wypchniętym za burtę na drugim końcu świata nie należy do przyjemności. Jesteś mi coś winien.

(Nie, nadal nic nie wiedziałem... nic, poza oczywistym faktem, że stał przede mną człowiek o nieczystym sumieniu - należało więc go przycisnąć.)

- Alec, nie róbmy niczego zbyt pośpiesznie.

- Mnie się nie śpieszy. Potrzebne mi są jednak wyjaśnienia. I pieniądze.

- Alec, daję ci słowo honoru, że jedno, co wiem, to to, że gdy ten skandynawski statek zawinął do Portland, ciebie nie było na pokładzie. I, na miłość Boską, musiałem jechać do Oregonu tylko po to, żeby służyć jako świadek otwarcia twojej skrytki. I okazało się, że w środku jest tylko sto tysięcy, a reszta zniknęła. Kto zabrał forszę, Alec? Kto to zrobił?

Wbił we mnie wzrok. Miałem nadzieję, że nie mógł nic odczytać z mojej twarzy. Niemniej ugodził mnie celnie. Czy to mogło być prawdą? Ten krętacz potrafił kłamać jak najęty. Czy mój przyjaciel płatnik, sam, albo na spółkę z kapitanem, obrabował moją skrytkę?

Jeśli to tylko możliwe, zawsze należy wybrać prostszą hipotezę.

Bardziej prawdopodobne wydawało się, że ten człowiek był kłamcą, niż że płatnik był złodziejem. Było też prawdopodobne - nie, pewne - że kapitan musiałby być obecny przy tym, jak pan Henderson włamuje się do skrytki zaginionego pasażera. Jeżeli tych dwóch odpowiedzialnych oficerów, mających do stracenia pozycję zawodową i reputację, mimo to zmówiło się, aby mnie okraść, to po co zostawili w skrytce sto tysięcy dolarów? Dlaczego nie zabrać wszystkiego i nie twierdzić, że nie mają pojęcia, co było w środku - tak jak powinno być? Coś tu śmierdziało.

- Czego, jak twierdzisz, brakowało?

- Co? - Spojrzał na Margrethe. - Hmm, do diabła z tym. Powinno być dziewięćset kawałków więcej. To pieniądze, których nie przekazałeś na Tahiti.

- A kto tak powiedział?

- Co? Alec, nie pogarszaj sprawy. Pan Z. tak powiedział. Usiłowałeś utopić jego inkasenta.

Spojrzałem na niego i roześmiałem się.

- Chodzi ci o tych tropikalnych gangsterów? Chcieli zgarnąć cały szmal bez przedstawiania się, nie mówiąc już o pokwitowaniu. Powiedziałem im zdecydowane „nie”. Wtedy ich mózg wysłał swojego goryla, żeby mnie wrzucił do basenu. Hmm. Teraz to rozumiem, Sam. Sprawdź, kto wsiadł na pokład „Konge Knut” w Papeete.

- Po co?

- To będzie twój człowiek. Nie tylko zwinął szmal, lecz również wypchnął mnie za burtę. Kiedy

się dowiesz, kto to, nie zawracaj sobie głowy prośbą o ekstradycję. Podaj mi tylko jego nazwisko. Resztę załatwię osobiście.

- Do diabła, chcemy dostać ten milion.

- Czy myślicie, że uda się wam go odzyskać? Wylądował w łapach pana Z... a wy nie macie pokwitowania. Mnie zaś prośba o pokwitowanie przysporzyła wiele zmartwień. Nie bądź naiwny, Sam. Dziewięćset tysięcy przepadło. Ale nie moja prowizja. Dawaj sto kawałków. I to zaraz.

- Co takiego? Prokurator federalny w Portland zatrzymał je w charakterze dowodu.

- Sam, mój chłopcze, nie ucz ojca robić dzieci. Dowodu w jakiej sprawie? Kto jest podejrzany?

Kto oskarżony? O jakie przestępstwo? Czy oskarżono mnie o to, że ukradłem coś ze swojej własnej skrytki? Jakie przestępstwo popełniono?

- Jak to jakie? Ktoś ukradł te dziewięćset kawałków!

- Doprawdy? A kto wniósł skargę? Kto potwierdzi, że w tej skrytce było jakieś dziewięćset tysięcy? Ja na pewno nikomu o tym nie powiedziałem. A więc kto? Podnieś słuchawkę, Sam, zadzwoń do prokuratora federalnego w Portland i zapytaj go, na jakiej podstawie zatrzymał te pieniądze? Kto wniósł skargę? Dojdźmy do sedna sprawy. Łap za słuchawkę, Sam. Jeśli ten federalny błazen ma moją forszę, zamierzam ją z niego wydusić.

- Masz wielką chętkę na rozmowy z prokuratorami! Dziwnie to brzmi w twoich ustach.

- Być może przeszedłem ostry atak uczciwości, Sam. Fakt, że nie chcesz zadzwonić do Portland, powiedział mi wszystko, co chciałem wiedzieć. Wezwano cię tam, abyś mnie reprezentował jako mój prawnik. Amerykański pasażer wypadł za burtę na zagranicznym statku. To jasne, że natychmiast skontaktowali się z jego adwokatem, aby dokonać spisu stanu posiadania zaginionego. Potem przekazali wszystko adwokatowi, a ten wręczył im pokwitowanie. Sam, powiedz, co zrobiłeś z moim ubraniem?

- Jak to co? Oddałem na Czerwony Krzyż.

- Co proszę?

- Oczywiście po tym, jak prokurator mi je wydał.

- To ciekawe. Prokurator federalny zatrzymuje pieniądze, choć nikt nie wniósł skargi, że jakiegokolwiek zginęły... ale wypuszcza ze swych rąk ubranie, gdy jedynym wchodzącym w grę przestępstwem jest morderstwo!

- Co takiego?

- Ze mną w roli ofiary. Kto mnie wypchnął i kto mu za to zapłacił? Sam, obaj wiemy, gdzie są te pieniądze. - Podniosłem się z krzesła i wskazałem palcem. - W tym sejfie. Logicznie rzecz biorąc, muszą tu być. Nie zaniósłbyś ich do banku, gdyż to pozostawiłoby ślad. Nie schowałbyś ich też w domu, bo twoja żona mogłaby je znaleźć. A już z pewnością nie podzielilibyś się ze współnikami. Sam, otwórz sejf. Chcę zobaczyć, czy w środku jest sto tysięcy... czy milion.

- Kompletnie zwariowałeś!

- Wezwijmy prokuratora! On będzie naszym świadkiem.

Rozwścieczyłem go tak, że zaniemówił. Ręce zaczęły mu drżeć. To niebezpieczne rozgniewać niskiego człowieka tak bardzo, a ja byłem od niego wyższy o sześć cali, mając też odpowiednią do tego przewagę w wadze i innych wymiarach. Nie rzuciłby się na mnie osobiście - był przecież prawnikiem - będę musiał jednak mieć się na baczności, przechodząc przez bramy i w innych podobnych sytuacjach. Pora spróbować go uspokoić.

- Oj, Sam, nie bierz tego tak poważnie. Przycisnąłeś mnie mocno, musiałem więc ci się odwzajemnić. Jeden dobry Bóg zna motywy postępowania prokuratorów. Ten cwaniaczek na pewno zdążył już ukraść całą sumę w przekonaniu, że nie żyję, a więc nie będę się skarżył. Pojadę więc do

Portlandu i przycisnę z kolei jego.

- Czeka tam na ciebie nakaz.
- Czyżby? W jakiej sprawie?
- Uwiedzenie z obietnicą małżeństwa. Jakaś dziewczyna z załogi statku.

Miał na tyle przyzwoitości, aby spojrzeć na Margrethe, szukając wybaczenia:

- Przepraszam, pani Graham, ale pani mąż mnie o to pytał.
- Nie ma sprawy - odrzekła dziarsko.
- Mam powodzenie, nie? Jak ona wygląda? Czy jest ładna? Jak się nazywa?
- Nie widziałem jej. Nie było jej na miejscu. Jakieś szwedzkie nazwisko. Chwileczkę. Już wiem - Gunderson. Margaret S. Gunderson.

Margrethe, serdeczne jej dzięki, nawet nie pisnęła, mimo że nazwano ją Szwedką. Oświadczyłem zdumionym głosem:

- Jestem oskarżony o uwiedzenie tej kobiety... na pokładzie zagranicznego statku, gdzieś na morzach południowych. W Portland czeka na mnie nakaz. Sam, co z ciebie za adwokat. Jak mogłeś pozwolić, aby wydano nakaz aresztowania twojego klienta pod takim zarzutem?

- Jestem bystrym adwokatem i tyle. Sam powiedziałeś, że nie sposób odgadnąć motywów postępowania prokuratorów. Wyjmują im mózgi z czaszek z chwilą mianowania na stanowisko. To po prostu nie było na tyle ważne, aby o tym rozmawiać. Wszyscy uważaliśmy, że i tak nie żyjesz. Po prostu dbam o twoje interesy. Ostrzegłem cię, żebyś się w to nie wpakował. Daj mi trochę czasu na zatuszowanie sprawy. Potem będziesz mógł pojechać do Portland.

- To brzmi rozsądnie. W tym stanie nie wisi nade mną żadne oskarżenie, prawda?

- Nie. Właściwie i tak i nie. Wiesz, jak jest. Zapewniliśmy ich, że już nie wrócisz, zgodzili się więc przymknąć oko na twój wyjazd. Ty jednak wróciłeś. Alec, nie możesz sobie pozwolić, żeby cię tu widziano. Ani nigdzie w Teksasie. A nawet nigdzie w Stanach. Wieści rozchodzą się szybko. Mogą odgrzebać te stare zarzuty.

- Byłem niewinny!

Wzruszył ramionami.

- Alec, wszyscy moi klienci są niewinni. Mówię z tobą po ojcowsku, w twoim własnym interesie. Zjeżdżaj z Dallas. Najlepiej, gdybyś dotarł aż do Paragwaju.

- Jak mam to zrobić? Jestem bez grosza, Sam. Muszę mieć choć trochę szmalu.

- Czy kiedykolwiek cię zawiodłem?

Wyciągnął portfel, odliczył pięć banknotów studolarowych i położył je przede mną. Spojrzałem na nie.

- Co to ma być? Napiwek? - Wziąłem pieniądze i schowałem do kieszeni. - To nie wystarczy nawet na podróż do Bronsville. Daj mi prawdziwe pieniądze.

- Przyjdź jutro.

- Bez takich numerów, Sam. Otwórz ten sejf i daj mi trochę prawdziwych pieniędzy, albo pójdę do tego prokuratora i będę śpiewał jak ptaszek! Kiedy mnie zwolni - a zrobi to na pewno, federalni prokuratorzy uwielbiają świadków oskarżenia, bez nich nigdy nie wygraliby żadnej sprawy - wtedy pojedę do Oregonu i zgarnę te sto kawałków.

- Alec, czy ty mi grozisz?

- Ty chcesz wykręcić numer mnie, a ja tobie. Sam, potrzebny mi samochód. Nie żaden zdezelowany „Ford”, ale „Cadillac”. Nie musi być nowy, byleby był odpicowany na glanc, czysty i z dobrym silnikiem. „Cadillac”, kilka tysiączków i już o północy będziemy w Laredo, a rano w Monterrey. Zadzwonię do ciebie z Mexico City i podam ci adres. Jeśli naprawdę chcesz, żebym

wyjechał na stałe do Paragwaju, prześlij mi na to pieniądze.

Nie udało mi się osiągnąć wszystkiego, co chciałem, zadowolilem się więc używanym „Pontiakiem” i wyszedłem, mając w kieszeni sześć tysięcy dolarów gotówką. Crumpacker powiedział mi, abym się udał do wskazanego składu używanych samochodów i wziął to, co mi tam dadzą. Miał tam zadzwonić i załatwić sprawę. Zgodził się także zatelefonować do Hyatta i zamówić dla nas apartament dla nowożeńców. Miałem się zgłosić do niego jutro o dziesiątej rano.

Nie wyraziłem ochoty, aby wstać tak wcześnie.

- Najwyżej o jedenastej. To nasz miódowy miesiąc.

Sam roześmiał się, poklepał mnie po plecach i wyraził zgodę.

Znalazłszy się na korytarzu, skierowaliśmy się w stronę wind, lecz zamiast wsiąść do jednej z nich, przeszedłem o dziesięć stóp dalej i otworzyłem przed Margrethe drzwi wyjścia ewakuacyjnego. Poszła za mną bez komentarza, gdy tylko jednak znaleźliśmy się na klatce schodowej, poza zasięgiem słuchu innych, powiedziała:

- Alec, ten człowiek nie jest twoim przyjacielem.

- Tak jest w istocie.

- Boję się o ciebie.

- Ja też się boję o siebie.

- Bardzo się boję. Boję się o twoje życie.

- Kochanie, też się lękam o swoje życie. I o twoje także. Jesteś w niebezpieczeństwie tak długo, jak długo przebywasz ze mną.

- Nie porzucę cię!

- Wiem o tym. Bez względu na wszystko będziemy dzielić swój los.

- Tak jest. Jakie mamy plany?

- Jedziemy do Kansas.

- Wspaniale. A więc nie zawiesz nas tym samochodem do Meksyku?

- Kochanie, ja nawet nie umiem prowadzić.

Wyszliśmy z garażu pod budynkiem i wdrapaliśmy się na rampę prowadzącą w boczną ulicę. Następnie oddaliliśmy się o kilka przecznic od budynku Smitha, złapaliśmy taksówkę, która zawiozła nas do „Texas and Pacific Station”, gdzie z postoju wzięliśmy kolejną taksówkę i pojechaliśmy nią do Fort Worth, które leżało o dwadzieścia pięć mil na zachód. Margrethe przez cały czas zachowywała się bardzo cicho. Nie pytałem jej, o czym myśli, ponieważ wiedziałem to: nikogo nie uszczęśliwia wiadomość, że osoba, w której się zakochał, jest zamieszana w jakąś aferę śmierdzącą gangsterstwem i ciemnymi interesami. Złożyłem sam przed sobą solenną obietnicę, że nigdy nie wspomnę o tej sprawie ani słowem.

W Fort Worth kazałem taksjarszowi, żeby wysadził nas na ulicy, na której są najbardziej eleganckie sklepy, pozwalając, aby sam ją wybrał. Następnie oświadczyłem Mardze:

- Kochanie, zamierzam ci kupić ciężki złoty łańcuch.

- Na Boga, kochany! Nie potrzebuję czegoś takiego.

- Oboje tego potrzebujemy. Marga, kiedy po raz pierwszy byłem w tym świecie z tobą - na „Konge Knut” - dowiedziałem się, że tutaj dolar jest miękka walutą, bez pokrycia w złocie. Każda z cen, które dzisiaj widziałem, potwierdza to. Jeśli więc nadejdzie kolejna zmiana - a nie można tego wykluczyć - nawet monety z tego świata - dziesięcio- i dwudziestopięciocentówki oraz półdolarówki nie będą miały żadnej wartości, ponieważ nie są srebrne. Jeśli zaś chodzi o banknoty, które dostałem od Crumpackera - makulatura! Chyba, żebym zamienił te pieniądze na coś innego. Zaczniemy od tego złotego łańcucha. Od tej chwili będziesz nosiła go na sobie w łóżku i w kąpielni, chyba że zawieszisz

go na mojej szyi.

- Rozumiem.

- Kupimy trochę ciężkiej złotej biżuterii dla nas obojga. Spróbuję też znaleźć jakiegoś handlarza monet i kupić trochę srebrnych dolarów, a może i złotych. Moim celem jest pozbycie się większości tych banknotów w ciągu następnej godziny. Zostawimy sobie tylko pieniądze na bilet autobusowy do Wichita, które leży trzysta pięćdziesiąt mil na północ od tego miejsca. Czy zniesiesz całonocną podróż autobusem? Chciałbym, żebyśmy opuścili Teksas.

- Oczywiście! Och, kochanie, ja też pragnę wyjechać z Teksasu! Doprawdy, wciąż się boję.

- Doprawdy, nie ty jedna.

- Ale...

- Ale co, kochanie? Czemu wyglądasz tak smutno?

- Alec, nie kąpałam się od czterech dni.

Odnaleźliśmy jubilera i sklep z monetami. Wydałem mniej więcej połowę tych tak zwanych pieniędzy, pozostawiając resztę na bilety autobusowe i inne wydatki w tym świecie, takie jak obiad, który zjedliśmy tuż przed zamknięciem sklepów. Hamburger spożyty w Gainesville wydawał się nam już straszliwie odległy w czasie i przestrzeni. Następnie ustaliłem, że autobus w kierunku północnym - Oklahoma City, Wichita, Salina - odchodzi o dziesiątej wieczorem. Kupiłem bilety, dopłacając do każdego po dolarze za miejscówkę. Później zmarnotrawiłem resztę pieniędzy jak pijany marynarz. Zamówiliśmy pokój w hotelu naprzeciwko dworca autobusowego, wiedząc, że opuścimy go za dwie godziny.

Opłaciło się. Gorąca kąpiel dla nas obojga, po kolei. Jedno z nas było w pełni ubrane i trzymało ubranie drugiego, biżuterię i wszystkie pieniądze, podczas gdy drugie było nagie i mokre. Nie zapomnieliśmy też o maszynce do golenia, która stała się naszym talizmanem pozwalającym przechrzyć Lokiego wraz z jego podstępными sztuczkami.

Potem założyliśmy oboje nową, czystą bieliznę, którą nabyliśmy w przelocie podczas zamieniania naszych papierowych pieniędzy na walutę.

Miałem nadzieję, że wystarczy czasu na miłość, ale nic z tego. W chwili gdy ubrałem się i wysuszyłem, musieliśmy się już wymeldować, aby zdążyć na autobus. Nic nie szkodzi. Będą jeszcze inne okazje. Wgramoliliśmy się do autobusu i rozłożyliśmy siedzenia. Marga położyła głowę na moim ramieniu. Gdy autobus ruszył na północ, zasnęliśmy oboje.

Po jakimś czasie obudziły mnie wyboje na drodze. Siedzieliśmy tuż za kierowcą, pochyliłem się więc do przodu i zapytałem:

- Czy to objazd?

Nie przypominałem sobie, żebyśmy mijali jakiś wyboisty odcinek, jadąc tą samą drogą na południe około dwunastu godzin temu.

- Nie - odparł. - Po prostu jesteśmy już w Oklahomie. W tym stanie nie ma wielu dróg bitych. Trochę w pobliżu Oke City i jeszcze kawałek pomiędzy nim a Guthrie.

Nasza rozmowa obudziła Margrethe, która uniosła głowę.

- Co się stało, kochanie?

- Nic. Po prostu Loki sobie z nas żartuje. Kładź się spać!

„Ci w białe szaty przyodziani,

kim są i skąd przybyli?"

I powiedziałem do niego:

„Panie, ty wiesz",

I rzekł do mnie:

„To są ci, co przychodzą z ucisku wielkiego

i oplukali swe szaty,

i we krwi Baranka je wybielili.

Dlatego są przed tronem Boga

i w Jego Świątyni cześć Mu oddają we dnie i w nocy".

Apokalipsa 7, 13 - 15

Trzymałem w rękach lejce konnego powozu. Nie czułem się dobrze. Dzień był gorący. Kurz wzbijany przez końskie kopyta przylepiał się do pokrytej potem skóry. Much było pełno. Nie było czuć nawet najłżejszego powiewu. Znajdowaliśmy się gdzieś w pobliżu narożnika stanów Missouri, Kansas i Oklahoma, nie byłem jednak pewien gdzie. Nie widziałem mapy od wielu dni. Na drogach nie było tu drogowskazów wskazujących kierunek automobilistom, gdyż nie było automobilistów.

Ostatnie dwa tygodnie (w przybliżeniu - straciłem rachunek dni) były niekończącymi się męczarniami Syzyfa. Ciągłe napotykaliliśmy na nowe absurdalne przeszkody. Chcesz sprzedać srebrne dolary lokalnemu kupcowi w zamian za miejscowe banknoty? Żadna sprawa. Robiłem to wiele razy. Nie zawsze jednak dawało to cokolwiek. Pewnego razu zamieniłem srebro na banknoty, zamówiliśmy obiad i bach, kolejna zmiana światów, a my nadal jesteśmy głodni. Innym razem oszukano mnie w sposób bezczelny, a gdy się poskarżyłem, usłyszałem:

- Chłopie, posiadanie takich monet jest zabronione i ty o tym wiesz. Mimo to chcę ci za nie coś dać, ponieważ cię lubię. Weźmiesz te pieniądze, czy mam wykonać swój obywatelski obowiązek?

Wziąłem pieniądze. Banknoty, które nam dał za pięć uncji srebra, nie wystarczały na zakup obiadu dla mnie i dla Margi w stylowym lokalu zwanym „Stołownia mamuśki". Było to w uroczej miejscowości zwanej (sądząc z napisu na jej skraju):

DZIESIĘCIORO PRZYKAZAŃ

Czysta miejscowość.

Czarnuchy, żydki, papiści,

Wynocha!

Także się wynieśliśmy. Próba pokonania dwustu mil drogi dzielących Oklahoma City od Joplin zajęła nam całe dwa tygodnie. Zostałem zmuszony do rezygnacji z pomysłu ominięcia Kansas City. Nadal nie miałem zamiaru przebywać dłużej w samym mieście lub w jego okolicach, licząc się z tym, że nagła zmiana światów mogła nas wpakować w objęcia Abigail.

Dowiedziałem się jednak w Oklahoma City, że najszybsza i w gruncie rzeczy jedyna sensowna trasa do Wichita prowadziła przez Kansas City, choć trzeba było nadłożyć znacznie drogi. Cofnęliśmy się do epoki pojazdów konnych.

Gdy wziąć pod uwagę wiek Ziemi - od chwili stworzenia w roku 4004 przed Chrystusem, aż do roku pańskiego 1994 - 5998 lat (powiedzmy 6000) - to w stosunku do tego czasu 80 czy 90 lat nie wydaje się długim okresem. Tylko tyle lat upłynęło w moim świecie od czasów pojazdów konnych. Mój ojciec urodził się w tamtych czasach (1909), a mój dziadek ze strony ojca nie tylko nigdy nie

miał automobila, ale nawet nie chciał do niego wsiąść. Twierdził, że jest to wynalazek diabła i cytował na dowód wersety z Ezechiela. Być może miał rację.

Lecz epoka pojazdów konnych ma swoje wady. Niektóre z nich są oczywiste - brak kanalizacji, klimatyzacji czy nowoczesnej medycyny. Dla nas jednak najgorszą była ta, która nie wydaje się oczywista - tam, gdzie nie ma samochodów i ciężarówek, nie ma praktycznie autostopu. Och, czasami jakiś farmer podwiezie cię swoim wozem, lecz różnica prędkości między krokiem ludzkim a końskim nie jest zbyt wielka. Jechaliśmy, gdy było to możliwe, lecz tak czy inaczej piętnaście mil dziennie stanowiło dobry wynik, a nawet zbyt dobry, gdyż nie pozostawiało czasu, aby zapracować na posiłek i miejsce do spania.

Istnieje taki stary paradoks - Achilles i żółw - w którym odległość do twojego celu zmniejsza się z każdym krokiem o połowę. Pytanie brzmi: ile czasu potrzeba, aby osiągnąć cel, a odpowiedź: nie można tego dokonać.

W podobny sposób „posuwaliśmy się” z Oklahomy City do Joplin.

Moją frustrację pogłębiał jeszcze jeden czynnik. Byłem coraz mocniej przekonany, że naprawdę przeżywamy dni ostatnie, i że w każdej chwili możemy oczekiwać powrotu Jezusa i dnia sądu, a moja ukochana, moja niezbędna, nie powróciła jeszcze w ramiona Jezusa. Powstrzymałem się od naciskania jej w tej sprawie, choć uszanowanie jej życzenia, aby mogła sama podjąć decyzję, wymagało wyęczenia całej mojej siły woli. Martwiłem się o nią tak, że nie mogłem spać w nocy.

Ogarnęło mnie też lekkie szaleństwo (na dodatek do mojego paranoicznego przekonania, że te zmiany światów były wymierzone we mnie osobiście), które polegało na tym, że nabrałem głębokiego, choć niczym nieuzasadnionego przekonania, iż ukończenie tej podróży miało zasadnicze znaczenie dla bezpieczeństwa nieśmiertelnej duszy mojej ukochanej. Pozwól nam tylko dotrzeć do Kansas, mój Boże, będę się modlił nieustannie, aż ją nawrócę i przywiodę do łaski. O Panie, Boże Izraela, przyznaj mi tę łaskę!

Nadal poszukiwałem pracy przy zmywaniu naczyń (lub innej), choć mieliśmy jeszcze srebro i złoto, które mogliśmy zamieniać na miejscowe pieniądze. Motele jednak zniknęły bez śladu, hoteli było niewiele, a liczba i rozmiary restauracji zmniejszyły się zgodnie z wymogami systemu, w którym niewielu ludzi podróżowało i wszystkie niemal posiłki spożywano w domu.

Łatwiej było znaleźć pracę przy czyszczeniu stajni publicznych niż w restauracji. Wolałem zmywanie naczyń od uprzątnięcia nawozu, zwłaszcza że miałem tylko jedną parę butów, trzymałem się jednak zasady, że przyjmę każdą uczciwą pracę, byle tylko posuwać się naprzód.

Możecie się dziwić, dlaczego nie przerwaliśmy się na wskakiwanie do pociągów towarowych w biegu. Po pierwsze, nie wiedziałem, jak to się robi, ponieważ nigdy sam tego nie robiłem. Co jednak ważniejsze, nie mogłem zapewnić bezpieczeństwa Mardze. Skok do pędzącego wagonu wiąże się zawsze z pewnym ryzykiem, gorsze jednak niebezpieczeństwo mogło grozić ze strony ludzi - kolejowych gliniarzy, włóczęgów, trampów, rabusiów i innych łachmytów. Nie ma sensu rozprawiać o tych strasznych zagrożeniach, gdy trzymałem Margę z daleka od linii kolejowych i panującej tam dżungli. Nadal się martwiłem. Choć przestrzegałem ściśle jej prośby, aby nie wywierać na nią nacisku, zacząłem każdego wieczora modlić się na głos, padając na kolana. Wreszcie, ku mojej wielkiej radości, moja ukochana uklękła i przyłączyła się do mnie. Nie modliła się na głos i ja również przestałem to robić, ograniczając się jedynie do końcowego: „W imię Jezusa, amen”. Nadal na ten temat nie rozmawialiśmy.

Wyładowałem z lejcami tego powozu w ręku (Boże, co za upał! - Idzie na cyklon - powiedziałaaby babcia Hergensheimer), na skutek podjęcia pracy przy czyszczeniu stajni publicznej. Jak zwykle rzuciłem pracę po pierwszym dniu mówiąc mojemu tymczasowemu pracodawcy, że muszę jechać z

żoną do Joplin, ponieważ jej matka zachorowała. Oświadczył mi wtedy, że ma powóz, który musi zostać zwrócony w najbliższym mieście leżącym w tamtym kierunku.

Chodziło mu o to, że ma już za dużo wozów i szkap, własnych i cudzych, w związku z czym nie może czekać, aż nadarzy się okazja zwrócenia go poprzez wynajęcie go jadącemu w tamtym kierunku handlarzowi.

Zaoferowałem się, że zwrócę go za niego za tę samą śmiesznie niską sumę, jaką zapłacił mi za całodienne uprzążenie nawozu, lecz odpowiedział mi, że to on wyświadcza mi przysługę, gdyż musimy wraz z żoną dostać się do Joplin.

Miał rację, a poza tym był w lepszej pozycji, więc wyraziłem zgodę. Lecz jego żona dała nam obiad, podobnie jak śniadanie, po tym jak przespaliśmy się w ich szopie.

Tak więc pomimo pogody i rozlicznych frustracji, prowadząc ten powóz, nie czułem się zbyt nieszczęśliwy. Z każdym dniem zbliżaliśmy się do Joplin, a moja ukochana zaczęła się modlić. Wszystko zaczynało chyba zmierzać ku lepszemu.

Dotarliśmy właśnie na skraj tego miasta (Lowell? Racine? Niestety nie pamiętam), gdy napotkaliśmy coś, co wywodziło się wprost z czasów mojego dzieciństwa: publiczny mityng. Staroświeckie zgromadzenie religijne. Po lewej stronie drogi znajdował się cmentarz. Był on dobrze utrzymany, lecz trawa zaczynała na nim wysychać. Po prawej stronie, na pastwisku, rozbity był namiot, w którym odbywało się zgromadzenie. Zastanawiałem się, czy to połączenie cmentarza z mityngiem biblijnym było przypadkowe, czy też miało charakter celowy? Gdyby brał w tym udział wielebny Danny, wiedziałbym, że było to celowe. Większość ludzi na widok nagrobków nie może powstrzymać się od myśli o życiu pozagrobowym.

Długie rzędy wozów stały w pobliżu namiotu. Za nimi znajdowała się prowizoryczna zagroda. Po drugiej stronie namiotu rozstawiono stoły zmontowane z desek, na których mogłem dostrzec resztki obiadu. To był wielki mityng biblijny, który zaczął się rankiem i - po przerwie obiadowej - miał być kontynuowany po południu, z przerwą na kolację, a zakończony zostanie niewątpliwie dopiero wtedy, gdy kaznodzieja uzna, że tego dnia nie uda mu się już zbawić żadnej duszy.

(Mam w pogardzie nowoczesnych wielkomiejskich kaznodziejów z ich pięciominutowymi „inspirowanymi wypowiedziami”. Podobno Billy Sunday potrafił kazać przez siedem godzin o szklance wody a następnie powtórzyć to samo wieczorem i następnego dnia jeszcze raz. Nic dziwnego, że pogańskie kultury pienią się jak chwasty!)

W pobliżu namiotu stał kryty wóz zaprzężony w dwa konie. Na jego boku wymalowano napis: „Brat »Bible« Barnaby”. Z przodu na rozpiętym na linach płótnie widniał szyld:

Ta stara religia!

Brat „Bible” Barnaby.

Uzdrawianie na każdym mityngu.

Dziesiąta rano - druga - siódma.

Codziennie od niedzieli 5 czerwca aż do

DNIA SĄDU!!!

Zawołałem na szkapę i ściągnąłem lejce, aby jej powiedzieć, że chcę się zatrzymać.

- Kochanie! Spójrz na to!

Margrethe przeczytała szyld, powstrzymując się od komentarzy.

- Podziwiam jego odwagę - stwierdziłem. - Brat Barnaby stawia swą reputację na to, że Dzień Sądu nastąpi przed czasem zbierania pszenicy, który może w tym roku nadejść wcześniej, ze względu na upał.

- Ale ty też sądzisz, że Dzień Sądu jest blisko.

- Tak, ale nie postawiłbym na to swej zawodowej reputacji... jedynie nieśmiertelną duszę i nadzieję na pójście do nieba. Marga, każdy badacz Biblii odczytuje proroctwa nieco inaczej. Lub zupełnie inaczej. Większość współczesnych premillenarystów nie oczekuje Dnia Sądu wcześniej niż w roku dwutysięcznym. Chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób rozumuje brat Barnaby. Może coś znalazł. Czy masz coś przeciwko temu, żebyśmy zostali na godzinę?

- Zostaniemy tak długo, jak sobie tego życzysz. Ale... Alec, dlaczego chcesz, żebym poszła tam z tobą? Czy muszę?

- Hmm... (Tak kochanie, z pewnością chcę, żebyś ze mną poszła.) Czy wolałabyś poczekać w powozie?

Jej milczenie stanowiło wystarczającą odpowiedź.

- Rozumiem. Marga, nie chcę cię do niczego zmuszać. Jest tylko jedna sprawa... Od kilku tygodni nie rozstawaliśmy się ze sobą, chyba że było to absolutnie konieczne. Wiesz z jakiego powodu. Zmiany nadchodzą niemal codziennie. Nie chciałbym, żeby jedna z nich zaskoczyła nas w chwili, gdy ty będziesz siedzieć tutaj, a ja w środku, daleko od ciebie. Hmm, moglibyśmy oboje stanąć na zewnątrz. Widzę, że zwijają ściany.

Wyprostowała ramiona.

- Byłam niemądra. Nie, Alec, wejdziemy do środka. Masz rację, muszę cię trzymać za rękę. Zmiany nadchodzą szybko. Nie mogę cię prosić, żebyś nie szedł na mityng twych współwyznawców.

- Dziękuję, Marga.

- I, Alec... naprawdę spróbuję!

- Dziękuję ci. Dziękuję bardzo! Amen!

- Nie musisz mi dziękować. Jeśli pójdziesz do swojego nieba, chcę tam iść z tobą!

- Wejźmy do środka, kochanie.

Postawiłem nasz powóz na samym końcu szeregu i zaprowadziłem kobyłę do zagrody. Marga poszła za mną. Wracając do namiotu, usłyszałem głosy śpiewające:

...jasne światło tu!

Zapal jasne światło tu!

Ktoś daleko jest od portu,

możesz wskazać drogę mu!

Dołączyłem się do nich: - Zapal jasne światło tu!

Od razu poczułem się dobrze. Ich orkiestra składała się z organów na nożną pompkę oraz puzonu. Ten ostatni zaskoczył mnie, było to jednak miłe zaskoczenie. Żaden inny instrument nie da sobie rady z „Miastem Świętym” tak jak puzon, a do „Syn Boży wyrusza na wojnę” jest on niemal niezbędny. Kongregację wspomagał w śpiewie chór ubrany w białe anielskie szaty. Musiał on być zebrany dorywczo, gdyż szaty wykonano sposobem domowym, z prześcieradeł. Jednak braki w profesjonalizmie jego członkowie nadrabiali entuzjazmem. Muzyka kościelna nie musi być dobra, pod warunkiem, że jest autentyczna i - głośna. Przez środek prowadziła ścieżka o szerokości sześciu stóp, wysypana trocinami. Po obu jej stronach stały ławki. Kończyła się ona przy odgradzającej prezbiterium poręcz z desek o wymiarach dwa na cztery cale. Wyraziłem nadzieję na otrzymanie miejsc w pierwszych rzędach, więc kościelny pozwolił nam przejść pod poręczą. Było tam tłoczno, kazał jednak ludziom się ścisnąć i zdobyliśmy miejsca w drugim rzędzie, tuż przy wyjściu - ja na zewnątrz. Tak jest, z tyłu były jeszcze miejsca, lecz żaden kaznodzieja nie lubi ludzi - a jest ich legion! - którzy siedzą sobie z tyłu, podczas gdy są jeszcze miejsca z przodu.

Gdy muzyka przestała grać, brat Barnaby wstał, podszedł do pulpitu i położył rękę na Biblii.

- Wszystko jest w Księdze - powiedział cicho, niemal szeptem.

Wśród wiernych zapanowała śmiertelna cisza.

Zrobił krok naprzód i rozejrzał się wkoło.

- Kto cię kocha?

- Jezus mnie kocha!

- Głośniej, niech cię usłyszy.

- JEZUS MNIE KOCHA!

- Skąd to wiesz?

- TO JEST W KSIĘDZE!

Do mojej świadomości doszła woń, której nie czułem już od dawna. Mój profesor homiletyki zwrócił nam pewnego razu na ćwiczeniach uwagę, że kongregacja, którą ogarnął religijny ferment, wydziela silną i charakterystyczną woń (on użył słowa „smród”) składającą się z zapachu potu oraz hormonów, zarówno męskich, jak i żeńskich.

- Moi mili - powiedział nam - jeśli wasi wierni pachną zbyt słodko, to znaczy, że do nich nie docieracie. Musicie wydusić z nich poty. Jeżeli nie popłynie z nich woń piżma, jak z kocura w rui, możecie dać sobie z tym spokój i przejść do papistów. Ekstaza religijna jest najsilniejsza z ludzkich emocji. Gdy się pojawi, można wyczuć jej zapach!

Brat Barnaby potrafił tego dokonać.

(Muszę przyznać, że mnie się nigdy nie udało. Dlatego właśnie skończyłem jako organizator i zajmujący się zbiórkami pieniędzy.)

- Tak jest, to jest w Księdze. Biblia jest słowem Bożym. Nie tylko niektóre kawałki, lecz każde jej słowo. Nie w sensie przenośnym, lecz dosłownym. Poznacie prawdę i prawda was wyzwoli. Przeczytam wam teraz fragment z Księgi: „Sam Pan zstąpi z nieba na hasło i głos Archanioła, a zmarli w Chrystusie powstaną pierwsi”. To ostatnie zdanie to wspaniała wiadomość, bracia i siostry. „Zmarli w Chrystusie powstaną pierwsi”. Co nam to mówi? Nie, że zmarli powstaną pierwsi, lecz że uczynią to zmarli w Chrystusie. Ci, którzy zostali skąpani we krwi Baranka, powtórnie narodzeni w Jezusie, a potem zmarli w stanie łaski przed Jego drugim przyjściem, nie zostaną zapomniani. Będą pierwsi. Ich groby otworzą się, zostaną w cudowny sposób przywrócić do życia, zdrowia i fizycznej doskonałości i poprowadzą paradę do nieba, gdzie zamieszkają w szczęściu pod wielkim białym tronem na wieki!

- Alleluja! - rozległ się krzyk.

- Niech cię Bóg błogosławi, siostrze. Ach, to wspaniała wiadomość! Wszyscy zmarli w Chrystusie, co do jednego! Siostra Ellen, zabrana od swej rodziny okrutną ręką raka, zmarła z imieniem Jezusa na ustach, osobiście poprowadzi procesję! Ukochana żona Asy, która zmarła przy porodzie, lecz w stanie łaski, również tam będzie! Wszyscy wasi bliscy, którzy zmarli w Chrystusie, zbiorą się razem i ujrzycie ich w niebie. Brat Ben, który wiódł życie w grzechu, lecz odnalazł Boga w swym okopie, zanim trafiła go nieprzyjacielska kula, również tam będzie... i to jest szczególnie dobra wiadomość, która mówi nam, że Boga można odnaleźć wszędzie. Jezus jest obecny nie tylko w kościołach. W gruncie rzeczy istnieją nowomodne kościoły, gdzie Jego imię słyszy się nader rzadko...

- Powtórz to jeszcze raz!

- Powtórzę. Bóg jest wszędzie, może was jednak usłyszeć tylko wtedy, gdy przemówicie do Niego. Łatwiej o to, gdy orzecie pole lub klęczycie przy swym łóżku, niż gdy modlicie się w jakiejś bogato ozdobionej katedrze w otoczeniu wymalowanych i wyperfumowanych dewotów. On jest tu z nami w tej chwili i obiecuje wam: „Oto stoję u drzwi i kołaczę. Jeśli kto posłyszycie mój głos i otworzy, wejść do niego i będę z nim wieczerzał, a on ze mną”. Oto jego obietnica, najmilszy, w prostych słowach. Żadnych niejasności, żadnych wymyślnych „interpretacji”, żadnych tak zwanych przenośnych sensów.

Sam Chrystus czeka na was, jeśli tylko go zaprosicie.

A jeśli to zrobicie, jeśli powtórnie narodzicie się w Jezusie, jeśli zmyje on wasze grzechy i osiągniecie stan łaski... co wtedy? Przeczytałem wam pierwszą część obietnicy, którą Bóg złożył wiernym. Usłyszycie głos i wielką trąbę zapowiadającą jego przybycie tak, jak obiecał, i zmarli w Chrystusie powstaną. Ich wyschnięte kości podniosą się z grobu i pokryją się żywym, zdrowym ciałem. I co wtedy? Posłuchajcie słów pańskich: „Potem my, żywi i pozostawieni...” - to o nas, bracia i siostry. Bóg mówi o nas - „Potem my żywi i pozostawieni, wraz z nimi będziemy porwani w powietrze, na obłoki naprzeciw Pana, w ten sposób zawsze będziemy z Panem”. Zawsze! Zawsze! Z Panem w niebiosach!

- Alleluja!

- Błogosław Boże!

- Amen! Amen!

(Stwierdziłem, że jestem jednym z tych, którzy powtarzają „Amen!”)

- Trzeba jednak zapłacić cenę. Nie ma darmowych biletów do nieba. Co się wydarzy, jeśli nie poprosicie Jezusa o pomoc? Jeśli zignorujecie jego ofertę obmycia się z grzechów i ponownego narodzenia w krwi Baranka? Co wtedy? No? Odpowiedzcie!

Wierni milczeli. Słysząc było jedynie ciężkie oddechy. Nagle z tyłu zabrzmiał niepewnie jakiś głos:

- Piekło.

- Piekło! Potępienie! Nie tylko przez krótki okres, lecz przez całą wieczność! Nie jakiś tam mistyczny, alegoryczny płomień, który przypali jedynie wasz spokój ducha i parzy nie mocniej niż sztuczne ognie w dniu 4 lipca.

To prawdziwy gorejący ogień, tak prawdziwy jak to. - Brat Barnaby walnął w pulpit tak mocno, że hałas dał się słyszeć w całym namiocie. - To taki ogień jak ten, w którym kowadło rozgrzewa się do czerwoności, a potem do białości. To ty będziesz w tym ogniu, grzeszniku! Straszliwy ból będzie trwał i trwał, i nigdy nie ustąpi! Nigdy! Nie ma dla ciebie nadziei. Nie ma po co prosić o drugą szansę. Miałeś już swoją drugą szansę... i milionową też. Nawet więcej. Przez dwa tysiące lat słodki Jezus prosił cię, błagał, abyś przyjął od niego to, za co zginął w męczarniach na krzyżu. Gdy znajdziesz się już w ognistej czeluści, płonąc i usiłując wykasłać z płuc siarkę - zwykłą, ordynarną siarkę - płonącą i cuchnącą - która spali twe płuca i pokryje pęcherzami twą grzeszną skórę, gdy więc będziesz się piekł głęboko w czeluści za twoje grzechy, nie próbuj jęczeć, że bardzo cię to boli, i że nie wiedziałeś, że to będzie tak. Jezus wie wszystko o bólu. On umarł na krzyżu. Umarł za ciebie. Nie chciałeś jednak go wysłuchać i teraz jęczysz głęboko w czeluści.

I tam już pozostaniesz, cierpiąc w płomieniach przez całą wieczność! Twoich jęków nie sposób usłyszeć z czeluści, ponieważ zagłuszają je wrzaski miliardów innych grzeszników!

Brat Barnaby ściszył głos, jak podczas zwykłej rozmowy, zadając pytanie:

- Czy chcecie płynąć w czeluści?

- Nie!

- Nigdy!

- Zbaw nas, Jezus!

- Jezus was zbawi, jeśli go o to poprosicie. Ci, którzy umarli w Chrystusie, już są zbawieni. Czytaliśmy o nich. Ci, którzy dożyją chwili jego powrotu, będą zbawieni, jeśli zostaną powtórnie narodzeni i zachowają ten stan łaski. On obiecał nam, że powróci, i że szatan zostanie skuty łańcuchami na przeciąg tysiąca lat, podczas gdy On zaprowadzi tutaj na Ziemi rządy pokoju i sprawiedliwości.

To jest milenium, ludzie, to wielki dzień, który nadchodzi. Po upływie tysiąca lat szatan zostanie uwolniony na czas ostatniej bitwy. Walka toczyć się będzie na niebie. Archanioł Michał będzie generałem naszej strony. Poprowadzi on Bożych aniołów przeciwko smokowi - szatanowi - i jego zastępom upadłych aniołów. I szatan poniesie klęskę za tysiąc lat od tej chwili i nigdy więcej nie ujrzą już go pod słońcem. To jednak stanie się dopiero za tysiąc lat, moi drodzy. Ujrzenie to na własne oczy... jeśli przyjmiecie Jezusa i zostanieie ponownie narodzeni, zanim zabrzmi trąba i obwieści jego powrót. Kiedy to się stanie? Już niedługo! Co mówi Księga? W Biblii Bóg mówi wam, nie jeden raz, lecz wielokrotnie - u Izajasza, Daniela, Ezechiela, we wszystkich czterech Ewangeliach - że nie będziecie znać dokładnej godziny jego powrotu. Dlaczego? Dlatego, żebyście nie mogli schować śmieci pod dywan! Gdyby powiedział wam, że przybędzie na Nowy Rok w roku dwutysięcznym, znaleźliby się tacy, którzy spędziliby najbliższe pięć i pół roku grzesząc z występnyimi kobietami, oddając cześć obcym bogom, łamiąc wszystkie z Dziesięciorga Przykazań... aż nagle, gdzieś w okolicy Bożego Narodzenia roku 1999, ujrzelibyśmy ich w kościele żałujących głośno za grzechy i usiłujących załatwić sobie zbawienie.

Nic z tego, cwaniaczki! Żadnych chachmęctw! Cena jest jednakowa dla wszystkich. Głos i dźwięk trąby mogą nadejść za kilka miesięcy... albo też usłyszycie je, zanim skończę to zdanie. Musicie być przygotowani, że koniec świata nadejdzie w każdej chwili!

Wiemy jednak, że nastąpi on wkrótce! Skąd? Ponownie z Księgi. Znaki i cuda. Pierwszy, bez którego pozostałe nie mogłyby się wydarzyć, to powrót dzieci Izraela do Ziemi Obiecanej. Sprawdźcie to u Ezechiela, u Mateusza i w dzisiejszych gazetach. Mieli odbudować świątynię... i zrobili to, mur, beton. Piszą o tym w „Kansas City Star”. Są też inne znaki i cuda wszelkiego rodzaju, świadczą o rychłym końcu świata przede wszystkim dni ucisku, którym poddawane są dusze ludzkie, klęski i nieszczęścia na miarę tych, jakie dotknęły Hioba. Czy istnieje jakieś lepsze słowo na określenie dwudziestego stulecia niż „dni ucisku”? Wojny, terroryści, zamachy, pożary i epidemie. I znowu wojny. Nigdy w historii ludzkość nie musiała wycierpieć tak wiele. Wytrzymajcie to jednak, podobnie jak Hiob, a na końcu oczekuje was szczęście i wiekuisty pokój. Pokój Boży, który jest poza wszelkim pojmowaniem. Bóg wyciąga do was rękę. On was kocha. On was zbawi.

Brat Barnaby przestał mówić i wytarł czoło wielką chustką, która była już cała przemoczona. Chór (być może na jego znak) zaczął śpiewać: „Zbierzemy się nad rzeką, nad piękną, piękną rzeką, płynącą pod Boży tron”, a po chwili przeszedł w: - „Stoję tutaj grzechu pełen...”

Brat Barnaby opadł na jedno kolano i wyciągnął ręce w naszą stronę:

- Odpowiedzcie mu, proszę! Chodźcie, przyjmijcie Jezusa, pozwólcie mu zebrać was w jego ramionach...

Chór nadal śpiewał cicho:

„...lecz przelałeś za mnie krew.

I kazałeś przyjść do Ciebie

O, Baranku, przyjdę, wiedz.”

I wtedy zstąpił Duch Święty.

Poczułem, jak ogarnia mnie On i radość Jezusa wypełniła moje serce. Podniosłem się i stanąłem w przejściu. Dopiero w tej chwili przypomniałem sobie, że jest ze mną Margrethe. Odwróciłem się i dostrzegłem, że wpatruje się we mnie. Jej twarz przybrała słodki i bardzo poważny wyraz.

- Chodź, kochanie - szepnąłem i poprowadziłem ją ze sobą. Razem udaliśmy się wysypaną trocinami ścieżką do Boga.

Przy poręczu stali już inni. Znalazłem dla nas miejsce, odstawiłem na bok kilka desek i uklęknałem, opierając prawą dłoń i czoło o poręcz. W lewej dłoni wciąż trzymałem rękę Margi.

Modliłem się do Jezusa, aby obmył nas z naszych grzechów i przyjął w swe ramiona.

Jeden z pomocników brata Barnaby'ego szepnął mi do ucha:

- Co z tobą, bracie?

- Wszystko w porządku - odparłem szczęśliwym głosem. - Z moją żoną też. Pomóż komuś, kto tego wymaga.

- Niech cię Bóg błogosławi, bracie. - Pomocnik odszedł. Nie opodal jedna z sióstr wiała się i przemawiała różnymi językami. Zatrzymał się przy niej, aby udzielić jej pomocy.

Ponownie pochyliłem głowę, lecz nagle do mojej świadomości dotarło rzenie i głośnie piski przerażonych koni oraz łopotanie i wstrząsy płóciennego dachu nad naszymi głowami. Spojrzałem w górę i ujrzałem poszerzające się rozdarcie. Potem płótno pękło. Ziemia zadrżała pod naszymi stopami. Niebo pociemniało. Dźwięk trąby przeszył mnie do szpiku kości. Jej głos rozbrzmiewał tak donośnie, jak nigdy dotąd żaden dźwięk, był pełen radości i triumfu. Pomogłem Margrethe wstać i uśmiechnąłem się do niej:

- To teraz, kochanie!

Zostaliśmy uniesieni w górę. Trąba powietrza, kansaskie tornado, złapała nas i zaczęła ciskać nami we wszystkie strony. Uniosło mnie daleko od Margi. Próbowałem zbliżyć się do niej, lecz daremnie. W trąbie powietrznej nie można pływać. Lecisz tam, gdzie cię ona zanieśie. Wiedziałem jednak, że Mardze nic nie grozi.

Huragan odwrócił mnie do góry nogami i trzymał w tej pozycji przez dłuższy czas, na wysokości około dwustu stóp. Konie wyrwały się z zagrody. Niektórzy z ludzi, którzy nie zostali porwani, kręcili się po okolicy. Trąba powietrzna odwróciła mnie ponownie, tak że patrzyłem teraz w kierunku cmentarza.

Groby zaczęły się otwierać.

Ku gwiazd porannych uciesze,

ku radości wszystkich synów Bożych.

Księga Hioba 38, 7

Wiatr rzucał mną w różne strony. Nie widziałem już grobów. Gdy huragan odwrócił mnie ponownie twarzą ku ziemi, nie sposób już było dostrzec gruntu. W dole widać było jedynie kotłujący się obłok, rozświetlony od wewnątrz potężnym światłem - bursztynowym, szafranowym, szaroniebieskim i złocistozielonym. Nadal poszukiwałem Margrethe, lecz tylko nieliczni ludzie przelatywali w pobliżu i żaden z nich nie był nią. Nie szkodzi. Bóg nad nią czuwa. Jej chwilowa nieobecność nie przerażała mnie. Jediną istotną przeszkodę pokonaliśmy razem. Zastanowiłem się nad tym. Jak niewiele brakowało! Przypuśćmy, że ta stara kobyła zgubiłaby podkowę i wskutek tego dotarlibyśmy do miejsca, w którym odbywał się mityng o godzinę później. W takim przypadku spóźnilibyśmy się. Ostatnia trąba zabrzmiałaby, gdy bylibyśmy w drodze i żadne z nas nie znalazłoby się w stanie łaski. Zamiast zostać uniesieni w zachwyceniu, poszlibyśmy na sąd nieoczystości z grzechów, a następnie prosto do piekła.

Czy wierzę w predestynację?

To trudne pytanie. Przejdźmy do takich, na które potrafię odpowiedzieć. Nie potrafię określić, jak długo unosiłem się nad tymi obłokami. Od czasu do czasu dostrzegałem innych ludzi, żaden jednak nie zbliżył się tak blisko, abym mógł z nim porozmawiać. Zaczynałem się zastanawiać, kiedy ujrzemy Pana Jezusa. Obiecał On wyraźnie, że spotka się z nami „na obłokach”.

Musiałem sam sobie powiedzieć, że zachowuję się jak małe dziecko, które domaga się, żeby mama zrobiła coś natychmiast i w odpowiedzi słyszymy: „Cierpliwości, kochanie! Jeszcze nie teraz.”

Czas Boży i ludzki nie są tym samym. Tak mówi Biblia. W dzień sądu Jezus musiał być bardzo zajęty. Nie miałem pojęcia, jakie mogą być jego obowiązki. Prawda, znałem jeden z nich. Przypomniały mi o tym te otwierające się groby. Ci, którzy zmarli w Chrystusie (miliony? miliardy? więcej?), mieli spotkać naszego Ojca, który jest w niebie, jako pierwsi, i rzecz jasna, Pan Jezus będzie z nimi na tej wspaniałej uroczystości. Obiecał im to.

Po odgadnięciu przyczyny zwłoki odprężyłem się. Byłem gotów zaczekać w kolejce na spotkanie z Jezusem... a gdy go już spotkam, poproszę go, aby połączył mnie z Margrethe.

Nie martwiłem się już ani nie śpieszyłem nigdzie. Było mi przyjemnie. Nie odczuwałem ciepła ani zimna. Głodu ani pragnienia. Unosiłem się bez wysiłku, jak obłok. Zacząłem odczuwać szczęście, które nam obiecano. Zasnąłem.

Nie wiem, jak długo spałem. Z pewnością długo. Byłem straszliwie zmęczony. Ostatnie trzy tygodnie kosztowały mnie wiele. Dotknąwszy ręką swej twarzy, stwierdziłem, że spałem co najmniej przez dwa dni. Mój zarost osiągnął stan wskazujący na chyba dwudniowe zaniedbanie. Dotknąłem kieszeni na piersi. Tkwiła w niej moja wierna „Gillette”, prezent od Margi. Nie miałem jednak mydła, wody ani lusterka. Zdenerwowało mnie to. Obudził mnie dźwięk trąbki (nie wielkiej trąby, lecz zapewne zwykłej trąbki w rękach dyżurnego anioła). Nie trzeba było mi tłumaczyć, iż znaczyło to: „Pobudka! Teraz wasza kolej!”

W istocie tak było. Gdy więc wezwano nas do nieba, stawiłem się tam z dwudniowym zarostem. Ale wstyd!

Anioły kierowały ruchem jak policjanci na skrzyżowaniu, ustawiając nas tak, jak sobie tego życzyły. Wiedziałem, że są to anioły, gdyż miały skrzydła, białe szaty i imponujące rozmiary. Jeden,

który przeleciał obok mnie, miał dziewięć lub dziesięć stóp wzrostu. Nie poruszały skrzydłami w czasie lotu. (Dowiedziałem się później, że skrzydła były używane jedynie do potrzeb ceremonialnych lub jako oznaka rangi.) Stwierdziłem, że mogę się poruszać zgodnie ze wskazaniem tych policjantów. Przedtem nie panowałem nad swoim ruchem, lecz teraz mogłem podążać w dowolnym kierunku, posługując się wyłącznie własną wolą.

Ustawiły nas w szeregu ciągnącym się przez wiele mil (setki? tysiące?), po czym sformowały kolumny o szerokości dwunastu rzędów i wysokości dwunastu warstw. O ile nie pomyliłem się w rachunku, znajdowałem się w czwartym rzędzie w trzeciej warstwie od dołu. W swoim szeregu zajmowałem w przybliżeniu dwusetne miejsce - policzyłem to przed ostatecznym sformowaniem - nie mogłem jednak stwierdzić, jak daleko ów szereg się za mną ciągnął.

Następnie poleciliśmy przed Boży tron.

Najpierw jednak anioł zajął w powietrzu pozycję w odległości około pięćdziesięciu jardów od naszej lewej flanki. Jego głos był dobrze słyszalny:

- Słuchajcie! Odbędziecie przemarsz w tej formacji. Nie zmieniajcie swej pozycji. Orientujcie się na stworzenie ze swej lewej strony oraz stworzenie pod wami i przed wami. Zachowujcie odległość dziesięciu łokci pomiędzy kolumnami i warstwami, a pięciu od łokcia do łokcia w kolumnie. Nie tłoczyć się, nie wyłamywać z szeregów i nie zwalniać, gdy będziemy przelatywać przed tronem. Każdy, kto złamie dyscyplinę, zostanie przesunięty na tył szeregu, a ostrzegam was, że Syn może już wtedy odejść i defiladę będzie odbierał jedynie Piotr, Paweł lub jakiś inny święty. Są pytania?

- Ile to jest łokieć?

- Dwa łokcie to jeden jard. Czy jest w tej kohorcie jakieś stworzenie, które nie wie, ile to jest jard?

Nikt się nie odezwał.

- Jeszcze jakieś pytania? - spytał anioł.

Kobieta znajdująca się nade mną po lewej stronie zawołała:

- Tak! Moja córka nie wzięła ze sobą lekarstwa na kaszel, więc je zabrałam. Czy mógłby pan jej to przekazać?

- Stworzenie, przyjmij, proszę, moje zapewnienie, że wszelki kaszel, który towarzyszyłby twojej córce nawet w niebie, musiałby mieć charakter psychosomatyczny.

- Ale jej lekarz powiedział...

- Na razie cisza! Ruszajmy z tą paradą. Specjalne prośby można będzie przedstawić po przybyciu do nieba.

Było jeszcze wiele innych pytań, przeważnie głupich, co potwierdzało moją opinię, którą od lat zachowywałem dla siebie: pobożność nie musi iść w parze ze zdrowym rozsądkiem.

Ponownie zabrzmiała trąba.

- Naprzód! - krzyknął przywódca naszej kohorty. W kilka sekund później rozległ się pojedynczy ton trąby.

- Lot! - krzyknął anioł. Ruszyliśmy naprzód.

(Zauważcie, że mówię na tego anioła „on”, ponieważ wydawało się, że jest on płci męskiej. O innych, które wyglądały na kobiety, mówię „ona”. Nigdy nie potrafiłem określić dokładnie płci anioła. O ile w ogóle anioły ją mają. Myślę, że są obojnakami, ale nie miałem okazji tego sprawdzić. Ani odwagi zapytać.)

(Oto jeszcze jedno z pytań, które mnie dręczą: Jezus miał braci i siostry. Czy Najświętsza Paniienka nadal jest dziewicą? O to też nigdy nie miałem odwagi zapytać.)

Dostrzegliśmy Jego tron już z odległości wielu mil. To nie był wielki biały tron Boga Ojca

znajdujący się w niebie, lecz połowy tron ustawiony dla Jezusa specjalnie na tę okazję. Mimo to wyglądał wspaniale. Wyrzeźbiono go z jednej bryły diamentu. Jego niezliczone ścianki przechwytywały wewnętrzną światłość Jezusa i odbijały ją w fontannie ognia i lodu we wszystkich kierunkach. To właśnie widziałem najlepiej, gdyż twarz Jezusa świeci tak oślepiająco, że bez okularów słonecznych nie sposób dostrzec jego rysów. Nic nie szkodzi. Wiadomo, Kto to był. Nie sposób było się pomylić. Uczucie wszechogarniającego lęku przepełniło mnie, gdy znajdowaliśmy się jeszcze w odległości dwudziestu pięciu mil. Mimo wysiłków moich profesorów teologii dopiero wtedy po raz pierwszy w życiu zrozumiałem (poczułem) to specyficzne uczucie, które w Biblii określane jest przez dwa słowa używane łącznie - miłość i strach. Miłowałem Istotę siedzącą na tronie i lękałem się Jej. Teraz pojąłem, dlaczego Piotr i Jakub porzucili swe sieci i podążyli za Nim.

Rzecz jasna, nie wystąpiłem do Niego ze swą prośbą, gdy przelatywaliśmy obok Niego (w odległości około stu jardów). Podczas swego życia na Ziemi modliłem się do Jezusa, używając Jego imienia tysiące razy, gdy jednak ujrzałem Go naprawdę, przypomniałem sobie natychmiast, że anioł, który był naszym przewodnikiem, obiecał nam, że będziemy mieli okazję na przedstawienie osobistych prośb z chwilą, gdy znajdziemy się w niebie. Już niedługo. Tymczasem przyjemnie mi było pomyśleć, że Margrethe znajduje się gdzieś w tej defiladzie i ogląda Pana Jezusa na Jego tronie... a gdybym się nie wtrącił, mogłaby Go nigdy nie ujrzeć. Wraz z ekstatycznym zachwytem, który mnie ogarnął, gdy spojrzałem w Jego oślepiające światło, doświadczyłem też znajomego uczucia tliwości.

Kilka mil za tronem kolumna skręciła w górę i w prawo. Oddaliliśmy się najpierw od Ziemi, a potem od Układu Słonecznego. Kierowaliśmy się prosto do nieba z coraz większą prędkością.

Czy wiecie, że Ziemia przybiera kształt półksiężyca, gdy spojrzeć na nią z oddali? Zastanowiłem się, czy jacyś wyznawcy płaskiej Ziemi zdołali osiągnąć łaskę zachwycenia? Nie wydawało się to prawdopodobne, lecz chyba można pogodzić z wiarą w Chrystusa przesady ignorantów. Niektóre zabobony są absolutnie zabronione - na przykład astrologia i darwinizm - lecz, o ile wiem, ta bzdura o płaskiej Ziemi do nich nie należy. Jeśli byli wśród nas jacyś wyznawcy tego przesądu, jak musieli się czuć teraz, gdy oglądając się za siebie, widzieli, że Ziemia jest okrągła jak piłka tenisowa?

(Czy też może Bóg w swym miłosierdziu pozwolił, aby ujrzeli ją jako płaską? Czy śmiertelnik może kiedykolwiek zrozumieć Boski punkt widzenia?)

Wydawało się, że podróż w okolice nieba zajęła nam dwie godziny. Napisałem „wydawało się”, ponieważ mógł to być dowolny odcinek czasu. Nie mieliśmy żadnej ludzkiej skali porównawczej, aby to ocenić. Podobnie wydawało mi się, że cały okres zachwycenia trwał około dwóch dni... później jednak znalazłem dowody wskazujące, iż mogło upłynąć siedem lat - przynajmniej według jednej z rachub. Miary czasu i przestrzeni stają się nader niejednoznaczne, gdy zabraknie nam naszych zegarów i mierników.

Gdy zbliżaliśmy się do Miasta Świętego, nasi przewodnicy kazali nam zwolnić, a potem oprowadzili nas wkoło, zanim weszliśmy do środka przez jedną z bram.

To nie była taka sobie wycieczka. Nowe Jeruzalem (Niebo, Miasto Święte, stolica Jehowy) jest zbudowane na planie kwadratu, jak Dystrykt Columbia, lecz jest znacznie większe. Każdy z boków ma długość 1320 mil, a obwód wynosi 5280, co oznacza powierzchnię miliona siedmiuset czterdziestu dwóch tysięcy czterystu mil kwadratowych.

Takie miasta jak Los Angeles czy Nowy Jork wydają się przy nim maleńkie. W samej rzeczy Miasto Święte zajmuje powierzchnię ponad sześć razy większą niż cały Teksas! Mimo to jest zatłoczone. Jednakże po nas ma tu już przybyć tylko niewielu. Miasto jest, rzecz jasna, otoczone murami, które mają dwieście szesnaście stóp wysokości i tyle samo grubości. Na szczycie znajduje

się dwanaście pasm ruchu i żadnych barier. Strach tamtędy chodzić. Bram jest dwanaście, po trzy w każdej ścianie. Są to słynne bramy z perły (rzeczywiście). Są one zawsze otwarte. Powiedziano nam, że nie zostaną zamknięte aż do czasu ostatniej bitwy.

Same mury zbudowane są z mieniącego się jaspisu, lecz pod nimi znajduje się podstawa złożona z dwunastu poziomych warstw, które jeszcze bardziej olśniewają niż sam mur - szafir, chalcedon, szmaragd, sardoniks, chryzolit, beryl, topaz, ametyst... mogłem o kilku zapomnieć. Nowe Jeruzalem jest tak wspaniałe, że trudno jest człowiekowi ogarnąć jego piękno - a już z pewnością nie od razu.

Gdy zakończyliśmy podróż wokół Miasta Świętego, przewodnik naszej kohorty ustawił nas w stały szereg jak sterowce w O'Hare i kazał nam czekać, aż otrzyma sygnał, że jedna z bram jest przechodnia. Miałem nadzieję dostrzec choć przez moment świętego Piotra, ale nic z tego. Jego biuro mieści się przy głównej bramie - Bramie Judy, podczas gdy my weszliśmy z drugiej strony, przez Bramę Asera, gdzie zarejestrowały nas anioły upoważnione do tego przez świętego Piotra.

Mimo że korzystano z wszystkich dwunastu bram i przy każdej z nich znajdowały się tuziny urzędników upoważnionych przez świętego Piotra, a poza tym nie poddawano nas kontroli (ponieważ wszyscy, jako uniesieni w zachwyceniu mieliśmy zagwarantowane zbawienie), musieliśmy stać długi czas w kolejce tylko po to, aby nas zarejestrowano, przydzielono tymczasowe dokumenty, tymczasowe zakwaterowanie oraz miejsce w stołówce... (w stołówce?)

Tak, miałem niejakie wątpliwości. Zapytałem więc anioła, który załatwiał formalności. Spojrzał (spojrzała) na mnie:

- Posiłki są nieobowiązkowe. Brak jedzenia i picia nie ma tutaj znaczenia. Jednak wielu stworzeniom, a także niektórym aniołom sprawia przyjemność jedzenie, zwłaszcza w towarzystwie. Jak więc sobie życzysz.

- Dziękuję. Jeszcze sprawa zakwaterowania. To jest pojedynczy pokój. Chciałbym otrzymać dwuosobowy. Dla mnie i dla mojej żony...

- Chciałeś powiedzieć byłej żony. W niebie nikt się nie żeni ani nie wychodzi za mąż.

- Co? Czy to znaczy, że nie możemy mieszkać razem?

- Bynajmniej, lecz musicie oboje wnieść prośbę w Urzędzie Zakwaterowania. Zgłoś się do Biura Zamian. Nie zapomnijcie oboje wziąć ze sobą świadectwa zameldowania.

- W tym tkwi problem! Zostaliśmy rozdzieleni. Jak mam ją odnaleźć?

- To nie wchodzi w zakres moich obowiązków. Zapytaj o to w budce informacyjnej. Tymczasem zatrzymaj się w swoim jednoosobowym apartamencie w Koszarach Gideona.

- Ale...

Westchnął (westchnęła?):

- Czy zdajesz sobie sprawę, ile tysięcy godzin już tu siedzę? Czy możesz sobie wyobrazić, jak trudno jest spełnić jednocześnie potrzeby milionów stworzeń, z których jedno są żywe i nigdy nie umarły, a inne świeżo zostały wcielone? Nigdy dotąd nie musieliśmy instalować wodociągów, by stworzenia obdarzone ciałem mogły załatwiać swe potrzeby. Czy możesz sobie wyobrazić, jaka to niewygoda? Gdy dzielnica jest już skanalizowana, natychmiast pojawiają się stworzenia, które jej używają i wartość mieszkań w całym kwartale spada na łeb, na szyję! Ale czy ktokolwiek chciał mnie słuchać? E tam! Bierz swoje papiery, przejdź przez te drzwi, wybierz sobie szatę i aureolę - harfy nie są obowiązkowe - i potem podążaj za zielonym szlakiem do Koszarów Gideona.

- Nie!

Ujrzałem, jak jego (jej) wargi poruszyły się. Być może modlił się (modliła).

- Czy myślisz, że można się wałęsać po niebie, wyglądając tak jak ty? Jesteś porządnie zaniedbany. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do żywych stworzeń obdarzonych ciałem. Hmm... Eliasza

był ostatnim, którego sobie przypominam. Muszę dodać, że twój wygląd jest niemal równie podejrzany jak jego aparycja. Oprócz zrzucenia tych łachów i założenia porządnej białej szaty zrobiłbym na twoim miejscu coś z łupieżem.

- Posłuchaj - odparłem w napięciu. - Nikt nie wie, ile musiałem przejść. Nikt, oprócz Jezusa. Podczas gdy ty siedziałeś sobie w czystej białej szacie i z aureolą, w niepokalanym mieście z ulicami ze złota, ja toczyłem bój z samym szatanem. Wiem, że nie wyglądam zbyt porządnie, nie przyszedłem tu jednak w takim stanie z własnej woli. Hmm. Gdzie mogę znaleźć jakieś żyletki?

- Co takiego?

- Żyletki. Firmy „Gillette”, o dwóch ostrzach, albo takie jak te. Do tego. - Wyjąłem swoją żyletkę z maszynki i pokazałem mu (jej). - Najlepiej z nierdzewnej stali.

- Tutaj wszystko jest nierdzewne. Ale cóż to, na wielkie nieba, jest?

- Maszynka do golenia. Służy po to, by zgolić z twarzy tę paskudną brodę.

- Doprawdy? Gdyby Pan w swej mądrości zapragnął, żeby jego stworzenia płci męskiej nie miały włosów na twarzy, stworzyłby je gładkimi. Pozwól, niech to wyrzucę!

Sięgnął (sięgnęła) po moją maszynkę. Cofnąłem rękę.

- O nie, nic z tego! Gdzie jest ta budka informacyjna?

- W lewą stronę. Sześćset sześćdziesiąt mil stąd.

Prychnął (prychnęła) nosem.

Odwróciłem się wściekły. Biurokracja. Nawet w niebie. Nie zadawałem już więcej pytań, ponieważ dostrzegłem ukryty sens tego, co usłyszałem. Sześćset sześćdziesiąt mil to cyfra, którą przypominałem sobie z naszej wycieczki - dokładna odległość od bramy wejściowej (jak Brama Asera, przy której się znajdowałem) do centrum nieba, to jest wielkiego białego tronu Pana Boga Jehowy, Boga Ojca. Anioł chciał (chciała) mi powiedzieć, niezbyt oględnie, że jeśli nie podoba mi się sposób, w jaki mnie traktują, mogę się udać ze skargą do samego Szefa, czyli, innymi słowy, usłyszałem: „Spływaj!”

Zabrałem swoje dokumenty i odszedłem, rozglądając się za jakimś innym przedstawicielem władz.

Ten, kto zorganizował całą tę imprezę - Gabriel, Michał, czy ktokolwiek inny, przewidział, że wkoło będzie się kręciło mnóstwo zaambarasowanych stworzeń dotkniętych kłopotami, do których rozwiązania system nie był przystosowany. Wśród tłumu znajdowały się więc liczne cheruby. Nie wyobrażajcie sobie czegoś z obrazu Michała Anioła lub Luca delia Robii, to nie były „bambinos” z dołeczkami na kolanach, lecz osoby o półtorej stopy wyższe niż my, nowo przybyli. Wyglądały jak anioły, ale miały małe skrzydełka cherubów i tabliczkę z napisem: „PERSONEL”.

A może to rzeczywiście były anioły. Nigdy nie byłem pewien, jakie są różnice pomiędzy aniołami, cherubinami, serafinami i tak dalej. Biblia uważa, że są to tak oczywiste sprawy, iż nie ma potrzeby o nich mówić. Papiści wyróżniają dziewięć różnych klas aniołów! Na jakiej podstawie? W Księdze tego nie ma!

Sam stwierdziłem, że w niebie istnieją tylko dwie odrębne klasy - anioły i ludzie. Anioły uważają się za coś lepszego i okazują ci to bez wahania. Istotnie mają wyższą pozycję, władzę i przywileje. Zbawieni są obywatelami drugiej kategorii. W całym protestantyzmie - a może i wśród papistów - istnieje wyobrażenie, że zbawiona dusza będzie praktycznie siedzieć na kolanach Boga. Nic z tych rzeczy! Gdy zostajesz zbawiony i idziesz do nieba, stwierdzasz natychmiast, że jesteś tu nowy i znajdujesz się na samym dole drabiny.

Zbawiona dusza w niebie ma mniej więcej taką pozycję społeczną, jak czarnuch w Arkansas. I to właśnie anioły przypominają ci o tym na każdym kroku.

Nigdy nie spotkałem anioła, którego bym polubił.

Przyczyną tego są uczucia, jakie żywią do nas. Spójrzmy na to z anielskiego punktu widzenia. Według Daniela w niebie mieszka sto milionów aniołów. Przed zmartwychwstaniem i zachwyceniem niebo musiało być miłym, pustym miejscem, w którym łatwo było o dobrą posadę. Trochę pracy w charakterze wysłannika, a trochę w chórze, od czasu do czasu jakiś rytuał. Jestem pewien, że aniołom się to podobało.

I nagle pojawił się wielki tłum imigrantów - wiele milionów (miliardów?) Niektórzy z nich nie wiedzą nawet, gdzie się można załatwić. Wszystkimi trzeba się opiekować. Po niezliczonych eonach błogiej egzystencji anioły nagle stwierdziły, że muszą pracować w nadgodzinach, kierując czymś, co w praktyce jest jednym gigantycznym sierocińcem. Nic dziwnego, że nas nie lubią.

Mimo to... ja też ich nie lubię. Snoby!

Odnalazłem cherubina (anioła?) z tabliczką z napisem „PERSONEL” i zapytałem go o drogę do najbliższej budki informacyjnej.

- Sześć tysięcy furlongów wzdłuż bulwaru. Stoi przy rzece wypływającej spod tronu.

Spojrzałem w tamtym kierunku. Z tej odległości Bóg Ojciec na swym tronie wyglądał jak wschodzące słońce.

- Sześć tysięcy furlongów to ponad sześćset mil. Czy nie ma żadnej budki w pobliżu?

- Stworzenie, to ma swój sens. Gdybyśmy umieścili budkę na każdym rogu, wokół wszystkich kręciłyby się tłumy, zadając głupie pytania. Urządzono to tak, żeby stworzeniu nie chciało się zadawać sobie aż takiego trudu, chyba że pragnie otrzymać odpowiedź na naprawdę ważne pytanie.

Logiczne. I wkurzające. Stwierdziłem, że ponownie opanowały mnie myśli, które w tym miejscu były niestosowne. Zawsze wyobrażałem sobie, że niebo jest miejscem zapewniającym wszystkim błogostan, a nie pełnym tych samych głupich przeszkód, jakie tak często spotykamy na Ziemi. Policzyłem do dziesięciu po angielsku, a potem po łacinie.

- Jak długo trzeba tam lecieć? Czy istnieje ograniczenie prędkości?

- Nie wyobrażasz sobie chyba, że będzie ci wolno tu latać?

- Czemu nie? Nie dalej jak dzisiaj przyleciałem tutaj, a potem obleciałem miasto wokoło.

- Tak ci się tylko zdawało. W rzeczywistości wszystkim kierował dowódca waszej kohorty. Stworzenie, pozwól, że udzielę ci rady, która zaoszczędzi ci kłopotów. Kiedy dostaniesz już swoje skrzydła, jeśli w ogóle ci je dadzą, nigdy nie próbuj latać nad Miastem Świętym. Sprowadzą cię na ziemię tak szybko, aż cię zęby zabolą i odbiorą ci skrzydła.

- Dlaczego?

- Dlatego, że nie masz do tego uprawnień. Wy, nowi przybysze, ledwie się tu pokazaliście, a już myślicie, że to miejsce jest waszą własnością. Wyrzeźbiliście swoje inicjały na samym tronie, gdyby pozwolono się wam do niego zbliżyć. Pozwól, niech cię oświecę. W niebie obowiązuje tylko jedna zasada - UZOR. Rozumiesz, co to znaczy?

- Nie - odparłem niezupełnie zgodnie z prawdą.

- Więc słuchaj i ucz się. Możesz zapomnieć o Dziesięciorgu Przykazań. Tutaj tylko dwa czy trzy z nich mają zastosowanie i przekonasz się, że nie zdołasz ich złamać, choćbyś nawet próbował. Złota reguła obowiązująca w całym niebie brzmi: „Uprawnienia Zależą od Rangi”. W tym gronie jesteś świeżym rekrutem w Armii Bożej, z najniższą rangą, jaka jest możliwa. I z najniższymi uprawnieniami. W gruncie rzeczy jedynym twoim uprawnieniem, jakie sobie przypominam, jest fakt, że masz prawo być tutaj. Pan w Swej nieskończonej mądrości postanowił, że masz prawo wstępu do Miasta Świętego. Na tym jednak koniec. Bądź grzeczny, a pozwolą ci tu pozostać. Wracając do zasad ruchu drogowego, o które pytałeś. Anioły i tylko anioły latają nad Miastem Świętym. Gdy są na służbie i podczas uroczystości. Ty nie jesteś aniołem. Nie staniesz się nim, nawet jeśli dadzą ci

skrzydła. Zwracam na to uwagę, ponieważ zaskakująca liczba was - stworzeń przybyła do nieba żywiąc iluzję, że dostanie się tutaj automatycznie zmienia stworzenie w anioła. To nie jest możliwe. Stworzenia nigdy nie mogą zostać aniołami. Niektóre zostają świętymi, choć zdarza się to rzadko. Aniołami nigdy.

Policzyłem wstecz od dziesięciu po hebrajsku.

- Chciałbym jednak dostać się do tej budki informacyjnej. Skoro nie wolno mi latać, jak mam to uczynić?

- Dlaczego nie spytałeś o to od razu? Pojedź autobusem.

Po jakimś czasie siedziałem w autobusie - rydwanie należącym do Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego Miasta Świętego, który toczył się z turkotem w kierunku odległego tronu. Rydwan był otwarty, miał kształt łodzi. Wejście znajdowało się z tyłu. Nie dostrzegłem żadnego widocznego źródła napędu, ani szofera czy konduktora. Pojazd zatrzymywał się na oznakowanych przystankach. W ten sposób udało mi się do niego wsiąść. Nie zdołałem ustalić, w jaki sposób się go zatrzymuje.

Najwyraźniej mieszkańcy korzystali z tego środka lokomocji, (z wyjątkiem ważnych osobistości, którym przysługiwały prywatne rydwany). Nawet anioły. Większość pasażerów stanowili ludzie odziani w konwencjonalną biel i noszący zwykłe aureole. Niektórzy z nich nosili jednak kostiumy z różnych epok, a nad głowami większe i ładniejsze aureole. Zauważyłem, że anioły odnosiły się stosunkowo uprzejmie do stworzeń z ładniejszymi aureolami, lecz nie siadały pośród nich. Anioły zajmowały miejsca z przodu pojazdu, ci uprzywilejowani ludzie w środku, a szara masa (wraz z niżej podpisanym) z tyłu.

Zapytałem jednego z pasażerów mojej rangi, ile czasu potrzeba, aby dotrzeć do tronu.

- Nie wiem - padła odpowiedź. - Nie wybieram się aż tak daleko.

Ta dusza miała wygląd kobiety w średnim wieku i sprawiała wrażenie przyjaznej, toteż postanowiłem nawiązać rozmowę w sposób typowy.

- To akcent z Kansas, prawda?

Uśmiechnęła się:

- Nie sądzę. Urodziłam się we Flandrii.

- Naprawdę? Mówi pani po angielsku bardzo dobrze.

- W ogóle nie znam angielskiego - odparła potrząsając głową.

- Ale...

- Wiem o tym. Musiał pan przybyć niedawno. Niebo jest wolne od przekleństwa Wieży Babel. Tutaj nigdy nie doszło do pomieszania języków. Na szczęście dla mnie, bo nigdy nie miałam do nich zdolności, co przed śmiercią stanowiło dla mnie nie lada utrapienie. Tu już tak nie jest.

Spojrzała na mnie z zainteresowaniem.

- Czy można spytać, gdzie pan umarł i w jakim okresie?

- W ogóle nie umarłem - odrzekłem. - Zostałem uniesiony żywcem w zachwyceniu.

Jej oczy rozszerzyły się.

- Och, to wspaniale! Musi pan być bardzo świętym człowiekiem.

- Nie wydaje mi się. Dlaczego tak pani sądzi?

- Zachwycenie nadejdzie - nadeszło? - bez uprzedzenia. Tak przynajmniej mnie uczono.

- To prawda.

- Tak więc bez uprzedzenia, bez czasu na spowiedź, bez kapłana, który by panu pomógł... był pan przygotowany! Równie wolny od grzechu jak Matka Boska. Poszedł pan prosto do nieba. Musi pan być świętym. Tak też pomyślałam, gdy dostrzegłam pański strój - dodała - ponieważ święci, a zwłaszcza męczennicy, często ubierają się tak samo, jak robili to na Ziemi. Widziałam, że nie nosi

pan swojej aureoli świętego, ale to pańskie prawo. - Spojrzała na mnie z nagłym zawstydzaniem. - Czy zechce mnie pan pobłogosławić? Czyż nie pozwalam sobie na zbyt wiele?

- Siostrze, nie jestem świętym.

- Czy nie udzieli mi pan swego błogosławieństwa?

(Drogi Jezu, jak mogło mi się to przytrafić?)

- Choć słyszałaś, iż, o ile wiem i jak mi się wydaje, nie jestem świętym, nadal pragniesz, abym cię pobłogosławił?

- Jeśli raczysz... święty ojczu.

- Proszę bardzo. Odwróć się i opuść nieco głowę...

Zamiast tego odwróciła się całkowicie i opadła na kolana. Położyłem rękę na jej głowie.

- Prawem nadanym mi jako wyświęconemu kapłanowi jedyne prawdziwego powszechnego kościoła Jezusa Chrystusa Syna Boga Ojca i mocą Ducha Świętego błogosławię tę oto siostrę w Chrystusie. Niech tak się stanie!

Usłyszałem wokół nas głosy powtarzające - Amen!

Mieliśmy całkiem spore audytorium. Poczuję się zawstydzony. Nie byłem pewien, i nadal nie jestem, czy posiadam jakiegokolwiek uprawnienia, aby udzielać błogosławieństw w samym niebie. Lecz ta miła kobieta prosiła mnie o to i nie mogłem jej odmówić. Spojrzała na mnie ze łzami w oczach.

- Wiedziałaś to! Wiedziałaś!

- Co takiego?

- Że jest pan świętym! Teraz ją pan ma!

Pytałem w kółko:

- Co takiego mam? - Gdyż wydarzył się drobny cud. Nagle ujrzałem siebie jakby z zewnątrz: pomięte i brudne spodnie koloru khaki, wojskowa koszula z demobilu z ciemnymi plamami potu pod pachami i wypukłością w lewej kieszeni na piersi, gdzie tkwiła maszynka do golenia, a do tego trzydniowy zarost i dawno niestrzyżone włosy... a nad moją głową aureola wielkości wanny, lśniąca i mieniąca się iskrami.

- Wstań z klęczek - powiedziałem. - Wszyscy na nas patrzą!

- Tak, ojczu. Nie powinien pan siedzieć z tyłu - dodała.

- Sam będę o tym decydował, córko. Opowiedz mi teraz o sobie!

Gdy ponownie usiadła w fotelu, rozejrzałem się wokoło, przyciągając uwagę anioła, który siedział samotnie z przodu. Anioł skinął (skinęła) na mnie, abym podszedł do niego (niej).

Miałem już dosyć arogancji aniołów, więc z początku zignorowałem ten gest. Wszyscy jednak to widzieli, choć udawali, że nie widzą, a moja pełna nabożności towarzysząca szepnęła do mnie w podnieceniu:

- Mój święty panie, pan anioł chce z panem mówić.

Poddałem się - po trosze dlatego, że było to łatwiejsze, a po trosze dlatego, że chciałem zadać aniołowi pytanie. Wstałem i przeszedłem do przedniej części rydwanu.

- Chciał pan czegoś ode mnie?

- Tak jest. Znasz zasady. Anioły z przodu, stworzenia z tyłu, święci pośrodku. Jeśli siedzisz z tyłu razem ze stworzeniami, uczysz je złych manier. W jaki sposób chcesz zachować swe przywileje świętego, jeśli będziesz łamać protokół? Niech to się już nie powtórzy!

Przyszło mi do głowy kilka odpowiedzi, z których żadna nie miała niebiańskiego charakteru. Zamiast zripostować, bąknąłem:

- Czy mogę zadać panu pytanie?

- Proszę bardzo.
- Ile czasu upłynie, zanim ten autobus dotrze do rzeki wypływającej spod tronu?
- Po co o to pytasz? Masz przed sobą całą wieczność.
- Czy to znaczy, że pan nie wie, czy też nie chce mi powiedzieć?
- Siadaj na swoim miejscu! Natychmiast!

Wróciłem na tył rydwanu, próbując odnaleźć tam miejsce, lecz stworzenia przesunęły się tak, że nie miałem gdzie usiąść. Nikt nie odezwał się ani słowem. Unikali mojego spojrzenia, lecz było oczywiste, że nikt nie wspomógł mnie w przeciwstawieniu się autorytetowi anioła. Westchnąłem i usiadłem w środku, w samotnym splendorze, ponieważ byłem jedynym świętym w pojeździe. O ile rzeczywiście nim byłem.

Nie wiem, ile czasu upłynęło, zanim dotarliśmy do tronu. W niebie oświetlenie nigdy się nie zmienia, podobnie jak pogoda, a zegarka nie miałem. Była to po prostu długa nudna podróż. Nudna? Tak jest.

Wspaniały pałac zbudowany z drogich kamieni stanowi cudowny widok. Tuzin pałaców zbudowanych z drogich kamieni może stanowić tuzin cudownych widoków, każdy inny od poprzedniego. Ale sto mil zabudowanych takimi pałacami) może cię skutecznie uspić, a sześćset mil pałacowych wspaniałości to śmiertelna nuda. Zacząłem rozglądać się za składem używanych samochodów, śmietnikiem, czy (najlepiej) kawałkiem zielonej nie zabudowanej przestrzeni.

Nowe Jeruzalem jest miastem cudownie pięknym. Jestem gotów to poświadczyć. Ta długa podróż nauczyła mnie jednak, jakie korzyści płyną z brzydoty.

Nigdy się nie dowiedziałem, kto zaprojektował Miasto Święte. Jest oczywiste, że Bóg musiał zatwierdzić projekt i plany budowy. Lecz Biblia nigdzie nie wymienia architekta (architektów) ani budowniczego (budowniczych). Masoni mówią o „Wielkim Architekcie”, mając na myśli Jehowę, lecz w Biblii nie znajdziecie o nim najmniejszej wzmianki. Pewnego razu zapytałem anioła, kto zaprojektował to miasto. Nie spojrzał na mnie z pogardą z powodu mej ignorancji, ani mnie nie zbeształ. Wydawał się niezdolny do zrozumienia tego pytania. Sam jednak nadal rozważam ten problem: Czy Bóg stworzył (zaplanował i zbudował) Miasto Święte osobiście, aż po najdrobniejsze zwieńczenie z klejnotów, czy też zlecił to zadanie swoim podwładnym?

Czykolwiek jednak jest to projekt, Miasto Święte ma, moim zdaniem, jedną wielką wadę - nie mówcie, że roszczenie prawa do sądenia Bożych planów to bluźnierstwo - ale uważam, że Pan o czymś zapomniał.

Nie ma tu biblioteki publicznej.

A nawet jedna bibliotekarka informacyjna, która potrafiłaby odpowiedzieć na wszelkie pytania, ważne i nieistotne, byłaby w niebie bardziej przydatna niż kolejna kohorta aroganckich aniołów. W niebie należałoby zatrudnić wiele takich pań, gdyż pełnienie obowiązków takiej bibliotekarki w Mieście Świętym wymagałoby usposobienia świętego i cierpliwości Hioba. Aby jednak mogły one uprawiać tu swój zawód, potrzebne by im były książki, katalogi czy np. karty biblioteczne. Gdyby dano im szansę, jestem pewien, że potrafiłyby sporządzić katalog książek, skąd jednak wziąć same książki? W niebie najwyraźniej nie funkcjonuje przemysł wydawniczy.

W niebie nie ma żadnego przemysłu. W niebie nie ma gospodarki. Gdy Jehowa zarządził, po wygnaniu z raju, że my - potomkowie Adama - musimy zdobywać swój chleb w pocie czoła, stworzył podstawy ekonomii, które funkcjonowały następnie przez około sześć tysięcy lat.

Ale tak było na Ziemi!

W niebie nie musimy się truć w pocie czoła, by spożywać chleb powszedni. W gruncie rzeczy w niebie nie potrzebujemy wcale chleba powszedniego. Nie można tu umrzeć z głodu. Nie można

nawet go naprawdę poczuć - najwyżej do tego stopnia, żeby jedzenie sprawiało ci przyjemność, jeśli pragniesz się rozerwać wstępując do jednej z licznych restauracji, jadłodajni czy pizzerii. Najlepszy hamburger, jaki jadłem w życiu, spożyłem w małym lokalu przy Placu Targowym na brzegach rzeki. Wybiegam jednak w swej relacji naprzód.

Kolejną wadę, moim zdaniem nie tak poważną, lecz również dokuczliwą, stanowi brak ogrodów. Nie ma ich wcale, jeśli nie liczyć Gaju Drzewa Życia nad rzeką w pobliżu tronu oraz nielicznych, bardzo nielicznych, ogrodów prywatnych rozsianych tu i ówdzie. Myślę, że wiem, dlaczego tak jest, i jeśli mam rację, czas temu zaradzić. Zanim dotarliśmy do nieba (uniesieni w zachwyceniu i zmartwychwstali zmarli w Chrystusie), mieszkańcami Miasta Świętego były niemal wyłącznie anioły, oprócz miliona męczenników za wiarę, dzieci Izraela tak świętych, że udało im się tu dostać, mimo że nie poznały osobiście Chrystusa, (a więc głównie sprzed roku 30) oraz pewna grupa ludzi z nieoświeconych krajów - cnotliwych dusz, które nawet nie słyszały o Chrystusie.

Tak więc dziewięćdziesiąt dziewięć procent mieszkańców Miasta Świętego stanowiły anioły.

Anioły nie sprawiają wrażenia zainteresowanych ogrodnictwem. To się nawet zgadza. Nie wyobrażam sobie anioła, który (która) opadłby na kolana, aby osadzić dobrze roślinę w ziemi. Nie są one po prostu istotami lubiącymi brudzić sobie ręce, co stanowi konieczność, by wyhodować konkursowe róże.

Teraz, gdy ludzi jest przynajmniej dziesięć razy więcej niż aniołów, myślę, że wkrótce pojawią się ogrody, a wraz z nimi wykłady na temat pielęgnacji gleby i temu podobne - cały niekończący się rytuał zapalonych ogrodników. Teraz ludzie będą mieli na to dosyć czasu.

Większość ludzi w niebie zajmuje się tym, na co ma ochotę, choć nikt ich do tego nie zmusza. Ta sympatyczna kobieta (Suzanne), która pragnęła, abym ją pobłogosławił, zajmowała się we Flandrii wyrobianiem koronek. Teraz uczy tego w szkole otwartej dla wszystkich zainteresowanych. Odniosłem silne wrażenie, iż dla większości ludzi podstawowym problemem związanym z wieczną szczęśliwością jest kwestia zabicia czasu. (Pytanie: czy coś może się kryć w koncepcji reinkarnacji, tak często spotykanej w innych religiach, lecz tak zdecydowanie odrzucanej przez chrześcijaństwo? Czy zbawiona dusza może z czasem otrzymać nagrodę polegającą na skierowaniu jej z powrotem tam, gdzie coś się dzieje? Jeśli nie na Ziemię, to może gdzie indziej? Muszę dostać w swe ręce Biblię i przeprowadzić badania. Ku mojemu totalnemu zdziwieniu w niebie nadzwyczaj trudno jest znaleźć Biblię.)

Budka informacyjna znajdowała się dokładnie nad brzegiem Rzeki Wody Życia, która wypływa spod tronu Bożego i przepływa przez Gaj Drzewa Życia. Tron wznosi się w górę z samego środka gaju, jednak znajdując się tak blisko podstawy, nie sposób widzieć go dokładnie. To tak, jakby spoglądać na najwyższy drapacz w Nowym Jorku, stojąc na chodniku tuż przy nim. A nawet jeszcze bardziej. Rzecz jasna, nie można dostrzec twarzy Boga. Patrzy się tysiąc czterysta czterdzieści łokci pionowo w górę. Widzi się jedynie blask... i czuje obecność Ducha Bożego. Budka informacyjna była tak zatłoczona, jak zapowiedział to spotkany przeze mnie cherubin. Pytający nie stali w kolejce, lecz tłoczyli się wokół. Było ich około stu. Spojrzałem na ten tłum, zadając sobie pytanie, ile czasu upłynie, zanim się dopcham do celu. Czy było możliwe dokonanie tego inaczej niż za pomocą najbardziej brutalnych i chamskich metod - nadeptywania na odciski, rozpychania się łokciami i innych podobnych rzeczy, które sprawiają, że domy towarowe wydają się mężczyznom tak mało pociągające?

Stanąłem z tyłu i spojrzałem na ten tłum, usiłując wymyślić jakiś sposób na poradzenie sobie z nim. A może istniała jakaś inna metoda odnalezienia Margrethe, bez potrzeby nadeptywania na odciski.

Stałem tam nadal, gdy podszedł do mnie cherubin z napisem „PERSONEL”.

- Święty, czy pragniesz się dostać do budki informacyjnej?

- Jasne, że tak!

- Chodź ze mną! Trzymaj się blisko!

Miał ze sobą długą pałkę, podobną do tych, jakich używa policja do rozpędzania demonstracji.

- Przejście! Przejście dla świętego! Rozejść się natychmiast!

W jednej chwili znalazłem się za kontuarem budki informacyjnej. Nie sądzę, żeby ktokolwiek odniósł obrażenia, jeśli nie liczyć urażonych uczuć. Jestem przeciwny podobnemu postępowaniu. Uważam, że wszyscy powinni być traktowani równo. Ale tam, gdzie zasadą jest UZOR, bez porównania lepiej jest być choćby i kapralem niż szeregowcem.

Zwróciłem się w stronę cherubina, aby mu podziękować, lecz zdążył już zniknąć.

- Czego sobie życzysz, święty? - Usłyszałem głos. Anioł stojący za kontuarem spojrzał na mnie z góry.

Wyjaśniłem mu, że pragnę odszukać swoją żonę. Zabębnił palcami po blacie.

- Z reguły nie świadczymy podobnych usług. Jest taka spółdzielnia prowadzona przez stworzenia, pod nazwą „Znajdź swych przyjaciół i ukochanych”, która się tym zajmuje.

- Gdzie się ona mieści?

- W pobliżu Bramy Asera.

- Co? Przed chwilą stamtąd przyjechałem. Przez tę bramę dostałem się do nieba.

- Trzeba było spytać anioła, który cię rejestrował. Przybyłeś niedawno?

- Całkiem niedawno. Zostałem uniesiony w zachwyceniu. Pytałem anioła, ale mnie splawił. Kazał mi on, ona... hmm... ten anioł udać się tutaj.

- Hmm. Pokaż mi swoje papiery!

Pokazałem mu je. Anioł przejrzał je powoli i uważnie, po czym zawołał drugiego, który przerwał pracę, aby się im przyjrzeć.

- Tirl! Popatrz na to!

Z kolei drugi anioł przejrzał moje dokumenty, skinął głową z zamyśloną miną, odłożył papiery i spojrzał na mnie, potrząsając smutno głową.

- Czy coś nie gra? - zapytałem.

- Nie, święty. Miałeś po prostu pecha zostać obsłużonym, jeśli można użyć tego słowa, przez anioła, który nie pomógłby nawet najbliższemu przyjacielowi, gdyby miał jakichkolwiek przyjaciół.

Dziwi mnie jednak, że ona obeszła się w ten sposób ze świętym.

- Nie miałem jeszcze wtedy tej aureoli.

- To wyjaśnia sprawę. Pobrałeś ją później?

- Nie pobrałem jej. Pojawiła się w cudowny sposób podczas podróży od Bramy Asera.

- Rozumiem, święty. Masz prawo złożyć skargę na Khromitycinel. Z drugiej strony jednak mógłbym skorzystać z tego nadajnika, aby zadać pytanie w twoim imieniu.

- Myślę, że tak będzie lepiej.

- Ja też. Na dłuższą metę. Dla ciebie. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Rozumiem.

- Zanim jednak połączę się z tą spółdzielnią, upewnijmy się w urzędzie świętego Piotra, czy twoja żona w ogóle tu przybyła. Kiedy umarła?

- W ogóle nie umarła. Została uniesiona w zachwyceniu, podobnie jak ja.

- Aha. To znaczy, że łatwo będzie to sprawdzić. Nie będzie trzeba grzebać w starych archiwach. Pełne nazwisko, wiek, płeć, jeśli ją posiada, miejsce i data... nie, tego nie potrzeba. Na początek

pełne nazwisko.

- Margrethe Svendsatter Gunderson.

- Lepiej to przeliteruj.

Tak też zrobiłem.

- Na razie to wystarczy. O ile w biurze Piotra znają ortografię. Nie możesz zaczekać tutaj. Nie mamy poczekalni. Tam po drugiej stronie jest mała restauracja. Czy widzisz szyld?

- „Święta Krowa”?

- Tak jest. Mają tam dobrą kuchnię, o ile jesz. Zaczekaj tam! Powiadomimy cię.

- Dziękuję!

- Do usług. - Spojrzała ponownie na moje papiery, zanim mi je oddała. - Święty Aleksandrze Hergensheimer.

„Święta Krowa” wyglądała najbardziej swojsko ze wszystkiego, co widziałem od chwili zachwycenia. Był to mały schludny lokal, który mógłby się znajdować w Saint Louis czy Denver. Wszedłem do środka. Wysoki czarnuch, którego kucharska czapa wystawała mu nad aureolę, stał nad rusztem odwrócony do mnie tyłem. Usiadłem za barem i chrząknąłem znacząco.

- Zaczekaj momencik. - Dokończył robotę i odwrócił się. - Czym mogę... proszę bardzo! Co panu przygotować, święty? Proszę tylko podać nazwę!

- Luke! Cieszę się, że cię widzę!

Przyjrzał mi się:

- Czy my się znamy?

- Nie pamiętasz mnie? Pracowałem u ciebie. „U Rona” Nowales. Alec. Zmywałem naczynia.

Przyjrzał mi się ponownie i westchnął głęboko:

- Naprawdę cię nie poznałem... święty Alecu.

- Dla przyjaciół jestem Alec. To jakaś pomyłka w administracji, Luke. Kiedy się połapią, zmienią mi tę odświętną ozdobę na zwykłą aureolę.

- Śmiem wątpić, święty Alecu. W niebie nie zdarzają się pomyłki! Hej! Albert! Stań za ladą! Mój przyjaciel święty Alec i ja posiedzimy razem w jadalni. Albert to mój szef kuchni.

Ścisnąłem dłoń małemu tłustemu człowieczkowi, który wyglądał niemal jak karykatura francuskiego kucharza. Oprócz aureoli miał na głowie kapelusz „Cordon Bleu”. Następnie Luke i ja przeszliśmy przez boczne drzwi do małej jadalni i usiedliśmy przy stole. Wkrótce dołączyła do nas kelnerka i wtedy przeżyłem następny szok.

- Hazel, chcę, żebyś poznała mojego starego kumpla, świętego Aleca - oznajmił Luke. - Prowadziliśmy razem interes. Hazel jest kelnerką w „Świętej Krowie”.

- Zmywałem u Luke’a naczynia - wyjaśniłem jej. - Hazel, jak cudownie cię spotkać!

Wstałem, aby uścisnąć jej dłoń, lecz zmieniłem zdanie i objąłem ją.

Uśmiechnęła się do mnie. Nie wyglądała na zaskoczoną.

- Witaj, Alec! Teraz święty Alec! To mnie nie dziwi.

- Mnie dziwi. To pomyłka.

- W niebie nie zdarzają się pomyłki. Gdzie Margie? Czy nadal żyje na Ziemi?

- Nie.

Wyjaśniłem jej, w jakich okolicznościach zostaliśmy rozdzieleni. - Tak więc czekam tu na wiadomość.

- Na pewno ją znajdziesz.

Obdarzyła mnie pośpiesznym, lecz ciepłym pocałunkiem, co przypomniało mi o moim czterodniowym zaroście. Posadziłem ją na krześle, po czym sam usiadłem wraz z dwojgiem moich

przyjaciół.

- Na pewno odnajdziesz ją szybko, ponieważ obiecano nam to i obietnica ta jest ściśle realizowana. Połączenie się w niebie z tymi, których kochamy. „Zbierzmy się u brzegów rzeki” - rzeczywiście jest tu rzeka, zaraz za naszymi drzwiami. Steve - święty Alecu, czy pamiętasz Steve’a? Był z tobą i Margie, gdy się spotkaliśmy.

- Jak mógłbym go zapomnieć? Kupił nam obiad i dał nam złotą dziesięciodolarówkę, gdy byliśmy spłukani. Jak mógłbym go nie pamiętać!

- Cieszę się, że to mówisz... dlatego, iż Steve uważa, że zawdzięcza tobie swe nawrócenie - powtórne narodziny, dzięki którym dostał się do nieba. Rozumiesz, Steve poległ na równinie Megiddo, a ja też zginęłam na wojnie, hmm, około pięciu lat po tym, jak was spotkaliśmy.

- Pięciu lat?

- Tak. Zabili mnie zaraz na początku wojny. Steve dotrwał aż do Armageddonu...

- Hazel... minęło niewiele ponad miesiąc od chwili, gdy Steve kupił nam ten obiad w Rimrock.

- To logiczne. Zostałeś uniesiony w zachwyceniu, które zapoczątkowało wojnę. Spędziłeś więc lata wojny w powietrzu, co sprawia, że Steve i ja dotarliśmy tu przed tobą, mimo że ty wyruszyłeś wcześniej. Możesz podyskutować o tym ze Steve’em. On za chwilę wróci. Muszę dodać, że jestem teraz jego konkubiną, byłabym jego żoną, ale tu nikt się nie żeni ani nie wychodzi za mąż. W każdym razie Steve wrócił do armii, gdy wybuchła wojna i dosłużył się stopnia kapitana, zanim go zabili. Jego jednostka wylądowała w Hajfie i Steve zginął, walcząc za Pana w samym szczycie Armageddonu. Jestem z niego naprawdę dumna.

- I słusznie. Luke, czy ty też zginąłeś na wojnie?

Luke uśmiechnął się szeroko.

- Nie, święty Alecu. Powiesili mnie.

- Nie żartuj!

- Nie żartuję. Powiesili mnie i już. Pamiętasz, jak rzuciłeś u mnie pracę?

- Nie rzuciłem pracy. Zdarzył się cud. W ten sposób poznałem Hazel i Steve’a.

- Hmm... wiesz o cudach więcej niż ja. W każdym razie potrzebny był nam szybko następny pomywacz i musieliśmy przyjąć Meksykańca. Człowieku, to był dopiero kawał sukinsyna. Wyciągnął na mnie nóż. To był jego błąd. Tylko wariat wyciąga nóż na kucharza w jego własnej kuchni! On mnie skaleczył lekko, ja go skaleczyłem na amen. Ława przysięgłych musiała się składać z jego kuzynów. Ponadto prokurator oświadczył, że pora udzielić przykładu. Nic nie szkodzi. Byłem ochrzczony już dawno. Kapelan więzienny pomógł mi narodzić się ponownie. Stojąc na zapadni, z pętlą na szyi, wygłosiłem kazanie, a potem wykrzyknąłem: „Już można! Wyślijcie mnie do Jezusa! Alleluja!” Tak zrobili. To był najszczęśliwszy dzień w moim życiu.

Albert wsadził głowę do środka.

- Święty Alecu, szuka cię jakiś anioł.

- Już idę!

Anioł czekał przed wejściem, dlatego, że był wyższy od drzwi, a nie miał ochoty się schylać.

- Święty Aleksander Hergensheimer? - zapytał.

- To ja.

- Zapytywałeś o stworzenie zwane Margrethe Svendsatter Gunderson. Odpowiedź brzmi: Obiekt nie został uniesiony w zachwyceniu ani nie pojawił się w żadnym z późniejszych transportów. Tego stworzenia - Margrethe Svendsatter Gunderson - nie ma w niebie i nie oczekuje się jego przybycia. To wszystko.

Ciebie błagałem o pomoc. Bez echa.

Czekałem. Nie zwracasz uwagi.

Księga Hioba 30, 20

Rzecz jasna, wylądowałem w końcu w biurze świętego Piotra przy bramie Judy - przemierzywszy najpierw całe niebo. Zgodnie z radą Hazel wróciłem najpierw do Bramy Asera i sprawdziłem osobiście w tej spółdzielni „Znajdź swych przyjaciół i ukochanych”.

- Święty Alecu, anioły nie udzielają błędnych informacji, a źródła, z których korzystają, zawsze są dokładne. Mogły jednak sprawdzić nie w tych źródłach, co potrzeba i - moim zdaniem - nie robiły tego tak dokładnie, jak zrobiłbyś to ty sam. Wiesz, jakie są anioły.

- Margie mogła być zapisana pod panińskim nazwiskiem.

- To właśnie im podałem!

- Och. Myślałam, że kazałeś im odszukać „Margie Graham”.

- Nie. Czy powinienem wrócić i to zrobić?

- Na razie nie. A kiedy to zrobisz - jeśli będzie to konieczne - nie wracaj do tej budki informacyjnej, lecz udaj się prosto do biura świętego Piotra. Tam będziesz miał do czynienia z ludźmi, nie z aniołami.

- O to właśnie mi chodzi!

- Tak. Najpierw jednak spróbuj w tej spółdzielni. To nie jest biurokratyczna instytucja. Jest ona założona przez ochotników - ludzi, którym naprawdę na tym zależy. To dzięki nim Steve odnalazł mnie po swojej śmierci. Nie znał mojego nazwiska. Zresztą nie używałam go od lat. Nie znał daty ani miejsca mojej śmierci. Mimo to pewna starsza dama w tej spółdzielni sprawdzała po kolei wszystkie kobiety o imieniu Hazel, zanim Steve nie powiedział: „Tak jest”!

Gdyby sprawdził tylko w Głównym Biurze Ewidencji - u świętego Piotra - odpowiedzieliby mu: „Brak wystarczających danych i identyfikacji”. - Hazel uśmiechnęła się.

- W tej spółdzielni są ludzie z wyobraźnią - ciągnęła. - Zetknęli mnie z Luke'em, choć za życia się nie znaliśmy. Gdy zmęczyłam się już wałęsaniem bez celu, doszłam do wniosku, że chciałabym prowadzić małą restaurację. To najlepszy sposób na poznawanie ludzi i zaprzyjaźnianie się z nimi. Zgłosiłam się więc do tej spółdzielni, a oni nastawili swe komputery na hasło „kucharz” i po wielu nieudanych próbach poznaliśmy się z Luke'em, weszliśmy w spółkę i założyliśmy „Świętą Krowę”. W podobny sposób zdobyliśmy Alberta.

Hazel, podobnie jak Katie Farnsworth, jest kobietą, której sama obecność wywiera uzdrawiający wpływ na otoczenie. Ma jednak do tego praktyczne podejście, podobnie jak mój skarb. zaproponowała, że upierze moje brudne ubranie i pożyczyla mi szaty Steve'a, abym je założył, zanim moje nie wyschną. Znalazła dla mnie lusterko i kostkę mydła, co pozwoliło mi wreszcie zgolić mój pięciodniowy (siedmioletni?) zarost. Moja jedyna żyłetka przypominała raczej tępą piłę niż ostry nóż, lecz pół godziny cierpliwego ostrzenia o wnętrze szklanki (nauczyłem się tej sztuczki w seminarium) doprowadziło ją do stanu tymczasowej używalności.

Teraz jednak musiałem się porządnie ogolić, choć robiłem to - czy próbowałem zrobić - kilka godzin temu. Nie wiem, jak długo trwała moja wędrówka, wiem jednak, że goliłem się cztery razy... stosując zimną wodę, dwukrotnie bez mydła, a raz systemem Braille'a - bez lustra. Chociaż zainstalowano wodociągi na użytek istot cielesnych... nie odpowiadały one jednak amerykańskim standardom jakości. Nic w tym dziwnego, gdyż aniołom wodociągi nie są potrzebne, a większość

istot cielesnych miała niewielkie, lub zgoła żadne, doświadczenie w tej sprawie. Ludzie pracujący w spółdzielni okazali się tak gorliwi, jak zapowiadała to Hazel (nie sądzę, żeby moja wymyślna aureola miała z tym cokolwiek wspólnego), nie odnaleźli jednak nic, co dałoby mi wskazówki co do miejsca pobytu Margrethe, mimo że sprawdzali cierpliwie w komputerze każdą kombinację, jaką zdołałem wymyślić.

Podziękowałem im i pobłogosławiłem ich, po czym skierowałem się ku Bramie Judy leżącej na drugim krańcu nieba, w odległości tysiąca trzystu dwudziestu mil. Zatrzymałem się tylko raz, przy Placu Tronowym, na jeden z nieboburgerów Luke'a i filiżankę najlepszej kawy w Nowym Jeruzalem. Otrzymałem też kilka słów zachęty od Hazel, po czym wyruszyłem w dalszą drogę znacznie pokrzepiony na ciele i duchu.

Niebiańskie Biuro Ewidencji Ludności zajmuje dwa gigantyczne pałace, po prawej stronie od wejścia przez bramę. Pierwszy i mniejszy z nich obsługuje ludzi przybyłych przed narodzeniem Chrystusa, drugi tych, którzy przybyli później. Tam też, na drugim piętrze, mieści się oficjalne biuro świętego Piotra. Udałem się prosto w tamtym kierunku.

Na wielkich dwuskrzydłowych drzwiach widniała tabliczka: „ŚWIĘTY PIOTR - Proszę wchodzić”.

Tak też uczyniłem. Nie znalazłem się jednak w jego biurze, lecz w poczekalni tak wielkiej, że wystarczyłaby na potrzeby dworca „Grand Central”. Przeszedłem przez obrotowe drzwi, które otwierały się po wyciągnięciu z otworu kartki z numerem. Mechaniczny głos oświadczył: „Dziękuję. Proszę usiąść i czekać na wezwanie!”

Na mojej kartce widniał numer 2013. W poczekalni było tłoczno. Rozglądając się za wolnym miejscem, doszedłem do wniosku, że będę się musiał powtórnie ogolić, zanim mnie wezwą.

Wciąż szukałem miejsca, gdy podbiegła do mnie zakonnica, która dygnęła prędko i zapytała:

- Czym mogę panu służyć, święty?

Nie wiedziałem tyle o strojach noszonych przez katolickie zakony, aby móc rozpoznać, do którego z nich należała, była jednak ubrana w sposób, który nazwałbym „typowy” - długi czarny habit sięgający do kostek i nadgarstków, biały wykrochmalony welon przebiegający od piersi, poprzez szyję, aż po uszy, czarny kaptur zakrywający całą resztę, który nadawał jej sylwetkę sfinksa, wielki różaniec zwisający z szyi... spokojna twarz o nieokreślonym wieku i przekrzywione binokle.

Do tego, rzecz jasna, aureola.

Największe wrażenie wywarł na mnie fakt, że w ogóle się tu znalazła. Pierwszy raz uznałem dowód na to, że papiści również mogą zostać zbawieni. W seminarium spieraliśmy się o to na sesjach do późnej nocy... choć oficjalna doktryna mojego kościoła głosiła, że oczywiście mogą, pod warunkiem, że wierzą w to samo co my i zostaną powtórnie narodzeni w Jezusie. Zapisałem sobie w pamięci, aby zapytać ją, w jakich okolicznościach doszło do jej powtórnych narodzin. Byłem pewien, że będzie to fascynująca historia.

- Dziękuję ci, siostrze - odpowiedziałem. - To bardzo uprzejme z twojej strony. Tak jest, możesz mi pomóc. Przynajmniej mam taką nadzieję. Jestem Alexander Hergensheimer. Próbuję odnaleźć moją żonę. To jest odpowiednie miejsce, prawda? Jestem tu po raz pierwszy.

- Tak, święty Aleksandrze, to jest odpowiednie miejsce. Zdaje się jednak, że chciałeś rozmawiać ze świętym Piotrem?

- Chciałbym mu złożyć wyrazy szacunku. O ile nie jest zbyt zajęty.

- Jestem pewna, że zechce się z tobą zobaczyć, święty ojciec. Zaraz powiem o tym siostrze przełożonej.

Wzięła w rękę krzyż swojego różańca, szepnęła coś (jak mi się zdaje), po czym spojrzała na mnie.

- Czy to się pisze H, E, R, G, E, N, S, H, E, I, M, E, R, święty Aleksandrze?

- Tak, siostrze.

Znowu powiedziała coś do swego różańca. Następnie oświadczyła:

- Siostra Marie Charles jest sekretarką świętego Piotra. Sama jestem jej asystentką do wszelkich poruczeń. - Uśmiechnęła się. - Jestem siostra Mary Rose.

- Cieszę się, że cię poznałem, siostrze Mary Rose. Opowiedz mi o sobie. Z jakiego jesteś zakonu?

- Jestem dominikanką, święty ojcze. Za życia zarządzałam szpitalem w Niemczech, we Frankfurcie. W niebie, gdzie pielęgniarki nie są już potrzebne, pracuję tutaj, ponieważ lubię spotykać się z ludźmi. Czy zechce pan udać się za mną?

Tłum rozstąpił się przed nami jak wody Morza Czerwonego, nie wiem, czy z szacunku do zakonnic, czy do mojej paradnej aureoli. Być może i tego, i tego. Mary Rose zaprowadziła mnie do pozbawionych oznakowania bocznych drzwi. Od razu znalazłem się w gabinecie jej przełożonej, siostry Marie Charles. Była to wysoka zakonnica, równa mi wzrostem. Była też przystojna czy raczej należałoby powiedzieć „piękna”. Wyglądała na młodszą od swojej asystentki... lecz naprawdę trudno określić wiek zakonnic. Siedziała za wielkim biurkiem o płaskim blacie, na którym leżało mnóstwo szpargałów. A na samej krawędzi blatu stała staroświecka maszyna do pisania firmy „Underwood”.

Zakonnica zerwała się szybko z miejsca i spojrzała na mnie, wykonując swój dziwaczny dyg.

- Witaj, święty Aleksandrze! To dla nas wielki zaszczyt. Święty Piotr zaraz przyjdzie. Zechce pan usiąść? Czego się pan napije? Szklankę wina? Coca-colę?

- A wiesz, chętnie bym się napił coca-coli. Nie miałem jej w ustach od czasu, gdy byłem na Ziemi.

- Coca-cola? Już się robi. - Uśmiechnęła się. - Powiem panu w sekrecie. To jedyny nałóg świętego Piotra. Dlatego zawsze mamy tu zimną coca-colę.

Nad jej biurkiem rozległ się dobiegający znikąd głos - mocny, dźwięczny baryton takiego typu, jaki charakteryzuje dobrych kaznodziejów - podobny do głosu „Bible” Barnaby’ego, niech jego imię będzie błogosławione.

- Słyszałem wszystko, Charlie. Niech wypije tę colę ze mną. Jestem teraz wolny.

- Czy znowu pan podsłuchiwał, szefie?

- Nie twój interes, mała! Przynies też jedną dla mnie!

Gdy wpuszczono mnie do środka, święty Piotr podchodził już do drzwi z wyciągniętą ręką. Jak mnie uczono na historii kościoła, sądzi się, że miał on około dziewięćdziesięciu lat, gdy umarł, czy też, gdy został stracony (ukrzyżowany?) przez Rzymian, o ile rzeczywiście tak było. Kapłaństwo zawsze było niebezpiecznym zajęciem, lecz w czasach Piotra było równie ryzykowne jak zawód sierżanta „marines”.

Ten człowiek wyglądał na silnego i dobrze zachowanego sześćdziesięcio- najwyżej - siedemdziesięciolatka. Widać było, że większą część życia przebywał na powietrzu. Miał trwałą opaleniznę i blizny wywołane przez światło słońca. Jego włosy i broda były długie. Wyglądały, jakby nigdy ich nie strzygł. Gdzieniedzie przetykały je nitki szarości, lecz nie bieli. Ponadto (ku mojemu zdziwieniu) wydawało się, że był niegdyś rudy. Był dobrze umięśniony. Ramiona miał szerokie, a ręce, jak stwierdziłem, gdy uścisnął mi dłoń, stwardniałe.

Ubrany był w sandały i brązowy płaszcz z surowej wełny. Na głowie miał aureolę taką samą jak ja, oraz maluchną czapkę spoczywającą w samym środku jego wspaniałego owłosienia.

Spodobał mi się na pierwszy rzut oka.

Zaprowadził mnie do wygodnego krzesła stojącego przy jego biurku i zaprosił, ażebym spoczął, zanim sam usiadł. Siostra Marie Charles przysła natychmiast, niosąc na tacy dwie colę w znajomych butelkach i nie tak znajome (nie widziałem ich od lat) szklanki do coca-coli z

przykrywkami w kształcie tulipana i ze znakiem firmowym. Zastanawiałem się przez chwilę, kto miał koncesję na niebo i jak załatwiano tu podobne sprawy.

- Dziękuję, Charlie - powiedział. - Odbieraj za mnie telefony!

- Na szaro?

- Nie wygłupiaj się! No, jazda!

Zwrócił się do mnie:

- Aleksandrze, staram się przywitać osobiście każdego nowo przybyłego świętego. Musiałem cię jednak przeoczyć z jakiegoś powodu.

- Przybyłem w samym środku tłumy, święty Piotrze. W ciżbie tych wszystkich z zachwycenia. I nie tędy, lecz przez Bramę Asera.

- To wszystko tłumaczy. To był ciężki dzień. Wciąż jeszcze nie wyszliśmy na prostą. Mimo to święty powinien zostać doprowadzony do bramy głównej... przez dwadzieścia cztery anioły z dwoma trąbami. Będę musiał tego dopilnować.

- Szczerze mówiąc, święty Piotrze - wypaliłem - nie sądzę, żebym był świętym. Nie mogę jednak pozbyć się tej fikuśnej aureoli.

Święty Piotr potrząsnął głową:

- Jesteś nim bez dwóch zdań. Nie pozwól, żeby dręczyły cię co do tego wątpliwości. Nikt nigdy nie wie, że jest świętym. Każdemu trzeba o tym napomknąć. W tym tkwi paradoks świętości, że ten, który uważa się za świętego, nigdy nim nie jest. Po prawdzie, gdy po przybyciu moim tutaj wręczono mi klucze i powiedziano, że mam tu rządzić, nie uwierzyłem. Myślałem, że Pan kpi sobie ze mnie w rewanżu za kilka numerów, które mu wyciąłem w czasach, gdy pałętaliśmy się wokół Morza Galilejskiego. Ale nie! On naprawdę mi to zrobił. Rabbi Szymon bar Jona, stary rybak, zniknął, i odtąd jestem świętym Piotrem. Tak samo ty jesteś świętym Aleksandrem, czy chcesz tego, czy nie. Z czasem ci się to spodoba.

Dotknął ręką grubej teczki leżącej na biurku.

- Przeczytałem twoje akta. Nie ma wątpliwości co do twojej świętości. Gdy już je przejrzałem, przypomniałem sobie twój proces. Tomasz z Akwinu wystąpił jako „advocatus diaboli”. Po procesie podszedł do mnie i przyznał, że jego atak był tylko pro forma, i że nigdy nie miał żadnych wątpliwości, iż zasługujesz na ten tytuł. Powiedz mi, czy przy tym pierwszym cudzie, próbie ognia, twoja wiara choć na chwilę cię opuściła?

- Chyba tak. Kiedy to zrobił mi się pęcherz.

Święty Piotr zachnął się:

- Tylko jeden pęcherz! I ty sądzisz, że nie powinieneś być świętym! Synu, gdyby święta Joanna miała taką wiarę jak ty, ugasiłaby ten ogień, w którym ją umęczono. Słyszałem o...

- Przybyła żona świętego Aleksandra - oznajmił głos siostry Marie Charles.

- Wprowadź ją! Później ci o tym opowiem - powiedział do mnie.

Niemal go nie słyszałem. Serce mi waliło z wrażenia.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Abigail.

Nie wiem, jak opisać kilka następnych minut. Potworne rozczarowanie połączone z zakłopotaniem będzie chyba najlepszym określeniem.

Abigail spojrzała na mnie i powiedziała surowym głosem:

- Alexander, dlaczego, na Boga, nosisz tę niedorzeczną aureolę? Zdejmij ją natychmiast!

Święty Piotr zagrzmiął:

- Córkó, nie jesteś może „u Boga”, zawsze jednak w moim prywatnym gabinecie. Zabraniam ci mówić do świętego Aleksandra w ten sposób.

Abigail zwróciła wzrok w jego stronę i pociągnęła nosem:

- Jego nazywasz świętym? Czy twoja matka nie uczyła cię, że jak się rozmawia z damą, to trzeba wstać? Czy może świętych takie drobiazgi nie obowiązują?

- Wstaję tylko wtedy, kiedy rozmawiam z damą. Cóрко, masz się do mnie zwracać z szacunkiem. Również do twojego męża będziesz się zwracać z szacunkiem, jaki żona jest winna mężowi.

- On nie jest moim mężem!

- Słucham? - Święty Piotr spojrział na mnie, potem z powrotem na nią. - Jak to możliwe?

- Jezus powiedział: „Gdy powstaną z martwych, nie będą się żenić, ani za mąż wychodzić, ale będą jak aniołowie w niebie”. Proszę bardzo! To samo powtórzył u Marka. Dwanaście, dwadzieścia.

- Tak - zgodził się święty Piotr. - Sam to słyszałem. Powiedział to saduceuszom. Zgodnie z tym prawem nie jesteś już jego żoną.

- Tak jest! Alleluja! Całe lata czekałam, żeby się uwolnić od tego złoza, nie popełniając grzechu!

- Nie jestem pewien tego ostatniego. Niemniej fakt, że nie jesteś już jego żoną, nie zwalnia cię z obowiązku uprzejmego odnoszenia się do mężczyzny, który był niegdyś twoim mężem. - Piotr ponownie zwrócił się w moją stronę. - Czy chcesz, żeby tu została?

- Ja? Nie, nie! Zaszła pomyłka.

- Na to wygląda. Cóрко, możesz odejść!

- Chwileczkę! Skoro przebyłam taki szmat drogi, skorzystam z okazji, żeby powiedzieć kilka rzeczy! To skandaliczne zachowanie, które tu zaobserwowałam! Bez najmniejszego poczucia przyzwoitości...

- Cóрко, kazałem ci odejść. Czy wyjdiesz na własnych nogach, czy też mam wezwać dwóch krzepkich aniołów, żeby cię stąd wyrzucili?

- O, właśnie! Miałam zamiar powiedzieć...

- Nic już nie powiesz!

- Z pewnością mam takie samo prawo do wyrażania swej opinii, jak każdy.

- Nie w moim gabinecie! Siostrze Marie Charles!

- Słucham pana!

- Czy pamiętasz jeszcze coś z tego dzudo, którego się nauczyłaś, gdy pracowałaś w policji w Detroit?

- Tak jest!

- Zabierz stąd tę „jentę”!

Wysoka zakonnica uśmiechnęła się, zacierając ręce. To, co zaszło później, wydarzyło się tak błyskawicznie, że nie jestem zdolny tego opisać. Abigail wprost wyfrunęła z gabinetu świętego Piotra.

Święty Piotr usiadł na fotelu, westchnął i sięgnął po swą szklankę z coca-colą.

- Ta kobieta zmogłaby nawet cierpliwość Hioba. Jak długo byłeś z nią żonaty?

- Hmm. Nieco ponad tysiąc lat.

- Rozumiem. Po co po nią posłałeś?

- Nie posyłałem po nią. To jest, nie chciałem tego zrobić - zacząłem się tłumaczyć.

Przerwał mi:

- No, jasne! Dlaczego od razu nie powiedziałeś, że szukasz swojej konkubiny? Wprowadziłeś w błąd Mary Rose. Tak jest, wiem, o kogo ci chodzi: ta „zaftig sziksa”, która przewija się przez całą późniejszą część twojego dossier. Bardzo miła dziewczyna, jak mi się zdaje. Czy to jej szukasz?

- Niewątpliwie. W dniu, w którym zabrzmiały głos i trąba, porwało nas w górę razem. Ale ta trąba powietrzna, prawdziwie kansaskie tornado, była tak gwałtowna, że zostaliśmy gwałtownie

rozdzieleni.

- Szukałeś jej już wcześniej. Wpłynęło pytanie z budki informacyjnej nad brzegiem rzeki.

- To prawda.

- Aleksandrze, to zapytanie stanowi ostatni punkt twojego dossier. Mogę im kazać, żeby powtórzyli poszukiwania... ale mogę ci z góry powiedzieć, że w ten sposób zdobędziesz tylko potwierdzenie. Odpowiedź będzie ta sama. Tu jej nie ma.

Wstał i podszedł do mnie, aby położyć rękę na moim ramieniu.

- Widziałem tę tragedię powtarzającą się niezliczoną ilość razy. Zakochana para, pewna, że spędzi ze sobą wieczność. Jedno przychodzi tutaj, a drugie nie. Cóż mogę ci poradzić? Chciałbym ci jakoś pomóc, ale nie mogę.

- Święty Piotrze, musiała zająć pomyłka!

Nie odpowiedział.

- Posłuchaj mnie! Wiem to na pewno! Byliśmy tuż obok siebie, klęcząc przy prezbiterium i modląc się... i na chwilę przed nadejściem trąby i głosu Ducha Świętego zstąpił na nas. Znaleźliśmy się w stanie doskonałej łaski i zostaliśmy porwani razem. Spytaj Jego! Spytaj Jego! On ciebie wysłucha.

Piotr westchnął ponownie:

- On wysłucha każdego, ale czy odpowie? Spróbuję jednak zapytać.

Wziął w rękę słuchawkę telefonu, który wyglądał tak staroświecko, że mógłby go zbudować sam Alexander Graham Bell.

- Charlie, połącz mnie z Upiorkiem. Dobra, zaczekam. Cześć! Mówi Piotrek z bramy głównej. Czy słyszałeś, żeby przybył ktoś nowy? Nie? Ja też nie. Posłuchaj, jest sprawa. Cofnij się, proszę, do dnia głosu i trąby, gdy w imię Dzieciątka porwałś żywcem wszystkie wcielone dusze, które znajdowały się w tej chwili w stanie łaski. Umieść się przy drodze w miejscu zwanym Lowell, w stanie Kansas, to jest Ameryka Północna, na mityngu pod namiotem. Jesteś tam? A więc, jak twierdzi niejaki Alexander Hergensheimer, obecnie kanonizowany, przynajmniej na kilka femtosekund przed dźwiękiem trąby zstąpiłeś na niego i jego ukochaną konkubinę, Margrethe. Zgodnie z opisem ma ona około trzech i pół łokcia wzrostu, blondynka, piegowata, osiemdziesiąt min... och, tak? Za późno, co? Tego się obawiałem. Powiem mu to.

Przerwałem mu szepcząc niecierpliwie:

- Zapytaj go, gdzie ona jest.

- Szefie, święty Aleksander jest pogrążony w rozpacz. Chce wiedzieć, gdzie ona jest. Tak, powiem mu.

Święty Piotr odłożył słuchawkę.

- Nie ma jej w niebie ani na Ziemi. Sam możesz wydedukować odpowiedź. Przykro mi.

Muszę przyznać, że święty Piotr okazał mi nieskończoną cierpliwość. Zapewniał mnie, że mogę porozmawiać z każdym z Trójcy... lecz przypomniał mi, że pytając Ducha Świętego, zapytaliśmy wszystkich trzech jednocześnie. Sprawdził po raz kolejny listę uniesionych w zachwyceniu, pochodzących z otwartych grobów oraz wciąż uzupełnianą listę tych, którzy przybyli od tego czasu, a jednocześnie przypomniał mi, że żaden komputer nie może zaprzeczyć nieomyślnej odpowiedzi udzielonej przez samego Boga, przemawiającego w osobie Ducha Świętego... co zrozumiałem i z czym się zgodziłem, choć wciąż domagałem się nowych poszukiwań.

- A może na Ziemi? - zapytałem. - Czy może jeszcze żyć? Może jest w Kopenhadze?

- Aleksandrze, On jest równie wszechwiedzący na Ziemi, jak w niebie - odrzekł Piotr. - Czy tego nie rozumiesz?

Westchnąłem głęboko:

- Widzę, że starałem się nie przyjąć do wiadomości tego, co oczywiste. No dobrze, jak się stąd dostać do piekła?

- Alec! Nie mów tak!

- Niech mnie diabli, jeśli nie będę! Piotrze, wieczność bez niej nie oznacza wiecznego szczęścia, lecz wieczną nudę, samotność i żal. Czy myślisz, że ta cholerna paradna aureola coś dla mnie znaczy, gdy wiem - tak jest, przekonałeś mnie - że moja ukochana płonie w czeluści? Nie prosiłem o wiele. Chciałem tylko, żeby było mi wolno być przy niej. Byłem gotów zmywać naczynia przez całą wieczność, byle tylko widzieć jej uśmiech, słyszeć jej głos, czuć dotyk jej ręki! Spławili ją stąd przez czystą formalność! Wiesz o tym dobrze! Anioły, te źle wychowane snoby, mieszkają tu, choć nie kiwnęły nawet palcem, żeby na to zasłużyć, a moja Marga, jedyna, która zasługuje na miano prawdziwego anioła, zostaje odrzucona i wysłana do piekła na wieczne męczarnie z powodu dziecinnego drobiazgu! Możesz powiedzieć Ojcu, Jego miłodoustemu Synowi i temu podstępnemu Duchowi, że mogą sobie wsadzić gdzieś to paradne Miasto Święte! Jeśli Margrethe musiała pójść do piekła, ja również chcę się tam znaleźć!

- Wybacz mu, Ojczy - rzekł Piotr. - Ogarnął go żal i nie wie, co mówi.

Uspokoilem się trochę.

- Święty Piotrze, doskonale wiem, co mówię. Nie chcę tu zostać. Moja ukochana jest w piekle i też chcę się tam udać. Muszę się tam udać.

- Alec, zapomnisz o tym.

- Czy nie rozumiesz tego, że nie chcę o tym zapomnieć? Chcę być z moją ukochaną i dzielić jej los. Powiedziałeś mi, że ona jest w piekle...

- Nie. Powiedziałem ci tylko, że nie ma jej w niebie ani na Ziemi.

- Czy istnieje jeszcze jakieś czwarte miejsce? Otchłań, czy coś takiego?

- Otchłań to mit. Nie słyszałem o żadnym czwartym miejscu.

- Chcę więc natychmiast opuścić niebo i przeszukać całe piekło. Jak mam to zrobić?

Piotr wzruszył ramionami.

- Do diabła, nie zbywaj mnie! Od dnia, gdy przeszedłem przez ten ogień, nieustannie jestem zbywany! Czy jestem tu więźniem?

- Nie!

- Powiedz mi więc, jak pójść do piekła!

- Zgoda. Nie możesz jednak wziąć ze sobą tej aureoli. Nie wpuszczą cię tam z nią.

- Nie prosiłem o nią. Chodźmy!

Niebawem stanąłem na krawędzi Bramy Judy, eskortowany przez dwa anioły. Piotr nie pożegnał się ze mną. Myślę, że był zdegustowany. Było mi przykro z tego powodu. Bardzo go polubiłem. Nie mogłem jednak mu wytłumaczyć, że niebo bez Margrethe nie było dla mnie niebem. Stanąłem nad krawędzią.

- Chcę, żebyście przekazali świętemu Piotrowi, że...

Anioły nie zwróciły uwagi na to, co mówiłem. Złapały mnie z obu stron i cisnęły w dół.

Zacząłem spadać.

I spadać.

*Obym ja wiedział, gdzie można Go znaleźć,
jak dotrzeć do Jego stolicy?*

*Wszcząłbym przed nim swą sprawą
i dowodami usta wypełnił.*

Księga Hioba 23, 3 - 4

I spadałem nadal.

Jednym z najbardziej kłopotliwych aspektów wieczności jest dla człowieka współczesnego konieczność przystosowania się do nieokreśloności pojęcia czasu. Bez zegarów, kalendarzy czy nawet cyklu dni i nocy, faz księżyca lub przepychu pór roku upływ czasu staje się pojęciem subiektywnym i odpowiedź na pytanie: „Która godzina?” - nie ma charakteru obiektywnego, lecz zależy od opinii pytanego.

Myślę, że spadałem dłużej niż dwadzieścia minut. Nie sądzę, żeby trwało to dwadzieścia lat.

Nie założyłbym się jednak ani o jedno, ani o drugie.

Nie było tam nic, co można było zobaczyć, poza wnętrzem swych własnych oczu. Nie było nawet widać Miasta Świętego znikającego w oddali.

Na początku próbowałem dostarczyć sobie rozrywki poprzez ożywianie w pamięci najszcześniejszych momentów mojego życia, stwierdziłem jednak, że ich wspomnienie zasmuca mnie. Pomyślałem więc o złych chwilach. To było jeszcze gorsze. Po chwili zasnąłem. Tak mi się przynajmniej zdawało. Jak możesz - stwierdzić, czy śpisz, kiedy jesteś totalnie odcięty od wszelkich wrażeń? Przypominam sobie, że czytałem, iż jeden z tych wścibskich „uczonych” zbudował coś, co nazwał „komorą deprywacji sensorycznej”. To, co udało mu się tam osiągnąć, przypominało pełen atrakcji cyrk w porównaniu z nader skromnymi wrazeniami, jakich dostarczało opadanie z nieba do piekła. Pierwszą wskazówkę na to, że zbliżam się do piekła, stanowił smród. Zgniłe jaja. H₂S. Siarkowódór. Smród płonącej siarki. Nie można od tego umrzeć, lecz marne to pocieszenie, ponieważ ci, którzy czują tę woń, są już martwi. Przynajmniej z reguły. Ja sam nie jestem. Historia i literatura opowiadają o innych, którzy byli tu za życia: Dante, Eneasz, Ulisses, Orfeusz. Czy jednak nie jest to wszystko fikcją literacką? Być może, wbrew tym wszystkim opowieściom, jestem pierwszym żywym człowiekiem, który zstępuje do piekieł? Jeśli nawet tak jest, to jak długo pozostanę przy życiu i w dobrym zdrowiu? Czy jedynie tyle, aby uderzyć w płonącą powierzchnię jeziora i z dźwiękiem „psst” zamienić się w szybko znikającą plamę tłuszczu? Czy nie pośpieszyłem się odrobinę z tym szlachetnym gestem? Szybko znikająca plama tłuszczu nie pomoże wiele Margrethe. Może trzeba było zostać w niebie i spróbować targów. Święty w pełnej aureoli pikietujący Boga przed Jego tronem mógłby Go skłonić do zmiany decyzji... a musiała to być Jego decyzja, ponieważ P. B. Jehowa był wszechmocny.

Trochę za późno na to wpadłeś, chłopcze! Widzisz już czerwoną poświatę, odbijającą się w obłokach. To musi być wrząca lava. Jak jeszcze daleko? Za blisko! Jak szybko spadam? Za szybko! Dostrzegam, że sławetna czeluść jest kalderą niewiarygodnie olbrzymiego wulkanu. Jego ściany otaczają mnie ze wszystkich stron, całe mile nad moją głową, lecz płomienie i płynna lava leżą jeszcze głęboko, daleko pode mną.

Ale zbliżają się szybko! Jak się ma dzisiaj twoja zdolność czynienia cudów, święty Alecu? Z tamtego dołu pełnego ognia wyszedłeś tylko z jednym pęcherzem. Czy sądzisz, że dasz sobie radę z tym? To tylko różnica wielkości.

„Powoli i śliniąc główkę, słoń zdeflorował mrówkę”. To też była różnica wielkości. Czy potrafisz sobie poradzić tak jak ten słoń? Święty Alecu, to nie była myśl godna świętego. Co się stało z twoją pobożnością? Może to wpływ tej grzesznej okolicy? Nieważne, nie musisz się już martwić grzesznymi myślami. Jest za późno, aby bać się grzechu. Nie grozi ci już pójście do piekła za twoje grzechy. Właśnie zstępujesz do piekła. Już jesteś w piekle. Za około trzy sekundy zamienisz się w plamę tłuszczu. Żegnaj, Marga, moja jedyna! Przepraszam, że nigdy nie kupiłem ci tych lodów. Szatanie, przyjmij mą duszę! Jezus to sprzedawczyk...

Złapali mnie w sieć jak motyla. Lecz motyl musiałby mieć skrzydła z azbestu, żeby można go było uratować w taki sposób jak mnie. Spodnie zaczęły się na mnie tlić. Gdy znalazłem się na brzegu, wylali na mnie kubek wody.

- Podpisz tylko ten kwit.

- Jaki kwit?

Usiadłem i spojrzałem w dół na płomienie.

- Ten.

Ktoś podetknął mi pod nos kartkę papieru wraz z piórem.

- Dlaczego miałbym go podpisać?

- To konieczne. Zaświadczenie, że uratowaliśmy cię z płonącej czeluści.

- Chcę się skontaktować z adwokatem. Nic nie podpiszę bez niego.

Gdy poprzednim razem znalazłem się w podobnej sytuacji, kosztowało mnie to cztery miesiące zmywania naczyń. Nie mogłem sobie pozwolić na zmarnowanie czterech miesięcy. Musiałem natychmiast wziąć się za poszukiwania Margrethe.

- Nie bądź głupi. Czy chcesz, żeby cię z powrotem tam wrzucić?

- Daj spokój, Bert - odezwał się drugi głos. - Spróbuj powiedzieć mu prawdę.

(Bert? Ten pierwszy głos był mi skądś znajomy!)

- Bert! Co ty tu robisz?

Mój koleś z lat chłopięcych, z którym mieliśmy podobne upodobania literackie. Verne i Wells, i Tom Swift - „chłam” - jak mówił brat Draper.

Właściciel pierwszego głosu przyjrzał mi się bliżej.

- Niech się stanę w dupę jebanym pawianem! Śmierdziel Hergensheimer!

- We własnej osobie!

- Niech zgniję w piekle! Nie zmieniłeś się bardzo. Rod, rozciągaj sieć na nowo. To nie ta ryba. Śmierdziel, przez ciebie straciliśmy nagrodę. Mieliśmy złapać świętego Aleksandra.

- Jakiego świętego?

- Aleksandra. To jakiś irlandzki świętoszek, który postanowił zrobić skok w bok. Bóg jeden wie, dlaczego nie przyleciał „Jumbo Jetem”. Tutaj w czeluści zwykle nie mamy takich dzianych klientów. Przez ciebie pewnie straciliśmy go. Władowałeś się nam w sieć, kiedy czekaliśmy na tego świętego... i powinieneś nam za to zapłacić.

- A co z tą piątką, którą byłeś mi winien?

- Chłopcze, ale ty masz pamięć! To podlega prawu o przedawnieniu.

- Pokaż mi to w piekielnej księdze ustaw. Poza tym przedawnienie nie ma tu zastosowania, ponieważ nie zareagowałeś na moje próby odzyskania długu. Tak więc pięć dolców na procent kwartalny sześć przez... ile lat?

- Pogadamy o tym później, Śmierdziel. Muszę trzymać oko na tego świętego.

- Bert.

- Później, Śmierdziel!

- Czy pamiętasz moje prawdziwe imię? To, które nadali mi starzy?

- Chyba tak... Alexander! O nie, Śmierdziel, to niemożliwe! Przecież o mało nie wywalili cię z tej prowincjonalnej szkółki biblijnej, do której poszedłeś, jak wylali cię z Rolla.

Na jego twarzy malowały się ból i niedowierzenie.

- Życie nie może być aż tak niesprawiedliwe.

- Ścieżki Pana są niezbadane. Liczne są Jego cuda. Przed tobą stoi święty Aleksander, Bert. Czy chcesz, żebym cię pobłogosławił? Zamiast zapłaty, rzecz jasna.

- Przyjmujemy tylko gotówkę. Poza tym nie wierzę ci.

- Ja wierzę - stwierdził drugi z mężczyzn, na którego Bert mówił „Rod”. - Chciałbym, żebyś mnie pobłogosławił, ojczu. Nigdy jeszcze nie byłem błogosławiony przez świętego. Bert, na ekranach radarów nic już nie widać. Wiesz, że na dzisiejszą wachtę było zapowiedziane tylko jedno przybycie po torze balistycznym. To musi być święty Aleksander.

- To niemożliwe, Rod. Znam tego typka. Jeśli on jest świętym, to ja jestem różową małpą...

Z bezchmurnego nieba padła błyskawica. Gdy Bert podniósł się z ziemi, ubranie zwisało na nim luźno. Nie potrzebował go zresztą, gdyż cały pokryty był różową sierścią.

Małpa spojrzała na mnie z oburzeniem.

- Czy w ten sposób traktuje się starszego kumpla?

- Bert, ja tego nie zrobiłem. W każdym razie nie chciałem tego zrobić. Wokół mnie cuda po prostu się zdarzają. Nie robię ich celowo.

- Nie tłumacz się. Gdybym miał wściekłą, ugryzłbym cię.

Po dwudziestu minutach znaleźliśmy się w barze na brzegu jeziora, popijając piwo i czekając na cudotwórczynię, która uchodziła za specjalistkę od zmiany kształtu i wyglądu. Opowiedziałem im, dlaczego znalazłem się w piekle.

- Muszę ją więc odnaleźć. Najpierw trzeba sprawdzić w czeluści, jeśli jest tam. Sprawa jest naprawdę pilna.

- Tam jej nie ma - odrzekł Rod.

- Hę? Mam nadzieję, że potrafisz tego dowieść. Skąd o tym wiesz?

- W czeluści nigdy nikogo nie ma. To tylko pic na wodę, wymyślony dla zastraszenia plebsu. Rzecz jasna, masa prostaczków przybywa po torze balistycznym i pewien ich procent wpadał do czeluści, zanim zarządca ustawił tę wartość, na której staliśmy z Bertem. Jednak upadek do czeluści nie czyni duszy żadnej krzywdy... poza tym, że napędza jej solidnego strachu. To parzy, rzecz jasna, więc dusza wyskakuje na zewnątrz jeszcze szybciej, niż wpadła, ale nie ponosi przy tym żadnej szkody. Kąpiel w ogniu leczy ją tylko z uczulenia, jeśli na nie cierpiała.

(Nikogo nie ma w czeluści! Nikt nie „cierpi katuszy we dnie i w nocy przez wieki wieków” - cóż to byłoby za szok dla brata „Bible” Barnaby’ego... i wielu innych, którzy czerpali zyski ze straszenia ogniem piekielnym. Nie przybyłem tu jednak po to, aby dyskutować o eschatologii z dwiema potępionymi duszami, lecz by odnaleźć Margę.)

- Ten „zarządca”, o którym mówicie. Czy to eufemizm na określenie Złego?

Małpa - to znaczy Bert - pisnęła:

- Jeśli masz na myśli Szatana, nazwij go po imieniu!

- O niego mi chodziło.

- Nie. Zarządcą miasta jest pan Ashmedai. Szatan nigdy nie kała się żadną pracą. Po co miałyby to robić? Jest właścicielem tej planety.

- To jest planeta?

- A co, myślałeś, że kometa? Spójrz przez okno. Najładniejsza planeta w tej galaktyce. I najlepiej

utrzymana. Nie ma tu węży. Nie ma karaluchów. Nie ma pcheł piaskowych. Nie ma trującego bluszczu. Nie ma poborców podatkowych. Nie ma szczurów. Nie ma raka. Nie ma kaznodziejów. I jest tylko dwóch prawników.

- Zupełnie jak w niebie.

- Nie wiem, nigdy tam nie byłem. Mówisz, że właśnie stamtąd przybywasz, to nam opowiedz.

- Hmm... w niebie jest fajnie, pod warunkiem, że jest się aniołem. To nie jest planeta, lecz sztuczna konstrukcja, jak Manhattan. Nie przybyłem tu zachwalać nieba, lecz odnaleźć Margę. Czy powinienem spotkać się z tym panem Ashmedai'em, czy też zwrócić się od razu do Szatana?

Mała próbowała zagwizdać, lecz pisnęła tylko jak mysz. Rod potrząsnął głową.

- Święty Alecu, zaskakujesz mnie nieustannie. Jestem tu od roku 1588 i nigdy nie widziałem Właściciela na oczy. Nie przyszło mi nawet do głowy, żeby spróbować się dostać do niego i nie wiem, jakie należy wszcząć starania w tej mierze. Co sądzisz, Bert?

- Sądzę, że napiłbym się jeszcze piwa.

- Gdzie ty je mieścisz? Odkąd uderzyła cię ta błyskawica, nie ma w tobie miejsca na jedną puszkę piwa, a co dopiero trzy.

- Nie twój interes. Zawołaj kelnera!

Poziom naszego dyskursu nie poprawiał się. Każde zadane przeze mnie pytanie przynosiło w efekcie więcej pytań i żadnych odpowiedzi. Przybyła cudotwórczyni i zabrała ze sobą Berta, sadzając go sobie na ramieniu. Bert jazgotał zawzięcie, targując się o cenę. Cudotwórczyni zażądała połowy jego majątku i zażyczyła sobie, by, zanim ona weźmie się do dzieła, Bert podpisał umowę własną krwią. On proponował jej dziesięć procent, przy czym chciał, żebym ja zapłacił połowę tej sumy.

Gdy oboje wyszli, Rod oświadczył, że pora znaleźć dla mnie locum. zaproponował, że zaprowadzi mnie do dobrego hotelu mieszczącego się w pobliżu.

Zwróciłem uwagę na fakt, że nie mam pieniędzy.

- Nic nie szkodzi, święty Alecu. Wszyscy imigranci przybywają do nas bez grosza. „American Express”, „Diners Club” i „Chase Manhattan” rywalizują o szansę udzielenia im pierwszego kredytu, wiedząc o tym, że ktokolwiek udzieli go imigrantowi, ma wszelkie szanse na to, że będzie on powierzał mu swe oszczędności przez całą wieczność i sześć tygodni.

- Muszą mnóstwo tracić, udzielając w ten sposób niezabezpieczonego kredytu.

- Wcale nie. Tu, w piekle, wszystkie długi są spłacane - prędzej czy później. Nie zapominaj, że tutaj dłużnik nie może nawet umrzeć, aby uniknąć spłaty. Zarejestruj się po prostu na kredyt, zanim nie załatwisz formalności z kimś z wielkiej trójki.

„Sans Souci Sheraton” mieści się przy placu naprzeciwko samego Pałacu. Rod zaprowadził mnie do rejestracji. Wypełniłem kartę meldunkową i poprosiłem o jednoosobowy pokój z łazienką. Recepcjonistka, mała diabliska ze ślicznymi różkami, spojrzała na wypełnioną przeze mnie kartę. Jej oczy rozszerzyły się:

- Święty Aleksander?

- Jestem Alexander Hergensheimer, tak jak napisałem. Czasami nazywają mnie świętym Aleksandrem, ale nie sądzę, żeby ten tytuł miał tu zastosowanie.

Przerzucała szybko swe dokumenty, nie słuchając tego, co mówię.

- Już mam, Wasza Świątobliwość. Oto rezerwacja pańskiego apartamentu.

- Co takiego? Nie potrzebuję apartamentu. Poza tym chyba mnie na niego nie stać.

- Na koszt kierownictwa, Wasza Świątobliwość.

...tak że miał siedemset żon królowych

i trzysta nałożnic.

Jego więc żony uwiodły jego same.

Trzecia Księga Królewska 11, 3

Czyż człowiek u Boga niewinny,

u Stwórcy stworzenie jest czyste?

Księga Hioba 4, 17

Na koszt kierownictwa!! Jak to możliwe? Nikt nie wiedział, że mam tu przybyć, zanim nie wywalili mnie przez Bramę Judy. Czy święty Piotr miał gorącą linię do piekła? Czy istniała jakaś potajemna współpraca z Nieprzyjacielem? Bracie, pomyśl, jaki skandal wywołałaby taka myśl na radzie biskupów, u nas na Ziemi!

Co ważniejsze - po co to zrobiono? Nie miałem jednak czasu nad tym się zastanowić, gdyż diablina (chochlica?) zadzwoniła na chłopca hotelowego.

Okazał się on być człowiekiem, a do tego bardzo atrakcyjnym młodzieńcem. Zaciekawilo mnie, w jakich okolicznościach umarł tak młodo i dlaczego nie dostał się do nieba. Nie był to jednak mój interes, nie spytałem więc go o to. Zauważyłem jednak jedno: Podczas gdy jego twarz przypominała mi reklamę papierosów „Philip Morris”, to gdy szedł przede mną, przysłała mi na myśl inna reklama papierosów - „Okrągłe, twarde i dobrze wypełnione”. Ten chłopak miał pośladki podobne do tych, o jakich pisali wierszem hinduscy rozpustnicy. Czy to możliwe, że właśnie ten grzech zaprowadził go tutaj?

Gdy wszedłem do apartamentu, zapomniałem o tym natychmiast.

Salon był zbyt mały, aby grać w football, ale wystarczał do gry w tenisa. Meble każdy orientalny potentat z dobrze wyładowaną kabzą określiłby jako „odpowiednie”. We wnęce zwanej „spizarnią” leżały zimne zakąski w ilości wystarczającej dla czterdziestu osób, jak również kilka gorących dań - pieczone prosię z jabłkiem w ryżu, paw z wetkniętymi w kuper piórami i inne podobne przysmaki. Po drugiej stronie wnęki znajdował się dobrze zaopatrzony bar - nawet płatnik z „Konge Knut” byłby pod wrażeniem tego restauracyjnego przepychu.

Chłopiec hotelowy („Mów mi Pat”) kręcił się po pokoju, odsuwając zasłony, poprawiając okna, wymieniając termostaty, sprawdzając ręczniki - jednym słowem robiąc to wszystko, co zwykli czynić chłopcy hotelowi, pragnąc otrzymać suty napiwek. Zastanawiałem się, jak go dać. Czy istniał sposób, aby wpisano to na mój rachunek? Będę musiał o to zapytać. Udałem się do sypialni (to była dość długa podróż!) i podpatrzyłem, że Pat jest w łazience. Rozbierał się. Spodnie ściągnął już do połowy, a nagie pośladki wypiął w moją stronę.

- Hej, chłopcze, nie trzeba! - zawołałem. - Dziękuję za dobre chęci... ale nie mam słabości do chłopców.

- Ja mam - padła odpowiedź. - Z tym, że nie jestem chłopcem.

Odwróciła się w moją stronę.

Miała rację. Zdecydowanie nie była chłopcem.

Stałem z rozdziawioną gębą, podczas gdy Pat ściągnęła resztę ubrania i wrzuciła do kosza.

- No! - powiedziała z uśmiechem. - Nareszcie wydostałam się z tego munduru! Nie zdejmo wałam go od chwili, gdy doniesiono, że zauważono cię na ekranach radaru. Co się stało, święty Alecu? Czy zatrzymałeś się po drodze na piwo?

- Hm... tak. Na dwa, albo trzy piwa.

- Tak myślałam. Bert Kinsey był na warcie, prawda? Jeśli kiedyś jezioro wystąpi z brzegów i tę dzielnicę zaleje lawa, Bert, zanim zaczniesz uciekać, wstąpi po drodze na piwo. Czemu jesteś zakłopotany? Czy powiedziałam coś niewłaściwego?

- Hmm... panienko, jesteś bardzo ładna, ale o dziewczynę również nie prosiłem.

Zbliżyła się do mnie, spojrzała w górę i pogłaskała mnie po policzku. Czułem jej oddech na swej brodzie. Wyczuwałem jej słodki zapach.

- Święty Alecu - odparła cicho - nie usiłuję cię uwieść. Rzecz jasna, jestem do wzięcia. Dziewczyna do towarzystwa, albo dwie czy trzy, jest wliczona w cenę wszystkich naszych luksusowych apartamentów. Potrafię jednak zrobić coś znacznie lepszego niż przespać się z tobą. - Sięgnęła po ręcznik i owinęła go sobie wokół bioder.

- Kąpielowa, ichiban, do usług! Proszę pana, czy pomasować plecy? - Odrzuciła ręcznik, uśmiechając się. - Jestem też barmanką pierwszej klasy. Czy podać „duńskiego zombi”?

- Kto ci powiedział, że go lubię?

Odwróciła się tyłem, aby otworzyć szafę.

- Wszyscy święci, których znałam, lubili właśnie to. Jak ci się to podoba? - Wyciągnęła szlafrok, który wyglądał, jakby utkano go z jasnoniebieskiej mgły.

- Śliczne. Ilu świętych poznałaś?

- Jednego. Ciebie... Nie, dwóch, ale tamten nie pijał „duńskiego zombi”. Przepraszam. Wyglupiałam się.

- Nic nie szkodzi. To może być cenna wskazówka. Czy ta informacja pochodzi od duńskiej dziewczyny? Blondynki mniej więcej twojego wzrostu i tuszy. Margrethe lub Marga. Niekiedy też Margie.

- Nie. Gdy przydzielono mnie do ciebie, dostałam ściągę z informacjami na twój temat. Ta Margie to twoja przyjaciółka?

- Więcej niż przyjaciółka. Ona jest powodem, dla którego jestem w piekle. Na piekle? W?

- Jak chcesz. Jestem raczej pewna, że nigdy nie spotkałam twojej Margie.

- W jaki sposób można tu kogoś odnaleźć? Księgi adresowe? Spisy wyborców? Czy coś takiego?

- Nigdy tu nie widziałam nic z tych rzeczy. W piekle nie ma prawie żadnej organizacji. Panuje tu anarchia, która tylko w niektórych kwestiach przeradza się w monarchię absolutną.

- Czy sądzisz, że mógłbym zapytać o to Szatana?

Zrobiła niepewną minę.

- O ile wiem, nie ma żadnego prawa, które by stwierdzało, że nie wolno ci napisać listu do Jego Piekielnej Wysokości. Z drugiej strony nie ma też prawa, które by mówiło, że On musi go przeczytać. Myślę, że któryś z sekretarzy otworzyłby go i przeczytał. Nie podejrzewam, żeby po prostu wrzucili list do jeziora. Raczej nie. Wejdziemy tu? - spytała. - Czy chcesz już iść do łóżka?

- Hm... Myślę, że powinienem się wykąpać. Nawet na pewno.

- Fajnie! Nigdy jeszcze nie kąpałam świętego! Bomba!

- Wiesz, nie potrzebuję pomocy. Potrafię się sam wykąpać.

A jednak mnie wykąpała. Zrobiła mi manicure. I pedicure, posyukując ze złości nad stanem moich paznokci u nóg. „Skandal” to najłagodniejsze określenie, jakiego użyła. Przystrzygła mi włosy. Gdy zapytałam ją o żyletki, wskazała mi szafkę w łazience, w której kryło się osiem czy dziewięć różnych przyrządów do golenia.

- Polecam tę elektryczną maszynkę z trzema obrotowymi głowicami, lecz jeśli mi zaufasz, przekonasz się, że umiem się niezłe posłużyć zwykłą staromodną brzytwą.

- Szukałem tylko żyłek. Firmy „Gillette”.
- Nie znam tej firmy, ale są tu nowe maszynki, do których pasują wszystkie z tych żyłek.
- Nie. Wolę się trzymać swojej własnej. Nierdzewne żyłki z dwoma ostrzami.
- „Wilkinson Sword”, podwójne nietępiące się ostrza?
- Ewentualnie. O, są! „Gillette Stainless”. Kup dwie paczki, dostaniesz jedną za darmo!
- Dobrze. Ogołę cię.
- Nie. Zrobię to sam.

W pół godziny później oparłem plecy o poduszki łóżka godnego królewskiego miesiąca miodowego. Przełknąłem już jeden pyszny „Dagwood”, a w rękę trzymałem szklaneczkę z „duńskim zombim”. Miałem na sobie nowiutką piżamę w kolorze ciemnobrązowo-złotym. Pat zdjęła przejrzyisty peniuar o barwie błękitnego dymu, który włożyła na siebie, gdy mnie wykapała, i położyła się przy mnie, stawiając swojego drinka - „Glenlivet” z lodem w zasięgu ręki.

(Powiedziałem sam do siebie: Posłuchaj, Marga, nie prosiłem o to. Tu jest tylko jedno łóżko, jest ono jednak duże, a ona się do mnie nie przystawia. Nie każesz mi jej stąd wykopać, prawda? To miła dziewczyna. Nie chciałbym urazić jej uczuć. Jestem zmęczony. Skończę tego drinka i idę spać.)

Nie poszedłem spać tak szybko. Pat nie była w najmniejszym stopniu agresywna. Była jednak bardzo skłonna do współpracy. Zauważyłem, że jedna część mojego umysłu skoncentrowała się całkowicie na tym, co miała ona do zaoferowania (mnóstwo!), a druga tłumaczyła jednocześnie Mardze, że nie było to nic poważnego: Nie kocham jej. Kocham ciebie i tylko ciebie, i zawsze będę cię kochał... ale nie mogłem zasnąć i...

Spaliśmy zaledwie chwilę, po czym obejrzelśmy „holograficzny” film „tylko dla dorosłych”, jak określiła to Pat - i poznałem rzeczy, o których nawet nie słyszałem. Okazało się jednak, że Pat potrafi je robić i może mnie nauczyć. Tym razem zatrzymałem się tylko na chwilę, aby powiedzieć Mardze, że uczę się ich z myślą o nas obojgu, po czym zwróciłem całą swoją uwagę na proces nauczania.

Potem znowu się zdrzemnęliśmy.

Po pewnym czasie Pat dotknęła mojego ramienia.

- Odwróć się do mnie, najdroższy, chcę ci spojrzeć w twarz. Tak myślałam. Alec, wiem, że w głowie ci tylko twoja dziewczyna. Dlatego tu jestem, żeby ci ułatwić sprawę. Nie mogę tego jednak zrobić bez twojej pomocy. Co ona takiego robiła, czego ja nie umiem? Czy może ma ten sławny gwint lewoskrętny? Albo coś innego? Powiedz mi albo opisz to. Mogę to zrobić, albo udać, że robię, albo też wysłać po kogoś. Proszę cię. Zaczynasz ranić moją zawodową dumę.

- Świetnie sobie radzisz. - Poglaskałem ją po dłoni.

- Ciekawe. Może sprowadzić więcej dziewcząt takich jak ja, w różnych smakach? Zasypać cię cyckami? Czekoladowe, waniliowe, truskawkowe, tutti-frutti. Tutti-frutti - hmm... Może chciałbyś przekładaniec z San Francisco albo jakiś inny numer z Sodomy i Gomory? Znam jednego chłopaka z Berkeley, który nie jest w stu procentach chłopakiem. Ma cudowną wyobraźnię. Współpracowałam z nim wiele razy. Może zawiadzać innych podobnych do siebie. Jest członkiem zarówno „Towarzystwa Alesteira Crowleya”, jak i „Neronów, baronów i haleronów”. Jeśli masz ochotę na scenę grupową, Donny i ja zaprojektujemy ją tak, jak sobie życzysz, a „Sans Souci” zatroszczy się o odpowiednią aranżację. Ogród perski, pensjonat, harem turecki, obsceniczne rytuały w rytm tam-tamów, klasztor żeński... o, właśnie, czy mówiłam ci, co robiłam przed śmiercią?

- Nie byłem pewien, czy w ogóle umarłaś.

- Oczywiście. Nie jestem chochlicą udającą kobietę, lecz prawdziwą kobietą. Nie myśl sobie, że można dostać taką pracę, nie mając doświadczenia z ludźmi. Trzeba być człowiekiem do szpiku kości, aby zadowolić swego pobratymca człowieka. Te gadki o nadzwyczajnych zdolnościach

erotycznych succubów to tylko ich trik reklamowy. Byłam zakonnica, Alec, od lat młodości, aż do śmierci. Większość tego czasu spędziłam na nauczaniu gramatyki i arytmetyki dzieci, które nie miały ochoty się tego uczyć. Szybko zrozumiałam, że nie mam powołania. Nie wiedziałam jednak, jak się stamtąd wydostać, więc zostałam. Około trzydziestki stwierdziłam, jak straszną pomyłkę popełniłam. Mój rozwój seksualny dobiegł końca, to znaczy dostałam chcicy, święty Alecu, i z każdym rokiem moja żądza rosła. Najgorsze w moim położeniu było nie to, że doznawałam pokusy, ale że właściwie jej nie doznawałam, gdyż byłam gotowa skorzystać z każdej okazji. Ale gdzie tam! Mój spowiednik spozjrzałby na mnie z pożądaniem, gdybym była chłopcem z chóru. Prawdę mówiąc, zdarzało mu się pochrapywać podczas moich spowiedzi. Nic dziwnego. Moje grzechy nudziły nawet mnie.

- Jakie to były grzechy, Pat?

- Nieczyste myśli, do których z reguły się nie przyznawałam. Ponieważ nie uzyskałam wybaczenia, poszły prosto do komputerów świętego Piotra. Błuzniercze cudzołożne stosunki.

- Hę? Pat, masz niezłą wyobraźnię.

- Nie za bardzo. Tylko chcicę. Prawdopodobnie nie zdajesz sobie sprawy, jak ograniczona jest swoboda zakonnicy. Jest oblubienicą Chrystusa. Taki jest kontrakt. I dlatego nawet myśli o seksie czynią z niej cudzołożną żonę w najgorszym tego słowa znaczeniu.

- No, kurczę! Pat, niedawno widziałem w niebie dwie zakonnice. Wyglądały na zdrowe sztuki, zwłaszcza jedna z nich. A jednak się tam znalazły.

- Nie ma w tym sprzeczności. Większość zakonnicy spowiada się regularnie i uzyskuje rozgrzeszenie. Zwykle też umierają na łonie rodziny z kapłanem lub spowiednikiem pod ręką. W ten sposób zakonnica otrzymuje ostatnie namaszczenie wypowiedana ze wszystkich grzechów i wędruje prosto do nieba, czysta jak nowe mydełko. Ale nie ja! - Uśmiechnęła się. - Ja muszę pokutować za swoje grzechy i każda minuta tej kary napawa mnie występłą przyjemnością. Umarłam jako dziewica w tysiąc dziewięćset osiemnastym podczas wielkiej epidemii grypy. Marło wówczas tak wielu ludzi, że żaden ksiądz nie zdążył na czas, żeby mnie naoliwić na drogę do nieba. Dlatego wylądowałam tutaj. Po ukończeniu tysiącletniego okresu terminowania...

- Chwileczkę! Umarłaś w tysiąc dziewięćset osiemnastym?

- Tak. Wielka epidemia grypy hiszpańskiej. Urodzona w roku 1878, zmarła w 1918, dokładnie w dniu swych czterdziestych urodzin. Czy chcesz, żebym wyglądała na czterdziestkę? Mogę to zrobić.

- Nie. Wyglądasz w sam raz. Cudownie.

- Nie byłam pewna. Niektórzy z mężczyzn... jest tu kupa takich, co mieli chętkę na swoją mamusię i większości z nich nie udało się za życia tego dopiąć. To jedna z najłatwiejszych usług w moim repertuarze. Po prostu pozwalałam ci zahipnotyzować się samemu. Ty dostarczasz danych. Dzięki temu uzyskuję wygląd i głos twojej matki. Zapach też. Wszystko. Z tym że - w przeciwieństwie do niej - jestem do wzięcia na różne sposoby...

- Patty, ja nawet nie lubiłem swojej matki!

- Och. Czy nie miałaś z tym kłopotów w Dzień Sądu?

- Nie. Zasady tego nie wymagają. W Księdze jest tylko napisane, że masz czcić ojca swojego i matkę swoją. Ani słowa o kochaniu ich. Czciłem ją z zachowaniem pełnego protokołu. Miałem jej zdjęcie na biurku. Co tydzień pisałem list. Dzwoniłem do niej w dniu urodzin. Odwiedzałem, gdy pozwoliły mi na to obowiązki. Wysłuchiwałem jej wiecznego wyrzekania i zatrutych plotek o przyjaciółkach. Nigdy się jej nie sprzeciwiałem. Płaciłem rachunki w szpitalu. Przyszedłem na pogrzeb, Ale nie płakałem. Ona nie lubiła mnie, ani ja jej. Zapomnijmy o niej! Pat, zadałem ci pytanie, a ty zmieniłaś temat.

- Przepraszam, mój drogi. Hej, popatrz, co znalazłam!

- Nie zmieniaj znowu tematu. Potrzyj go trochę w rękę, żeby się rozgrzał i odpowiedz na moje pytanie. Mówiłaś coś o tysiącletnim okresie terminowania.

- Tak?

- Ale powiedziałaś też, że umarłaś w tysiąc dziewięćset osiemnastym. Ostatnia trąba zabrzmiała w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym. Wiem to na pewno. Byłem przy tym. To tylko siedemdziesiąt sześć lat od twojej śmierci. Mnie wydaje się, że ostatnia trąba zabrzmiała zaledwie kilka dni temu, najwyżej miesiąc. Natrafiłem na fakty, które wydają się świadczyć o tym, że upłynęło siedem lat. To jednak nie to samo co ponad dziewięćset, prawie tysiąc. Nie jestem duchem. Mam żywe ciało. Nie jestem też Matuzalemem. (Do diabła, Margrethe rozłączona ze mną przez tysiąc lat? To niesprawiedliwe!)

- Och, Alec, w wieczności tysiąc lat nie oznacza jakiegoś określonego czasu. Po prostu długi okres. W tym przypadku wystarczająco długi, aby stwierdzić, czy posiadam talent i zamiłowanie do tego zawodu. To zajęło trochę czasu dlatego, że choć byłam wystarczająco pobudliwa - i tak już zostało, niemal każdy klient może mnie wysłać prawie pod sufit, jak zauważyłeś - to, gdy tu przybyłam, nie wiedziałam nic na temat seksu. Zupełnie nic! Nauczyłam się jednak czego trzeba. Maria Magdalena wystawiła mi wysoką ocenę i zarekomendowała na stały kontrakt.

- Czy ona jest tutaj?

- Och. Zapraszają ją na gościnne wykłady. Na stałe zatrudniona jest w niebie.

- Czego może tam uczyć?

- Nie mam pojęcia, ale na pewno nie tego, co tutaj. Nie sądzę. Hmm. Alec, ona należy do Wiecznych Tytanów. Rządzi się własnymi prawami. Tym razem to ty zmieniłeś temat. Próbowałam ci wytłumaczyć, że nie wiem, jak długo terminowałam, ponieważ czas płynie tutaj tak, jak mu się każe. Jak długo byliśmy razem w łóżku?

- Hmm. Dosyć długo. Ale nie wystarczająco długo. Myślę, że jest około północy.

- Jeśli tak sobie życzysz. Czy chcesz, żebym weszła na wierzch?

Następnego ranka, kiedykolwiek to było, zjedliśmy z Pat śniadanie na balkonie wychodzącym na jezioro. Była ubrana w ulubiony kostium Margi - krótkie, obcisłe szorty i stanik, z którego jej piersi pragnęły wyrwać się na wolność. Nie wiem, skąd wzięła swój strój, lecz moje spodnie i koszula zostały w nocy wyprane i zacerowane, podobnie jak bielizna i skarpetki. W piekle wszędzie musi być pełno małych zapracowanych chochlików. Zresztą w drugiej części nocy mogliby przegonić przez apartament stado gęsi, a i tak bym się nie obudził.

Spojrzałem na Pat siedzącą po drugiej stronie stołu, podziwiając jej zdrową harcerską urodę oraz nos pokryty piegami, i sam sobie się dziwiłem, że uważałem kiedyś seks za grzech. Seks może, rzecz jasna, zawierać elementy grzeszne. We wszystkim, co robią ludzie, może się pojawić okrucieństwo i niesprawiedliwość. Jednak w samym seksie nie ma śladu grzechu. Przybyłem tu zmęczony, pełen niepewności i nieszczęśliwy, a Pat najpierw mnie uszczęśliwiła, a potem pomogła wypocząć, dzięki czemu wstałem tego pięknego poranka bardzo szczęśliwy.

Nie znaczy to, że zmniejszyło się moje pragnienie odnalezienia ciebie, Marga, moja jedyna. Będzie mi jednak teraz znacznie łatwiej cię szukać.

Czy Margrethe mogłaby to zrozumieć?

No cóż, nigdy nie odniosłem wrażenia, że jest o mnie zazdrosna. A jak ja bym się czuł, gdyby wzięła sobie urlop, seksualny urlop, tak jak ja przed chwilą? To trudne pytanie. Lepiej zastanów się nad tym, chłopcze. Nosił wilk razy kilka, aż ponieśli i wilka!

Spojrzałem na jezioro. Oświetlony bijącą od płomieni czerwoną poświatą dym wzbijał się w górę... zaś po obu stronach rozciągał się zielony słoneczny krajobraz początku lata, a w oddali widać

było pokryte śniegiem szczyty gór.

- Pat?

- Słucham, kochanie?

- Brzeg jeziora nie może leżeć dalej niż o furlong. Nie czuję jednak woni siarki.

- Zauważ, w którą stronę wiatr wydyma te sztandary. Wszędzie w okolicy czeluści wiatr wieje w jej stronę. Nad nią powietrze wznosi się w górę - i przy okazji spowalnia lot dusz przybywających po torze balistycznym - a następnie, po drugiej stronie globu opada do znajdującej się tam zimnej czeluści, w której siarkowodór wchodzi w reakcję z tlenem, tworząc wodą i siarkę. Siarka odkłada się, a woda wzbija w górę pod postacią pary wodnej i wraca na powierzchnię. Dwie czeluście i cyrkulacja pomiędzy nimi reguluje tu pogodę, podobnie jak Księżyc czyni to na Ziemi, ale w łagodniejszy sposób.

- Nigdy nie byłem za mocny z nauk przyrodniczych... ale to mi się nie zgadza z prawami natury, jakich uczono mnie w szkole.

- Jasne, że nie. Tu jest inny szef. Rządzi tą planetą tak, jak mu pasuje.

Nawet gdybym mógł udzielić na to odpowiedzi, zagubiłaby się ona w łagodnym tonie gongu, który zabrzmiał wewnątrz apartamentu.

- Czy mam odebrać, proszę pana?

- Jasne, ale nie mów do mnie „pan”. Pewnie to tylko sprzątaczką, co?

- Nie, drogi Alecu, sprzątaczką przyjdzie dopiero wtedy, gdy zobaczą, że skończyliśmy. - Wstała z miejsca, a po chwili wróciła, trzymając w ręku kopertę. - List dostarczony przez imperialnego kuriera. Do ciebie, kochanie!

- Do mnie?

Odebrałem go niepewnie i otworzyłem. Był zapieczętowany. Pieczęć przedstawiała konwencjonalnie wyobrażonego diabła w kolorze czerwonym, z rogami, kopytami, ogonem i widłami, stojącego pośród płomieni. Pod spodem widniało nazwisko adresata:

„Święty Aleksander Hergensheimer.

I dalej:

Sans Souci Sheraton

Stolica

Pozdrowienia:

W odpowiedzi na pańską petycję o audiencji u Jego Piekielnej Wysokości Szatana Markatrige, Suwerena Piekła i jego kolonii, Pierwszego z Upadłych Tronów, Księcia Kłamstw, mam zaszczyt pana powiadomić, że Jego Wysokość życzy sobie, żeby poparł pan swą prośbę, dostarczając do naszego biura dokładny i szczerzy pamiętnik. Po spełnieniu tego warunku decyzja odnośnie pańskiej prośby zostanie podjęta.

Pozwalam sobie dodać do życzenia Jego Wysokości własną radę: Jakakolwiek próba pominięcia, zatuszowania lub koloryzowania czegokolwiek celem zadowolenia Jego Wysokości z pewnością Go nie zadowoli.

Z wyrazami uznania

Szczerze oddany

Belzebub

Sekretarz Jego Wysokości"

Przeczytałem to na głos Pat. Przymrużyła oczy i gwizdnęła.

- Kochanie, weź się lepiej do roboty.

- Ale...

Papier stanął w płomieniach. Wrzuciłem go do zlewu z brudnymi naczyniami.

- Czy to tak zawsze?

- Nie wiem. Pierwszy raz widzę list od Głównego Szefa. Pierwszy raz też słyszę, że przyznano komuś warunkową audiencję.

- Pat, nie prosiłem o audiencję. Miałem zamiar dzisiaj dowiedzieć się, jak to się robi. Nie wysłałem jednak żadnej prośby, a już otrzymałem odpowiedź.

- Musisz więc czym prędzej ją wysłać, żeby przywrócić równowagę. Pomogę ci, kochanie. Napiszę ją na maszynie.

Chochliki znowu musiały się tu kręcić. Zauważyłem, że w jednym z rogów tego wielkiego salonu zainstalowały dwa biurka. Na jednym leżał stos papierów oraz kubek z piórami, na drugim bardziej skomplikowany zestaw. Pat podeszła prosto do tego drugiego.

- Kochanie, wydaje się, że nadal jestem do ciebie przydzielona, tym razem jako sekretarka. To najnowszy i najlepszy sprzęt „Hewlett-Packarda”. To będzie czysta przyjemność. A może sam umiesz pisać na maszynie?

- Obawiam się, że nie.

- Dobra, napisz to ręcznie. Potem to przepiszę... i poprawię ortografię i gramatykę. Zabierz się tylko do dzieła. Teraz już wiem, dlaczego wybrano mnie do tej roboty. Nie ze względu na mój dziewczęcy uśmiech, kochanie. Dlatego, że umiem pisać na maszynie. Większość moich koleżanek tego nie potrafi. Wiele z nich zajęło się kurestwem dlatego, że stenografia i maszynopisanie były dla nich zbyt trudne. Dobra, bierzemy się do roboty! To nam zajmie wiele dni, może tygodni. Nie wiem dokładnie. Czy chcesz, żebym nadal tu spała?

- A ty nie chcesz?

- Kochanie, decyzja należy do klienta. Tak musi być.

- Chcę, żebyś została. (Marga! Zrozum mnie, proszę!)

- Dobrze, że to powiedziałaś. Inaczej bym się rozplakała. Poza tym dobra sekretarka powinna zawsze przebywać, w pobliżu szefa, na wypadek, gdyby w nocy coś nieoczekiwanie stanęło na tapecie.

- Pat, to był już stary dowcip wtedy, gdy byłem w seminarium.

- Był już stary, zanim się urodziłaś, kochanie. Weźmy się do roboty!

Wyobraźcie sobie kartki kalendarza (którego nie posiadam) zrywane przez wiatr. Rękopis staje się coraz dłuższy i dłuższy, lecz Pat nalega, żeby radę księcia Belzebuba potraktować dosłownie. Sporządza ona dwie kopie wszystkiego, co piszę. Jedną chowa w biurku, a druga znika w nocy. Znowu chochliki! Pat mówi, że trzeba przyjąć, iż znikające kartki wędrują do Pałacu, przynajmniej na biurko księcia... a więc to, co napisałem dotychczas, musi zadowalać.

Codziennie przez niecałe dwie godziny Pat przepisuje to, co pisałem przez cały dzień. Przestałem się tak śpieszyć, odkąd otrzymałem odręczne pismo tej treści:

„Za bardzo się przemęczasz. Więcej luzu! Zabierz ją do kina! Pójdźcie na piknik! Nie ma się czym przejmować!

B.”

Kartka uległa samozniszczeniu, stąd nabrałem pewności, że była autentyczna. Podporządkowałem się więc. Z przyjemnością. Nie zamierzam jednak tu opisywać „garnków mięsa” szatańskiej stolicy.

Tego ranka osiągnąłem wreszcie ten dziwny punkt, w którym zacząłem pisać o tym, co działo się właśnie w tej chwili i wręczyłem Pat ostatnią zapisaną stronę.

W niespełną godzinę po ukończeniu powyższego akapitu usłyszałem dźwięk gongu. Pat zeszła do foyer. Po chwili wróciła. Objęła mnie ramionami.

- Musimy się pożegnać, kochanie! Już się nie zobaczymy!

- Co takiego?

- Właśnie to, mój drogi. Dziś rano powiedzieli mi, że moja misja dobiegła końca. Muszę ci jednak coś wyznać. Dowiesz się, z pewnością się dowiesz, że składałam na ciebie codzienne raporty. Nie gniewaj się na mnie! To mój zawód. Jestem agentką Imperialnej Służby Bezpieczeństwa.

- Do diabła! Więc te wszystkie pocałunki i westchnienia były udawane?

- Ani razu nie udawałam. O, gdy odnajdziesz swoją Margę, powiedz jej, proszę, że ma szczęście.

- Siostró Mary Patricio, czy to kolejne kłamstwo?

- Święty Aleksandrze, nigdy cię nie okłamałam. Musiałam tylko przemilczeć pewne rzeczy, zanim wolno mi było o nich powiedzieć. - Odsunęła się ode mnie.

- Hej! Czy nie pocałujesz mnie na pożegnanie?

- Alec, gdybyś naprawdę chciał mnie pocałować, nie prosiłbyś mnie o zgodę.

Nie prosiłem, lecz zrobiłem to. Jeśli Pat udawała, znaczyłoby to, że jest lepszą aktorką, niż ją o to podejrzewałem.

Dwa wielkie upadłe anioły czekały, aby mnie zabrać do Pałacu. Były dobrze uzbrojone i miały na sobie ciężkie broje. Pat zapakowała mój rękopis i powiedziała, że mam go zabrać ze sobą. Skierowałem się ku wyjściu - i zatrzymałem nagle.

- Moja maszynka!

- Sprawdź w kieszeni, kochanie!

- Hę? Jak się tam znalazła?

- Wiedziałam, że już tu nie wrócisz.

Ponownie stwierdziłem, że w towarzystwie aniołów mogę latać. Przefrunąłem z mojego własnego balkonu, wokół „Sans Souci Sheraton”, ponad placem, aż do balkonu na trzecim piętrze pałacu Szatana. Następnie przeleciałem przez kilka korytarzy, w górę po schodach o stopniach zbyt wysokich, aby były wygodne dla ludzi. Gdy się potknąłem, jeden z eskortujących strąconych aniołów podtrzymał mnie i pomógł mi wejść na szczyt, nic jednak przy tym nie mówiąc - żaden z nich nie odezwał się ani słowem.

Wielkie mosiężne wrota, ozdobione równie bogato jak drzwi Ghibertiego, otworzyły się. Wepchnięto mnie do środka.

I oto ujrzałem Jego samego.

Mroczna, pełna dymu sala, uzbrojeni strażnicy z obu stron wysokiego tronu. Na nim siedziała Istota, przynajmniej dwukrotnie wyższa niż człowiek... Istota wyglądająca jak konwencjonalne wyobrażenie diabła, jakie można zobaczyć na butelce „Pluto” czy puszcze „Diabelskiej szynki”: rogi, ogon, lśniące oczy i widły zamiast berła. Jej ciemnoczerwona skóra lśniła w blasku fajerek. Pod nią widać było naprężone mięśnie. Musiałem sobie przypomnieć, że Książę Kłamstw mógł wyglądać tak, jak tylko zapragnął. Ten wygląd miał mnie zapewne zastraszyć.

Usłyszałem głos, głęboki jak dźwięk syreny:

- Święty Aleksandrze, możesz podejść!

Stałem się bratem szakali

i młodych strusiów sąsiadem.

Księga Hioba 30, 29

Ruszyłem w górę po schodach prowadzących ku tronowi. Również stopnie były zbyt wysokie i zbyt szerokie, a nie było teraz przy mnie nikogo, kto by mnie podtrzymał. Zostałem zmuszony do wpełzania w górę po tych skubanych schodach, podczas gdy Szatan spoglądał na mnie w dół z ironicznym uśmieszkiem.

Nagle ze wszystkich stron zabrzmiała płynąca z niewidocznego źródła ponura muzyka, która przypominała Wagnera. Nie był to jednak żaden ze znanych mi utworów. Myślę, że musiała być ona urozmaicona tymi poddźwiękowymi częstotliwościami, które sprawiają, że psy wyją, konie ponoszą, a ludzie zaczynają myśleć o ucieczce lub samobójstwie.

Schody nie chciały się skończyć.

Nie policzyłem stopni na początku wspinaczki, wydawało się jednak, że nie ma ich więcej niż trzydzieści. Wpełzałem na nie już od kilku minut, gdy zdałem sobie sprawę, że w ogóle nie zbliżam się do celu. Książę Kłamstw!

Stałem więc w miejscu.

Po chwili usłyszałem grzmiący głos:

- Coś nie gra, święty Aleksandrze?

- Wszystko gra - odparłem - ponieważ w ten sposób Pan to zaplanował. Jeśli Wasza Wysokość naprawdę chce, żebym wszedł do Niego na górę, to proszę wyłączyć to cwane urządzenie. Nie ma sensu, żebym bawił się w Syzyfa.

- Sądzisz, że Ja jestem za to odpowiedzialny?

- Wiem o tym. To taka zabawa. W kotka i myszkę.

- Chcesz ze Mnie zrobić głupca w obecności Moich dworzan?

- Nie, Wasza Wysokość. Nie mogę zrobić głupca z Waszej Wysokości. Tylko Wasza Wysokość może tego dokonać.

- Czyżby? Czy wiesz, że mogę cię unicestwić w każdej chwili?

- Wasza Wysokość, byłem całkowicie w mocy Waszej Wysokości, odkąd wkroczyłem do Jego królestwa. Czego sobie Wasza Wysokość życzy? Czy mam nadal włączyć po tych schodach?

- Tak jest.

Tak też uczyniłem. Schody przestały się rozciągać, a stopnie skurczyły się do wygodnej szerokości siedmiu cali. Po kilku sekundach znalazłem się na tej samej wysokości co Szatan - to jest Jego kopyta. To była stanowczo za mała odległość. Nie tylko Jego powierzchowność mnie przerażała - musiałem mocno trzymać się w garści - lecz ponadto On również śmierdział! Cuchnął brudnymi kubłami na śmieci, zgniłym mięsem, skunksem i cywetą, siarką, zamkniętymi pokojami, gazem z chorych jelit - tym wszystkim, a także jeszcze gorszymi rzeczami. Powiedziałem sobie - Alexie Hergensheimerze, jeśli pozwolisz Mu na to, żeby sprowokował cię do wymiotów, możesz stracić wszelkie szanse na połączenie się z Marga - więc powstrzymaj się! Zapanuj nad sobą!

- Ten taboret jest dla ciebie - powiedział Szatan. - Usiądź!

Obok tronu stał taboret wystarczająco niski, aby zniweczyć godność każdego, kto na nim usiądzie. Uczyniłem to!

Szatan ujął maszynopis w dłoń tak wielką, że kartki papieru wyglądały w niej jak karty do gry.

- Przeczytałem to. Niezłe. Trochę przydługie, ale moi redaktorzy to poprawią. Lepsze nadmierne sprawozdanie niż zbyt zwięzłe. Będzie też potrzebne zakończenie... napisane przez ciebie albo przez Murzyna. Raczej to drugie. Będzie musiał nadać temu więcej wyrazu. Powiedz mi, czy myślałeś kiedyś, żeby zostać pisarzem, zamiast kaznodzieją?

- Chyba nie mam talentu.

- Co tam talent! Powinieneś zobaczyć to, co teraz wydają. Musisz jednak trochę podrasować sceny erotyczne. Dzisiejsza klientela żąda ostrych momentów. Ale mniejsza o to. Nie wezwałem cię tu, aby omawiać twój styl i jego niedostatki, lecz po to, aby przedstawić ci propozycję.

Milczałem. On też. Po chwili odezwał się:

- Czy nie jesteś ciekaw, co to za propozycja?

- Wasza Wysokość, oczywiście, że jestem ciekaw. Jednak jeśli ludzkość w ogóle zdołała się czegokolwiek o Panu dowiedzieć, to tego, że przy wszystkich układach z Panem należy zachować maksymalną ostrożność.

Fundamenty zatrzęśły się od Jego śmiechu.

- Biedny, mały człowieczku, czy naprawdę myślałeś, że chcę się targować o twą mizerną duszę?

- Nie wiem, czego Pan chce. Nie jestem jednak tak bystry jak doktor Faust, a tym bardziej Daniel Webster. Powiniennem więc mieć się na baczności.

- Nie pleć głupstw! Nie chcę twojej duszy. Nie ma teraz na nie zbytu. Jest ich za wiele, a jakość znacznie się obniżyła. Mogę je skupować po dziesięć centów za pęczek, jak rzodkiewki, ale nie robię tego, bo mam przeładowane magazyny. Nie, święty Aleksandrze! Pragnę ci zaoferować pracę. I to w twoim zawodzie!

(Poczułem nagły niepokój. Gdzie tkwił podstęp? Alex, to szwindel! Bądź ostrożny! Czego On chce?)

- Wasza Wysokość potrzebuje pomywacza?

Ponownie rozległ się chichot, mniej więcej 4, 2 w skali Richtera.

- Nie, nie, święty Aleksandrze! Mam na myśli twoje powołanie, a nie robotę, do podjęcia której zmusiła cię potrzeba chwili. Chcę cię wynająć, żebyś głądził ludziom o Ewangelii, wymachiwał im nad głowami Biblią. Pragnę, żebyś się wziął za robotę na Jezusowym odcinku, tak jak cię tego nauczono. Nie będziesz się musiał martwić o pieniądze. Żadnych zbiórek na tacę. Pensja będzie wysoka, a obowiązki lekkie. Co powiesz na to?

- Powiem, że próbuje Pan mnie nabrać.

- To niezbyt uprzejme z twojej strony. Żadnego nabierania, święty Aleksandrze. Będziesz mógł głosić to, co zechcesz, bez żadnych ograniczeń. Otrzymasz tytuł Mojego prywatnego kapelana oraz Prymasa Piekła. Będziesz mógł poświęcić resztę swojego czasu - tak wiele czy niewiele, jak sobie zażyczysz - na zbawienie potępionych dusz... a tych jest tu pod dostatkiem. Pensja do uzgodnienia... z tym, że nie niższa niż gaża obecnie pełniącego tę funkcję papieża Aleksandra Szóstego, którego dusza słynie ze swej notorycznej chciwości. Nie będziesz żył w biedzie, daję słowo. No więc? Co ty na to?

(Kto tu zwariował? Diabeł czy ja? A może to kolejny z tych koszmarów, które ostatnio mnie dręczyły?)

- Wasza Wysokość nie wymieniła nic, czego bym pragnął.

- Czyżby? Każdy potrzebuje pieniędzy. Jesteś spłukany. Nie będziesz mógł zostać w tym paradnym apartamencie ani dnia dłużej, jeśli nie znajdziesz roboty. - Stuknął ręką w maszynopis. - To może ci kiedyś przynieść trochę grosza, ale nie tak szybko. Nie wypłacę ci zaliczki, bo nie wiem, jak to się będzie sprzedawać. Na rynku jest już nadmiar ekstrawaganckich historii pod hasłem: „Byłem więźniem złego króla”.

- Wasza Wysokość czytała mój pamiętnik i wie, czego pragnę.

- Hę? Przypomnij mi!

- Pan wie! Mojej ukochanej, Margrethe Svensdatter Gunderson.

Zrobił zdziwioną minę.

- Czy nie wysłałem ci memorandum na ten temat? W piekle jej nie ma.

Poczułem się jak pacjent, który trzymał uszy do góry aż do chwili, gdy nadszedł wynik biopsji... a potem nie może się pogodzić ze złą wiadomością.

- Czy jest Pan tego pewien?

- Oczywiście, że tak. Jak ci się zdaje, kto tu rządzi?

(Książę Kłamców, Książę Kłamstw!)

- Jak może Pan być pewien? Słyszałem, że nikt tu nie prowadzi rejestrów. Jest możliwe, że ktoś przebywa w piekle od lat, a Pan nigdy o nim nie słyszał.

- Jeśli tak słyszałeś, to źle słyszałeś. Posłuchaj, jeśli przyjmiesz moją ofertę, będziesz mógł sobie pozwolić na wynajęcie najlepszych detektywów w historii - od Sherlocka Holmesa aż po J. Edgara Hoovera, aby przeszukali dla ciebie całe piekło. To byłoby jednak marnowanie pieniędzy. Jej nie ma na obszarze Mojego królestwa. Mówię ci to oficjalnie.

Zawahałem się. Piekło ma dużą powierzchnię. Sam mógłbym je przeszukiwać przez całą wieczność i nigdy nie znalazłbym Margi. Jednak duża ilość pieniędzy (wiedziałem o tym dobrze) czyniła z trudnych rzeczy łatwe, a z niemożliwych jedynie trudne.

Niemniej - choć niektóre z rzeczy, które robiłem jako zastępca kierownika w Kościołach Zjednoczonych na rzecz Obyczajności mogły wzbudzać wątpliwości (niełatwo jest zrównoważyć budżet), nigdy jednak jako wyświęcony kapłan nie sprzedałem się Naszemu Odwiecznemu Nieprzyjacielowi. Jak może kapłan Chrystusa zostać kapelanem Szatana? Marga, kochanie, nie mogę tego zrobić.

- Nie.

- Nie dosłyszałem cię. Dodam jeszcze coś na osłodę. Jeśli przyjmiesz moją propozycję, przydzielę ci na stałe moją czołową agentkę, siostrę Mary Patricię. Zostanie twoją niewolnicą - z jednym drobnym zastrzeżeniem, że nie będziesz mógł jej sprzedać. Będziesz ją jednak mógł wynajmować, jeśli sobie zażyczysz. Co ty na to?

- Nie.

- No nie, no! Prosisz o jedną babkę, a ja ci daję lepszą. Nie możesz mi wmówić, że nie było ci z Pat przyjemnie. Mieszkałeś z nią przez długie tygodnie. Czy mam odtworzyć z taśmy trochę jęków i westchnień?

- Ty, nie powiem jaki, chamie!

- Nu, nu, nie obrażaj Mnie w Moim własnym domu. Ty wiesz, Ja wiem i wszyscy dobrze wiemy, że kobitki niewiele się od siebie różnią - może z wyjątkiem gotowania. W miejsce tej, którą gdzieś zapodziałeś, proponuję ci inną, nawet lepszą. Za rok podziękujesz Mi za to. Za dwa lata będziesz się dziwił, czemu tak wybrzydzałeś. Lepiej się zgódź, święty Aleksandrze, to najlepsza propozycja, jaką mogę ci złożyć. Mówię ci szczerze, ten „duński zombi”, o którego prosiłeś, nie znajduje się w piekle. No więc?

- Nie!

Szatan zabębnił palcami o oparcie fotela. Wyglądał na rozżłoszczonego.

- To twoje ostatnie słowo?

- Tak.

- A przypuścmy, że zaoferowałbym ci posadę kapelana i twoją lodową dziewicę na dodatek?

- Powiedział Pan, że w piekle jej nie ma!
- Ale nie powiedziałem, że nie wiem, gdzie jest.
- Czy może się Pan do niej dostać?

- Odpowiedz na moje pytanie. Czy przyjmiesz posadę Mojego kapelana, jeśli w kontrakcie zawrę obietnicę oddania ci jej?

(Marga, Marga!)

- Nie.
- Sierzancie, proszą odesłać straż - powiedział Szatan rzeźkim głosem. - Ty pójdziesz ze mną!
- W lewo zwrot!... Naprzód marsz!

Szatan wstał ze swego tronu, obszedł go wkoło i udał się na tył, nie odzywając się do mnie ani słowem. Musiałem się śpieszyć, aby nadążyć za jego potężnymi krokami. Za tronem znajdował się długi mroczny tunel. Gdy wydało mi się, że zaczął się ode mnie oddalać, zerwałem się do biegu. Jego sylwetka zaczęła się roztopiać w słabym świetle na końcu tunelu.

Nagle o mało nie nadepnąłem Mu na pięty. Nie odchodził w dal tak szybko, jak mi się zdawało, lecz zmieniał swą wielkość. A może ja to robiłem. Byliśmy teraz obaj mniej więcej tego samego wzrostu. Zatrzymałem się tuż za Nim, gdy dotarł do drzwi znajdujących się na końcu tunelu. Były one ledwie widoczne w słabej czerwonej poświacie. Szatan dotknął czegoś przy drzwiach, nad którymi zapaliło się białe światło. Otworzył drzwi i zwrócił się w moją stronę.

- Wejdz, Alec!

Serce zabiło mi żywiej. Zaczerpnąłem gwałtownie oddechu.

- Jerry! Jerry Farnsworth!

*Bo w wielkiej mądrości - wiele utrapienia,
a kto przysparza wiedzy - przysparza i cierpień.*
Księga Eklezjasty 1, 18

*Zabrał głos Hiob i tak mówił:
„Niech zginie mój dzień urodzenia
i noc, gdy rzecono: poczęty mężczyzna”.*
Księga Hioba 3, 2 - 3

Zaćmiło mi się w oczach. W głowie zaczęło mi wirować. Kolana ugięły się pode mną.

- Hej, bez takich numerów! - powiedział Jerry ostrym tonem. Objął mnie w pasie, wciągnął do środka i zamknął drzwi.

Podtrzymał mnie, abym nie upadł, a potem potrząsnął mną i plasnął mnie w twarz. Poruszyłem głowę i odzyskałem oddech w piersiach.

Usłyszałem głos Katie:

- Przeprowadź go tu, żeby mógł usiąść.

Wrócił mi normalny wzrok.

- Nic mi nie jest. Po prostu zważyło mnie z nóg na sekundę.

Rozejrzałem się wokoło. Znajdowaliśmy się w foyer domu Farnsworthów.

- Zemdlełeś i tyle. Nic w tym dziwnego. Przeżyłeś szok. Chodź do pokoju rodzinnego!

- Dobrze. Cześć, Katie! O, kurczę, jak fajnie znów cię widzieć.

- Ciebie też, mój drogi.

Podeszła bliżej, objęła mnie ramionami i pocałowała. Po raz kolejny przekonałem się, że choć Marga była moją jedyną, Katie była kobietą w moim typie. Podobnie jak Pat. Marga, chciałbym, żebyś mogła poznać Pat. (Marga!)

Pokój rodzinny wydawał się opustoszały - niewykończone meble i brak okien oraz kominka. Jerry oznajmił:

- Katie, włącz nam, proszę, Remington numer dwa! A ja przygotuję drinki.

- Tak, kochanie.

Gdy oboje zajęli się swoją robotą, Sybil wtargnęła do pokoju, zarzuciła mi ręce na szyję (niemal zbijając mnie z nóg. Ten dzieciak ma swoją masę) i obdarzyła mnie szybkim buziakiem, nieprzypominającym błogosławieństwa Katie.

- Pan Graham! Był pan bomba! Oglądałam wszystko! Z siostrą Pat! Ona też myśli, że pan jest bomba!

Lewa ściana zamieniła się w okno z widokiem na góry. Na przeciwnej ścianie pojawił się kamienny kominek z buzującym płomieniem, który wyglądał zupełnie tak samo, jak poprzednim razem. Sufit był teraz niski, lecz meble i podłoga wyglądały tak, jak je zapamiętałem - „Remington numer dwa”.

Katie odwróciła się od tablicy rozdzielczej.

- Sybil, daj mu spokój, kochanie! Alec, usiądź wreszcie!

- Jak sobie życzysz.

Usiadłem.

- Hmm... czy to Teksas czy piekło?

- Zależy, jak na to patrzeć - odrzekł Jerry.

- A co to za różnica? - spytała Sybil.

- Trudno wyczuć - odparła Katie. - Nie kłopot się tym teraz, Alec. Ja też cię podziwiałam.

Dziewczęta mają rację. Jestem z ciebie dumna.

- On stanowi ciężki przypadek - wtrącił Jerry. - Nie wycisnąłem z niego ani grosika. Alec, ty uparty tępaku, przegrałem przez ciebie trzy zakłady.

Drinki pojawiły się na miejscu. Jerry uniósł swoją szklankę.

- Twoje zdrowie!

- Za Aleca!

- Tak, jego zdrowie!

- Moje zdrowie - zgodziłem się, pociągając wielki łyk Jacka Daniels'a - Jerry. Nie jesteś chyba naprawdę...

Uśmiechnął się do mnie. Szyte na miarę ubranie kowbojskie zniknęło. Buty zmieniły się w rozszczerzone kopyta. Rogi wysunęły się spod Jego włosów. Skóra pokrywająca potężne mięśnie załśniła oleistą czerwienią. Z Jego łona nedorzecznie wielki fallus wystrzelił nieustraszenie w górę!

- Myślę, że go przekonałeś, mój drogi - powiedziała cicho Katie. - A poza tym ta postać nie należy do Twych najładniejszych.

Konwencjonalne. wyobrażenie diabła zniknęło, szybko zastąpione przez równie konwencjonalne wyobrażenie milionera z Teksasu.

- Tak lepiej - powiedziała Sybil. - Tato, dlaczego w ogóle używasz tego wyświechtanego wyobrażenia?

- Służy ono jako dobitny symbol. Jednak ta druga postać jest tutaj bardziej odpowiednia. Ty też powinnaś przywdziać strój teksański.

- Koniecznie? Myślałam, że Patty przyzwyczaiła już pana Grahama do nagości.

- Jej nagości, nie twojej. Zrób to zaraz, bo cię usmażę na obiad!

- Tatusiu, jesteś oszustem. - Na Sybil, która nie ruszyła się z krzesła, pojawiły się nagle niebieskie dżinsy i stanik. - Zmęczyło mnie już udawanie nastolatki. Nie widzę sensu kontynuowania tej zabawy. Święty Alec wie już, że go nabieraliśmy.

- Sybil, mówisz za dużo.

- Mój drogi, ona może mieć rację - wtrąciła cicho Katie.

Jerry potrząsnął głową. Westchnąłem głośno i powiedziałem to, co musiałem powiedzieć:

- Tak, Jerry, wiem, że zostałem nabrany, i to przez tych, których uważałem za przyjaciół. Swoich i Margi. Czy to Ty kryłeś się za tym wszystkim? Kimże więc jestem? Hiobem?

- I tak, i nie.

- Co to oznacza... Wasza Wysokość?

- Alec, nie musisz mnie tak tytułować. Spotkaliśmy się jako przyjaciele i mam nadzieję, że nimi pozostaniemy.

- Jak możemy być przyjaciółmi, jeżeli jestem Hiobem? Wasza Wysokość... gdzie jest moja żona?

- Alec, sam chciałbym wiedzieć. W twoich pamiętnikach odnalazłem pewne wskazówki, które pozwoliły Mi rozpocząć poszukiwania. Na razie jednak tego nie wiem. Musisz być cierpliwy!

- Hmm... do diabła, nie jestem cierpliwy! Jakie wskazówki? Wskaż mi trop! Czy nie widzisz, że tracę rozum?!

- Nie, nie widzę, ponieważ go nie tracisz. Przypiekałem cię tylko trochę. Naciskałem na ciebie tak, że powinieneś się załamać. Ty się nigdy nie załamujesz. Mimo to nie możesz Mi pomóc w poszukiwaniach, nie w tej chwili. Alec, nie zapominaj, że jesteś człowiekiem... a Ja nie! Posiadam moc, której nie potrafisz sobie wyobrazić. Ma ona jednak ograniczenia, których również nie potrafisz

sobie wyobrazić. Siedz więc cicho i słuchaj! Jestem twoim przyjacielem. Jeśli w to nie wierzysz, możesz opuścić Mój dom i radzić sobie sam. Nad jeziorem zawsze można znaleźć pracę - jeśli potrafisz wytrzymać odór siarki. Możesz szukać Margi na swój własny sposób. Nie jestem wam nic winien, ponieważ nie byłem przyczyną waszych trudności. Uwierz Mi!

- Hmm... chciałbym ci uwierzyć.

- Może uwierzysz Katie.

- Alec, Szatan rzecze prawdę - odezwała się Katie. - To nie On zesłał na ciebie to wszystko.

Kochanie, czy Zdarzyło ci się kiedyś, że zabandażowałeś rannego psa tylko po to, żeby nieszczęsne zwierzę w swej ignorancji zerwało bandaż, wyrządzając sobie jeszcze większą krzywdę?

- Tak. (Mój pies Brownie. Miałem dwanaście lat. Brownie zdechł.)

- Nie postępuj tak jak ten pies. Zaufaj Jerry'emu! Jeśli ma ci pomóc, musi uczynić rzeczy, których nie potrafisz pojąć. Czy pouczałbyś neurochirurga podczas zabiegu, albo popędzałbyś go?

Uśmiechnąłem się ze skruszoną miną i pogłaskałem ją po rękę.

- Będę grzeczny, Katie! Postaram się.

- Tak, postaraj się! Zrób to dla Margi!

- Dobrze. Hmm... Jerry, przyznaję, że jestem jedynie człowiekiem i nie potrafię zrozumieć wszystkiego, czy mógłbyś jednak powiedzieć mi cokolwiek?

- Powiem ci tyle, ile będę mógł. Od czego mam zacząć?

- Gdy Cię zapytałem, czy jestem Hiobem, odpowiedziałeś „I tak, i nie”. Co miałeś na myśli?

- W istocie jestem nowym Hiobem. W przypadku tamtego Hioba byłem, muszę przyznać, jednym z czarnych charakterów. Tym razem tak nie jest. Nie jestem dumny z tego, w jaki sposób postąpiłem z Hiobem, ani z tego, jak pozwalałem często Memu Bratu Jahwe na wmanewrowanie Mnie w wykonanie za Niego brudnej roboty - poczynając od Pramatki Ewy - i jeszcze wcześniej, w sposób, którego nie mogę ci wyjaśnić. Poza tym zawsze uwielbiałem się zakładać o cokolwiek... i z tej słabości również nie jestem dumny.

Jerry spojrzał w ogień i zamyślił się głęboko.

- Ewa była ładniutka. Gdy tylko wpadła mi w oko, zrozumiałem, że Jahwe wysmażył wreszcie stworzenie godne Artysty. Później dowiedziałem się, że ściągnął większą część projektu...

- Co takiego? Ale...

- Nie przerywaj, człowieku. Większość z waszych błędów - podsycanych przez Mojego Brata - wypływa z przekonania, że wasz Bóg jest jedyny i wszechpotężny. W gruncie rzeczy Mój Brat - i Ja też, rzecz prosta - jesteśmy nie więcej niż kapralami w armii Wodza Naczelnego. Muszę też dodać, że Wielka Istota, o której myślę jako o Wodzu Naczelnym, Przewodniczącym, Największej Mocy, może być jedynie szeregowcem dla jakiejś wyższej Mocy, której nie potrafię pojąć. Za każdą tajemnicą kryje się następna tajemnica i tak w nieskończoność. Nie musisz jednak znać ostatecznych odpowiedzi - jeżeli takowe istnieją - i Ja również nie. Chcesz wiedzieć, co przytrafiło się tobie... i Margrethe. Jahwe przyszedł do Mnie, proponując taki sam zakład, jaki zawarliśmy o Hioba. Twierdził, że posiada wyznawcę, który jest nawet bardziej uparty niż Hiob. Odmówiłem Mu. Zakład o Hioba nie był zbyt zabawny. Już na długo przed jego rozstrzygnięciem zmęczyło mnie dręczenie biednego szmondaka. Tym razem więc powiedziałem Bratu, żeby zabrał Swe zabawki gdzie indziej. Dopiero gdy ujrzałem ciebie i Margę maszerujących wzdłuż Międzystanowej Czterdzieści, nagich jak młode kociaki i równie bezradnych, zdałem sobie sprawę, że Jahwe znalazł sobie innego partnera do Swych złośliwych igraszek. Przewiozłem więc was tu i zatrzymałem prawie przez tydzień, aby...

- Słucham? Tylko przez jedną noc!

- Mało ważne. Wystarczająco długo, aby doprowadzić was do porządku i wysłać w dalszą drogę...

zaopatrzonych w kilka wskazówek, jak sobie radzić, choć w gruncie rzeczy radziliście sobie dobrze sami. Jesteś twardym sukinsynem, Alec, tak twardym, że aż postanowiłem odnaleźć tę sukę, której synem jesteś. To była naprawdę twarda suka i krzyżówka tej lisicy z twym słodkim łagodnym ojcem wytworzyła stworzenie zdolne sobie poradzić. Tak więc puściłem cię luzem. Zawiadomiono mnie, że masz tu przybyć. Moi szpiedzy są wszędzie. Połowa personelu Mojego Brata to podwójni agenci.

- Święty Piotr?

- Hę? Nie, nie Piotrek. Piotrek to równy gość. Najdoskonalszy chrześcijanin w Niebie czy na Ziemi. Wyparł się swojego Szefa trzy razy i od tego czasu usiłuje odkupić tę winę. Jest absolutnie zachwycony, że wolno mu się zwracać w sposób poufały do swojego Pana we wszystkich jego trzech konwencjonalnych aspektach. Lubię Piotrka. Gdyby kiedykolwiek podpadł Mojemu Bratu, ma tu zapewnioną posadę. A więc zjawiłeś się w piekle. Czy przypominasz sobie zaproszenie, które wystosowałem do ciebie na taki wypadek? (...wpadnij do mnie. Obiecuję ci piekielne przyjęcie).

- Tak!

- Czy dotrzymałem słowa? Zastanów się, zanim odpowiesz. Siostra Pat słucha.

- Nie słucha - zaprzeczyła Katie. - Pat to dama. Nie tak, jak niektórzy. Kochanie, potrafię to skrócić. Alec chce się dowiedzieć, dlaczego go prześladowano, w jaki sposób to robiono i co może teraz w tej sprawie uczynić. Mam na myśli Margę. Alec, na pierwsze pytanie łatwo odpowiedzieć. Wybrano cię z tego samego powodu, dla którego pitbulla wysyła się na arenę, aby został rozerwany na strzępy: dlatego, że Jahwe uważał, iż możesz wygrać. Odpowiedź na drugie pytanie jest równie łatwa. Miałaś rację, gdy sądziłaś, że cierpisz na paranoję. To nie oznacza, że jesteś wariatem. Rzeczywiście istniał spisek przeciwko tobie. Za każdym razem, gdy zbliżałaś się do odpowiedzi, cała karuzela zaczynała się na nowo. Ten milion dolarów. To był drobiazg. Ta forsa istniała tylko tak długo, aby cię wprawić w zakłopotanie. Myślę, że odpowiedziałam ci na wszystko, oprócz tego, co możesz uczynić. Możesz uczynić jedno i tylko jedno - zaufać Jerry'emu. Może Mu się nie udać - to jest bardzo niebezpieczne - niemniej jednak spróbuje.

Spojrzałem na Katie z rosnącym respektem i pewnym niepokojem. Wspomniała o sprawach, o których nigdy nie mówiłem Jerry'emu.

- Katie, czy ty jesteś człowiekiem czy też jakimś, hmm, upadłym tronem czy czymś w tym rodzaju? Zachichotała.

- Pierwszy raz ktoś mnie podejrzewa o coś takiego. Jestem aż za bardzo ludzka, kochany Alecu. Poza tym nie jestem dla ciebie obca. Wiesz o mnie mnóstwo.

- Jak to?

- Zastanów się. Kwiecień roku tysiąc czterysta czterdziestego szóstego przed narodzinami Jezusy z Nazaretu.

- Powiniennem rozpoznać cię tylko na tej podstawie? Niestety nie potrafię!

- Spróbujmy więc w ten sposób - dokładnie w czterdzieści lat po wyjściu z Egiptu dzieci Izraela.

- Podbój Kanaanu.

- A niech to! Księga Jozuego, rozdział drugi. Podaj moje imię i zawód. Powiedz, czy byłam matką, żoną czy panną? (Jedna z najlepiej znanych opowieści w Biblii. To ona? Rozmawiam z nią?)

- Hmm... Rachab?

- Nierządnicą z Jerycha. To ja. Ukryłam szpiegów generała Jozuego w swym domu... i dzięki temu uratowałam swych rodziców, braci i siostry przed masakrą. Teraz powiedz, że „dobrze się trzymam”.

Sybil zachichotała złowieszczo:

- No proszę, spróbuj!

- Kurczę, Katie, dobrze się trzymasz! To już ponad trzy tysiące lat, niemal trzy tysiące czterysta.

Prawie nie masz zmarszczek. W każdym razie niewiele.

- Niewiele! Nie dostaniesz śniadania, młody człowieku!

- Katie, jesteś piękna i wiesz o tym. Masz pierwsze miejsce, na równi z Margrethe.

- A czy przyjrzałaś się mnie? - odezwała się Sybil. - Też mam swoich fanów. Poza tym mam już przeszło cztery tysiące lat. Stara kupa.

- Nie, Sybil. Morze Czerwone rozstąpiło się w roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym pierwszym przed Chrystusem. Dodaj do tego datę zachwycenia - rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty czwarty - i jeszcze siedem lat...

- Alec?

- Słucham, Jerry.

- Sybil ma rację. Po prostu tego nie zauważyłeś. Upłynęła już połowa z tysiąca lat pokoju pomiędzy Armageddonem i walką na niebie. Mój Brat, w postaci Jezusa, rządzi teraz na Ziemi, a ja jestem związany łańcuchem i wtrącony do czeluści na cały ten okres.

- Nie wyglądasz mi na związanego. Czy mógłbym dostać jeszcze trochę Jacka Danielsa? Nie wiem, co mam myśleć.

- Jestem związany w wystarczającym stopniu. Nie mogę „wyjść, żeby omamić narody z czterech kątów Ziemi”. Jahwe ma ją tylko dla siebie, na krótki czas, zanim ją zniszczy. - Jerry wzruszył ramionami. - Odmówiłem wzięcia udziału w Armageddonie. Oświadczyłem Mu, że ma pod dostatkiem własnych czarnych charakterów do tej roboty. Alec, to Mój Brat pisze scenariusze. Ja mam zawsze walczyć zaciekle, jak drużyna Harvardu, a na koniec przegrać. To się stało nudne. On zamierzał sprawić Mi kolejny łomot na koniec tego milenium, po to tylko, aby wypełnić Swe proroctwa. To ta „walka na niebie”, którą przewidział w tak zwanej Apokalipsie. Nie wybieram się na nią. Powiedziałem Swoim aniołom, że mogą wystawić legię cudzoziemską, jeśli mają ochotę. Ja się wstrzymam. Jaki sens ma bitwa, której wynik przepowiedziano na tysiąc lat przed dźwiękiem gwizdka?

Mówiąc to patrzył na mnie uważnie. Nagle przerwał.

- Co cię gryzie?

- Jerry... jeśli upłynęło pięćset lat, odkąd straciłem Margrethe, nie ma żadnej nadziei, prawda?

- Hej! Do diabła, chłopcze, czy nie powiedziałem ci, żebyś nie próbował zrozumieć rzeczy, które są poza twoim pojmowaniem? Czy podjąłbym się tego, gdyby nie było nadziei?

- Jerry, uspokoiłam już Aleca... a ty go znowu zdenerwowałaś - stwierdziła Katie.

- Przepraszam.

- To nie twoja wina, Alec. Jerry powiedział to bez ogródek, ale taka jest prawda. Gdybyś działał sam, nie miałbyś żadnej szansy. Jednak przy pomocy Jerry'ego możesz ją odnaleźć. Nie ma pewności, ale istnieje realna szansa. Czas nie ma tu znaczenia, pięćset lat czy pięć sekund. Nie musisz tego rozumieć, ale uwierz w to, proszę.

- Zgoda, uwierzę. Dlatego, że w przeciwnym razie nie byłoby żadnej nadziei.

- Jest nadzieja. Musisz być tylko cierpliwy.

- Spróbuję. Myślę jednak, że już nigdy nie będziemy mieli swojego małego lokalu w Kansas.

- Czemu nie? - wtrącił Jerry.

- Po pięciu stuleciach? Nie będą już nawet umieli odróżnić lodów z gorącym sosem toffi od kozy z sosem curry. Obyczaje się zmieniają.

- To wynajdziesz lody na nowo i zrobisz furorę! Nie bądź pesymistą, synu!

- A czy zjadłbyś je teraz? - spytała Sybil.

- Nie powinien ich raczej mieszać z Jackiem Daniels'em - ostrzegł Jerry.

- Dziękuję, Sybil... ale chyba rozpląkałbym się nad nimi. Kojarzą mi się z Margą.

- Lepiej nie roztkliwiaj się. Synu, płkanie nad kieliszkiem jest wystarczająco złe, ale płkanie nad lodami jest odrażające.

- Czy mam dokończyć opowieści z mojej pełnej skandali młodości, czy też nikt mnie nie słucha?

- Słucham cię, Katie - odrzekłem. - A więc dobiłaś interesu z Jozuem.

- Z jego szpiegami. Alec, kochanie, muszę, wyjaśnić pewną sprawę każdemu, kogo miłości i szacunku pragnę - mam na myśli ciebie. Niektórzy ludzie, którzy wiedzą, kim jestem - a jeszcze więcej tych, którzy nie wiedzą - uważają nierządnicę Rachab za zdrajczynię. Zdrada swych rodaków w czasie wojny i tak dalej. Otóż...

- Nigdy tak nie sądziłem, Katie, Jehowa zarządził, że Jerycho ma upaść. W związku z tym nie mogłaś temu zapobiec. Zrobiłaś to, co zrobiłaś, żeby uratować ojca, matkę i resztę dzieciaków.

- Tak, ale jest w tym coś więcej, Alec. Patriotyzm jest stosunkowo nowoczesnym wynalazkiem. W tamtych czasach, w kraju Kanaan jedynym znanym rodzajem wierności, poza wiernością własnej rodzinie, była osobista wierność wobec jakiegoś wodza - zwykle zwycięskiego wojownika - który kazał się tytułować „królem”. Alec, kurwa nie odczuwa - nie odczuwała - tego typu wierności.

- Tak? Katie, mimo że studiowałem w seminarium, nie potrafię wyobrazić sobie dokładnie, jak wyglądało życie w tamtych czasach. Nadal myślę o tym, jak by to było w Kansas.

- Różnice nie są wielkie. Kurwa w tamtym czasie i miejscu była albo prostytutką świątynną albo niewolnicą, albo prowadziła interes prywatny. Sama byłam wolną kobietą. No i co z tego? Kurwy nie buntują się przeciwko władzy, nie mają takich możliwości. Przychodzi oficer królewski i chce numer za darmo i jeszcze coś do picia. Tak samo straż obywatelska - gliny. Tak samo różni politycy. Alec, mówiąc prawdę, miałam więcej numerów darmowych niż za pieniądze. Często otrzymywałam też premię w postaci podbitego oka. Nie, nie czułam się związana z Jerychem. Żydzi nie byli wcale okrutniejsi, a za to znacznie czystszy!

- Katie, nie znam żadnych chrześcijan protestantów, którzy myśleliby źle o Rachab. Długo jednak zastanawiałem się nad pewnym szczegółem w jej - twojej - historii. Twój dom mieścił się na szczycie muru?

- Tak. To nie było wygodne, bo trzeba było wnosić wodę na górę po tych wszystkich stopniach, ale korzystne dla interesu. Poza tym czynsz był niski. To fakt, że mieszkałam na szczycie muru, pozwolił mi uratować ludzi generała Jozuego. Wyszli przez okno za pomocą powrozu. Nie oddali mi go zresztą.

- Jak wysoki był ten mur?

- Słucham? Wiesz, nie mam pojęcia. Był wysoki.

- Dwadzieścia łokci.

- Na pewno, Jerry?

- Byłem tam. To mnie interesowało ze względów zawodowych. Pierwszy przypadek wojny psychologicznej w połączeniu z bronią dźwiękową.

- Katie, pytam cię o wysokość dlatego, że w Księdze jest napisane, że zgromadziłaś w domu całą swą rodzinę, aby przeczekać tam czas oblężenia.

- No, jasne. Siedem okropnych dni. Tego wymagała moja umowa ze szpiegami Izraelitów. To były tylko dwa małe pokoje, za ciasne dla trojga dorosłych i siedmiu dzieciaków. Zabrakło nam żarcia, zabrakło wody, dzieci płakały, a ojciec ciągle narzekał. Z radością brał ode mnie pieniądze. Potrzebował ich, bo miał siedmioro dzieci. Mimo to jednak nie podobało mu się przebywanie pod tym samym dachem, pod którym zabawiałam klientów, a już szczególnie rozgoryczony był dlatego, że musiał spać na moim łóżku, moim stanowisku pracy. Mimo to on spał na nim, a ja na podłodze.

- Więc cała twoja rodzina była w domu, gdy mury się zawaliły.

- Oczywiście. Nie odważyliśmy się wyjść, zanim nie przyszli po nas ci dwaj szpiedzy. Mój dom był oznaczony powrozem z purpurowych nici, zwisającym u okna.

- Katie, twój dom był na murze, na wysokości trzydziestu stóp. Biblia podaje, że mury runęły na ziemię. Czy nikomu nic się nie stało?

- Nie... - Wyglądała na zdziwioną.

- Czy dom się nie zawalił?

- Nie. Alec, upłynęło wiele czasu. Pamiętam dźwięk trąb i okrzyk, a potem głośny rumor, z którym runęły mury. Ale mojemu domowi nic się nie stało.

- Święty Alecu!

- Słucham, Jerry?

- Jako święty powinienes znać odpowiedź. To był cud. Gdyby Jehowa nie szafował cudami na prawo i lewo, Izraelici nigdy nie podbili Kanaanu. Banda obdartych włóczęgów wtargnęła do bogatego kraju o miastach otoczonych murami - i nigdy nie przegrali ani jednej bitwy. Zapytaj Kanaanitów, jeśli jakiegoś znajdziesz! Mój Brat kazał ich wszystkich tracić z dużą regularnością, z wyjątkiem kilku przypadków, gdy młode i ładne dziewczęta zachowano jako niewolnice.

- Ale to była Ziemia Obiecana, Jerry, a oni byli Jego Narodem Wybranym.

- W istocie byli Narodem Wybranym. Rzecz jasna być wybranym przez Jahwe to żaden interes. Czy znasz swoją Księgę na tyle dobrze, aby wiedzieć, ile razy ich wykołował? Mój Brat to niezły numerant.

Wypiłem już za dużo Jacka Daniels'a i przeżyłem nadmiar wstrząsów, lecz bluźnierstwa wypowiedane od niechcienia przez Jerry'ego rozgniewały mnie.

- Pan Bóg Jehowa jest sprawiedliwym Bogiem!

- Nigdy nie grałeś z nim w kulki. Alec, „sprawiedliwość” nie jest pojęciem używanym przez Bogów. To tylko złudzenie, któremu podlegają ludzie. U samej podstawy kodeksu judeochrześcijańskiego leży niesprawiedliwość - system kozła ofiarnego. Poświęcanie kozłów ofiarnych obserwujemy w całym Starym Testamencie, a w Nowym Testamencie osiąga ono swój szczyt wraz z ideą Umęczonego Odkupiciela. W jaki sposób można osiągnąć sprawiedliwość przez zwalanie swych grzechów na kogoś innego? Niezależnie, czy jest to baranek, któremu rytualnie podrzyna się gardło, czy Mesjasz przybity do krzyża, aby „umrzeć za twe grzechy”. Ktoś powinien wyjaśnić wszystkim wyznawcom Jahwe, Żydom i chrześcijanom, że nie ma darmowych obiadów. Może zresztą i są. Znalezienie się w tym katatonicznym stanie zwanym „łaską” dokładnie w momencie śmierci - lub gdy zabrzmiała trąba - gwarantuje dostanie się do nieba. Prawda? Ty dostałeś się tam w ten właśnie sposób.

- Tak jest. To był fuks. Zdążyłem wcześniej zaliczyć długą listę grzechów.

- Długie i grzeszne życie, po którym następuje pięć minut doskonałej łaski, zaprowadzi cię prosto do nieba. Równie długie, porządne życie pełne dobrych uczynków, po którym nastąpi jeden przypadek wezwania imienia Bożego nadaremnie - a potem nagły atak serca i jesteś potępiony na wieczność. Czy na tym polega system?

- W istocie, jeśli odczytywać słowa Biblii dosłownie - odpowiedziałem sztywno. - Jednak ścieżki Pana są tajemnicze...

- Nie dla Mnie, koleś! Znam Go zbyt długo. To Jego świat, Jego zasady i Jego robota. On przestrzega Swych zasad ściśle i każdy może się do nich stosować i zgarnąć nagrodę. Nie są one jednak „sprawiedliwe”. Co sądzisz o tym, co zrobił z tobą i twoją Margą? Czy to ma być sprawiedliwość?

Odetchnąłem głęboko.

- Próbuję to zrozumieć już od dnia sądu... i Jack Daniel's mi w tym nie pomaga. Nie, nie sądzę, żebym wyraził na to zgodę.

- Ależ tak było!

- W jaki sposób?

- Mój Brat Jahwe, występując w przebraniu Jezusa, powiedział: „Kiedy się modlicie, mówcie...”

No, proszę, powiedz to.

- Ojczy nasz, któryś jest w niebie. Świć się imię Twoje. Przyjdź królestwo Twoje. Bądź wola Twoja...

- Stój! Właśnie w tym miejscu. „Bądź wola Twoja”. Żaden muzułmanin twierdzący, że jest „niewolnikiem Boga” nigdy nie udzielił bardziej jednoznacznej zgody. W tej modlitwie pozwalasz Mu, żeby uczynił wszystko, co najgorsze. Doskonały masochista. To właśnie jest próba Hioba, chłopcze. Hiob był traktowany niesprawiedliwie pod każdym względem dzień za dniem przez lata - wiem, wiem. Byłem przy tym i robiłem to sam, a Mój drogi Brat stał obok i pozwalał mi na to. Pozwalał? Zachęcał Mnie. Był współnikiem, który uknuł to razem ze Mną, a teraz przyszła kolej na ciebie. Twój Bóg ci to uczynił. Czy Go przeklniesz? Czy też przypełniesz do Niego na brzuchu jak zbity pies?

*Proście, a będzie wam dane. Szukajcie, a znajdziecie.
Pukajcie, a otworzą wam.*

Ewangelia św. Mateusza 7, 7

Zostałem uratowany od konieczności odpowiadania na to kłopotliwe pytanie, gdyż przerwano nam. Całe szczęście! Myślę, że każdy ma czasami wątpliwości co do Boskiej sprawiedliwości. Przyznaję, że trapiły mnie one ostatnio często i byłem zmuszony przypominać sobie raz za razem, że ścieżki Boga nie są ścieżkami człowieka i nie zawsze można było zrozumieć cele przyświecające Panu.

Nie mogłem jednak wyrazić tych wątpliwości w obecności Odwiecznego Nieprzyjaciela Naszego Pana. Szczególnie denerwujący był fakt, że Szatan przybrał w tym momencie wygląd i głos mojego jedyne przyjaciela.

Dyskusje z diabłem to zawsze przerąbana sprawa.

Rozmowa została przerwana z banalnej przyczyny - zadzwonił telefon. Przypadek? Nie sądzę, żeby Szatan tolerował „przypadki”.

W każdym razie nie byłem zmuszony szukać odpowiedzi na pytanie, na które nie potrafiłem odpowiedzieć.

- Czy mam odebrać, mój drogi? - spytała Katie.

- Proszę cię!

W rękę Katie pojawiła się słuchawka.

- Biuro Lucyfera. Mówi Rachab. Proszę powtórzyć. Zapytam.

Spojrzała na Jerry'ego.

- Ja odbiorę!

Jerry obywał się bez widzialnego aparatu telefonicznego.

- Słucham. Nie. Powiedziałem, że nie. Nie, do cholery! Przekaż to panu Ashmedai'owi. Przełącz następną rozmowę.

Mruknął coś o tym, że nie sposób znaleźć kompetentnych pracowników, po czym powiedział:

- Słucham. Tak jest, Sir! - Przez dłuższą chwilę nie mówił nic, a potem oznajmił: - Natychmiast, Sir! Dziękuję Panu.

Jerry wstał.

- Wybacz Mi, Alec. Mam robotę do wykonania. Nie wiem, kiedy wrócę. Spróbuj potraktować okres oczekiwania jako wakacje... Mój dom jest twoim domem. Katie, opiekuj się nim. Sybil, zabawiaj go!

Jerry zniknął.

- Już ja go zabawię! - Sybil zerwała się i stanęła przede mną, zacierając ręce. Jej teksański strój zniknął, a przede mną stała zupełnie naga dziewczyna.

Uśmiechnęła się.

- Sybil, przestań - powiedziała cicho Katie. - Okryj się natychmiast jakąś szatą, albo odeślę cię do domu!

- Nudziara. - Na Sybil pojawiło się skąpe bikini. - Mam zamiar sprawić, żeby święty Alec zapomniał o tej duńskiej szantrapie.

- O to się założysz, kochanie? Rozmawiałam z Pat.

- Tak? No i co ona powiedziała?

- Margrethe umie gotować.

Sybil zrobiła zde gustowaną minę.

- Dziewczyna spędza pięćdziesiąt lat, leżąc na plecach i ucząc się intensywnie, potem pojawia się jakaś pinda, która potrafi przyrządzić kurczaka z kluskami. To niesprawiedliwe.

Postanowiłem zmienić temat:

- Sybil, te twoje sztuczki z ubraniem są fascynujące. Czy jesteś już dyplomowaną czarownicą?

Sybil nie odpowiedziała mi od razu, lecz spojrzała pytająco na Katie, która rzekła:

- Z tym już koniec, kochanie. Możesz mówić swobodnie!

- Dobra. Święty Alecu, nie jestem czarownicą. Magia to bzdura. Czy pamiętasz ten werset w Biblii o nie pozwalaniu żyć tym, które zajmują się czarami?

- Księga Wyjścia dwadzieścia dwa, siedemnaście.

- No, właśnie. Starohebrajskie słowo, które przetłumaczono tu jako „czary”, oznaczało pierwotnie „trucicielstwo”. Sądzę, że nie pozwolenie trucicielce na dalsze oddychanie jest dobrym pomysłem. Zastanawiam się jednak, ile starych kobiet, które nie miały przyjaciół, zostało spalonych lub powieszonych na skutek kiepskiego tłumaczenia?

(Czy to mogła rzeczywiście być prawda? A co z „dosłownym słowem Bożym”. Zostałem wychowany w wierze, że Biblia nim jest. Rzecz jasna, słowo „czary” występuje w języku angielskim, nie oryginalnym hebrajskim, lecz tłumacze Biblii Króla Jakuba byli natchnieni przez Boga i dlatego tę wersję Biblii - i tylko tę - można traktować dosłownie. Jednak... Nie! Sybil musi się mylić. Dobry Bóg nie pozwoliłby, żeby setki, tysiące niewinnych osób zostały zamęczone na śmierć z powodu błędu w tłumaczeniu, który z łatwością mógłby poprawić.)

- A więc nie poszłaś tamtej nocy na sabat. Co w takim razie robiłaś?

- Nie to, co myślisz. Israfel i ja nie jesteśmy ze sobą aż tak blisko. Jesteśmy tylko kumplami.

- Israfel? Myślałem, że on jest w niebie.

- To jego ojciec chrzestny - trębacz. Ten Israfel w ogóle nie umie grać. Prosił mnie jednak, abym ci powiedziała, jeśli będzie okazja, że w rzeczywistości nie jest takim bęcwałem, jakiego udawał jako „Roderick Lyman Culverson Trzeci”.

- Miło mi to usłyszeć. Bardzo dobrze mu wychodziło granie nieznośnego gówniarza. Nie mogłem pojąć, jak córka Jerry’ego i Katie - czy może tylko Katie - mogła mieć tak zły gust, żeby sobie wybrać na chłopaka takiego chama. Nie mam na myśli Israfela, tylko rolę, którą grał.

- Och. Lepiej wyjaśnijmy i to. Katie, czy jesteśmy spokrewnione?

- Nie sądzę, żeby nawet doktor Darwin wykrył jakiegokolwiek pokrewieństwo genetyczne, kochanie. Jestem jednak z ciebie równie dumna, jak dumna byłabym z rodzonej córki.

- Dziękuję, mam!

- Wszyscy jesteśmy ze sobą spokrewnieni - sprzeciwiłem się - poprzez Pramatkę Ewę. Ponieważ Katie, ze zmarszczkami i wszystkim, narodziła się, gdy Dzieci Izraela wędrowały po pustkowiu, oznacza to, że tylko około osiemdziesięciu „spłodził” dzieli ją od Ewy. Znając datę twoich urodzin, można za pomocą prostej arytmetyki chytrze odgadnąć, jak blisko jesteście ze sobą spokrewnione.

- Och, nie! Znowu to samo, święty Alecu. Mama Katie pochodzi od Ewy, ale ja nie. Należymy do odrębnego gatunku. Ja jestem chochlicą. Afrytką, jeśli chodzi o ścisłość.

Ponownie zgubiła swe ubranie i przekształciła ciało.

- Widzisz?

- Poczekaj! Czy to nie ty stałaś za biurkiem w recepcji „Sans Souci Sheraton” tego dnia, gdy przybyłem do piekła?

- Jasne, że ja. Pochlebiam ci, że zapamiętałeś mnie w moim oryginalnym kształcie.

Ponownie wróciła do ludzkiego ciała plus maleńkie bikini.

- Byłam tam, ponieważ znałam cię z widzenia. Tata nie chciał, żeby coś poszło źle.

Katie wstała z miejsca.

- Chodźmy na zewnątrz. Chciałabym zażyć trochę słońca przed obiadem.

- Jestem zajęta uwodzeniem świętego Aleca.

- Optymistka. Możesz to robić na zewnątrz.

Na zewnątrz było piękne teksańskie popołudnie. Cienie zaczynały się wydłużać.

- Katie, proszę o jasną odpowiedź. Czy to jest Teksas, czy piekło?

- Jedno i drugie.

- Cofam pytanie.

W moim głosie musiało zabrzmieć zniecierpliwienie, gdyż odwróciła się, kładąc mi rękę na piersi.

- Alec, nie kpiłam sobie... Przez stulecia Lucyfer utrzymywał swe „pieds-à-terre” tu i ówdzie na Ziemi. W każdym z nich odgrywał rolę miejscowego obywatela. Po Armageddonie, gdy Jego Brat proklamował się królem Ziemi na okres millenium, zaprzestał wizytować swoje włości. Jednak niektóre z tych miejsc były dla Niego jak dom, gwizdnął je więc i zabrał ze sobą. Rozumiesz?

- Chyba tak. W takim samym stopniu jak krowa rachunek różniczkowy.

- Sama też nie rozumiem całego mechanizmu. To jest na Boskim poziomie. Weź na przykład te liczne zmiany, które wycierpieliście wraz z Margą w czasie waszego prześladowania. Jak daleko sięgały? Czy sądzisz, że za każdym razem obejmowały całą planetę?

Rzeczywistość zakołysała się w moim umyśle w sposób, jakiego nie doświadczyłem od chwili ostatniej z tych „zmian”.

- Katie, nie wiem tego! Byłem zbyt zajęty walką o przetrwanie. Poczekaj chwilę! Każda zmiana pokrywała cały obszar planety Ziemi i około jednego stulecia jej historii. Za każdym razem studiowałem historię tych światów i zapamiętałem tyle, ile zdołałem. Zmiany w kulturze też. Cały ten zestaw.

- Każda ze zmian sięgała niedaleko za koniec twojego nosa, Alec, i nikt oprócz ciebie - was dwojga - nie zauważył żadnej zmiany. Nie studiowałeś historii, lecz książki na jej temat. Przynajmniej w ten sposób urządziłby to Lucyfer, gdyby to on zaaranżował całą tę sprawę.

- Hmm. Katie, czy zdajesz sobie sprawę, ile czasu zajęłoby przerobienie, przepisanie i wydrukowanie całej encyklopedii? Z reguły sięgałem właśnie do tych źródeł.

- Alec, powiedziano ci już, że czas nigdy nie stanowi problemu przy działaniu na Boskim poziomie. Podobnie jak przestrzeń. Wytworzono wszystko, co było potrzebne, ażeby cię oszukać. Ale nic więcej. Na tym polega zasada oszczędności obowiązująca w sztuce na Boskim poziomie. Co prawda sama tego nie potrafię, gdyż nie jestem na tym poziomie, ale mnóstwo razy widziałam, jak się to robi. Zdolny Artysta od kształtów i pozorów nie czyni więcej niż potrzeba, aby osiągnąć pożądany efekt.

Rachab przysiadła na krawędzi basenu, wiosłując nogami w wodzie.

- Chodź, usiądź przy mnie! Weź na przykład granicę „wielkiego wybuchu”. Co leży poza linią, na której przesunięcie ku czerwieni osiąga wielkość, która oznacza, że prędkość rozszerzania się wszechświata jest równa prędkości światła? Co jest dalej?

Odpowiedziałem sztywnym tonem:

- Katie, twoje hipotetyczne pytanie jest pozbawione znaczenia. Jestem w pewnym stopniu zaznajomiony z tak głupimi konceptami jak „wielki wybuch” i „rozszerzający się wszechświat”, ponieważ głoszący Ewangelię musi śledzić podobne teorie, aby móc je zwalczać. Te dwie, o których wspomniałaś, zakładają upływ niemożliwie długiego czasu - niemożliwie, ponieważ świat został stworzony około sześciu tysięcy lat temu. Mówię „około”, ponieważ dokładną datę stworzenia trudno

jest ustalić, a także dlatego, że nie jestem pewien dzisiejszej daty. W każdym razie około sześciu tysięcy lat, a nie miliarda, jak twierdzą zwolennicy wielkiego wybuchu.

- Alec... wiek twojego wszechświata wynosi około dwudziestu trzech miliardów lat.

Chciałem jej odpowiedzieć, lecz zamknąłem usta. Gościowi nie wypada spierać się z gospodynią.

- I został on stworzony w roku cztery tysiące czwartym przed Chrystusem - dodała.

Wpatrywała się w wodę tak długo, aż wynurzyła się z niej Sybil, opryskując nas.

- Co powiesz, Alec?

- Nie zostało mi już nic do powiedzenia.

- Zwróć uwagę na to, co powiedziałam. Nie stwierdziłam, że wszechświat został stworzony dwadzieścia trzy miliardy lat temu. Powiedziałam, że tyle wynosi jego wiek. Został stworzony jako stary. Ze skamieniałościami pod ziemią i kraterami na Księżycu, wskazującymi na jego ogromny wiek. Jahwe stworzył go w ten sposób, ponieważ bawiło go to. Jeden z tych uczonych powiedział: „Bóg nie gra w kości ze Swym wszechświatem”. Niestety to nieprawda. Jahwe gra w fałszywe kości za pomocą Swojego wszechświata... aby oszukać Swe stworzenia.

- Dlaczego miałby to robić?

- Lucyfer twierdzi, że to dlatego, iż jest On marnym Artystą, takim, który ciągle zmienia zdanie i zdrapuje to, co namalował. A ponadto jest dowcipnikiem. Ale nie mogę się na ten temat wypowiadać. To nie mój poziom. Poza tym Lucyfer jest uprzedzony w stosunku do Swojego Brata. To chyba oczywiste. Nie powiedziałeś jednak nic na temat największego cudu.

- Może go nie zauważyłem.

- Nie, sądzę, że chciałeś być uprzejmy. Skąd stara kurwa może się znać na kosmogonii, teologii, eschatologii i innych trudnych słowach greckiego pochodzenia? To największy cud, nie?

- Rachab, kochanie, byłem tak zajęty liczeniem twoich zmarszczek, że nie słu...

W efekcie zostałem wepchnięty do basenu. Wypłynąłem prychając i plując wodą. Obie kobiety śmiały się ze mnie. Oparłem ręce na krawędzi basenu z obu stron Katie, która najwyraźniej nie miała nic przeciwko temu. Otarła się o mnie jak kotka.

- Co chciałaś powiedzieć? - zapytałem.

- Alec, umiejętność czytania i pisania jest czymś równie wspaniałym jak seks. Albo prawie tak wspaniałym. Być może nie doceniasz w pełni tego błogosławieństwa, ponieważ nauczyłeś się tego jako dziecko i od tego czasu robisz to bez wysiłku. Jednak jako kurwa w Kanaanie prawie cztery tysiące lat temu, nie umiałam czytać i pisać. Zdobywałam wiedzę poprzez słuchanie... klientów, sąsiadów, plotek na targu. W ten sposób jednak nie można nauczyć się wiele, a wtedy nawet pisarze i sędziowie byli ciemni. Byłam już martwa od prawie trzech stuleci, zanim nauczyłam się czytać i pisać, a gdy już to zrobiłam - nauczył mnie duch nierządnic pochodzący z tego, co później stało się wielką cywilizacją kreteńską - święty Alecu, może cię to zdziwić, ale przez całą historię kurwy uczyły się czytania i pisania na długo przedtem, zanim szanujące się kobiety wzięły się za tę niebezpieczną sztukę. Kiedy się już jednak nauczyłam, bracie, na jakiś czas wyparło to całkowicie z mojego życia nawet seks! - Uśmiechnęła się do mnie prawie całkowicie. - Po jakimś czasie wróciłam do zdrowszej proporcji - czytanie i seks w równych dawkach.

- Zabrakłoby mi sił do utrzymania takiej równowagi.

- Kobiety są inaczej skonstruowane. Moja edukacja rozpoczęła się na dobre po spaleniu Biblioteki Aleksandryjskiej. Jahwe jej nie chciał, więc Lucyfer zagarnął duchy tych wszystkich tysięcy kodeksów, zabrał je do piekła, zregenerował starannie - i Rachab miała piknik! Powiem ci jeszcze, że Lucyfer ma na oku Bibliotekę Watykańską, która wkrótce pójdzie do kasacji. Zamiast regenerować duchy, planuje On tym razem gwizdnąć ją w całości na chwilę przed tym, jak czas zatrzyma i

przenieść nienaruszoną do piekła. Czy to nie będzie bomba?

- Chyba tak! Jediną rzeczą, jakiej kiedykolwiek zazdrościłem papistom, jest ich biblioteka. Ale co to znaczy regenerować duchy?

- Klepnij mnie w plecy.

- Hę?

- Klepnij. Nie tak, mocniej! Nie jestem małym kruchym motylkiem. Mocniej! O, tak! Właśnie klepnąłeś zrezygnowanego ducha.

- Całkiem jak prawdziwy.

- Mam nadzieję. Zapłaciłam za sługę pierwszej klasy. To było, zanim jeszcze Lucyfer zwrócił na mnie uwagę i zrobił ze mnie ptaszka w złotej klatce - doprawdy żałosny widok! O ile wiem, gdy jesteś zbawiony i idziesz do nieba, regenerują cię za cię za darmo, tutaj jednak kupujesz to na kredyt, a potem zapracowujesz się, aż ci dupa odpadnie, żeby go spłacić. Przynajmniej w ten sposób ja go spłacałam. Święty Alecu, wiem, że ty nie umarłeś! Zregenerowane ciało jest takie samo jak to, które miałaś przed śmiercią, tylko lepsze. Żadnych chorób zakaźnych, uczuleń, zmarszczek wywołanych starością - ja ci pokażę „zmarszczki”. Nie miałam żadnych w chwili, gdy umarłam... a przynajmniej niewiele. Jak to zrobiłeś, że znowu mówię o zmarszczkach? Rozmawialiśmy o teorii względności i rozszerzającym się wszechświecie - intelektualna konwersacja pełną gębą!

Tej nocy Sybil podjęła poważną próbę dostania się do mojego łóżka, lecz Katie stanowczo sprzeciwiła się temu - po czym poszła ze mną do łóżka sama.

- Pat mówiła, żeby nie pozwolić ci spać samemu.

- Pat sądzi, że jestem chory. Nic mi nie jest.

- Nie będę się z tobą sprzeczać. Nic się nie bój, kochanie! Mama Rachab pozwoli ci spać.

Gdzieś w środku nocy obudziłem się z łkaniem i Katie była przy mnie. Pocieszyła mnie. Jestem pewien, że Pat opowiedziała jej o moich koszmarach. Uspokojony przez Katie zasnąłem stosunkowo szybko.

Było to słodkie arkadyjskie interludium... macone jedynie nieobecnością Margrethe. Jednak Katie przekonała mnie, iż ze względu na Jerry'ego (i na nią) powinienem okazać cierpliwość i nie przeżuwać w myślach swej straty. Nie robiłem więc tego, przynajmniej nie za często, w ciągu dnia, a choć noce mogły być gorsze, nawet samotne noce nie były zbyt samotne, gdy matka Rachab pocieszała mnie po tym, jak budziłem się pozbawiony obrony. Była zawsze przy mnie... nie licząc jednej nocy, gdy musiała gdzieś się udać. Sybil przejęła wtedy straż. Katie udzieliła jej szczegółowych instrukcji, więc postępowała tak samo jak ona.

Odkryłem jedną zabawną cechę Sybil. Podczas snu wraca nieświadomie do swego naturalnego kształtu chochlicy, czy afrytki. Staje się wtedy około sześciu cali niższa i ma te małe śliczne różki, które były pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem u niej w „Sans Souci”.

Za dnia pływaliśmy i opalaliśmy się, jeździliśmy konno i urządzaliśmy pikniki pośród wzgórz. Tworząc tę enklawę, Jerry najwyraźniej podwędził wiele mil kwadratowych. Zanosilo się na to, że możemy wędrować tak daleko, jak chcemy, w dowolnym kierunku.

Albo może nie rozumiem, jak się robi takie rzeczy.

Wykreślcie „może”. Wiem tyle o działaniach na Boskim poziomie, co kura o pieprzu.

Jerry był już nieobecny około tygodnia, gdy Rachab pojawiła się na śniadaniu z moim pamiętnikiem.

- Święty Alecu, Lucyfer przysłał instrukcję, że masz go doprowadzić do dnia dzisiejszego i prowadzić dalej na bieżąco.

- Dobrze. Czy może być pisany ręcznie? Albo, jeśli jest tu maszyna do pisania, mogę to jakoś

wystukać.

- Pisz ręcznie! Ja przepiszę to na czysto. Robiłam to często dla Księcia Lucyfera.

- Katie, czasami mówisz na niego „Jerry”, czasami „Lucyfer”, nigdy „Szatan”.

- Alec, on woli, by nazywać go „Lucyfer”, ale reaguje na wszystko. „Jerry” i „Katie” to były imiona wymyślone na użytek twój i Margi...

- I „Sybil” - dodała Sybil.

- I „Sybil”. Tak jest. Egret. Czy chcesz powrócić do swego imienia?

- Nie. Myślę, że to fajnie, że Alec - i Marga - nazywają nas imionami, których nikt inny nie zna.

- Chwileczkę - wtrąciłem się. - Tego dnia, gdy spotkałem was po raz pierwszy, wszyscy troje reagowaliście na te imiona, jakbyście nosili je przez całe życie.

- Mama i ja jesteśmy bardzo szybkie w improwizowanym dramacie - odparła Sybil-Egret. - Oni nie wiedzieli, że są czcicielami ognia, zanim nie wtrąciłam tego do rozmowy. Sama też nie wiedziałam, że jestem czarownicą, zanim mama mi nie szepnęła na uszko. Israfel też jest bystry. Miał jednak więcej czasu na zastanowienie się nad swoją rolą.

- A więc ciągnęliśmy drut ze wszystkich stron! Para wiejskich matolek.

- Alec - oświadczyła Katie poważnym tonem. - Lucyfer nic nie czyni bez powodu. Rzadko jednak wyjaśnia swoje motywy. Jego intencje są złe tylko w stosunku do tych, którzy sami kierują się złą wolą... a ty nie jesteś jednym z nich.

Wszyscy troje opalaliśmy się nad basenem, gdy nagle powrócił Jerry. Przemówił natychmiast do mnie, nie zatrzymując się nawet, aby porozmawiać z Katie.

- Ubieraj się! Wyruszamy natychmiast!

Katie zerwała się i pobiegła po moje ubranie. Zostałem ubrany przez obie kobiety z prędkością strażaka odpowiadającego na alarm.

Katie wsunęła mi maszynkę do golenia do kieszeni i zapięła ją.

- Jestem gotów - oświadczyłem.

- Gdzie jego pamiętnik?

Katie ponownie pognęła do budynku.

- Mam go!

Przez tę krótką chwilę Jerry osiągnął wzrost dwunastu stóp - i zmienił się. Nadal był sobą, teraz jednak rozumiałem, dlaczego Lucyfer był znany jako najpiękniejszy ze wszystkich aniołów.

- Pa, pa! - zawołał. - Rachab, zadzwonię, jeśli będę mógł!

Zaczął podnosić mnie z ziemi.

- Zaczekaj! Musimy go z Egret pocałować na pożegnanie!

- Dobra. Tylko żywo!

Tak też zrobili - dwa czysto formalne buziaki jednocześnie.

Jerry podniósł mnie jak dziecko i wzbiliśmy się pionowo w górę. Ujrzałem przez chwilę „Sans Souci”, pałac i plac, po czym zasłoniły je dym i płomień bijące z czeluści. Po chwili opuściliśmy ten świat. W jaki sposób podróżowaliśmy, jak długo to trwało i dokąd dotarliśmy, nie potrafię powiedzieć. Przypominało to ten niekończący się upadek do piekła, było jednak wygodniejsze dzięki ramionom Jerry’ego. Przypominało mi to, jak - gdy byłem małym dzieckiem dwu - lub trzyletnim - ojciec czasami brał mnie w ramiona po kolacji, i nie wypuszczał, dopóki nie zasnęłam.

Wydaje mi się, że zasnęłam. Po dłuższym czasie obudziłem się z poczuciem, że Jerry opada do lądowania. Po chwili opuścił mnie na ziemię i postawił na nogi.

Działało tu przyciąganie. Czuję swą wagę i słowo „dół” odzyskało znaczenie. Nie sądzę jednak, żebyśmy znajdowali się na planecie.

Wydawało się, że stoimy na ganku czy podmurówce jakiegoś niewiarygodnie wielkiego budynku. Nie mogłem go dostrzec, gdyż znajdowaliśmy się tuż przed nim. W jakimkolwiek kierunku spoglądałem, nie było widać nic, poza bezkształtnym półmrokiem.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Jerry.

- Tak. Chyba tak.

- Dobrze. Posłuchaj uważnie! Za chwilę zaprowadzę cię, abyś ujrzął, nie, został ujrzany, przez Istotę, która jest dla mnie i dla mojego brata, twojego boga, Jahwe, tym, czym Jahwe jest dla ciebie? Rozumiesz?

- Hmm... może. Nie jestem pewien.

- A ma się do B, jak B do C. Dla tej Istoty twój pan bóg Jehowa jest odpowiednikiem dziecka budującego na plaży zamki z piasku, a potem niszczącego je w napadach dziecinnej wściekłości. Sam również jestem dla Niego dzieckiem. Spoglądam na Niego tak, jak ty na swego potrójnego boga - ojca, syna i ducha świętego. Nie oddaję tej Istocie czci jako Bogu. Ona nie wymaga, nie oczekuje i nie pragnie podobnego lizusostwa. Możliwe, że Jahwe jest jedynym bogiem, który oddaje się temu dziwnemu nałogowi. Przynajmniej sam nie słyszałem o żadnej planecie, czy innym miejscu w żadnym ze wszechświatów, gdzie oddawano by cześć bogom. Jestem jednak młody i mało podróżowałem.

Jerry przyglądał mi się uważnie. Wyglądał na zakłopotanego.

- Alec, może ta analogia wyjaśni ci sprawę. Czy w młodości zabierałeś kiedyś jakieś zwierzę domowe do weterynarza?

- Tak. Nigdy mi się to nie podobało, bo one bardzo się tego bały.

- Mnie to się też nie podoba. No dobrze, a więc wiesz jak to jest, gdy się zaprowadzi chore lub ranne zwierzę do weterynarza. Musisz czekać, aż doktor zadecyduje, czy da się je wyleczyć, czy też jedyne, co można uczynić, to skrócić męczarnie biednego stworzenia. Mam rację?

- Tak. Jerry, chcesz mi powiedzieć, że sytuacja jest niejasna. Niepewna.

- Całkowicie niepewna. Nie ma precedensów. Nigdy jeszcze żaden człowiek nie został doprowadzony na ten poziom. Nie wiem, co On uczyni.

- Zgoda. Ostrzegłeś mnie, że trzeba będzie podjąć ryzyko.

- Tak jest. Jesteś w wielkim niebezpieczeństwie. Ja też, choć myślę, że tobie grozi znacznie większe. Mogę cię jednak zapewnić o jednym, Alec - jeśli To postanowi cię unicestwić, nie dowiesz się o tym. Ono nie jest sadystycznym Bogiem.

- Więc to jest „Ono” czy „On”?

- Hmm... używaj formy „On”. Jeśli przyjmie kształt cielesny, będzie to zapewne postać ludzka. Możesz się wtedy do Niego zwracać: „Panie Przewodniczący” lub „Panie Kościej”. Traktuj Go tak, jak traktowałbyś człowieka znacznie starszego od siebie, którego darzysz wielkim szacunkiem! Nie bij pokłonów ani nie okazuj czci! Zachowuj się odważnie i mów prawdę! Jeśli będziesz musiał zginąć, uczyn to z godnością.

Strażnik, który zatrzymał nas u drzwi, nie był człowiekiem. Gdy jednak przyjrzałem mu się dokładniej, stał się nim. Podobnie nieokreślony charakter cechował wszystko, co widziałem w miejscu, które Jerry określał jako „Filię”.

Strażnik powiedział do mnie:

- Proszę się rozebrać. Może pan zostawić ubranie tutaj, zabierze je pan później. Co to za metalowy przedmiot?

Wy tłumaczyłem mu, że to tylko maszynka do golenia.

- Do czego to służy?

- To jest... nóż do ścinania włosów z twarzy.

- Hoduje pan tam włosy?

Spróbowałem mu wytłumaczyć, na czym polega golenie.

- Jeśli nie chce pan mieć tam włosów, dlaczego każe im pan tam rosnąć? Z konieczności czy dla zysku?

- Jerry, obawiam się, że to przewyższa moje możliwości!

- Sam to załatwię.

Musiał chyba rozmawiać ze strażnikiem, nic jednak nie słyszałem. W końcu powiedział do mnie.

- Zostaw maszynkę razem z ubraniem. On ma cię za wariata, ale mnie również ma za wariata, więc to bez znaczenia.

Pan Kościej może być uważany za „Ono”, dla mnie jednak wyglądał jak bliźniaczy brat doktora Simmonsa - weterynarza z Kansas, do którego prowadziłem psy i koty, a raz również żółwia - cały korowód małych zwierząt, które dzieliły ze mną dzieciństwo. Również jego gabinet wyglądał dokładnie jak gabinet doktora Simmonsa, wliczając w to biurko z zamknięciem żaluzjowym, które doktor musiał odziedziczyć po dziadku. Na półce nad biurkiem stał kalendarz Setha Thomasa, który doskonale pamiętałem.

Zdawałem sobie sprawę (jako całkowicie trzeźwy i wypoczęty), że to nie był doktor Simmons, i że choć podobieństwo nie było przypadkowe, nie miało jednak na celu wprowadzenia mnie w błąd.

Przewodniczący, czymkolwiek On, Ona czy Ono jest, dotarł do mojego umysłu za pomocą pewnego rodzaju hipnozy, kreując otoczenie, w którym mógłbym się poczuć bezpiecznie. Doktor Simmons głaskał zwykle zwierzę i przemawiał do niego, zanim przeszedł do nieprzyjemnych, nieznanymi i często bolesnymi czynnościami, które musiał wykonać. To skutkowało. W moim wypadku poskutkowało również. Wiem, że Pan Kościej nie był starym weterynarzem z lat mojego dzieciństwa... jednak jako jego sobowtór wzbudził we mnie to samo uczucie zaufania. Pan Kościej spojrział na nas, gdy weszliśmy do środka. Skinął głową Jerry'emu i przyjrzał mi się dokładnie.

- Usiądźcie!

Usiedliśmy. Pan Kościej wrócił do swego biurka, na którym leżał mój pamiętnik. Wziął go i ułożył równo strony i odłożył z powrotem.

- Jak się mają sprawy w twoim obwodzie, Lucyferze? Masz jakieś kłopoty?

- Nie, Sir. No, może zwykłe skargi na złą wentylację. Nic, z czym nie mógłbym sobie dać rady.

- Czy chciałbyś rządzić Ziemią w tym millenium?

- A czy mój brat nie ogłosił się jej panem?

- W istocie tak zrobił. Ogłosił koniec czasu, i zdemontował ją. Nie muszę jednak pozwolić mu na jej odbudowanie. Czy jej pragniesz? Odpowiedz Mi.

- Wolałbym raczej zacząć z zupełnie nowym materiałem, Sir.

- W twoim cechu wszyscy wolicie zaczynać od nowa, nie licząc się, rzecz jasna, z kosztami. Mógłbym cię na kilka cykli przenieść na Glaroon. Co ty na to?

Jerry nie śpieszył się z odpowiedzią.

- Muszę to zostawić osądowi Pana Przewodniczącego.

- Masz rację. Faktycznie musisz. Porozmawiamy więc o tym później. Dlaczego zainteresowałeś się jednym ze stworzeń twojego brata?

Musiałem chyba zasnąć na chwilę, widziałem bowiem szczeniaki i kocięta bawiące się na podwórzu, a nic takiego tam nie było. Słyszałem głos Jerry'ego:

- Panie Przewodniczący, wszystko niemal w stworzeniu ludzkim jest śmieszne, z wyjątkiem jego zdolności do tego, aby znosić cierpienie i ginąć z odwagą za to, co kocha i w co wierzy.

Prawdziwość tej wiary czy sensowność tej miłości nie mają tu znaczenia, liczą się męstwo i odwaga. Są to cechy właściwe wyłącznie ludziom, niezależnie od ich stwórcy, który nie posiada ich w najmniejszym stopniu - o czym wiem, ponieważ jest on moim bratem.. a ja również ich nie posiadam. Pyta Pan, dlaczego ja, i dlaczego to akurat zwierzę? Spotkałem je przy drodze, gdzie wałęsało się bezdomne - i nie zważając na swe własne trudności, znacznie przerastające jego siły! - poświęciło się bohaterskiej (i bezowocnej) próbie zbawienia mojej „duszy” zgodnie z zasadami, których je nauczono. Fakt, że jego próba wynikała z błędnych przesłanek i była bezużyteczna, nie ma znaczenia. Starzło się ze wszystkich sił pomóc mi, gdy uważało, że jestem w wielkim niebezpieczeństwie. Teraz, gdy ono popadło w kłopoty, winny mu jestem podjęcie analogicznej próby.

Pan Kościej opuścił okulary w dół nosa i spojrzał ponad nimi.

- Nie podałeś powodu, dla którego miałbym się wtrącać w działanie władz lokalnych.

- Sir, czy cech nie wydał prawa nakazującego Artystom dobrze traktować swe stworzenia obdarzone wolną wolą?

- Nie.

Jerry wyglądał na przestraszonego.

- Sir, najwyraźniej źle zrozumiałem swoje szkolenie.

- Sądzę, że tak. Istnieje artystyczna zasada - nie prawo - która głosi, że powinno się je traktować w sposób konsekwentny. Żądanie, żeby było to traktowanie dobre, eliminowałoby ten stopień swobody, dla osiągnięcia którego wprowadzono u stworzeń wolną wolę. Gdyby nie istniała możliwość tragedii, mogłyby one równie dobrze być golemami.

- Myślę, że to rozumiem, Sir. Czy jednak Przewodniczący zechciałby wyjaśnić dokładniej zasadę konsekwentnego traktowania?

- Nie ma w tym nic trudnego, Lucyferze. Aby stworzenie mogło tworzyć swą własną, pomniejszą sztukę, prawa, które je obowiązują, powinny być albo znane, albo też takie, żeby można je było wykryć metodą prób i błędów - ażeby nie prowadziły nieodwołalnie do fatalnego końca. Krótko mówiąc, stworzenie musi być zdolne do uczenia się i korzystania ze swego doświadczenia.

- Sir, na tym dokładnie opiera się moja skarga przeciw mojemu bratu. Niech Pan przejrzy ten zapis leżący przed Panem. Jahwe zastawił pułapkę i zwabił to stworzenie, by stoczyło walkę, której nie mogło wygrać - a potem oznajmił, że gra jest skończona i odebrał mu nagrodę. Choć jest to przypadek ekstremalny - próba na zniszczenie - jest to jednak typowe dla sposobu, w jaki traktuje on swoje stworzenia. Jego gry są tak zaprogramowane, że stworzenia nie mogą wygrać. Od sześciu tysięcy zbieram przegranych... a wielu z nich przybyło do piekła w stanie katatonicznym z powodu strachu - strachu przede mną i przed wiecznymi męczarniami. Nie mogą uwierzyć, że ich oszukano. Moi terapeuci zamęczają się, żeby przeorientować biedne Fajtlapy. To nie należy do przyjemności.

Pan Kościej sprawiał wrażenie, jakby nie słuchał. Pochylił się na swym starym drewnianym krześle obrotowym, aż zaskrzypiało - tak, wiem, że ten odgłos pochodził z moich wspomnień - i ponownie wejrzał w mój pamiętnik. Podrapał się po siwych włoskach otaczających jego łysą pałę i wydał z siebie nieprzyjemny odgłos - na wpół gwizd, na wpół nucenie, który również pochodził z moich wspomnień o doktorze Simmonsie, lecz brzmiał całkiem jak prawdziwy.

- To stworzenie płci żeńskiej, przynęta. Czy było obdarzone wolną wolą?

- Moim zdaniem tak, Panie Przewodniczący.

- (Na nieba, Jerry! Czy tego nie wiesz?)

- Możemy więc założyć, że nasze stworzenie nie zadowolilo się sobowtórem.

Ponownie zagwizdał czy zanucił przez zęby.

- Musimy spojrzeć na sprawę głębiej.

Gdy przybyliśmy, gabinet Pana Kościeja wydawał się mały. Teraz przebywało w nim kilka osób: kolejny anioł, bardzo podobny do Jerry'ego, lecz starszy i ze skrzywioną twarzą, której wyraz nie przypominał łatwo udzielającej się jowialności mojego przyjaciela, następny starszy typ w długim płaszczu, wielkim kapeluszu z szerokim rondem i przepaską na oku, na którego ramieniu siedziała wrona i - niech go, co za bezczelność! - Sam Crumpacker, ten krętacz z Dallas.

Za Crumpackerem ustawilo się w kolejce trzech dobrze odżywionych typów, którzy wydali mi się skądś znajomi. Byłem pewien, że już ich gdzieś widziałem.

Nagle przypomniałem sobie. Wygrałem od każdego z nich po setce (czy może po tysiącu?) w najbardziej lekkomyślnym z zakładów.

Ponownie spojrzałem na Crumpackera i rozgniewałem się jeszcze bardziej. Ten łobuz miał teraz moją twarz!

Zwróciłem się do Jerry'ego, szepcząc niespokojnie:

- Widzisz tego faceta tam? To on...

- Zamknij się!

- Ale...

- Siedź cicho i słuchaj!

- Kto wniósł skargę? - odezwał się brat Jerry'ego. - Chcecie, żebym przybrał postać Jezusa, żeby wam to udowodnić? Fakt, iż niektórym z nich się udaje, dowodzi, że to nie jest zbyt trudne. W tym ostatnim rzucie było ich siedem i jedna dziesiąta procenta, nie licząc golemów. Za mało? A kto tak mówi?

Stary gość w czarnym kapeluszu stwierdził:

- Uważam, że każdy wynik poniżej pięćdziesięciu procent to porażka.

- Co ty nie powiesz? A kto tracił wpływy na moją rzecz rok za rokiem przez całe tysiąclecie? Co ty robisz z twoimi stworzeniami, to twój interes. Mój, co ja robię z moimi!

- Właśnie dlatego tu jestem - odparł facet w wielkim kapeluszu. - Poważnie zakłóciłeś życie jednego z moich stworzeń.

- To nie ja! - Jahwe wskazał kciukiem na faceta, który w jakiś sposób zdołał wyglądać jednocześnie jak ja i jak Sam Crumpacker. - To on! Mój szabesgoj! Zbyt brutalny? A czyj on jest, powiedz mi, czyj?

Pan Kościej stuknął w mój pamiętnik i przemówił do faceta o mojej twarzy:

- Loki, w ilu miejscach tej opowieści występujesz?

- Zależy, jak liczyć, Szefie. W ośmiu lub dziewięciu, jeśli policzyć same wejścia. W całej, jeżeli wziąć pod uwagę, że spędziłem cztery bite tygodnie na rozmiękczeniu tej ryżej nauczycielki, żeby padła na plecy z wywieszonym ozorem, gdy tylko pojawi się nasz prostaczek boży.

Jerry oparł swą wielką pięść na mym lewym ramieniu.

- Tylko spokojnie!

- I Jahwe mi nie zapłacił - ciągnął Loki.

- Czemu miałem płacić? Kto wygrał?

- Oszukałeś! Miałem już twojego zawodnika, twojego bigota pierwszej klasy, na widelcu, gdy ogłosiłeś przedwcześnie sąd ostateczny. On tu siedzi. Zapytaj go! Zapytaj, czy wciąż przysięga na twoje imię, czy raczej cię przeklina! Zapytaj i zapłać! Muszę uiścić rachunki za amunicję!

- Oświadczam, że ta dyskusja jest nie na miejscu - stwierdził Pan Kościej. - Ten gabinet to nie punkt totalizatora. Jahwe, skarga przeciwko tobie opiera się najwyraźniej głównie na zarzucie, iż traktujesz swoje stworzenia w sposób niekonsekwentny.

- Mam je całować czy jak? Nie zrobi się omletu bez tłuczenia jaj.

- Mów na temat. Odbyłeś próbę na zniszczenie. Nie jest istotne, czy była ona niezbędna ze względów artystycznych. Jednak na koniec próby zabrałeś jedno ze stworzeń do nieba, pozostawiając drugie, ukarałeś obydwu. Dlaczego?

- Obowiązują jednakowe zasady. Nie spełniło wymagań.

- Czy to nie ty jesteś bogiem, który zabronił zawiązywać pysk wołowi młóćącemu?

W następnej chwili, którą sobie przypominam, stałem na biurku Pana Kościeja, spoglądając w jego olbrzymią twarz. Myślę, że Jerry mnie tam postawił.

- Czy to ono? - zapytał Pan Kościej.

Spojrzałem w kierunku, w którym wskazywał i o mało nie zemdlałem. Marga!

Margrethe zimna i martwa i zamknięta w bryle lodu w kształcie trumny, która zajmowała większą część biurka i zaczynała topnieć.

Pragnąłem rzucić się w tamtą stronę, lecz stwierdziłem, że nie mogę się ruszyć.

- Myślę, że to wystarczająca odpowiedź - ciągnął Pan Kościej. - Odynie, jakie jest jego przeznaczenie?

- Zginęła w walce podczas Ragnarok. Zasłużyła sobie na cały cykl w Walhalli.

- Posłuchajcie go! - zadrwił Loki. - Ragnarok się jeszcze nie skończył. Tym razem ja wygrywam. Ta „pige” jest moja! Wszystkie duńskie dziewczyny są chętne, ale ta to prawdziwy dynamit! - Uśmiechnął się głupawo i mrugnął do mnie. - Nieprawda?

- Nudzisz Mnie, Loki - odezwał się Przewodniczący spokojnym tonem i Loki nagle zniknął. Zniknęło nawet jego krzesło.

- Odynie, czy możesz ją odstąpić na część tego cyklu?

- Na jak długo? Zasłużyła sobie na miejsce w Walhalli.

- Na czas nieokreślony. To stworzenie wyraziło gotowość zmywania naczyń przez „całą wieczność”, aby o nią zadbać. Można wątpić, czy zdaje sobie ono sprawę, jak długo trwa „wieczność”... jednakże jego opowieść wskazuje, że podchodzi ono do sprawy bardzo poważnie.

- Panie Przewodniczący, moi wojownicy - zarówno mężczyźni, jak i kobiety - którzy zginęli w honorowej walce, nie są moimi niewolnikami, lecz są mi równi. Jestem dumny z tego, że jestem pierwszy wśród takich równych. Nie stawiam przeszkód... o ile ona się zgodzi.

Ogarnęła mnie radość. Nagle Jerry, stojący po drugiej stronie pokoju, szepnął mi prosto do ucha:

- Nie żyw zbyt wiele nadziei! Dla niej mogło upłynąć nawet tysiąc lat. Kobiety z czasem zapominają.

- Utkane wzorce nie zostały naruszone, prawda? - zapytał Przewodniczący.

- A kto zniszczy kopie akt? - odparł Jahwe.

- Zregenerujesz je w miarę potrzeby.

- A kto za to zapłaci?

- Ty. To kara, która nauczy cię przywiązywać wagę do konsekwencji.

- Aj waj! Wszystkie proroctwa pospelniałem! A teraz On mi mówi, że jestem niekonsekwentny! To ma być sprawiedliwość?

- Nie. To jest Sztuka. Alexandrze! Spójrz na Mnie!

Spojrzałem w Jego olbrzymią twarz. Jej oczy przykuły mnie do miejsca. Stawały się coraz większe i większe. Runąłem naprzód i wpadłem prosto w nie.

Nie ma pamięci po tych, co byli,

ani też o tych, co będą,

*nie będzie pamięci u tych,
co będą później.*

Księga Eklezjasty 1, 11

Tego tygodnia Margrethe i ja, przy pomocy naszej córki Gerdy robimy w naszym domu i zakładzie prawdziwe skandynawskie sprzątanie, ponieważ Farnsworthowie - nasi przyjaciele z Teksasu, nasi w ogóle najlepsi przyjaciele - przyjeżdżają do nas w odwiedziny. Dla Margi i dla mnie wizyta Jerry'ego i Katie jest jak Boże Narodzenie i Czwarty Lipca połączone razem. Podobnie dla dzieciaków. Sybil Farnsworth jest w wieku Ingi i dziewczęta przyjaźnią się ze sobą.

Ta okazja będzie szczególna, ponieważ przyjedzie z nimi Patricia Marymount. Pat jest naszą przyjaciółką niemal równie długo jak Farnsworthowie oraz najmiłą osobą na świecie. Jest nauczycielką i starą panną, ale nie jest w najmniejszym stopniu zdziwaczała.

Dzięki Farnsworthom odwróciła się nam karta. Marga i ja spędzaliśmy w Meksyku miesiąc miodowy, gdy nadeszło trzęsienie ziemi, które zniszczyło Mazatlan. Nic nam się nie stało, ale przeżyliśmy ciężki okres. Straciliśmy paszporty, pieniądze i czeki podróżne. W połowie drogi do domu spotkaliśmy Farnsworthów i to wszystko odmieniło. Skończyły się nasze kłopoty. Wróciliśmy co prawda do Kansas bez niczego, poza moją maszynką do golenia (pamiątka o dużej wartości sentymentalnej. Marga dała mi ją podczas miesiąca miodowego. Używam jej do dziś).

Gdy już dotarliśmy do mego ojczystego stanu, znaleźliśmy rodzinny lokal, jakiego pragnęliśmy - mały bar w miasteczku Eden, na południowy wschód od Wichita. Był on własnością państwa A. S. Modeus, którzy pragnęli przejść na emeryturę. Zaczęliśmy jako pracownicy, a po niecałym miesiącu staliśmy się dzierżawcami. Następnie udałem się do banku i zadłużyłem się po uszy, co uczyniło nas prawnymi właścicielami lokalu: „U MARGI. LODY Z GORĄCYM SOSEM TOFFI”. Jest tam saturator z wodą sodową, hot dogi, hamburgery i niebiańskie duńskie kanapki Margi.

Margrethe chciała nazwać lokal „U Margi i Aleca”, lecz sprzeciwiłem się temu. To nie brzmi dobrze. Poza tym to ona spotyka się z klientelą i jest naszą najlepszą reklamą. Ja pracuję na zapleczu, gdzie mnie nie widać - pomywacz, portier, tragarz i temu podobne. Margrethe odpowiada za front, z pomocą Astrid. I moją. Każde z nas potrafi ugotować lub spreparować wszystko, co znajduje się w menu, nawet duńskie kanapki. Niemniej przy tych ostatnich kierujemy się kolorowymi zdjęciami sporządzonymi przez Margę oraz spisem składników. Ze względu na dobro naszych klientów tylko Mardze wolno być nowatorską.

Nasze firmowe danie - lody z gorącym sosem toffi - jest w ciągłej sprzedaży. Udało mi się utrzymać cenę zaledwie dziesięciu centów, choć daje to jedynie półtora centa zysku brutto. Każdy klient, który ma akurat urodziny, otrzymuje porcję za darmo, a poza tym odśpiewujemy na jego cześć „Happy Birthday” z głośnym waleniem w bęben i obdarzamy go pocałunkiem. Chłopcy z college’u cenią pocałunki Margrethe wyżej niż darmowe lody. To zrozumiałe, jednakże papa Graham nie radzi sobie najgorzej z uczennicami. (Nie wymuszam pocałunków na „urodzinowych dziewczynach”).

Nasz lokal cieszył się powodzeniem od pierwszego dnia. Lokalizacja jest dobra - na skrzyżowaniu „Elm Street” i „Old Main”. Duże obroty zawdzięczaliśmy niskim cenom i magicznym zdolnościom kucharskim Margrethe... jak również jej urodzie i urzekającej osobowości. Nie sprzedajemy kalorii. Sprzedajemy szczęście. Na każdy z talerzy Margrethe dokłada obfitą porcję szczęścia, którego

posiada w nadmiarze.

Na domiar wszystkiego ja pilnowałem kasy, nie mogło się więc nam nie powieść. Czynie to bardzo starannie. Gdy zdarza się, że koszt składników zabija wszelki zysk, który mamy na lodach, cena idzie w górę. Pan Belial, prezes naszego banku, twierdzi, że kraj wszedł w długi, spokojny okres stałej prosperity. Mam nadzieję, że się nie myli, tymczasem jednak czuwam nad naszym zyskiem.

W mieście doszło do prawdziwego boomu w handlu nieruchomościami - dzięki Farnsworthom oraz zmianie klimatu. Do tej pory typowy bogaty Teksaszczyk miał swój letni dom w Colorado Springs, teraz jednak, gdy nie możemy już smażyć jajek na naszych chodnikach, zaczęli dostrzegać uroki Kansas. Mówią, że to zmiana w Dżetstromie. (A może to jest Golsztrom? Nigdy nie byłem mocny w nauce). Tak czy inaczej nasze lata są teraz balsamiczne, a zimy łagodne. Wielu znajomych i wspólników Jerry'ego kupuje grunty w Eden i stawia tu swe letnie domy. Pan Ashmedai, który prowadzi niektóre z interesów Jerry'ego, mieszka tu przez okrągły rok. Ponadto doktor Adramelech, kierownik Eden College sprawił, że wybrano go w skład Rady Nadzorczej oraz przyznano doktorat honoris causa. Wiem, dlaczego - sam niegdyś zajmowałem się zbiórką pieniędzy.

Witamy ich wszystkich serdecznie, nie tylko ze względu na ich pieniądze... nie chciałbym jednak, żeby Eden stało się tak zatłoczone jak Dallas.

Nie jest to zresztą możliwe. To idylliczne miasteczko. Naszym jedynym „przemysłem” jest nasz college. Jeden wspólny kościół obsługuje wszystkie sekty - Kościół Boskiego Orgazmu. Szkołka sabatowa o 9. 30, nabożeństwo o 11, zaraz potem piknik i orgia. Nie jesteśmy zwolennikami zmuszania dzieci do praktyk religijnych, faktem jednak jest, że młodzi lubią nasz kościół - dzięki naszemu pastorowi, wielebnemu doktorowi M. O. Lochowi. Malcolm jest chyba prezbiterianinem. Wciąż zachowuje szkocki akcent. Nie ma w nim jednak nic z surowego Szkota i dzieciaki go uwielbiają. To on prowadzi hulanki i kieruje rytuałami. Nasza córka Elise rozpoczęła nowicjat stripteaserski u jego boku. Mówi, że ma powołanie. (Guzik. Wyjdzie za mąż, gdy tylko skończy szkołę średnią. Mógłbym nawet powiedzieć za kogo - choć nie rozumiem, co ona w nim widzi). Margrethe pełni służbę przy ołtarzu. Sam chodzę z tacą podczas sabatu i jestem członkiem rady finansowej. Nigdy nie wystąpiłem z Bractwa Apokalipsy, muszę jednak przyznać, że odczytaliśmy Pismo błędnie. Koniec tysiąclecia przyszedł i minął, a głosu nie usłyszano. Człowiek, który czuje się szczęśliwy, nie leży po nocach bezsennie, zamartwiając się o życie pozagrobowe.

Czym jest sukces? Moi koledzy z Rolla Tech mogliby uważać, że poprzestałem na zbyt małym, jako właściciel - na spółkę z bankiem - maleńkiej restauracji w nieznanym miasteczku. Mam jednak to, czego pragnałem. Nie chciałbym zostać świętym w niebie, gdyby Margrethe nie było przy mnie. Nie bałbym udać się do piekła, gdyby ona tam była. Co prawda nie wierzę w piekło, ani też nigdy nie miałem szansy na zostanie świętym w niebie.

Samuel Clemens powiedział „Tam gdzie ona, tam był Eden”. Omar ujął to tak: „Gdy jesteś przy mnie na pustkowiu, och i pustkowie to raj”. Browning użył nazwy „Summum Bonum”. Wszyscy głosili tę samą wielką prawdę, która dla mnie brzmi: Niebo jest tam, gdzie Margrethe.

Koniec

Spis treści

I
II
III
IV
V
VI
VII
VIII
IX
X
XI
XII
XIII
XIV
XV
XVI
XVII
XVIII
XIX
XX
XXI
XXII
XXIII
XXIV
XXV
XXVI
XXVII
XXVIII
XXIX
[1]	